

**Giorgio**

**Faletti**

**PRAWDA UKRYTA  
W OCZACH**

*Z włoskiego przełożyła  
Anna Osmólska-Mętrak*



  
**Świat Książki**

Tytuł oryginału  
NIENTE DI VERO TRANNE GLI OCCHI

Projekt graficzny serii  
*Anna Kłos*

Zdjęcie na okładce  
Flash Press Media

Redaktor prowadzący  
*Ewa Niepokólczycka*

Redakcja  
*Hanna Machlejd-Mościcka*

Redakcja techniczna  
*Małgorzata Juźwik*

Korekta  
*Jadwiga Piller*  
*Elżbieta Jaroszuć*

Copyright © 2004 Baldini Castoldi Dalai editore S.p.A.  
Copyright © for the Polish translation by Anna Osmólska-Mędrak, 2007

Świat Książki  
Warszawa 2007  
Bertelsmann Media sp. z o.o.  
ul. Rosoła 10, 02-786 Warszawa

Skład i łamanie  
Agencja *MASTER*, Łódź

Druk i oprawa  
Finidr, Czechy

ISBN 978-83-7391-876-4  
ISBN 83-7391-876-0  
Nr 5146

*Dla Roberty, jedynej*

Piosenka kobiety, która chciała zostać marynarzem

*Teraz dopiero teraz  
kiedy moje spojrzenie łączy się z morzem  
roztrzaskuję tę ciszę  
która nie pozwala mi marzyć  
o rzędach grotmasztów i tysiącu żeglarskich węzłów  
i śladach zimnych i leniwych węży  
z ich nienaturalnym chodem  
i liniach na księżycu, którego każda piędź  
jest miejscem, o którym trzeba zapomnieć  
i o sercu tym dziwnym sercu  
które na skale już potrafi żeglować.  
Teraz dopiero teraz  
kiedy moje spojrzenie obejmuje morze  
rozumiem, kto szukał syren  
kto mógł pokochać ich śpiew  
słodki jak świąteczny dzień  
jak daktyle z miodem  
i silny jak wiatr, który mąci w głowie  
i łamie serce ludziom i żaglom  
i wtedy nie ma chwały ani pragnienia  
którymi można się upajać albo  
które można w sobie zdusić  
ani kamienia młyńskiego, który w wiatraku  
ten głaz w sercu mógłby skruszyć.*

Connor Slave  
z albumu *Kłamstwa mroku*

# Spis treści

Prolog .....	7
CZEŚĆ PIERWSZA Nowy Jork .....	9
1.....	9
2 .....	15
3 .....	21
4 .....	28
5 .....	36
6 .....	45
7.....	51
8 .....	58
9 .....	70
CZEŚĆ DRUGA Rzym .....	78
10.....	78
11 .....	88
12.....	97
13.....	103
14.....	108
15.....	116
16.....	123
17.....	128
18.....	132
19.....	139
20 .....	148
21.....	157
22 .....	164
23 .....	171
24 .....	180
25 .....	188
26 .....	195
27 .....	202
28 .....	206
29.....	210

30 .....	218
31 .....	225
32 .....	233
33 .....	239
34 .....	245
35 .....	253
36 .....	260
37 .....	266
38 .....	274
39 .....	285
40 .....	291
41 .....	300
42 .....	307
43 .....	315
44 .....	324
45 .....	331
46 .....	339
47 .....	346
48 .....	353
49 .....	359
50 .....	365
51 .....	377
52 .....	383
53 .....	388
CZEŚĆ CZWARTA Rzym .....	393
54 .....	393
Podziękowania .....	400

# Prolog

Mrok i oczekiwanie mają tę samą barwę.

Dziewczyna, która pewnego dnia będzie siedziała w ciemności niczym w fotelu, doświadczy jednego i drugiego w takim stopniu, że zacznie się bać. Nauczy się aż nazbyt dobrze, i do tego własnym kosztem, że wzrok czasami nie jest faktem wyłącznie fizycznym, ale także mentalnym. Nagle światła przejeżdżającego samochodu narysują jasny prostokąt, który obiegnie ściany z szybką ukradkową ciekawością, jakby w poszukiwaniu jakiegoś wyimaginowanego punktu. Po czym, wyrwawszy się z niewoli pokoju, ów wycinek światła odnajdzie wolność okna i wydostanie się na zewnątrz w pościgu za samochodem, który go wytworzył. Za kurtyną zasłon, za szybami, za murami, w żółtawym mroku tysiąca świateł i tysiąca neonów wciąż jeszcze będzie trwać owo niezrozumiałe szaleństwo, które nazywają Nowym Jorkiem. Miasto, którego wszyscy - jak twierdzą - nienawidzą, a które uporczywie przemierzają w jednym jedynym celu, aby dojść do wniosku, że bardzo je kochają. A jednocześnie z przerażeniem odkrywają, na jak niewiele mogą liczyć w zamian. Okazuje się, że są tylko ludźmi, takimi samymi jak ci, którzy zaludniają całą resztę świata, zwykłymi istotami ludzkimi, które nie zgadzają się, żeby ich oczy widziały, uszy słyszały, a głos przeciwstawiał się innym, głośniejszym krzykom.

Na stoliku obok krzesła, na którym siedzi dziewczyna, będzie leżała beretta 92 SBM, pistolet o rękojeści trochę mniejszej, pasującej do kobiecej dłoni. Przed położeniem go na szklany blat włoży zdecydowanym ruchem nabój do lufy, a szcęk zamka rozlegnie się w ciszy pokoju suchym dźwiękiem łamanej kości. Stopniowo jej oczy przywykną do ciemności i zyska orientację w miejscu, w którym się znajdzie, również przy zgaszonym świetle. Wzrok dziewczyny będzie utkwiony w ścianę naprzeciwko, gdzie bardziej niż widzieć będzie się domyślać ciemnej plamy drzwi. Przed laty w szkole nauczyła się, że kiedy wpatrując się intensywnie w kolorową powierzchnię, nagle oderwie się wzrok, w źrenicach pozostaje odcisnięta świetlista plama o barwie dokładnie dopełniającej w stosunku do tej utrwalonej wcześniej.

Dziewczyna poczuje własny gorzki uśmiech wykwitający w ciemności.

Barwy dopełniające to te, które po wymieszaniu we właściwych proporcjach dają w rezultacie absolutną szarość. To nie może się zdarzyć z ciemnością. Mrok rodzi tylko inny mrok. W owym momencie jednak ciemność nie będzie stanowiła problemu. Kiedy osoba, na którą czeka, przyjdzie, swoim wejściem przywróci natychmiast pomieszczeniu światło. To też nie będzie problemem, a tym bardziej jego rozwiązaniem.

Po pozornie nieskończonej drodze przemierzonej po to, żeby zabić albo nie zostać zabitym, po długiej podróży przez ów tunel, w którym tylko nieliczne, żałosne światełka wskazywały drogę, teraz dwie osoby będą w końcu bliskie wyjścia na słońce. Będą jedynymi w posiadaniu owego stanu umysłu, który obejmuje jednocześnie słowo, słuch, wzrok: prawdy.

Jedną z tych osób jest ona, dziewczyna, której przerażenie nie pozwala uświadomić sobie tego stanu.

Drugą będzie oczywiście osoba, na którą czeka.

On, morderca.



# CZEŚĆ PIERWSZA

## Nowy Jork

### 1

Jerry Kho, całkiem nagi, osunął się na ziemię, aż znalazł się na ogromnym, białym płótnie, które przykleił do podłogi taśmą samoprzylepną. Potem, po chwili skupienia, przypominającego koncentrację artysty cyrkowego przed występem, zanurzył ręce w wielkiej puszcze czerwonej farby, którą trzymał między nogami, i uniósł ramiona do góry, tak żeby kolor spłynął powoli aż do łokci. W geście tym tkwiła liturgia jakiegoś pogańskiego rytuału, kiedy ukrywa on człowieczeństwo pod barwami sakralnego malarstwa, w poszukiwaniu innej formy i odmiennego kontaktu z wyższym duchem. Takim samym płynnym i pełnym zamierzonego mistycyzmu ruchem rozprowadzał farbę po całym ciele, omijając tylko okolice penisa, ust i oczu. Stopniowo porzucił swoją cielesną powłokę, aby upodobnić się do wyglądu tego, co sugerowała krwista czerwień, i co pragnął pokazać. Przypominał teraz jedną ogromną, bolesną ranę wydzielającą płyny, od których nie można było się odłączyć, chyba, że poprzez zaprzeczenie własnej, ludzkiej naturze.

Podniósł oczy na stojącą przed nim kobietę, również nagą, ale jej ciało pokryte było innym kolorem, owym szczególnym odcieniem intensywnego błękitu, który określa się zwykle, jako chiński błękit.

Jerry wyciągnął ramiona i połączył swoje ręce z rękami kobiety. Ich dłonie ścisnęły się ze stłumionym dźwiękiem ssania, wywołanym kontaktem płynu z płynem, a kolory zaczęły się zlewać i wzajemnie plamić. Poprowadził ją powoli, aż uklękła naprzeciw niego. O kobiecie, której imienia kompletnie zapomniał, trudno było cokolwiek powiedzieć, zarówno, jeśli chodzi o wiek, jak i wygląd fizyczny. W

normalnych warunkach Jerry uznałby ją za odrażającą, ale w owej chwili zdawała mu się idealna dla potrzeb dzieła, które zamierzał zrealizować. Uważał wręcz - w swoim umyśle poddanym działaniu prochów, które zażył owego wieczoru - że wstręt powinien być zasadniczym komponentem jego projektu. Kiedy patrzył na lekko opadające i przywiedle piersi, których wyglądu nie była w stanie poprawić nawet maska jaskrawego koloru, jego członek zaczął nabrzmiwać. Ale nie z powodu nagości kobiety. To tworzenie nowego dzieła było dla niego podnieciem. Wyciągnął się powoli na nieskalanej bieli płótna. Jego umysł owładnięty już był znaczeniem koloru, którym ciało barwiło powierzchnię, mającą się stać jednym olbrzymim malowidłem podzielonym na paneau o takich samych rozmiarach.

Dla Jerry'ego Kho sztuka pokazywana na płótnie była przede wszystkim dziełem przypadku, wydarzeniem, które artysta mógł sprowokować i odkryć, ale nie stworzyć. Tworzenie było powierzone przypadkowi albo chaosowi. A zatem dwóm rzeczom, które z przypadku i chaosu brały początek, po czym powracały tam ze swoją częścią naturalności i sztuczności: seksem i narkotykami.

Jerry Kho był totalnie szalony. Lub przynajmniej, w swoim absolutnym narcyzmie, lubił uważać się za takiego. Gestem zachęcił kobietę, żeby się zbliżyła. Kobieta, której imienia nie pamiętał, usiadła na nim, opierając ręce na jego biodrach, z przymkniętymi oczami i lekko dyszącym oddechem. Jerry poczuł, jak pomazane farbą włosy muskają jego pępek. Chwycił jej głowę i poprowadził do członka, teraz w pełnym wzwodzie, który bielił się na pochłoniętym przez kolor cieple. Wargi kobiety rozchyliły się i mężczyzna poczuł, jak obejmuje go lepkie i wielbiące ciepło jej ust.

Teraz w oczach Jerry'ego oboje byli dwiema nakładającymi się na siebie plamami o różnej intensywności, odbijającymi się w wielkim lustrze zamontowanym pod sufitem. Delikatny ruch głowy kobiety gubił się w perspektywie. Czuł ruch, nie mogąc go zobaczyć. Ogarnęło go uniesienie, wywołane tym, co robi, a także nieokreśloną ilością prochów, jaką miał w organizmie. Rozłożył ramiona i przycisnął rozwarte dłonie do białego płótna pod sobą. Kiedy znów objął rękami głowę kobiety, zobaczył smugę koloru, jaką zostawił na płótnie, i to wzmogło jeszcze jego podniecenie. Lustro i gra refleksów były sztuczkami starymi jak świat, z czasów, kiedy zwykło się nazywać sztukę żalosnym mozołem pędzli na malowidle. Czasów Velazqueza, Normana Rockwella i innych, wszystkich należących do przeszłości o zapachu pleśni i rozkładu.

Po co tracić czas, malując na płótnie ciało, kiedy może ono doskonale namalować się samo? A idąc jeszcze dalej, po co marnować podłoże, jeśli ciało może stać się płótnem samego siebie?

Zobaczył w lustrze i poczuł na skórze niebieskie ręce bezimiennnej kobiety, które przesuwały się wzdłuż jego bioder, pozostawiając na czerwonym ciele dwie kolorowe smugi.

Ujrzał odbicie jej warg i usłyszał dyszący mu do ucha głos.

- Och, Jerry, jestem taka...

- Ciiiiii...

Uciszył ją, kładąc palec na wargach kobiety. Uniósł głowę, żeby na nią spojrzeć. Palec zostawił czerwony ślad na ustach. Czerwień na szmince. Krew i próżność. Upadek i rozpad wszystkich współczesnych mitów.

Jego głos w sączącym się świetle poddasza był szmerem wśród ustawionych rzędem telewizyjnych monitorów bez dźwięku, połączonych ze sobą i zaprogramowanych przez komputer zgodnie z sekwencją wygaszaczy ekranu, na których pojawiała się seria pomieszanych przypadkowo kolorów, pozornie pozbawionych ciągłości. Tylko czasami to chromatyczne szaleństwo przerywane było przenikaniem się rozpadających się na fragmenty obrazów, z których potem powstawał inny obraz o czytelnym sensie, fotograficzne odtworzenie katastroficznych wydarzeń, podkreślających straszliwe chwile życia na planecie. Obrazy tysięcy ciał niesionych prądem rzeki podczas czystki etnicznej przeprowadzonej przez Tutsi na Hutu albo obrazy holokaustu czy grzyba atomowego w Hiroszynie, które następowały na przemian z jednoznacznymi scenami seksu w jego najbardziej śmiałych odmianach i wykonaniach.

- Bądź teraz cicho. Nie mogę mówić. Nie powinienem mówić...

Jerry znów się położył i zmusił bezimienną kobietę, żeby wyciągnęła się u jego boku, i pokazał jej ich postaci w lustrze na suficie.

- Teraz muszę pomyśleć. Teraz muszę zobaczyć...

W pewien sposób Jerry zdołał wyczuć, że bezimienną kobietę zaczyna otaczać aura emocji i podniecenia. Odwrócił się gwałtownie, rozwarł jej nogi i wszedł w nią niemal jednym ruchem. Impet tego szorstkiego gestu potracił i przewrócił stojącą obok nich puszkę z farbą, którą się pomalował. Czerwień barwnika rozlała się na śnieżnym płótnie, jakby wypłynęła z otwartej rany.

Z leżącej pozycji kobieta zobaczyła, jak plama pochłania coraz większą przestrzeń bieli, tak jakby nagle wyciekła z żył cała krew. W tym momencie włączyła się całkowicie w osiąganie niemal liturgicznego celu owego aktu zjednoczenia. Ogarnęło ją szaleństwo pożądania, zaczęła coraz głośniej jęczeć, w idealnej zgodności z gwałtownymi pchnięciami wykonywanymi przez mężczyznę, którego ścisła udami. Rozpoczął się między nimi gorączkowy, horyzontalny balet, który pozostawiał na płótnie rodzaj barwnego graffiti, świadectwo odwiecznego ruchu mającego za podwójny cel zaspokojenie pożądania oraz pragnienie, aby spełnienie to nigdy nie nastąpiło.

Choć bezimienna kobieta tego nie wiedziała, Jerry był przekonany o bezużyteczności żalostnego walenia pośladkami, które ktoś porównał do uderzeń motyli skrzydeł na jedwabiu. Był tego pewny, tak samo jak faktu, iż każdy artysta z tej prostej przyczyny, że nim jest, nosi w sobie załączki własnego unicestwienia, tego wszystkiego, co jest jednocześnie przekleństwem i błogosławieństwem sztuki.

Wszyscy artyści byli naznaczeni klęską.

Bez względu na to, ile bezimiennych kobiet pieprzyliby na płótnach przytwierdzonych do podłogi czy na panelach walających się po gotowych je przyjąć powierzchniach i ile farb mieszałyby i wylali, zawsze pozostałoby dzieło, do którego wzdychali, a które zagubiło się gdzieś w umyśle, nie pozostawiając po sobie śladu. Objawiło się przelotnie na jeden moment, niczym uwznioślony przebłysk idei, natychmiast przesłonięty fałszywymi i rzeczywistymi obrazami, które życie każe nam nosić w oczach. Człowiek nie mógł istnieć w okręgu czy w kwadracie, nie istniał, bowiem ani okrąg, ani kwadrat, ale przede wszystkim nie istniał człowiek...

Wydając długi syczący jęk, bezimienna kobieta osiągnęła orgazm, próbując bezskutecznie chwycić się tkaniny rozpiętej na podłodze. W głowie Jerry'ego działanie narkotyków i seksu przekroczyło już ten stopień zespolenia, który nie pozwala dłużej się powstrzymywać. Zerwał się i masturbując się gorączkowo, spryskał swoim nasieniem ślady narysowane przez ruchy ich ciała, jakby w jakiś nienaturalny i bluźnierczy sposób chciał zapłodnić płótno albo okazać mu nieskończoną odrazę.

Kobieta zrozumiała, co on robi, i świadomość, że stanowi część tego procesu tworzenia, doprowadziła ją do nowego orgazmu, jeszcze silniejszego od poprzedniego, który zmusił ją do skulenia się w pozycji płodowej, jakby dostała cios nożem sprężynowym.

Odarty nagle z wszelkiej motywacji, Jerry osunął się na ziemię i położył z twarzą zwróconą w stronę wielkich szyb, które oświetlały ścianę domu nad East River. Mimo że znajdowali się na siódmym piętrze, był w stanie dostrzec odbicie księżyca w pełni w brudnej wodzie rzeki, którą tylko owo światło poprzez swój refleks mogło częściowo nobilitować. Odwrócił lekko głowę i odnalazł ową świetlistą tarczę pośrodku ostatniego okna po lewej stronie.

Poprzedniego wieczoru w radiu mówiono, że nastąpi zaćmienie i że będzie widoczne po tej stronie wybrzeża. I właśnie teraz cienka czarna obwódka zaczęła nadgryzać niewzruszone koło księżyca.

Jerry zaczął drżeć z emocji.

Przypomniał sobie ów dzień, który stał się dniem wyznaczonym przez los dla całej Ameryki, 11 września 2001 roku, dzień, który niewiele pewności zamienił w wiele lęków. Po uderzeniu pierwszego samolotu hałas następnego dotarł do jego otwartych okien, mieszanina ludzkich krzyków i syren alarmowych, i ów niepowtarzalny zgiełk wywołany paniką uciekającego tłumu.

Wyszedł na dach swojego domu stojącego w głębi Water Street i stamtąd przyglądał się spokojnie uderzeniu drugiego samolotu oraz owemu arcydziełu destrukcji, jakim było runięcie Twin Towers. Zachwycał się prostotą i doskonałością owego katastroficznego ogromu, stanowiącego przykład tego, jak cywilizacja, którą stworzyli wokół siebie, znalazła wybawienie wyłącznie poprzez własną zagładę. A jeśli dotyczyło to elementów cywilizacji, tym bardziej stosowało się do sztuki, która stanowi najdalej wysunięty przyczółek cywilizacji na wrogim terytorium. Fakt, że tysiące osób zginęło w tej katastrofie, specjalnie go nie zajmował. Wszystko miało swoją cenę, a według niego ci zmarli byli tylko garścią drobniaków w obliczu tego, co świat wyniósł z zakurzonego huku owego doświadczenia.

Tamtego dnia postanowił zmienić swoje nazwisko na Jerry Kho, co było celowo łatwą do rozszyfrowania grą słowną z Jerycho, nazwą biblijnego miasta, którego nieprzystępne mury upadły pod wpływem zwykłego dźwięku trąby. Postanowił, że będzie powalał mury i razem z nimi padał.

Jeśli chodzi o jego prawdziwe nazwisko, wołał o nim zapomnieć, tak samo jak o całym swoim dotychczasowym życiu. W tym, co przeżył, nie było nic, co warto by zachować, nawet pamięć. Jeśli sztuka była przypadkowością, jej zniszczenie można było zaplanować, podobnie jak zniszczenie własnego życia.

Wyczuł obok siebie jakiś ruch. Ciało bezimiennej kobiety przysuwało się do niego, co utrudniała wysychająca farba. Poczul rękę dotykającą jego ramienia i usłyszał ciepły jeszcze od rozkoszy głos, który szeptał mu do ucha.

- Jerry, było wspaniale...

Jerry podniósł ramiona i klasnął w dłonie. Wszystkie światła nagle zgasły, pogrążając ich w półmroku, rozjaśnianym tylko przez migające ekrany telewizyjne.

Położył rękę na ramieniu kobiety i odsunął ją gwałtownym ruchem.

Nie teraz, pomyślał.

- Nie teraz - powiedział.

- Ale ja...

Głos kobiety zgubił się w niewyraźnym jęku, kiedy Jerry kolejnym pchnięciem odsunął ją jeszcze dalej od siebie.

- Milcz i nie ruszaj się - nakazał szorstko.

Kobieta pozostała w bezruchu, a Jerry znów zaczął się przyglądać tarczy księżyca, która teraz już w połowie pochłonięta była przez mrok. Nie interesowało go, że to, czego jest świadkiem, znajduje ściśle, naukowe wyjaśnienie. Jedynie sens tego, co widział, był ważny, liczyła się tylko alegoria i mistyfikacja.

Patrzył wciąż na zaćmienie, czując, jak zanurza się w pozostałości po narkotykach i wysiłku fizycznym, dopóki księżyc nie stał się czarną tarczą okoloną obwódką światła, zawieszoną na piekielnym niebie.

Wtedy zamknął oczy i kiedy pogrążał się we śnie, Jerry Kho zapragnął, żeby nigdy więcej nie powrócić.

## 2

Kobieta otworzyła oczy i natychmiast je zamknęła, uderzona światłem dnia wpadającym przez okna. Poprzedniego wieczoru wypila sporo szampana i teraz czuła obłożony język i okropny niesmak w ustach.

Zdała sobie sprawę, że spała zupełnie nago na podłodze i że obudził ją chłód. Zadrżała i skuliła się w takiej samej pozycji, w jakiej poprzedniego wieczoru szukała ratunku przed zbyt gwałtownym orgazmem. Było to wstrząsające doświadczenie. Po raz pierwszy w życiu poczuła się w pełni uczestnikiem jakiegoś wydarzenia, stała się bohaterką i ofiarą przygody, która w jej pamięci nie miała sobie równych i po której pozostanie w niej niezatarty ślad. Przez chwilę leżała jeszcze z zamkniętymi oczami, żeby zachować pod powiekami obrazy tego, co przeżyła, czując, jak gęsia skórka pokrywa całe jej ciało z zimna i z podniecenia.

Po czym z westchnieniem otworzyła ostrożnie oczy, gotowa na spotkanie ze światłem. Pierwszą rzeczą, jaką zobaczyła, były plecy Jerry'ego Kho, również nagiego i pokrytego łuską czerwonej, zaschniętej już farby. Poddasze rozjaśnione było niebieskim światłem poranka, do którego przyłączało się miganie monitorów telewizyjnych prawdopodobnie włączonych przez całą noc. Kobieta zastanawiała się, czy właśnie to był wzór, który...

Jakby wyczuwając jakiś szmer za swoimi plecami, Jerry odwrócił się i spojrzał na nią oczami tak zaczerwienionymi, że kobieta miała wrażenie, iż farba, którą pomazał się poprzedniego wieczoru, przeniknęła do środka.

Jerry spojrzał na nią niewidzącym wzrokiem.

- Kim jesteś?

Pytanie to wprawilo ją w zakłopotanie. Nagle poczuła absurdalny wstyd z powodu swojej nagości. Usiadła i zasłoniła się, obejmując nogi ramionami. Poczula ściągniętą od pokrywającej ją farby skórę. Miała wrażenie, jakby kłuło ją jednocześnie tysiąc mikroskopijnych igieł. Ruch spowodował zmarszczenie skóry i trochę kolorowych łusek spadło na białe płótno, na którym leżeli.

- Jestem Meredith.

- Oczywiście, Meredith.

Jerry pokiwał lekko głową, jakby imię dziewczyny kryło w sobie jakiś znak nieuchronności. Odwrócił się plecami i znów zaczął rozlewać farby na płótnie, zanurzając ręce w stojących obok niego puszkach. Meredith miała wrażenie, że poprzez ten prosty ruch mężczyzna jakby odgradził się od jej obecności w pokoju i od całego świata.

Jego ochryply głos zaskoczył ją, kiedy próbowała się podnieść, tak by nie spowodować otarć na skórze.

- Nie przejmuj się farbą. To nieszkodliwa akwarela, taka, jaką daje się dzieciom do zabawy. Wystarczy, że weźmiesz prysznic i zniknie. Łazienka jest w głębi po lewej.

Jerry usłyszał za plecami kroki oddalającej się kobiety. Chwilę potem szum wody.

Umyj się i idź sobie, bezimienna - Meredith...

Znał ten typ kobiety. Gdyby dać jej, chociaż minimum przestrzeni, przykleiłaby się niczym tatuaż, a on nie należał do tego typu mężczyzn. Dla niego była ona tylko środkiem do realizacji dzieła, które właśnie powstawało na podłodze, pośrednikiem i niczym więcej. Teraz, kiedy wypełniła już swoje zadanie, powinna zniknąć. W chaosie myśli wywołanym ponarkotycznym przygnębieniem zdawało mu się, że przypomina sobie, iż spotkał ją poprzedniego wieczoru na wernisażu, na który zaciągnął go LaFayette Johnson, właściciel galerii, gdzie wystawiał. Pojechali chyba na Broadway na wystawę fotograficzną. Pewien reporter mieszkał przez kilka lat w jakimś prymitywnym miejscu w Afryce, fotografując członków tamtejszego plemienia w ich środowisku, które usiłował przedstawić, jako naturalne i nieskażone. Jerry dostrzegł dziwne podobieństwo między afrykańskimi ornamentami, amuletami i innymi przedmiotami kultu a tymi należącymi do rdzennych mieszkańców Ameryki, co wynikało z przymusowego wykorzystania takich samych materiałów.

Skóra, kości, kolorowe kamienie. Również tam, z jednej strony sama istota, z drugiej próżność.

Jedyną różnicę stanowił brak frędzli przy ubiorach. Nie było dla nich uzasadnienia. Po co stosować chwyt wymyślony w celu pozbycia się nadmiaru wody z ubrań, jeśli tam prawie nigdy nie pada?

Długo krążył między jakimiś twarzami, głosami i ubraniami, nie wykazując najmniejszej ciekawości, żeby dowiedzieć się, co to za ludzie i o co właściwie chodzi. Czując, że jest nieprzemakalny, przeszedł przez ów niewidzialny mur złożony ze słów,



który ludzie wnoszą między sobą, kiedy myślą, że budują porozumienie. Po jakimś czasie znużenie zaczęło niwelować działanie pastylki ecstazy, którą wziął przed wyjściem z domu. Był to dla Jerry'ego jeden z tych wieczorów, kiedy snuł się po wszystkich miejscach na Manhattanie, gdzie można było się zabawić. To miejsce na pewno do nich nie należało.

- Pan jest Jerry Kho?

Odwrócił się w stronę głosu, który dobiegał z za jego pleców i znalazł się naprzeciw istoty płci żeńskiej, która z powodu szarości swojej cery przypominała lamę. Tylko szminka na jej ustach była plamą jaskrawej czerwieni. Wyglądała, jakby wyjęto ją z czarno-białego filmu, w którym ze względów estetycznych jeden szczegół jest kolorowy. Uwielbienie w oczach kobiety błyszczało tak jak szminka. Był to drugi barwny szczegół w tej wypełnionej szarością historii, jaką musiało być jej życie.

- Mam wybór? - odpowiedział, odwracając wzrok.

Kobieta nie wyczuła w jego zachowaniu ukrytej intencji odprawienia jej z kwitkiem. Podążała dalej swoją drogą, być może zakochana we własnym głosie jak wszyscy wokół.

- Znam pańskie prace. Widziałam pana ostatnią wystawę. Była taka...

Jerry miał się nigdy nie dowiedzieć, jak bardzo „taka”... była jego ostatnia wystawa. Wpatrywał się w poruszające się czerwone usta kobiety, nie słysząc słów, które się z nich wydobywały, i wtedy, mając przed oczami coś na kształt kadru z niemego filmu, zrodził się pomysł. Pomysł, jak każde błogosławieństwo, miał swój rytuał.

Ujął kobietę pod rękę i pociągnął w stronę drzwi.

- Jeśli podobają ci się moje prace, chodź ze mną.

- Dokąd?

- Aby stać się częścią następnej.

Po wyjściu na ulicę, kiedy próbowali zatrzymać taksówkę, przeszli przed witrynami sklepu spożywczego Dean & Deluca, który miał ceny jak u Tiffany'ego. Jerry zaczął się śmiać. Nagle wyobraził sobie jednego z bohaterów afrykańskich portretów, które widział chwilę wcześniej, jak krąży po sklepie, popychając wózek wypełniony produktami kosztującymi więcej niż całe jego nędzne życie.

Taksówka zatrzymała się na gest bezimiennej, co zwolniło go z obowiązku wytłumaczenia przyczyny nagłego ataku śmiechu.

Jerry przypominał sobie służalczą bierność kobiety, kiedy kazał się jej rozebrać, i jej podniecenie, kiedy zaczął oblewać ją farbą. W jakiś sposób wyczuła, o co chodzi, i świadomość tego, w czym miała za chwilę uczestniczyć, równoważyła to milczenie.

A teraz dźwięk wody prysznic. Sztuka, pochłonięta przez płótno, wydalała swoje kolorowe odchody przez odpływ w łazience. Jerry zastanawiał się, czy nie jest więcej warte to, co spływało rurą kanalizacyjną, od tego, co realizował teraz na płótnie.

Sztuka i gówno są tym samym. I znajdzie się zawsze ktoś, kto potrafi sprzedać jedno i drugie.

Zmęczenie zaczęło dawać o sobie znać. Czuł pieczenie w oczach i napływające łzy łagodzące tę dokuczliwość. Poruszył w bok głowę, żeby rozciągnąć obolałe mięśnie karku. Potrzebował czegoś, czegokolwiek, co pozwoliłoby mu wyjść z fizycznego impasu. Była tylko jedna osoba, która mogła temu zaradzić. Wstał i ruszył w kierunku telefonu. Podniósł słuchawkę, nie przejmując się tym, że plami aparat świeżą farbą, którą miał umazane dłonie. Wybrał numer i chwilę potem odpowiedział mu zaspany głos.

- Kto to, do cholery, o tej porze?

- LaFayette, to ja Jerry. Pracuję i muszę się z tobą zobaczyć.

- Chryste, Jerry, jest szósta rano.

- Nie wiem, która godzina. Wiem, że muszę cię widzieć. Odłożył słuchawkę, nie czekając na odpowiedź. LaFayette

Johnson chwilę poprzeklina, po czym wstanie i przybiegnie do niego. Jeśli dorobił się tego, co ma, w największym stopniu zawdzięczał to Jerry'emu, było, więc oczywiste, że powinien zachowywać się stosownie do tej sytuacji.

Podniósł oczy i popatrzył na swoje odbicie w lustrze zawieszonym nad telefonem. Ujrzał w nim potworność i wspaniałość swego oblicza, demonicznego z powodu koloru, a jednocześnie - ze sposobu, w jaki zaschła farba - przypominającego rozkładające się mięso.

Uśmiechnął się do tego obrazu, a lustro odpowiedziało jakimś nieokreślonym grymasem.

- Wszystko zgodnie z planem, Jerry Kho, wszystko zgodnie z planem...

Powrót bezimiennej oderwał go od tej rozmowy z samym sobą, od dialogu, który miał się nigdy nie skończyć, bo też nigdy nie miał początku. Kobieta pojawiła się w odbiciu za jego plecami i Jerry odwrócił się do niej. Umyła włosy i miała na sobie jego szlafrok pochlapany zaschniętą farbą, który nie pamiętał prania. Teraz, kiedy zmyła z

siebie farbę i zniknął też najmniejszy ślad makijażu, stała bezbronna w bezlitosnym świetle dnia. Jej bezradność była tak jawna, że Jerry poczuł do niej nienawiść z powodu jej patetycznego przywiązania do życia, rozpaczliwej pogoni za wspomnieniami, żalostnego błysku uwielbienia we wpatrzonych w niego oczach. Głęboko jej nienawidził, a jednocześnie zazdrościł doskonałej bylejakości.

- Bierz swoje ciuchy i idź sobie. Muszę pracować.

Bezimienna zaczerwieniła się i stała się niemą-Meredith. Zaczęła zbierać w milczeniu swoje rozrzucone po podłodze części garderoby, przytrzymując jedną ręką szlafrok, żeby się nie rozchylił. Odwróciła się plecami i zaczęła ubierać. Jerry zobaczył, jak bezkształtne ciało znika pod ubraniami. Kiedy na niego spojrzała, była na powrót szarą kobietą jak poprzedniego wieczoru, odartą z idei, która na kilka godzin uczyniła ją w jego oczach atrakcyjną. Wyciągnęła w jego stronę poplamiony szlafrok, którym się wytarła.

- Mogę go zatrzymać?

- Oczywiście. Bierz.

Bezimienna-Meredith uśmiechnęła się. Przycisnęła szlafrok do piersi i ruszyła w stronę drzwi. Jerry podziękował jej w myśli, że wyszła, oszczędzając mu ostatniego spojrzenia i kłopotliwego pożegnania. Został sam ze swoimi przekleństwami. Kiedy usłyszał hałas ruszającej windy, wrócił na środek pokoju i położył się na wznak na przytwierdzonym do podłogi płótnie. Rozłożył ramiona i w lustrze pod sufitem ujrzał obraz własnego ciała ukrzyżowanego na swoim dziele.

Trwał tak w bezruchu, nie znajdując siły, żeby się otrząsnąć i wrócić do pracy. Wielki ekran po lewej stronie, podzielony na małe sektory, pokazywał wciąż kolorowe plamy, a także swoje okrutne i lubieżne obrazy pozbawione dalszego ciągu. Zamówiono go u niego i miał być wystawiony w wielkim atrium siedziby gubernatora stanu Nowy Jork w Albany. W dniu jego instalacji w obecności gubernatora i zaproszonej publiczności słyhać było zrozumiały szmer oczekiwania i podniecenia w chwili, kiedy został włączony. W miarę następowania po sobie obrazów szmer ustąpił powoli grobowej ciszy, a wszyscy obecni zdawali się wykuci z kamienia.

Pierwszy otrząsnął się gubernator. Jego donośny głos zagrział w ogromnym salonie jak zapowiedź paniki.

- Wyłączcie ten skandal!

Skandal został wyłączony, ale natychmiast wybuchł inny, dużo większy. Jerry Kho został oskarżony o obrazę instytucji i czyny obsceniczne, ale sędzia, który podpisał akt

oskarżenia, przyczynił się jednocześnie do wylansowania jego nazwiska i wprowadził Jerry'ego Kho na orbitę sławy. LaFayette Johnson, który właśnie do niego jechał, żeby zaopatrzyć go w narkotyki, zaczął dopisywać zera do wartości jego prac, a on zaakceptował wszystkie konsekwencje swojego gestu. Wyrok, jaki zapadł, ale także możliwość pieprzenia wszystkich kobiet, które zechce, oraz pieniądze, pozwalające zapłacić za to, co właśnie wiozł mu jego marszand.

Dźwięk dzwonka przy drzwiach wejściowych miał dla uszu Jerry'ego takie samo znaczenie, co słowa *lupus in fabula*.

Nie przejmując się swoją nagością, przeszedł przez nieład poddasza, w którym mieszkał i pracował, żeby otworzyć. Przystanął zaskoczony, widząc uchylone drzwi.

Ta idiotka Meredith, wychodząc, nie zamknęła ich dobrze za sobą. Gdyby po drugiej stronie był LaFayette, wszedłby bez dzwonienia.

Kiedy otworzył drzwi na oścież, ujrzał w cieniu klatki schodowej męską postać. Światło musiało się zepsuć i nie mógł dostrzec, kto przed nim stoi. Na pewno nie LaFayette, ponieważ sylwetka, która rysowała się w półmroku, była od niego trochę wyższa.

Nastąpiła krótka pauza, ten ułamek, kiedy czas i wiatr zatrzymują się, zanim zaczną spadać pierwsze krople deszczu zapowiadające letnią burzę.

- Cześć, Linus. Nie wpuścisz starego przyjaciela?

Głos dotarł do niego z półcienia, jakby dochodził z tysiąca mgieł i sprzed tysiąca lat. Nie słyszał go od bardzo dawna, a jednak rozpoznał natychmiast. Jak wszyscy, Jerry Kho fantazjował często pod wpływem narkotyków na temat własnej śmierci, jedynej prawdziwej pewności, jaką ma każdy człowiek. Pragnął tego, czego pragnie każdy artysta: żeby to on sam ją przedstawił i określił barwę i rodzaj płótna, które stanie się jego całunem.

Kiedy mężczyzna z klatki schodowej wyszedł w światło i wkroczył do pokoju, Jerry uzyskał potwierdzenie i wiedział już, że wszelkie jego wyobrażenia zostaną przewyższone przez rzeczywistość. Patrząc w oczy przybyszowi, nie przejmował się pistoletem, który ten trzymał w dłoni. Jediną rzeczą, którą widział wyraźnie, była nieznana ręka wylewająca wiadro czarnej farby na to dyskusyjne malowidło, jakim do tej pory było jego życie.

### 3

LaFayette Johnson zaparkował swojego nowiutkiego nissana murano na placyku przy Peck Slip na rogu Water Street. Wyjął kluczyki ze stacyjki i pochylił się, żeby wyjąć małą paczuszkę z przegródki pod siedzeniem kierowcy. Wsiadł z samochodu i zamknął go biperem. Mignęły światła kierunkowskazów, a on przeciągnął się, wdychając głęboko powietrze. Podniosła się ciepła bryza wiejąca z południa i przynosząca lekko słonawy zapach. Przepędziła nieliczne chmury, które jeszcze dzień wcześniej zalegały na niebie. Teraz nad jego głową zawisł nieprawdopodobny błękit, jednak w miejscu, w którym stał, niewiele to zmieniało. Pośród drapaczy chmur lub na tak wąskich uliczkach jak ta, podnosząc oczy, można było zobaczyć tylko maleńki skrawek nieba. W Nowym Jorku słońce, niebo i panorama stanowiły przywilej bogaczy.

I on w końcu też takim się stawał. Bezwstydnie bogatym dzięki temu rozpustnemu wariatowi Jerry'emu Kho. Jego telefon zbudził go, ale nie zaskoczył. Kiedy poprzedniego wieczoru zobaczył, że wychodzi z wernisażu w towarzystwie tego brzydactwa, wiedział doskonale, jaką rolę dziewczyna ma spełnić w wykolejonym umyśle Jerry'ego. On sam nie pieprzyłby tej kobiety nawet cudzym ptaszkiem, ale nie wysuwał żadnych obiekcji, jeśli jego kura znoszące złote jaja potrzebowała czasami umartwiać się, żeby wyprodukować swoje bohomazy, które jego osobiście odrzucały, ale których publiczność najwyraźniej była spragniona. Prace Jerry'ego zapoczątkowały nową falę zainteresowania sztukami plastycznymi i wschodzącymi gwiazdami. Kolekcjonerzy znowu dawali o sobie znać i sporo pieniędzy było w obiegu. Zdawały się wracać stare dobre czasy Basquiata i Keitha Haringa. A on, jak niegdyś ten szczywany lis Andy Warhol, postawił na jednego z najlepszych koni. Jednak musiał dbać o niego, dopieszczać i żywić, jak to bywa w przypadku rasowego zwierzęcia. Nie interesowało go, że pomysły Jerry'ego potrzebowały w charakterze paliwa niemal wszystkich typów narkotyków dostępnych na rynku. LaFayette był dostatecznie wyrachowany, żeby porzucić wszelkie skrupuły, Jerry zaś wystarczająco dorosły, by

samemu wybrać własny środek destrukcji. Wymiana wydawała mu się w sumie sprawiedliwa. LaFayette dostarczy wszystko, co Jerry będzie w stanie wprowadzić do swojego ciała, a w zamian dostanie pięćdziesiąt procent od tego, co stworzy malarz.

LaFayette Johnson wsunął paczuszkę do kieszeni dresu i ruszył wzdłuż budynków z cegły aż do skrętu w prawo, w Water Street.

Przeszło mostu Brooklyńskiego, który miał naprzeciwko, było już w słońcu, ale światło nie wydobyło jeszcze z cienia Water Street. Na moście widział przejeżdżające samochody i z dala docierały już dźwięki porannego ruchu, niewdzierające się jednak w ciszę ulicy.

Za jego plecami rozciągał się South Street Seaport District, który został całkowicie przebudowany i teraz był wypełniony butikami i miejscami przeznaczonymi dla turystów, tak jak stary targ rybny czy Pier 17 wychodzący na wody East River.

Jedna rzecz wydawała mu się zawsze dziwna w tej metropolii, odkąd przyjechał tu po raz pierwszy. Mimo że Manhattan jest wyspą, a Nowy Jork ma wybrzeże, trudno było uznać go za miasto nadmorskie. Tutaj ocean stawał się rzeką, a rzeka mieszała się z oceanem w nieustannej podjazdowej grze, tak jakby morze, to prawdziwe, gardziło tym zakątkiem ziemi i pozwalało tu dotrzeć tylko mokradłom. Jedynie mewy zdawały się stać na straży owej granicy w nieustannym konflikcie. Czasami nawet daleko, w Harlemie, można było zobaczyć, jak któraś próbuje walczyć o pożywienie z gołębiami, ale to wszystko.

Odwrócił się, żeby spojrzeć na swój błyszczący nowy samochód, i uśmiechnął się. Pomyślał, jaką drogę musiał pokonać między sobą dzisiaj a łachmanami swojego dzieciństwa. Teraz, po wielu latach, mógł sobie w końcu pozwolić na wszystkie zabawki, do których powinien mieć prawo, jako dziecko.

Wspomnienia w jego głowie były zasnuwane mgłą, niemal jakby jakaś ukryta część jego osoby usiłowała uczynić wszystko, żeby wymazać je definitywnie z pamięci. Miał szesnaście lat, kiedy uciekł z rodzinnego miasteczka w Luizjanie, z zadupia, gdzie czekanie zdawało się zapisane w DNA mieszkańców. Wszyscy byli tam pogrążeni w stanie permanentnej drzemki, tak, że nie umieli nawet spać jak należy. I czekali. Na lato, na zimę, na deszcz, na słońce, na przejazd pociągu, na przyjazd autobusu. A właściwie na jedyną rzecz, która miała nigdy nie filmie i sobie przywłaszczył.

„Gdybym był Bogiem i chciał zrobić światu lewatywę, wsunąłbym rurkę we Three Farmers”...

Mieszkała tam jego matka, przedwcześnie postarzała pośród ostrej woni kuchni *cajun* i z rozstępami na ciele, które pokrywały jej nogi nawet poniżej kolan. Mieszkał tam jego ojciec, traktujący rodzinę jedynie, jako miejsce, gdzie mógł wyładować swoje frustracje i gniew, gdy za dużo wypił. Kiedy LaFayette Johnson miał już dość kartofli i razów, pewnego wieczoru, gdy ojciec znów spróbował podnieść na niego rękę, on powybił mu zęby starym kijem bejsbolowym i poszedł sobie, zabierając wszystkie pieniądze, jakie znalazł w tej śmierdzącej ruderze, której nigdy nie nazywał domem.

Żegnaj, Luizjano.

Była to podróż powolna i długa, ale na końcu drogi: witaj, Nowy Jorku!

Gdyby miał prawo jazdy, zostałby może jednym z tysięcy taksówkarzy na nowojorskiej scenie, pośród wielu Hindusów, Pakistańczyków i wielu innych narodowości. Musiał wziąć się do roboty i w końcu on też natrafił na swoją bryłkę złota. Znalazł pracę gońca w galerii w okolicach Chelsea, prowadzonej przez marszanda nazwiskiem Jeffrey McEwan, snoba w średnim wieku, trochę zniewieściałego, ubranego zawsze w stylu angielskim. Ledwie go poznał, LaFayette z trudem powstrzymał śmiech, zastanawiając się, czy ten człowiek zawiesza sobie na szyi papier toaletowy jak apaszkę za każdym razem, kiedy idzie się wysrać.

Uśmiech na twarzy LaFayette'a Johnsona stał się szeroki i przeszedł w grymas politowania, kiedy z kieszeniami pełnymi narkotyków podązał w stronę domu Jerry'ego Kho.

Chryste, jakim cholernym hipokrytą byłeś, Jeffrey'u McEwan.

Mimo że żonaty, ta ciota Jeff miał tyłek, który mógłby służyć, jako tunel dla kolejki elektrycznej, a skórę białą i spoconą, której LaFayette nigdy nie potrafił dotknąć bez dreszczu odrazy. Ale był bogaty i podobali mu się ładni, młodzi i do tego ciemnoskórzy chłopcy. LaFayette wolał kobiety, ale spełniał wszystkie wymagania, stawiane przez swojego rozpustnego pracodawcę. Od razu zrozumiał, że może to stanowić decydujący zwrot w jego życiu. Dostał szansę do ręki i musiał uważać, żeby jej nie zmarnować. Zaczął, więc swoją grę spojrzeń i milczenia, robiąc czasami niespodziewany krok naprzód, żeby potem wycofać się sprytnie, kiedy wydawało się już, że za chwilę nastąpi, co ma nastąpić. Po kilku miesiącach tych podchodów stary Jeffrey McEwan był ugotowany w sam raz. Ostateczny cios nastąpił, kiedy LaFayette dał się „przypadkiem” zaskoczyć nago pod prysznicem w łazience galerii. Stary pedał dosłownie oszalał. Padł przed nim na kolana, objął za nogi i płacząc, wyznał swoją miłość, mamrocząc wszelkie obietnice i przysięgi.

LaFayette uniósł jego głowę, najpierw włożył mu swojego kutasa do ust, a potem zerznął go, zmuszając, żeby pochylił się nad umywalką, opierając się jedną ręką na jego plecach, a drugą ciągnąc go za cienkie, rudawe włosy, żeby go zmusić do obserwowania ich odbicia w lustrze.

Wtedy też stary McEwan, nie zważając na konsekwencje, rozstał się z żoną i zamieszkał z LaFayette'em. Zostali współnikami i zaczęli pracować razem, dopóki Jeff nie wpadł na świetny pomysł, żeby opuścić scenę w wielkim stylu, powalony zawalem serca na wernisazu niezłe notowanego malarza, na którego prace mieli wyłączność.

Pechowo dla LaFayette'a ten pieprzony pedryl nigdy nie wziął rozwodu, a ta zdzira jego żona zgarnęła wszystko ze spadku po mężu, co nie było na LaFayette'a zapisane. Tak czy owak mniej więcej połowa i tak mu się dostała.

Słowem, nie wyszedł na tym źle.

Ale było jeszcze coś innego, co Jeff zostawił mu w spadku, a co w jego pracy warte było wszystkie pieniądze świata: nauczył go wartości sztuki. LaFayette Johnson zrozumiał, że wiedza stanowi jego narzędzie pracy, i poszedł tym tropem. Kiedy żona jego kochanka wyrzuciła go z galerii w Chelsea, on był już w stanie stanąć na własnych nogach. Poszedł za nurtem, który przenosił stopniowo centrum zainteresowania sztukami plastycznymi do Soho. Kupił duży lokal na drugim piętrze eleganckiej, remontowanej właśnie kamienicy przy Greene Street, małej uliczce o brukowanej jezdni, niemal na rogu Spring. Otworzył L&J Gallery, trzymając się postanowienia, że od tej pory jedyną spółką, w jaką wejdzie, będzie spółka z samym sobą. Po przeprowadzeniu wszystkich transakcji został mu tylko mały apartament, w którym mieszkał, i poddasze na siódmym piętrze przy Water Street, gdzie ulokował Jerry'ego.

I teraz podążał szybkim krokiem w tym właśnie kierunku.

Minął zamknięty o tej porze steakhouse i przejrzał się zadowolony w jego witrynie. Przystojny ciemnoskóry mężczyzna pod czterdziestkę, który miał na sobie dres Ralpho Laurena i na którego sukces, ten prawdziwy, zdawał się postawić dużą stawkę. Skierował do swojego odbicia zdanie, którego Jerry Kho używał zazwyczaj w stosunku do samego siebie.

„Wszystko zgodnie z planem, LaFayette, wszystko zgodnie z planem...”

Dotarł przed na wpół zardzewiałą furtkę, zamkniętą na łańcuch z kłódką. Za porozrywaną siatką, na podwórzu w głębi zaułka, stały zaparkowane dosyć zużyte samochody. Zawieszona na rdzy tabliczka wzywała mieszkańców, żeby wyprowadzali psy na smyczy.



Wreszcie znalazł się przed wejściem do domu Jerry'ego. Był to budynek częściowo wykonany z wyblakłego już piaskowca, z wyeksponowanymi na zewnątrz fasady schodami przeciwpożarowymi. Pogrzebał w kieszeni w poszukiwaniu kluczy i zorientował się, że zostawił je w samochodzie. Nacisnął przycisk dzwonka w nadziei, że ten idiota Jerry nie pogrążył się nagle w ponarkotycznym śnie i że go usłyszy.

Zadzwoił dwa razy bez żadnego odzewu.

Już miał wracać do wozu po klucze, kiedy jakaś postać wynurzyła się z półmroku korytarza i otworzyła drzwi. Był to mężczyzna w szarym sportowym dresie. Twarz zasłaniał mu nasunięty na czoło kaptur i ciemne okulary.

Głowę miał lekko pochyloną do przodu i przez cały czas ich krótkiego spotkania poruszał się tak, żeby LaFayette nie mógł zobaczyć jego oblicza. Wybiegł z budynku, jakby bardzo się spieszył, potrącając go gwałtownie i nie wykonując żadnego przeproszającego gestu. Tuż za drzwiami wyprostował głowę i ramiona, po czym ruszył spokojnym biegiem.

LaFayette śledził go jeszcze wzrokiem, gdy się oddalał. Zauważył, że biegł w dziwny sposób, falując, jakby miał jakiś problem z prawą nogą albo był zmuszony dozować ciężar, kiedy stawiał stopę na ziemi.

„Kutafon”.

Taki był lapidarny komentarz LaFayette'a Johnsona w stosunku do wszystkich biegających, a do tego w szczególności, kiedy wkraczał do budynku i naciskał przycisk windy. Drzwi otworzyły się natychmiast, co znaczyło, że kabina była na parterze. Prawdopodobnie korzystał z niej ten dyskusyjny atleta, który właśnie wyszedł. Sportowiec, tak, ale nie do tego stopnia, żeby chodzić po schodach. A może problem, który miał z nogą, uniemożliwiał mu sprawne pokonywanie stopni...

LaFayette wzruszył ramionami. Miał ważniejsze sprawy niż myśleć o tym gburowatym i kulawym kandydacie na maratończyka. Musiał „dokarmiać” Jerry'ego i zmuszać go do jak najwydajniejszej pracy. Zamierzał zorganizować jesienią wystawę i chciał mieć jak najwięcej prac do wyboru. Postanowił pokazać niewiele, za to najbardziej reprezentatywne. Zaaranżował już właściwe kontakty z kilkoma kolekcjonerami, których można było uznać za czołowe nazwiska opiniotwórcze, i poszukał wpływów, żeby zyskać poparcie fachowej prasy, tej, która naprawdę się liczy.

Nadeszła chwila, żeby wykonać długi skok, taki, który przeniesie ich z Nowego Jorku do pozostałej części Ameryki i do reszty świata. Winda otworzyła się z

metalicznym szelestem na siódmym piętrze, w całości zajęтым przez mieszkanie Jerry'ego.

Drzwi były uchylone.

Nagle i bez przyczyny LaFayette Johnson poczuł dziwny smak rdzy wypełniający mu usta. Jeśli istniał szósty zmysł, uaktywnił się u niego prawdopodobnie w tym właśnie momencie.

Pchnął drzwi pokryte popękana farbą i wszedł na poddasze, gdzie mieszkał i pracował Jerry. Zastał znajomy chaos, złożony w równym stopniu z bałaganu, brudu i materiałów malarskich, który zdawał się jedynym otoczeniem, w jakim mógł funkcjonować jego artysta.

- Jerry?

Cisza.

LaFayette ruszył powoli w kierunku tego obłądnego nagromadzenia płócien, talerzy i puszek po piwie, resztek jedzenia, książek i prześcieradeł, których kolor trudno było określić ze względu na zużycie i zbyt rzadkie pranie. Po lewej stronie, po przekątnej w stosunku do drzwi wejściowych, stała metalowa półka, gdzie Jerry trzymał puszki z farbami i inne materiały, których używał do realizacji swoich prac. Na podłodze przed nią leżało białe płótno pełne kolorowych plam.

W powietrzu unosił się ostry zapach farby.

- Ej, Jerry, nie powinieneś zostawiać otwartych drzwi. Wiesz, że gdyby wszedł złodziej, mógłby w jednej chwili stać się właścicielem całej masy arcydzieł sztuki wspólnie...

Wypowiadając te słowa, ominął półkę. To, co ujrzał, odebrało mu jednocześnie mowę i resztkę szacunku dla *body-art*.

Jerry Kho, kompletnie nagi i pokryty zaschniętą czerwoną farbą, siedział oparty o ścianę w tak śmiesznej pozycji, której tylko śmierć mogła przydać tragizmu. Kciuk prawej dłoni miał włożony w usta. Lewa ręka przytrzymywała koc przy twarzy, zasłaniając ucho. Oczy Jerry'ego, wytrzeszczone na nicość, którą widziały w tym momencie, wydawały się wypełnione zgrozą i zdumieniem z powodu szyderczego sposobu, w jaki ktoś zakomponował jego ciało.

Z tyłu, na wysokości głowy trupa, na białej ścianie nadejść: na życie. Three Farmers, kilka rozpadających się domów stojących przy rozstaju dróg, gdzie jedynym tworem godnym zauważenia zdawały się komary, a wyłącznym dążeniem mieszkańców dzbanek zimnej lemoniady. Przypomniał sobie kwestię, którą usłyszał

kiedyś w jakimś narysowano czarną farbą w sprayu dymek taki, do jakiego w komiksach wpisuje się zazwyczaj myśli postaci. W dymku taką samą farbą ta sama ręka zapisała numer:

*84336286747[46]*

Smak, który LaFayette czuł w ustach, przeszedł w mdłości, a mdłości zamieniły się w mroźny, stalowy szpon w żołądku. Zdał sobie nagle sprawę z dwóch rzeczy. Po pierwsze jego kura nie zniesie już nigdy więcej złotych jajek. Po drugie on sam znalazł się w tarapatach. I istniał tylko jeden sposób, żeby się z nich wydobyć. Raz na jakiś czas musiał działać zgodnie z regułami.

Wyjął z kieszeni dresu komórkę i wybrał gorączkowo 911. Kiedy telefonistka odpowiedziała uprzejmym i bezosobowym głosem, oznajmił, że odkrył morderstwo. Podał swoje nazwisko, obiecując, że pozostanie na miejscu do przyjazdu policji.

Zaraz potem, za pomocą wideokamery Panasonic, zaczął fotografować trupa ze wszystkich stron. Znajdzie się zapewne niejedna gazeta gotowa zapłacić krocie za te zdjęcia, nawet, jeśli nie będą najwyższej jakości. Następnie poszedł do łazienki i wyrzucił do muszli pastylki, które miał w kieszeni. Nacisnął przycisk spłuczki i kiedy strumień wody zabierał je ze sobą, wciągając w mały wir, LaFayette Johnson zastanawiał się, w jaki sposób zdoła wynieść z tego szamba wszystkie pozostające tam płótna Jerry'ego Kho, jednego z wielu głupich artystów wyklętych, który w owej chwili - spokój jego duszy! - zaczął już pokrywać freskami ściany piekła.

## 4

Stojąc w oknie, Jordan Marsalis patrzył na ciężarówkę firmy przewozowej odjeżdżającą z parkingu przed jego domem. Zaledwie przed kilkoma minutami, kiedy zza otwartych drzwi słyhać jeszcze było komentarze mężczyzn z wysiłkiem pokonujących schody, podpisał pokwitowanie, które wyciągał do niego przedstawiciel firmy. Był to czarnoskóry olbrzym, zbudowany jak *wrestler*, z potężnymi bicepsami, które wypełniały rękawy jego żółto-czerwonego kombinezonu. Na plecach miał czarny napis „Cousins”, logo spółki z Brooklynu, zajmującej się przeprowadzkami i ochroną. Firmie tej powierzył nieliczne meble ze swojego mieszkania, na których mu trochę zależało. Resztę zostawiał do dyspozycji nowego lokatora. Jordan skreślił na kartce jakiś bohomasz, będący jego podpisem, i jednocześnie zgodził się na zarchiwizowanie, wraz z meblami, kawałka swojego życia gdzieś w jakimś magazynie, w nieznanym mu miejscu. W ten sposób jego przeszłe i jego przyszłe życie miały się stać dokładnie takie same. Jedno i drugie gdzieś, w jakimś nieznanym mu miejscu.

- Proszę.

Podając mu kopię pokwitowania, mężczyzna spojrział z ciekawością niepozabawioną zazdrości na skórzany kombinezon motocyklisty, który Jordan miał na sobie. Jordan włożył rękę do kieszeni i wyciągnął studolarowy banknot.

- Proszę, niech pan wypije pożegnalny kieliszek na moje konto i od czasu do czasu zechce rzucić okiem na moje rzeczy.

Mężczyzna schował pieniądze do kieszeni uroczystym gestem i obiecał, że to zrobi, z szelmowskim wyrazem twarzy typowym dla dziecięcych przysiąg.

- Umowa stoi, proszę pana.

Stał nadal przed nim, jakby nie zamierzał jeszcze odejść. Zrobił pauzę i spojrział mu w oczy.

- Prawdopodobnie to nie moja sprawa, ale wydaje mi się, że wybiera się pan w długą podróż. I wygląda pan na podróżnika, który zna punkt startowy, ale nie zna dokładnie celu.

Jordana zaskoczył nagły błysk inteligencji, który zaświecił się w oczach jego rozmówcy. Jeszcze niedawno ustawił między nimi bezosobową barierę, która uniemożliwia jakikolwiek pozaprofesjonalny kontakt. Mężczyzna, przez dyskrecję, nie poczekał na żaden gest potwierdzenia.

- Wyznam, że chciałbym być na pańskim miejscu. W każdym razie, gdziekolwiek pan jedzie, szczęśliwej podróży.

Jordan uśmiechnął się i podziękował mu skinieniem głowy. Mężczyzna odwrócił się i skierował do drzwi. Zanim wyszedł, odkręcił jeszcze głowę w jego stronę.

- Cóż, widzi pan, jakie życie jest dziwne...

Wykonał ręką ruch, który obejmował ich obu.

- Obydwoj mamy na sobie taki sam strój: kombinezon. Tyle, że dla pana oznacza on wolność, a dla mnie więzienie.

Nic więcej nie dodając, wyszedł i delikatnie zamknął za sobą drzwi. Jordan został sam.

Kiedy tylko ciężarówka znikła za rogiem, odszedł od okna i ruszył w stronę kanapy o wytartym obiciu i jakiegoś grata stojącego przed kominkiem. Zatrzasnął zamek nieprzemakalnej torby, do której włożył trochę ubrań potrzebnych na drogę, wziął kask i wsunął do nich rękawice. Odwrócił głowę w stronę dużego okna salonu i patrzył przez chwilę na grę światła w szybach kamienicy naprzeciwko.

Wynajął swoje mieszkanie za pośrednictwem agencji komuś, kogo nawet nie znał, jakiemuś typowi, który zamierzał przenieść się do Nowego Jorku. Wiedział tylko, że nazywa się Alexander Guerrero. Człowiek ten obejrzał dom na fotografiach wysłanych e-mailem, po czym przesłał czek, obejmujący wymaganą kaucję oraz czynsz za sześć miesięcy z góry, uzupełniony odpowiednimi referencjami oraz gwarancjami agencji. W ten sposób został nowym lokatorem dobrego czteropokojowego mieszkania pod numerem 54 przy Zachodniej Szesnastej Ulicy między Piątą a Szóstą Aleją.

Cóż, gratulacje, panie Guerrero, kimkolwiek pan jest...

Jordan zarzucił torbę na ramię i ruszył w stronę drzwi. Dźwięk jego kroków na drewnianej podłodze rozproszył się jakoś dziwnie w prawie pustym mieszkaniu. Kładł już rękę na klamce, kiedy rozległ się dzwonek telefonu.

Odwrócił się powoli i patrzył zmieszany na aparat telefoniczny stojący na kominku, na konsoli z trawertynu. Kilka dni temu wysłał już rezygnację do firmy telekomunikacyjnej AT&T i nie sądził, że telefon jeszcze działa. A on wciąż dzwonił i Jordan nie mógł się zdecydować, żeby przejść tych kilka kroków dzielących go od

owego dźwięku i od niewiadomej, jaką ze sobą niósł. Zupełnie go nie ciekawiło, kto dzwoni i dlaczego. W wyobraźni był już na ulicy, jak kolorowy nabój wystrzelony z jednej strony krajobrazu w drugą, słyszał szelest powietrza nad maską, widział drogę, która biegła przed przednim kołem jego motocykla, białą linię odbijającą się w oczach i w jego zabudowanym kasku. Choć jeszcze tam przebywał, Nowy Jork był już wspomnieniem, i to wcale nie najlepszym.

Był taki czas, kiedy to miasto wiele dla niego znaczyło. Czasami Nowy Jork jest złym doradcą, ma ten dar, że czujesz się przepełniony energią, ale jednocześnie nie pozwala ci zrozumieć, ile w rzeczywistości jej zabiera. On natomiast zrozumiał to i zaakceptował od samego początku, żeby mieć tylko w zamian możliwość bycia jednocześnie tym, kim pragnął być, i tym, kim był.

Potem pewnego dnia zmuszony został dokonać wyboru, i była to jedna z tych decyzji bez możliwości powrotu. Życie często oferuje przywileje, ale równie często chce odzyskać je z powrotem. Ktoś, nie pamięta, kto i gdzie, powiedział mu, że sukces i młodość to rzeczy, które prędzej czy później trzeba zwrócić. Jeśli to była jedna z nienaruszalnych zasad egzystencji, on zapłacił już swoją ofiarę. Jordan dawno zrozumiał, że rzeczy, które go w życiu interesują, nie można kupić, że zmuszony jest je zdobywać. Kiedy okazało się to niemożliwe, wynajął swoje mieszkanie i postanowił opuścić miasto.

A teraz ten telefon.

Z westchnieniem podszedł do aparatu, rzucił torbę i kask na kanapę, po czym niechętnie podniósł słuchawkę.

- Halo...

Do jego ucha dotarł stłumiony i rytmiczny hałas, spośród którego wydobył się znany mu głos.

- Jo, tu Chris. Dzwoniłem na komórkę, ale jest wyłączona. Bogu dzięki, że jesteś jeszcze w mieście.

Jordan zdziwił się, słysząc brata. Był on ostatnią osobą, której oczekiwałby po drugiej stronie telefonicznego kabla. W jego głosie pobrzmiwał niepokój i jeszcze coś nowego, coś, czego Jordan nigdy nie spodziewałby się usłyszeć w głosie Christophera Marsalisa.

Był to strach.

Jordan udał, że tego nie zauważył.

- Komórka nie jest mi w tej chwili potrzebna. Właśnie wyjeżdżam. O co chodzi?

Chris przez chwilę milczał, co w rozmowie z nim było raczej nietypowe. Zazwyczaj nie pozwalał na pauzy, ani sobie, ani innym.

- Zamordowano Geralda.

Jordan doznał nagle czegoś w rodzaju *déjà vu*, być może bardziej przypominającego uczucie zdumienia w obliczu sprawdzającej się przepowiedni aniżeli wrażenia, że coś już się przeżyło. Zdał sobie sprawę, że na swój sposób była to wiadomość, której od dawna się spodziewał. Czuł, że unosiła się nad jego głową niczym przestroga za każdym razem, kiedy myślał o tym chłopcu.

Zdołał zachować spokój i nie popaść we wzburzenie dające się słyszeć w głosie brata.

- Kiedy?

- Dziś w nocy. Rano, nie wiem. Jego marszand wstąpił niedawno do jego domu i znalazł zwłoki.

Jordan nie mógł powstrzymać się od myśli, że najprawdopodobniej ten skurwysyn LaFayette Johnson nie przyszedł do Geralda o tak wczesnej porze wyłącznie z kurtuazyjną wizytą. Nikomu nigdy nie udało się go przyłapać, ale wszyscy wiedzieli, w jaki sposób płaci za prace swojego protegowanego. Następną pauza, jaką zrobił Christopher, pozwoliła mu zrozumieć, że brat myśli tak samo.

- Gdzie ty teraz jesteś?

- Byłem w Albany na kongresie demokratów. Kiedy tylko mnie zawiadomili, wsiałem w helikopter. Wylądujemy wkrótce na lądowisku przy East River, w downtown. Chryste, Jordan, powiedzieli mi, że znaleziono go w straszliwym stanie...

Jordanowi zdało się, że słyszy drżenie łez w głosie Chrisa. To też była nowość.

- Zaraz przyjadę.

- Gerald mieszkał...

Do Jordana nagle dotarło, że brat mówi o Geraldzie w czasie przeszłym. Poczł dziwny opór, żeby natychmiast, tu i teraz, przykryć zimnym kamieniem jego ciepłe jeszcze ciało.

- Wiem, gdzie mieszka... Przy końcu Water Street.

Jordan nie był pewien, czy brat pojął sens tego uściślenia.

Miał już odłożyć słuchawkę, kiedy mężczyzna po drugiej stronie powiedział coś, co powstrzymało ten jego gest.

- Jordan...

- Tak?

- Cieszę się, że zastałem cię w domu.

Jordan poczuł się dziwnie zakłopotany. Powiedział pierwszą rzecz, jaka nasunęła mu się na usta, bo w istocie nic innego nie przychodziło mu do głowy.

- Okej, jadę.

Czasami, fantazując, miał wrażenie, że Nowy Jork jest czymś żywym, odrębną istotą, obcą i podziemną wolą, która funkcjonowałaby nadal, nawet gdyby nagle znikli wszyscy ludzie. Światła wciąż zapalałyby się i gasły, jeździłoby metro i taksówki, również wtedy, kiedy nikt już by nie stał na rogu ulicy z uniesioną ręką, żeby zatrzymać jedną z nich.

Również w tej chwili, kiedy odkładał słuchawkę, miał wrażenie, że gdyby teraz wyjechał, na rogatkach miasta natknąłby się na niewidoczną i niedostępną barierę energii, jakby wszystko wokół niego sprzysięgło się, żeby go zatrzymać tam, gdzie nie miał już ochoty zostać. Gdzie nie miał już żadnego powodu zostać.

Ściągnął długie buty, odsunął zamek błyskawiczny kombinezonu i zdjął go jednym wprawnym ruchem, po czym rzucił na oparcie kanapy. Otworzył torbę i wyciągnął z niej sportowe buty, koszulę, parę dżinsów i skórzaną kurtkę. Włożył w pośpiechu te rzeczy, w które miał się znów ubrać zupełnie gdzie indziej, tysiące kilometrów stąd. Kiedy siadał, żeby zasznurować buty, dostrzegł coś wystającego spomiędzy poduszek kanapy.

Wsunął rękę pod siedzenie i wyciągnął fotografię. Było to stare kolorowe zdjęcie, trochę spłowiałe, przynależne czasom, które minęły wieki temu. Jordan doskonale pamiętał, kiedy zostało wykonane. Byli z grupą przyjaciół na rybach, nad Lake George. On i jego brat stali obok siebie, a odbicie wody tworzyło za ich plecami jakby aureolę. Obydwaj uśmiechali się i patrzyli w obiektyw porozumiewawczym wzrokiem.

Przyglądał się przez chwilę ich twarzom, jakby chodziło o dwóch nieznanym. On i Christopher fizycznie bardzo się różnili. Tylko spojrzenie było identyczne. Mieli różne matki, ale wspólnego ojca, i błękitne oczy były jedynym dziedzictwem, jakie Jakob Marsalis rozdzielił równo między swoich synów.

Wstał i oparł fotografię na konsoli kominka. Wziął kask i ruszył do drzwi, z głupim wrażeniem, że również postaci ze zdjęcia robią to samo, odwracają się plecami do tego pokoju i oddalają w stronę rozciągającego się przed nimi jeziora.

Otworzył drzwi i odnalazł znajomy krajobraz korytarza z niepewnym światłem kinkietów na ścianach i wykładziną, którą przydałoby się wymienić, a także tę



niewyraźną woń wilgoci i jedzenia gotowanego na ulicy, określaną niekiedy „zapachem Nowego Jorku”.

Z mieszkania piętro niżej dochodziła muzyka ze zbyt głośno nastawionej płyty. Jordan rozpoznał piosenkę jednego ze swoich ulubionych artystów, Connora Slave'a, nowego, cudownego dziecka ambitnej amerykańskiej muzyki. Był to gorzki, przepelniony smutkiem utwór, zatytułowany Piosenka kobiety, która chciała zostać marynarzem, melancholijna, niewzruszona nadzieja osoby pragnącej czegoś, co instytucjonalnie jest przed nią zamknięte i co będzie jej na zawsze odmówione.

Piosenka bardzo się Jordanowi podobała. Ta kobieca postać stojąca na skalistym wybrzeżu i patrząca na morze, na które miała nigdy nie wypłynąć, czująca, że pragnienie wolności stopniowo ją przygniata, zdawała mu się bliska. On też na swój sposób znajdował się w podobnym stanie. Swojego wyboru dokonał sam, ale tęsknota nie była przez to mniej silna.

Winda stała na jego piętrze. Wsiadł do kabiny, a zamykające się drzwi odcięły go jednocześnie od muzyki i własnych myśli.

Na zewnątrz powitało go przychylne światło słońca, do którego ani on, ani to miasto nie mieli prawa. Idąc ulicą, Jordan Marsalis zaczął myśleć o trudnym życiu chłopaka, którego wszyscy znali pod nazwiskiem Jerry Kho. Był to pseudonim, który przyjął, kiedy postanowił zostać najbardziej znaczącym przedstawicielem nowojorskiej *body-art*. Wiele rzeczy zostanie powiedzianych na jego temat i, niestety, prawie wszystkie będą prawdziwe. Gazety wywloką jego trudne dzieciństwo i burzliwą młodość, uzależnienie od narkotyków i seksu, mimo że należał do jednej z najbardziej eksponowanych rodzin w mieście. Gdyby miał szczęście, czas i talent, prawdopodobnie zrobiono by z niego wielkiego artystę. Bardzo źle pokierowanie tym talentem nie uczyniło zeń równie wielkiego człowieka. A teraz zarówno czas, jak i szczęście dobiegły kresu. Jeśli to prawda, że powodzenie i młodość to rzeczy, które życie chce dostać z powrotem, Gerald musiał je oddać, zanim jeszcze naprawdę ich doświadczył.

Po przeciwnej stronie ulicy, na rogu z Szóstą, był bar, w którym często jadał posiłki. Były to dni spędzane na pogawędkach z kelnerkami, ale także godziny wypalane jak papierosy, ze wzrokiem wbitym w próżnię, w poszukiwaniu rozwiązania, które wciąż mu umykało. W ten sposób po jakimś czasie on i Tim Brogan, właściciel lokalu, zaprzyjaźnili się i Tim pozwolił mu trzymać motocykl na małym podwórku na tyłach restauracji.

Jordan przeszedł przed witryną i uniesioną dłonią pozdrowił kelnerkę w zielonym fartuszkach, która obsługiwała dwóch klientów siedzących przy stoliku pod oknem. Dziewczyna zauważyła go, a ponieważ miała zajęte ręce, odpowiedziała skinieniem głowy i uśmiechem.

Wszedł w zaułek i zaraz potem skręcił w prawo, na tyły lokalu. Obok jego przykrytego pokrowcem motoru stała Annette, inna kelnerka, która zrobiła sobie krótką przerwę i paliła papierosa, oparta o służbowe drzwi. Jordan znał jej problemy: mąż od jakiegoś czasu wziął sobie za kochankę butelkę, a kilka lat wcześniej syn miał zatargi z policją. Kiedy zwróciła się do Jordana ze łzami w oczach, zlitował się i pomógł mu wygrzebać się z tarapatów. Annette nie mówiła więcej o mężu, ale chłopak znalazł pracę i zdawało się, że zamierza trzymać się z dala od kłopotów.

Kiedy zobaczyła Jordana, na jej twarzy nie było zdziwienia.

- Cześć, Jordan. Dziś rano myślałam, że zastanę puste miejsce po motorze. Byłam przekonana, że już wyjechałeś.

- Ja też tak myślałem. Ale ktoś, gdzieś, postanowił inaczej, a jego zdanie, liczy się dużo bardziej od mojego.

- Kłopoty?

- Właśnie.

Podwórze było ocienione, ale przez chwilę twarz kobiety zdawała się pogrążona w jeszcze większej ciemności.

- A kto ich nie ma, Jordan?

Obydwoje wystarczająco dobrze znali życie, żeby wiedzieć, o czym mówią. I żadne z nich nie dowiedziało się o tym z książek.

Jordan podszedł do motocykla i zaczął ściągać pokrowiec. Wyłoniła się czerwona i błyszcząca sylwetka jego ducati 999. Ciągle nie mógł się oprzeć urokowi tej maszyny. Był to motocykl, który kochało się z powodu jego zalet, ale jeszcze bardziej dla jego kształtu. Dla kogoś, kto jako środek transportu wybierał motocykl, ducati był szczególnie atrakcyjny.

Annette pokazała na niego głową.

- Piękny.

- Piękny i niebezpieczny - potwierdził Jordan, składając pokrowiec.

- Nie bardziej od wielu rzeczy, które zdarzają się w tym mieście. Do zobaczenia, Jordan.

Annette rzuciła niedopałek na ziemię i zgasiła go dokładnie nogą. Po czym odwróciła się i znikła w lokalu. Skrzypienie zamykających się za nią drzwi zagłuszył huk zapalnego silnika. Zapinając kask i słuchając znajomego bulgotania, Jordan pomyślał, że zaczyna robić to, co w przeszłości robił dziesiątki razy, ale nie sądził, że jeszcze kiedykolwiek będzie się musiał tym zajmować. Po odebraniu zgłoszenia udawał się na miejsce zbrodni. Jednak tym razem było inaczej. Tym razem ofiarą był ktoś, kto stanowił część jego życia, choć już dawno dokonał wyboru, że nie będzie częścią niczyjego życia.

Ale to była błahostka w porównaniu z tym, co miało dopiero nastąpić. Jerry Kho, zamordowany mężczyzna, naprawdę nazywał się Gerald Marsalis i poza tym, że był jego bratankiem, był także synem Christophera Marsalisa, burmistrza Nowego Jorku.

## 5

Kiedy Jordan wjechał na ostatni odcinek Water Street, linia światła dzieliła ulicę na dwie równe części. Prawa i lewa strona, słońce i cień, ciepło i zimno. Pomyślał, teraz już z dystansem, że kiedyś on też stanowił część owej taniej metafory. W tej chwili wszystko zdawało się odległe jak film, z którego pamiętamy jakieś obrazy, ale nie przypominamy sobie tytułu.

Kiedy dotarł na miejsce, nie był szczególnie zaskoczony, że obok naturalnej obecności sił policji, zastał tam również licznych przedstawicieli mediów. Byli tam dziennikarze prasowi, którzy - jak dalece było to możliwe - kręcili się między samochodami z zapalonymi światłami migowymi oraz furgonetkami stacji TV Eyewitness News i Channel 4, zaparkowanymi na placu przy Peck Slip. Reporterka z NY1, której nazwiska nie pamiętał, przekazywała na żywo swoją korespondencję, ustawiona na tle odgrodzonego barierkami terenu. Błyskawiczne przybycie mediów wiązało się z faktem, że pośród sił policji był zawsze ktoś, kto spłacał raty pożyczki albo finansował college syna, wcielając się z zyskiem w rolę „pewnego źródła”.

Zaparkował motocykl w cieniu, żeby nie siadać potem na parzącym siodełku. Ruszył w stronę budynku, zachowując się jak zwykły ciekawski, w kasku na głowie, by go nie rozpoznano. Jeśli było coś, czego chciał w tej chwili za wszelką cenę uniknąć, to z pewnością przepychania się między tłumkiem dziennikarzy z wyciągniętymi niczym bukiety mikrofonami.

Grupa chłopców w granatowych kombinezonach z napisem NYPD przecięła mu drogę, biegnąc lekkim truchtem. Byli to elewi akademii policyjnej prowadzeni przez instruktora podczas porannych ćwiczeń. Mijając miejsce przestępstwa i widząc całą tę gorączkę, większość z nich odwracała w podnieceniu głowę w stronę wejścia do domu, który był najwyraźniej sceną zbrodni.

Jordanowi udało się oderwać od nich wzrok, kiedy przechodził obok granatowej furgonetki brygady kryminalistycznej i zbliżał się do barierki. Stał przy metalowym ogrodzeniu obok przejścia, które prowadziło do budynku, gdzie odpowiedzialni za

śledztwo ustawili dwóch pilnujących funkcjonariuszy. Jednego z nich znał, służył w One Police Plaza, głównej kwaterze policji. Zresztą nie mogło być inaczej. Komenda Główna znajdowała się w linii prostej niecały kilometr stamtąd i było naturalne, że właśnie oni zajęli się sprawą.

Funkcjonariusz już się ruszył, żeby zagrozić mu drogę, ale w tej samej chwili głowa Jordana wyłoniła się spod kasku i policjant go rozpoznał. Rozluźnił się i poczekał, aż Jordan podejdzie bliżej, zanim odsunął barierkę, żeby ułatwić mu przejście.

- Dzień dobry, poruczniku.

Jordan pochylił głowę, jakby sprawdzał, gdzie stawia kroki, i policjant nie mógł dostrzec wyrazu jego twarzy.

- Nie jestem już porucznikiem, Rodriguez.

- Oczywiście, poru... oczywiście, proszę wybaczyć. Rodriguez spuścił wzrok. Jordan nie chciał, żeby ten chłopak płacił za nie swoje winy.

- Nic nie szkodzi, Oscar. Czy wszyscy są na górze?

Rodriguez ożywił się i otrząsnął z zakłopotania.

- Oczywiście, na ostatnim piętrze. Burmistrz jeszcze nie przyjechał.

- Tak, wiem. Powinien być tu lada moment.

Funkcjonariusz Oscar Rodriguez zmrużył oczy, tak, że wyglądały jak dwie szparki na jego śniadej latynoskiej twarzy.

- Przykro mi z powodu pańskiego bratanka... panie Marsalis.

Mężczyzna stojący po drugiej stronie barierki i po drugiej stronie jego życia zrobił pauzę. Jordan zrozumiał, że jeszcze nie skończył.

- Jeśli mogę sobie pozwolić na śmiałość, powiem, że kiedy ktoś był takim porucznikiem policji jak pan, dla kogoś takiego jak ja pozostaje nim na zawsze.

- Dziękuję, Oscar. Gdybyż to było takie proste. Mogę wejść?

- Oczywiście. Nikt nie powiedział mi tego otwarcie, ale mam wrażenie, że na pana czekają.

Rodriguez odsunął się, żeby umożliwić mu przejście do holu domu. Kiedy wjeżdżał windą, Jordan nie mógł się powstrzymać od gorzkiej myśli, że czasami życie potrafi pokazać niektóre odległości w sposób dużo bardziej znaczący, niż udaje się to wymierzyć w kilometrach. New York City Hall, gdzie urzędował Christopher Marsalis, od Water Street, gdzie mieszkał Gerald, dzielił odcinek ulicy wręcz śmieszny, który można było pokonać pieszo w kilka minut. A jednak żaden człowiek, nieważne, jak

szybko by biegł, nie zdołałby przez całe życie pokonać dystansu, jaki stworzyli między sobą ojciec i syn.

Jordan nigdy nie był w pracowni swojego bratanka. Pewnego wieczoru spotkał go w Via delia Pace, włoskiej restauracji w East Village. Siedział w półmroku lokalu z grupą młodych ludzi o wyglądzie i zachowaniu idealnie pasującym do jego stylu życia. Wszyscy mieli na twarzach ten sam wyraz, połączenie arogancji kogoś, kto odczuwa wolność bycia sobą, aż po samozniszczenie, i gorzkiej rezygnacji kogoś, kto wodzi dokoła wzrokiem i wszędzie widzi nicość. Z uległego zachowania pozostałych jasno wynikało, że Gerald jest charyzmatycznym przywódcą grupy. Kiedy Jordan podszedł do ich stolika, przerwał przemowę, którą wygłaszał do swoich przyjaciół, i spojrzał mu w oczy, bez zaskoczenia i bez przyjemności. Jordan miał, jak on, błękitne oczy, tyle, że dużo, dużo starsze.

- Cześć, Jordan.

- Cześć, Gerald.

Bratanek skrzywił się z grymasem.

- Gerald to przeszłość. To imię, które już do mnie nie należy. Z tego wszystkiego, czym byłem kiedyś, nic nie zostało.

W jego wyzywającym spojrzeniu Jordan odnalazł potwierdzenie tych słów oraz wyrok, jaki ze sobą niosły. Spróbował nadać swojemu głosowi ton pojednawczy.

- Nic i wszystko to skrajności. Czasami niewiele trzeba, żeby znów się spotkały.

- Piękne słowa, ojcie Marsalis. Nie wiedziałem o tych twoich filozoficznych zapędach. Jeżeli wszedłeś, żeby prawić mi kazania...

Jordan potrząsnął lekko głową.

- Nie, wszedłem, bo byłem głodny, ale zdaje mi się, że pomyliłem miejsce.

- Właśnie, mnie też tak się zdaje.

Zaległa chwila ciszy, która zdawała się nie mieć końca, co zdarza się między osobami niemającymi sobie nic więcej do powiedzenia. Jordan odwrócił się i odszedł. Z niewyraźnego szmeru, który pozostał za jego plecami, wyłowił jedno krótkie zdanie: „To tylko glina”.

Od tamtej pory więcej go nie widział.

A teraz udawał się na miejsce, gdzie ktoś zabił Jerry'ego Kho, człowieka, który wziął w posiadanie Geralda Marsalisa do tego stopnia, że umarł zamiast niego.

Kiedy drzwi windy rozsunęły się, uderzył go przede wszystkim silny zapach farby. Drzwi wejściowe do apartamentu były otwarte na oścież i w środku zobaczył ludzi z

brygady kryminalistycznej, wykonujących swoje czynności. Nie ulegało wątpliwości, że ze względu na tożsamość ofiary staranność badań oraz zaangażowanie sił i środków będą zdecydowanie przewyższać średnią.

Prawdopodobnie Christopher uprzedził ich o przybyciu brata, ponieważ detektyw James Burroni wyszedł na korytarz, zanim funkcjonariusz ochrony spróbował zagrozić Jordanowi drogę.

- Wszystko w porządku, Pollard, ja się tym zajmę.

Znał Burroniego od dawna i wiedział, że jest niezłym policjantem. Pracowali razem na posterunku w Dziewiątym Dystrykcie, choć nigdy się do siebie nie zbliżyli. Jordan go za to nie potępiał. Nikt nie wybaczał łatwo koledze, że jest jednocześnie znaną postacią z wydziału zabójstw i bratem burmistrza. Było oczywiste, że wielu myślało, iż jego błyskawiczna kariera to przede wszystkim zasługa znakomitego pokrewieństwa.

Jordan poczuł się w dziwny sposób intruzem z powodu swojej obecności na miejscu zbrodni, choć dotyczyła ona bezpośrednio jego prywatnego życia. I miał niejasne wrażenie, że Burroni myśli tak samo.

- Witaj, James.

- Ty też witaj. Przykro mi, że spotykamy się w takich okolicznościach.

Jordan zrobił niewyraźny gest ręką próbując rozładować kłopotliwą atmosferę. Wiedzieli obydwoj, jak się sprawy mają i że nie należą do przyjemnych.

- Wejdz. Uprzedzam, że jest to naprawdę paskudny widok.

Podążając za detektywem, Jordan nie mógł się powstrzymać, żeby nie rozejrzeć się szybko dookoła. Poza nieopisanym bałaganem, który panował na poddaszu do tego stopnia, że sprawiało ono bardziej wrażenie placu budowy niż urządzonego wnętrza, królowało tam wiosenne, jasne i obce światło, w dziwny sposób pasujące do tego miejsca, z którego Jerry Kho prowadził wojnę przeciwko samemu sobie i przeciwko światu.

Potem go zobaczył.

Jordan robił wszystko, żeby pozostać niewzruszonym i chłodnym w obliczu kolejnego przejawu ludzkiego okrucieństwa wobec niespełna trzydziestoletniego chłopaka, którego ktoś zabił i wyszydził również po śmierci.

Uklęknął obok ciała bratanka, obok jego wytrzeszczonych oczu, obok tej piekielnej marionetki pomalowanej czerwoną farbą, która podkreślała jeszcze skrajną

karykaturalność pozycji, w jakiej się znajdował. Burroni odpowiedział na pytanie kryjące się w jego spojrzeniu.

- Wstępne badania wskazują na to, że został uduszony, a następnie ułożony w ten sposób. Śmierć nastąpiła kilka godzin temu.

Jordan wskazał na jasne miejsca na nadgarstkach i kostkach, gdzie farba wykruszyła się, odsłaniając skórę.

- Te znaki zdają się pozostawione przez coś, czego użyto, aby go unieruchomić. Być może przez taśmę klejącą.

- Na pewno to sprawdzą podczas autopsji. Co poza tym mówi kryminalistyczna?

Burroni pokazał okrężnym ruchem mieszkanie.

- Czego tu w środku nie ma!? W tym miejscu są całe wieki historii. Czystość jest, jak widzisz, raczej dyskusyjna. Cokolwiek się tu znajduje, mogłoby spokojnie należeć do każdego i do każdej epoki.

- A tu? Co to jest?

Jordan wskazał na palec ofiary wsunięty do ust i koc przyciśnięte do ucha. Burroni zrozumiał sens pytania.

- Klej. Wzięli próbkę i powiedzą nam coś, kiedy tylko ją zbadają.

- A farba?

- Pomalował się sam. Jego marszand powiedział, że zamordowany dosyć często używał tej techniki przy malowaniu. Wiesz, wszystkie te awangardowe bzdury i...

Burroni najwyraźniej przypomniał sobie o pokrewieństwie między ofiarą a swoim rozmówcą i nagle przerwał.

Przybycie Christophera Marsalisa zdusiło w zarodku wszelką ewentualną próbę przeprosin. Po wejściu do mieszkania w towarzystwie nieodłącznego totumfackiego Rubena Dawsona brat Jordana dosłownie rozrywał na strzępy lekarza sądowego.

- ... jeśli mój syn tak postanowił, będzie to miał! Chryste, chyba bycie burmistrzem jeszcze coś znaczy w tym zasranym mieście! Róbcie, co do was należy! Zabierajcie stąd szybko ciało.

Wciąż w kucki, Jordan zaczekał, aż brat minie regał i będzie mógł zmierzyć się z porażającym widokiem syna.

Tak też się stało.

Kiedy Christopher patrzył na zwłoki, Jordan przyglądał się jego twarzy i zobaczył, jak w jednej chwili kamienieje i jakby się osypuje. Jego oczy stały się paradoksalnie zupełnie matowe w tym miejscu wypełnionym światłem. Jordan nie wiedział, jak



długo ten człowiek będzie jeszcze żył, ale nie miał cienia wątpliwości, że umarł w tamtej właśnie chwili.

Chris odwrócił się gwałtownie i znikł za litościwą osłoną regału. Jordan podniósł się, wpatrując się cały czas w plecy brata, które przezierały między półkami wypełnionymi puszkami z farbą. Widział, jak chowa twarz w rękach. Jego włosy bieliły się między jaskrawymi plamami pojemników ze sprayem i poplamionych farbą kawałków płótna.

Podszedł do niego i położył mu rękę na ramieniu. Christopher wiedział, że to on, nawet się nie odwracając.

- Boże przenajświętszy, Jordan, kto mógł coś takiego zrobić?
- Nie wiem, Chris, naprawdę nie wiem.
- Nie jestem nawet w stanie na to patrzeć, Jordan. Nie mogę uwierzyć, że to mój syn.

Christopher podszedł do ściany, oparł się o nią jedną ręką i stał tak odwrócony plecami, z opuszczoną głową. Poła płaszcza kołysała się nad stopą, którą poruszał tak nerwowo, że zdawało się, iż chce wykopać otwór aż do środka ziemi. Pozostał w tej pozycji przez cały czas konieczny do wyniesienia ciała.

Ruben Dawson zbliżył się i stał obok burmistrza, jak zawsze gotowy i milczący. Zwłoki zostały uniesione i wsunięte do plastikowego worka. Rozległ się dźwięk zasuwanego zamka, ciało ułożono na noszach i Jerry Kho wywieziony został z pokoju na wózku przy akompaniamencie skrzypiących kół, brzęmiących jak marsz pogrzebowy. Na ścianie, niczym epitafium, pozostał ów numer wpisany w absurdalny dymek, obrazek jak z dziecięcego świata, który w tych okolicznościach zdawał się wyraźnym zgrzytem, jakby ktoś nagle zanucił kołysankę.

Zostali w czwórce, stojąc niczym słupy soli w obliczu niewiadomej, jaką niesie ze sobą każda zbrodnia. Kto i dlaczego? - to pytania, jakie człowiek stawia sobie od zawsze. I jeśli pierwsze z nich często znajduje odpowiedź, drugie pozostaje, mimo wszystko, nierozwiązaną kwestią.

Pierwszy otrząsnął się Christopher Marsalis. W jego głosie pobrzmiwał skrywany gniew i być może właśnie dzięki temu odzyskał kontrolę nad tym, co było na powierzchni. Podszedł do ściany, o którą jeszcze przed chwilą oparte było to, co pozostało z jego syna.

- Co, do cholery, znaczy ten numer?

Pytanie zawisło nad ich głowami na cieniutkiej nitce, która gubiła się w pustce.

Jordan wziął głęboki oddech i oddalił się od pozostałych. Chwilę potem był już w innej rzeczywistości. Odkrył kiedyś, że posiada ogromną moc wizualizacji. Kiedy studiował jeszcze w akademii policyjnej, podczas testów predyspozycji psycholożka prowadząca badania była zdumiona jego zdolnością do opisanie wszystkich podsuwanych mu sugestii przy wykorzystaniu niezwyklej wręcz liczby bardzo precyzyjnych szczegółów.

Idąc za tym instynktem, wbił wzrok w ścianę, dopóki ta nie znikła.

Teraz widział ciało Geralda, które ktoś ciągnął, oparł o mur i ułożył w tej absurdalnej pozycji, a potem rękę rysującą dymek i...

- To jest kod T9 - zawyrokował, jakby nie mogło być inaczej.

Trzy głowy odwróciły się gwałtownie w jego stronę. Ruben Dawson przypomniał sobie o swojej urzędowej funkcji rzecznika burmistrza.

- A co to jest kod T9?

Jordan włożył rękę do kieszeni i wyjął telefon komórkowy. Zaczął szybko wystukiwać, podnosząc od czasu do czasu głowę, żeby sprawdzić cyfry. Kiedy uzyskał potwierdzenie swojej intuicji, nie zmienił wyrazu twarzy ani tonu głosu, żeby nie grać prymusa.

- Jest to system układania SMS-ów, wiadomości wysyłanych z komórki. Oprogramowanie telefonu z kolejności naciskanych guzików rozpoznaje możliwe słowa, które można ułożyć, i odtwarza je bez konieczności wpisywania ich litera po literze.

Jordan podszedł do ściany i pokazał palcem dwie ostatnie cyfry zamknięte w czworokąt.

- Widzicie? Dwie ostatnie cyfry obrysowane są kwadratem. Biorąc pod uwagę ułożenie ciała...

Jordanowi udało się z wysiłkiem nie nazywać ofiary po imieniu. Według norm postępowania w policji nazywanie ofiary po imieniu oznaczało nadmierne zaangażowanie śledczego w sprawę. A to odbijało się niekorzystnie na przejrzystości dochodzenia.

- Widząc ułożenie ciała i napis, pomyślałem, że jedno z drugim może mieć jakiś związek. Wybrałem cyfry na telefonie według pewnego schematu i oto, co się pojawiło.

Jordan wyciągnął w ich kierunku otwarty telefon. Na kolorowym ekranie widniało zdanie:

„the doctor is in”

Trzy głowy podniosły się z zaskakującą zgodnością. Zdumione twarze zwrócone były z pytającym spojrzeniem w stronę Jordana. Ta chwila ciszy była bardziej wymowna od jakiegokolwiek pytania.

Jordan kontynuował. Ktoś, kto dobrze go znał, wiedziałby z całą pewnością, że teraz mówi bardziej do siebie niż do pozostałych.

- Ofiara została ułożona w pozycji, która ma przywołać nawyk Linusa, postaci z komiksu Charlesa Schulza, która ssie kciuk, trzymając koc-fetysz przyciśnięty do ucha.

Jordan przyłożył palec wskazujący prawej ręki do zdania widniejącego na małym ekranie telefonu.

- Tego napisu używa inna postać z *Peanutsów*, kiedy ustawia budkę psychiatry na ulicy.

Burroni przyglądał mu się z miną, która miała wyglądać na zaczepną. Ton głosu natomiast z trudem maskował podziw.

- I co to według ciebie znaczy?

Jordan wsunął telefon do kieszeni skórzanej kurtki.

- Nie sądzę, żeby morderca był przekonany, że wiadomość pozostawiona na murze może być trudna do rozszyfrowania. Schemat, bowiem jest tak prosty, że jakikolwiek program używany przez policję albo FBI mógłby dekodować go w kilka sekund.

Jordan włożył rękę do kieszeni kurtki i wyciągnął z niej papierosa bez wyjmowania pudełka. Zapalił i wypuścił jednocześnie z ust obłok dymu i zakończenie swojej historii.

- Nie, ja myślę, że dla mordercy był to rodzaj zabawy, małego żartu, z zamiarem wskazania nam...

Jordan nagle przerwał.

- Nie jestem już porucznikiem, Rodriguez...

- Z zamiarem wskazania wam swoich następnych ruchów.

Nikt nie dał po sobie poznać, że zauważył to drobne uściślenie, subtelne rozróżnienie, które dla Jordana było jak Ziemia widziana z Księżycy.

Christopher zbliżył się o krok. Burroni był teraz siny na twarzy.

- Mów jaśniej, Jordan.

Mężczyzna, który był policjantem i który według funkcjonariusza Oscara Rodrigueza miał nim pozostać na zawsze, wskazał gestem ręki cyfry nakreślone na ścianie.

- Za wcześnie o tym mówić. Ktokolwiek zabił ofiarę, potraktował ją jak Linusa, postać z *Peanutsów*. Istnieje prawdopodobieństwo, że następna ofiara zamordowana zostanie według identycznego klucza.

Nie zdając sobie z tego sprawy, Jordan wziął sytuację w swoje ręce i teraz wszyscy wsłuchiwali się w jego słowa.

- Nie wiem, kim będzie ta nieszczęsna osoba, ale jeśli się nie mylę, dwie rzeczy są bardzo prawdopodobne: po pierwsze chodzi o kobietę...

- A po drugie? - ponaglał Christopher.

- Po drugie, w swoim skrzywionym umyśle morderca nazywa ją Lucy.

## 6

Lysa Guerrero przyjęła lekkie szarpnięcie zatrzymującego się pociągu delikatnym wygięciem klatki piersiowej. Zardzewiały pisk hamulców oznaczał Grand Central Station, a ta stacja docelowa oznaczała Nowy Jork: nowe miasto, kolejnych obojętnych ludzi i kolejny dom pełen przypadkowych mebli. Ale tym razem miał to być wybór ostateczny, miejsce, które miało stanowić jednocześnie koniec i nowy początek.

Wstała i zdjęła z półki walizkę na kółkach. Długie kręcone włosy zafalowały wokół twarzy, jakby były żywe. Lysa uchwyciła kątem oka rozmarzony wzrok mężczyzny, który przez część podróży siedział naprzeciw niej w towarzystwie ośmioletniego chłopca i przyglądał się jej, myśląc, że ona tego nie widzi. Był to typ o anonimowej twarzy urzędnika z rodzaju tych, co noszą krawat z gotowym węzłem i koszulę z krótkimi rękawami pod marynarką. Mężczyzna zdawał się onieśmielony jej urodą i kiedy jeden tylko raz ich spojrzenia się spotkały, pospiesznie uciekł wzrokiem i z nagłym zapalem zaczął odpowiadać na pytania syna.

Teraz Lysa puściła do niego oko.

Poczerwieniał jak rak i całą uwagę zwrócił na plecaczek, który chłopiec z trudem wkładał na ramiona.

Lysa wysiadła z pociągu, przeszła przez peron i śledziła wskazówki na tablicach, obojętna na spojrzenia z przodu i z tyłu, które popychały ją niczym wiatr w stronę wyjścia. Nikt na nią nie czekał i w tym momencie swojego życia nie chciała być przez nikogo oczekiwana.

Znalazła się w ogromnym holu Grand Central Station, zabytkowej budowli pełnej marmuru, drewna, schodów, znanej z wielu filmowych scen.

Bardzo wysokie sklepienie nie było niczym innym jak niebem tego miasta, kawałkiem najnowszej historii, który Jacqueline Kennedy ocaliła przed zniszczeniem i który pozostał jako świadectwo niedawno minionego czasu pośród budynków stanowiących już część przyszłości.

Ciągnąc walizkę, skręciła w prawo i ruszyła w stronę przejścia podziemnego prowadzącego do metra.

Wiedziała, że na najniższym poziomie Grand Central Station mieści się bardzo słynna restauracja, Oyster Bar, gdzie można zamówić wszystkie rodzaje ostryg, które natura i człowiek stworzyli dla przyjemności delikatnych podniebień. Postanowiła uczcić wydarzenie i nadać swojemu przybyciu do Nowego Jorku świąteczną oprawę. Ostrygi i kieliszek szampana, jako inauguracja jej nowego życia i być może także wymazanie z pamięci poprzedniego, aby nie stało się stopniowo zbyt przytłaczającym wspomnieniem...

Jesteś tu, Lyso, trochę odwagi i uda ci się.

Przez całe życie szukała spokojnego miejsca, gdzie mogłaby poczuć się bezpiecznie. To, za czym tęskniła najbardziej na świecie, dla większości ludzi stanowiło rodzaj koszmaru, którego starali się pozbyć za wszelką cenę. Jej największym pragnieniem było pozostawanie niezauważoną, gdy tymczasem obdarzona została wyglądem fizycznym, który miliony kilometrów oddalał ją od uzyskania tego efektu. Przez całe dotychczasowe życie musiała znosić dziesiątki wbitych w nią oczu, w których zapisane było jedno nieme pytanie. Dostawała dziesiątki jednakowych odpowiedzi na swoje pytania, które zawsze były inne.

I w końcu poddała się.

Jeśli otaczający ją świat tak chciał ją postrzegać, taka będzie. Jednak biała flaga, jaką postanowiła wywiesić, miała kosztować bardzo drogo tych wszystkich, którzy zapragnęliby poznać jej cenę.

Minęła pochyły chodnik prowadzący na dół i znalazła się naprzeciw restauracji. Przeszła obojętnie przez oszklone drzwi Oyster Bar, ale nikt z obecnych nie pozostał obojętny na jej wejście.

Dwóch podstarzałych już trochę yuppies przy kontuarze dokładnie naprzeciw wejścia, nagle zamilkło, a siedzącemu dwa krzesła dalej tęgiemu facetowi ostryga, którą wkładał do ust, spadła na osłaniającą mu brzuch serwetkę.

Kelner w służbowym stroju - w białej koszuli i ciemnej kamizelce - wyszedł jej naprzeciw i poprowadził przez dużą, czworoboczną salę do dwuosobowego stolika w rogu, przykrytego serwetą w czerwono-białą kratę.

Lysa ustawiła przy ścianie walizkę i torbę, po czym usiadła, nie przejmując się pustym miejscem obok. Kelner, uprzejmy i obojętny, podał jej menu z wydrukowanym na okładce logo lokalu.

Ona odsunęła je ręką, obdarzając kelnera jednym ze swoich najładniejszych uśmiechów, dzięki czemu jego zawodowa obojętność i uprzejmość ustąpiła sympatii.

- To niepotrzebne. Poproszę tylko o najlepsze ostrygi, jakie macie, i pół butelki dobrze schłodzonego szampana.

- Znakomity wybór. Myśli pani, że tuzin wystarczy.

- Myślę, że dwa tuziny będą w sam raz.

Kelner zanotował, po czym uklonił się z porozumiewawczą miną.

- Jeśli szef wciąż darzy mnie względami, myślę, że uda mi się zdobyć dla pani całą butelkę szampana w cenie połowy. Witamy w Nowym Jorku.

- Skąd pan wie, że nie jestem stąd?

Kelner zrobił grymas kogoś, kto wie, że nie mogłoby być inaczej.

- Ma pani walizkę i uśmiecha się. Nie może być pani z Nowego Jorku.

- Także ci, którzy wyjeżdżają, mają walizkę.

Na tę prowokację Lysa dostała nieuchronną odpowiedź:

- Tak, ale ci, którzy wyjeżdżają z tego miasta, odzyskują uśmiech dopiero, kiedy są bardzo daleko.

Kelner oddalił się ze swoją domorosłą, apokaliptyczną filozofią nowojorczyka i Lysa została sama.

Po przeciwnej stronie sali siedziało przy stole sześciu mężczyzn. Z pewnością oni też nie byli z tych stron. Lysa zbyt często i zbyt długo była w tej sytuacji, żeby nie rozpoznać na pierwszy rzut oka obcych. Zerkała na nich zasłonięta przez kelnera, kiedy składała zamówienie. Odkąd weszła i usiadła, zapanowało tam ożywienie przypominające kocie bitwy w krzakach.

Lysa próbowała przeczekać to gwałtowne zainteresowanie swoją osobą, szukając czegoś w torbie, a zaraz potem z kłopotu wybawił ją na chwilę kelner, podchodząc z półmiskiem ostryg, ułożonych elegancko na lodzie, i z butelką szampana wystającą z chromowanego kubelka.

Mężczyźni przy stole zaczekali, aż zostanie obsłużona, ale w końcu wydarzyło się to, czego Lysa dokładnie się spodziewała. Poszeptawszy z przyjaciółmi, jeden z nich, wysoki typ, z zakolami na skroniach i z wystającym brzuchem piwosza pod jasną marynarką, wreszcie wstał od stołu i ruszył w jej kierunku.

Stanął przed nią dokładnie w momencie, kiedy Lysa nakładała sobie dużą ostrygę.

- Cześć, ślicznotko. Nazywam się Harry i jestem z Teksasu.

Lysa uniosła na chwilę oczy znad talerza i zaraz potem zaczęła przyprawiać ostrygę. Odezwała się, nie patrząc mężczyźnie w twarz.

- I to czyni z ciebie kogoś specjalnego?

Będąc w bojowym nastawieniu, Harry nie zwrócił uwagi na pytający ton tego zdania i przyjął je, jako uznanie dla jego walorów.

- Możesz się założyć.

- Tak właśnie myślałam.

Mężczyzna bez zaproszenia usiadł na wolnym pokrytym skórą krześle obok niej.

- Jak masz na imię?

- Cokolwiek chciałbyś mi zaproponować, uprzedzam, że mnie to nie interesuje.

- Och, daj spokój. W mężczyźnie takim jak ja jest zawsze coś, co może zainteresować kobietę twojego kalibru.

Był tak rozpędzony w galopie na nieokiełznanych rumakach podboju, że nie zauważył wyrazu zniecierpliwienia, jaki pojawił się na twarzy jego zdobywcy. Był natrętną muchą, tyle, że nie wiedział o tym. Lysa oparła się na krześle, wysunęła lekko piersi do przodu i spojrzała na niego tak, że aż zadrżały mu kolana.

Bez żadnego uprzedzenia uśmiechnęła się, a w jej uśmiechu krył się cały ocean obietnic.

- Widzisz, Harry, jest pewna rzecz, jaką uwielbiam u mężczyzny. To śmiałość. Sądzę, że masz jej pod dostatkiem i że dlatego jesteś bystrym typem. Bardzo bystrym.

Harry też się uśmiechnął i trwał z tym wyrazem twarzy, żeby popisać się przed przyjaciółmi. Lysie nie umknęło ukradkowe spojrzenie, jakie rzucił w stronę stołu, przy którym siedzieli.

- Nawet sobie nie wyobrażasz, jak bardzo.

- Domyślałam się. Dobrze, więc będzie, jeśli się dowiesz, że ja też jestem bystra. Spójrz na moją rękę.

Lysa przesunęła powoli lewą dłoń po stole. Oczy Harry'ego śledziły zafascynowane rysunek paznokci na czerwono-białej kracie obrusa. Był to zwykły ruch czubków palców, ale wyraz twarzy tej kobiety czynił go niezwykle zmysłowym. Jego jabłko Adama aż drgnęło, kiedy przelykał ślinę.

- Widzisz to, co robię na obrusie? Pomyśl, że mogłabym to robić tobie, na twoich plecach, we włosach, na piersi, gdzie indziej...



To „gdzie indziej” owionęło jego twarz ciepłym oddechem i otworzyło przed nim podniecającą wizję zapadania się w przepaść rozkoszy. Lysa zmrużyła oczy i kontynuowała kuszenie.

- Myślisz o tym?

Wyraz twarzy Harry'ego, niezależnie od tego, jak ograniczona mogła być jego wyobraźnia, wskazywał, że owszem, myśli.

- A teraz zastanów się, co mogłabym zrobić drugą ręką.

Wskazała oczami punkt pod blatem stołu. Harry opuścił wzrok i stał się biały jak kreda. Prawa dłoń kobiety ścisnęła ostry nóż sprężynowy.

A jego ostrze wycelowane było prosto w jądra Harry'ego.

- Teraz masz wybór, Harry. Albo wrócisz do swoich przyjaciół z jajami, albo bez.

Mężczyzna szukał ratunku w ironicznym grymasie, który nie zdołał jednak zamaskować konsternacji w jego głosie.

- Nigdy byś się nie odważyła.

- Tak mówisz?

Nastąpiła chwila zawieszenia. Przez kilka sekund jedynym ruchem na świecie zdawała się kropelka potu spływająca po czole Harry'ego. Po czym, dzięki Lysie, motor czasu zaczął znów się obracać.

- Dam ci szansę.

- Jaką?

- Biorąc pod uwagę, że nie jesteś zły, tylko dumny, chcę coś dla ciebie zrobić. Włożysz teraz rękę do kieszonki marynarki i dasz mi swoją wizytówkę. Ja ją wezmę i uśmiechnę się. Twoi przyjaciele to zobaczą i będziesz mógł opowiedzieć im, co tylko zechcesz. Dziś wieczorem możesz na przykład wyjść sam, pójść do kina, a jutro opisać im, jak bajecznie się ze mną pieprzyłeś. Nieważne. Jedyne, czego chcę, to żebyś stąd zjeżdżał i pozwolił mi dokończyć jedzenie.

Harry wstał od stołu, wysuwając się ostrożnie spod tego metalowego stalaktytu, który wisiał nad jego męskością.

Lysa położyła pustą już prawą rękę z powrotem na stole. Precyzyjnym i bardzo wymownym gestem wzięła w dłoń dużą ostrygę, którą miała na talerzu, i wciągnęła ją ustami z lekkim odgłosem.

Harry spróbował odzyskać część swojej dumy. Ale uczynił to, odwracając się plecami do stołu, przy którym siedzieli jego przyjaciele.

- Jesteś tylko tanią dziwką.

Anielski uśmiech, jakim został obdarzony, zdawał się zupełnie nie do pogodzenia z postacią przepięknej kobiety, która jeszcze przed chwilą z obojętną miną trzymała nóż nakierowany na jego seksualne atrybuty. Ręka kobiety znów ześlizgnęła się pod blat stołu.

- Jeśli rzeczywiście tak myślisz, dlaczego z powrotem nie usiądziesz?

Harry odwrócił się bez słowa i ruszył w przeciwną stronę sali. Uśmiechnięta śledziła go spojrzeniem. Kiedy siadał pośród swoich przyjaciół, Lysa ujęła kieliszek napełniony szampanem i podniosła go w jego kierunku w geście toastu. Nikt z grupy siedzących z nim mężczyzn nie zwrócił uwagi na wymuszony uśmiech, z jakim mężczyzna odpowiedział na ten znak.

Potem, ze spokojem, Lysa skierowała całą swoją uwagę na olbrzymią ostrygę z Maine, która królowała na metalowym półmisku.

Trzy kwadranse później taksówka zawiozła Lyse pod wskazany przez nią adres: 54, Zachodnia Szesnasta Ulica między Piątą a Szóstą Aleją, w dzielnicy Chelsea.

Wysiadła z samochodu i kiedy kierowca wyjmował jej walizkę z bagażnika, podniosła oczy, aż ujrzała dach budynku, a potem zjechała wzrokiem niżej, żeby znaleźć okna narożnego mieszkania na trzecim piętrze. Włożyła rękę do torby, wyjęła pęk kluczy, chwyciła walizkę i skierowała się w stronę oszklonych drzwi wejściowych.

Nie wiedziała, na jak długo, ale miejsce to oznaczało tymczasem dom.

## 7

Jordan wjechał na motorze do Carl Schurtz Park i skręcił w krótką alejkę pod górę, która prowadziła do Gracie Mansion, oficjalnej rezydencji burmistrza Nowego Jorku. Jego brat postanowił zamieszkać tam podczas swojej kadencji, chociaż miał przepiękny penthouse przy Siedemdziesiątej Czwartej. Jordan doskonale pamiętał jego mowę inauguracyjną, kiedy oświadczył swoim najlepszym tonem zjednującym głosy wyborców, że „burmistrz Nowego Jorku powinien mieszkać tam, gdzie postanowili jego obywatele, ponieważ to tam go znajdą, kiedy będzie im potrzebny”.

Zatrzymał się przed bramą i zdjął kask, podczas gdy funkcjonariusz ochrony, chłopak z pozostałościami trądziku młodzieńczego na policzkach, zbliżał się, żeby sprawdzić, kto nadchodzi.

- Nazywam się Jordan Marsalis. Burmistrz mnie oczekuje.

- Mogę zobaczyć pańskie dokumenty?

Jordan wsunął bez słowa rękę do kieszeni kurtki i wyciągnął prawo jazdy.

Kiedy czekał na wynik kontroli, zobaczył samochody policyjne ustawione dokoła i funkcjonariuszy, którzy obstawiali dom. Było to zrozumiałe. Syn pierwszego obywatela został właśnie zamordowany i nie można było całkowicie wykluczyć, że zabójca mógł mieć też na pieńku z jego ojcem.

Policjant zwrócił mu dokument.

- W porządku. Już panu otwieram.

- Dziękuję.

Jeśli chłopak znał go i jego historię, nie dał tego po sobie poznać. Wrócił do dyżurki, a automatyczna brama zaczęła się powoli otwierać.

Jordan zaparkował motocykl na małym placu naprzeciwko głównego wejścia do Gracie Mansion. Kiedy zbliżał się do drzwi, w progu pojawił się nienaganny majordomus, bardzo podobny z postawy i fizjonomii do Johna Gielguda w jego najlepszym wydaniu.

- Dzień dobry, panie Marsalis. Proszę za mną. Burmistrz czeka w małym gabinecie.

- Nie jest konieczne, żeby mi pan towarzyszył, znam drogę, dziękuję.

- Znakomicie, proszę pana.

Majordomus rozplynął się dyskretnie. Jordan ruszył korytarzem prowadzącym do przeciwnej strony budynku, wychodzącej na East River.

Kiedy opuścili mieszkanie Geralda, Christopher poprosił Jordana, żeby wpadł do niego do Gracie Mansion. Po wyjściu z budynku Jordan uniknął szturm dziennikarzy, używając znowu ochronnej bariery kasku. Wybieg okazał się przydatny, ale niekonieczny, bo zaraz po nim wyszedł Christopher. Dziennikarze dosłownie eksplodowali podnieconym gwarem i runęli na niego niczym oszołomione mrówki, którym zniszczono mrowisko.

Jordan dotarł do swojego ducati, zapuścił silnik i odjechał, nie oglądając się za siebie.

A teraz był tutaj, przed drzwiami, w które wcale nie miał ochoty zapukać. Zastukał lekko w lśniące drewno i nie czekając na wezwanie, wszedł do pokoju.

Christopher siedział przy biurku i rozmawiał przez telefon. Dał mu ręką znak, żeby podszedł bliżej. Ruben Dawson zajmował fotel obok, z nogą założoną na nogę, jak zawsze elegancki, nieskazitelny i powściągliwy. Na wejście Jordana prawie niezauważalnie skinął głową.

Zamiast usiąść Jordan wolał minąć biurko i stanąć w ciepłe okiennych szyb, wychodzących na Roosevelt Channel. Na zewnątrz w wodzie odbijało się to samo światło, które oświetlało Water Street. Po West Channel sunęła powoli barka, kierująca się na południe. Jakiś mężczyzna szedł nabrzeżnym bulwarem, trzymając za rękę dwoje dzieci, być może w stronę pobliskiego placu zabaw. Jakaś para całowała się oparta o balustradę.

Wszystko normalnie. Przed oczami miał zwykły, banalny, pogodny, wiosenny dzień.

A za plecami zimny głos brata, któremu właśnie zabito syna.

- Nie, mówię ci. To, co się wydarzyło, nie może zostać wykorzystane instrumentalnie. Żadnych zdjęć złamanego cierpieniem ojca czy czegoś w tym stylu. W tej chwili w różnych częściach świata walczą amerykańscy chłopcy. Strata któregośkolwiek z nich jest tak samo ważna jak śmierć mojego syna, ból hydraulika z

Detroit nie znaczy mniej niż cierpienie burmistrza Nowego Jorku. Jedyne, na co mogę się zgodzić, to stwierdzenie, że nasze miasto oplakuje stratę wielkiego artysty.

Pauza.

Jordan nie wiedział, z kim brat rozmawia, ale rozumiał, że daje wskazówki swojemu rzecznikowi prasowemu, w jaki sposób ma pokierować całą sprawą. Przypomnił sobie twarz Christophera, kiedy w jednym mroźnym mgnieniu oka pojawił się przed nim widok ciała Geralda.

Natomiast teraz...

- Dobrze, w każdym razie konsultujcie się ze mną, zanim podejmiecie działania.

Dźwięk odkładanej słuchawki zmieszał się z odgłosem otwieranych drzwi. Do pokoju wkroczył Maynard Logan, szef policji, przybierając najbardziej stosowną do okoliczności minę.

- Christopher, jest mi niezmiernie przykro z powodu tego, co się stało. Przyszedłem, jak tylko się dowie...

Siedzący przy biurku mężczyzna przerwał mu, nie dając najmniejszego nawet znaku, że usłyszał choćby słowo z tego, co tamten powiedział.

- Siadaj, Maynard.

Jordan nigdy nie widział szefa policji tak zakłopotanego. Zdumiał się wręcz, że mógł się on stać ofiarą podobnego stanu ducha. Kiedy po chwili Maynard spostrzegł, że w pokoju jest również Jordan, jego zmieszanie gwałtownie wzrosło.

Logan jak na szpilkach usiadł na swoim krześle. Christopher wychylił się do przodu, oparł łokcie na drewnianym blacie i wycelował wskazujący palec w jego kierunku.

- Maynard, chcę, żeby ten, kto zabił mojego syna, został niezwłocznie schwytany. Chcę, żeby zamknięto go w Sing Sing. Chcę, żeby inni więźniowie kopali go codziennie do krwi, i to ja chcę być tym, który naciśnie tłok strzykawki, kiedy nadejdzie chwila, żeby posłać go do wszystkich diabłów...

Christopher Marsalis był politykiem i jak wszyscy politycy wiedział, jak prowadzić taniec przed publicznością, która stanowiła automatycznie widownię złożoną z wyborców. Prywatnie jego język nie zawsze był tak wyszukany jak ten, z którym ludzie kojarzyli jego wizerunek publiczny.

- I chcę, żeby śledztwo prowadził Jordan.

Wszyscy trzech znieruchomieli: Jordan stojący przy oknie, jego brat z wycelowanym palcem i Ruben Dawson, który zdawał się przyglądać z

zainteresowaniem paskowi zegarka na przegubie swojej ręki. Tylko szef policji wodził kolejno wzrokiem od jednego do drugiego i do trzeciego.

- Ależ, Christopher, ja nie...

- Gównu „ja nie”, Maynard!

Szef policji próbował odzyskać trochę osuwającego mu się spod nóg terenu.

- Okej, zastanówmy się chwilę. Jako człowiek nie mam absolutnie nic przeciwko Jordanowi. Wszyscy dobrze wiemy, że jest świetny. Ale nie tylko on jest dobrym policjantem, a na dodatek są procedury, których nawet ja...

Zdawało się, że Logan nie zdoła nigdy dokończyć żadnego zdania. Jordan zobaczył, że brat na dźwięk tych słów rzuca się jak jastrząb na kurnik.

- W dupie mam procedury. Większość twoich ludzi nie potrafiłaby znaleźć własnego tyłka nawet z podręcznikiem anatomii w ręku.

- Mam obowiązki wobec społeczności. Jak zdołam egzekwować szacunek dla zasad, jeśli pierwszy zacznę je łamać?

- Maynard, nie jesteśmy na zjeździe policji. Doskonale wiem, jak kręci się karuzela. Połowa policjantów w mieście bierze łapówki, a drugiej połowie skręcają się kiszki, kiedy nie mogą tego zrobić. Te dwie połowy nieustannie zamieniają się ze sobą miejscami. Zasady ustala się i zmienia zależnie od potrzeb.

Logan spróbował zaatakować z innej jeszcze strony. Ale była to ostateczność i doskonale o tym wiedział.

- Jordan jest emocjonalnie zaangażowany w sprawę i mógłby nie wykazać koniecznego spokoju w osądzie.

- Maynard, wszyscy widzieliśmy, co dzisiaj zrobił. Jeśli udało mu się na chłodno rozszyfrować ten pieprzony numer nawet po...

Christopher zrobił pauzę i przez chwilę był znów tym człowiekiem, którego Jordan widział przed zwłokami syna. Ale tylko przez chwilę.

- Jeśli udało mu się to nawet po tym, co zobaczył, nie sądzę, żeby mógł mieć trudności z kontynuowaniem śledztwa.

Maynard Logan miał minę kogoś, kto musi przenieść górę na łyżeczce.

- Ja nie wiem...

Christopher nie dał za wygraną.

- A ja wiem. Lub raczej, wiem doskonale, czego chcę. Ty natomiast masz mi w tym pomóc.

Po raz pierwszy, odkąd wszedł, Jordan wydał z siebie głos.

- Nie sądzicie, że moje zdanie może się liczyć w całej tej dyskusji?

Maynard i Christopher popatrzyli na niego, jakby nagle wyłonił się z nicości. Na nijakiej i niewzruszonej twarzy Rubena Dawsona pojawił się cień uśmiechu, który niemal natychmiast znikł.

Jordan opuścił swoje miejsce przy oknie i przeniósł się przed biurko.

- Ja jestem poza grą, Chris. Bóg jeden wie, jak bardzo mi przykro z powodu Geralda, ale w tej chwili powinienem już być, co najmniej dwieście kilometrów stąd.

Christopher podniósł na niego swoje błękitne oczy, żeby w oczach brata odnaleźć zrozumienie i wsparcie.

- Droga zaczeka, powrócisz na nią, kiedy wszystko się skończy. Jordan, ufam tylko tobie. - Po czym zwrócił się z tyle nagłą, co interesowną uprzejmością do szefa policji:

- Mógłbyś nas na chwilę zostawić, Maynard?

- Oczywiście.

- Ruben, zechcesz towarzyszyć panu Loganowi i zaproponować mu coś do picia?

Dawson wstał, nie zmieniając wyrazu twarzy ani zachowania, i obydwaj wyszli z pokoju, zadowoleni prawdopodobnie z tej przerwy. Jordan ucieszył się, że jego brat również taktownie potraktował swego nieodłącznego współpracownika.

Usiadł na drewnianym krześle w stylu new england, które jeszcze przed chwilą zajmował Logan. Aż do ostatniego momentu miał wrażenie, że krzesło będzie parzyć.

Christopher wychylił się zza biurka i przybrał poufały ton, próbując być bardziej przekonującym.

- Logan robi to, co mu każę. Mogę dać ci całe konieczne wsparcie. Wystarczy, że poprosisz, a będziesz miał do dyspozycji wszystkie środki śledcze, jakimi dysponujemy. Oficjalnie nikt się o tym nie dowie, ale dochodzenie poprowadzisz ty, od początku do końca. Jeśli chcesz, Burroni będzie na twoje rozkazy w tym, co dotyczy strony oficjalnej.

- Nie sądzę, że będzie tym zachwycony.

- Dowiedziałem się, że ma problem z DIA\*. Będzie zachwycony, kiedy pomożemy mu go rozwiązać i zaświecimy mu przed oczami wizją znacznego przyspieszenia jego kariery.

Jordan milczał. Poufały ton przeszedł w błaganie.

- Jordan, nie możesz mi odmówić.

---

\* DIA - Department of Internal Affairs

Odpowiedział pytaniem, które potrzebne było im obu.

- Dlaczego?

- Dlatego, że dziś rano zamordowano twojego bratanka. I dlatego, że być policjantem to twoje życie.

Jordan spuścił wzrok, jakby się zastanawiał. W rzeczywistości poczuł kłujący gniew na samego siebie za to, że nie znalazł żadnego przekonującego argumentu. Zresztą nie bez powodu. To, co przed chwilą powiedział jego brat, było całkowitą prawdą.

Nie jestem już porucznikiem, Rodriguez...

Podjął decyzję w jednej chwili, tak jak to zawsze czynił. Czasami żałował, innym razem nie. Miał nadzieję, że obecna sytuacja będzie należała do tego drugiego przypadku.

- Dobrze, zrobię to. Dostarcz mi jak najszybciej kopię zeznań, wynik autopsji i wszystkie analizy kryminalistyczne. Muszę działać własnymi metodami. Za każdym razem zawiadomię cię, jakiego wsparcia potrzebuję i gdzie.

- Wszystko, czego sobie życzysz. Ruben ma już protokół przesłuchania LaFayette'a Johnsona i pierwszą opinię dla strony prawnej. Autopsja jeszcze trwa. Być może, zanim odejdziesz, dostaniemy wstępny raport.

- Bardzo dobrze. Będę cię na bieżąco informował o postępach śledztwa.

Jordan podniósł się i ruszył w stronę drzwi. Głos brata zatrzymał go, kiedy rękę miał już na klamce.

- Dziękuję, Jordan, wiem, że robisz to dla mnie i...

Tym razem to jemu przerwano. A była to sytuacja, do której Christopher Marsalis nie przywykł.

Jordan spojrzał uważnie na brata, a ton jego głosu rozproszył nagle ów związek tymczasowej solidarności, jaki wytworzył się na chwilę między nimi.

- Jeden raz pozwól mi być egoistą. Nie robię tego, żeby uciszyć twoje poczucie winy. Robię to, żeby uciszyć moje.

- Jakikolwiek jest powód, dziękuję ci. Nigdy o tym nie zapomnę.

Mimo woli twarz Jordana znów przybrała gorzki wyraz.

- Wydaje mi się, że słyszę to nie po raz pierwszy.

Zobaczył cię przebiegający przez oblicze Christophera. Kiedy zamknął za sobą drzwi, życzył swojemu bratu, żeby nie miał sumienia. Pozostawanie w czterech



ścianach samemu, w tak bezlitosnym towarzystwie, mogło być zbyt ciężką próbą nawet dla niego.

## 8

- Proszę. Czarna, mocna i bez cukru, jak lubisz.

Annette postawiła filiżankę espresso na stoliku przed Jordanem.

- Dziękuję, Annette. Przyniesiesz mi rachunek?

- Szef powiedział, że stawia firma.

Jordan spojrzął w stronę stojącego za kasą Tima Brogana. Podziękował mu gestem ręki. Kelnerka wskazała ruchem głowy na telewizor stojący w przeciwległym rogu lokalu. W tej chwili miał wyłączony dźwięk i ustawiony był na film na HBO. Na ekranie widać było lecącego na miotle Harry'ego Pottera, rozgrywającego zaciekle mecz w Quidditch. Annette ściszyła lekko głos i ta zmiana tonu odgrodziła ich na chwilę od reszty świata.

- Słuchaliśmy wiadomości, Jordan. Strasznie mi przykro z powodu tego chłopca. Paskudna historia. A ja znam się na paskudnych historiach.

- Całe życie to jedna paskudna historia, Annette. Jeszcze dwanaście godzin temu myślałem, że przestanę być stałym gościem tej restauracji. A tymczasem...

Ujął filiżankę w dwa palce i wznosił w stronę Annette toast gorzki jak kawa, którą pił.

- Za niedoszłe podróże.

Annette zrozumiała, co kryło się w rzeczywistości za tym zdaniem, i uśmiechnęła się do niego. Jordan wyczytał w jej oczach szczerą szczerość.

- Za odłożone podróże, Jordan. Tylko odłożone.

Gruby i łysy typ z plamą keczupu na policzku, siedzący przy stoliku za nimi, zaczął okazywać oznaki zniecierpliwienia. Annette zmuszona była powrócić do świata, do którego należała osiem godzin dziennie. Plus godziny nadliczbowe jak tego wieczoru.

- Już idę.

Kobieta odeszła, zostawiając Jordana w towarzystwie jego myśli. Odłożywszy na bok względy emocjonalne, uważał, że była to naprawdę brzydka sprawa, do której należało podejść delikatnie pod każdym względem. A jeśli przecucia go nie myliły,

sytuacja mogła stać się jeszcze bardziej napięta, o ile było to w ogóle możliwe. Kiedy zamknął drzwi gabinetu brata w Gracie Mansion, wynik autopsji jeszcze nie dotarł. Wolał odejść i zostawić Christophera, by mógł zmierzyć się ze swoimi uczuciami ojca i z obowiązkami burmistrza. Jordan nie wiedział, która z tych dwóch ról była w owej chwili trudniejsza.

Zadzwoił do Burroniego i umówił się z nim w porze kolacji w barze na rogu Szóstej Alei. Skończył właśnie pić kawę, kiedy policjant pojawił się w szybie pierwszego okna, minął kolejne, aż wreszcie stanął w drzwiach.

Miał na sobie tę samą, co rano zamszową marynarkę, a na głowie ten sam czarny kapelusz z okrągłym rondem. Wszedł i rozejrzał się po lokalu. Kiedy spostrzegł Jordana, ruszył w jego kierunku tym swoim dziwnym krokiem, z obniżonym jakby środkiem ciężkości, przypominającym chód piłkarza. Trzymał w ręku złożoną na pół gazetę sportową, z której wystawała żółta teczka.

Podszedł do Jordana i stanął przed nim. Na twarzy miał wypisane pragnienie, żeby być gdzie indziej i z inną osobą.

- Cześć, Jordan.

- Siadaj, James. Czego się napijesz?

Jordan dał znak przechodzącej kelnerce. Dziewczyna zatrzymała się, żeby przyjąć zamówienie.

- Schweppsa. Jestem na służbie.

Jordan bez zmruczenia oka przyjął aluzyjny ton, jakim Burroni wypowiedział ostatnie słowa. Detektyw opadł na krzesło naprzeciwko. Położył gazetę na stole. Teczka lekko się wysunęła i Jordan zdołał dostrzec na okładce litery NYPD.

- Postawmy od razu sprawy jasno, Marsalis.

Jordan zaczął się w niego wpatrywać z najbardziej irytującym wyrazem twarzy, na jaki było go stać.

- O nic innego nie proszę.

- Prawdopodobnie mnie nie lubisz, ale to nie ma absolutnie żadnego znaczenia dla układu tabeli. Prawdziwy problem leży w tym, że ja nie lubię ciebie. A przede wszystkim nie podoba mi się ta sytuacja. Jest mi bardzo przykro z powodu twojego bratanka, ale...

Jordan podniósł ręce ze stołu i zatrzymał w zarodku przemowę, której cel dobrze znał.

- Stop. Nie wiem, co ci powiedziano, i nic mnie to nie obchodzi. Ale wydaje mi się bardzo ważne, żebyś ty posłuchał, co ja mam ci do powiedzenia.

Burroni zdjął kapelusz i położył go na pustym krześle obok. Oparł się i czekał z założonymi rękami.

- A więc słucham.

- Nie wierzę, że jest ci przykro z powodu mojego bratanka. Według ciebie był świrem, który skończył tak, jak sobie na to zasłużył, i którego braku nikt nie odczuje. To są twoje problemy i nie wymagam, żebyś zrozumiał. Ale myślę, że do reszty będziesz się musiał dostosować. Nie musimy snuć planów matrymonialnych, James. Mamy tylko wspólną pracę do wykonania, być może bardzo nietypową, ale jednak pracę. Ty masz swoje powody, ja swoje. Każdy wyciągnie też z niej własne korzyści...

Burroni oparł się nagle łokciami o blat stołu i spojrzał mu w oczy. Jordanowi wydawało się, że wyraźnie słyszy dźwięk ostrzegawczych dzwonek.

- Jeśli masz na myśli tamtą sprawę w wydziale spraw wewnętrznych, to wiedz, że ja...

Jordan nie dał mu skończyć.

- Wiem, że ty. Wiem o tobie i o wielu innych ludziach. Wiedziałem o tym przez wszystkie lata, kiedy byłem na służbie, jak przed chwilą powiedziałeś. Ale zawsze myślałem, że dobry policjant, choć czasem pada ofiarą jakiejś drobnej słabości, w końcowym bilansie zawsze dużo więcej daje, niż bierze. Jeśli słabości stają się duże, przestaje być dobrym policjantem, a staje się kanalią. To jego problem i sędziego. Jest jednak nowy fakt, który ma duży wpływ na układ tabeli.

- Mianowicie?

- Mianowicie, że teraz głównie mnie to obchodzi, James. Mam osobiste powody, by zakończyć tę sprawę. Pod każdym względem. Fakt, że ofiarą jest mój bratanek, ma znaczenie tylko częściowo. Potem będę mógł wreszcie wyjechać w podróż, która miała się zacząć dziś rano.

Podeszła kelnerka, postawiła na stole szklankę pełną jasnego płynu z bąbelkami i oddaliła się w milczeniu. Jordan zrobił pauzę. Burroni skorzystał z okazji, żeby pociągnąć łyk napoju.

- To, jeśli chodzi o mnie. Ty natomiast będziesz detektywem, który zaaresztuje zabójcę syna burmistrza. Bohaterem. W ten sposób dowiesz się w końcu, jak to jest być gwiazdą. I nie będziesz już musiał przejmować się łapówkami, które wzięłeś, ani krążyć w poszukiwaniu następnych.

Pokazał ręką gazetę sportową, którą Burroni położył na stole.

- Obstawiasz wyścigi czy futbol?

- Jesteś skurwysynem, Marsalis.

Jordan poruszył lekko głową i uśmiechnął się pod nosem.

- To prawdopodobnie rodzinne.

Zapadła chwila ciszy, w czasie, której każdy z nich dokonał bilansu zabitych i rannych. Jordan zdecydował, że jeśli potrzebny jest rozejm, być może nadszedł właściwy moment, żeby wyciągnąć, jeśli nie białą flagę, to przynajmniej chusteczkę. Wskazał na wystającą z gazety teczkę.

- Co tam masz?

Detektyw wyciągnął ją, otworzył i pchnął w stronę Jordana. Jordan zorientował się, że przesunięcie o kilka centymetrów tych kilku kartek oznaczało dla Burroniego pokonanie ogromnego dystansu.

- Kopię protokołów. Jest tu wszystko, co do tej pory udało się ustalić. Autopsja została przeprowadzona w rekordowym tempie, podobnie jak pierwsze analizy. Przeczytaj sobie w spokoju.

Jordan uznał, że mała gratyfikacja dla miłości własnej Burroniego pomoże naoliwić zardzewiały mechanizm tej przymusowej współpracy.

- Wolę, żebyś sam mi powiedział.

W tonie głosu Burroniego dało się wyczuć lekkie odprężenie.

- Autopsja potwierdza, że ofiara została uduszona. Żeby zablokować palec, usta wypełniono mocnym klejem. Tym samym, którego użyto do przyklejenia koca i ręki do ucha. Z badania towaroznawczego wynika, że chodzi o bardzo rozpowszechnioną markę. Nazywa się Ice Glue i można ją dostać wszędzie, w całym kraju. Dlatego nie jest to żadna wskazówka. Poza tym, wydaje się, że miałeś rację, co do przebiegu zbrodni. Na nadgarstkach i kostkach były ślady taśmy samoprzylepnej. Ta również jest tak rozpowszechniona, że niczego nam nie ułatwi. Prawdopodobnie morderca najpierw unieruchomił swą ofiarę, a potem zabił, kiedy nie była już w stanie zareagować. Na ciele nie ma śladów walki poza siniakami na szyi.

Nie zdając sobie z tego sprawy, w miarę jak mówił, Burroni przyjął sposób myślenia śledczego. Jordan doskonale pamiętał ów szczególny stan łaski, który osiągał niczym diabelskie błogosławieństwo w chwili, kiedy docierał na miejsce zbrodni i stawał się jedynym punktem odniesienia, a wszyscy obecni cofali się o krok w oczekiwaniu na jego dyspozycje.

Głos Burroniego przerwał tę nagłą retrospekcję.

- Zeznania tego...

Odwrócił kartkę w swoją stronę, żeby przeczytać nazwisko.

- Zeznania LaFayette'a Johnsona na razie na niewiele się przydały. Powiedział prawdę o tym, co się wydarzyło, i zachowywał się zgodnie z regułami. Jest wydruk, który potwierdza, że ofiara zadzwoniła na jego telefon mniej więcej o wskazanej przez niego godzinie. Kiedy znalazł ciało, zawiadomił policję. Chwilowo nie można go wykluczyć spośród podejrzanych, jednak...

Hipoteza pozostała w zawieszeniu, więc Jordan dokończył za niego.

- Jednak nie sądzisz, że zabiłby swoje główne źródło utrzymania.

- No właśnie. Jest tylko jeden szczegół w jego zeznaniu, który można uznać za małą szparkę.

- To znaczy?

- Przy wejściu zderzył się z wychodzącym właśnie z budynku typem w stroju do joggingu. Nie zdołał dojrzeć twarzy, ale powiedział, że mężczyzna zaczął biec dziwnym krokiem, jakby miał jedno kolano słabsze od drugiego. Sprawdziliśmy w budynku i w sąsiedztwie. Nie mieszka tam nikt o podobnym wyglądzie.

- Myślę, że jest to trop, którego nie należy lekceważyć. Coś jeszcze?

- Udało nam się odszukać dziewczynę, która spędziła noc z twoim bra... z ofiarą. Gdy tylko dowiedziała się o zbrodni z telewizji, sama się stawiła. Kiedy wychodziłem z centrali, właśnie ją przesłuchiowano.

- Jaka jest?

- Taka jak wiele innych. Nijaka, powiedziałbym. I trochę przywiędła. Typ, który może ulec fascynacji ekscentryczną osobowością głośnego malarza. Pracuje jako sekretarka u wydawcy na Broadwayu. Nazwiska nie pamiętam.

- Czy mogła go udusić?

- Z tego, co widziałem, fizycznie nie byłaby do tego zdolna, nawet gdyby się podwoiła.

- A co mówi kryminalistyczna?

- Rwą sobie włosy z głowy. Tysiące śladów, tysiące nitek, włosów, kolorów. Potrzeba by miesięcy i podwójnych środków, żeby to wszystko poklasyfikować.

- I to wszystko, co mamy, tymczasem...

W komentarzu Jordana nie było rezygnacji, tylko zwykłe stwierdzenie faktu. Wiedział z doświadczenia, że niemal wszystkie śledztwa, jako punkt wyjścia miały absolutną niespójność.

Jak zawsze robi się w takich przypadkach, Burroni rzucił hipotezę na stół możliwości.

- Co powiesz na seryjnego mordercę?

- Nie wiem. Za wcześnie o tym mówić. Zaszyfrowany napis na ścianie i okoliczności zbrodni pozostawiają wiele miejsca na przypuszczenie, że chodzi o dzieło psychopaty. Jednak ofiara znała tego rodzaju ludzi albo miała fanów, którzy mogli być zdolni do takiego wyskoku, bez konieczności jego powtórzenia. Zabójstwo Johna Lennona uczy...

- Więc co robimy?

- Nie będzie to budujące, ale trzeba zagłębić się w życie Geralda Marsalisa. Sprawdzić wszystko. Przyjaciele, kobiety, klienci, handlarze narkotyków...

Jordan odczytał wyraz twarzy Burroniego i na pytanie, które się za nim kryło, udzielił stosownej odpowiedzi.

- James, doskonale wiem, kim był mój bratanek i jaki tryb życia prowadził. Nie zmienia to wymogów śledztwa. Chcę wiedzieć wszystko. Reszta to mój problem.

- To chyba najlepszy wybór.

Jordanowi wydawało się, że wychwyił cień szacunku w tym niby niedbale rzuconym stwierdzeniu.

- Masz ludzi do dyspozycji?

- Oczywiście, w tym przypadku, ilu tylko zechcę.

- Przydziel, więc kogoś do obserwacji Johnsona. Nie sądzę, żeby coś z tej strony wyskoczyło, przynajmniej nie w tej sprawie. Gdyby jednak pojawił się jakiś element, który pozwoli wsadzić go za kratki, społeczeństwo na pewno na tym nie ucierpi.

- Okej. Czy to wszystko?

- Tymczasem wszystko. I miejmy nadzieję, że się pomyliłem i nigdy nie będziemy musieli dowiadywać się, kim jest Lucy.

Burroni wstał, wziął kapelusz i włożył na głowę.

- Dobranoc, Jordan. Dziękuję za drinka.

- Do usłyszenia.

Detektyw odwrócił się i slalomem między stolikami dotarł do przeszklonych drzwi. Jordan śledził go wzrokiem, a ten nie odwracając się, wyszedł i zmieszał swoje kroki z milionami innych, które wydeptywały w owym momencie ulicę Nowego Jorku.

Jordan został sam z niezbyt przyjemnym poczuciem, że jest nieistniejącą osobą w świecie pełnym ludzi, którym wystarczał fakt, że istnieją. Rozejrzał się dokoła. Widział twarze, gesty, ruchy, kolory, jedzenie na talerzach i płyny w szklankach, słyszał słowa wymawiane i słowa wysłuchiwane. Nic nowego, nic dziwnego. Wszyscy mieli na sobie swój uniform, nawet ci, którym się zdawało, że go nie mają. Po gniewnym monologu Edwarda Nortona w 25. godzinie Spike'a Lee niewiele więcej było do powiedzenia na temat mieszkańców Nowego Jorku.

Ktoś zmienił program i teraz telewizor w głębi lokalu ustawiony był na wiadomości w CNN. Po krótkim reportażu na temat wojny w Iraku uwagę zajęły zdjęcia z zabójstwa Jerry'ego Kho, które było tematem dnia. Ze swojego miejsca Jordan nie był w stanie usłyszeć komentarza, ale w serwisie zobaczył swojego brata, na którego przy wyjściu z domu Geralda rzuciła się horda dziennikarzy. Nikt, ani rano, ani teraz, nie zwrócił uwagi na mężczyznę w kasku, który wychodził zamaskowany z bramy, korzystając z zamieszania. Ujęcie w szerokim tle zastąpione zostało zbliżeniem Christophera Marsalisa, który wsiadał do samochodu, pozostawiając za sobą gorączkowy splot pytań bez odpowiedzi. Oddalający się samochód, którym odjeżdżał jego brat, przywołał w pamięci Jordana taki sam obraz w innym samochodzie, w innym miejscu, innego wieczoru. Dokładnie ten sam moment sprzed bez mała trzech lat, kiedy wszystko się zaczęło.

Albo skończyło.

Przez cały weekend był gościem w wiejskim domu Christophera. Mieli piękną pogodę, więc postanowili zatrzymać się jeszcze na poniedziałek we wspaniałej willi z drewna, kamienia i szkła, której okna wychodziły na rzekę Hudson, w okolicach Rhinecliff. Urody posiadłości dopełniał ogromny park, prywatne nabrzeże i przybudówka dla dozorców i agentów ochrony. Dom i jego wnętrze zaprojektowane zostały przez europejskiego architekta, który znał się na robocie, zarówno, jeśli chodzi o planowanie, jak i jej właściwe rozliczanie. Wyglądał, jakby wykonano go specjalnie po to, by poprzez artystyczny szlif podkreślić charakterologiczną odmienność braci wynikającą nie tylko z dwunastoletniej różnicy wieku między nimi. Swobodny styl życia wspólnego ojca wprowadził ich w coś w rodzaju skomplikowanego labiryntu,



zbudowanego z niskich żywoplotów. Mogli się widywać i rozmawiać, ale tylko z rzadka spotykać.

Christopher był tym bogatym, Jordan tym młodym i wysportowanym. Christopher miał naturę lidera i jako taki potrzebował ludzi. Jordan wystarczał sam sobie. Czuł się bezpańskim psem i kiedy tylko mógł, przemykał pod murem w miejscach, gdzie nie było ludzi. Christopher wysadzał kasę pancerną z hukiem, Jordan otwierał ją delikatnie i z wyczuciem.

Owego wieczoru, po kolacji, Christopher odebrał telefon. Przez otwarte drzwi do gabinetu Jordan słyszał, jak rozmawia, cedząc monosylaby. Potem pojawił się w salonie w swoim płaszczu z wielbłądziej wełny, za trzy tysiące dolarów. Jordan dostrzegł w przelocie zielonkawe odbicie kilku plików banknotów znikających w jego kieszeniach.

- Muszę wyjść. Ty rozgość się i rób, na co masz ochotę. Niedługo wrócę.

- Jakież kłopoty?

Christopher kończył zapinać guziki i to pozwoliło mu odpowiedzieć, nie patrząc mu w oczy.

- Muszę się zobaczyć z LaFayette'em Johnsonem.

- Chcesz powiedzieć, że przyjedzie z Nowego Jorku aż tutaj?

Christopher wymamrotał jednocześnie odpowiedź i przekleństwo.

- Dla pieniędzy ten sukinsyn zgodziłby się na spotkanie na „Titanicu”, nawet tam, gdzie się teraz znajduje.

- Jechać z tobą?

- To zbędne. On sam wystarczy mi jako ochrona.

Jordan znał powód tego spotkania. Dużą część obrazów sprzedawanych przez Geralda kupował sam Christopher poprzez kombinacje tego śliskiego typu, jakim był jego marszand. Nigdy jednak nie był pewien, ile z tego wszystkiego miało służyć ochronieniu syna przed gorszymi jeszcze kłopotami, a ile uciszeniu własnego poczucia winy.

Christopher wyszedł z domu, zostawiając za sobą hałas zamykanych drzwi. Chwilę potem Jordan usłyszał chrzęst kół jego jaguara na żwirze podjazdu i oddalający się dźwięk silnika.

Został sam w otoczeniu ciszy.

Jordan przyzwyczajony był do nieustannego terkotu metropolii gdzieś w dole, do swego rodzaju podziemnego pulsowania, stanowiącego napęd tego wszystkiego, co

poruszało się w Nowym Jorku na powierzchni. Za każdym razem, kiedy przebywał w tym domu, odbierał tę całkowitą nieobecność dźwięków jak smak piołunu na cukrze.

Na zewnątrz była zima, chłód i ciemne wody rzeki Hudson płynące w jednym kierunku pośród jeszcze ciemniejszej nocy. Jordan pozostawał zaś w ciepłe i blasku, dostarczonym przez płomień kominka, nierządzące się żadnymi prawami ani regulami.

Włączył telewizję i usadowił się na kanapie przed odbiornikiem nastawionym na stację ABC, nadającą program „Monday Night Football”. Trwała właśnie transmisja meczu między New York Giants i Dallas Cowboys rozgrywanego na Giants Stadium. Miał obok siebie butelkę drogiej, osiemnastoletniej szkockiej whisky, dostarczonej specjalnie dla Christophera Marsalisa, i zupełnie bezwiednie wypił z niej aż połowę. Nie doczekał nawet końca meczu. Tam, na kanapie, zapadł w spokojny i odprężający sen, mając pod powiekami obrazy pogodnego życia.

Dzwonek telefonu wyrwał go z tego błędnego stanu, przypominając, że jest sam. Podniósł słuchawkę leżącą na stoliku obok.

- Halo?

Na jego zaspany głos odpowiedział podekscytowany głos brata.

- Jordan, mam kłopoty.

- Co się stało?

- Zabiłem człowieka.

- Co znaczy „zabiłem człowieka”?

- Dokładnie to, co powiedziałem. Wracalem do domu po spotkaniu z LaFayette'em. Ten typ wjechał na skrzyżowanie na pełnym gazie, wymuszając pierwszeństwo. Ja też jechałem dosyć szybko, więc wpadłem prosto na niego, ale to nie była moja wina.

- Jesteś pewny, że nie żyje?

- Chryste, Jordan, nie jestem lekarzem, ale byłem na wojnie. Potrafię rozpoznać, kiedy ktoś nie żyje.

- Są świadkowie?

- O tej porze w zimie? Jestem w szczerym polu. W tym miejscu przejeżdżają może trzy samochody tygodniowo.

- Gdzie jesteś?

- W okolicy High Falls, na drugim brzegu Hudsonu, na południe. Wiesz, gdzie to jest?

- Tak, nie ma problemu. Wsiadłam do samochodu i przyjeżdżam. Nic nie rób, a przede wszystkim niczego nie dotykaj w drugim samochodzie. Zrozumiałaś? Jeśli będą jakieś problemy, dzwoń na komórkę.

- Jordan... pospiesz się.

- Okej. Już jadę.

Wybiegł z domu, chwytając w locie kurtkę, i ruszył w drogę swoją hondą. Włączył satelitarną nawigację i kierując się wskazówkami GPS, dotarł na miejsce wypadku. Kiedy wysiadł z samochodu, wystarczył jeden rzut oka, żeby zorientować się w sytuacji. Jaguar leżał w rowie z boku drogi, za skrzyżowaniem wobec kierunku, z którego nadjechał Jordan. Przednia lewa część była wgnieciona, a z blach pękniętego podwozia wystawało przekrzywione koło. Po drugiej stronie drogi leżała stara furgonetka z powyginanymi zderzakami, zwrócona przodem w odwrotną stronę. Przez roztrzaskaną szybę dostrzec było można kształt ciała leżącego na kierownicy. Ze śladów na asfalcie dało się wyczytać przebieg wypadku. Widać było tor hamowania jaguara i tarcie kół drugiego pojazdu, który przez gwałtowne uderzenie odwrócił się tyłem do kierunku jazdy. Na ziemi pozostały odłamki szkła i plastiku, a także kawałki reflektora, w powietrzu zaś unosiła się chora bezsilność nieuchronności.

Podszedł do furgonetki i dotknął szyi mężczyzny w średnim wieku, który wyglądał, jakby zasnął na kierownicy. Nie wyczuł żadnego pulsu. Rozejrzał się dokoła. Nie było śladu Christophera.

- Tu jestem, Jo...

Wynurzył się z zarośli, porastających tę część drogi, z rękami w kieszeniach płaszcza. Kiedy mówił, z ust unosiła się para.

- Nie byłem pewny, czy to ty, więc woląłem zejść z drogi. Co teraz robimy, Jordan?

Jego zachowanie nie było zachowaniem człowieka przestraszonego, raczej wściekłego.

Jordan natychmiast podjął decyzję, i było to dla niego jak trafienie w ruletce.

- Weź mój samochód i jedź do domu. Nie ruszaj się stamtąd.

- Ale co ty mówisz? Zdajesz sobie sprawę, co to znaczy?

- Na skali wartości dużo ważniejszy jest dobry burmistrz niż dobry policjant. Rób, co ci mówię.

Stali przez chwilę, patrząc sobie w oczy, w te błękitne oczy, które były w rzeczywistości jedynym ich podobieństwem. Po czym Christopher wsiadł do

samochoodu i włączył silnik. Zanim odjechał ze skrzyżowania, wychylił się jeszcze przez okno.

- Wiem, co dla mnie robisz, Jordan, nigdy tego nie zapomnę.

Stał, obserwując światła samochodu, które znikwały w dali. Potem Jordan zadzwonił do biura szeryfa w Rhinecliff. Poszedł zapalić światła migowe obu samochodów i czekał obok na pół roztrzaskanego jaguara, w towarzystwie własnych myśli i martwego człowieka.

Zapalił papierosa. tlak... tlak... tlak

Cisza i ciemność przerywane były rytmicznym migotaniem kierunkowskazów.

tlak.. .tlak.. .tlak

Papieros się skończył, jak to zawsze bywa w przypadku czekającego człowieka. Przydusił go dokładnie nogą na asfalcie.

tlak...tlak...tlak

Kiedy słuchał syren nadjeżdżających samochodów, zdał sobie sprawę, że ten dźwięk i te przerywane światła pośród nocy pozostaną na długo w jego pamięci. Zastępcy szeryfa, który sporządzał protokół, podał swoje dane i oświadczył, że to on siedział za kierownicą samochodu należącego do Christophera Marsalisa. Poddany został obowiązkowym badaniom stanu trzeźwości i wyszła oczywiście na jaw połowa butelki whisky, którą wypił owego wieczoru.

Na szczęście sprawy potoczyły się pomyślnie, bowiem autopsja wykonana ofierze wypadku wykazała zgon wywołany zawałem mięśnia sercowego. Kierowca stracił panowanie nad kierownicą, ponieważ w chwili kolizji już nie żył, dlatego nie było żadnych konsekwencji karnych.

Pozostawał jeden szczegół. A był nim porucznik nowojorskiej policji zamieszany w śmiertelny wypadek, podczas gdy prowadził samochód w stanie upojenia alkoholowego. Gdyby tego było mało, porucznikiem tym był Jordan Marsalis, młodszy brat burmistrza. Media zmontowały z tego przypadek, który z kroniki policyjnej przeniósł się natychmiast do polityki. Presja opozycji stała się nieodparta i nawet partia Christophera w sposób nieoficjalny, ale wyraźny, zasygnalizowała powagę tej sytuacji. Tak, więc pewnego wczesnego ranka Jordan złożył dymisję i oddał pistolet wraz z odznaką.

Od tamtego dnia nie wypił nawet kropli alkoholu i nie usiadł więcej za kierownicą. I praktycznie nie rozmawiał już z Christopherem aż do dnia, kiedy ten zatelefonował, zawiadamiając go, że Gerald został zamordowany.

\*\*\*

Jordan uśmiechnął się z odrobiną goryczy do filiżanki po kawie i do opróżnionej szklanki. Historia się powtarzała. Po południu brat podziękował mu tymi samymi słowami, jakich użył tamtego wieczoru.

„Wiem, co dla mnie robisz, Jordan, nigdy tego nie zapomnę...”.

Tymczasem zapomniał.

## 9

Jordan wyszedł z restauracji i ruszył w stronę domu. Ze względu na trwający remont budynek obok otoczony został rusztowaniem. Ochronne płachty tworzyły zacieniony obszar, który zdawał się w groźny sposób spowijać wejście. Przeszedł tamtędy, przełożył kask do drugiej ręki, żeby poszukać w kieszeni kluczy do mieszkania. W tej samej chwili usłyszał za swoimi plecami zbliżającą się bardzo głośną muzykę.

Bez konkretnego powodu Jordana owładnęło podejrzenie, że muzyka ta oznacza kłopoty. Odwrócił się i podejrzenie przemieniło się w pewność. Zobaczył ciemnego i lśniącego mercedesa, który parkował przed nim po tej samej stronie ulicy. Przez otwarte okno samochodu docierało bardzo hałaśliwe elektroniczne dudnienie kwadrofonicznych głośników z muzyką techno. Drzwiczki otworzyły się na oścież i z wozu wysiadło dwóch czarnych, którzy ruszyli w jego stronę powolnym i groźnym krokiem. Obydwaj byli w jaskrawych dresach i sportowych butach. Jeden z nich miał na głowie raperską wełnianą czapkę, a drugi czarną przepaskę. Jordan pomyślał, że są dwiema idealnymi ikonami sposobu bycia pewnej grupy kolorowej młodzieży.

Tego w czapce nigdy wcześniej nie widział. Drugiego rozpoznał natychmiast. Nie pamiętał imienia, tylko znaną przez wszystkich ksywkę Lord. Wsadził go za kratki jakiś czas temu za narkotyki i handel heroiną. Podczas aresztowania stawiał opór i zranił dwóch funkcjonariuszy.

- Cześć, Lord. Jak to się stało, że cię wypuścili?

- Byłem grzecznym chłopcem. Darowali mi sześć miesięcy za dobre sprawowanie, poruczniku.

- Nie jestem już porucznikiem, Lord. I chciałbym, żeby to był ostatni raz, kiedy to mówię, przynajmniej dzisiaj.

- Och, wiem, „poruczniku”. Dali ci kopa w tyłek. I teraz jesteś zwykłym obywatelem. Zupełnie tak jak my, prawda, Hardy?

Milczący Hardy nie potwierdził ani głosem, ani gestem, ale Lord i tak tego nie potrzebował. W owej chwili wystarczyło mu poczucie, że ma wsparcie.

- Wiesz, co to znaczy trzy lata w pudle? Byłeś tam kiedykolwiek?

Nie zostawił Jordanowi czasu na odpowiedź, która zresztą wcale go nie interesowała. Chciał tylko kontynuować show. Z szyderczym sarkazmem kogoś, kto dzieli się z towarzystwem kłopotliwym szczegółem, zwrócił się do kumpla stojącego obok.

- Ach, byłbym zapomniał. Ale jestem głupi. Porucznik Marsalis nie idzie do więzienia, nawet, kiedy rozwali biedaka, prowadząc nawalony jak świnia. Szanowny brat burmistrza, co najwyżej dostaje naganę, a potem może dalej swobodnie krążyć i wysyłać do Stwórcy innych ludzi.

- Do rzeczy, Lord. Czego chcesz?

Było to zbyteczne pytanie, zadane tylko po to, żeby zyskać na czasie. Jordan potrafił doskonale sam udzielić na nie odpowiedzi. Rozejrzał się dokoła, chwytając jednocześnie kask za część osłaniającą dolną część twarzy, żeby użyć go, jako broni.

Lord cofnął się o krok i szybkim ruchem odpiął suwak dresu. Zrzucił bluzę i został w samym podkoszulku. Podniósł ramiona w górę, napinając bicepsy i rozrośnięte mięśnie klatki piersiowej w pozie kulturysty.

- Widzisz je, poruczniku? Wyrobiłem je sobie, zapieprzając cztery godziny dziennie przez każdy z ponad tysiąca dni, które spędziłem w pierdlu. I wiesz, o czym myślałem, podnosząc ciężary?

- Nie. Zaskocz mnie.

- Myślałem o chwili, kiedy stanę przed tobą, a ciebie nie będzie chroniła odznaka.

Jordan zobaczył cienie pojawiające się w prostokącie światła na asfalcie, padającego poprzez szyby za jego plecami. Nie miał czasu, żeby się odwrócić, kiedy drzwi otworzyły się, z budynku wyszły dwie osoby i chwyciły go od tyłu, przytrzymując ręce na plecach. Usłyszał hałas kasku, który wypadł mu z ręki i potoczył się po asfalcie.

Lord zbliżył się powoli do tej posągowej grupy.

- Myślałem o t e j chwili.

Kiedy Jordan wstąpił do policji, wiedział, że przedstawiciel prawa może się czasami znaleźć w opałach. Doskonała ironia życia postawiła go w takiej sytuacji właśnie teraz, kiedy przestał być policjantem. Korzystając z oparcia dwóch napastników, którzy przytrzymywali go z tyłu, wygiął miednicę w łuk i uderzył nogami

w twarz Lorda. Usłyszał wyraźnie suchy trzask chrząstki pękającego nosa i zobaczył, jak chłopak znika z jego pola widzenia. Kiedy próbował uwolnić się z uścisku, nagle ożywił się milczący Hardy. Przyjął klasyczną postawę bokerską i wymierzył mu dwa ciosy w splot słoneczny. Jordan poczuł kwaśny posmak przetrawionego jedzenia podchodzący do ust, a zaraz potem zobaczył jakby w zwolnionym tempie błyskawiczną pięść Hardy'ego skierowaną w jego twarz. Kiedy cios go dosięgnął, zanim jeszcze poczuł ból, jego oczy przeszył oślepiający promień żółtego światła. Odrzuciło go do tyłu, a uścisk dwóch trzymających go z tyłu zadziałał jak dźwignia. Na ból twarzy odpowiedział niemal jednocześnie ból zwichniętego lewego barku, który zmieniał położenie.

Lord tymczasem wstał i zbliżał się do niego, groźnie pomrukując. Krew spływała mu ze złamanego nosa, zabarwiając na czerwono zgrzytające zęby.

- Ty pierdolony lizodupcu, zaraz ci...

Nie miał szansy wyjaśnić, co „zaraz ci”. Po drugiej stronie ulicy, za rogiem, policyjny samochód zatrzymał się przed restauracją, wysiadł z niego funkcjonariusz z zamiarem wejścia do lokalu. Jordan usłyszał wystraszony głos za swoimi plecami.

- Ej, gliny przyjechały. Może lepiej spadajmy.

Lord zbliżył się do jego twarzy i wycedził gniewne słowa, zaprawione śliną i krwią.

- Na dziś to wszystko. Ale to nie koniec, gnoju.

Uderzył go wierzchem dłoni, aż głowa Jordana podskoczyła do góry, jakby chciał śledzić wzrokiem rękę, która go uderzyła. Poczuł, że dwaj z tyłu zwolnili ucisk, i opadł na kolana, podczas gdy napastnicy wskakiwali szybko do samochodu i odjeżdżali przy akompaniamencie trzaskających drzwiczek, zapalnego silnika i pisku opon na asfalcie.

Czuł szum w uszach wywołany uderzeniami i tępy ból w barku. Zobaczył plamy krwi na kamiennym schodku i domyślił się, że to on krwawi. Wstał i poszedł po kask, podnosząc go lewą ręką. Następnie wszedł do budynku i zbliżył się do kolumny w holu. Stał przy ścianie i poszukał oparcia, które mogło mu posłużyć za dźwignię. Wziął głęboki oddech i szarpnął, tłumiąc jęk bólu wywołanego ruchem barku, który wracał na swoje miejsce. Poczuł kilka kropli krwi, które spadły mu na pierś, plamiąc kurtkę i koszulę. Wyjął papierową chusteczkę i zatamował krwotok z nosa. Wsiadł do windy i ustawił się tak, żeby nie widzieć swojego odbicia w lustrze.

Dotarł do drzwi, wszedł i zapalił światło. Czekał na niego jego stary dom i usadowione na kanapie dawne życie. Położył kask i skierował się do łazienki.



Dostrzegł smugę światła sączącą się przez szparę w dole drzwi. Prawdopodobnie zapomniał je zgasić, wychodząc rano. Miał wtedy, co innego na głowie niż myśleć o takich drobiazgach.

Pchnął drzwi i w bursztynowym świetle łazienki stanął naprzeciw zupełnie nagiej kobiety. A była to najpiękniejsza kobieta, jaką widział kiedykolwiek w życiu.

Stała odwrócona do niego plecami i odbijała się aż do talii w zawieszonym naprzeciwko lustrze. Właśnie osuszała włosy ręcznikiem i na jego wejście znieruchomiała. Nie okazała najmniejszego zdziwienia ani strachu i nie wykonała żadnego gestu, żeby się osłonić.

- Czy mam uznać pańską obecność w mojej łazience za niebezpieczeństwo?

Jej głos był łagodny i spokojny, Jordanowi zaś odebrało mowę. To niespodziewane objawienie, ale przede wszystkim to piękno poza miejscem i czasem, całkowicie go obezwładniło. Nie mógł zrobić nic innego, jak tylko stać w progu, jako jedna z dwóch postaci odbijających się w lustrze i przyciskać do nosa absurdalną i żalną chusteczkę przesiąkniętą krwią.

- Nie, proszę mi wybaczyć, ja...

- A zatem, czy zechciałby pan zamknąć drzwi i zaczekać w holu, aż się ubiorę?

Jordan pchnął delikatnie drzwi, czując się jak chłopaczek przyłapany na podglądaniu przez dziurkę od klucza. Schronił się w łazience pokoju gościnnego. Zapalił światło i w bezlitosnym lustrze tym razem odnalazł tylko własne odbicie. Obejrzał twarz i z niechęcią przyznał, że Lord i Hardy wykonali dobrą robotę. Oko zaczynało puchnąć, a usta i nos były poplamione na pół zakrzepłą krwią. Odkręcił kran i umył się, odczuwając przyjemność kontaktu zimnej wody z obrzmiałą twarzą.

Zdjął koszulę i wytarł się jej suchą częścią. Kiedy przechodził korytarzem, żeby wrócić do salonu, z drugiej łazienki dotarł do niego szum suszarki do włosów. Jordan otworzył szafę w ścianie, gdzie rano wrzucił swoją torbę. Wyjął z niej czystą koszulę. Przebierając się, nie mógł przestać myśleć o kobiecie, którą zastał w łazience. Mimo usilnych starań, nie potrafił znaleźć w swojej pamięci żyjącego odpowiednika, który mógłby, choć trochę dorównać urokowi tej istoty. Wziął torbę i położył ją na kanapie obok kasku.

Kiedy do niego dołączyła, miała na sobie błękitny szlafrok. Ciemne, jeszcze trochę wilgotne włosy okalały twarz tak szczególną, że nie poddawała się żadnemu kanonowi piękna. Wielkie wilgotne oczy, które w niego utkwiała, miały niewiarygodną barwę

złotego orzecha. Jordan pomyślał, że złoto, aby można je rzeczywiście nazwać cennym, powinno mieć taki właśnie kolor.

- Czy mogę wiedzieć, czemu zawdzięczam pańską obecność?

- Mieszkam w tym domu.

- To dziwne, myślałam, że właśnie go wynajęłam. Może jest jakiś szczegół, o którym nie wiem.

Jordana ogarnęło na nowo wrażenie absurdalności sytuacji, jakiego doznał już wcześniej w łazience.

- Właściwie to źle się wyraziłem. Ja m i e s z k a ł e m w tym domu.

- Jordan Marsalis?

- Właśnie tak. A pani, jak przypuszczam, to pani Guerrero...

- Niezupełnie, choć mieszcę się na swój sposób w tym określeniu. Na imię mam Lysa.

Jordan uściśnął dłoń, którą do niego wyciągnęła. Była ciepła i miękka. Delikatny zapach wanilii dopełnił tego przyjemnego doznania dotyku.

- Powiedziano mi, że przyjedziecie za trzy dni.

- W istocie, tak było zaplanowane, ale postanowiłam przyspieszyć przyjazd, bo agencja zawiadomiła mnie, że zamierza pan dzisiaj wyjechać.

- Tak rzeczywiście miało być, ale potem...

Jordan wykonał ręką gest, który w bardzo wyczerpujący sposób pokazywał niemoc człowieka w obliczu nieoczekiwanych okoliczności.

- Jak pani widzi, plany robi się po to, żeby je zmieniać. Przykro mi, że panią przestraszyłem. Jestem naprawdę zakłopotany.

- Czy zawsze, kiedy jest pan zakłopotany, leci panu krew z nosa?

Jordan podniósł rękę do twarzy i kiedy ją odsunął, była cała czerwona. Rana znów zaczęła krwawić. Podszedł do drzwi kuchennych, szukając wzrokiem czegoś, co mogłoby zatrzymać krwotok.

- Proszę mi wybaczyć. Miałem dzisiaj okropny dzień.

- Nie chciałabym wydać się panu zarozumiała, ale wydaje mi się, że to zauważyłam. Proszę usiąść na kanapie. Zaraz wracam.

Zostawiła go samego, a kiedy wróciła, miała w ręku kuferek, który wyglądał jak torba pierwszej pomocy. Postawiła go na sofie obok Jordana i wyjęła watę o żółtawej barwie.

- Proszę się nie obawiać. W moim życiu byłam też pielęgniarką. W każdym razie nie sądzę, bym urządziła pana jeszcze gorzej od tego, co już się stało.

Stała przed nim i znów roztoczył się wokół zapach wanilii i dobrych myśli. Delikatnie dotykając, obejrzała jego nos i oko, a następnie ujęła go za podbródek i uniosła mu głowę.

- Proszę przechylić lekko głowę do tyłu. Trochę zapieczę.

Zapach Lisy zastąpiony został ostrą wonią środka dezynfekcyjnego, po czym Jordan poczuł lekkie pieczenie. Chwilę potem kobieta cofnęła się o krok i rzuciła nań profesjonalne spojrzenie.

- Zrobione, krew zatamowana. Jeśli to pana interesuje, nos nie jest złamany. Byłaby szkoda, bo ma pan piękny nos. Ta część twarzy zsinieje, ale przy błękitach oczu nie powinno razić.

Jordan poczuł, jak jej spojrzenie przenika go, docierając aż do tego tajemnego miejsca, gdzie mężczyźni ukrywają łzy.

- Wygląda pan na człowieka, który przeżył dużo więcej niż tylko jeden paskudny dzień.

- Dużo więcej, jak sądzę. Dzisiaj zamordowano osobę, którą znałem.

- Niedawno w telewizji oglądałam wiadomości i mówiono o śmierci Geralda Marsalisa, syna burmistrza. Czy to pański krewny?

Gerald to przeszłość. To imię, które już do mnie nie należy...

- Był moim bratankiem. Christopher Marsalis jest moim bratem.

Jordan nie mógł pojąć, w jaki sposób ta kobieta zdołała wyciągnąć z niego te głęboko ukryte rzeczy, a na dodatek sprawić, że uznaje on to za fakt zupełnie naturalny.

- Bardzo mi przykro.

- Był to trudny chłopak i miał za sobą równie trudne życie. Najwyraźniej nie dane mu było mieć lepsze.

Lysa zrozumiała, że to pozornie cyniczne zdanie kryje w sobie dużo więcej, i już o nic nie pytała. Jordan podniósł się i wziął kask i torbę.

- No dobrze, już wystarczająco pani przeszkodziłem. Dobranoc i jeszcze raz przepraszam.

Kierował się w stronę drzwi, kiedy ciepły i spokojny głos Lisy zatrzymał go.

- Proszę posłuchać, czuję się winna, widząc, jak pan odchodzi w tym stanie. Jeśli pan chce, może się pan tu zatrzymać na noc. Dom pan zna. Są dwie sypialnie i dwie łazienki, więc nie będziemy sobie przeszkadzać. Jutro zdecyduje pan, co robić dalej.

- Pani mąż nie będzie miał nic przeciwko temu, że tu przenocuję?

Jordan patrzył zawsze ludziom w oczy. Wiedział, kiedy osoba kłamie, albo mówi prawdę, kiedy okazuje swój stan ducha, a kiedy próbuje go ukryć. A jednak nie potrafił nazwać tego, co zobaczył teraz w oczach Lysy.

- Biorąc pod uwagę fakt, że widział mnie pan p r a w i e ną, wydaje mi się, że dopełnienie dzieła może posłużyć ostatecznemu wyjaśnieniu wszelkich niedomówień między nami.

Lysa odsunęła poły szlafroka i tym razem stała przed nim zupełnie bez osłony. Czas był kawałkiem przezroczyściego plastiku. Jordan miał wrażenie, że gdyby Lysa zrzuciła szlafrok na ziemię, ten zatrzymałby się w powietrzu jakby za sprawą czarów, razem z ich oddechami. Tylko czas potrafi zachować się tak nieuprzejmie i pozwolić takim chwilom przeminąć. Zaraz potem Lysa znów znikła w objęciach lekkiego okrycia. Jej głos był tak samo wyzywający jak jej twarz.

- Jak mógł pan osobiście stwierdzić, jestem jednocześnie panią i panem Guerrero.

Jordan szukał gorączkowo odpowiednich do tej sytuacji słów. Lysa zdawała się czytać mu w myślach.

- Nie ma powodu, żeby coś pan dodawał. Cokolwiek pan powie, słyszałam to już przynajmniej sto razy.

Lysa zawiązała pasek szlafroka i tym prostym gestem rozładowała chwilę zmieszania. Pochyliła się do kuferka, wyjęła słoiczek pastylek i postawiła go na granitowym blacie kuchni.

- Dobranoc, Jordan. Gdyby poczuł pan ból, proszę wziąć dwie z tych pastylek.

Odwróciła się, ruszyła korytarzem i znikła w drugiej części mieszkania. Jordan został sam, podszedł do okna i za szybami ujrzał znajomy widok. Noc, światła, samochody i owo niemal nadnaturalne pulsowanie dymiących studzienek kanalizacyjnych.

Wmieszani w to wszystko byli ludzie, którzy mieszkali w tym mieście albo, którzy przyjeżdżali tu w poszukiwaniu czegoś, czego i tak znaleźć nie mogli, jak zresztą w żadnym innym miejscu. Tutaj było po prostu więcej miejsc, gdzie można było szukać.

W gruncie rzeczy tym, czego wszyscy chcieli, była iluzja.

Z otwartego okna niższego piętra zabrzmiała, ze zbyt głośno nastawionego stereo, przepełniona żalem piosenka. Jordanowi wydała się doskonała jako ścieżka dźwiękowa do tej właśnie chwili. Kiedy z nowym zainteresowaniem wsłuchiwał się w sens tekstu, zastanawiał się, ile razy Lysa wpatrywała się w morze, czując, że umiera w środku z powodu czegoś, co zostało jej odmówione.

*Teraz dopiero teraz  
kiedy moje spojrzenie łączy się z morzem  
roztrzaskuję tę ciszę  
która nie pozwala mi marzyć  
o rządach grotmasztów i tysiącu żeglarskich węzłów  
i śladach zimnych i leniwych węży  
z ich nienaturalnym chodem  
i liniach na księżycu, którego każda piędź  
jest miejscem, o którym trzeba zapomnieć  
i o sercu tym dziwnym sercu  
które na skale już potrafi żeglować...*

# CZEŚĆ DRUGA

## Rzym

### 10

*... Teraz dopiero teraz  
kiedy moje spojrzenie obejmuje morze  
rozumiem, kto szukał syren  
kto mógł pokochać ich śpiew  
słodki jak świąteczny dzień  
jak daktyle z miodem  
i silny jak wiatr, który mąci w głowie  
i lamie serce ludziom i żaglom  
i wtedy nie ma chwaty ani pragnienia  
którymi można się upajać albo  
które można w sobie zdusić  
ani kamienia młyńskiego, który w wiatraku  
ten głaz w sercu mógłby skruszyć...*

Nagie ramię mężczyzny wysunęło się spod prześcieradeł i wyciągnęło na łóżku jak wąż na gałęzi. Ręką sięgnęła do wbudowanego w ścianę prostokąta, gdzie leżał pilot sterujący sprzętem stereo i telewizją i lekkim przyciśnięciem palca przerwała muzykę wypływającą przez otwarte okno. Melancholijny, niegdysiejszy dźwięk akordeonu i smyczków zatrzymał się, zanim dotarł nad rzymskie dachy.

Potargana głowa Maureen Martini wysunęła się z płataniny prześcieradeł.

- Nie, daj mi jeszcze raz posłuchać - prosiła nadąsana.

Connor Slave odpowiedział, nie wyciągając głowy spod prześcieradła. Mimo że stłumiony przez koldrę, jego protest zabrzmiał zabawnie i Maureen wychwyciła w nim nawet odrobinę dziecięcego zadowolenia.

- Kochanie, czy zdajesz sobie sprawę, ile razy słuchałaś tej piosenki?

- Zawsze o jeden raz za mało.

- Nie bądź egoistką. A poza tym nie każ mi żałować, że ją napisałem. Pomyśl, ile razy ja jej słuchałem...

W końcu kędzierzawa głowa Connora wyłoniła się spod przykrycia, ziewnął i przetarł oczy, przeciągając się celowo w sposób, który upodabniał go do kota. Mimo że był muzykiem, jego gestykulacja była instynktowna i sugestywna, co na scenie podkreślało w niewidoczny sposób i nienachalnie dopełniało intensywność jego interpretacji. W życiu prywatnym, z kolei, lubił błaznować. Z wielkim zdumieniem Maureen odkrywała stopniowo wesołe oblicze tej tajemniczej planety, jaką był Connor Slave, który potrafił rozśmieszyć ją do łez, kiedy naśladował kota zabierającego się do wylizywania sierści.

- Proszę, zrób to!

- O, nie.

- Błagam, tylko chwilkę.

- Nie, bo inaczej utożsamię się i będziesz musiała ściągać mnie z dachów.

Maureen potrząsnęła głową i zrobiła nadąsaną minę, a tymczasem on wstał z łóżka zupełnie nagi podszedł do okna. Dziewczyna podziwiała jego szczupłe i dobrze zarysowane ciało, ciało, które mogło należeć do tancerza albo jakiegokolwiek sportowca uprawiającego gimnastykę. Ze swojego miejsca w łóżku widziała teraz jego ciemną sylwetkę rysującą się pod światło i falujące włosy, kiedy leniwie rozprostowywał mięśnie karku. Dziewczyna pomyślała, że to właśnie jest w rzeczywistości Connor Slave: personifikacja cienia. Należał do tej kategorii ludzi, których nie można było oceniać nieprecyzyjną i subiektywną miarą kanonów estetycznych. Był promieniującą całością, emanującą urokiem oderwanym od cech somatycznych, od ciała, ruchów, od koloru i wyglądu włosów.

Teraz Maureen wstała z łóżka i również naga podeszła i objęła go od tyłu. Powąchała jego skórę, która pachniała muzyką i mężczyzną, ale i nimi obojgiem, a kiedy to robiła, woń ta pomieszała się z zuchwałym niemal powietrzem, tak z siebie dumnej rzymskiej wiosny, i Maureen w owej chwili poczuła się szczęśliwa, i nie myślała o niczym.

Oparła głowę na jego ramieniu i trwała tak, wachając i podziwiając ten mały cud, jakim była jej skóra przylegająca do jego ciała. Lubiła sobie wyobrazać, że ktoś, może jakiś genialny alchemik rajfur, celowo sfabrykował ich naskórek z elementów dobranych specjalnie, żeby jeden przyciągał drugi. Potem poczekał cierpliwie na ich spotkanie, aby znaleźć potwierdzenie, że jego dzieło się powiodło. Jego triumfalny uśmiech stał się ich uśmiechem. Między nią a Connorem były słowa i szacunek, podziw, a czasem także forma zawstydzenia w obliczu ich wzajemnego ulokowania w świecie, jednak Maureen nie mogła się powstrzymać, żeby nie zadrzeć z rozkoszy przy każdym uścisku, który miał w sobie doskonałość, jaką stworzyć może jedynie przypadek.

- Jest coś, o co zawsze chciałam cię zapytać.

- Słucham.

- Jak to jest pisać piosenkę?

Connor odpowiedział, nie odwracając się, a jego głos zdawał się docierać bezpośrednio ze słonecznej panoramy, którą miał przed sobą.

- Nie potrafię ci wyjaśnić. Jest to dziwne wrażenie. Najpierw jest coś, co nie istnieje albo może istnieje już ukryte gdzieś w ciemności i chce być tylko znalezione i wydobyte na światło. Nie wiem, co odczuwają inni. Dla mnie jest to coś niespodziewanego, co wypływa z wnętrza, i choć jeszcze tego nie znam, już wiem, że potem nie będę mógł się bez tego obyć. Istnieją takie rzeczy, nad którymi, jak się nam wydaje, panujemy, a tym czasem to one całkowicie dominują nad nami. To jak gdyby...

Odwrócił się i spojrzał na nią, jakby dopiero teraz, obejmując ją wzrokiem, znalazł doskonale określenie. Jego głos zadrżał z emocji.

- Napisać piosenkę to jakby się zakochać, Maureen.

Z chwilą, kiedy zaczął się ich związek, ona zawsze wzbraniała się od określania go słowami, w obawie, że jakiś rzeczownik albo przymiotnik mógłby przypisać tej historii trwałość, jakiej nie miała. Teraz jej imię w połączeniu z tymi słowami dały dziewczynie poczucie słabości pozbawionej strachu, którą zdecydowała się nazwać w końcu miłością.

Trwali w objęciu, patrząc na słońce, które rozświetlało tę rzymską pocztówkę, złożoną z czerwieni dachów i błękitu nieba. Maureen mieszkała przy via delia Polveriera, na ostatnim piętrze starego domu należącego do jej dziadka. Piętro zamieniło się po przebudowie we wspaniałą dwupoziomowy apartament. Z tarasu,



zajmującego część dachu, rozciągał się niewiarygodny widok na panoramę Rzymu. Wieczorem można było wręcz jeść kolację bez dodatkowego oświetlenia, poza odbiciem Koloseum zanurzonego w smudze żółtego światła, które zabarwiało go stopionym złotem.

Connor odwrócił się do okna, nie wyzwalaając się jednak z jej objęcia.

- Dlaczego w żadnym innym miejscu na świecie nie ma się takich doznań?

Jakiś czas milczeli, przytuleni do siebie. Czuli, że Włochy, Ameryka i cała reszta świata mogą dotrzeć tylko do granicy tego pokoju, ale nigdy jej nie przekroczą.

Maureen zaczęła myśleć o tej zdumiewającej chwili, kiedy się poznali. Connor Slave był we Włoszech na tournée złożonym z sześciu koncertów promujących jego ostatni album Kłamstwa mroku. Tournée zorganizowała agencja widowisk Triton Communications, a organizatorką była jej najlepsza przyjaciółka, Marta Coneri. W dniu rzymskiego występu wpadła do Maureen jak burza, co było charakterystyczne dla jej sposobu bycia, i niemal siłą zaciągnęła ją na koncert. Marta miała dar wprowadzania jej w dobry humor, a do tego zaletę absolutnie nieocenioną: była jedną z niewielu kobiet rzymskiego życia publicznego, która nie zwracała się do każdego per „kochanie”.

- Maureen, gdybym miała dom taki jak ten, to myślę, że też nieczęsto bym wychodziła. Ale między nieczęsto a nigdy jest spora różnica. A poza tym ten chłopak zasługuje na podróż dużo dłuższą niż stąd do Teatro Olimpico.

Nie przyjęła wymówek, a Maureen zrozumiała, że musiałyby znaleźć naprawdę ważne argumenty, żeby przekonać Martę. A ona, na chybیکا, nie potrafiła wymyślić nawet jednego. Tak, więc zasiadła w fotelu Teatro Olimpico obok pustego miejsca. Na widowni czuć było atmosferę bezładnej anonimowości, jaka z reguły charakteryzuje publiczność, choć obecny był cały liczący się Rzym i ten, który robił wszystko, żeby się liczyć.

Marta dołączyła do niej tuż przed rozpoczęciem koncertu i opadła na wolny fotel po jej prawej stronie.

- Bardzo dobrze. Praca skończona. Teraz rozkoszujmy się tym boskim zjawiskiem.

Maureen nie miała szansy odpowiedzieć, bo światła zaczęły powoli gasnąć, uciszając szum, jaki zawsze przebiega przez teatr przed rozpoczęciem każdego przedstawienia.

W całkowitej ciemności rozległo się gitarowe arpedżio, tak delikatne, że wręcz zmysłowe, dźwięk poskromiony i zatrzymany, który zdawał się krążyć dookoła ścian

sali. Siedząc tam, w ciemności, Maureen miała wrażenie, że muzyka rozbrzmiewa bezpośrednio w jej głowie. Potem snop światła z góry rozjaśnił środek sceny i w tym kręgu tak białym, że wydawał się niemal fluorescencyjny, pojawił się Connor w ciemnym ubraniu z kołnierzem w stylu koreańskim, o niemal mniszej surowości. Głowę pochylał w stronę publiczności, ręce zaś spływały niedbale wzdłuż ciała. W dłoniach trzymał skrzypce i smyczek.

Do dźwięku gitary dołączył nagle niski i mętny podkład elektroniczny, wibracja, która zdawała się docierać z ziemi bezpośrednio do żołądków widzów.

Po tym harmonicznym zwrocie, stojąc cały czas w tej samej pozycji, Connor Slave zaczął śpiewać i powoli podnosić twarz. Rzadka uroda jego ochryplego głosu zepchnęła nagle na drugi plan tło muzyczne. Było to jak pocieranie dwóch arkuszy papieru ściernego o warstwę miodu. Delikatność, a zarazem celność, z jaką ten człowiek umiał nawiązać kontakt ze słuchaczem, sprawiło na Maureen absurdalne wrażenie, że ten śpiew poświęcony jest wyłącznie jej. Po czym rozejrzała się po zanurzonej w półmroku sali i z wyrazu twarzy widzów wywnioskowała, że być może każdy z obecnych w teatrze miał podobne odczucia.

Piosenka nosiła tytuł Pogrzebane niebo. Była to delikatna muzyka z tekstem pełnym bólu, który jakiś krytyk, prawdopodobnie w oparach kadzidła, napiętnował i ulokował na granicy bluźnierstwa. Tekst mówił o Lucyferze, zbuntowanym aniele, który w mrokach piekieł oplakuje samego siebie i konsekwencje swojej winy, która wynikała nie tyle z buntu przeciwko Bogu, ile z odwagi myślenia.

Maureen wysłuchiwała muzyki i słów i zastanawiała się, co mogło się dzieć w duszy kogoś, kto je napisał.

*Wydaje mi się dziwne wskazać jeden dzień i  
powiedzieć proszę to właśnie ten, że jeden dzień  
tylko to mrugnięcie powiek na nieruchomej  
twarzy wieczności dzień, kiedy napelniając się  
złą miłością zmieniłem zasady wszystkich pomysłów.*

*Wydaje mi się dziwne, że to ja jestem najlepszy  
żeby powiedzieć „Teraz niebo już mi nie odpowiada,  
z horyzontem, który pochłania słońce*

*i spowija mrokiem wszystko wokół siebie  
dzień, kiedy ufając Bogu już nie człowiekowi  
wziąłem ciemność za przebaczenie.*

W refrenie do głosu Connora Slave'a dołączył czysty jak kryształ głos przepięknej wokalistki, która wyłoniła się z półmroku sceny, żeby dzielić z nim światło i uwagę publiczności. Były to dwa głosy całkowicie różne pod względem barwy i brzmienia, jednak zwały się ze sobą dzięki tak doskonałemu i delikatnemu zestrojeniu, że wydawały się jednym. W tej zgodnej, co do sylaby jedności wokalnej krył się dokładny sens tego, co śpiewali, światło i cień, żal i duma, rozpaczliwe poczucie pożegnania, spowodowane wyborem niedopuszczającym powrotu.

*Anioł, którego chciałeś obok siebie  
anioł odleciał  
odleciał stąd.*

Był w tym ból choroby i ulga z jej wyleczenia.

Nie znając przyczyny, Maureen poczuła instynktownie coś, czego się natychmiast zawstydzila. Zrodziło się w niej głupie i przenikliwe poczucie zazdrości w stosunku do dziewczyny o jasnym głosie, która z oddaniem i uniesieniem, jakie z trudem mogliby udawać, dzieliła fragment życia i muzyki z mężczyzną na scenie.

Stan ten jednak szybko minął, jak po zażyciu lekarstwa, bo w tej właśnie chwili Connor Slave przestał śpiewać i ułożył skrzypce na ramieniu. Kiedy zaczął grać i do Maureen dotarły dźwięki muzyki, on znikł. Jego ciało było tam, przed nimi, ale on na pewno przebywał w tym momencie gdzie indziej, w jakimś świecie równoległym, i trzymał uchylone przejście tak, aby każdy mógł za nim podążyć. Być może pod wpływem piosenki, którą właśnie usłyszała, i tego nadprzyrodzonego talentu Maureen zyskała przekonanie, że jeśli diabeł naprawdę istnieje, stoi teraz przed nią i gra na skrzypcach. Koncert trwał, potem się skończył, ale już przez cały czas Maureen nie mogła ani przez chwilę uwolnić się od nieokreślonego uroku tego artysty mającego dar bycia wszędzie. Był z publicznością, która go słuchała, z orkiestrą, która mu akompaniowała, i z muzyką, którą grał, i należał do każdego, kto chciałby z nim pójść, a jednocześnie nie było go nigdzie i nie należał do nikogo.

Obserwując wyraz jego twarzy, kiedy otrzymywał nieocenioną zapłatę w postaci aplauzu, Maureen pomyślała, że dla niego praca jeszcze się nie skończyła, ale dopiero się zaczyna. Tak jakby dla Connora Slave'a prawdziwą pracą było codzienne życie, a jedyna możliwość prawdziwego życia zawierała się w tych niewielu godzinach muzyki, pogwałconych przez życzliwe światło sceny.

Potem, jak to zawsze bywa, magia prysła wraz z opadnięciem kurtyny. Zapaliło się światło, które zazwyczaj rozjaśnia normalny świat, i każdy z widzów wyszedł z tego rodzaju zbiorowej hipnozy, żeby odzyskać własną tożsamość w płataninie marynarek, krawatów i kolorowych strojów.

Marta odwróciła się do niej z wyrazem triumfu.

- Co ci mówiłam? Jest wielki czy nie?

- Absolutnie nadzwyczajny.

- Jest jeszcze coś więcej. Mała niespodzianka. Dlatego chciałam, żebyś też tu była. Zgadnij, gdzie idziemy teraz na kolację?

- Marta, nie sądzę, żeby...

Przyjaciółka przerwała jej tonem i z miną kogoś, kto stwierdza oczywistość i wyciąga z tego wnioski.

- A niby gdzie? Twój ojciec jest właścicielem jednej z najlepszych restauracji w Rzymie, jeśli nie we Włoszech. Jest tak sławny, że ma nawet jedną w Nowym Jorku. Jesteś moją przyjaciółką i na dodatek, dzięki jakiemś nieprawdopodobnemu układowi gwiazd, udało mi się wyciągnąć cię dziś wieczorem z domu. Według ciebie, gdzie miałabym zabrać genialnego Amerykanina, głodnego, pod każdym względem, starej Europy?

Marta nie przyjęła do wiadomości żadnych zastrzeżeń i wzięła mocno w swoje ręce dalszy rozwój wydarzeń.

Zaczekały przed garderobą, aż Connor skończy się przebierać, i po dokonaniu prezentacji zaprowadziła ich do ciemnej lancii thesis, która czekała przed wejściem. Usadowiła się obok kierowcy, zostawiając dla Maureen i Connora miejsca na tylnym siedzeniu. Zaczęli rozmawiać i poznawać się, podczas gdy samochód sunął powoli pośród rzymskiego ruchu w kierunku restauracji jej ojca przy via dei Gracchi.

- Jak to się stało, że mówisz tak doskonale po angielsku? Wydaje mi się, że jesteś bardziej Amerykanką niż ja.

- Moja matka jest z Nowego Jorku.

- I ma szczęście mieć ciebie za córkę i jednocześnie mieszkać tu, w Rzymie?

- Już nie. Moi rodzice są rozwiedzeni i matka wróciła do Stanów.

Marta włączyła się do rozmowy swoim folklorystycznym angielskim, silnie nacechowanym akcentem rzymskim.

- Może znasz matkę Maureen. Jest bardzo znaną adwokatką. Nazywa się Mary Ann Levallier.

Connor odwrócił się do niej, pytając znaczącym tonem:

- Ta Mary Ann Levallier?

- Właśnie, ta...

Z lakonicznej odpowiedzi Connor wywnioskował, że nie należy drażnić tego tematu. Odsunął trochę szybę samochodu, żeby wypuścić na zewnątrz niezręczną sytuację. Ten przejaw wrażliwości awansował go stopień wyżej w oczach Maureen. Już wcześniej poznała innych przedstawicieli świata artystycznego, głównie muzyków. Nigdy nie czuła do nich specjalnego pociągu. Mimo woli musiała stwierdzić, że pewni ludzie nie są tak wielcy jak ich muzyka.

Connor uśmiechnął się.

- Cóż, to, co ja robię, wydaje się bardziej niż oczywiste. A ty, czym się zajmujesz?

Wirujący entuzjazm Marty próbował odpowiedzieć za nią.

- Och, Maureen jest...

Z tylnego siedzenia przyjaciółka powstrzymała ją w locie spojrzeniem, zanim ta zaczęła swoją przyjacielską promocję.

- Maureen jest... dzielną dziewczyną.

Przybycie do restauracji urwało tę rozmowę. Maureen i jej przyjaciele otoczeni zostali uprzejmością i profesjonalizmem Alfreda, odwiecznego maitre'a tego lokalu, który znał ją od dziecka. Ich starym, żartobliwym zwyczajem uściskał ją i przywitał, wymawiając imię dziewczyny zgodnie ze ścisłymi zasadami dialektu rzymskiego.

- Ciao, Maurinne. Co za niespodzianka. Twoja obecność w tym miejscu to wydarzenie godne wiadomości telewizyjnych. Widocznie nie lubisz naszej kuchni. Szkoda, że nie ma twojego ojca. Jest chyba we Francji i wybiera wino. Mam nadzieję, że zaakceptujecie w zastępstwie biednego, starszego pana...

Marta przerwała mu w tym momencie, bzyząc jak pszczoła nad kwiatkiem.

- Alfredo, nie złapiesz nas na historię o starszym panu. Choć wydała na świat dwie córki, moja ciotka Agata wciąż wzdycha i przysięga, że nigdy cię nie zapomiała.

Nie było żadnej ciotki Agaty ani żadnego naprawdę starszego pana, a tylko radość tych, którzy są młodzi, i tych, którzy potrafili takimi pozostać. Maureen poczuła się nagle szczęśliwa, że postanowiła tego wieczoru towarzyszyć Marcie.

Alfredo wskazał im stolik i tak znaleźli się naprzeciw siebie, ona i Connor. On popatrzył na nią pytającym wzrokiem kogoś, kto nie zrozumiał nic z ich włoskiej konwersacji.

- M a u r i n n e ?

- Alfredo uważa angielski i mnie za dwie bardzo szczególne rzeczy.

Przyniesiono potrawy i jedząc, kontynuowali rozmowę. Ich uśmiechy stawały się coraz bardziej jawne i częste. Marta, nieoceniona i spontaniczna Marta, stopniowo potrafiła stać się niewidzialna i niema. Maureen dokładnie pamiętała moment, w którym Connor ostatecznie ją podbił. Stało się to, kiedy z ciekawości zapytała, jakiej muzyki słucha.

- Swojej.

- Tylko tej?

- Tak.

W tej monosylabie krył się cały spokój świata. Maureen popatrzyła na niego w poszukiwaniu próżności i pychy w jego oczach. A znalazła tam czyste spojrzenie człowieka, który jest świadomy, że ma wszystko, czego potrzebuje.

- A przecież to nie jest łatwa muzyka.

- Nic nie jest łatwe. Być może nawet ja nie jestem.

- A więc twój sukces pokazuje, że ludzie nie są tak głupi, jak się sądzi.

Connor uśmiechnął się rozbawiony jakby z żartu, który trwał od długiego czasu.

- Nie są tak głupi, jak się sądzi, i nigdy nie są tak inteligentni, jak byśmy chcieli.

Maureen przyjęła i przyswoiła to światło i rozbawienie tego uśmiechu, i od tamtej chwili, choć nie cały czas byli razem, już nigdy się nie rozstali.

Jak teraz, kiedy stali niczym dwie objęte chmury, patrząc na Rzym. Dzwonek telefonu zaskoczył ich i przypomniał, że pod tymi dachami, które zdawały się nie mieć końca, jest jeszcze świat, który ma koniec i ma cel. Maureen wyzwoliła się niechętnie z objęcia. Podeszła do stolika i podniosła słuchawkę.

- Halo?

- Cześć, Maureen, tu Franco.

Maureen westchnęła. Świat nie mógł być zamknięty na długo w szczęśliwych pokojach. Dokładnie teraz, poprzez ten telefon, świat pokonał barierę okna i w końcu udało mu się wejść do środka.

- Cześć, Franco. O co chodzi?

- Ustalili datę posiedzenia sądu. Na czwartek rano.

- Tak szybko?

- Obawiam się, że twój przypadek był zbyt widoczny na pierwszych stronach gazet, żeby spodziewać się większego odroczenia. Czy tymczasem zawiesili cię?

- Oficjalnie nie. Ale zostałam przydzielona do Akademii przy via Piero della Francesca z funkcją konsultanta. W praktyce jestem kimś w rodzaju woźnej.

- Wiem, że to trudne, Maureen. Ale, jeśli możesz, powinnaś dzisiaj do mnie wpaść. Mam pełnomocnictwa, które chcę ci dać do podpisu.

- Dobrze, za godzinę?

- Doskonale, czekam i...

Po drugiej stronie nastąpiła pauza trwająca ułamek sekundy. Dla Maureen był to jednak cały wiek.

- Cóż, chciałem powiedzieć, żebyś się nie martwiła.

- Nie, nie martwię się.

- Wszystko w porządku, Maureen?

- Oczywiście, wszystko w porządku.

Odłożyła delikatnie słuchawkę na stolik, mając jednocześnie ochotę roztrzaskać ją o szklany blat.

„Wszystko w porządku”.

Tymczasem nie było w porządku.

Nie było w porządku ze względu na to, co zawsze robiła z pasją i wolą prawdy, nie zważając na noce przerywane dzwonkiem telefonu. Nie było w porządku ze względu na osoby, które w przeszłości zapewniały ją głośno o całkowitym zaufaniu, a teraz ukrywały się w niedowierzającym milczeniu. Nie było w porządku ze względu na tego cudownego człowieka, który z nią był, ze względu na jej niezłomne oczekiwanie, że osoba taka jak on pojawi się wreszcie w jej życiu.

Nie było w porządku ani dla kobiety, którą była, ani dla komisarza z Komisariatu Casilino w Komendzie Policji w Rzymie Maureen Martini, która zaledwie przed dwoma tygodniami zabiła człowieka.

## 11

Maureen weszła w półmrok garażu, gdzie trzymała auto, oddalonego od jej domu około stu metrów. Duilio, zarządca parkingu, gdy zobaczył, że nadchodzi, wyszedł jej naprzeciw ze swojej przeszklonej budki. Był w wieku, który stawiał go poza wszelkim podejrzeniem, jednak w sympatyczny i czuły sposób deklarował zawsze, że ma do niej słabość. Maureen akceptowała te udawane zaloty, które trwały od dawna, ale nigdy nie stały się nachalne.

- Jeśli pani chce, przyprowadzę samochód, panno Martini. To zawsze przyjemność prowadzić takie cacko.

Maureen podała mu kluczyki.

- Niech będzie. Proszę iść i dobrze się bawić.

Duilio znikł w ciemności. Czekając na hałas swojego boxtera podjeżdżającego rampą, Maureen nie mogła powstrzymać się od myśli, jak bardzo, w normalnych warunkach, mogłaby się uważać za szczęśliwą dziewczynę. Ristorante Martini należała do jej rodziny praktycznie od zawsze i z czasem jej ojciec Carlo, dzięki błyskotliwemu zarządzaniu, potrafił przemienić lokal ze zwykłej trattorii, jaką był na początku, w jeden z punktów odniesienia dla wielkiej włoskiej kuchni. Kiedy poznał jej matkę i pobrali się, interes przeniósł się też za ocean i w Nowym Jorku istniała teraz słynna restauracja Martini's, gdzie nietrudno było spotkać na kolacji jakąś gwiazdę kina albo telewizji. Tymczasem jej matka stała się jednym z najlepszych specjalistów prawa karnego w mieście i w ten sposób, po trochu, ich małżeństwo rozłaziło się z powodu coraz większego dzielącego ich dystansu. Dystansu w czasie i przestrzeni, ale także różnic mentalności i charakteru.

Ale przede wszystkim z powodu niedającego się zredukować dystansu skończonej miłości.

Związek Maureen z matką tak naprawdę nigdy nie istniał. Zresztą, chłodny i pragmatyczny temperament Mary Ann Levallier pozostawiał niewiele miejsca dla czułego i pogodnego porozumienia, jakie łączyło Maureen z ojcem. Dlatego też w



chwili rozvodu postanowiła zostać i mieszkać z nim w Rzymie, a po dyplomie na wydziale prawa zdecydowała się wstąpić w szeregi włoskiej policji.

Maureen doskonale pamiętała, jak bardzo źle matka przyjęła jej decyzję. Siedziały w restauracji w ogrodzie hotelu Hilton, gdzie Mary Ann zatrzymywała się, kiedy przyjeżdżała do Rzymu. Była jak zwykle doskonała i oficjalna w kostiumie Chanel i w maniackalnej dbałości o własny wygląd w najdrobniejszych nawet szczegółach.

- Policja, mówisz? Co za niemądry pomysł. Myślałam raczej o przyszłości dla ciebie w Nowym Jorku. W mojej kancelarii zajmujemy się wieloma sprawami odnoszącymi się do Włoch. Mogłaby to być wielka przyszłość dla dwujęzycznego adwokata z twoim przygotowaniem.

- Czy nie mogłabyś, chociaż raz, mamó, postawić tego, czego ty byś dla mnie chciała, na drugim miejscu w stosunku do tego, czego ja pragnę dla siebie?

- Sądząc po tym, co mi przed chwilą powiedziałaś, wątpię, czy masz jasne wyobrażenie na temat własnych zamiarów.

- Och, nie. Muszę cię zmartwić, ale jest ono bardzo jasne. Pragnę pracy, która pozwoli mi łapać przestępców i wsadzać ich do więzienia, niezależnie od zarobków. Twoja praca polega na czymś dokładnie odwrotnym, pomagasz przestępcom wychodzić z więzienia w zależności od tego, ile na tym zarabiasz.

Czasami matka zaskakiwała ją bardzo niewybrednym językiem.

- Jesteś suką, Maureen.

Maureen pozwoliła sobie wreszcie na luksus anielskiego uśmiechu.

- Tylko trochę, ze strony matki...

Wstała i odeszła, pozostawiając Mary Ann Levallier nad sałatką z krewetek, która prawdopodobnie ją irytowała, bo nie pasowała odcieniem do jej bluzki.

Duilio wyprowadził porsche z odsłoniętym dachem z podziemnego poziomu garażu i zatrzymał się obok Maureen. Wysiadł z samochodu i przytrzymał otwarte drzwiczki.

- Proszę bardzo. Koniec zakazanego marzenia.

- Jakiego zakazanego marzenia?

- Znaleźć się pewnego pięknego dnia na ulicach Rzymu w takim samochodzie, przy takiej pogodzie, z kobietą tak piękną jak pani.

Maureen wsiadła i uśmiechnęła się do niego, zapinając pas.

- Czasami trzeba się ośmielić, Duilio.

- W moim wieku? Kiedy byłem młody, obawiałem się, że kobiety mi odmówią. Teraz myślę z przerażeniem, że mogą się zgodzić.

Maureen była zmuszona się zaśmiać, choć w owej chwili nie szło to w parze z jej stanem ducha.

- Miłego dnia, Duilio.

- Nawzajem.

Porsche był to prezent od ojca. Ten dar sprawił jej ogromną przyjemność, ale był też bez wątpienia symbolem, lokującym ją wśród osób zamożnych. Maureen była przez naturę obdarzona wstrzemięźliwością każdej pewnej siebie osoby. Nie korzystała często z tego samochodu, a już szczególnie jeżdżąc na komisariat. Z uwagi na zasady współżycia wołała nie dostarczać kolegom powodów, by uważali ją za bogatą dziewczynę, która postanowiła wstąpić do policji ze snobizmu.

Włączyła się do ruchu i prowadziła spokojnie przez plątaninę uliczek, aż wjechała w via dei Fori Imperiali. Ukryta za okularami słonecznymi, starała się ignorować spojrzenia kierowców, którzy zatrzymywali się obok niej na światłach. Niektóre z nich były porozumiewawcze, inne ciekawskie, w większości zazdrosne.

Kiedy zjeżdżała w kierunku Tybru, odezwała się komórka leżąca na siedzeniu obok.

Wyciągnęła rękę i włożyła słuchawkę do ucha. Zaskoczył ją głos Connora.

- Cześć. Jestem samotnym mężczyzną blisko nieba. Kiedy wrócisz?

- Przecież dopiero wyszłam.

- Nie uwierzysz, ale to ta sama wymówka, którą Ulisses zaserwował Penelopie, kiedy wrócił po dwudziestu latach.

- A więc powinniśmy zsynchronizować zegarki. Nie minęło nawet dwadzieścia minut.

- Kłamiesz. Minęło przynajmniej dwadzieścia jeden.

Maureen była mu wdzięczna za radość, za ten beztroski ton. Wcale nie uważała, że jest to nie na miejscu. Connor doskonale wiedział, dokąd jedzie i w jakim stanie ducha. Był to jego sposób, żeby nie czuła się osamotniona w trudnym dla niej momencie.

- Dlaczego nie wyjdiesz na piękny spacer po Rzymie pooglądać się za dziewczynami, a za, powiedzmy, półtorej godziny nie odbierzesz mnie spod biura adwokata?

- Obiecaj mi, że potem pójdziemy wyłudzić kolację od twojego ojca.

- Nie znudziło cię jeszcze menu?

- Nie, dopóki jest gratis.

Maureen podała mu adres, gdzie ma na nią czekać, i zakończyła połączenie. Mimo ostatniego żartobliwego zdania, jeśli było coś, co zupełnie nie zajmowało Connora, to właśnie pieniądze. Choć jego płyty zaczęły przynosić niezłe dochody, Maureen miała wrażenie, że on nawet nie zna stanu swego konta. Kiedy wychodziła z domu, rozmawiał przez telefon z Bono, wokalistą U2, i kiedy omawiali przyszły projekt, oczy błyszczały mu jak u małego chłopca.

Przejechała spokojnie wzdłuż Tybru w przerywanych błyskach słońca przebijających się przez listowie drzew rosnących wzdłuż ulicy. Sunęła bez pośpiechu, z odkrytym dachem i ciepłym, wiosennym powietrzem we włosach, i z lekkim uczuciem chłodu w sercu. Po jej lewej stronie koryto rzeki było niewyraźnym odbiciem za odgradzającym go murem. Była to brudna droga wodna, która przecinała na pół niewiele czystsze od niej miasto.

Ona, która spędziła życie między Włochami a Stanami Zjednoczonymi, mogła zrozumieć entuzjazm Connora w stosunku do Rzymu. Tutaj, na każdym kroku, oddychało się zapachem tego, co Amerykanie usiłowali uporczywie zbudować: przeszłością. Nikt tam nie brał pod uwagę, że przeszłości nie można zbudować według własnego widzimisię, ale że czasami zostaje narzucona przez fakty niezależne od czyjejkolwiek woli. Teraz, na nieszczęście dla nich, każdy, kto stawał przed ruinami Ground Zero, mógł zrozumieć, z jakim uczuciem przechodzi się obok tego, co zostało z Koloseum.

Ruiny. Tylko ruiny.

I wspomnienie bólu, które stopniowo bladło i stawało się obrazkami z widokówki.

Jeśli chodzi o Connora, nie uznała za stosowne wyjaśniać mu, że to miasto to tylko pozory. Rzym był kobietą Felliniego z filmowego plakatu. Był barwną bajzelmamą, rajfurką, która przyjmowała cię z porozumiewawczym mrugnięciem oka i otwartymi ramionami tylko po to, żeby sprzedać ci swoje dziwki.

Tymczasem przejechała przed Ministerstwem Marynarki i na placu delie Belle Arti skręciła w lewo na most Risorgimento. Wjechała w via Mazzini i zaraz za placem szczęśliwie znalazła miejsce do zaparkowania tuż przed kancelarią specjalizującego się w sprawach karnych mecenasa Franca Roberta.

Maureen podeszła do bramy, nacisnęła domofon i za chwilę rozległ się trzask zwalniający zamek przepięknie odnowionych, drewnianych drzwi wejściowych.

Weszła po schodach na pierwsze piętro, gdzie mieścił się gabinet jej obrońcy. Choć miała świadomość ryzyka zawodowego, nigdy by nie pomyślała, że tak szybko będzie jej potrzebny obrońca.

Kiedy zobaczył, że wchodzi do jego gabinetu, zapowiedziana przez sekretarkę, Franco wstał od biurka i ruszył jej naprzeciw. Był mężczyzną wysokim i szczupłym, o ciemnej karnacji i oczach, a włosach tak czarnych, że miejscami pobłyskujących granatowymi refleksami. Trudno go było nazwać pięknym, ale inteligencja wyraźnie przeświecała przez jego spojrzenie i twarz. Był jej genialnym kolegą w czasach uniwersyteckich, a po uzyskaniu dyplomu z najwyższą oceną zaczął wyznaczać nowy kurs ochrony prawnej nie tylko w Rzymie, ale w całych Włoszech. Maureen miała podejrzenie, że w czasach studenckich nie miałby nic przeciw temu, gdyby ich przyjaźń przerodziła się w coś więcej. Jednak wyłącznie przyjazne zachowanie Maureen zasugerowało mu, żeby dyskretnie zaniechał swoich zamiarów, jeśli takowe były, więc pozostało jedynie podejrzenie.

Franco podszedł i ucałował ją serdecznie w policzki.

- Cześć, komisarzu. Wszystko dobrze?

- Trochę tak, trochę nie. I przykro mi, że w tym momencie jesteś zmuszony reprezentować „trochę nie”.

- Zrobimy w ten sposób, żeby zamieniło się we „wszystko tak”.

Wrócił za biurko i otworzył skoroszyt, który leżał na blacie. Studiował go już zapewne długo przed jej przyjściem. Maureen usiadła naprzeciw niego w jednym z dwóch eleganckich skórzanych fotelików.

- Sytuacja jest nieco zagmatwana, ale myślę, że osoba z twoim doświadczeniem będzie mogła ze spokojem stawić czoło rozprawie.

- Franco, ty jesteś z natury osobą pozytywnie nastawioną, a ja nie jestem z natury negatywnie nastawiona. Ale nie sądzę, żebym się myliła, jeśli określe sytuację, jako wyjątkowo zagmatwaną.

- Czy chcesz jeszcze raz o tym porozmawiać?

Maureen skuliła się w ramionach. Ta historia już rujnowała jej życie, choć się jeszcze na dobre nie zaczęła. Wspólne popołudnie z Connorem nagle się oddaliło, zdawało się jej fragmentem życia, który sobie przywłaszczyła, wyważając drzwi, a który w rzeczywistości, jak wszystkie skradzione rzeczy, do niej nie należał.

- Dobrze.

Franco wstał i stanął tyłem do otwartego okna.

- Spróbuj zreasumować fakty.

- Był ten Albańczyk, Avenir Gallani. Pojawił się w Rzymie znikąd i zaczął krążyć po mieście luksusowymi samochodami, odwiedzać modne miejsca i obracać się w światku artystycznym, opowiadając, że jest producentem muzycznym i filmowym. Jego zachowanie i pieniądze, jakimi szastał, zaczęły rzucać się w oczy. Dotarł do nas sygnał, żebyśmy go mieli pod kontrolą, gdyż podejrzewano, że jest w jakiś sposób powiązany z mafią albańską, a w szczególności z handlem narkotykami na dużą skalę. Sprawdziliśmy, że w swoim kraju ma bardzo bogate akta sądowe i był wielokrotnie karany. Obserwowaliśmy go przez prawie rok i doszliśmy do wniosku, że Avenir Gallani jest kompletnym idiotą, dysponującym masą pieniędzy o niezbyt jasnym pochodzeniu, ale jednak kompletnym idiotą. Tymczasem on był spryciarzem. Ale jak może się przekonałeś, spryciarz nie potrafi powstrzymać się od zaimponowania swoim sprytem. I on wpadł właśnie w tę pułapkę. Wdał się w związek z jakąś gwiazdką telewizyjną, z tych, co dla kariery są gotowe na wszystko. Gallani zakochał się i za wszelką cenę chciał zaimponować swojej kobiecie. Umieściliśmy pluskwy w jego domu i pewnego wieczoru usłyszeliśmy, jak chwali się jej, że za kilka dni sfinalizuje interes wart miliony euro. Wtedy wyprodukuje film, w którym wreszcie ją wylansuje. Wzmocniliśmy kontrolę i śledziliśmy go dwadzieścia cztery godziny na dobę. Udało nam się w końcu odkryć, że w lesie w Manzianie, na północ od Rzymu, przy via Braccianese, nastąpi wielki przerzut narkotyków, które Avenir rozprowdzi potem swoimi kanałami. Przygotowaliśmy, więc akcję we współpracy z policją w Viterbo. Przyjechaliśmy na miejsce i złapaliśmy ich na gorącym uczynku. Wszystkie zamieszane osoby, poza Gallanim, zostały zatrzymane. Kiedy zobaczył, jak nadjeżdżamy, udało mu się prześlizgnąć przez kordon policyjny i uciec. Ruszyłam za nim przez las i dotarliśmy na małą polanę, gdzie stało bmw. On podbiegł do samochodu, otworzył drzwiczki i pochylił się, żeby coś wziąć ze środka. Kiedy się wyprostował, w ręku miał pistolet, wycelował we mnie i strzelił.

- Ile razy?

- Raz.

- A ty, co zrobiłaś?

- Odpowiedziałam.

Słowa Maureen zadźwięczały w pokoju sucho, jak tamten strzał z pistoletu.

- I zabiłaś go.

Ton zdania był twierdzący, nie pytający. Maureen odpowiedziała monosylabą, która zdawała się jej podpisem pod zeznaniem.

- Tak.

- I co stało się potem?

- Usłyszałam hałas dochodzący z krzaków po mojej prawej stronie. Schowałam się za drzewem, a potem zagłębiłam się w las. Rozglądałam się wokół, ale nie zobaczyłam ani nie usłyszałam nikogo. Doszłam do wniosku, że było to jakieś zwierzę spłoszone strzałem.

- Co zrobiłaś potem?

- Wróciłam w pobliże samochodu.

- Co zobaczyłaś?

- Ciało Avenira Gallaniego w tej samej pozycji, w jakiej upadło.

Maureen nie potrafiłaby nigdy zapomnieć owej chwili. Pierwszy raz w życiu zabiła człowieka. Stała jak wykuta w kamieniu, patrząc na wyciągnięte na ziemi ciało z otwartymi ustami, jakby właśnie tamtędy uszło z niego życie, a nie przez suchy i poszarpany otwór na wysokości serca, z którego wypłynęła krew, tworząc kałużę na wilgotnej trawie. Wokół niej migwały światła, rozlegały się okrzyki, wydawane stanowczym głosem rozkazy, słychać było nadjeżdżające samochody i na żwirze szcęk kół wozów, które odjeżdżały. Ona mogła tylko tam stać, z ręką wciąż ściskającą pistolet, opuszczoną wzdłuż biodra, sama w obliczu ogromnej odpowiedzialności odebrania ludzkiego życia. Ktoś powiedziałby, że Avenir Gallani sam sprowokował to, co się stało, i w pełni sobie na to zasłużył. W istocie, usłyszała za plecami kroki i dotarł do niej lapidarny komentarz kogoś z oddziału:

- Jeśli żyjesz, próbując dać w dupę światu, nieuchronne jest, że prędzej czy później świat da w dupę tobie.

Jeszcze teraz miała ten głos w uszach, ale nie mogła przypomnieć sobie, do kogo należał.

Profesjonalny głos mecenasa Franca Roberta nałożył się na głos ze wspomnienia.

- A pistolet?

Maureen wymazała tamten obraz z głowy i wróciła do pokoju.

- Pistoletu już nie było.

- Już nie było czy wcale nie było? Maureen poderwała się gwałtownie na nogi.

- Co za pytanie mi zadajesz?

Franco potrząsnął głową. Maureen zrozumiała, że właśnie oblała egzamin.

- To nie ja cię o to pytam. Zapyta cię o to prokurator. I nie sądzę, że tak powinnaś zareagować.

Maureen z powrotem opadła na fotel.

- Wybacz, Franco. Mam nerwy w strzępach.

- Rozumiem. Ale to nie jest właściwy moment, żeby tracić kontrolę.

Maureen zbuntowała się przeciw ojcowskiemu zachowaniu przyjaciela.

- Franco, ten człowiek miał pistolet i użył go przeciwko mnie. Nie jestem wariatką, a tym bardziej kłamczuchą. A przede wszystkim nie jestem głupia. Dlaczego miałabym wciąż upierać się przy tej wersji również przy tobie?

Milczenie jej rozmówcy pchnęło ją w lepkie objęcia rozpacz.

- Ale ty mi wierzysz?

- Nie jest ważne, w co ja wierzę, Maureen. Płacą mi za to, żebym myślał i dawał do myślenia. A to, co muszę zrobić teraz, to zastanowić się, jak przekonać sędziów, że ten pistolet tam był.

Maureen odniosła wrażenie, że tak naprawdę Franco nie odpowiedział na jej ostatnie pytanie. Zastanawiała się, jak będzie mógł przekonać kogokolwiek o jej niewinności, jeśli on sam, jako pierwszy nie był o tym przekonany.

Być może prawnik odczytał te myśli z jej twarzy, bo spróbował złagodzić napięcie.

- Zobaczysz, że wszystko będzie dobrze. Chcę naprawdę mieć tę satysfakcję i zainkasować pokaźny czek z pieczęcią Policji Państwowej.

Każdy przedstawiciel prawa, który zabije człowieka w czasie wymiany ognia w trakcie akcji policji, musi zostać poddany postępowaniu karnemu. W przypadku, jeśli sprawca zostaje uznany za niewinnego, Policja Państwowa zobowiązana jest wziąć na siebie ciężar opłat sądowych.

Franco dał jej do podpisania potrzebne mu pełnomocnictwa i upoważnienia, i to zanurzenie się w biurokratyczne formalności zagęściło jeszcze atmosferę nieuchronności, jaka zapanowała w gabinecie. W końcu czynności urzędowe, z którymi związane było jej przyszłe życie, zostały przypieczętowane ostatnim podpisem. Maureen wstała i podeszła do okna. W dole toczyło się życie jednego z kolejnych rzymskich wieczorów. Ruch samochodów był powolny, chaotyczny i kłótny. Dostrzegła z góry kędzierzawą głowę Connora, który zbliżał się aleją, maszerując spokojnym krokiem. Podeszedł pod bramę kamienicy i podniósł głowę, żeby sprawdzić numer na tabliczce.

Maureen po raz pierwszy, odkąd tu weszła, uśmiechnęła się.

Franco stanął obok, śledząc kierunek jej spojrzenia.

- Ta osoba wygląda, jakby przyszła tu z twojego powodu.

- Też tak sędzę.

- Nie potrafię nazwać sposobu, w jaki mi to powiedziałaś, ale myślę, że najwyższy czas, byś usłyszała, że nie jesteś mi już potrzebna.

Maureen odwróciła się i złożyła lekki pocałunek na jego policzku.

- Dziękuję, Franco. Dziękuję za wszystko.

- Idź. Nikt nie zasługuje na mękę czekania na ciebie. Owładnięta szczęśliwym niepokojem, pojęła elegancką wymowę tych słów dopiero po opuszczeniu gabinetu. Ruszyła schodami w kierunku wyjścia z wyraźnym uczuciem oswobodzenia. Fakty i wspomnienia, z którymi musiała jeszcze niedawno się zmierzyć, wytworzyły coś w rodzaju powietrznej próżni w jej żołądku, wywołanej brakiem Connora.

Przy nim czuła, że jest gdzie indziej. Przy nim czuła się bezpiecznie. Maureen, z niedowierzaniem typowym dla każdej zakochanej osoby, uśmiechnęła się na myśl o dziwaczności tego doznania. Czuć się chronioną przez człowieka, który mierzył się z życiem całkowicie bezbronny. Silna siłą tego, kto miał na nią czekać na zewnątrz, uwolniła zatrzask drzwi i wyszła na ulicę. To, co stało się zaraz potem, miała zapamiętać na całe życie w formie rytmicznej sekwencji obrazów, odtwarzanej niczym slajdy.

Suchy hałas zamykanych drzwi.

Twarz Connora, czekającego na nią pod drzewem po drugiej stronie alei.

Uśmiech, jakim odpowiedział na jej uśmiech, kiedy przechodził w jej kierunku przez ulicę.

Blask w jego oczach, które patrzyły na nią tak, jak zawsze pragnęła, żeby mężczyzna na nią patrzył.

Odległość jednego kroku.

Zgrzyt opon voyagera z przyciemnionymi szybami, który nadjeżdżał z umiarkowaną szybkością i zatrzymywał się obok nich.

Ludzie wyskakujący z samochodu.

Czterech mężczyzn, którzy tego wieczoru zapowiadającego się tak magicznie założyli im czarne kaptury na głowy i wciągnęli do wozu.



## 12

Ciemność.

Niewyraźny zapach pleśni sukna, które zamykało jej twarz w zakurzonej ciemności. Podskoki i gwałtowne skręty pojazdu poruszającego się ulicami Rzymu. Hałaśliwy przejazd kół po terenie wybrukowanym kostką. Lepki węzeł natychmiast unieruchomił jej nadgarstki, a jakakolwiek próba krzyku została stłumiona w zarodku kneblem z szorstkiej tkaniny kaptura. Wszelka możliwa próba reakcji z jej strony została powstrzymana głosem o lekko obcym akcencie, który wyszeptał jej do ucha:

- Nie ruszaj się albo twój mężczyzna zginie.

Na potwierdzenie tej groźby Maureen poczuła ostry czubek noża dotykający wrażliwej skóry na szyi. Wyobraziła sobie, że ktoś inny powiedział to samo Connorowi, i strach o jego strach pograżył ją w rozpacz czarniejszej od ciemności, w jakiej była uwięziona.

Pozostała nieruchoma i niema przez cały czas podróży. Upewniony brakiem reakcji z jej strony, siedzący obok mężczyzna złagodził po jakimś czasie nacisk ostrza na jej szyję. W pierwszej chwili Maureen usiłowała znaleźć punkty odniesienia pozwalające rozpoznać trasę przejazdu, ale jego trwanie tak się przeciągało, że wszelka próba zapamiętania czegokolwiek stała się daremna.

Ze stopniowego zmniejszania się ilości przystanków, które Maureen interpretowała, jako postoje na światłach, wywnioskowała, że oddalają się od centrum. Kiedy jazda stała się płynna i nieprzerwana, założyła, że opuścili miasto i jadą w jakimś kierunku poza Rzymem.

Po przejeździe, który zdawał się nie mieć końca, voyager zahamował, wykonując gwałtowny skręt. Maureen usłyszała, jak drzwi się otwierają, i silne ramiona wyciągnęły ją z siedzenia. Te same mocne i bezwzględne ramiona niemal uniosły ją nad ziemię, kiedy po omacku usiłowała postawić kilka kroków. Ucisk knebla na ustach zelżał. Zdjęto jej kaptur i znów mogła oddychać świeżym powietrzem wieczoru, które pachniało jak najlepsze perfumy. Pierwszą rzeczą, która uderzyła ją po długiej

ciemności, były kolory. Czerwień ziemi i zieleń roślin. Trzy ustawione promieniście samochody oświetlały niebieskawym światłem reflektorów coś w rodzaju obszernej groty wyżłobionej w gliniastym terenie, z dwoma przeciwległymi, obszernymi wejściami, zarośniętymi zakurzonymi krzakami. Niemal pośrodku sklepienia był otwór, przez który w ciemności nietkniętej przez reflektory dostrzec można było kilka białych gwiazd.

Po przeciwnej stronie klęczał Connor w bezlitosnym blasku oświetlającym cały widok. Koszulę i twarz pobrudzone miał ziemią. Maureen wyobraziła sobie, że stojący za nim mężczyzna pchnął go brutalnie na piach, zmuszając, by zaprezentował się na tej małej zaimprovizowanej scenie, gdzie pokazywano nędzny triumf siły nad upodleniem bezbronno człowieka.

Na przestrzeni dzielącej ją od Connora stał odwrócony do niej plecami mężczyzna.

Był wysoki i mocno zbudowany, ale nie ciężki. Część czaszki zwrócona w jej stronę ocieniona była końcówkami ogolonych praktycznie na zero włosów. Zza kołnierza skórzanej kurtki wyłaniał się rysunek tatuażu, który biegł od pleców w stronę prawego ucha niczym bluszcz po murze. Zapalił papierosa i Maureen zobaczyła dym unoszący się w świetle reflektorów.

Stał jeszcze przez chwilę nieruchomo w tej pozycji, po czym, jakby dopiero teraz przypomniał sobie o jej obecności, odwrócił się. Znalazła się naprzeciw twarzy o wyrazistych rysach, okolonej zmierzwioną brodą, która stanowiła naturalne przedłużenie króciutkich włosów.

Zimne, zapadnięte oczy, które się w nią wpatrywały, pozostawały w doskonałej zgodności z bezwzględny rysunkiem ust. W lewym uchu zwiślał dziwny kolczyk w kształcie krzyża z małym brylantem w środku, który towarzyszył ruchom głowy, odbijając i załamując światło. Maureen zauważyła, że kiedy na nią patrzył, wciąż potakiwał, jakby w niemej i posłusznej zgodzie na uwagi, które tylko on słyszał. Kiedy wreszcie wydobył z siebie głos, miał ten sam akcent, co człowiek, który mówił do niej w samochodzie, przykładając nóż do gardła.

- No to jesteśmy, pani komisarz. Mam nadzieję, że moi ludzie nie zmęczyli was za bardzo w czasie podróży.

- Kim jesteś?

- Wszystko w swoim czasie, panno Martini. A może mogę nazywać cię Maureen?

- Powtarzam, kim jesteś i czego chcesz?

Mężczyzna zignorował pytanie i w zamian zaproponował inne.

- Wiesz, gdzie jesteśmy?

- Nie.

- Dziwne. Myślałem, że rozpoznałaś miejsce.

Mężczyzna wykonał gest w stronę jednego z wejść do grotty.

- Kilkaset metrów stąd w tamtym kierunku niedawno zabiłaś człowieka.

Cisza zapadła na chwilę nad tą sceną niczym epitafium. Mężczyzna pochylił głowę i poruszył stopą ziemię, jakby pod nią pochowane było ciało tamtego człowieka.

- Właśnie. Jesteśmy w lesie Manziana. Jakie dziwne jest życie, że organizuje nasze powroty w pewne miejsca, prawda?

Podniósł gwałtownie głowę, niemal jakby chciał nadać większą siłę swojemu oświadczeniu.

- Nazywam się Arben Gallani.

Nazwisko to zawisło ze swoim obcym brzmieniem i stanowiło jednocześnie dzielący ich dystans i łączący ich związek.

- Jestem bratem Avenira Gallaniego, człowieka, którego zabiłaś.

- Ja nikogo nie zabiłam. Ty nie możesz wiedzieć, jak to się stało.

Arben rzucił niedopałek papierosa za snop światła reflektorów. Ostatni dym wydobył się z jego ust jak sentencja.

- Oczywiście, że wiem. Byłem tam.

Włożył rękę pod kurtkę i zza pleców wyciągnął pistolet, który miał wsunięty za pas. Pokazał go Maureen, trzymając go płasko, żeby mogła dobrze zobaczyć.

- Proszę. Poznajesz go.

- Nigdy w życiu go nie widziałam.

- A właśnie, że widziałas, choć tylko przez chwilę. To ten pistolet Avenir trzymał w ręku, kiedy do niego strzeliłaś.

Opuścił ramię wzdłuż boku, jakby pistolet stał się nagle zbyt ciężki.

- Byłem z nim tamtego dnia. Nie zgadzałem się na akcję i on o tym wiedział. Mimo wszystko poprosił, żebym mu towarzyszył, i nie udało mi się wymigać. Jesteśmy zawsze słabi wobec osób, które kochamy, prawda, Maureen?

Jego spojrzenie przeniosło się na chwilę na Connora. Maureen po raz pierwszy w życiu zrozumiała naprawdę, co znaczy słowo strach.

- Czekałem na niego w samochodzie i wszedłem do lasu wysikać się. Usłyszałem hałasy, pomyślałem, że coś poszło nie tak, i postanowiłem nie wychodzić. Potem, z drugiej strony nadbiegliście wy.

Wyciągnął z kieszeni paczkę papierosów i zapalił jednego. Mówił ze spokojem, jakby rzeczy, które opowiadał, nie dotyczyły jego, ale jakiejś innej osoby.

- Avenir był impulsywnym chłopakiem. Czasami za bardzo. Być może była też w tym moja wina. Powinienem był trzymać go bardziej pod kontrolą, nie pozwalać mu na robienie głupot.

Arben zrobił pauzę. Patrzył na nią, ale Maureen wiedziała, że jej nie widzi. Przeżywał na nowo tamtą scenę, tak samo jak ona przeżywała ją w pamięci dziesiątki razy.

- Rzuciłem kamieniem w krzaki, żeby odwrócić twoją uwagę. Kiedy się oddaliłaś, wyszedłem, wziąłem pistolet i znów się ukryłem. Wiem, że miałaś z tego powodu jakieś problemy, ale to nie moja sprawa.

Uśmiechnął się do niej słodko i Maureen nabrała przekonania, że ten człowiek jest szalony. Szalony i niebezpieczny.

- I teraz dochodzimy do powodu tego naszego spotkania. Myślisz, że chcę cię zabić? Nie, moja droga...

Mówiąc to, Arben Gallani zbliżył się powoli do Connora.

- Myślę, że nadszedł czas, żebyś ty też poczuła, co to znaczy stracić osobę, którą kochasz.

*Och, nie.*

Maureen zaczęła krzyczeć, nie zdając sobie sprawy, że robi to tylko w swojej głowie.

*nie nie...*

Arben Gallani uniósł gwałtownie dłoń, w której trzymał pistolet, i przyłożył go do skroni mężczyzny klęczącego u jego stóp.

*nie nie...*

Czując dotyk zimnej lufy, Connor instynktownie zamknął oczy. Maureen zobaczyła albo zdawało się jej, że widzi, jak knykieć Arbena bieleje przy naciskaniu spustu.

*nie nie...*

Strzał i głowa Connora rozerwała się. Bryzgi krwi pomieszanej z kawałkami mózgu dotarły aż do stojącego obok samochodu i poplamiały oświetlające ich

reflektory. Rozpacz Maureen spowodowała, że głos wydobył się wreszcie z jej suchego od kurzu i przerażenia gardła. Niekończący się krzyk, jaki towarzyszył padającemu bez życia ciału Connora, miał w sobie rozpalone żelazo, a także gniew i rozpaczliwe pożegnanie każdej kobiety bezsilnej w obliczu śmierci ukochanego mężczyzny. Connor osunął się na ziemię, wznosząc tuman piachu, który był lekki, ale wystarczająco duży, żeby pochować we wspólnej mogile ich marzenia, plany i życie.

Arben odwrócił się i popatrzył na niego z lekko uniesioną brwią. Maureen przekleła wyraz chorego miłosierdzia przyklejony do twarzy oprawcy.

- Nieprzyjemne, prawda?

Maureen widziała jego postać zniekształconą przez zatrute łzy, które wypływały jej z oczu.

- Zabiję cię za to.

Gallani wzruszył ramionami.

- To możliwe. Natomiast ty będziesz żyła. Żeby pamiętać. I nie tylko to...

Rzucił pistolet na ziemię. Broń poplamiała się krwią człowieka, którego przed chwilą śmiertelnie trafiła. Arben ruszył ociężale w jej stronę i kiedy stanął naprzeciwko, uderzył ją niespodzianie otwartą dłonią w twarz. Maureen odrzuciło w tył i zdziwiła się, że nie poczuła bólu, tak jakby cała jej zdolność cierpienia wyczerpana została w chwili śmierci mężczyzny, którego kochała, a który teraz leżał zakurzony w kałuży krwi. Poczula ręce stojącej z tyłu osoby, która ją przytrzymywała i wystawiała na furię swojego szefa. Gallani zrezygnował z używania pięści. Wymierzał jej ciosy w twarz, dopóki Maureen nie zobaczyła jego rąk poplamionych krwią. Ból upomniał się nagle o swoje. Maureen poczuła, że nogi się pod nią uginają, a coś ciepłego i lepkiego pokrywa zapuchnięte oczy i zabarwia łzy. Arben Gallani skinął w tym momencie głową. Mężczyzna, który ją podtrzymywał, zwolnił uchwyt i kiedy osunęła się na ziemię, ukląkł, żeby ją unieruchomić. Pozostali dwaj mężczyźni podeszli mu pomóc. Przykucnęli z obu jej stron, żeby uniemożliwić jakikolwiek ruch nóg.

Arben wyjął z kieszeni nóż sprężynowy, a odbicie światła w ostrzu zabłysło przez ułamek sekundy jak diament w jego kolecyku. Pochylił się i zaczął rozcinać jej spodnie. Maureen słyszała dźwięk rozdieranej tkaniny, któremu towarzyszyło uczucie zimna na skórze, w miarę jak ostrze ją odsłaniało. Przez zasłonę z krwi i bólu, która momentami przesłaniała wzrok, ujrzała mężczyznę stojącego między jej nogami. Zobaczyła, jak rozpina pasek i usłyszała dźwięk odsuwanej zamka błyskawicznego, przypominający brzęk szpady wypadającej z pochwy.

Arben ukląkł i położył się na niej. Poczula ciężar jego ciała, ręce, które ją obmacywały i rozwierały jej nogi, a potem gwałtowne uderzenie szorstkiej i wścieklej penetracji, bolesnej, jakby w upodleniu tego złączenia między ich ciała dostał się piasek. Maureen ukryła się we wspomnieniu pięknych chwil, które przeżyła, usiłując nie myśleć, że utraciła je na zawsze. Pozwoliła, żeby dużo większy ból znieczulił ją na ten gwałt fizyczny, który nic więcej nie mógł jej odebrać, poza tym, co już wcześniej w niej umarło. Kiedy ciosy w dole brzucha wstrząsały nią i ją unicestwiały, kilka centymetrów od jej twarzy dziwny kolczyk w kształcie krzyża poruszał się wciąż rytmicznie, odbijając światło reflektorów, i połyskiwał, połyskiwał, połyskiwał, poły...

Nie dotrwała do chwili, żeby poczuć obrzydzenie wywołane przekłątą rozkoszą oprawcy. Litość losu znalazła wreszcie bezpieczne schronienie. Kiedy wszystko zapadało się w ciemność, Maureen Martini pomyślała, jak bardzo boli umieranie.

# 13

Nadal ciemność.

Potem, stopniowo, przebudzenie przyniosło wspomnienie, a wspomnienie przekleństwa przebudzenia.

Poczuła, że leży między lekko szorstkimi prześcieradłami, a unoszący się w powietrzu zapach środka dezynfekcyjnego uświadomił jej, że znajduje się w szpitalu. Miała wrażenie, że jej ciało z waty unosi się gdzieś między chmurami, a jednocześnie odczuwała dziwny ucisk na twarz. Spróbowała poruszyć prawą ręką i dotarł do niej słaby odgłos rurki od kroplówki, która uderzała w blaszany stojak. Uniosła z trudem drugą ręką, żeby dotknąć oczu. Przeciągnęła palcami po miękkim kompresie z gazy przymocowanym plastrem. Gdzieś z oddali, z tego albo z innego świata, dobiegały głosy, które szeptały bezdźwięczne słowa. Nagle ten cichy dialog zamienił się w krótkie echo kroków, po czym rozległ się głos jej ojca, pełen niepokoju, którego nawet uczucie nie mogło zamaskować.

- Maureen, to ja.

Jej odpowiedź była jednocześnie powitaniem, ulgą i lamentem.

- Cześć, tato.

- Jak się czujesz?

Jak się czuję? Chciałabym, żeby ta ciemność znikła na zawsze i żeby nie widzieć już odtwarzanego w pamięci obrazu Connora padającego na ziemię. Albo ja sama chciałabym zniknąć na zawsze.

Skłamała.

- Dobrze. Gdzie jestem?

- W poliklinice Gemelli.

- Jak długo?

- Przywieźli cię w bardzo złym stanie. Przez dwa dni utrzymywali cię w śpiączce farmakologicznej.

- Skąd wiedzieliście, gdzie jestem?

- Kiedy was porwali, Franco, twój adwokat, stał w oknie i wszystko widział. Natychmiast zawiadomił policję. Niestety, nie zdołał dostrzec numeru rejestracyjnego i dlatego poszukiwania ograniczyły się do typu samochodu, jaki opisał. Potem był telefon...

- Jaki telefon?

- Mężczyzna zadzwonił do twojego komisariatu i powiedział, gdzie możemy cię znaleźć. Mówił z obcym akcentem.

Nagle przypomniała sobie twarz Arbena Gallaniego i jego głos po huku wystrzału: „Nieprzyjemne, prawda?”.

I ten kolczyk w kształcie krzyża, który bujał się i połyskiwał przed jej oczami, kiedy...

Zadała pytanie, które paliło ją od środka razem z głupią iluzją, że nic z tego, co przeżyła, nie było prawdą.

- A Connor?

- Connor, niestety, nie żyje. Władze amerykańskie interweniowały i po niezbędnych formalnościach zaopiekują się nim. Za kilka dni zostanie przewieziony do Stanów. Nie wiem, czy to, co ci powiem, może być dla ciebie jakąś pociechą...

- Co takiego?

- Connor już stał się mitem. I jak wszystkie mity będzie żył wiecznie.

Maureen z trudem powstrzymała się od krzyku.

To niesprawiedliwe, że będzie żył wiecznie. Miał prawo przeżyć swój czas, a ja miałam prawo spędzić ten czas z nim.

Jednocześnie z tą myślą dotarła do niej mroząca krew w żyłach świadomość, że to ona była przyczyną wszystkiego, bo w dniu, kiedy strzeliła do Avenira Gallaniego, tym samym nabojem zabiła Connora. Odwróciła instynktownie głowę w drugą stronę, żeby nie pokazać niewidocznych łez, wypływających pod opatrunkiem i wchłanianych jak krew przez lekką tkaninę. Zapłakała nad sobą i nad tym cudownym chłopakiem, który zdołał ją ledwie musnąć, nim powiedział żegnaj. Zapłakała nad złem, które ktoś jest zdolny czynić, a kto inny zmuszony jest odbierać. Płakała w milczeniu, czekając, że z nieba albo z piekła dotrze do niej głośny dar gniewu.

Potem jej kobiece ciało poddało się temu nieskończonemu cierpieniu i ustały także łzy.

- Kiedy zdejmą mi bandażę?

Drugi głos, niski i głęboki, przyłączył się do głosu Carla Martiniego.



- Panno Martini, jestem doktor Covini, ordynator oddziału okulistyki szpitala Gemelli. Jest pani silną osobą, więc będę z panią rozmawiał z całkowitą szczerością. Niestety, mam dla pani złą wiadomość. Prawdopodobnie istniała u pani wcześniej wrodzona wada, której nie była pani świadoma, ale przemoc, jakiej pani doznała, wywołała to, co w języku medycznym nazywa się pourazowym bielmem kontaktowym. Mówiąc prościej i przystępniej, chodzi o nieodwracalne uszkodzenie rogówek.

Maureen potrzebowała chwili, żeby uzmysłwić sobie taką diagnozę.

Po czym owładnęła ją tak gwałtowna wściekłość, jakiej żaden człowiek na tej ziemi nie byłby w stanie opanować.

Nie!

Nie pozwoli na to.

Nie pozwoli, żeby Arben Gallani pozbawił ją nie tylko wzroku, ale także możliwości zemsty. Jej głos, głos, który w końcu rozpoznawała, wydobył się z ust przez zaciśnięte szczęki.

- Jestem ślepa?

- Technicznie tak.

- Co znaczy „technicznie tak”?

Maureen była zadowolona, że nie widzi wyrazu twarzy, który - jak sobie wyobrażała - mógł odpowiadać tonowi głosu lekarza.

- Istnieje możliwość chirurgicznego przeszczepu. Robiono już coś takiego ze sporą szansą na powodzenie. W pani przypadku jest, niestety, pewien problem. Spróbuję wytłumaczyć, jak to działa. Rogówka dawcy jest zawsze obcym ciałem, które wprowadza się zręcznie do oka biorecy. Z tego powodu musi być użyta rogówka, którą określa się, jako wytypowaną, to znaczy zgodna z kompleksem zgodności tkankowej biorecy. W przeciwnym wypadku, w chwili, kiedy nowa rogówka zostaje przeszczepiona do oka biorecy i nie zostaje rozpoznana ani przyjęta przez organizm, pojawia się owa reakcja, potocznie nazywana odrzuceniem. Z badań krwi i analiz histogenetycznych wynika, że jest pani osobą określaną w medycynie, jako *tetragametica*.

- Co to znaczy?

- Powstała pani z dwóch komórek jajowych i dwóch plemników. W praktyce dwa różne jajeczka pani matki zostały zapłodnione przez dwa różne plemniki pani ojca. W bardzo wczesnym stadium rozwoju dwa embriony połączyły się, dając początek

jednemu embrionowi, w którym współistnieją dwa rodzaje genetycznie odmiennych komórek. Niestety, w pani przypadku istnieje bardzo wielki problem zgodności. Krótko mówiąc, osoby z tą samą cechą stanowią odsetek bardzo bliski zeru.

Profesor Covini zrobił krótką pauzę.

- I to, jak już pani powiedziałem, była zła wiadomość.
- Czy po tym wszystkim może być jeszcze jakaś dobra?
- Tak, jest.

Na profesjonalny głos lekarza nałożył się współczujący głos ojca.

- Dzwoniłem do twojej matki, do Nowego Jorku. Kiedy zawiadomiłem ją, co się stało, i wyjaśniłem twój stan, natychmiast wzięła się do działania. Wśród jej znajomych jest lekarz. Nazywa się William Roscoe. W przypadku schorzenia takiego jak twoje nie ma w tej chwili na świecie nikogo lepszego.

Powrócił głos doktora Coviniego, żeby wspomóc ojca w trudnym zadaniu pocieszenia córki.

- To jest ta dobra wiadomość, o której mówiłem. Wywód naukowy jest długi i skomplikowany, nie będę więc zanudzał danymi, które być może byłyby dla pani niezrozumiałe. Jedyne, co się liczy, to, że istnieje możliwość przeszczepu. Konsultowałem się osobiście z doktorem Roscoe. Jest jednym z największych ekspertów mikrochirurgii oka, a do tego badaczem, który poczynił nieprawdopodobne postępy w dziedzinie hodowli komórek embrionalnych i ich przeszczepów. Niestety, konieczny jest wyjazd do Stanów Zjednoczonych, ponieważ tu, we Włoszech, prawo dotyczące ochrony życia poczętego zabrania hodowania i użycia tego typu komórek i taka operacja jest zakazana. Nasza rozmowa z profesorem Roscoe była długa i wynikała z niej rzecz nie tyle rzadka, ile właściwie unikalna.

- Mianowicie.

- Mamy odpowiedniego dawcę, a profesor Roscoe potrafi doprowadzić do powstania w komórkach embrionalnych specjalnych limfocytów, które nie dopuściłyby do odrzucenia rogowki dawcy.

Głos Carla Martiniego włączył się do tej sztafety nadziei.

- Jedynym warunkiem jest pośpiech. Pewien wpływowy klient kancelarii twojej matki dał nam do dyspozycji swój prywatny odrzutowiec. Jutro polecimy do Stanów, pojutrze będzie operacja. Oczywiście, jeśli się zgadzasz i czujesz na siłach...

Odpowiedziała potulnie na prośbę i nadzieję, jaką wyczuwała w głosie ojca.

- Oczywiście, że czuję się na siłach - powiedziała.

Oczywiście, że czuję się na siłach, pomyślała.

Byłoby tak, nawet gdybym musiała cierpieć męki piekielne.

Profesor Covini zakończył ten delikatny moment i znów przejął rolę lekarza narzucającego swoją bezwzględną, ale korzystną dla pacjenta opiekę.

- Dobrze, bardzo dobrze. Teraz będzie lepiej, jeśli pozwolimy jej odpocząć, panie Martini. Myślę, że na dzisiaj wystarczy.

- Zgoda, profesorze.

Poczuła na policzku wargi ojca i jego szept w ucho, jakby to pożegnanie było ich sekretem.

- Cześć, skarbie. Zobaczymy się później.

Szczupła i nieznana ręka położyła się na chwilę na jej dłoni.

- Życzę pani wszystkiego najlepszego. I proszę mi wierzyć, nie jest to okolicznościowa formułka. To wprost niepojęte, co pani przecierpiała.

Maureen usłyszała jakąś krzątaninę przy kroplówce, a potem kroki oddalające się od łóżka. Hałas otwieranych i zamykanych drzwi był znakiem, że została w pokoju sama. Prawdopodobnie lekarz dodał środek uspokajający do płynu, który wpływał do jej żył, bo zaczęła odczuwać lekką senność, która stopniowo ustąpiła pragnieniu zapadnięcia w głęboki sen.

Kiedy czekała, aż uda jej się przez kilka godzin nie myśleć, powiedziała sobie, że uczyni wszystko, o co ją poproszą. Zrobi wszystko, co będzie musiała i jeszcze więcej, żeby choć na minutę odzyskać w zamian wzrok.

Nie prosiła o nic więcej.

Tylko minutę.

Czas wystarczający, aby mieć na zawsze w oczach i w pamięci szyderczą twarz Arbena Gallaniego i zobaczyć, jak pogrąża się w otchłani strzału z pistoletu.

Potem niech będzie ciemność.

# CZEŚĆ TRZECIA

## Nowy Jork

### 14

Jordan prowadził ducati z umiarkowaną prędkością, wjeżdżając na most Brooklyński.

O tej porze dnia ruch był spokojny i mimo mobilności motocykla ustawił się bez pośpiechu w sznurze samochodów, które jechały po tym zawieszonym w próżni paśmie z metalu i asfaltu.

Jordan pokonał most, jakby to był symbol, obowiązkowa przeprawa prowadząca na przeciwny brzeg, czymkolwiek by on był.

Za plecami pozostawił One Police Plaza. Kiedy mijał budowlę po swojej lewej stronie, nie zaszczycił nawet jednym spojrzeniem centrali policji, która przez lata była jego miejscem pracy.

W taki sam sposób zostawił za sobą New York City Hall, ową imitację Białego Domu w pomniejszonej skali, gdzie jego brat sprawował władzę powierzoną mu przez miasto i ponosił tego konsekwencje.

Dokładnie pod nim rozciągał się mały miejski kanion Water Street. Gdyby odwrócił głowę w prawo, zobaczyłby dach domu, gdzie chłopak imieniem Gerald Marsalis zamienił swoje życie na nic do tego stopnia, że nawet umarł pod nazwiskiem, które do niego nie należało.

A zabójca Jerry'ego Kho pozostawał wciąż na wolności.

Jordan patrzył jednak cały czas przed siebie, wyobrażając sobie odbicie drugiej strony mostu w lustrzanej osłonie swojego kasku. Nie robił tak z obojętności, ale tylko dlatego, że nie potrzebował patrzeć na te miejsca, by wiedzieć, że istnieją. W jego pamięci nie brakowało niczego. Każde wspomnienie było wyraźne i jasne, jakby

dopiero powstało i miało jeszcze przyczepioną na widoku karteczkę z ceną, którą trzeba było za nie zapłacić.

Są ludzie, którzy bardziej cierpią, zaprzeczając samym sobie, niż ponosząc tego konsekwencje. Jordan Marsalis należał do tej grupy. Nie zastanawiał się nigdy, czy to jego siła, czy słabość.

Taki był i kropka.

Jordan zrozumiał to dawno temu, kiedy jeden z jego przyjaciół, Ted Kochinsky, poprosił go o pożyczkę tysiąca dolarów. Jordan wiedział, że potrzebne mu są jak powietrze do oddychania, ale wiedział też, że według wszelkiego prawdopodobieństwa nigdy nie będzie mógł ich zwrócić. Mimo wszystko dał mu te pieniądze, bowiem to, co czułby, odmawiając, byłoby dużo gorsze od utraty tysiąca dolarów.

To także było powodem, dla którego pewnej nocy sprzed trzech lat zajął miejsce brata w jego samochodzie roztrzaskanym na rozstaju i wziął na siebie winę za wypadek, choć nie miał z nim nic wspólnego.

Potem poczuł się zawiedziony i rozgoryczony zachowaniem Christophera, ale również w tym przypadku działała u Jordana „reguła Kochinsky'ego”: nie była to tylko sprawa między nim a jego bratem, było to coś, z czym musiałby się mierzyć przy każdym spojrzeniu w lustro. Spłacił część długu, do jakiego w stosunku do brata się poczuwał, a który zaciągnął w jego imieniu Jakob Marsalis, ich wspólny ojciec. Christopher wzrastał otoczony pieniędzmi i w atmosferze pogardy dla ojca, Jordan rósł otoczony jego miłością. Z tego powodu czuł, słusznie lub nie, że jest mu coś winien. Żyjąc w różnych miejscach, przypisanych im przez przypadek i życie, wiedzieli wzajemnie o swoim istnieniu. Kiedy się poznali, ich drogi były już od dawna przesądzone. Jediną rzeczą, która ich naprawdę łączyła, były błękitne oczy i górująca nad nimi dwoma męską postacią. We wspomnieniu każdy z nich widział ją jednak w inny sposób.

Nigdy nie zgłębiali tego tematu. Obydwaj jednak wiedzieli, że nie poruszając go, nie wymazują jego istnienia. I jakby zgodnie z jakąś milczącą umową pozostawiali ten problem w zawieszaniu, niczym miecz przyczepiony do sznurka, nie wiedząc, czyjej głowie bardziej zagraża.

Świat pełen był ludzi, którzy nie robili nic innego, tylko odchodzili, marząc o powrocie do domu. Jordan zdał sobie teraz sprawę, że jego podróż, ta, którą - jak mu się zdawało - odłożył na później, w rzeczywistości już dawno się rozpoczęła. Jego życie

w Nowym Jorku było tylko długim, tymczasowym przystankiem, koniecznym, aby przed wyjazdem rozliczyć pozostające w zawieszeniu rachunki.

*I to serce dziwne serce, które na skale już potrafi żeglować...*

Jordan pomyślał o sugestywnych słowach piosenki. Zrozumiał to Connor Slave, chłopak, który w przeciwieństwie do Jerry'ego Kho zmierzył się z górą od dużo trudniejszej strony nie dlatego, że była to jedyna możliwa wspinaczkowa trasa, ale dlatego, że czuł, iż dla niego jest to rzeczywiście jedyna droga.

Jadące przed Jordanem volvo zahamowało gwałtownie i prowadzący wychylił się przez okno, żeby nakrzyczeć na kierowcę auta, które przed nim jechało. Jordan manewrował zręcznie motocyklem i ominął jednocześnie ten moment zastoju w ruchu i w jego myślach.

Zjechał z mostu i ruszył Adams Street aż za skrzyżowanie z Fulton Street, zostawiając po swojej lewej stronie Brooklyn Heights, nową dzielnicę bogaczy z pięknie wyremontowanymi domami i niepowtarzalnym widokiem na linię dachów Manhattanu.

Minął Boerum Place i jechał dalej na południe, aż dotarł do okolicy, gdzie mieszkał James Burroni, detektyw, z którym współpracował przy śledztwie dotyczącym zabójstwa Marsalisa.

Zadzwoił do niego po kolejnej rozmowie, jaką odbył z Christopherem w Gracie Mansion. Jordan myślał zawsze, że politycy żyją w jakimś swoim osobnym świecie, w jakiejś prywatnej sferze, odgrudzonej szkłem pancernym, w której - mimo ich wszystkich publicznych pojawień się - potrzeby rządzonych przez nich ludzi i tak nie robiły wyłomu w tym, co stanowiło podstawową dyrektywę ich pracy, czyli w pozostawaniu politykami.

Teraz, kiedy rozmawiał z bratem, po raz pierwszy zastanawiał się, czy jest on rzeczywiście najlepszym burmistrzem, czy po prostu okazał się najzręczniejszy, ubiegając się o tę funkcję.

Odkąd zobaczył zwłoki swojego syna siedzące niczym karykatura na podłodze strychu, na którym mieszkał, Christopher zdawał się zwierzęciem schwytanym w pułapkę, tyle, że Jordan nie był w stanie zrozumieć, czy wynikało to z uczuć ojca, czy też z demonstracji bezsilności pierwszego obywatela Nowego Jorku.

W każdym razie gorączkowe dochodzenie w sprawie śmierci Geralda po dwóch tygodniach stanęło w martwym punkcie. Przetrzęsnęli jego życie we wszystkich kierunkach i obnażyli wszelkie, najdrobniejsze szczegóły, ale nie wpadli na żaden

użyteczny trop. Gazety i kanały telewizyjne z zachłannością nasączały swoje szpalty i programy wszelkimi dostępnymi informacjami na ten temat. Ekshumowały nawet starą historię wypadku samochodowego Jordana, łącząc ją z jego pokrewieństwem z Jerrym Kho, *peintre maudit*.

Potem, kiedy tematy się wyczerpały, informację zastąpiły domysły.

Na szczęście zdołali powstrzymać LaFayette'a Johnsona, zanim zdążyłby narobić szkód na fali swojej nagłej popularności. Christopher omotał go i przekonał do zachowania milczenia wobec mediów za pomocą jedyne go bodźca, jaki w przypadku tego człowieka mógł zadziałać: pieniędzy. Dzięki temu, a także za sprawą możliwych konsekwencji, jakie mogły dotknąć inne, niezachowujące dyskrecji osoby, w tym szczególnym wypadku nie doszło do prawdziwego wycieku informacji i wszystko osiadło na mieliźnie domysłów.

Niestety, dotyczyło to również śledztwa.

Jordan zaparkował motocykl naprzeciwko domu Burroniego, pierwszego w szeregu domków z ogródkami, ciągnących się w głąb ślepej uliczki położonej w niedrogiej dzielnicy. Kiedy zgasił silnik swojego ducati, przystanął i opierając się o siodelko, z przeciwnej strony ulicy przyglądał się przez chwilę budynkowi. Zdawał się zaskoczony tym, co widzi. Na podstawie własnych wyobrażeń spodziewał się, jeśli nie czegoś lepszego, to przynajmniej innego.

Przed domem zaparkowany był biały cherokee, dosyć stary model. W tej samej chwili otworzyły się drzwi wejściowe i stanęła w nich kobieta, trzymając za rękę około dziesięcioletniego chłopca. Była to wysoka blondynka o twarzy nie pięknej, ale wyrazistej, i o łagodnym wyglądzie. Chłopiec był wykapaną kopia Burroniego do tego stopnia, że Jordan pomyślał, iż prośba o zrobienie badań DNA przez każdego lekarza przyjęta zostałaby ze śmiechem.

Zaraz potem zawstydził się beztroską swojej myśli. Chłopiec miał na prawej nodze metalową szynę, szedł lekko utykając i opowiadał coś z zapalem matce. Zaraz za nimi pojawił się w drzwiach Burroni, niosąc dwie walizki.

Podniósł głowę i po drugiej stronie ulicy zobaczył siedzącego na motorze mężczyznę w kasku. Przystanął na chwilę pośrodku ogrodowej alejki. Jordan zrozumiał, że Burroni go rozpoznał. Tymczasem kobieta i dziecko dotarli do samochodu i otworzyli tylne drzwi.

Burroni umieścił tam dwie walizki. Jordan zaczekał, aż pożegna się z żoną i pochyli, żeby poprawić na głowie chłopca czapkę bejsbolową. Było słyhać, jak mówi: „Cześć, mistrzu”, a kiedy przytulał syna, Jordan zobaczył, że spogląda w jego stronę.

Matka i syn wsiedli do samochodu, a chłopiec wychylił się jeszcze przez okno, żeby ostatni raz pożegnać ojca, który stał na trawie w ogródku. Jordan śledził wzrokiem samochód aż do skrzyżowania. Kiedy zobaczył zapalające się światła stop i migający do skrętu w prawo kierunkowskaz, postawił motocykl na bocznej podpórcie, zdjął kask i przeszedł przez ulicę.

Zbliżając się do detektywa Jamesa Burroniego, zauważył na jego twarzy zakłopotanie, i to zakłopotanie udzieliło się natychmiast również jemu. Miał wrażenie, że zaskoczył go w prywatnym momencie słabości, a swoją obecnością zmusił do podzielenia się tą intymną sytuacją, podczas gdy normalnie sam Burroni decydował, czy, kiedy i z kim chce się nią dzielić.

- Cześć, Jordan. Czego chcesz?

Jego postawa była czujna, ton głosu nie opryskliwy, ale też nie uprzejmy. Mimo wszystko Burroni z oporami zwracał się do niego po imieniu. Ich stosunki ani się nie poprawiły, ani nie pogorszyły w trakcie dochodzenia: po prostu trudno to było określić stosunkami. Dla obydwu był to tymczasowy stan przymusowej pracy.

Jordan postanowił, że tak jak rzucił pierwszy kamień, tak samo może uczynić pierwszy krok.

- Cześć, James. Chciałem z tobą porozmawiać. Prywatnie i bez świadków. Masz chwilę?

Detektyw zrobił znak w stronę miejsca, gdzie zniknął cherokee.

- Żona i syn pojechali na wakacje do mojej szwagierki, na wybrzeże, w okolicy Port Chester. Mam, więc nawet dwa tygodnie.

Jordan potrząsnął głową.

- Obawiam się, że nie mamy dwóch tygodni. Ani ty, ani ja.

- Do tego doszło?

- Właśnie.

Dopiero wtedy Burroni jakby sobie przypomniał, że wciąż stoją w ogródku.

- Masz ochotę wejść i napić się czegoś?

Nie czekając na odpowiedź, odwrócił się i ruszył przodem. Kiedy Jordan znalazł się w środku, rozejrzał się dokoła. Był to zwykły, amerykański dom, gdzie rytm życia



wyznaczały sąsiedzkie pozdrowienia w drodze do pracy i z pracy oraz niedzielne grille z puszkowym piwem przy nadmuchiwanym basenie.

Spokój, jeśli nie szczęście.

Na niskiej komódce przy drzwiach stała fotografia Burroniego z synem. Chłopiec wymachiwał w stronę obiektywu kijem bejsbolowym. Jordan pomyślał, że czasami wystarczy kilka metalowych prętów szyny, żeby uwięzić w klatce zarówno jedno, jak i drugie.

„Cześć, mistrzu”...

Burroni dostrzegł kierunek jego wzroku. Jordan wolałby nie słyszeć tej delikatnej rysy w jego głosie.

- Mój syn szaleje za bejsbolem.

- Yankees?

- A niby, kto?

Gospodarz wskazał kanapę w salonie, który otwierał się bezpośrednio na wejście.

- Siadaj. Czego się napijesz?

- Może być cola.

- Okej.

Oddalił się i po chwili wrócił z tacą, na której stały dwie puszkol coli i szklanki. Postawił tacę na stoliku przed Jordanem, a sam usiadł w skórzanym fotelu po jego lewej stronie, trochę zniszczonym, ale wyglądającym na wygodny.

- Mów.

- Jest coś nowego?

Detektyw potrząsnął głową, otwierając swoją puszkę.

- Nic a nic. Przepytowałem też naszych informatorów, którzy bywają w kręgach intelektualnych uczęszczanych przez twojego bratanka. Zero. Kupa...

Zrobił pauzę, żeby się napić i wyważyć to, co ma powiedzieć. Jordan wybawił go z kłopotu.

- Mogę sobie wyobrazić. Kupa świństwa pod dywanem, ale nic, co może się nam przydać.

- No właśnie. Wyniki autopsji znasz. Od kryminalistycznej nie przychodzi nic nowego. Wiesz, jak to jest. Za dużo tropów, żadnego tropu.

Również Jordan zmuszony był posypać sobie głowę popiołem.

- Mnie też nie udało się nic specjalnego wykombinować. Zbadałem i przeszedłem wszystkie możliwe skojarzenia z *Peanutsami*, próbowałem zrozumieć, jaki może być

związek między moim bratankiem a Linusem i kobietą, która według szyfru pozostawionego na ścianie występuje, jako Lucy. Tymczasem nie zrozumiałem absolutnie nic. Poza tym zastanawiam się, ile czasu zajmie dziennikarzom odkrycie tego, co do tej pory jakimś cudem zdołaliśmy zachować w tajemnicy. Łącznie z moim zaangażowaniem w sprawę.

- A co mówi burmistrz?

- Nie może nic powiedzieć, bo to właśnie on chciał, żebym nieoficjalnie tym się zajął. Ale myślę, że poddawany jest sporym naciskom. Pozostawiając na boku osobiste uczucia, uważam, że jego pozycja nie jest najłatwiejsza. Myśl jest prosta: jak może chronić nasze dzieci, jeśli nie mógł obronić własnego syna? Polityka to wstrętne bestia, James.

- Tak zawsze myślałem. To, dlatego wciąż jestem na froncie, a nie za biurkiem w jakimś urzędzie.

Tym razem to Jordan pociągnął łyk coli, szukając właściwego sposobu, żeby powiedzieć, co leży mu na sercu, choć nie był to główny powód, dla którego tu się znalazł.

- Jest coś, co chciałbym ci powiedzieć, James. Jeśli chodzi o tę sprawę i twój w niej udział, zależy mi, żebyś wiedział, że zrobię wszystko, aby dotrzymano tego, co ci obiecano, niezależnie od wyniku śledztwa.

Burroni milczał. Patrzył na swoją puszkę z colą, jakby napisane były na niej słowa, które zamierzał powiedzieć.

- Te rzeczy, które powiedziałem ci wtedy, w restauracji obok twojego domu, ja...

- Nie przejmuj się. Ja też nie przebierałem w słowach. Czasami się zdarza. Mówimy rzeczy, których potem żałujemy.

Wzrok Burroniego przeniósł się na ułamek sekundy na fotografię z synem, gotowym na przyjęcie rzutu piłki, która miała nigdy do niego nie dotrzeć. Była to chwila, ale Jordan zauważył to spojrzenie.

„Cześć, mistrzu”...

- Wiesz, życie czasami nie jest tak łatwe, jak się zdaje.

- Powiedziałem, że wszystko jest w porządku. Nie musisz mi nic tłumaczyć.

Popatrzyli na siebie. Kiedy Burroni się odezwał, zrobił to jak człowiek, który rozumie, i mówi do człowieka, który już zrozumiał.

- Musiało to być dla ciebie trudne, Jordan.

Jordan wzruszył ramionami.

- Dla wszystkich jest trudne.

Wziął kask z kanapy i wstał. Burroni poszedł w jego ślady. Był od niego niższy, ale mocniej zbudowany, a jednak, w swoim domu, bez nieodłącznego czarnego kapelusza na głowie, zdawał się dziwnie bezbronny i kruchy.

- Do zobaczenia, James.

- Myślę, że nadarzy się okazja - odpowiedział lakonicznie detektyw.

Mimo sensu tych słów Jordan nie wyczuł w jego głosie żadnej defensywnej postawy.

Trochę później, kiedy uruchamiał motocykl i patrzył przez osłonę kasku na postać Jamesa Burroniego stojącego w progu domu, pomyślał, że przyjeżdżając tu, chyba postąpił właściwie.

To, co przed chwilą mu powiedział, było prawdą.

To było trudne. Było trudne dla wszystkich. Dla Burroniego, dla Christophera, dla niego.

Ale jeśli się nie postarają, będzie jeszcze trudniejsze dla kobiety o nieznanym imieniu i twarzy, która w tej chwili krążyła gdzieś, jako cel w myślach kogoś, kto nazywał ją Lucy.

# 15

Chandelle Stuart poderwała się gwałtownie na nogi, potrząsając głową tak, że czarne i gładkie włosy zasłoniły jej twarz wykrzywioną nagle wściekłością. Elegancka, ciemna sukienka Versace podciągnęła się wystarczająco wysoko na długich, szczupłych nogach, żeby odsłonić przed dwoma siedzącymi naprzeciw niej na kanapie mężczyznami pasek ciała nad samonośnymi pończochami.

- Co też mi tu do kurwy nędzy opowiadacie?

Mówiła wyniosłym tonem kogoś, kto przywykł do rozkazywania, mimo że nigdy nie zyskał do tego prawa. Stała przez chwilę przodem do swoich rozmówców, po czym odwróciła się i niecierpliwym ruchem sięgnęła po paczkę papierosów leżącą na konsolce za jej plecami. Zapaliła w taki sposób, jakby tym gestem chciała podpalić cały świat. Podeszła do wielkiej szyby wychodzącej na taras zawieszony nad Central Parkiem. Stała cały czas odwrócona plecami, zaciągając się papierosem i pozwalając, żeby ją zżerała wściekłość.

Za szybami, na niebie nad miastem, chmury letniej burzy gromadziły się ze starannością pozwalającą zawładnąć całym słonecznym światłem.

Mecenas Jason McIvory odwrócił wzrok w stronę Roberta Orlika, drugiej połowy McIvory, Orlik & Partners, kancelarii prawnej zajmującej się sprawami spadkowymi, z siedzibą w eleganckiej kamienicy w downtown, naprzeciw Bartery Park. Porozumiewawcze spojrzenie, jakie wymienili, wskazywało na to, że od dawna wystawieni są na kaprysy i ordynarny język stojącej przed nimi kobiety.

A także na to, że są już tym zmęczeni.

Tymczasem jednak ograniczyli się do przyjęcia wygodniejszej pozycji na kanapie i zaczęli, aż minie kolejny atak gniewu.

McIvory założył nogę na nogę, a Chandelle Stuart, gdyby odwróciła się w tym momencie, mogłaby dostrzec na jego twarzy przypominającej Anthony'ego Hopkinsa, z delikatnym i zadbanym wąsikiem, okolonej siwymi, zaczesanymi do tyłu włosami, lekki uśmiech satysfakcji. Kiedy adwokat uznał, że dał kobiecie wystarczającą ilość

czasu, żeby się uspokoiła, ciągnął wątek, który przerwała swoim histerycznym atakiem chamstwa.

- Mówimy pani dokładnie to, co pani zrozumiała, panno Stuart. Została pani bez grosza. Albo prawie.

Chandelle znów odwróciła się jak furia i znów jej czarne włosy poruszyły się wokół głowy groźnie niczym piracka flaga.

- Ale jak to jest możliwe, cholerni idioci?

McIvory wskazał ręką skórzaną walizeczkę stojącą na podłodze obok jego nóg, opartą o niski kryształowy stolik, który kosztował setki dolarów za centymetr kwadratowy. Chandelle Stuart była zbyt rozpalona, żeby zauważyć, ile nieuchronności i chłodu kryło się w tym geście.

- Wszystkie sprawozdania są tutaj. Wszystkie dokumenty dotyczące dokonanych operacji są przez panią podpisane, a w niektórych przypadkach, jeśli dobrze pani pamięta, wystąpiliśmy także o zwolnienie nas z odpowiedzialności za niektóre pani... jak by to powiedzieć... inwestycje chybione z finansowego punktu widzenia.

Chandelle Stuart zgasila papierosa w popielniczce z wściekłością, którą skierowałaby chętnie wobec dwóch siedzących przed nią mężczyzn. W jej głosie był syk kłamiwego węża, który zrozumiał, że sam został okłamany.

- A kto mi zagwarantuje, że to nie wy oszukiwaliście mnie przez te wszystkie lata?

Tym razem odezwał się Robert Orlik, który do tej pory przez cały czas milczał. Jego głos dziwnie przypominał głos partnera, jakby wiele lat wspólnej pracy upodobniło ich mimo woli do siebie.

- Panno Stuart, ze względu na przyjaźń, jaka łączyła mnie z pani ojcem, będę udawał, że nie usłyszałem tego, co przed chwilą pani powiedziała. Przez lata gotów byłem znosić pani kapryśne zachowania i malowniczy język rodem z rynsztoka, ale nie jestem, a właściwie nie jesteśmy w stanie tolerować żadnej hipotezy podważającej prawidłowość i uczciwość naszego działania. Co powiedziawszy, żeby ułatwić nam i pani zrozumienie sytuacji, chciałbym cofnąć się o krok i zreasumować fakty. Kiedy pani ojciec, Avedon Lee Stuart, umarł siedem lat temu, zostawił pani osobisty spadek, który obejmując nieruchomości, pakiety akcyjne, obligacje i płynność funduszy, sięgał około pięciuset milionów dolarów...

Kobieta przerwała mu z zapalem księdza słyszającego przekleństwa w kościele, ale zarazem z wściekłością tego, kto je ciska.

- Dolarów to myśmy mieli dziesiątki miliardów, ale ten skurwysyn roztrwonił je na swoje głupoty.

- Obawiam się, że będę musiał zaprzeczyć. Miliardów było tylko pięć, a pieniądze nie zostały roztrwonione, jak pani mówi. Pani ojciec przeznaczył po prostu większość swej schedy na różne fundacje dobroczynne, które połączyłyby na swój sposób nazwisko Stuart z pozytywnym wspomnieniem i pozwoliły mu przetrwać w przyszłości.

- A wy zupełnie przypadkiem zostaliście ustanowieni zarządcami tego majątku.

Kobieta obniżyła głos i wymówiła te słowa z pozorną słodyczą, żeby stały się jeszcze bardziej dotkliwe i aluzyjne. W efekcie wyszło to sztucznie, a jej insynuacja pozostała bezpodstawna.

Światło w oczach mecenasa Orlika było błyskiem profesjonalizmu. Chandelle Stuart wyglądała natomiast jak najzwyczajniejsza osoba, która poczuła ochotę na grę i usiadła przy niewłaściwym stoliku.

- Nasza rola powierników jest tym aspektem sprawy, który pani nie dotyczy. Tak samo jak powód, dla którego ojciec zostawił pani tylko część spadku, co związane jest z faktami, których nie znamy, i nie nam je oceniać.

- Dobroczynność i nazwisko Stuart to jakież jaja. Ten megaloman zrobił to tylko dlatego, że mnie nienawidził. Zawsze mnie nienawidził ten gnojek.

*Jeśli to prawda, trudno nie przyznać mu racji. I dziwię się, że nie udusił cię w kołysce, wstrętne dziwko!*

Oblicze Roberta Orlika, starego adwokata i przez to doświadczonego gracza, nie zdradziło nic z tej myśli jakby wyjętej z codziennego wulgarnego języka jego klientki. Umieścił jej kolejny komentarz, jako element układanki pasującej do ogólnego obrazu jej życia, a szczególnie do kontaktów z ich kancelarią. Majątkowe zarządzanie testamentowymi zapisami zmarłego stanowiło sporą część obrotów, co miało duże znaczenie dla rocznego bilansu kancelarii McIvory, Orlik & Partners. Teraz, kiedy kwota dotycząca siedzącej naprzeciwko panienki nagle się wyzerowała, ich dyspozycyjność i cierpliwość przeżyły autentyczne, gwałtowne załamanie.

- Jeśli pozostawienie córce pięciuset milionów dolarów oznacza nienawiść, bardzo bym chciał, żeby również mój ojciec darzył mnie takim uczuciem.

Pochylił się i wyciągnął z teczki dosyć grube dossier. Położył je delikatnie na kryształowym blacie, jak gdyby ciężar tego, co zawierało, mógł roztrzaskać szkło.

- W każdym razie tutaj jest szczegółowe sprawozdanie z całej pani działalności w ostatnich latach i z konsekwencji pewnych pani decyzji.

- To wszystko wasza wina. Powinniście byli mi doradzić.

- Robiliśmy to, ale muszę pani przypomnieć, że nigdy nie chciała nas pani słuchać. Pani działalność, jako producentki filmowej i teatralnej...

Po gniewnym wzburzeniu czarna rzeczywistość, jaka się przed nią rysowała, zabarwiła na szaro bladą, na co dzień twarz Chandelle Stuart. Jej skóra wyglądała jak skóra staruszki. Mimo to w ostatnim odruchu pychy na jej ustach pojawił się niemal patetyczny grymas pogardy.

- Studiowałam reżyserię. Znam się na kinie. Co jest złego w realizowaniu filmów?

- W istocie nie ma nic złego w inwestowaniu pieniędzy w produkcję filmów. Jest tylko jedna kwestia, o której trzeba pamiętać. Jeśli filmy te dają rozsądny zysk, staje się to pracą. Jeśli tak się nie dzieje, są bardzo kosztownym hobby. W pani przypadku nazbyt kosztownym, powiedziałbym.

- Wy ośmielacie się mówić o sztuce? Co wy o tym wiecie?

- Bardzo niewiele, przyznaję. Natomiast liczby są moim zawodem i te rozumiem doskonale.

Wziął dokumenty ze stolika, położył sobie na kolanach i zaczął je kartkować. Kiedy znalazł stronę, której szukał, z kieszonki marynarki wyjął okulary w złotej oprawce i włożył na nos.

Był to prawdziwy rozrachunek.

- Proszę bardzo. Weźmy na przykład powieść tego Levine'a. Zapłaciła pani cztery miliony dolarów tylko po to, żeby wyrwać prawa Universalowi, który zresztą nie był specjalnie zainteresowany zakupem. Zabawa w podbijanie stawki ze strony agenta autora, który kazał pani zapłacić fortunę za coś, co mogła pani mieć za dwieście tysięcy dolarów. Jeśli sobie pani przypomina, radziliśmy, żeby stała pani w oknie i czekała na rozwój wypadków. Pani tymczasem, proszę wybaczyć, z tego okna wręcz się rzuciła.

- To była fantastyczna powieść. Nie mogłam wypuścić jej z rąk.

- I w istocie nie wypuściła pani. Tyle, że za tę sumę mogła pani kupić cały życiowy dorobek Scotta Levine'a. A film, który powstał na podstawie książki? Może o tym porozmawiamy?

- To był wielki film. Na premierę w Los Angeles przyszły tłumy.

- A potem przy kasach żywej duszy. Wydała pani sto pięćdziesiąt milionów dolarów na film, który zarobił ledwie osiemnaście, jeśli się nie mylę. A może porozmawiamy o *Clowns*, musicalu, który miał być nowymi *Kotami*? Produkcja za dziesiątki milionów, która nigdy nie doczekała się choćby jednego przedstawienia. Napisany i wyreżyserowany przez panią, z muzyką jakiegoś pianisty z piano-baru spotkanego na statku wycieczkowym.

- Ten człowiek był geniuszem!

Adwokat wykonał gest, który faktycznie wyłączał jego klientkę z rzeczywistego świata.

- Jeśli nim jest, tylko pani tak uważała. Reszta świata upiera się, żeby grał na statku.

Orlik zamknął teczkę z dokumentami i odłożył na stolik.

- Myślę, że nie ma sensu kontynuować. Takich spraw jest więcej. Zbyt dużo i nazbyt decydujących. Wszystko jest tu udokumentowane, czarno na białym, do dyspozycji autora każdej innej opinii prawnej, jakiej zechciałaby pani zasięgnąć.

Chandelle straciła na chwilę rezon i przez moment stała się kimś przypominającym istotę ludzką. Opuściła ramiona i zdawała się pokonana, upokorzona, a przede wszystkim świadoma konsekwencji, do jakich doprowadziły jej decyzje.

- Ile mi zostało?

Do rozmowy znów wrócił McIvory.

- Musimy wyrównać zaległe podatki i zamknąć ostatnie długi w bankach. Jeśli sprzeda się wszystkie dzieła sztuki, które się tu znajdują, myślę, że zostanie pani to mieszkanie i... powiedzmy... dwieście tysięcy dolarów. Sądzę jednak, że w świetle ujawnionych faktów, nie może sobie pani pozwolić na utrzymanie tego domu.

Nerwy Chandelle Stuart puściły ostatecznie. Głos wydobył się ze zdławionego gardła, a twarz stała się purpurowa z wysiłku, aby krzyczeć jak najgłośniej.

- To jest mój dom. To jest Stuart Building, kamienica należąca do mojej rodziny. Nie mogę stąd odejść. Nigdy stąd nie odejdę, rozumiecie? Nigdy!

McIvory obawiał się przez chwilę, że pękną jej struny głosowe. Histeryczny wrzask stał się tak przenikliwy, że przeszedł niemal w ultradźwięki. Prawnik podniósł rękę i sprawdził godzinę na swoim eleganckim roleksie, żeby uniknąć spojrzenia nabiegłych krwią oczu.



- My natomiast musimy to zrobić. Myślę, że powinna pani zostać przez jakiś czas sama i zastanowić się nad tym, co pani zakomunikowaliśmy. Do widzenia, panno Stuart.

Obaj adwokaci podnieśli się z miejsc. Pragnienie, które przez wiele lat nosili w sobie, żeby wymierzyć moralny policzek tej zarozumiałej i nadętej dziewczynie, teraz, kiedy się spełniło, miało gorzki posmak. Nie czuli się odpowiedzialni za finansową ruinę swojej klientki, która mimo udzielanych jej rad stanowiła klasyczny przykład autodestrukcji. Byli przygnębieni faktem, że po raz kolejny znaleźli się naprzeciw absolutnej próżni, również teraz, kiedy rzucili jej w twarz, że takie życie, jak do tej pory je pojmowała, skończyło się na zawsze.

Jason McIvory i Robert Orlik odwrócili się i ruszyli do windy, która otwierała się bezpośrednio w salonie. Widząc, jak odchodzą, Chandelle poczuła się zagubiona. Gniew przeszedł w przerażenie, a przerażenie stało się nagle doznaniem czegoś lepkiego i zimnego w żołądku. Po raz pierwszy w życiu czuła, że już nie ona panuje nad światem, ale że to ten ciemny, wiszący nad nią cień był cieniem świata, który ją przytłaczał.

Zrobiła kilka szybkich kroków i znalazła się między dwoma adwokatami a windą. Zatrzymała Orlika, chwytając go za ramię. Dwaj prawnicy nigdy nie pomyśleliby, że usłyszą kiedykolwiek błagalny głos tej kobiety.

- Poczekajcie. Może moglibyśmy jeszcze o tym porozmawiać. Jutro przyjdę do waszej kancelarii i mam nadzieję, że zdołamy wszystko uporządkować. Jeśli sprzedamy dom w Aspen i może ranczo z całą ziemią...

Mimo nawyku obojętności wyrobionego przez lata praktyki mecenas Robert Orlik poczuł przez moment pokusę, żeby okazać ślad współczucia tej bogatej i zepsutej dziewczynce, która miała szczęście przyjść na świat w ziemskim raju, a z głupoty zniszczyła go własnymi rękami.

- Panienko, pani nie ma już domu w Aspen ani rancza z całą ziemią. Zostały sprzedane na pani polecenie, żeby sfinansować jakiś film albo inny chybiony projekt. Nie wiem, jak to pani powtórzyć, Chandelle. Pani nie ma już nic.

Furia powróciła i po krótkiej przerwie znów rozpętała burzę w oku cyklonu.

- To wszystko wasza wina, przekleci, pieprzeni złodzieje. Zapłacicie mi za to, cholerne lachociągi. Wy i wasza kancelaria pełna gównianych pedryli. Zrozumieliście, co wam powiedziałam? Każę was wykreślić z rejestru. Poślę was wszystkich za kratki.

Ta nowa eksplozja gniewu powaliła kruchą ścianę utkaną ze współczucia dwóch adwokatów. Wszelkie ludzkie odruchy, jakie mogła wywołać Chandelle Stuart, zmiecione zostały przez dziki oddech wilka.

Drzwi windy w końcu rozsunęły się przed nimi. Kiedy Orlik wsiadał, McIvory zatrzymał się na chwilę w progu i odwrócił w stronę kobiety, która patrzyła na nich z twarzą wykrzywioną bezsilną wściekłością.

- Jest pewna rzecz, którą od dawna pragnę pani powiedzieć. Nie jest już pani małą dziewczynką i dlatego proszę pozwolić, że przez chwilę dostosuję się do pani niewybrednego języka.

Jego uśmiech był uprzejmy i profesjonalny. Ton głosu niemal nieuchwytny, czego wymaga każdy ukryty, przynoszący satysfakcję, upragniony i perfidny odwet.

- Ma nas pani głęboko w dupie, panno Stuart. Ale jeśli mam być szczerzy, nie jest to nawet ładna dupa.

Chandelle Stuart zaniemówiła. Jej usta zarysowały się w doskonałe O na zdumionej twarzy. Oczy miała wytrzeszczone, jak gdyby szukały słów, których nie potrafił znaleźć głos.

Ostatnią rzeczą, jaką Jason McIvory i Robert Orlik dostrzegli z wnętrza windy przez zasuwające się drzwi, była postać kobiety przypominającej harpię, która rzucała się w stronę stojącego za jej plecami wielkiego fortepianu, rozpaczliwie szukając czegoś, czym mogłaby w nich cisnąć.

Kiedy kabina zaczęła zjeżdżać, prawnicy milczeli, ale obydwaj zastanawiali się, ile mógł być wart chiński wazon, który Chandelle Stuart trzymała w ręku, usłyszeli, bowiem właśnie huk porcelany rozbijanej o drewniane drzwi windy.

## 16

Chandelle Stuart została sama w towarzystwie swojej bezsilnej wściekłości.

Buty Prady wydawały się najbardziej właściwe do kopania skorup chińskiego wazonu, którego wartości nie знаła, tak samo, jak nie znała wartości życia, które z systematyczną regularnością trwonila. Ironia konieczna, aby uchwycić sens tego gestu, była bardzo odległa od stanu jej ducha w owej chwili.

Gniew zdawał się wzmacniać jej siły. Rozgorączkowana i zaślepiona w swojej furii, dosłownie zerwała z siebie lekką sukienkę. Jej porwane strzępy cisnęła o ścianę.

Została tylko w staniku, majteczkach z czarnej koronki i samonośnych pończochach. Jej chude ciało o nienaturalnej bladości mimo młodego wieku demonstrowało trochę już zniszczoną skórę kogoś, kto ma piękne życie, ale fatalnie się prowadzi.

Zaczęła chodzić po domu, wyłamując sobie palce.

Wszystkim, co mogła przypomnieć, jedynym obrazem, jaki miała przed sobą, wyświetlonym jakby na ekranie, były zgrzybiałe twarze tych dwóch tak zwanych adwokatów.

Zaczęła mówić sama do siebie, półgłosem, prawie nie poruszając wargami, zaznaczonymi fioletową kreską szminki, mamrocząc różaniec nie modlitw, ale przekleństw.

Jason McIvory i Robert Orlik, dwie cholerne świnię zrodzone z dupy tej wielkiej maciory, jaką była ich matka. Zawsze ich nienawidziła, od chwili, kiedy znaleźli się przy niej w czasie otwierania testamentu ojca. Znienawidziła ich obleśny uśmiech, kiedy dowiedzieli się z ust notariusza, że praktycznie została wydziedziczona. Czarni i złowrodzy niczym dwa sępy, przyczajeni z zakrzywionymi dziobami na swoich krzesłach, w oczekiwaniu, żeby rozszarpać ciepłe jeszcze ścierwo tej drugiej wielkiej świni, jaką był jej ojciec.

Ciągle jeszcze miała go przed oczami, z jego pieniędzmi i żalną pretensją do reprezentowania w jej życiu figury ojcowskiej, a potem tych wszystkich konowałów od

mózgu z ich Freudami i Jungami i z ich spokojnym głosem, który musiała znosić latami, podczas gdy on pieprzył każdą kurwę, jaka mu się napatoczyła.

Niech on też będzie przeklęty na wieki.

Chandelle podniosła głowę i spojrzała na sufit, w stronę tej postaci, która tkwiła w jej wspomnieniu i którą tylko jej chwiejny umysł mógł postrzegać, jako prawdziwą obecność. Zaczęła swój wykrzyczany dialog z pustką, przedstawienie, które - gdyby chodziło o fikcję - okazałoby się najlepszą rolą jej życia.

- Słyszysz mnie, Avendonie Lee Stuarcie? Słyszysz mnie, wstrętny pedale? Mam nadzieję, że usłyszysz mnie nawet z piekła, gdzie cię wysłałam. Mam nadzieję, że się zorientowałeś, że zdechłeś z moją pomocą. Mam wielką nadzieję. Pragnę tego tak bardzo, że miałabym ochotę się zabić, żeby móc oznajmić ci to osobiście. Ale nie dam ci tej satysfakcji. Rozumiesz? Smaż się spokojnie w piekle, dopóki możesz, bo kiedy ja tam przybędę, dzisiejsze piekło wyda ci się rajem.

Pogrążona w stanie histerycznego szaleństwa, Chandelle poruszała się chaotycznie po mieszkaniu, pozbywając się resztek garderoby, aż została w samych pończochach. Dotarła w ten sposób do swojej sypialni, która jak cała reszta mieszkania mówiła o wydanych lekką ręką pieniądzech i o życiu roztrwonionym w taki sam sposób. Nagość nie wystarczyła, żeby ją uspokoić, ani odbicie w wielkim lustrze naprzeciwko, które oddało jej obraz wychudzonej kobiety z małym, trochę obwisłym biustem, o figurze niemal anorektycznej i z zupełnie wygolonym łonem. W jej nagim ciele kryła się jakaś nienaturalna i bluźniercza niewinność, kruchość, której przeczyła twarz wykrzywiona szaleństwem i ślad białawej śliny w kącikach cienkich ust.

- Chciałeś, żebym była godna naszej rodziny, prawda? Prosiłeś, żebym żyła... jak to ty mówiłeś?

Rozłożyła nogi, oparła dłonie na biodrach i wysunęła do przodu miednicę. Spróbowała zniżyć swój piskliwy głos, a jej nagość stała się groteskową próbą naśladowania męskiej postaci.

- Ach, tak... zgodnie z zasadami, które są od zawsze fundamentem publicznego wizerunku Stuartów.

Znów wyrzuciła z siebie potok słów zanurzonych w histerycznym śmiechu.

- A wiesz, co ja zrobiłam? Dałam się pieprzyć wszystkim, wszystkim, których chciałam, wszystkim, którzy mi się spodobali. Słyszysz mnie, wielki panie Stuarcie? Mam nadzieję, że to spojrzenie, które posłałeś mi przed śmiercią, miało oznaczać, że

zrozumiałeś, że to ja posłałam cię do tego gównianego bajora, w którym się teraz taplasz. Ja, twoja córka, jestem kurwą. Ja, twoja córka, jestem tą, która cię zabiła.

Ten ostatni okrzyk Chandelle urwał się, jakby cała energia wywołana tym kryzysem nerwowym nagle się wyczerpała. Osunęła się na łóżko, z rozrzuconymi ramionami i nogami, wykończona, uspokojona, przybita przez swoją rozpacz do krzyża życia, które fortuna rozpostarła przed nią jak czerwony dywan, a które okazało się pułapką bez wyjścia.

Kontakt z atlasową powierzchnią narzuty przyprawił ją o dreszcz, poczuła, jak brodawki marszczą się pod wpływem chłodu, który po chwili zamienił się we wrażenie zimna. Wyciągnęła rękę, podniosła brzeg prześcieradła i zawinęła się w nie.

To, co było wspomnieniem minionego życia, stało się jedynym odwetem wobec terażniejszości. Przymknęła powieki i w tym ciemnym miejscu, którym były jej oczy i jej dusza, zaczęły przebiegać niczym klatki filmowe obrazy tego, co siedem lat wcześniej zrobiła swojemu ojcu.

Kiedy jej matka Elisabeth zginęła w wypadku samochodowym w pobliżu ich domu w górach, ojciec miał znakomity pomysł, żeby dostać udaru. Nie w wyniku cierpienia wywołanego stratą, ale ponieważ między połamanymi blachami samochodu znaleziono, oprócz ciała kobiety, również zwłoki młodego instruktora narciarskiego z Aspen, siedzącego na miejscu kierowcy z opuszczonymi spodniami. Nawet ślepiec albo głupiec zrozumiałby, że auto wypadło z trasy, bo pasażerka w owej chwili ciągnęła kierowcy druta. A dziennikarz, który przybył na miejsce wypadku, nie był ani jednym, ani drugim. Napisał reportaż, który przyniósł mu sukces, a także stał się przyczyną poważnego ataku, który omal nie powalił ostatniego, niczego dotąd nieświadomego przedstawiciela dynastii Stuartów. Cały nowojorski świat finansowy i nie tylko śmiał się za plecami Avendona Lee Stuarta z niego i jego jakże często przywoływanych zasad, które od zawsze stanowiły fundament publicznego wizerunku ich rodziny.

Pilnie go hospitalizowano i uratowano w ostatniej chwili, ale prawa strona pozostała niemal całkowicie sparaliżowana. Kiedy uznano, że zagrożenie życia minęło, postanowił odbyć rekonwalescencję w ich apartamencie pod kuratelą całego zastępu wszechobecnych i przepłacanych pielęgniarek, które zmieniały się, aby cały czas miał najlepszą opiekę.

Chandelle przyjęła śmierć matki z absolutną obojętnością, choć na pogrzebie udało jej się przyjąć stosowną postawę zrozpaczonej córki. Choroba ojca, która go

zniekształciła, czyniąc z niego postać niemal rodem z kubistycznych obrazów, napełniała ją natomiast niesmakiem i odrazą. Znalazła się w jednym domu z tym czymś w rodzaju człowieka, który leżał bez przerwy w łóżku, był odżywiany przez kroplówkę, bo wykrzywione w jedną stronę usta uniemożliwiały mu przyjmowanie jakichkolwiek pokarmów, a strużka śliny bez przerwy wypływała mu z kącika warg.

Nigdy nie kochała ojca, ale teraz ta istota, w którą się zamienił, napawała ją po prostu wstrętem. Obrzydzenie i perwersyjne skłonności doprowadziły do tego, że w jej głowie zrodził się pomysł. Chandelle nie miała żadnych moralnych skrupułów. Przyjęła to, jako coś absolutnie normalnego, jedyne wyjście mogące rozwiązać raz na zawsze wszystkie jej problemy. Po krótkich przygotowaniach rozpoczęła osobistą kurację tego, którego w duchu nazywała pogardliwie „drogim rekonwalescentem”.

Przeobraziła się nagle w oddaną i wyrozumiałą córkę.

Pod pretekstem roztoczenia osobistej opieki nad ojcem zastąpiła kilka razy pielęgniarki, dużo bardziej przywiązane do czeku niż do obowiązków. Odkryła, że witamina K wpływa w gwałtowny sposób na wzrost krzepliwości krwi, i za każdym razem, kiedy zostawała z nim sama, korzystając z chwil jego drzemki, wprowadzała ogromne ilości tej specyficznej witaminy do rurki kroplówki, która go odżywiała.

Chandelle doskonale pamiętała noc, kiedy - po kolejnej dawce - jej ojciec otworzył szeroko oczy i zobaczył ją przy łóżku ze strzykawką w ręku. Trwało to moment, potem jego spojrzenie zagubiło się w pustce jak wzrok kogoś, kto widzi przed sobą kres wszystkiego i nie może uczynić nic innego, tylko go zaakceptować, by wymazać wreszcie wieczny strach przed śmiercią.

Na umieszczonym przy łóżku monitorze Chandelle śledziła zafascynowana zmiany wykresu pokazującego bicie serca chorego. Widziała, jak coraz bardziej zwalnia, aż wreszcie zobaczyła na własne oczy, jak serce zatrzymuje rysunek na ostrym kącie swoich uderzeń.

Mając jeszcze cały czas w oczach spojrzenie ojca, Chandelle wyszła z dużego pokoju i zamknęła delikatnie drzwi.

- Śpi - szepnęła do pielęgniarki siedzącej w przedpokoju z czasopismem w ręku.

Kobieta wzięła jej uśmiech za rozczulenie kochającej córki, nie wiedząc, że jest to uśmiech osoby, która czuje się wreszcie wolna.

Także teraz, kiedy wyciągnięta na łóżku, przypominała sobie tamten wieczór, nie spostrzegła nawet, że na jej twarzy pojawił się ten sam wyraz.

Po ataku furii wspomnienie to całkowicie ją uspokoiło. Czula się pusta, ale jednocześnie ogarnięta tęsknotą, którą należało podsycić i zaspokoić, w jej tylko właściwy sposób, dogadzając jej pragnieniom i nieustannemu poszukiwaniu rozkoszy. Po wstrętnych twarzach McIvory'ego i Orlika, i po ich gadaniu o suchych liczbach, nie pozostał nawet ślad wspomnienia.

Wciąż owinięta w prześcieradło, przekręciła się na bok, w stronę nocnego stolika. Wzięła telefon i wybrała numer.

Kiedy usłyszała głos w słuchawce, nie zadała sobie nawet trudu, żeby przedstawić się osobie, do której dzwoniła.

- Halo, Randall? Mam ochotę trochę się zabawić. Potrzebne mi dziś wieczorem jakieś dosyć pieprzne doświadczenie. Lepszy byłby jakiś niezbyt rzucający się w oczy samochód. Koło północy.

Nie poczekała na potwierdzenie ani nie spodziewała się żadnych sprzeciwów, na które zresztą jej rozmówca nie mógł sobie pozwolić. On też miał w tym swój interes. Co miesiąc dawała mu niezłą sumkę, a czasami, kiedy miała ochotę, coś bardziej fizycznego i satysfakcjonującego...

Otworzyła szufladę pod telefonem. Włożyła tam rękę i poruszała nią, dopóki nie poczuła pod palcami paczuski, przyklejonej taśmą samoprzylepną do górnej części szafki.

Oderwała delikatnie scotch i wyciągnęła małą, plastikową torebeczkę, wypełnioną białym proszkiem. Otworzyła ją, wsunęła palce do środka i wyjęła szczyptę. Podniosła ją prosto do nozdrzy i wciągnęła silnie, najpierw do jednej dziurki, potem do drugiej. Położyła paczuszkę na komódce, nie przejmując się tym, żeby ją z powrotem schować. Czula, że tego wieczoru będzie jej jeszcze potrzebna, bardzo potrzebna...

Odurzona wyciągnęła się i uśmiechnęła do sufitu białego jak proszek, który przed chwilą wdychała.

Czekała na lubieżne uderzenie kokainy, jakże podobne do doskonałego orgazmu. Narkotyki wywoływały u niej zawsze efekt erotyczny, a myśląc o nadchodzącym wieczorze, poczuła się jeszcze bardziej osłabiona.

Wsunęła spokojnie pełzającą rękę pod prześcieradła. Rozłożyła nogi i przesuwając palcami od piersi do pępka, a potem dalej w dół, aż dotarła do wygolonej szparki.

Kiedy rozchyliła ją palcami i poczuła, że jest już wilgotna, przymknęła oczy, wyobraziła sobie nieznane i zadrżała z rozkoszy.

Kiedy znów spojrzała na zegarek, zobaczyła, że dochodzi dziewiąta. Ten mały zadatek rozkoszy, na który sobie pozwoliła, zamiast całkowicie ją wyczerpać, napełnił jej ciało nową energią. Stwierdziła, że jest głodna i ma ochotę na japońskie jedzenie. Wstała z łóżka i podpierając rękami plecy, wygięła w łuk chude ciało, przeglądając się z zadowoleniem w lustrze. Całkowicie doszła już do siebie po niedawnym kryzysie. Znowu była sobą, była znowu zimna i niewzruszona w siodle, jak zawsze.

Zrozumiał to, mimo woli, ten cholerny jełop jej ojciec.

Zrozumieją to także ci krwiopijcy, jej adwokaci.

Pokaże im jeszcze, kim jest Chandelle Stuart.

Teraz weźmie gorący prysznic, a potem zadzwoni do Randalla Haze'a i poprosi, żeby przyjechał wcześniej i zarezerwował stolik w Nobu. W oczekiwaniu, aż nadejdzie pora realizacji jej planów, może pójść posłuchać muzyki w jakimś lokalu w Chelsea albo zrobić, co tylko przyjdzie jej do głowy.

Weszła do łazienki i wsunęła się do wielofunkcyjnej wanny z hydromasażem. Kiedy jej skóra przyjmowała na siebie dobroczynne biczce wodne, pomyślała, że musi być piękna i pachnąca, żeby objawić się, jako nieosiągalna wizja nieznanym osobom, które miała spotkać tego wieczoru. Pragnęła wyczytać na ich twarzach niedowierzanie, a zaraz potem malujące się pożądanie i rozkosz, które tylko sen stający się rzeczywistością może wywołać.

Wytarła powoli gładkie i lśniące włosy o niebieskawych refleksach. Przesunęła dezodorantem w kulce pod wygolonymi pachami i skropiła ciało we właściwych miejscach aromatyczną esencją stworzoną specjalnie dla niej przez jedną z pracowni perfumeryjnych przy Canal Street.

Umalowała się trochę bardziej krzykliwie niż zwykle i przeszła z łazienki do garderoby. Włożyła czarną bieliznę i znów samonośne pończochy, które szczególnie lubiła ze względu na efekt, jaki wywoływały w męskiej wyobraźni, ale jeszcze bardziej dlatego, że były bardzo wygodne i praktyczne.



Bardzo pożyteczne, żeby w każdym miejscu móc zaspokoić nieoczekiwany i nagły przypływ żądy.

Spośród wiszących ubrań wybrała czarną sukienkę nieco przed kolana, która zgodnie z jej zamiarem miała podkreślić jej zgrabną figurę i długie nogi.

Właśnie włożyła sukienkę i serwowała sobie drugą działkę kokainy przed telefonem do Randalla, kiedy usłyszała brzęczyk wideodomofonu.

Zastanawiała się, kto to może być o tej porze.

Ochrona miała bezpośrednią linię z apartamentem, ale wczesnym popołudniem dała wolne osobom na służbie, żeby nikt nie kręcił się po domu w czasie jej rozmowy z prawnikami.

Podeszła do małego monitora ustawionego dla wygody również w sypialni. Kiedy uruchomiła połączenie, na ekranie pojawiła się twarz dzwoniącego, ujęta w kadr przez kamerę umieszczoną nad drzwiami jej prywatnej windy, w lewym skrzydle ogromnego, lśniącego marmurem holu Stuart Building.

Chandelle była zaskoczona, widząc go tam, a przede wszystkim widząc go ubranego w ten sposób. Na głowie miał kaptur, który na nieco niewyraźnym obrazie zdawał się częścią sportowego dresu. Nie widzieli się od bardzo dawna, a owego wieczoru była w humorze najmniej odpowiednim na to spotkanie, niezależnie od tego, co miało dla niej znaczyć.

Jego głos wydobył się lekko stłumiony z małego głośnika.

- Cześć. To ty, Chandelle?

- Tak, to ja. Czego chcesz?

Jej opryskliwy i nieuprzejmy ton nie wywarł wrażenia na mężczyźnie, którego twarz widać było w oświetlonym kwadracie.

Niewzruszony, uśmiechnął się do niej z ekranu.

- Mogę wejść? Muszę chwilę z tobą porozmawiać.

- Koniecznie teraz? Miałam właśnie wyjść.

- Wystarczy mi kilka minut. Mam nowiny, które mogą cię zainteresować.

- Dobrze. Wysyłam po ciebie windę. Nic nie rób, kieruję nią stąd.

Kiedy przechodziła przez tysiąc trzysta metrów kwadratowych swojego apartamentu, żeby dotrzeć do salonu, gdzie otwierały się drzwi do windy, Chandelle wciąż zastanawiała się, jak ważne musi być to, co ma jej do powiedzenia, aby skłonić go do przyjścia o tej porze.

Zwłaszcza po tak długim czasie.

Widząc jego strój, pomyślała, że przyszedł pobiegać do Central Parku i znalazłszy się pod jej domem, postanowił do niej zajrzeć.

Ustawiła komendy otwierające drzwi windy na parterze. Winda obsługiwała tylko jej apartament i mogła być sterowana stamtąd dla osób wjeżdżających, a przy wejściu otwierana kodem alfanumerycznym, który знаła tylko ona.

Czekając, miała nadzieję, że wybrnie z sytuacji kilkoma słowami. Natychmiast zdała sobie jednak sprawę, że próbuje oszukać samą siebie. Z wysiłkiem starała się zachować spokój, choć mężczyzna, który wjeżdżał na górę, przyprawiał ją o rodzaj sadystycznej i perwersyjnej emocji. Doznała tego uczucia, kiedy tylko go poznała, i od tamtej pory powtarzało się to za każdym razem, gdy znajdowała się w jego obecności, co wynikało z szyderczej przyjemności, jaką czerpała, szpiegując. Lubiła wiedzieć więcej niż inni i robić użytek z tej wiedzy pośród ciszy ogólnej niemocy.

I ryzykując całkowite podporządkowanie się przypadkowości faktów.

Gdyby tylko on mógł wiedzieć...

Przez chwilę poczuła pokusę, żeby pobiec do sypialni i wciągnąć jeszcze jedną działkę kokainy.

Szelest rozsuwanych drzwi zatrzymał ją pośrodku pokoju. Wewnątrz wyłożonej drewnem kabiny stał mężczyzna. Miał na sobie dres do joggingu z podniesionym kapturem, który rzucał cień na jego uśmiech, ręce trzymał w kieszeniach bluzy.

Zrobił krok w jej stronę. Wysoka i chuda kobieta, stojąca pośrodku salonu w swojej czarnej eleganckiej sukience, po raz pierwszy zauważyła, jak zimny może być uśmiech.

- Cześć, Chandel. Wybacz, że zakłócam ci spokój w domu. Ale sama się przekonasz, że potrzebna mi nie więcej niż chwila.

Jak przy najlepszej synchronizacji czasu, chmury, które wisiały nad Nowym Jorkiem przez całe popołudnie, zamieniły się w obiecywaną burzę. Najpierw była błyskawica, potem grzmot i w końcu plusk deszczu tak ulewnego, że krople odbijały się od kafelków tarasu, opryskując dolne framugi szyb.

Mężczyzna szedł dalej w jej kierunku. Stanąwszy przed nią, wyciągnął z kieszeni prawą rękę. Chandel pomyślała, że chce uścisnąć jej dłoń, tymczasem musiała stwierdzić z dreszczem, że ściska w rękę pistolet.

Była tak zajęta wpatrywaniem się w czarny otwór lufy, że nie zauważyła, iż uśmiech na twarzy mężczyzny zgasł, i nie wychwyciła szyderczego tonu jego komentarza.

- Tylko chwila, choć mam wrażenie, że dla ciebie będzie raczej długa.

Mężczyzna zrobił pauzę. Jego głos stał się miękki jak aksamit.

- Moja słodka Lucy.

Chandelle Stuart uniosła gwałtownie głowę. Miała się już nigdy nie dowiedzieć, że w jej oczach pojawiło się identyczne światło jak w spojrzeniu ojca, które rzucił jej z łoża śmierci.

W uszach rozległ się kolejny grzmot, a za szybami niebo przeszła kolejna błyskawica, rysując na ścianie cień niepotrzebnej kobiety, która właśnie umierała.

# 18

Na dworze, w ciemności, lało jak z cebra.

Stojąc w oknie wychodzącym na Szesnąstą Ulicę, Jordan patrzył na krople spadające prosto z nieba na to miasto, które nieba miało nad sobą niewiele. Na deszcz, który spływał po wszystkich światłach i wspaniałościach Nowego Jorku, nie mogąc stać się jego częścią, żeby znaleźć się na koniec w więzieniu studzienek kanalizacyjnych, jako woda z odzysku.

Widział kiedyś jakiś stary film z Elliotem Gouldem, zatytułowany *Getting Strainght*. W czołówce, dzięki filmowemu trikowi, bohater szedł zatłoczoną ulicą w normalny sposób, podczas gdy samochody i ludzie cofali się, tak jak to się dzieje na taśmie puszczonej do tyłu.

Dokładnie w taki sam sposób czuł się w tej chwili.

Jordan nie wiedział, czy jego sposób postępowania jest właściwy, czy nie, ale był pewny, że on i ludzie, których miał wokół siebie, nie podążali w tę samą stronę. Nie mógł przestać myśleć o sobie jak o obcym ciele wtłoczonym na siłę w kontekst, którego kiedyś był częścią, a do którego teraz już nie należał.

Który z tych dwóch elementów został odrzucony, nie miało żadnego wpływu na kierunek podróży.

Odsunął się od okna i podszedł do stolika przy kanapie. Wziął pilota i włączył telewizor. Pojawił się obraz ustawiony na Eyewitness Channel, stację telewizyjną nadającą wiadomości dwadzieścia cztery godziny na dobę. Nadawano właśnie serwis zarejestrowany po południu. Na pierwszym planie stał reporter, którego nazwiska nie pamiętał, z mikrofonem w ręku. Przez ogromną szybę za jego plecami widać było samoloty i lśniący od deszczu fragment pasa startowego.

- Wielka liczba osób powitała na lotnisku trumnę z ciałem Connora Slave'a, piosenkarza porwanego w Rzymie i bestialsko zamordowanego tydzień temu, kiedy przebywał w towarzystwie swojej narzeczonej Maureen Martini, komisarza włoskiej policji. Przygotowane zostanie pomieszczenie z katafalkiem, gdzie ostatni hołd będą

mu mogli złożyć fani, których miał w całym kraju setki tysięcy. Uroczystości pogrzebowe przewidziane są...

Jordan wyłączył audio, zostawiając miejsce dla języka obrazów i ścieżki dźwiękowej deszczu za szybami. Kolejny chłopak, który nigdy się nie zestarzeje, który będzie się już zawsze uśmiechał twarzą bez zmarszczek z porcelanowej fotografii umieszczonej na nagrobku.

*...i liniach na księżycu, którego każda piędź  
jest miejscem, o którym trzeba zapomnieć...*

Słowa piosenki tego nieszczęsnego artysty przepęłniły Jordana goryczą. Odezwał się w nim jakiś szósty zmysł wywołany padającym od wielu godzin ulewnym deszczem, dlatego nie zdziwił się, kiedy zadzwonił stacjonarny telefon. Jordan patrzył na aparat, niezdecydowany, czy ma odebrać. Jego wątpliwości rozwiązała Lysa, która wyłoniła się w szlafroku z korytarza, podając mu słuchawkę telefonu bezprzewodowego.

- Do ciebie.

Jordan zbliżył się i przyłożył ucho do słuchawki cieplej jeszcze od skóry Lysy.

- Jordan, tu Burroni. Chyba coś mamy.

- Co się stało?

- Wszystko wskazuje na to, że mamy w ręku Lucy.

- Chryste. Kto to jest?

- Trzymaj się mocno: Chandelle Stuart. Znalaziono ją w jej domu dziś rano.

- Gdzie?

- W Stuart Building przy Central Park West.

Jordan poczuł, że ma spocone dłonie, jakby wilgoć deszczu padającego ślepo na szyby zdołała wdrzeć się do pokoju.

- Cholera. Myślałem, że ten łajdak da nam trochę więcej czasu.

- Jadę tam. Chcesz, żebym po ciebie wstąpił?

- Byłoby dobrze. W tym deszczu motor nie wydaje mi się najlepszym pomysłem.

- Okej. Jestem już w drodze. Za pięć minut będę u ciebie.

- Ubieram się i schodzę.

Stojąc pośrodku pokoju, Lysa przyglądała się, jak wkłada skórzaną kurtkę.

- Przykro mi, że się obudziłaś, Lyso. Nie rozumiem, dlaczego nie zadzwonili do mnie na komórkę.

- Nic nie szkodzi. Nie spałam. Kłopoty?

- Tak, zamordowano następną osobę i wszystko wskazuje na to, że zbrodnia powiązana jest z zabójstwem mojego bratanka.

- Przykro mi.

- Mnie też. Mam tylko nadzieję, że tym razem znajdziemy coś, co pomoże nam powstrzymać tego szaleńca.

Stali naprzeciw siebie w domu, który nie należał do żadnego z dwojga. Lysa miała błyszczące oczy.

- Jordan, nie jestem pewna, czy wiem, co mówi się w takich przypadkach.

- Nie trzeba nic mówić. Cokolwiek się powie, zostało już powiedziane setki razy.

Wyszedł i przymknął delikatnie drzwi, tak jakby ich hałas mógł rozbić sens tych słów. Windy nie było na piętrze, postanowił, więc zejść po schodach. Z mieszkania piętro niżej nie dochodziła muzyka. Minął drzwi, wspominając litościwie Connora Slave'a, który od tej pory będzie śpiewał tylko wtedy, kiedy ktoś przycisnie „Play” na stereo.

Znalazł się w drzwiach wyjściowych dokładnie w tym samym momencie, gdy służbowy ford z Burronim za kierownicą zatrzymywał się przy krawężniku po przeciwnej stronie. Wyszedł na deszcz i kiedy przebiegał przez ulicę, zobaczył, jak ten otwiera mu drzwiczki. Wślizgnął się do samochodu, pachnącego wilgotną wykładziną i sztuczną skórą.

Przez przednią szybę, po której ślizgały się wycieraczki, dostrzegł świetlisty prostokąt, gdzie, za szybą, rysowała się nieruchoma postać Lysy. Obecność i nieobecność równocześnie. Burroni poszedł za jego wzrokiem i objął oczami oświetlone okno.

- To twoje mieszkanie?

- Tak.

Burroni o nic więcej nie zapytał, a on nic więcej nie chciał powiedzieć. Kiedy samochód odrywał się od chodnika i od spojrzenia Lysy, Jordan pomyślał o porannym przebudzeniu, które nastąpiło nazajutrz po ich poznaniu.

Otworzył oczy i poczuł coś, do czego nie był przyzwyczajony, przynajmniej w swoim domu: zapach kawy, której nie przygotował sobie sam. Wstał, wciągnął dżinsy i T-shirt. Zanim wyszedł z łazienki, skontrolował swój wygląd z lustrze i znalazł tam

wszystko to, czego się spodziewał. Oblicze mężczyzny, które poprzedniego wieczoru zderzyło się czołowo ze sporą liczbą ciosów.

Umył twarz, wyszedł z pokoju i dołączył do Lysy Guerrero w salonie. Na powrót doznał wrażenia rozrzedzonego powietrza, wchodząc do pomieszczenia, w którym...

Ona czy on?

Przywoływał teraz tę myśl z takim samym zakłopotaniem, jakie odczuwał w tamtej chwili. Na twarzy Lysy i w jej głosie, przeciwnie, nie było śladu ich rozmowy z poprzedniego wieczoru.

Tylko uśmiech.

- Dzień dobry, Jordan. Ja mogę tylko zobaczyć, jak się ma pana oko i nos. A pan jak je czuje?

- Zupełnie ich nie czuję. A raczej czuję, ale staram się nie zwracać na to uwagi.

- Znakomicie. Napije się pan kawy?

Usiadł przy stole nakrytym dla dwojga.

- Zasluguję na ten przywilej?

- To mój pierwszy dzień mojego pierwszego razu w Nowym Jorku. Ja też na to zasługuję. Jakie lubi pan jajka?

- Mam również prawo do jajek?

- Oczywiście. W innym razie, jaki to by był *bed and breakfast*?

Lysa przyniosła na stół talerze i zjedli śniadanie prawie w milczeniu. Nad głowami obojga unosiła się niewidzialna chmura ich myśli.

Lysa zamknęła tę krótką chwilę pełnego spokoju, otwierając drzwi na to, co działo się na zewnątrz.

- Niedawno mówili w telewizji o pana bratanku.

- Wyobrażam sobie. Ta historia rozpętała piekło.

- A pan, co teraz robi?

Jordan odpowiedział gestem, który ogarniał wszystko na świecie i zarazem nic.

- Przede wszystkim poszukam sobie mieszkania. Nie chcę iść do mojego brata do Gracie Mansion. To zbyt na widoku. Byłbym na oczach wszystkich, a ja wolę być jak najbardziej ukryty. Na Trzydziestej Ósmej jest taki hotel, który...

- Proszę posłuchać, mam dla pana propozycję. Biorąc pod uwagę, że mój mąż nie jest już problemem...

Uderzenie gorąca w żołądku. Jordan miał nadzieję, że nie towarzyszyło mu takie samo uderzenie gorąca na twarzy. Lysa kontynuowała, jak gdyby nigdy nic:

- Dopiero przyjechałam do miasta i chcę być przez jakiś czas turystką, zanim zacznę rozglądać się za pracą. W rezultacie przez większość czasu będę poza domem. Jeśli chodzi o pana, ta historia na pewno prędzej czy później się skończy i będzie pan mógł swobodnie wyjechać. A tymczasem może się pan zatrzymać tutaj, jeśli pan zechce.

Zrobiła pauzę i przechyliła lekko głowę na bok. Błysk rozbawionego wyzwania roztopił jakby na chwilę złoto jej oczu.

- Pod warunkiem, że nie będzie to dla pana problemem...

- Oczywiście, że nie.

Jordan odpowiedział trochę zbyt pospiesznie i natychmiast nazwał się w duchu idiotą.

- Dobrze, przyjąwszy ten nowy bieg wydarzeń, myślę, że możemy zacząć sobie mówić po imieniu.

Jordan zrozumiał, że nie była to propozycja, tylko stwierdzenie faktu. Lysa wstała i zaczęła sprzątać ze stołu.

- Pomóc?

- Na miłość boską, nie. Myślę, że masz dużo ważniejsze sprawy.

Jordan spojrział na zegarek.

- Istotnie. Idę pod prysznic i zaczynam działać.

Ruszył w stronę swojego pokoju, ale głos Lysy go zatrzymał.

- Jordan...

Stanął odwrócony plecami przy wejściu do przedpokoju.

-... wcześniej mówili też o tobie w tym serwisie, który widziałam w telewizji. Powiedzieli, że byłeś jednym z najlepszych policjantów, jakich miał kiedykolwiek Nowy Jork.

- Tyle rzeczy się mówi...

- Podali również powód, dla którego już nim nie jesteś.

Odwrócił się, a Lysa spojrzała na niego tymi oczami, które zdawały się miejscem, gdzie spełniają się wszystkie pragnienia. Odpowiedź Jordana została rzucona na środek pokoju niczym zakrwawiony ręcznik na ring bokserski.

- Taki czy inny powód, jakie to ma znaczenie?

- ...dziś w nocy przez ochroniarza.

Głos Burroniego przywołał go z powrotem do smaganego deszczem samochodu, który posuwał się zawieszony między światłami w górze i ich odbiciem pod kołami.



- Wybacz, James, zamyśliłem się. Mógłbyś powtórzyć?

- Powiedziałem, że zabójstwo zostało odkryte dziś w nocy przez jej ochroniarza. Zadzwoił do centrali, sam z nim rozmawiałem. Z tego, co mi w skrócie zrelacjonował, i z pozycji, w jakiej ułożone zostało ciało, mogłoby to być to, o czym ci mówiłem.

- Czy mój brat już wie?

- Oczywiście. Zawiadomiliśmy go niezwłocznie, tak jak prosił. Powiedział, żeby go poinformować, jeśli sprawy mają się rzeczywiście tak, jak na to wygląda.

- Już wkrótce będziemy mogli to sprawdzić.

Przez resztę drogi nie odezwali się już słowem, każdy w towarzystwie swoich myśli, które chętnie zostawiłby w domu.

Jordan znał Stuart Building, trochę ponury sześćdziesięcioletni budynek, ozdobiony na wyższych poziomach gargulcami, przypominającymi bardzo Chrysler Building. Zajmował całą przestrzeń między Dziewięćdziesiątą Drugą a Dziewięćdziesiątą Trzecią Ulicą przy Central Park West, wychodząc na Central Park na wysokości Jackie Onassis Reservoir. Nazwisko Stuart oznaczało pieniądze, te prawdziwe, ważne. Stary Arnold J. Stuart zbudował wielką fortunę na stali i braku skrupułów w czasach Fricków i Carnegieh. W następnych latach interesy rodziny rozwinęły się i Stuartowie zainwestowali po trochu we wszystkie gałęzie, aż stały się one prawdziwymi pniami. Kiedy kilka lat temu zmarli jej rodzice, najpierw matka, potem ojciec, Chandelle Stuart stała się jedyną spadkobierczynią fortuny obliczanej na liczbę złożoną z bardzo wielu zer.

A teraz, mimo tych wszystkich pieniędzy, ona też rozstała się z tym światem.

Kiedy dotarli na miejsce, Burroni zaparkował samochód zaraz za furgonetką brygady kryminalistycznej. Zgasił silnik, ale nie wysiadł. Wycieraczki przestały pracować i padający deszcz zaczął spływać po szybach.

- Jordan, jest pewna rzecz, o której powinieneś wiedzieć. Po tym, co mi dzisiaj powiedziałaś, b a r d z i e j nawet niż stosowne, wydaje mi się to słuszne.

Jordan czekał w milczeniu. Nie wiedział, co Burroni zamierza mu powiedzieć, ale czuł, że nie jest mu łatwo.

- Wiesz, chodzi o tamtą historię w wydziale spraw wewnętrznych. Wziąłem te pieniądze. Były mi potrzebne. Kenny, mój syn, on ma...

Jordan powstrzymał to wyznanie gestem ręki. Jego odpowiedź zamglila szybę przedniego okna.

- W porządku, James. Wierzę, że było to trudne także dla ciebie.

Popatrzyli po sobie przez chwilę i ich twarze, w pomarańczowym świetle latarni i refleksach kropli na szybie wewnątrz samochodu wyglądały jak widma.

Po czym Jordan odpiął pas i chwycił rączkę drzwiczek.

- Śmiało, chodźmy podeptać trochę po tym gównie.

Otworzyli drzwi niemal równocześnie i wyszli na zewnątrz. Ruszyli biegiem w stronę wejścia do drapacza chmur, zostawiając na chodniku mokre ślady kroków mężczyzn, których deszcz daremnie próbował zmoczyć.

## 19

Pierwszą rzeczą, jaką zobaczyli, wchodząc do apartamentu, była nieruchoma postać kobiety siedzącej obok fortepianu, wielkiego steinwaya, lśniącego i czarnego, który sam w sobie wart był majątek. Siedziała na wysokim stołku barowym, miała plecy oparte w taki sposób, żeby skrzynia fortepianu służyła jej za podstawę, łokcie wsparte na lakierowanym pulpicie, a ręce miękko opadające w próżnię. Twarz zwrócona była w stronę klawiatury, tak jakby słuchała w uniesieniu bezdźwięcznej muzyki, wykonywanej przez niewidzialnego pianistę, którego tylko ona mogła słyszeć i widzieć.

Ubrana była w elegancką czarną sukienkę, wydekoltowaną, ale niewyzywającą. Długie, gładkie włosy opadły jej na twarz, dlatego nie można było odróżnić rysów. Nogi zostały założone jedna na drugą, a krótka sukienka pozwalała dostrzec ten tajemniczy punkt wyznaczony przez lekkie cieniowanie nylonu, gdzie uda nakładały się na siebie. Na wysokości kolan jakaś połyskująca substancja spłynęła wzdłuż linii łydki, plamiąc lekką tkaninę pończoch.

Ułożona w ten bezlitosny obraz kobieta wyglądała, jakby bezwstydnym fotograf zaskoczył ją i utrwalił na zawsze w intymnym momencie śmierci. Jordan mimo woli odezwał się tonem niższym, niż to czynił normalnie, jak gdyby nie chciał przerwać złowieszczonego uroku tego niemego koncertu.

- Zupełnie tak jak Lucy ze Schroederem.

- Kim jest Schroeder?

- Jest to drugoplanowa postać z *Peanutsów*, mały muzyczny geniusz, wielbiciel Beethovena. Charles Schulz rysował go wyłącznie przy jego małym fortepianie. Lucy jest w nim zakochana i słucha jego gry, siedząc dokładnie w takiej pozycji.

Podeszli powoli do ciała. Burroni wskazał na oparte łokcie podtrzymujące zwłoki, przytwierdzone do czarnego lakieru fortepianu grubą warstwą kleju. Dolna część pleców w taki sam sposób przyklejona została do oparcia stołka. Żeby utrzymać je we

właściwej pozycji, założone na siebie nogi przytrzymane zostały na wysokości kolan warstwą substancji klejącej, której nadmiar spłynął po łydce.

- Jest przyklejona, dokładnie tak, jak twój bratanek. Ale tym razem nasz inscenizator zadziałał na dużą skalę.

- Fakt. I założę się, że mamy do czynienia z tym samym klejem, Ice Glue.

Jordan założył lateksowe rękawiczki, które podał mu Burroni, po czym podniósł głowę ofiary i odsłonił jej twarz.

- Jezu Chryste...

Na chudej i bladej twarzy wytrzeszczone oczy ofiary, wpatrzone w klawiaturę, zostały pokryte warstwą tego samego kleju, którego oprawca użył do umocowania reszty ciała. Jordan pokazał Burroniemu sińce, które miała wokół szyi, niczym pogańskie graffiti ludzkiej ofiary.

- Ona też została uduszona.

Jordan puścił włosy, które niczym litościwa kurtyna znów osłoniły oczy wybałuszone w ich nienaturalnym, chemicznym zdumieniu. Okrążył fortepian, żeby obejrzeć ciało pod innym kątem. To, co ujrzał, przemieszczając się, przywołało mu na usta przekleństwo, które z trudem powstrzymał. Wieko klawiatury było podniesione, a na małej klapie, na której kładzie się zwykle nuty, leżała biała kartka z napisem kursywą.

*Była to ciemna, burzowa noc...*

Poczuł, że ogarnia go przygnębienie. Zbyt dobrze znał przeszły i przyszły sens tego napisu. Było to słynne powiedzenie *Peanutsów*, ale jednocześnie oznaczało dla kogoś wyrok śmierci. Kiedy Burroni stanął za nim, Jordanowi zdawało się, że czuje, jak jego spojrzenie śmiga ze świstem strzały i wbija się w kartkę i w jej znaczenie.

- Och nie, kurwa!

- Niestety, tak. To jest kolejne ostrzeżenie. Jeśli się nie pospieszymy i nie znajdziemy tego skurwysyna, wkrótce będziemy musieli zająć się także jakimś biedakiem, którego morderca nazywa Snoopy.

Jordan odsunął się od fortepianu i rozejrzał dookoła. Wcześniej, kiedy rozsunęły się drzwi windy prowadzącej bezpośrednio do apartamentu Chandelle Stuart, pierwszą rzeczą, jaka ukazała się ich oczom, był mrozący krew w żyłach widok jej

zwłok, ułożonych niczym jakaś ludzka ikebana o okrucieństwie, które można było przypisać jedynie fantazji szaleńca. Teraz mógł sobie wreszcie zdać w pełni sprawę, w jakim znajdowali się miejscu. Apartament zajmował praktycznie całe ostatnie piętro Stuart Building i, przynajmniej w części, którą można było zobaczyć, został urządony w czystym stylu minimalistycznym. Meble wykonane były z drewna wenge i anodowanego aluminium, kanapy zaś i zasłony z tkanin o delikatnych barwach, w tonacji różnych odcieni piasku i tytoniu. Wszystko, co ich otaczało, świadczyło o bogactwie, bogactwie traktowanym niedbale, jako coś wrodzonego, pozwalającym obracać sumami, które zamieniłyby w długie wakacje nędzne życie dziewięćdziesięciu procent świata, jakby to były drobniaki. Zobaczył tam obrazy i cenne przedmioty, opowiadające o długiej historii rodziny Stuartów poprzez ich autentyczność i unikatowość. Długą ścianę po jego prawej stronie, ustawioną naprzeciwko szyb, przez które widać było olbrzymi taras wychodzący na Central Park, w całości zajmowało malowidło i nie istniały żadne powody do podejrzeń, że nie chodzi o oryginał. Był to szkic do Tratwy Meduzy Gericault, naturalnej wielkości - siedem metrów na cztery - takiej samej jak skończona wersja wisząca w Luwrze.

Obecność w tym miejscu tego właśnie obrazu zmusiła Jordana do kolejnej z rzędu konstatacji dotyczącej szyderstwa losu wobec bezbronności człowieka.

Gericault. Jerry Kho.

Dwaj malarze, dwa nazwiska o podobnym brzmieniu, połączeni taką samą gwałtowną rozpaczą, każdy z własną tratwą przeznaczoną do malowania i do żeglowania. A teraz, na tej kruchej łupinie bez nadziei, dryfowała także dusza Chandelle Stuart.

Ruszył w stronę obrazu i dostrzegł parę rzeczy, na które wcześniej nie zwrócił uwagi. Na podłodze obok windy leżały kawałki rozbitego wazonu, którym prawdopodobnie ktoś cisnął w drzwi. Wykładzina pokrywająca rozsuwane skrzydła nosiła tego wyraźny ślad. Po salonie walały się też strzępy czegoś, co było chyba wcześniej sukienką.

Lekarz sądowy wyłonił się zza ściany, na której wisiał obraz. Jordan i Burroni zaczekali na niego, a kiedy przed nimi stanął, bez zbędnych wstępów odpowiedział na pytanie, które czytał w ich oczach.

- Na razie nie mogę wam powiedzieć prawie nic poza tym, że ofiara została uduszona i że zgon nastąpił mniej więcej między dwudziestą pierwszą a dwudziestą trzecią.

Jordan wskazał koronerowi skorupy przy windzie i strzępy tkaniny na podłodze.

- Z tego, co widać, wygląda, jak gdyby stoczyła się tutaj walka, tymczasem wydaje mi się, że ofiara nie nosi żadnych śladów.

Lekarz wskazał ruchem głowy zwłoki oparte o fortepian po prawej stronie.

- W tych warunkach nie można dokładnie zbadać ciała. Zastanawiam się zresztą, w jaki sposób odkleimy je od fortepianu i zabierzemy stąd. Niech mi Bóg wybaczy, ale gdyby nie obecność zwłok, powiedziałbym, że uczestniczymy w jakimś gagu Jasia Fasoli.

Mimo że podczas swojej kariery widział niemal wszystkie możliwe warianty śmierci, on też zdawał się wstrząśnięty widokiem, który miał przed sobą.

- Proszę dostarczyć nam wyniki autopsji, jak tylko będą gotowe.

- Możecie być tego pewni. Podejrzewam, że wkrótce odbiorę telefon i jakaś gruba ryba powie mi, że ta sprawa ma absolutne pierwszeństwo.

Zostawił ich i podszedł do dwóch ludzi odpowiedzialnych za transport ciała, którzy dla potwierdzenia jego słów stali przed fortepianem z bezradnym wyrazem twarzy.

- Co o tym myślisz, Jordan?

- Szczerze mówiąc, nie wiem jeszcze, co myśleć. I to bardzo mnie niepokoi.

- Czy według ciebie mamy do czynienia z seryjnym mordercą?

- Wiele na to wskazuje, a jednak jest coś, co w całej tej sprawie mnie nie przekonuje. Bez wątpienia chodzi o osobę, która ma pomieszane w głowie. A co do symboliki najlepiej będzie, jeśli zwrócimy się do jakiegoś eksperta. Ale wszystko wydaje mi się zbyt wypracowane, zawile...

Burroni zrozumiał, że Jordan, tak jak wcześniej w domu Geralda Marsalisa, mówi bardziej do siebie. Jak gdyby dźwięk własnego głosu pomagał mu się zastanowić.

- Seryjni mordercy w chwili kontaktu z ofiarą są zazwyczaj rozgorączkowani, chaotyczni, mniej skoncentrowani. Nie wiem. Może tymczasem zamienimy dwa słowa z ochroniarzem?

Burroni dał znak funkcjonariuszowi, który przyjął ich w holu i zaprowadził aż do apartamentu, a teraz stał obok drzwi do windy. Czarnoskóry policjant z wąsami, o potężnej sylwetce, którą ciemnogrnatowy mundur tylko trochę zmniejszył optycznie, opuścił swoje stanowisko i podszedł do nich.

- Gdzie jest osoba, która znalazła zwłoki?

- Tam.

Przeciskając się między ekspertami z kryminalistycznej, którzy kończyli zdejmować ślady, przemierzali za nim długą trasę, potwierdzającą ogrom i bogactwo tego domu, aż dotarli do dużego pomieszczenia, które mogło być uznane za pracownię. Na ścianach po lewej i prawej stronie stały wysokie półki z książkami. Dostać się do nich można było po dwóch metalowych drabinach, poruszających się na szynach. Wielkie, przeszklone drzwi naprzeciw wejścia wychodziły na taras będący prawdopodobnie przedłużeniem tarasu z salonu.

Za supernowoczesnym biurkiem, zajęтым częściowo przez monitor i klawiaturę komputera, siedział mężczyzna, który na ich widok podniósł się z krzesła. Był wysoki, ze szpakowatymi włosami zaczesanymi do tyłu, o atletycznej budowie i kanciastych rysach twarzy. Mała blizna obok prawego oka naciągała lekko skórę do tyłu, wywołując na jego twarzy wrażenie niepokojącej asymetrii.

- Jestem detektyw Burroni, a to jest policyjny konsultant Jordan Marsalis.

Kiedyś Jordan uśmiechnąłby się na to określenie, które oznaczało wszystko i nic. Teraz powodowało, że czuł się intruzem, i kusiło go, by patrzeć w inną stronę. Jego aktualna pozycja zmuszała go, żeby w sytuacjach takich jak ta trzymał się krok z tyłu, pozostawiając Burroniemu oficjalne kierowanie śledztwem.

- Jak mi się zdaje, rozmawiałem z panem przez telefon, panie?...

- Nazywam się Haze. Randall Haze. Tak, to ja do was zadzwoniłem, kiedy odkryłem, co się stało.

Mężczyzna wyszedł zza biurka, a Burroni i Jordan uścisnęli kolejno rękę, którą do nich wyciągnął. Był silnym mężczyzną i to się czuło. W elastyczności jego ruchów i całej sylwetce widać było wyraźnie ową twardość pochodzącą z długiego przebywania na ulicy, a niewypracowaną na kursach sztuk walki czy też w salach gimnastycznych, gdzie pompuje się mięśnie za pomocą sterydów.

- Przede wszystkim jest coś, co chcę wam powiedzieć. Myślę, że zbieracie ślady po całym domu...

- To oczywiste.

- No właśnie, znajdziecie też moje. Mówię wam to, zanim sami je odkryjecie. Jakiś czas temu byłem w więzieniu. Pięć lat za napad i usiłowanie zabójstwa. Nie chodzi o żadne usprawiedliwienie, tylko wyjaśnienie. Byłem chłopakiem trochę gwałtownym, popełniłem błąd i zapłaciłem za to. Od tamtej pory żyłem uczciwie.

- Okej, przyjęte. Proszę usiąść, panie Haze.

Mężczyzna zajął jeden z dwóch foteli o dosyć śmiałym wzorze, ustawionych naprzeciw biurka. Zanim usiadł, poprawił kant spodni eleganckiego ciemnoszarego garnituru, który miał na sobie. Burroni podszedł do szklanych drzwi i stał przez chwilę za jego plecami, wpatrując się w mrok za szybami.

- Od jak dawna pracował pan dla panny Stuart?
- Mniej więcej od pięciu lat, miesiąc krócej, miesiąc dłużej.
- Jakie były pana obowiązki?
- Ochroniarz i szczególny sekretarz.
- Na czym polegała ta szczególność?
- Moim zadaniem było towarzyszyć panie Stuart w sytuacjach prywatnych, których nie chciała... jak by to powiedzieć... czynić publicznymi.

Burroni nie uznał chwilowo za stosowne zgłębianie tego tematu.

- A więc, proszę nam wyjaśnić, co się stało.
- Wczorajem zadzwoniła do mnie Chand... panna Stuart.
- O której godzinie?
- Około ósmej trzydzieści, jak mi się zdaje. W każdym razie zadzwoniła na komórkę. Będziecie to mogli łatwo sprawdzić na billingach.

Burroni odwrócił się i przez jego oblicze przemknęło zniecierpliwienie kogoś, kto nie chce być pouczany.

- W porządku. Jeśli będzie potrzeba, zrobimy to. I czego chciała?
- Wyzaczyła mi spotkanie około północy, bo miała zamiar wyjść. Przyjechałem tu za kwadrans dwunasta, wjechałem windą do mieszkania i znalazłem ciało. Wtedy zadzwoniłem do was.

- Czy to było normalne, że prosiła pana, byście wyszli o tej porze?
- W pewnych przypadkach tak. Panna Stuart była osobą...

Randall Haze przerwał, spuścił głowę i wpatrywał się w podłogę, jak gdyby między jego lśnięcymi butami nagle otworzyła się dziura. W tym momencie Jordan postanowił się włączyć i usiadł w fotelu naprzeciwko.

- Panie Haze, proszę posłuchać. W powietrzu jest coś, czego nie rozumiem, a kiedy tak się dzieje, czuję się głupi. Chyba, że głupia jest osoba, którą mam przed sobą. Ale nie wydaje mi się, żebyśmy mieli do czynienia z tym przypadkiem. A zatem, czy jest coś, co powinniśmy wiedzieć?

Haze głęboko westchnął. Jordanowi przyszedł na chwilę do głowy dziwny obraz wentyla bezpieczeństwa, który pozbywa się nadmiaru ciśnienia.



- Widzi pan, panna Stuart była chora.

- Co pan rozumie przez „chora”?

- Nie potrafię znaleźć innego określenia. Coś z nią było nie tak. Miała bardzo niebezpieczne upodobania i moja praca polegała między innymi na chronieniu jej, podczas gdy je zaspokajała.

- To znaczy?

- Panna Stuart była nimfomanką i lubiła, gdy ją gwałcono.

Jordan i Burroni wymienili spojrzenia. To, co przed chwilą powiedział Randall Haze, oznaczało grube komplikacje, a ich wzrok potwierdzał, że obydwaj to zrozumieli.

Ochroniarz kontynuował swoją opowieść już bez potrzeby dalszych ponagleń. Na jego twarzy malowała się ulga kogoś, kto przez zbyt długi czas trzymał w górze pokrywę kosza na śmieci i teraz mógł ją w końcu opuścić.

- Towarzyszyłem jej i chroniłem ją w sytuacjach, które większość kobiet zaliczyłaby do najstraszliwszych koszmarów. W niektóre wieczory, w podejrzanych dzielnicach, Chandelle oddawała się jednocześnie dziesięciu, dwunastu mężczyznom. Bezdomnym, włóczęgom wszystkich ras i kolorów skóry, których sam widok wzbudzał odrazę. I były to stosunki najwyższego ryzyka, bez żadnego zabezpieczenia przed całym tym gównem związanym z AIDS, które krąży dokoła. Kiedy indziej czuwałem w ukryciu w domu podczas jej spotkań, żeby móc interweniować na wypadek, gdyby sadyści, z którymi się zabawiała, przesadzili i rzeczywiście chcieli jej zrobić krzywdę. Poza tym były jeszcze filmy.

- Jakie filmy?

- Te, które ja kręciłem. Musiałem rejestrować kamerą cyfrową wszystko to, co działo się tutaj albo poza domem. Ona przegrywała to na DVD i oglądała. Podniecało ją patrzeć na siebie w sytuacjach upodlenia. Płyty powinny być gdzieś tutaj.

Wykonał gest, który wskazywał na pokój albo na dom, a może na jakiegokolwiek inne obrzydliwe miejsce na świecie. Burroni i Jordan znów na siebie spojrzeli.

- Jak mniemam, panna Stuart bardzo dobrze płaciła panu za te usługi.

- O tak, oczywiście. Jeśli chodzi o pieniądze, panna Stuart była bardzo hojna. Kiedy chciała, potrafiła mieć gest...

Pauza, która nastąpiła, oznaczała wiele rzeczy i nie wszystkie dało się opowiedzieć, patrząc w oczy rozmówcy. Randall Haze znów spuścił głowę i patrzył w

podłogę. Przerwa między jego butami zamieniła się być może w wir i teraz po drugiej stronie ziemi widział czyste niebo.

- Jeszcze kilka pytań i będzie pan wolny. Czy wydaje się panu, że w domu czegoś brakuje?

Burroni zadał to pytanie ze służbowego obowiązku. Zarówno on, jak i Jordan wiedzieli doskonale, że prawdopodobieństwo zabójstwa na tle rabunkowym było praktycznie zerowe. Stanowiło ono raczej sposób wyjścia z tego chwilowego impasu.

- Na pierwszy rzut oka powiedziałbym, że nie. Wydaje mi się, że wszystko jest na swoim miejscu.

- A czy zauważył pan coś albo kogoś, kto w ostatnim czasie wzbudził pana szczególne podejrzenia? Mam na myśli coś dziwnego.

- Nie, chyba, że uznacie za dziwne sytuacje, w związku, z którymi byłem wzywany. Jordan zadał w tym momencie szczególnie palące go pytanie.

- Czy wydaje się panu, że panna Stuart spotykała albo знаła niejakiego Geralda Marsalisa? Był znany również pod nazwiskiem Jerry Kho.

- Tego syna burmistrza, który został niedawno zamordowany? Widziałem jego zdjęcia w gazetach. Prawdę mówiąc, nie wydaje mi się. A właściwie raz w Pangya, dyskoteci przy Lafayette, kiedy minęli się, wymienili zwyczajne pozdrowienie dłonią. To znaczyło, że się znali, ale przez cały czas, kiedy dla niej pracowałem, nigdy nie słyszałem, żeby o nim wspominała czy żeby kiedykolwiek gdzieś wspólnie bywali.

Jordan dał dyskretny znak Burroniemu. Ten wsunął rękę do kieszeni i wyciągnął wizytówkę, którą podał siedzącemu w fotelu mężczyźnie.

- Dobrze, panie Haze, myślę, że na razie to wystarczy. Chętnie kontynuowałbym tę pogawędkę po południu w One Police Plaza. Kiedy pan przyjdzie, proszę pytać o mnie.

Randall Haze włożył wizytówkę do kieszeni marynarki. Podniósł się płynnym ruchem i odszedł z życzeniem dobrej nocy, które, co Burroni i Jordan dobrze wiedzieli, było czystą kurtuazją.

Odczekali chwilę, żeby bezrobotny już ochroniarz Chandelle Stuart się oddalił, po czym detektyw wyjął zza paska krótkofalówkę.

- Tu Burroni. Schodzi mężczyzna. Szpakowate włosy, szary garnitur. Nazywa się Randall Haze. Niech ktoś ma go na oku przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Ale proszę, bardzo dyskretnie. To typ, który zna się na tej robocie.

Zostali sami i przeszli w milczeniu w drugą stronę tą samą drogą, która zawiodła ich do gabinetu. Zamyśleni dotarli do salonu, skąd usunięto już ciało. Na błyszczącym lakierze fortepianu pozostały ślady kleju i białe punkty umieszczone tam przez kryminalistyczną, żeby wskazywały miejsca, na których oparte były łokcie.

- Co o tym myślisz, Jordan?

- Myślę, że znaleźliśmy się w straszliwych tarapatach. Mamy dwie ofiary. Dwie osoby pod pewnymi względami wielce kontrowersyjne, ale należące do bardzo eksponowanych rodzin. Łączą je też takie same okoliczności zbrodni. Chwilowo udało nam się jakimś cudem nie dopuścić do przecieków. Ale teraz, jak sądzisz, ile czasu będzie trzeba, żeby cała ta historia wyszła na jaw, łącznie z moim zaangażowaniem w śledztwo?

- Sądzę, że nie mamy chwili do stracenia.

- Właśnie. I to z wielu powodów. Najważniejszy to ten, że jeśli się nie pośpieszymy, wkrótce będziemy mieli trzy ofiary.

- A co myślisz o tym Randallu Hazie?

- Dobrze zrobiłeś, że kazałeś mieć na niego oko, ale zobaczysz, że nic z tego nie wyniknie. Będzie z nim tak samo jak z LaFayette'em Johnsonem.

- Chryste, co za historia. Czego też nie robi się dla pieniędzy.

Jordan potrząsnął głową. Wpatrywał się przez chwilę w fortepian, który nie zachował pamięci o śmiertelnym koncercie, choć był jego świadkiem i protagonistą.

- To nie tylko kwestia pieniędzy. Powiedziałbym wręcz, że w tym przypadku pieniądze nie mają prawie nic do rzeczy. Życie bywa dziwne, James, naprawdę dziwne...

Burroni znów odniósł wrażenie, że Jordan Marsalis mówi to tylko do siebie.

- Może ci się to wydać niewiarygodne po tym, co nam opowiedział, ale jestem przekonany, że Randall Haze k o c h a ł Chandelle Stuart.

Detektyw odwrócił się, żeby spojrzeć na Jordana.

Ten stał pośrodku pokoju przed wielkim obrazem zawieszonym na ścianie i patrzył na *Tratwę Meduzy*, tak jakby właśnie w tej chwili zdał sobie sprawę z obecności na pokładzie nowego pasażera.

## 20

Kilku funkcjonariuszy weszło do windy, niosąc kartonowe pudła wypełnione materiałem dowodowym. Policjanci przetrząsnęli całe mieszkanie i zarekwirowali wszystko, co ich zdaniem mogło przydać się w śledztwie. Były to rzeczy codziennego użytku, fragmenty życia, nawet, jeśli kosztowały majątek, jak te należące do Chandelle Stuart. Znajdowały się tam notesy, dokumenty, dyskietki, DVD, wszystkie szczegóły, które mogły opowiedzieć o tajemnicy tej absurdalnej egzystencji, a teraz miały wyjaśnić tajemnicę jej równie absurdalnego kresu.

Odbiornik przyczepiony do paska Burroniego zadźwięczał podwójnym „bip”, co oznaczało wezwanie. Detektyw odczepił słuchawkę i zbliżył do ucha.

- Burroni.

Jordan był oddalony o parę kroków, z mikrofonu aparatu dotarło, więc do niego tylko kilka trzeszczących, ledwo słyszalnych słów.

- W porządku, schodzimy.

Burroni umieścił krótkofalówkę z powrotem za paskiem i odwrócił się w stronę Jordana.

- Przyjechał człowiek odpowiedzialny za ochronę Stuart Building. Chcesz z nim porozmawiać?

- Nie, idź sam na razie. Jeśli pozwolisz, chciałbym tu przez kilka minut zostać.

Burroni pokiwał głową. Nie rozumiał jeszcze do końca metod dochodzeniowych Jordana Marsalisa, ale je zaakceptował. Instynkt mu podpowiedział, że nie chodzi o zwykłe doświadczenie czy też intuicję, ale o autentyczny talent. Teraz wiedział, że jego sława nie miała w sobie nic z uzurpacji. Koniec końców musiał się zastanowić, kto tak naprawdę więcej stracił: Jordan, odchodząc z policji, czy policja, pozbywając się go. Detektyw wślizgnął się do windy, której drzwi zasunęły się bezszelestnie, zostawiając za sobą obraz Jordana stojącego nieruchomo pośrodku salonu z zamyślnym wyrazem twarzy.

Jordan został sam w mieszkaniu, czekając, aż dom do niego przemówi. Na scenie niedawno popełnionej zbrodni pozostawało zawsze coś, co unosiło się w powietrzu, jakiś niewidoczny znak, którego nie można było odkryć za pomocą proszku do odsłaniania odcisków palców ani luminalu czy też jakiegokolwiek innego środka używanego przez śledczych i ekspertów brygady kryminalistycznej. Jordan często to coś wyczuwał i za każdym razem dostawał gęziej skórki. Wyglądało to tak, jakby narcystyczny zmysł śmierci nigdy nie był w pełni zaspokojony i pozostawiał za sobą jakąś smugę, żeby wymusić jeszcze ostatni, okrutny aplauz. Chciał już zrobić to samo na strychu Geralda, ale nie udało się z powodu obecności zbyt wielu osób i nadmiaru osobistych wspomnień.

W owej chwili dom Jerry'ego Kho powiedziałyby mu same kłamstwa.

Teraz, próbując poddać się maksymalnie owej logice zaprzeczającej wszelkiej logice, spokojnie przemierzył trasę prowadzącą do gabinetu, gdzie wcześniej przesłuchiwali Randalla Haze'a. Wchodził do wszystkich pomieszczeń, które poprzednio tylko mijali, i wsłuchiwał się, za pośrednictwem przekazywanych mu przez dom wrażeń, w historię miejsca, mówiącego tylko o pieniądzach, nudzie, zniechęceniu i o przegranej walce podczas próby ich przewyciężenia. Chodząc wkoło w tej bezkresnej przestrzeni, dotarł w końcu do gabinetu, gdzie Haze odsłonił przed nimi najtajniejsze zakamarki życia panny Stuart.

Podczas rozmowy z ochroniarzem coś go uderzyło, ale nie mógł sobie przypomnieć, co. Z tego właśnie powodu był tam teraz sam, czekając na odpowiedź, którą tylko on mógł usłyszeć. Usiadł w fotelu, który zajmował w czasie przesłuchania, i zaczął krążyć wzrokiem po pokoju.

Za jego plecami stała wypełniona książkami biblioteka. Po lewej stronie przeszklone drzwi, wychodzące na taras wysunięty w stronę światła miasta. Naprzeciw niego, zawieszony na ścianie za biurkiem, obraz Mondriana o liniach i kwadratach doskonale zrównoważonych z barwami. Po obu stronach biurka jeszcze dwa regały biblioteki, identyczne jak ten na przeciwległej ścianie.

Na półce po lewej stronie były...

No właśnie. Jordan wstał i podszedł do czterech tomów w ciemnoczerwonych oprawkach, ustawionych jeden przy drugim na wysokości jego oczu. Na stronie tytułowej widniało logo, a niżej złoty napis:

*Vassar College - Poughkeepsie.*

Znał ten college. Mniej więcej do końca lat sześćdziesiątych zarezerwowany był tylko dla dziewcząt i z sześcioma innymi szkołami tworzył coś na kształt lobby o nazwie „Siedem sióstr”. Uznawany był za bardzo ekskluzywny, a opłaty wynosiły około stu tysięcy dolarów rocznie. Jednakże analiza budżetu skłoniła kierownictwo do przyjmowania do szkoły również chłopców. Uprzywilejowaną pozycję na studiach magisterskich zajmowały kierunki twórcze, takie jak sztuki piękne, pisarstwo i inne formy komunikacji.

Jordan wziął do ręki jeden z tomów i otworzył. Był to rocznik ze zdjęciami wszystkich studentów reżyserii teatralnej i audiowizualnej. Przekładał strony wydrukowane na lakierowanym papierze, dopóki nie znalazł fotografii, której szukał.

Z błyszczącej stronicy patrzyła na niego bez uśmiechu Chandelle Stuart, dużo młodsza i dużo mniej zadbana, zamknięta od piersi w górę w prostokącie kadru. Ciemne i lekko zmrużone oczy oddawały w pełni jej trudny charakter, choć częściowo zasłonięte były okularami, które być może miały jej nadać bardziej intelektualny wygląd. Jordan nie mógł się oprzeć porównaniu tego spojrzenia z obrazem, który miał jeszcze w pamięci: te same oczy nieruchome i wybałuszone, pokryte warstwą kleju, jakby oślepione nagłym fleszem śmierci.

Potem jego uwagę przyciągnął szczegół u dołu strony.

I jakby poraził go piorun.

Chandelle miała przypiętą na piersi broszkę. Był to jeden z tych blaszanych znaczków tak bardzo modnych w połowie lat siedemdziesiątych. Był biały, a czarna kreska rysunku miała charakterystyczny styl grafiki Charlesa Schulza.

I przedstawiała twarz Lucy.

Jordan odnalazł w ciele i w głowie zapomniane już niemal doznanie: podniecenie znalezionego tropu, owo ekscytujące uczucie, które przybierało w jego umyśle obraz wiertarki przebijającej ścianę ciemnego pokoju, żeby wpuścić tam promień słońca.

Nigdy nikomu się do tego nie przyznał, ale był głęboko przeświadczony, że każdy śledczy podążający śladami przestępcy tak naprawdę robi to dla samego siebie, że motywacja wymierzania sprawiedliwości jest tylko pretekstem, ostatecznym zaś celem jest poszukiwanie owego podniecenia graniczącego z uzależnieniem.

Zastanawiał się często, czy każdy z morderców, których próbował schwytać, ogarnięty był i otoczony taką samą aurą w momencie popełniania krwawej zbrodni. I czy on sam nie jest przypadkiem potencjalnym przestępcą, który zrzędzeniem losu przywdział policyjny mundur.

Wziął komórkę i wybrał prywatny numer swojego brata w Gracie Mansion. Ten odpowiedział natychmiast, co oznaczało, że już nie śpi. A może jeszcze się nie położył.

- Halo.

- Chris, tu Jordan.

- Wreszcie. Jak sprawy?

- Źle. Jestem w domu Chandelle Stuart.

- Wiem. Co masz mi do powiedzenia?

- Według mnie to ten sam maniak, który zabił Geralda. Ofiara była przyklejona do fortepianu w sposób, który przywodzi na myśl Lucy, postać z *Peanutsów*.

- Cholera by to wzięła.

- Fakt. A na dodatek nie mamy chwilowo żadnego śladu godnego uwagi. Teraz czekamy na wyniki autopsji i rezultaty analiz kryminalistycznych.

- Zadzwoiłem już z poleceniem, żeby wszystko odbyło się jak najszybciej. Wszyscy wzięli się do pracy. Wkrótce będziesz miał pierwsze dane.

Jordan pogratulował w myśli lekarzowi sądowemu jego przezorności.

- Jest pewna rzecz, o którą chciałem cię spytać. Chodzi właściwie o potwierdzenie.

- Słucham.

- Jak mi się zdaje, Gerald przez parę lat uczęszczał do college'u. Czy nie był to przypadkiem Vassar w Poughkeepsie?

- Tak, dlaczego?

- Myślę, że powinieneś zadzwonić do rektora i uprzedzić go, że wkrótce przyjadę zadać mu kilka pytań. Chciałbym pojechać tam sam.

- Nie ma problemu. Zaraz się tym zajmę. Czy masz coś konkretnego?

- Może tak, a może nie. Mam przypuszczenie, ale zanim o tym powiem, chcę się upewnić.

- W porządku. Informuj mnie na bieżąco, a cokolwiek będzie ci potrzebne, będziesz to miał. Brakowało nam tylko jeszcze jednego przekłętą maniaką krążącego po tym mieście.

- To tyle na razie, do usłyszenia.

Jordan wyłączył telefon i schował go do kieszeni.

W tej samej chwili, poprzedzona lekkim skrzypieniem nowych butów na drewnianej podłodze, w drzwiach pojawiła się postać funkcjonariusza.

Jordan spojrzał na niego bez słowa. Jego milczenie upoważniło policjanta do zabrania głosu.

- Detektyw Burroni poprosił, żeby zapytać, czy może pan zejść. Jest coś, co chciałby panu pokazać.

Jordan podążył za funkcjonariuszem i za piskiem jego butów. W milczeniu wsiedli do windy i zaczęli, aż kabina bez żadnych wstrząsów zjedzie na parter. Drzwi rozsunęły się przed Jordanem z szelestem, jak przystało na windę w luksusowym budynku. Główne wejście do Stuart Building miało kształt litery T, której najdłuższa część, ta zwrócona do ulicy, składała się z wielkich szyb. Sufit był bardzo wysoko i stwarzał poczucie przestrzeni, które dodawało lekkości temu budynkowi zdecydowanie w stylu retro. Przeszli lewym skrzydłem, idąc po posadzce z marmuru, którego architekt nie skąpił. Pośrodku, naprzeciw dwojga obrotowych drzwi wejściowych, pod obowiązkową flagą amerykańską, znajdował się kontuar ochrony i informacja. W owej chwili siedział tam mężczyzna w czarnym mundurze, który patrzył na nich z zaciekawieniem, oszołomiony być może całym tym zamieszaniem.

Weszli przez drzwi za stanowiskiem ochrony i wspięli się po dwóch przesłach schodów, aż dotarli do dużego pomieszczenia wychodzącego na wielki balkon górujący nad całym wejściem. Naprzeciw szeregu ekranów telewizyjnych umieszczonych na szerokim kontuarze w taki sposób, żeby uzyskać panoramiczny widok, siedział tyłem inny mężczyzna w czarnym mundurze. Obok niego Burroni i drugi facet w średnim wieku, wysoki i łysiejący, którego Jordan dobrze znał. Nazywał się Harmon Fowley i on też był byłym policjantem. Kiedy przeszedł na emeryturę, został konsultantem Codex Security, spółki, dla której z przerwami po odejściu z policji pracował również Jordan.

Jeśli Fowley zaskoczony był jego widokiem, nie dał tego po sobie poznać. Energicznie uściśnął mu dłoń.

- Cześć, Jordan. Cieszę się, że cię widzę.

- Ja też, Harmon. Jak leci?

- Żyję. W naszych czasach to już luksus.

Jordan dostrzegł na twarzy Fowleya, niczym w lustrze, swoje własne niezadowolenie. Jak wiele ludzkich słabości, chwila ta minęła szybko i nikt nie stał się jej więźniem.

- Bardzo mi przykro z powodu twojego bratanka. Paskudna sprawa. A jeśli dobrze zrozumiałem, to, co stało się tutaj dziś wieczorem, ma coś wspólnego z tamtym morderstwem.



Jordan spojrzął w oczy Burroniemu i znalazł tam przyzwolenie. Fowley wiedział, czym jest w takim przypadku dyskrecja, i mógł być cennym pomocnikiem, jeśli nie potraktowałoby się go jak intruza. Nie wchodząc w szczegóły, Jordan objaśnił mu powagę sytuacji.

- Tak. Myślmy, że te dwie sprawy są powiązane. Nie wiemy jeszcze, w jaki sposób, ale musimy to szybko rozpracować, bo inaczej wkrótce będzie następna ofiara.

Burroni potwierdził to, co właśnie powiedział Jordan.

- Piekielnie szybko, powiedziałbym. Pozwolisz, że jeszcze raz obejrzymy materiał, który widzieliśmy wcześniej?

Ustawili się za plecami mężczyzny siedzącego przed monitorami, a Fowley tymczasem wyjaśniał mechanizm operacyjny, który Jordan dobrze znał.

- Jak widzisz, wejście filmowane jest dzień i noc przez kamery w zamkniętym obiegu. Nagranie rejestrowane jest bezpośrednio na DVD wielokrotnego użycia. Przechowujemy taśmy przez miesiąc, po czym zostają na powrót wykorzystane. W budynku są głównie sklepy, biura, restauracje, a na wyższych piętrach wiele prywatnych mieszkań obsługiwanych przez windy umieszczone pod dwóch stronach holu. Jedynym wyjątkiem jest panna Stuart, która ma własną windę, sterowaną z apartamentu i wyposażoną w zamek otwierany kodem alfanumerycznym, a także w wideodomofon.

- Czy kamera w domofonie umożliwia filmowanie?

- Nie. Uznano to za zbędne, ponieważ obszar i tak jest już filmowany przez kamery służbowe.

Burroni wskazał ręką rząd monitorów.

- I spójrz, co zarejestrowały tego wieczoru. Fowley oparł dłoń na ramieniu siedzącego mężczyzny.

- Ruszamy, Barton.

Mężczyzna nacisnął przycisk i na głównym ekranie, większym od pozostałych, zaczęły przesuwać się obrazy. Były to zdjęcia z kamery ustawionej przodem do wejścia. Najpierw zobaczyli postać mężczyzny w marynarce i krawacie, krocącego szybkim krokiem wzdłuż przeszklonej ściany po lewej stronie i zbliżającego się do obrotowych drzwi. Kiedy miał już wchodzić, inna postać przebiegła ulicę i znalazła się za jego plecami. Miała na sobie sportowy dres z podniesionym kapturem i trzymała głowę opuszczoną w taki sposób, żeby nie można było dostrzec twarzy.

Jordan chwycił się oparcia krzesła. Ogarnęło go nagle absurdalne wrażenie, że w cieniu lekkiej tkaniny nie kryje się ludzka twarz, ale szyderczo uśmiechnięta czaszka i puste orbity śmierci.

Tymczasem przez ekran przebiegały kolejne obrazy. Mężczyzna wślizgnął się w obrotowe drzwi i przez cały czas poruszał się w taki sposób, żeby osoba, która weszła przed nim, znajdowała się w miarę możliwości między nim a kamerami. Mimo niedoskonałości zdjęć widać było, że dosyć wyraźnie kuleje na prawą nogę. Kiedy dwaj mężczyźni znaleźli się w holu, człowiek w dresie, idąc dosyć szybko, zniknął z pola widzenia po lewej stronie ekranu.

Perspektywa nagle się zmieniła, bo ujęcie szło z innej kamery.

Teraz mężczyzna filmowany był z tyłu i trzymał ręce w kieszeniach. Zobaczyli, jak swoim utykającym krokiem dociera do prywatnej windy Chandelle Stuart. Zobaczyli, że naciska dzwonek i mimo odległości wyraźnie widzieli, że użył rękawa dresu, żeby nie zostawić odcisków na guziku domofonu. Z ruchów głowy zrozumieli, że rozmawia z kimś w mieszkaniu. Chwilę potem drzwi windy otworzyły się i mężczyzna wszedł do środka. Kiedy się zasuwaly, postać mężczyzny wciąż odwrócona była plecami.

Głos Jordana przerwał to niemal katatoniczne milczenie, w jakim obserwowali ów film zapowiedzianej śmierci.

- Która to godzina?

Fowley wskazał na *time code* na ekranie.

- Za dziesięć dziesiąta.

Jordan stanął obok funkcjonariusza, który obsługiwał odtwarzacze DVD. Czuł zimną aurę zakłopotania panującą w pokoju. Mimo bogatej literatury przedstawiającej morderców działających z wielką fantazją, kryminaliści z krwi i kości byli z reguły dosyć przewidywalni i popełniali wiele błędów, wywołanych czy to nerwowością, czy też głupotą, pewnością siebie albo brakiem doświadczenia. Tymczasem ten wydawał się bardzo chłodny i zdeterminowany, a przede wszystkim ponad normę inteligentny. Zakłopotanie przeszło w przygnębienie, które natychmiast zamieniło się w gniew.

- Cholerny sukinsyn. Wiedział, że są kontrolujące kamery. Zaczekał, aż ktoś będzie wchodził i posłuży mu, jako zasłona, żeby nie być całkowicie widocznym, kiedy znajdzie się w holu. A potem ustawiał się cały czas plecami.

Fowley dodał swoją uwagę, która pokrywała się z tym, co myślał Jordan.

- Trzeba zaznaczyć jeszcze jedno. Znajdujemy się dokładnie naprzeciw Central Parku, większość mieszkających tu ludzi biega regularnie i właściwie o każdej porze dnia. Jeśli pokażę wam inne nagrania, podobnych do tej postaci będą dziesiątki. Poza tym ochroniarz, widząc, że ktoś na górze otworzył windę, nie miał żadnych podejrzeń.

Burroni oparł się o kontuar i pochylił w stronę mężczyzny, który pokazywał im film.

- Barton, jak panu na imię?

- Woody.

- Dobrze, Woody, teraz poproszę pana o dwie przysługi. Po pierwsze, proszę zrobić nam kopię tego wideo. Po drugie, bardzo nam pan pomoże, zachowując w całkowitej tajemnicy to, co pan tu dzisiaj widział i słyszał. Może od tego zależeć życie innych osób.

Barton, typ o gęstych zmarszczonych brwiach, wyglądający na małomównego, ruchem głowy potwierdził, że rozumie sytuację, a Fowley włączył się, ręcząc za swojego człowieka.

- Nie będzie z tym problemu. Biorę na siebie odpowiedzialność. Barton jest w porządku.

Jordan zaczął odczuwać lekkie zniecierpliwienie. Odkąd się tam znalazł, gromadził tylko kolejne dane i teraz miał potrzebę, żeby się gdzieś zaszyć na uboczu i spokojnie nad nimi popracować. Prawdopodobnie Burroni zapragnął tego samego, bo wyciągnął do Fowleya rękę na pożegnanie.

- Dziękuję ci. Bardzo nam pomogłeś.

- Zawsze do waszej dyspozycji. Powodzenia, Jordan.

- Dzięki, Harmon. Dobranoc.

Zeszli po schodach, minęli hol, a kiedy znaleźli się na ulicy, owionęło ich rześkie powietrze. Z zaciągniętego nieba spadały jeszcze ostatnie, niepewne krople deszczu. Po ulewie pozostało tylko trochę wody na chodniku pod ich butami. Podeszli do samochodu. Burroni, jako pierwszy powiedział głośno to, o czym obydwaj myśleli.

- Potwierdza się to, co mówił nam LaFayette Johnson o człowieku, na którego się natknął, wchodząc do domu twojego bratanka.

- Na to wygląda. Albo to on, albo jego brat bliźniak. To skłania nas do dwóch oczywistych stwierdzeń, może trzech.

- Kto je przedstawi, ja czy ty?

Jordan wykonał gest w kierunku detektywa Jamesa Burroniego.

- Mów.

- Po pierwsze, osoba, która zamordowała Geralda Marsalisa, jest tą samą, która zabiła Chandelle Stuart. Po drugie, Chandelle znała swojego zabójcę, inaczej by go nie wpuściła. Po trzecie, według wszelkiego prawdopodobieństwa, również pierwsza ofiara go znała.

- Zgadza się. Jest jeszcze czwarta rzecz...

Burroni zmarszczył brwi w niemym pytaniu. Jordan przedstawił mu swoją hipotezę.

- Według wszelkiego prawdopodobieństwa, również osoba, która wskazana została, jako trzecia ofiara, zna człowieka zamierzającego ją zabić. A my musimy odkryć, kim są te osoby, zanim znajdziemy się przed zwłokami Snoopy'ego, przyklejonymi do jego psiej budy.

## 21

Kiedy Jordan otworzył drzwi do mieszkania, wschodziło już słońce.

Deszczowe chmury odpłynęły płochliwie popychane wiatrem, a teraz rozpalone czerwienią światło wylało się zza ścian drapaczy chmur, żeby przepędzić cienie w głąb ulic. Dla Nowego Jorku była to kolejna noc odchodząca w przeszłość. Nie była jedyna i nie miała być ostatnia. Jordan chciałby tylko, żeby była ostatnia, której on zmuszony był się przyglądać. Zostawił swoje myśli przed wejściem i pozwolił ogarnąć się lekkiej woni wanilii, która unosiła się nieustannie w powietrzu od pojawienia się w tym domu i w jego życiu Lysy.

W pustym salonie zastał włączony telewizor z prawie całkowicie wyciszonym dźwiękiem. Jordan zrobił kilka kroków i wtedy ją zobaczył. Lysa leżała na kanapie przed telewizorem i spała, cicho oddychając, przykryta lekkim, puszystym pledem. Kiedy tak się jej przyglądał w chwili bezbronnej intymności, poczuł się jak intruz.

Wyłączył telewizor, tak jakby tym gestem mógł też wyeliminować zakłopotanie. Kompletna cisza, która zapadła w pokoju, obudziła Lysę. Wyczuła obecność Jordana stojącego za kanapą i na chwilę otworzyła oczy. On zanurzył się w tym jej spojrzeniu i wpadł w otchłań. Kolor jej oczu był błyszczącym skarbem piratów, był mieniącym się cieniem chmur popychanych wiatrem na polu zboża, był czymś, o czym do tej pory nie umiałby nawet śnić.

Kiedy te myśli przebiegały mu przez głowę, poczuł się głupcem.

Lysa na powrót przymknęła oczy, odwróciła się na bok i skuliła z leniwym i spokojnym uśmiechem osoby, która w końcu jest bezpieczna.

- Och, dobrze, że jesteś w domu.

Naturalność, z jaką, jeszcze rozespana, wypowiedziała tych kilka słów, i ich bezpośredniość wbiły się niczym sztylet w złącza zbroi Jordana. Był mężczyzną, który całe swoje życie spędził sam, a kiedy jakiś głos zapytał o sens tej samotności, wołał go zignorować. W przeszłości jego życie wielokrotnie przecięło się z życiem innych ludzi. Byli to mężczyźni, z którymi wymieniał słowa oraz gesty sympatii i zaufania, a także

kobiety przybywające z obietnicą czegoś, co brały za miłość. Ostatecznie, wszystkim pozwolił tylko zasiać trochę wiatru i każde z nich odeszło, zostawiając za sobą swoją małą burzę.

Lysa znów otworzyła oczy i otrząsnęła się, tak jakby przybycie Jordana zaskoczyło ją w sytuacji nieświadomionego półsnu. Usiadła na chwilę na kanapie, po czym wstała i stanęła naprzeciw Jordana.

- Która godzina?
- Pół do siódmej.
- Co się wydarzyło dziś w nocy?
- Zginęła następna osoba.

Lysa o nic więcej nie pytała i Jordan był jej za to wdzięczny.

- Oglądałam telewizję, żeby zobaczyć, czy będą o tym mówić, i zasnęłam.
- To dziwne, ale tym razem udało nam się uniknąć inwazji barbarzyńców informacji. Rzym, a przynajmniej to, co z niego zostało, jest uratowany. Na razie.

Lysa skierowała się do kuchni. Jej głos dotarł do niego razem z dźwiękiem otwieranej lodówki.

- Chcesz kawę?
- Nie, dziękuję, zjadłem już śniadanie w barze naprzeciwko. Wszystko, czego mi teraz potrzeba, to prysznic, który na powrót uczyni ze mnie istotę ludzką.

Zostawiając za sobą zapowiedź aromatu dobrej kawy, Jordan dotarł do pokoju gościnnego i rozebrał się, rozrzucając ubrania bezładnie na łóżku. Kiedy to robił, zmuszony był stwierdzić drobniautką absurdalność tej sytuacji.

W gruncie rzeczy nic się nie zmieniło.

Ale wystarczyło, że przesunął się o kilka metrów w głąb własnego domu i oto stał się jego gościem. Wszedł do łazienki i odnalazł w lustrze swoje zwykłe odbicie, którego nie był jednak w stanie całkowicie zawrzeć w tym określeniu. Nie był już tą samą osobą, która niewiele ponad dwa tygodnie temu krążyła po tym mieszkaniu z kaskiem w ręku, mając przed sobą podróż w niesprecyzowanym celu.

Sprawy potoczyły się inaczej.

Pragnienie ucieczki wciąż w nim żyło, ale teraz bał się dowiedzieć, od czego chce uciec.

Puścił wodę i wszedł pod prysznic. Namydlił ciało, łudząc się, że oczyści nozdrza z gryzącego i słodkawego zapachu kleju, a także zmyje wrażenie lepkiego brudu, jakie powstawało zawsze na jego skórze, kiedy znajdował się na miejscu zbrodni.

Rozpoczął swoją zwyczajową zabawę z mieszalnikiem wody.

Ciepła. Zimna.

Gerald. Chandelle.

Ciepła. Zimna.

Linus. Lucy.

Ciepła. Zimna.

Koc. Fortepian.

I Lysa...

Ciepła. Zimna.

Gniewnym gestem pchnął kurek i zatrzymał strumień. Wyszedł, ociekając wodą, na dywanik i włożył szlafrok. Wytarł się i szybko ogolił. Chwilę potem chłód płynu po goleniu wywołał jak zwykle przyjemne i pokrzepiające pieczenie. Zapamiętał kilka kropel do oczu zaczerwienionych po nieprzespanej nocy i sprawdził swoje odbicie w lustrze. Zaskoczyło go przez moment, że próbuje patrzeć na siebie oczami Lysy. W następnej chwili poczuł się zdziwiony owym poprzednim zaskoczeniem, ze względu na to, kim zawsze był i kim była ona.

Dzwonek komórki wyrwał go z zakłopotania. Poszedł po leżący na łóżku aparat i uruchomił połączenie, zaczynając się jednocześnie ubierać.

- Halo.

- Witaj, Marsalis, tu Stealer, lekarz sądowy.

- Co za tempo.

- Mówiłem panu, jak się sprawy potoczą. Może powinienem być prorokiem, a nie patologiem. W każdym razie autopsja nie jest jeszcze skończona, ale myślę, że jest parę rzeczy, które mogą się panu przydać.

- Słucham.

- Poza potwierdzeniem, że zgon nastąpił z powodu zamartwicy po uduszeniu, wiemy, że ofiara miała stosunek seksualny. I wygląda na to, że miała go po tym, jak została zamordowana.

- To znaczy, że morderca najpierw ją udusił, a potem zgwałcił?

- Właśnie. Znaleźliśmy ślad substancji pokrywającej prezerwatywę. Mam nadzieję, że to, co za chwilę panu powiem, jest całkowitym przypadkiem, w innym razie nie mogę nawet myśleć, do jakiego poziomu drwiny i szaleństwa może posunąć się ten osobnik.

Jordan czekał spokojnie na konkluzję patologa.

- Prezerwatywa była z rodzaju tych, które mają efekt opóźniający dla mężczyzny i stymulujący dla kobiety.

- Chryste, z jakim to chorym bydlakiem mamy do czynienia?

- Z bydlakiem chorym, ale bardzo pechowym. Zdarzyło się coś dosyć przykrego. Tym razem dla niego. Kondom, którego użył, był uszkodzony.

- I co?

- Minimalna ilość jego spermy pozostała w pochwie Chandelle Stuart. Mała, ale wystarczająca, żeby przeprowadzić badanie DNA. Już je zleciłem.

Jordan przytrzymał telefon przy twarzy ramieniem i usiadł na łóżku, żeby wciągnąć skarpetki.

- To niezły strzał.

- Właśnie. Nie zawsze się zdarza, żeby morderca zostawiał swoją wizytówkę.

- Fakt. Szkoda tylko, że nie można odczytać imienia, nazwiska i adresu.

- To jest już wasz problem.

Jordan zrozumiał, że w słowach Stealera nie było sarkazmu, tylko stwierdzenie.

- Niestety, tak. Jakież znaki na ciele?

- Ślady kleju na nadgarstkach. Prawdopodobnie została unieruchomiona taśmą samoprzylepną.

Jordan specjalnie się nie zdziwił. Na swój sposób uznał to już za pewnik. Tak samo jak przyjął za pewnik, że klej użyty do przytwierdzenia ciała Chandelle Stuart do fortepianu był tym samym, którym przyklejono koc do ucha Geralda.

- Inne szczegóły?

- Poza siniakami na szyi, żadnych. Wbrew pozorom nie ma śladów walki. Jedyнным zastanawiającym szczegółem jest fakt, że pod paznokciami znaleźliśmy maleńkie kawałki włókna. Kryminalistyczna odkryła, że jest ono identyczne z włóknem podartej sukienki, której strzępy leżały na ziemi.

- Prawie tak, jakby sama zerwała z siebie ubranie.

- Właśnie. Poza tym jest kilka rozrzuconych po ciele siniaków, ale są one sporo wcześniejsze od daty śmierci.

Opierając się na opowieści Randalla Haze'a, Jordan bez trudu wyobraził sobie, w jaki sposób Chandelle Stuart się ich dorobiła.

- Jasna jest ostatnia rzecz, ale nie wiem, w jakim stopniu może być przydatna.

- Na tym etapie wszystko może się przydać. Proszę mówić.



- Na pachwinie jest ślad małego zabiegu chirurgii plastycznej. Myślę, że chodziło o usunięcie tatuażu. Chwilowo to wszystko, co mogę panu powiedzieć.

- Wydaje mi się to więcej niż wystarczające. Dziękuję, Stealer.

- Życzę udanego dnia.

- Jeśli takim się stanie, będzie to też pańska zasługa.

Jordan zakończył połączenie i rzucił komórkę na łóżko.

Otworzył szafę i wyjął czystą koszulę. Kiedy kończył się ubierać, poczuł w sobie krzepiącą siłę lekkiego optymizmu. Włożył zegarek i sprawdził godzinę. Dochodziła siódma i mimo bezsennej nocy czuł się przytomny i pełen energii. Przyływ adrenaliny wywołany podnieceniem z powodu pojawienia się nowych poszlak skutecznie zastąpił godziny, które spędziłby w łóżku, wierząc się w pościeli w poszukiwaniu trudno uchwytnych intuicji.

Wziął kask i kurtkę od kombinezonu. Pomyślał, że będzie to znakomity dzień na przejażdżkę motocyklem. Być może nawet do Poughkeepsie. Leżało w połowie drogi między Nowym Jorkiem a Albany i swoim ducati dotarłby tam w krótkim czasie. Wrócił do salonu. Tymczasem również Lysa się przebrała i patrzyła teraz przez okno. Nad dachami słońce przestało być już tylko obietnicą, wydawało się świetlistą rzeczywistością na błękitnym i przejrzystym niebie wczesnego lata.

Kiedy usłyszała jego kroki na drewnianej podłodze, odwróciła się i to, co powiedziała, widząc go w progu pokoju, zdawało się bardziej wyrażoną głośno myślą niż prawdziwym stwierdzeniem.

- Masz oczy takiego samego koloru.

- Jak co?

- Jak niebo.

- W tej chwili to jedyna rzecz, jaka nas łączy.

Przez moment milczeli. Po czym wzrok Lysy padł na kask i kurtkę, które trzymał w ręku.

- Wychodzisz?

- Tak. Mam coś do załatwienia.

Jordan był zadowolony z tej nagłej zmiany tematu, bo pozwoliła mu pozbyć się zmieszania, w jakie od zawsze wprawiały go uwagi dotyczące jego wyglądu. Lysa wciąż wpatrywała się zafascynowana w jego kask.

- Jak to jest jechać na motorze?

- Jest niebezpiecznie, zawsze. I szybko, jeśli chcesz. Ale w zamian za każdym razem czujesz wolność, jeśli jesteś do tego zdolna.

Lysa teraz znów wpatrywała się w niego w milczeniu. Jordan nauczył się rozpoznawać te chwile, kiedy ironiczny uśmiech błąkał się w jednym kąciku ust, a spojrzenie miało obłudny wyraz znudzonego kota.

Kiedy się odezwała, w jej głosie była prowokacja pokryta niewinnością.

- Myślisz, że ja jestem?

Jordan odpowiedział instynktownie:

- Jest tylko jeden sposób, żeby się przekonać. Muszę jechać w pewne miejsce, niedaleko stąd. Masz ochotę wybrać się tam ze mną?

Kiedy pojął sens tego, co powiedział, słowa już się utrwaliły między nimi i nie było możliwości, żeby je od siebie oddzielić.

- Nie mam kasku.

Jordan znalazł się w sytuacji gracza, który zmuszony jest powtórnie rzucić kulką, żeby się odegrać. Zresztą to on uruchomił koło i rozpoczął rozgrywkę. Teraz zobowiązany był czekać na numer, który nieuchronnie się pojawi.

- Nie ma problemu. Po drugiej stronie, przy Szóstej Ulicy, jest sklep z akcesoriami, gdzie zazwyczaj kupuję potrzebne mi rzeczy. Kiedy zejdziemy, możemy nabyć tam kask dla ciebie.

- O tej porze jest pewnie zamknięty.

- Właściciel jest moim przyjacielem i sypia na zapleczu. Nie będzie zachwycony, ale się obudzi.

- Okej. Daj mi chwilę.

Lysa znikła w korytarzu, a Jordan zaczął się ubierać. Po krótkim czasie pojawiła się, w dżinsach, pikowanej, skórzanej kurtce i botkach w stylu country. Włosy związała w koński ogon i Jordanowi zdawała się bardziej świetlista niż dzień, który oczekiwał ich na zewnątrz.

- Gotowa.

Jordan zawahał się, czy może powiedzieć to samo. Ale będąc tylko człowiekiem, zrobił jedyną rzecz, do której był w owej chwili zdolny: skłamał.

- Ja też jestem gotowy.

Kiedy schodzili po schodach, Jordan poczuł się mimo wszystko tak dobrze, jak nie zdarzało mu się już od dawna. Jak wszystkie istoty ludzkie, on też wysiłał wyobraźnię przy znajdowaniu wymówek. Tym razem wolał przypisać to zupełnie nowe uczucie

podniecenia śledztwu, aniżeli przyznać, że zrodziła je perspektywa dnia spędzonego w towarzystwie Lysy.

## 22

Motocykl to podróż bez potrzeby słów.

Jordan pamiętał, że od pewnego momentu życia nie było mu ani łatwo, ani trudno zrezygnować z wygody dachu nad głową, z hipnotycznego tańca wycieraczek czy też z uprzejmej obecności popielniczki. Było to dla niego naturalne, tak jak nienaturalne byłyby owe dwa dodatkowe koła. Motor oznaczał przystanki pod wiaduktem ze wzrokiem zwróconym ku niebu w oczekiwaniu, aż minie deszcz. Był świecącym w ciemności okiem cyklopa. Kiedy zaszła potrzeba, był szybkością, ale przede wszystkim, co powiedział Lysie, oznaczał wolność, której nigdy dosyć. Również teraz, kiedy wcale nie był wolny. Przede wszystkim teraz, kiedy - jak w przypadku wszystkich małych, ludzkich hipokryzji - odwracał wzrok w inną stronę, żeby nie musieć rozumieć powodów tej sytuacji.

W Amazing Race, sklepie obok domu, kupili kask dla Lysy. Jordan zobaczył, jak jej twarz znika za zasłoną, a ten rytuał zakładania kasku miał u każdego motocyklisty coś epickiego, z czasów, kiedy cała technologia sprowadzała się do zbroi wykutej ręcznie przez młot kowala. Było to pragnienie przygody, które nigdy nie ustępowało, a może niewyjawiona potrzeba ukrycia się pod pretekstem samoobrony.

Z twarzy Lysy pozostały tylko oczy wyzierające ze szczeliny w lekkim kasku renomowanej firmy, który wybrali. Po chwili również one znikły za ciemnym plastikiem opuszczonej osłony, a Jordan natychmiast za nimi zatęsknił.

Zapalił szybko silnik motocykla, żeby hałas zagłuszył tę myśl.

Teraz czuł, jak jego pasażerka porusza się zgodnie z wymaganiami kierownicy i drogi, które nie żądają ucieczki przed własnym strachem, ale raczej wyjścia mu naprzeciw, żeby go przezwyciężyć i tym samym zapewnić bezpieczeństwo podróży. Lysa zdawała się wyczuwać instynktownie, że na motocyklu najważniejszą rzeczą jest ta, która wydaje się najmniej naturalna. Zawisnąć w próżni było jedynym sposobem uniknięcia, żeby owa próżnia, która za podłoże miała rozpędzony asfalt, ich nie pochłonęła.

Lysa okazała się idealną towarzyszką podróży.

Idealnym „towarzyszem” podróży.

Jordan narzucił sobie tę małą złośliwość, żeby przypomnieć sobie, kim był i jest on sam, ale przede wszystkim, żeby nie wyleciało mu z głowy, kim była i czym nie jest Lysa.

Przywarł do pedału gazu jak alkoholik do butelki.

Poczuł szarpnięcie motoru i stłumioną siłę ciężkości przyspieszenia. Miał drogę przed sobą, pod sobą i za sobą, i mimo wszystko Lysa wciąż tam była, posłuszna i uległa na zakrętach, obecna i jednocześnie nieobecna, ale jednak przyklejona do niego, żeby mimo woli przypominać mu o swoim istnieniu. Choć teraz jej zapach wanilii gubił się za nimi w wietrze.

Opuścili Nowy Jork i wjechali na West Side Highway, kierując się na północ, potem Jordan wybrał Route 9, drogę, która na pewnych odcinkach prowadziła wzdłuż torów kolejowych nad brzegiem Hudsonu. Minęli Akademię West Point, wznoszącą się ponad wodami rzeki, obwarowaną przy brzegu, podobnie jak obwarowana była swoimi zasadami i regułami. Dalej minęli więzienie Sing Sing, przedzielone na pół przez tory, gdzie zamknięte na spacerniaku osoby słuchały wolności pobrzmiewającej w gwizdzie lokomotywy dochodzącym zza murów zwieńczonych drutem kolczastym, dopóki nie przeszedł on w dźwięk gwizdka strażników, wzywający do powrotu do celi.

Wjechali w gościnną, mieniającą się zieleń późnowiosennej roślinności, która co roku odradzała się jakby zdziwiona samą sobą i może właśnie, dlatego udawało jej się zawsze zadziwiać.

Przemykali obok domów, obok małych przystani z zakotwiczonymi w słońcu łodziami, gotowymi wypłynąć latem na rzekę. Chwilami wpadali w małe korki, żeby zaraz ominąć je jednym podskokiem tych siedmiomilowych butów, jakimi były dwa koła, na których mknęli.

Jordan był rozluźniony, nie myślał o niczym i pragnął, żeby ta podróż trwała wiecznie.

Niestety, kiedy wydaje się, że już udało się schwycić czas za nadgarstek, za każdym razem to czas unosi rękę do góry. I okazuje się, że na przegubie ma zawsze zegarek.

Więc również ta podróż skończyła się tak, jak zaczęła.

Szybko.

Dotarli do Poughkeepsie bezpośrednio znad rzeki i minęli stację, budynek z czerwonej cegły, przed którym w owej chwili drzemała tylko jedna taksówka. Wjechali do miasta i Jordan rozpoznał obraz typowej zamożnej prowincji. Przejechali jedną z wielu amerykańskich Raymond Avenue, mijając kościoły i stowarzyszenia weteranów, a także nieokreśloną liczbę semaforów i restauracji. Za jednym ze skrzyżowań znaleźli się przed niewysokim, murowanym ogrodzeniem. Przez gałęzie wysokopiennych drzew stojących w parku można było dostrzec w oddali imponujących rozmiarów budowlę.

Jordan nie potrzebował dodatkowych wskazówek, żeby stwierdzić, że dotarli do Vassar College.

Skręcił w prawo zgodnie z kierunkiem jazdy i kiedy przejeżdżali długim odcinkiem miejskiej ulicy, biegnącej wzdłuż kampusu, zdał sobie sprawę, że ten zajmuje ogromny obszar.

Jechali dalej, dopóki mur nie przeszedł w wyższą budowlę w guście z lekka średniowiecznym, której architektury Jordan nie potrafił jednak określić. Tutaj otwierały się trzy łuki, z których najszerszy był bramą wjazdową do college'u, z ustawioną budką wartownika.

Jordan zatrzymał się w cieniu i zdjął kask. Znalazł się obok strażnika ubranego w jasnobrązowy mundur, z bardzo krótko ostrzyżonymi włosami i rumianą twarzą, który przypominał Gornera Pyle'a, otyłego marines z *Full Metal Jacket*.

- Dzień dobry. Jestem Jordan Marsalis. Mam spotkanie z rektorem Hooganem.

Christopher znał osobiście Trvisa Hoogana, rektora Vassar College. Zachowanie wartownika potwierdziło, że telefon, o który Jordan poprosił brata, przyniósł pożądaný rezultat. Ze swojego stanowiska obdarzył Jordana i jego pasażerkę uśmiechem, który pozwalał zaklasyfikować go w poczet osób sympatycznych od pierwszego wejrzenia.

- Dzień dobry, panie Marsalis. Zostałem uprzedzony o pańskim przyjeździe. Rektor jest, jak sądzę, na polu golfowym. Prosi, żeby zaczekał pan w części jadalnej, a ja tymczasem zawiadomię go o pańskim przybyciu.

Wartownik wychylił się ze swojej małej warowni i wskazał im ręką kierunek.

- Proszę przejechać tą alejką i w głębi skręcić w prawo. Są tam tablice ze wszystkimi wskazówkami. Po prawej stronie będzie pole golfowe. Naprzeciwko jest sala jadalna. Może pan zaparkować motor na placu zaraz za refektarzem.

Jordan wsunął rękę w otwór kasku i trzymając go na wysokości łokcia, pchnął ducati w umiarkowanym tempie przez szeroką, zadrzewioną aleję, okoloną klombami i idealnie przystrzyżonym angielskim trawnikiem.

Przed nimi wyrastała olbrzymia sylweta Vassar College, budynku o surowym wyglądzie, z ciemnej cegły, z wielkimi białymi oknami, złożonego z głównego korpusu i dwóch skrzydeł ciągnących się po lewej i prawej stronie, które zdawały się dobudowane w trochę późniejszym okresie.

Na fasadzie dwie tablice przypominały, że college został wzniesiony Anno Domini 1881 dzięki szczodrości i geniuszowi Matthew Vassara, fundatora.

W najwyższym punkcie dachu, przymocowana do białego drzewca, powiewała amerykańska flaga. Zdawało się, że jej podstawowym celem jest przypominanie młodzieży uczęszczającej do college'u, czym jest to miejsce dla nich i dla kraju, którego są obywatelami.

Wiedza, a jednocześnie poczucie bezpieczeństwa związane z tożsamością.

Kiedyś, podobnie jak wszyscy, również Jordan miał swoje punkty, których był pewny. Wiedział, gdzie jest, kim jest, do czego przynależy. Stopniowo jego tożsamość stawała się prawdopodobieństwem, a potem rozproszyła się w prostej i nieustannej trudności pojmowania.

Skrećili w prawo i podążali zgodnie ze wskazówkami strażnika. Mijali kolejne obiekty, oznaczone, jako teatr, basen, sala gimnastyczna, korty tenisowe. Obecność pola golfowego zmusiła Jordana do przyznania, że czesne w wysokości stu tysięcy dolarów rocznie miało swoje uzasadnienie.

Dotarli do parkingu i Jordan wyłączył silnik.

Zaraz po zejściu z siodelka Lysa zdjęła kask i pochyliła się do przodu. Ciemne włosy wypłynęły jak wodospad, który szuka na nowo swojego naturalnego siedliska, podczas gdy ręka rozplatała je, żeby odnalazły właściwy kształt.

Podniosła nagle głowę i włosy błyszczące i leniwe znów zaczęły spływać na jej ramiona, niczym węże w słońcu. Jordan miał przez chwilę absurdałne podejrzenie, że kiedy się odwróci, będzie musiał patrzeć na jej twarz w lustrze, żeby nie obrócić się w kamień. W istocie, kiedy Lysa spojrzała na niego, pomyślał, że jej uśmiech i oczy połyskują w taki sposób, że zdolne są przemienić w kamień nawet Meduzę.

Lysa rozejrzała się dokoła. Jordanowi wydała się szczęśliwa.

- Jakie piękne.

- Co?

Lysa wykonała gest, który mógł wskazywać albo życie, albo tylko tę chwilę.

- Wszystko. Ten dzień, słońce, podróż, motor. To niesamowite miejsce. I pomyśleć, że jesteśmy na terenie szkoły. Znam ludzi, którzy chętnie spędziliby tu choćby tydzień wakacji.

- Cóż, obawiam się, że będziemy musieli zadowolić się tylko jednym dniem. Ale przynajmniej gratis.

Jordan ruszył w kierunku niskiego budynku oddalonego ledwie kilkadziesiąt metrów, odgrodzonego i na poły ukrytego od ich strony za wysokim żywopłotem z różnych roślin, znakomicie utrzymanym w taki sposób, żeby robić wrażenie bezładnego. Lysa kroczyła u jego boku i w milczeniu dotarli do jadalni.

Minęła ich jakaś dziewczyna, przechodząc szybko obok nich. Miała na sobie kolorowe, dziergane koronki i zielony T-shirt, a na ramiona zarzucone na związanych sznurowadłach buty do joggingu. Szła w japonkach. Ufarbowane na czerwono włosy tworzyły na głowie dosyć przypadkową fryzurę. Gdyby wyjąć ją z tego otoczenia, mogłaby sprawiać wrażenie młodej bezdomnej, zastanawiającej się, jak i gdzie spędzić dzień. Tam była tylko oryginalną dziewczyną ze znakomitej rodziny, uczęszczającą do college'u o zaporowej cenie. Jordan pomyślał o swoim bratanku, krążącym po tym samym miejscu, w taki sam sposób, kilka lat wcześniej.

Być może ta dziewczyna była na swój sposób naprawdę bezdomna.

Weszli za nią po kilku stopniach i przez przeszklone drzwi z widokiem na park wkroczyli do samoobsługowej stołówki, dużego pomieszczenia ze ścianami pomalowanymi jasnożółtą farbą. Część młodych pracowała w rewirze obsługi, pozostali siedzieli przy stołach i rozmawiali.

Oddychało się atmosferą jak z zamierzchłych czasów, choć po lewej stronie, na widoku, umieszczony był bankomat. Dziewczyna o czerwonych włosach skierowała się tam szybkim krokiem i wsunęła swoją kartę do odpowiedniej szczeliny. Jordan uśmiechnął się w duchu: styl *casual*, hip-hop, cyganeria, ale z mile widzianymi kartami kredytowymi, uprzejmie podarowanymi przez rodziny i być może nawet łaskawie przyjętymi.

Kiedy weszli, wszystkie obecne tam męskie głowy odwróciły się w stronę Lysy z doskonałą synchronizacją. Szmer rozmów nagle ucichł. Gdyby uwaga Jordana nie była tak zaprzątnięta tym faktem, spostrzegłby, że również spojrzenia wielu dziewcząt skupiły się na nim w taki sam sposób.



W tej samej chwili przez oszklone drzwi wszedł mężczyzna, niosący na ramieniu torbę do golfa z kilkoma kijami w środku. Był niemal tak wysoki jak Jordan, około sześćdziesiątki, z trochę przerzedzonymi włosami nieokreślonego koloru, dłuższymi, niż zazwyczaj noszą mężczyźni w jego wieku. Oczy schowane były za szklami bez oprawek i wyglądał na typa, który wiele wie i któremu ta wiedza wystarcza do szczęścia. Spokojny człowiek, który dostał od życia wszystko to, czego pragnął, wspierany przekonaniem, że to, czego nie pragnął, rzeczywiście nie było mu potrzebne.

Podszedł do nich z uśmiechem.

- Jordan Marsalis, jak przypuszczam. Jestem Travis Hoogan, rektor tego miejsca zatracenia.

Jordan uściśnął wyciągniętą do siebie rękę.

- Miło mi pana poznać. To jest Lysa Guerrero.

Oczy Hoogana zajaśniały z powściąganą chytrą, kiedy nieco dłużej przytrzymał dłoń Lysy.

- Widok pani jest urzekający. Pani obecność na tej ziemi mówi nam, zwykłym śmiertelnikom, że cuda istnieją. Dlatego nie tracę nadziei, jeśli chodzi o możliwości poprawienia mojej gry w golfa.

Lysa zaśmiała się, odrzucając głowę do tyłu.

- Jeśli jest pan tak dobry na polu golfowym, jak w prawieniu komplementów, wkrótce zobaczymy pana na Masters.

Rektor wzruszył lekko ramionami.

- Oscar Wilde mawiał, że problem nie polega na tym, że na zewnątrz się starzejemy, ale że w środku pozostajemy młodzi. Ale proszę mi wierzyć, ta wiedza niczemu nie służy. W każdym razie, dziękuję.

Jordan nie wyjaśnił Lysie powodu ich przyjazdu do Vassar. Po tej wymianie uprzejmości Lysa okazała im taktownie, że rozumie, iż musi istnieć jakaś poważna przyczyna. I że być może obaj mężczyźni powinni zostać sami.

- Myślę, że macie sobie coś do powiedzenia. Mam nadzieję, że nie będzie miał pan nic przeciwko temu, jeśli tymczasem rozejrzę się trochę po terenie.

Hoogan uprzejmym gestem wręczył jej wymagany klucz do college'u.

- Gdybym miał, to obawiam się, że męscy członkowie komitetu administracyjnego zażądałoby mojej dymisji.

Lysa skierowała się ku drzwiom i wyszła do parku. Dwaj chłopcy, którzy właśnie wchodzili, odsunęli się na bok, żeby ją przepuścić. Stali przez chwilę w progu, popatrzyli po sobie, po czym odwrócili się i wyszli za nią.

Hoogan uśmiechnął się, śledząc ją wzrokiem.

- Może nie jest to prawdziwy cud, ale coś, co o cud się ociera. Jest pan szczęśliwym mężczyzną, panie Marsalis.

Jordan miałby ochotę powiedzieć rektorowi, że Lysa jest również mężczyzną i że właśnie, dlatego wcale nie jest szczęściarzem.

Po tym krótkim beztroskim wstępie Travis Hoogan dał Jordanowi do zrozumienia, że jest świadomy powagi sytuacji, w jakiej się znaleźli.

- Zapowiadając mi pańską wizytę, Christopher powiedział, że jesteście w bardzo trudnej sytuacji po śmierci Geralda. Bardzo mi przykro z powodu tego chłopca i mam nadzieję, że przyjeżdżając tutaj, znajdzie pan coś, co przyda się w śledztwie.

- Ja też mam taką nadzieję.

- Może pójdziemy do mojego biura? Tam nikt nam nie będzie przeszkadzał.

Wychodząc za Hooganem z refektarza, Jordan zobaczył przez szybę stojącą pod drzewem Lyse, z kaskiem w ręku. Robiła jakieś gesty w kierunku wiewiórki o długim ogonie, która wpatrywała się w nią zaciekawiona z gałęzi.

Lysa uśmiechała się i znów wydawało się Jordanowi, że jest szczęśliwa.

## 23

Gabinet rektora Vassar College wyglądał dokładnie tak, jak Jordan go sobie wyobrażał. Pachniał skórą i drewnem, a w powietrzu unosiła się lekka woń fajki. Jordan zastanawiał się, w jakim stopniu jego wyobrażenie było prawdziwe, a w jakim zainspirowała go sugestywność tego pokoju, jakby żywcem wyjętego z ilustracji w „Saturday Evening Post”. Na meblach, którymi był urządzone, mógłby zbić majątek każdy handlujący modernistycznymi sprzętami. Jedynym dysonansem był ciekłokrystaliczny ekran i klawiatura komputera.

Hoogan usiadł za wielkim biurkiem stojącym naprzeciw okna, z widokiem na aleję, którą Jordan i Lysa niedawno przyjechali. Wcześniej zaciągnął zasłony, żeby osoba, która usiądzie naprzeciwko niego, nie musiała patrzeć pod światło na swego rozmówcę. Wchodząc, poprosił sekretarkę, dziewczynę o bystrym wyglądzie i szelmowskim uśmiechu, żeby nie łączyła żadnych rozmów. Dziewczyna przyjęła to do wiadomości, a zanim zamknęły się za nimi drzwi, znalazła jeszcze czas, żeby rzucić na Jordana wymowne spojrzenie.

Niedawna lekkość całkowicie znikła z zachowania Tralisa Hoogana. Jordan zrozumiał, że jest to człowiek, na którego można liczyć, i że jest właściwą osobą na zajmowanym stanowisku. Teraz, kiedy widział go siedzącego za biurkiem, znalazł potwierdzenie dobrego wrażenia, jakie zrobił na nim na pierwszy rzut oka.

Jordan wyobraził sobie kolejnych studentów na krześle, które on teraz zajmował. Być może również jego bratanek Gerald był tam i czekał ze znudzoną miną na rozmowę z rektorem Tralidem Hooganem.

- Odpowiedź brzmi „tak”.

- Słucham?

- Zastanawiał się pan, czy pański bratanek był w tym gabinecie. Odpowiedź brzmi tak, więcej niż raz.

Hoogan skorzystał z zaskoczenia Jordana, żeby zdjąć okulary i przetrzeć je wilgotną ściereczką, którą wyjął z szuflady. Kiedy z powrotem je założył, Jordan zauważył, że ma szare oczy.

- Natomiast jego ojciec praktycznie nigdy.

Wypowiedział to nie jak oskarżenie, ale stwierdzenie faktu. Nie odbierało to jednak jego głosowi pewnej nuty ubolewania. Hoogan oparł się o zagłówek fotela.

- Widzi pan, panie Marsalis, wśród młodzieży, która przyjeżdża tu studiować, tylko niektóre osoby naprawdę zasługują na to, by się tu znaleźć, ponieważ naprawdę chcą studiować. Ta ewolucja słowna ma oznaczać, że większość studentów to ludzie... jak by powiedzieć... odstawieni tu przez swoje rodziny. Czasami za milczącą zgodą. Do ut des\*. Nie płacz mi się pod nogami, to i ja nie będę ci przeszkadzał.

- A do której kategorii należał Gerald?

- Pański bratanek był prawdopodobnie szalony, panie Marsalis. A jeśli nie był, to w każdym razie bardzo konsekwentnie budował swoją postać.

Jordan zmuszony był przyznać, że ten jakże zwięzły opis znakomicie pasował do Jerry'ego Kho. Hoogan kontynuował swoją przemowę w taki sposób, że Jordan podziękował mu w duchu, iż siedzi nadal za biurkiem, a nie wspiął się na katedrę.

- Studia w Vassar College ukierunkowane są na różne dziedziny artystyczne, takie jak sztuki piękne, pisarstwo, reżyseria. Są to dziedziny, w których nie można kupić talentu. Natomiast Gerald miał talent. I to duży. Ale był przekonany, że muszą mu koniecznie towarzyszyć równie oszałamiające wybory życiowe. Nie wiem, skąd to się wzięło, ale mogę panu powiedzieć, że głosił tę myśl jak dogmat. Poza tym jest jeszcze jedna rzecz. To, co powiedziałem panu wcześniej na temat nieobecności pańskiego brata...

Zrobił pauzę, jakby potrzebował chwili, żeby wyłowić jasne myśli z zamglonego już trochę wspomnienia.

- To Gerald unikał wizyt ojca. Myślę, że go nienawidził. Podejrzewam, że był to jeden z powodów, dla których zachowywał się w taki sposób. Każdy jego wybryk zdawał się sygnałem, pragnieniem nieustannej i złośliwej obecności w życiu Christophera. Myślę, że ten robił wszystko, żeby ukryć przed światem prawdziwy charakter syna. Ale w pewnym momencie jego wysiłki na nic się nie zdały.

Jordanowi stanął nagle przed oczami obraz Burroniego z synem.

---

\* Łac. Daję, abys dawał (przyp. tłum.).

„Cześć, mistrzu”...

Być może, gdyby do Geralda ktoś podobnie się zwracał, nigdy nie stałby się Jerrym Kho. Gorycz zmusiła Jordana do zaliczenia tej hipotezy w poczet tych, które nigdy nie znajdą potwierdzenia.

- Czy Gerald miał tu jakichś przyjaciół?

Hoogan wykonał gest, a na jego twarzy pojawił się grymas, co było wyrazem żalu.

- Och, jeśli o to chodzi, mógłby ich mieć dziesiątki. Na swój piekielny sposób stał się kimś w rodzaju idola. Ale był zbyt zajęty udowadnianiem, że nie potrzebuje nikogo. Nawet nas.

Rektor oparł łokcie na blacie biurka i wychylił się lekko w stronę Jordana.

- Śledziłem jego dalsze życie, odkąd opuścił college. Jeśli pozwoli mi pan na chwilę szczerości, być może cynicznej, bardzo zabolą mnie jego gwałtowna śmierć, ale nie zdziwiła.

Mnie też, niestety.

Jordan zaakceptował to wprowadzenie dotyczące postaci Geralda głównie po to, żeby mieć sposobność sprawdzić postawę Hoogana. Teraz, kiedy stwierdził, że rektor stanął na wysokości zadania, uznał, że nadszedł właściwy moment, aby wyjawić mu powód swojej obecności w Poughkeepsie.

- Jest pewna rzecz, o której być może pan jeszcze nie wie, panie Hoogan. Czy słuchał pan jakichś wiadomości?

- Nie, byłem cały czas na polu golfowym.

- Tej nocy w swoim mieszkaniu w Nowym Jorku zamordowana została Chandelle Stuart. Ona też studiowała tutaj w Vassar, mniej więcej w tym samym czasie, co Gerald.

W słowach Jordana, poza kolejnym stwierdzeniem faktu, ukryta była również pewna nadzieja. Rektor, ze swej strony, wydał się nagle zgnębiony i zmieszany. Znów zaczął czyścić okulary, które absolutnie tego nie potrzebowały.

- Doskonale ją pamiętam. Jak to się stało?

- Panie Hoogan...

Rektor powstrzymał go ruchem ręki.

- Mów mi Travis, proszę.

Jordan był zadowolony z tego otwarcia, ponieważ nadawało większej wagi dalszej części jego relacji.

- Dobrze, Travis. To, co ci teraz powiem, jest całkowicie poufne. Do tej pory udało się nam jakimś cudem nie dopuścić do żadnych przecieków i dopóki się da, nie chcielibyśmy stracić tej małej przewagi. Okoliczności tego zabójstwa pozwalają nam wiązać je ze śmiercią mojego bratanka.

- Na jakiej podstawie tak wnioskujecie, jeśli mogę wiedzieć?

Mimo wszystko Jordan czuł się trochę nieswojo, kiedy wyjaśniał Hooganowi typologię zbrodni. Każdy szanujący się Piotruś Pan tego doświadcza.

- Wyda ci się to niewiarygodne, ale osoba, która ich zabiła, ułożyła ciała w sposób przywołujący postaci *Peanutsów*.

- Masz na myśli Charliego Browna i tak dalej?

- Właśnie tak. Gerald siedział przy ścianie z kocem przyklejonym do ucha, a Chandelle umieszczono przy fortepianie. Linus i Lucy.

Milczenie Trávisa wskazywało na to, że rektor dobrze zna postaci tego komiksu.

- W domu Chandelle Stuart znaleźliśmy trop, który pozwala nam myśleć, że następną ofiarą będzie Snoopy.

Travis Hoogan, rektor Vassar College w Poughkeepsie, człowiek, którego siłą były słowa, teraz zdawał się z trudem znajdować choćby jedno.

- Jezu Chryste. Ależ to obłąd.

- Myślę, że to właściwe słowo. Czy ten fakt coś ci mówi?

- Absolutnie nic. Nie tylko w kwestii komiksów, ale także możliwego związku między Geraldem i Chandelle. To jest mały świat i wie się wszystko o wszystkich, a co dopiero, jeśli sprawa dotyczy dwóch tak szczególnych charakterów. Nie mam żadnej wiedzy na temat jakiegokolwiek powiązania między twoim bratankiem a tą nieszczęsną dziewczyną.

- Co możesz o niej powiedzieć?

- Bogata i niezdolna. Miała w sobie coś chorobliwego. Fakt, że nie żyje, nie zmienia zdania, jakie o niej miałem.

- Czy się z kimś spotykała?

- Stosuje się do niej to samo, co powiedziałem o twoim bratanku, tylko z innej perspektywy. Gerald nie chciał nikogo, Chandelle n i k t nie chciał. Jedyłą osobą, z którą miała jakiś cień porozumienia, była Sarah Dermott, jak mi się zdaje.

Jordan czuł, że robi postępy, że coś się otwiera, oczko za oczkiem, pojawia się jakiś promyk.

- Co to była za dziewczyna?

Hoogan odwrócił się w stronę komputera i wystukał coś na klawiaturze. Czytał przez chwilę informację, która pojawiła się na ekranie.

- Proszę. Sarah Dermott z Bostonu. Miała stypendium. Należała do tej nielicznej grupki, o której wspominałem ci wcześniej. Była inteligentna, uzdolniona i bardzo ambitna.

Lekkie zaakcentowanie słowa „bardzo” pozwoliło zrozumieć, że Sarah Dermott musiała być ambitna w sposób rzeczywiście znaczący.

- Ona i Chandelle uczęszczały na ten sam kurs reżyserii. Myślę, że tolerowała ją przez krótki czas, bo była przekonana, że członek rodziny Stuartów może się jej przydać, ale w pewnym momencie poddała się. Chandelle to było za wiele nawet dla jej nieprzeciętnych ambicji.

- Gdzie mogę znaleźć tę Sarah Dermott?

- W Los Angeles. Jest reżyserką w Hollywood. Jak mi się zdaje, ma kontrakt z Columbią. Była tu ostatnio na zjeździe absolwentów.

- Chyba powinienem z nią porozmawiać.

- Nie ma problemu.

Hoogan wziął leżącą na biurku słuchawkę i nacisnął guzik.

- Panno Spice, proszę połączyć mnie z Sarah Dermott w Los Angeles.

Po niespełna minucie telefon zadzwonił. Hoogan podniósł słuchawkę do ucha.

- Sarah, tu Travis Hoogan, dzwonię z Vassar.

Krótką pauza, konieczna, żeby wysłuchać odpowiedzi docierającej z drugiego końca Ameryki.

- Bardzo dobrze, dziękuję. Jest tu pewna osoba, która musi z tobą porozmawiać. Sądzę, że chodzi o coś ważnego.

Jordan ujął słuchawkę, którą podał mu Hoogan.

- Panno Dermott, dzień dobry. Jestem Jordan Marsalis z nowojorskiej policji.

Pomyślał, że w gruncie rzeczy nie jest to kłamstwo, tylko półprawda, próbując zapomnieć, iż fakt nieprzynależenia już do policji zasadniczo zmieniał sens tego, co przed chwilą stwierdził. Głos, który docierał do niego przez druty, musiał należeć do kobiety bardzo zajętej. Precyzyjnej i zwięzłej. Uprzejmej na tyle, na ile pasowało to do osoby robiącej karierę.

- Co mogę dla pana zrobić?

- Bardzo mi przykro, że niepokoję panią, ale wydarzyło się coś niezwykle poważnego. Chandelle Stuart została zamordowana.

Wiadomość ta odsunęła na chwilę na bok karierę Sarah Dermott.

- O mój Boże, kiedy?

- Dziś w nocy. I to nie wszystko. Uprzedzam, że zdradzam pani poufne informacje, które powierzam pani dyskrecji.

Wypowiadając te słowa, Jordan zastanawiał się, ile czasu będzie potrzebowała ta historia, żeby stać się własnością publiczną, jeśli nadal będzie rozmawiał o niej ze wszystkimi dookoła. Miał nadzieję, że z rozbitych jajek powstanie przynajmniej jajecznicza.

- Mamy wszelkie powody sądzić, że ta sama osoba niedawno zamordowała Geralda Marsalisa. Nie wiem, czy wiedziała pani o jego śmierci.

- Tak. Słyszałam o Geraldzie w CNN.

Dopiero teraz Sarah Dermott zdała sobie sprawę z nazwiska, jakim przedstawił się Jordan.

- Chwileczkę. Pan jest krewnym Geralda?

- Tak. Gerald był moim bratankiem.

- Bardzo mi przykro. Gerald był trudnym chłopakiem, ale przykro mi, że tak skończył.

Pośpiech Jordana nie pozwalał mu na przerwy, nawet kosztem tego, że mógł wydać się nieczuły.

- Znała go pani?

Odpowiedź była instynktowna, bez konieczności zastanowienia.

- Nikt go naprawdę nie znał. Wyczuwało się w nim talent, ale zdawał się chłopcem na krawędzi. Zamkniętym, introwertycznym i buntowniczym, czasami gwałtownym. I samotnym.

Jordan pomyślał, że opis ten był kolejnym fragmentem układanki do stworzenia doskonałego portretu Geralda.

- A Chandelle Stuart?

- Mogę powiedzieć to samo, ale brak jej było talentu Geralda. Myślę, że jestem jedyną osobą, przed którą się trochę otworzyła. W Vassar nie utrzymywała kontaktów praktycznie z nikim, choć krążyły wiarygodne pogłoski, że poza kampusem prowadzi życie aż nadto ożywione. Jeśli zaczął pan dochodzenie w jej sprawie, sądzę, że wie pan, co chcę powiedzieć.

- Doskonale. Co może pani powiedzieć o stosunkach między nimi?



Po drugiej stronie nastąpiła krótka pauza. Wspomnienia Sarah Dermott stały się odpowiedzią, ale nie absolutną pewnością.

- Były normalne. Jeśli dobrze pamiętam, w college'u każde z nich funkcjonowało osobno. Gerald był zbyt nieprzyjazny, a Chandelle zbyt bogata, żeby coś ich mogło naprawdę połączyć.

- Zadam pani pytanie, które może wydać się dziwne, ale proszę się dobrze zastanowić, zanim pani odpowie.

- Słucham.

- Czy nie słyszała pani nigdy, żeby Chandelle albo Gerald wspominali o czymś, co dotyczy *Peanutsów* Linusa, Lucy albo innej postaci z tego komiksu.

- Nie wydaje mi się, żeby... Ale kiedy o tym teraz myślę, raz coś się zdarzyło.

Serce Jordana wykonało podwójne salto mortale. Zapragnął dla dobra wszystkich, żeby wylądowało na nogach.

- Pewnego dnia weszłam do jej pokoju. Chandelle była pod prysznicem. Czekając, aż wyjdzie, podeszłam do biurka, a tam leżał napisany ręcznie bilecik.

- Pamięta pani, co było na nim napisane?

- Oczywiście. Były tam dokładnie te słowa: „To jest na jutro. Pig Pen”.

- Czy nie wie pani, kto mógł się tak podpisać?

- Nie wiem.

Te dwa słowa stały się dla Jordana krzyżykiem na jego nadziei.

- Co się potem stało?

- Kiedy Chandelle wyszła z łazienki i zobaczyła, że oglądam karteczkę, zabrała ją z biurka i podarła. Potem wróciła do łazienki. Myślę, że poszła wrzucić skrawki papieru do muszli, ponieważ usłyszałam szum spuszczonej wody.

- Czy to zachowanie nie wydało się pani dziwne?

- Z Chandelle Stuart wszystko było dziwne.

Jordan znał tę postać dopiero od kilku godzin, ale bez trudu w to uwierzył.

- Czy nic innego nie przychodzi pani do głowy? Może jakiś szczegół.

- Nie. Ale jeśli pan chce, zastanowię się.

Głos po drugiej stronie zdawał się teraz podekscytowany. Jordan przypomniał sobie, że rozmawia z osobą pracującą w świecie filmu, wciąż poszukującą nowych pomysłów.

Jeśli zamierzasz zrobić z tego film, Sarah Dermott, uprzedź nas wcześniej, jak się skończy.

- Cokolwiek pani sobie przypomni, na pewno się przyda. Wezmę pani numer od rektora Hoogana i odezwę się do pani.

- W porządku. Powodzenia i proszę pozdrowić ode mnie Travisa.

- Oczywiście. Miłego dnia i jeszcze raz dziękuję.

Zakończył połączenie i oddał słuchawkę mężczyźnie po drugiej stronie biurka. Wstał, jak to czynił zawsze, kiedy chciał się zastanowić.

- Coś nowego?

- Jeszcze jedna postać z *Peanutsów*. Pig Pen.

- Tego nie znam. Kto to?

- Drugoplanowa postać. Nie odgrywa ważniejszej roli i praktycznie znika. Jest to chłopczyk, który przyciąga kurz. Jest zawsze tak brudny, że jedyny raz, kiedy przyszedł na przyjęcie czyściutki, nie został wpuszczony, bo go nie rozpoznano.

- Teraz, kiedy mi o tym mówisz, przypomniałem sobie. Powiedziała ci to Sarah?

- Tak. I zamiast rozwiązać zagadkę, informacja ta jeszcze bardziej skomplikowała sytuację.

Hoogan rozłożył bezradnie ręce.

- Przykro mi, ale doprawdy już w niczym więcej nie potrafię ci pomóc.

- Każdy mały krokczek zbliża do celu.

Jordan zdał sobie sprawę, jaki straszny banał właśnie wypowiedział.

- Niezależnie od tego ostatniego mojego zdania rodem z chińskich Ciasteczek Szczęścia, naprawdę bardzo ci dziękuję. Powtórzę jeszcze to, co powiedziałem Dermott. Jeśli cokolwiek ci się przypomni, dzwoń.

- Możesz na to liczyć.

W tym momencie Hoogan wstał i spojrzał na zegarek.

- Zbliża się pora obiadu. Oficjalnie cię zapraszam, ale jeśli mogę ci radzić, odmów uprzejmie, lecz stanowczo. Stołówka w Vassar, choć dobra, nie jest na miarę twojej towarzyszki. A niektórzy profesorowie są śmiertelnie nudni. Wracacie teraz do Nowego Jorku?

- Tak.

- Kilka kilometrów stąd jest znakomita restauracja. Nie trzeba nawet specjalnie zbaczać z drogi. Jest to stary holownik zacumowany przy brzegu rzeki. Bardzo malowniczy. Sam bym wybrał to miejsce, gdybym był w towarzystwie osoby takiej jak Lysa.

Jordan podniósł kask z krzesła. Kontynuując wątek, Hoogan wyszedł zza biurka.

- Ta dziewczyna ma najbardziej niewiarygodne oczy, jakie kiedykolwiek widziałem. Osoba z takimi oczami nie może być złym człowiekiem.

Słowa te nie były wyrazem żadnej paternalistycznej przemądrzałości, świadczyły tylko o wrażliwości Hoogana. Ten sympatyczny człowiek wyciągnął rękę do Jordana i uśmiechnął się.

- Życzę powodzenia, poruczniku Marsalis. Jesteś dzielnym człowiekiem, ale myślę, że i tak będziesz potrzebował szczęścia.

- Ja też tak sądzę. Do widzenia, Travis. Nie musisz mnie odprowadzać. Pamiętam drogę.

Jordan wyszedł z gabinetu rektora i przemierzył w odwrotnym kierunku szlak, który doprowadził go tam z jadalni. Kiedy się tam znalazł, lokal wypełniony był młodzieżą. Jedni stali w kolejce, inni siedzieli już i spożywali posiłek. Wystarczyło, że poszedł za wzrokiem niektórych z nich, żeby znaleźć Lysę.

Stała zaraz za przeszklonymi drzwiami, oparta o murek przy schodach i wpatrywała się zamyślona w zielen parku. Nawet nie spostrzegła, kiedy do niej podszedł.

- Jestem.

Lysa odwróciła głowę w jego stronę.

- Wszystko w porządku? Znalazłeś to, czego się spodziewałeś?

Spróbował odpowiedzieć twierdząco.

- Doszło kilka fragmentów. Będę musiał jeszcze się przyłożyć, żeby poukładać je w całość. W każdym razie zasłużyliśmy na porządny obiad.

- Gdzie?

Jordan nadał swojemu głosowi lekki ton tajemniczości.

- Pewien przyjaciel polecił mi jedno miejsce, niedaleko stąd...

Wkrótce potem zobaczył, jak oczy Lysy znów znikają za osłoną kasku. Kiedy wkładał swój, nie zdołał pozostawić za tą barierą ochronną słów Hoogana.

„Osoba z takimi oczami”...

## 24

Rekomendowana przez Trávisa Hoogana restauracja była starym odrestaurowanym holownikiem, zakotwiczonym przy molo, które osłonięto cementowym falochronem, co tworzyło niewielki port. Była to łódź, którą czyjaś cierpliwość i oddanie doprowadziły do kształtu i świetności przewyższającej nawet być może oryginał. W spokoju swojej przystani, wśród małych jachtów o smukłej i śmigłej linii, ten krótki i pękaty statek, który ciągnął olbrzymie parowce, sprawiał wrażenie wyciszonego giganta, wielkiego, pokojowo nastawionego lwa, patrzącego dobrodusznie na igrające lwiątko.

Kiedy Jordan zatrzymał motor i zobaczył, jak nazywa się lokal, był zadowolony, że może ukryć grymas krzywego uśmiechu pod osłoną kasku.

„Steamboat Willie”.

Był to tytuł jednej z pierwszych kreskówek Walta Disneya. W owej chwili komiksy zdawały się nad nim ciążyć, jakby wyznaczone przez przypadek, żeby stać się protagonistami jego życia. Być może samo jego życie zamieniało się z wolna w komiks. A także życie wszystkich osób zamieszanych w tę absurdalną historię. I odnajdowali się, wszyscy nieświadomi i niemi, z głowami zwieńczonymi mówiącymi dymkami, pełnymi dialogów, które ktoś dla nich pisał, nikt zaś nie zdawał się mieć mocy, żeby je zmienić.

Zsiedli z ducati i Jordan znów ujrzał, jak włosy Lysy wypadły spod kasku i poruszały się jakby własnym, niezależnym życiem. Za każdym razem, kiedy widział ten jakże naturalny gest, starał się nie precyzować swoich doznań.

Zbliżyli się do drewnianej kładki opartej o ciemnoniebieski kadłub okrętu.

Dosyć młody kelner ruszył natychmiast w ich stronę krokiem, który Jordanowi przypominał ruch sprężyny. Miał sympatyczny wygląd i opaloną twarz, dlatego zdawał się bardziej chłopcem okrętowym niż kelnerem w restauracji na starym holowniku przycumowanym nad brzegiem rzeki.

- Witam państwa. Chęć państwo usiąść w środku czy raczej ze względu na piękną pogodę zjeść na pokładzie?

Jego profesjonalny ton zamienił się szybko na bardziej przyjazny i poufały.

- Jeśli mogę coś doradzić, na zewnątrz jest ładniejszy widok i nie ma nikogo.

Niezdecydowany Jordan spojrział na Lyse, pozostawiając jej wybór.

- Myślę, że na pokładzie będzie znakomicie.

Ruszyli za chłopakiem i usiedli przy stole w cieniu drewnianej pergoli pociągniętej w stronę dziobu. Kelner położył przed nimi dwa opracowane w płótno jadłospisy i zostawił ich samych, żeby mieli czas na wybór.

Jordan otworzył swoje menu. Kiedy wpatrywał się w słowa opisujące potrawy, jego wzrok przesunął się, dotarł do miejsca, gdzie błędziły jego myśli, i uwiązł tam.

Wrócił pamięcią do tego, co wydarzyło się w gabinecie Tralisa Hoogana i do szczegółów, które wyjawiała mu przez telefon Sarah Dermott. Zgodnie z regułami, powinien zatelefonować do Burroniego i natychmiast zakomunikować mu nowiny, ale wolał zostawić sobie trochę czasu na przyswojenie tego, co właśnie odkrył.

Jaką rolę odgrywała ta czwarta postać z *Peanutsów*, która pojawiła się obok Linusa, Lucy i Snoopy'ego? Dwie pierwsze ujawniły swoją tożsamość w chwili śmierci. Snoopy, kimkolwiek był, ryzykował to samo, jeśli już w tym momencie nie odbierał wizyty mężczyzny ukrytego za kapturem sportowego dresu, który utykał lekko na prawą nogę.

*To jest na jutro. Pig Pen...*

Co miało się stać jutro? Kim był Pig Pen?

Chwilowo było to tylko imię dwuwymiarowej sylwetki, narysowanej tuszem przez znanego autora kreskówek, Charlesa Schulza. Poza tym, owo „jutro” rozłożyło się już na zbyt wiele wczoraj, żeby uzyskać łatwą odpowiedź. I dotyczyło z bliska czwartego wymiaru, który był im najbardziej nieprzyjazny: czasu.

- Jeśli powiesz mi, gdzie jesteś, mogę spróbować do ciebie dotrzeć albo przynajmniej zatelefonować.

Głos Lysy dobiegł go z zewnątrz, przywracając mu jedność czasu i miejsca. Jordan położył menu na stole i zobaczył przed sobą uśmiech swojej towarzyszki podróży i kelnera, który patrzył na niego z piórem i notesem w ręku.

Jordan zdał sobie sprawę, że pozostawał ślepy i głuchy, kiedy Lysa składała swoje zamówienie.

- Wybacz. Zamyśliłem się i chyba coś mi umknęło. Czy już wybrałaś?

- Kilka minut temu.

- Dobrze, żeby, więc dłużej nie zwlekać, to, co jest dobre dla ciebie, będzie też dobre dla mnie.

Kelner zdawał się typem bardzo wyrozumiałym. Pokiwał głową i nabazgrał coś w notesie.

- Znakomicie, a zatem smażony wąż dla dwojga.

Chłopak odpowiedział na zaskoczenie Jordana szerokim, rozbajającym uśmiechem.

- Proszę się nie obawiać, to specjalność zakładu. Chef przyrządza je tak, że miękkie są nawet grzechotniki.

Przy wtórze śmiechu Lysy odwrócił się i odszedł swoim zabawnym, elastycznym krokiem. Jordan i jego towarzyszka zostali sami w cieniu pergoli, na pokładzie statku, który już nigdy miał nie wypłynąć. Jordan odwrócił głowę w lewą stronę. Widziany stamtąd przeciwny brzeg rzeki był odległym i zupełnie innym miejscem, zaludnionym ludźmi, jakby z innej planety. Poczucie, że jest się widzianym w taki sam sposób przez ludzi z tamtej strony, świadczyło o skrajnej ulotności każdego punktu obserwacji.

Powrócił wzrokiem na Lyse.

„Osoba z takimi oczami”...

Jordan zdał sobie sprawę, że nic o niej nie wie. Nic nie wiedział o życiu Lysy i o powodach jej obecności w Nowym Jorku. Nigdy o nic nie pytał, albo dlatego, że nie chciał być niedyskretny, albo bał się tego, co Lysa mogłaby odpowiedzieć.

Podczas krótkiego okresu ich wspólnego życia pod jednym dachem właściwie wciąż się tylko mijali. Kierowali się dyrektywami, które albo zamierzali narzucić swojemu życiu, albo, którym zmuszeni byli się poddać. Cokolwiek kierowało Lyse, posiadała ona godną pozazdrosczenia broń. Był nią pogodny, ale stanowczy charakter i optymistyczna ironia, które mogła przeciwstawić każdej niezbyt przyjemnej rzeczy napotkanej na swojej drodze.

Tylko jednego wieczoru, gdy wrócił bardzo późno i przechodził na palcach przez korytarz, mijając jej pokój, zdawało mu się, że w ciszy domu słyszy jej płacz. Ale kiedy zobaczyli się rano, z tego płaczu, jeśli był, nie pozostał żaden ślad.

- Jak to się stało, że między tobą a Christopherem jest taka znaczna różnica wieku?

Jordan odpowiedział, próbując nadać swojemu głosowi lekkość oczywistości.

- Och, to bardzo proste. Mój ojciec był przystojnym chłopakiem bez grosza przy duszy i świetnie grał w tenisa. Matka Christophera była piękną, bardzo bogatą dziewczyną i bardzo źle grała w tenisa. Poznali się i zakochali. Istniał tylko jeden mały problem. On był chłopakiem, który miał zalety uznawane w pewnych środowiskach za wady, ona zaś dziewczyną urodzoną i wychowaną w takim właśnie środowisku. Przed ślubem jej rodzice kazali podpisać mojemu ojcu umowę przedmażeńską, która przypominała książkę telefoniczną. Sprawy toczyły się przez jakiś czas swoim torem, ale w końcu zdarzyło się nieuniknione. Mój ojciec zdał sobie stopniowo sprawę, że jego żona coraz bardziej należy do swojego świata, a on coraz bardziej się od niego oddala. Kiedy poprosił ją, żeby z nim odeszła i żeby zaczęli życie na własną rękę, spotkał się z ostrą i kategoryczną odmową, gdy tymczasem teść rozpostarł już czerwony chodnik prowadzący prosto do otwartych drzwi. Ojciec wyszedł z tego domu, tak jak tam wszedł. Bez grosza w kieszeni i z coraz większymi trudnościami w widywaniu syna. Potem poznał moją matkę i dwanaście lat po narodzinach Christophera pojawiłem się ja. Kiedy pierwszy raz się spotkaliśmy, on zaangażowany już był w karierę polityczną, a ja właśnie ukończyłem akademię policyjną. Bez naszej winy byliśmy braćmi, którzy stawali naprzeciw siebie pozbawieni braterskich uczuć. I tak trwało aż do dzisiaj.

Jordan wiedział, że ta opowieść nasunie Lysie następne pytanie. Dotyczyć miało powodu, dla którego pewnej nocy sprzed kilku lat zajął on nie swoje miejsce w rozbitym samochodzie. Nie był gotowy na odpowiedź, więc z ulgą przyjął nadejście kelnera z dwoma talerzami.

Jedzenie, które zamówiła Lysa, nie było smażonym wężem, tylko znakomitą gotowaną rybą w delikatnym sosie z mleczka kokosowego i bazylii. Kiedy zaczęli jeść, Jordan postanowił poruszyć temat, którego do tej pory unikał.

- Sądzę, że moje życie nie jest specjalnie interesujące. Ty natomiast nic mi jeszcze o sobie nie powiedziałaś.

Lysa przybrała wyraz twarzy, któremu towarzyszył gest ręki niezbyt przystający do cienia, jaki przez chwilę przesłonił jej oczy. Był to tylko ułamek sekundy, ale wystarczył, żeby przyćmić całe słońce i optymizm, jakie zazwyczaj wyrażały. Ukryła się za uśmiechem, który nie był jednak dostateczną osłoną, żeby pokryć gorycz.

- Och, jeżeli o mnie chodzi, to bardzo proste. Wystarczy powiedzieć, że dla mnie nic nie było proste.

Lysa zrobiła małą, wieczność trwającą pauzę.

- Nigdy.

Zakłopotany surową naturalnością tego krótkiego stwierdzenia, Jordan znów zwrócił wzrok na drugi brzeg Hudsonu. I znów miał przed oczami odwieczną grę dwóch brzegów. Miejsce, w którym znajdowała się Lysa, określało „nigdy”, a na drugim brzegu połyskiwał miraż „zawsze”. Niestety, w jej przypadku oznaczały to samo.

Głos Lysy opowiadał jemu, a jednocześnie mówiła jakby do siebie.

- Urodziłam się w małym prowincjonalnym miasteczku, którego nazwa absolutnie nic ci nie powie. Wiesz, takie miejsce, gdzie wszyscy wiedzą o sobie wszystko. Ojciec był pastorem metodystów, a matka typem kobiety, która mogła zostać żoną takiego tylko człowieka. Pobożna, cicha i usłużna. Czy możesz sobie wyobrazić wstyd opętanej myślą o Bogu człowieka, który obserwuje z dumą, jak rośnie jego jedyny syn, aż do chwili, kiedy zdaje sobie sprawę, że w wieku czternastu lat zaczynają pojawiać mu się piersi? Byłam ukrywana jak kara za grzechy jego i całego świata, dopóki miłość do Boga nie przerosła w nim miłości do własnego dziecka, nieważne, czy było chłopcem, czy dziewczynką. Kiedy odeszłam z domu w wieku szesnastu lat, zobaczyłam, jak drzwi same, bez mojego udziału, zatrzasnęły się za moimi plecami.

Jordan nie był pewien, czy chce jeszcze coś usłyszeć. Całe swoje życie spędził w czarno-białym świecie, który wykluczał jakikolwiek pośredni odcień. Z kolei po tym, co mu się mimo woli przytrafiło, znalazł się we wszystkich możliwych odcieniach szarości. Osoby, które ostatnio spotkał, stawiały go w obliczu nieograniczonej przestrzeni możliwości. Lysa była jedną z nich.

W każdym razie teraz już mógł nadać nazwę temu, czym go pociągała. Rzadko uroda jest synonimem charakteru. Charakter wynika z cierpienia, a osoba piękna zazwyczaj nie musi się wysilać, żeby coś zdobyć, bo zawsze znajduje masę innych ludzi gotowych się rozdzielić, by jej to podarować. Dotyczyło to zarówno mężczyzn, jak i kobiet. Mogłoby dotyczyć również Lysy, żyjącej jakby w rozkroku nad dokładną linią podziału. Z jedną tylko różnicą, którą wcześniej mógł tylko wyczuć, a którą teraz ona potwierdzała.

Dla niej nic nie było proste.

Nigdy.

Tych pięć liter, twardych jak żelazo i skała, mówiło też o czymś niezwykle kruchym, co kryło się pod spodem.



- Reszta to były następujące po sobie miejsca. Odwieczna historia. Ja, która gonię ciebie, który gonisz ją, która goni jego. Ucieczka przed osobami, które mnie szukały, kiedy odkrywały, jaka jestem, i widok uciekających dokładnie z tego samego powodu osób, których ja szukałam.

- Czy nigdy nikogo nie było?

- Ależ tak. Jak we wszystkich szanujących się historiach rozczarowania była chwila iluzji. W miejscu, w którym mieszkałam poprzednio, był mężczyzna. Aktor. Wesoły i sympatyczny. Powinam wiedzieć, że kiedy żyje się, udając miłość, łatwo jest zobaczyć ją również tam, gdzie jej nie ma. Ale kiedy byliśmy razem, rozśmieszał mnie do łez.

- I co się potem stało?

- To, co zawsze. Śmiech się skończył, zostały łzy.

Lysa zmieniła nagle wyraz twarzy i nadała swojemu głosowi lekki ton ze wstydu albo z obawy, że zbyt się odkryła. Znow była taka jak zwykle, wesoła i skryta. Jordan miał ulotny obraz życia spędzonego na uciekaniu i szukaniu. Przed czym uciekała i czego szukała, wiedziała tylko ona.

- I oto jestem. Znasz historię o marzycielu, szaleńcu i psychiatrze?

- Nie.

- Och, to tylko historyjka, ale bardzo wymowna, jako przykład. Marzyciel buduje zamki z piasku, szaleniec w nich mieszka, a psychiatra inkasuje czynsz. To jest powód, dla którego trafiłam w końcu do Nowego Jorku. Jestem zmęczona budowaniem i mieszkaniem, teraz chciałabym coś zainkasować.

Jordan zdał sobie nagle sprawę, że musi rozmawiać otwarcie z tą dziewczyną. I nie podobało mu się to, co zamierzał jej powiedzieć, ponieważ wiedział, że jej też się nie spodoba.

- Jest coś, co muszę ci powiedzieć.

Lysa odkroiła delikatnie nożem kawałek ryby, którą miała na talerzu.

- Słucham.

- Myślę, że będę musiał poszukać sobie jakiegoś innego mieszkania.

- Rozumiem.

Sucha, krótka, aluzyjna, ale niemal obojętna odpowiedź. Jordan potrząsnął głową.

- Nie, nie sądzę, żebyś rozumiała.

Odłożył sztucę na talerz. Nie chciał rozpraszać Lysy ani siebie jakimkolwiek gestem.

- Gdy byłem dzieckiem, mieszkałem z rodzicami w Queens. W domu obok mieszkał inny chłopczyk, Andy Masterson. Oczywiście często bawiliśmy się razem. Pewnego dnia jego rodzice podarowali mu małe elektryczne auto. Pamiętam, jak jeździł, siedząc na tym samochodziku z czerwonego plastiku, z błyszczącymi ze szczęścia oczami. Ja wiedziałem, że nie mogę takiego mieć, i patrzyłem na niego z nadzieją, że chociaż raz da mi się przejechać, ale to nigdy nie nastąpiło.

- Twój przyjaciel Andy nie był szczodrym dzieckiem.

- Myślę, że nie. Ale nie w tym rzecz.

Jordan spojrział w oczy Lysy.

- Pamiętam sposób, w jaki pożałowałem tego małego czerwonego samochodu. Pragnąłem go rozpaczliwie całą wyobraźnią, jaką dysponowałem. Pragnąłem go z siłą, intensywnością i melancholią, do jakich tylko dziecko jest zdolne.

- Myślę, że dla dziecka był to duży problem.

Jordan wziął oddech jak przed głębokim zanurzeniem.

- Nie. To był mały problem. Duży problem mam teraz, bo pragnę cię dużo bardziej niż tamtego samochodziku.

Zaraz potem zdał sobie sprawę, że nie posłuchał rady rektora Hoogana. Gdy wypowiadał te słowa, spuścił wzrok.

Kiedy go podniósł, miał przed sobą Lysę, która patrzyła na niego z głębi swoich oczu, nie zmieniając ich wyrazu. Potem jej twarz stężała i Lysa wstała od stołu. Wiedziała, że rozmowa nie jest skończona, i spróbowała uprzedzić ten koniec.

Powiedziała, nie patrząc na niego, ze znużeniem *déjà vu* w głosie:

- Myślę, że masz rację. Może będzie lepiej, jeśli poszukasz innego mieszkania. Chyba nie jestem już głodna. Jeśli pozwolisz, zaczekam przy motorze.

Odeszła z włosami falującymi w rytm kroków i poruszonymi bryzą wiejącą od rzeki. Jordan został sam jak jeszcze nigdy w życiu, sam ze swoimi marnymi wyrzutami sumienia i wstydem, które uczyniły, że poczuł się małym człowiekiem.

Odczekał kilka chwil, po czym zawołał kelnera i uregulował rachunek. Chłopak zrozumiał z wyrazu jego twarzy, że przed chwilą między tym dwojgiem coś się zmieniło. Przyjął napiwek, dziękując, ale nie siląc się już na żadne dowcipne uwagi.

Jordan schodził kładką, szukając wzrokiem Lysy. Kilka kroków dalej widać było czerwoną plamę ducati, a obok jej postać z twarzą zasłoniętą już kaskiem. Jak zdarzyło się już wcześniej, natychmiast zatęsknił za jej obliczem, ale wiedział, że w tej chwili pod ciemną osłoną nie ma uśmiechu.

Nic nie mówiąc, Jordan też skrył się za kaskiem, podszedł do motocykla, zapalił silnik, czekając, aż poczuje za sobą obecność swojej pasażerki.

Kiedy po lekkim podskoku siodełka zrozumiał, że się usadowiła, włączył bieg i ruszył. Rozpoczęli swoją niemą podróż powrotną do Nowego Jorku, pozostawiając wiatrowi słowa, których sami nie byli w stanie sobie powiedzieć, temu wiatrowi, który jednym powiewem potrafił rozproszyć chmury i zapachy.

Maureen Martini obudziła się z silnym uczuciem swędzenia w oczach. Przebiegła delikatnie palcami po gazach przytrzymywanych plastrami, jak gdyby ten lekki gest mógł w jakiś sposób złagodzić tę dokuczliwość. Uprzedzono ją, że tak się stanie, ale sama świadomość nie starczała, żeby powstrzymać irytujące mrowienie.

Po operacji małe ranki pozostawione przez zabieg zabiły się z szybkością, która zaskoczyła nawet profesora Roscoe, chirurga, który dokonał przeszczepu. Tak przyspieszony czas gojenia wprowadził wszystkich w dobry nastrój. I oto nadszedł dzień, w którym miała odkryć, czy mieli rację, czy się mylili. Punktualnie o jedenastej bandaż miał opaść i pozostawić ją samą w obliczu przyszłości.

Przyszłości, którą będzie mogła przeżyć, ale być może będzie musiała przemierzyć ją po omacku.

Z tego powodu w nocy spała mało i źle. Ciemność, prześcieradła i wyścig z przeszkodami między optymizmem a pesymizmem, nieustanna huśtawka nastrojów, zawierających się w wąskiej przestrzeni między „może tak” i „miejmy nadzieję, że nie”. Sen miał na swój sposób zadanie przywrócenia właściwych proporcji, przez parę godzin łączył ją z resztą świata w miejscu pozbawionym koloru, gdzie miała się znaleźć sama wraz z nastaniem dnia.

W jednej z niewielu chwil, kiedy zapadła w rodzaj lepkiej drzemki, pograżyła się w dziwnym śnie, który uderzył ją nadzwyczajną wyrazistością obrazów i który jeszcze teraz, po przebudzeniu, nie miał we wspomnieniu charakteru fragmentarycznej sekwencji onirycznych doświadczeń.

Miejsce, w którym się znajdowała, było pokojem dziecinnym. Nie był to pokój z jej dzieciństwa w Rzymie, bo nie rozpoznawała mebli, a z okna widziała roślinność i brzeg rzeki. We śnie siedziała przy biurku i patrzyła na swoje ręce, które rysowały. Rysunek przedstawiał mężczyznę i kobietę. Kobieta opierała się o stół, a mężczyzna stał za nią. Mimo dziecinniej kreski rysunek był bardzo precyzyjny i widać było wyraźnie, że tych dwoje się kocha. Potem drzwi po jej lewej stronie otworzyły się i do

pokoju wszedł mężczyzna z wąsami. Pokazała mu rysunek z dumą i niewinnością, jaką odczuwać może tylko dziecko. Mężczyzna popatrzył na obrazek, po czym bardzo się rozgniewał. Widziała jego wargi poruszające się bezdźwięcznie i czerwieniejącą twarz, kiedy machał jej przed oczami kartką papieru. Podarł rysunek, potem wziął ją za rękę i szarpiąc, wepchnął do schowka. Maureen pamiętała z najdrobniejszymi szczegółami twarz mężczyzny, który zniknął pochłaniany ciemnością zamykających się drzwi.

Później zbudziła się zrana potem i odnalazła tę samą ciemność.

Była na Manhattanie, w apartamencie swojej matki, na ostatnim piętrze kamienicy z ciemnej cegły, pod numerem 80 przy Park Avenue, niedaleko od Grand Central Station. Maureen wolałaby zatrzymać się w mieszkaniu, który jej ojciec miał w downtown, ale było oczywiste, że w jej stanie podczas rekonwalescencji konieczna będzie obecność kobiety.

Tak, więc, zaciskając zęby, zgodziła się spędzić okres po operacji w domu Mary Ann Levallier. Mimo naturalnego zmartwienia matki z powodu tego, co się jej przytrafiło, Maureen postanowiła nie ulegać nadmiernym złudzeniom, co do natury ich stosunków, które można było streścić w kilku syntetycznych słowach: niechęć kontra pycha. Istniało na pewno między nimi atawistyczne, genetyczne, pozbawione emocji uczucie, którego w żaden sposób nie można było nazwać przyjaźnią.

Stłumione filtrem podwójnych szyb, docierały do niej z dołu odgłosy nowojorskiego ruchu. Było to miasto, które po Rzymie znała najlepiej. I w tych dwóch miastach, pośród milionów ludzkich istot, pewnego dnia znalazła człowieka, który zdołał w końcu ją poznać. Jej historia była zawsze zawieszona między dwoma różnymi światami: stanowiła część obydwu, a jednak tak naprawdę nie należała do żadnego. Jedyłą osobą mogącą między nimi pośredniczyć był ktoś, kto doznawał tego samego, pobudzany muzyką, która natchniona była niebem, gdy tymczasem on zmuszony był przebywać na ziemi. Człowiek, który opisał kłamstwa mroku i który w tym mroku stał się jedyną prawdą.

Jedna jedyna osoba.

A teraz...

Odkąd obudziła się w poliklinice Gemelli, jej życie stało się szybkim pasmem następujących po sobie jednobarwnych wrażeń. Ciemność, która spowijała jej oczy razem z bandażami, powierzyła wszystkim pozostałym zmysłom zadanie zrozumienia w przybliżeniu tego, co się działo wokół. Również podróż z Rzymu do Nowego Jorku

była serią pokawałkowanych emocji, pozbawionych wsparcia płynności, jaką obrazy nadają każdej przemierzanej drodze, budując jednocześnie kościec wspomnienia.

Dopiero teraz, kiedy została go pozbawiona, zmuszona była przyznać wzrokowi decydujące znaczenie. Przemieszczanie się określone było hałasem silników i śmigieł samolotu, wyziwy ulicy wskazywały na pokonywanie jakichś przypadkowych tras. Ludzie stanowili tylko głosy i zapachy. Czasami dotykem, któremu zawdzięczała poczucie, że wciąż pozostaje ludzką istotą. W tej pozbawionej konturów ciemności wciąż kołysał się połyskujący kolczyk Arbena Gallaniego, a zakrwawione ciało Connora nawet na chwilę nie przestawało osuwać się w kurz.

I przez cały ten czas w swojej głowie Maureen ani na moment nie przestała krzyczeć.

Głos profesora Williama Roscoe, chirurga, który miał ją operować, był tylko jeszcze jednym głosem i tylko na chwilę nałożył się na jej niemy krzyk. Niski, przyjemny baryton dawał poczucie bezpieczeństwa, kiedy dźwięczał swoim miękkim akcentem, którego nie zdołała rozpoznać, ale który nie był suchą i ostrą wymową nowojorską. Wyczuwała jego obecność przy łóżku. Pachniał czystym fartuchem i świeżo ogoloną mężczyzną.

- Panno Martini, zabieg, któremu zostanie pani poddana, jest względnie prosty i ma dosyć krótki przebieg pooperacyjny. Zostaną pani przeszczepione dwie nowe rogówki, zastosuję hodowlę komórek macierzystych, którymi dysponuję, żeby uniknąć jakiegokolwiek problemu odrzucenia związanego z pani osobliwością genetyczną. Myślę, że po kilku dniach będziemy mogli zdjąć pani bandaż, a jeśli chodzi o możliwość odzyskania wzroku, mogę już teraz powiedzieć, że graniczy praktycznie z pewnością. Jedyna komplikacja polega na tym, że później będzie musiała się pani poddać paru drobnym zabiegom, które pomogą zespolić się z innymi komórkami macierzystymi i nadać ostateczną trwałość nowym rogówkom. Poza tym po operacji przez jakiś czas będzie pani musiała nosić ciemne okulary, ale to doda tylko tajemniczości pani urokowi. Czy mówiłem wyczerpująco, czy chciałaby pani, żebym coś jeszcze wyjaśnił?

- Nie, wszystko jest najzupełniej jasne.

- Proszę być spokojną. Jak powiedziałem, najdalej za tydzień znów będzie pani widzieć.

Maureen odpowiedziała optymizmem na optymizm lekarza.

- Oczywiście, że będę widzieć - odrzekła ze spokojem. - Oczywiście, że będę widzieć. Nie dlatego, że chcę widzieć, ale dlatego, że muszę widzieć. I będzie to twarz przed lufą pistoletu...

Operacja była dla niej tylko skrzypieniem kół wózka, zapachem środków odkażających, głosami w sali operacyjnej pełnej świateł, które rozpoznawała jedynie po ciepłe, ukłuciem w ramię, a potem miękką nicością. W sumie znieczulenie było zwykłym skokiem w jeszcze głębszą ciemność, podczas którego mogła sobie pozwolić na luksus niemyślenia.

Kiedy wybudziła się z narkozy, czekały na nią głosy i ręce ojca i matki. A także jej zapach, dyskretny i wyjątkowy. Maureen spróbowała wyobrazić ją sobie, siedzącą obok łóżka, elegancką mimo wszystko i zadbaną w najdrobniejszych szczegółach. Mieszanka klasy i samokontroli. W innej sytuacji nazwałaby to chłodem, ale teraz chciała obdarzyć ją dobrodziejstwem wątpliwości. W każdym razie pragnęłaby, żeby zapomnienie spowodowane matczyną troską kazało jej choć raz zburzyć symetrię fałd na apaszce.

Postanowiła nie włączać radia, które postawiono jej dla towarzystwa na stoliku przy łóżku. Trochę po to, żeby nie dać matce i pokojówce sygnału, że się obudziła, ale przede wszystkim, aby nie natknąć się na kolejny program, w którym jakiś didżej będzie się angażował w nieubłaganą celebrację życia i muzyki Connora Slave'a.

Słyszała parę dni temu, że w Carnegie Hall przygotowywano nadzwyczajne widowisko. Dzięki technologii cyfrowej i wyszukanemu programowi grafiki komputerowej było możliwe pomieszanie obrazów z wideo oraz z telewizyjnych występów Connora i stworzenie jego trójwymiarowej postaci. Seria projektorów laserowych ustawionych kaskadowo poruszały ją na scenie, synchronizując wirtualny obraz z realnym koncertem orkiestry złożonej z ludzi z krwi i kości.

Była to męczarnia, jakiej Maureen nigdy by się nie poddała.

Zobaczyć go na scenie jak zjawę, wiedząc, że to rodzaj lalki poruszanej sznurkami maszyny i mimo to pragnąć tam wbiec, przytulić go i zanurzyć ręce w jego włosach, mając jednocześnie świadomość, że obejmie tylko powietrze zabarwione iluzją.

Mrowienie w oczach ustało i poczuła potrzebę pójścia do łazienki. Ta konieczność tak fizyczna i banalna przywróciła ją do życia. Nie chciała wzywać matki, tak samo jak nie chciała oddać się w ręce Estrelli, służącej latynoskiego pochodzenia, która zajmowała się nią, wyrzucając z siebie potok słów zniekształconych przez miękki akcent i pomieszanych z terminami hiszpańskimi.

Również ten mały upór w dążeniu do samowystarczalności dodawał życie do życia. Znała pokój, choć nie bardzo dobrze. Widywała go w innych momentach, kiedy nie umiała jeszcze korzystać z pamięci nietoperza, którą teraz zmuszona była się kierować.

Wstała z łóżka i z wysuniętymi do przodu rękami, lekkim i uważnym krokiem ruszyła w stronę łazienki. Dzięki dotykowi ominęła szafkę i okrążyła fotel. Położyła dłoń na chłodnej i gładkiej płaszczyźnie ściany i przesuwała ją, aż dotarła do lakierowanej powierzchni drzwi toalety. Poszukała klamki, nacisnęła na nią, pchnęła drzwi i wspierając się na nich pomogła swojemu ciału wejść do środka. Jeden niepewny krok i nagle...

... jest światło, a nade mną pomalowana na niebiesko twarz kobiety. Leżymy na ziemi, a na podłodze wokół nas wszystko jest białe i są plamy koloru, ja jestem na jej ciele i czuję tę część siebie, o której istnieniu nie wiedziałem, a która porusza się w niej i poza nią, ciepła i wilgotna, i widzę jej twarz, która stała się sina od stopniowo ścierającej się farby. Widzę ją, ale nie dociera do mnie jej głos. Obserwuję ją, kiedy zapada się z jękiem, którego nie mogę usłyszeć, w spiralach wonnych oparów orgazmu, i nagle ja też stoję, a pode mną nabrzmiały członek, który chwytam, potrząsam nim i widzę krople spermy rozpryskujące się dokoła, gdy tymczasem ja też wpadam w bezdenną pułapkę dojmującej i nieznannej rozkoszy. Potem leżę na ziemi i...

... stoję przed lustrem i patrzy na mnie moja twarz, twarz czerwona, jakby pokryta krwią tysiąca ran. Obserwuje mnie z lśniącego prostokąta, wychodzącego na inny świat, który - jak się zdaje - uczynił z szaleństwa swoją podstawową zasadę. Moje wargi poruszają się, kiedy mierzę palcem niczym pistoletem we własne odbicie i...

... idę ku drzwiom w głębi tego ogromnego, jakże rozświetlonego pokoju, otwieram je i w cieniu korytarza stoi nieruchoma postać, która teraz idzie...

Maureen klęczała na podłodze z rękami przyciśniętymi do skroni, na powrót pogrążona w ciemności. Czowała się wyczerpana, jak po koszmarze albo orgazmie. Właśnie to drugie odczucie w końcu przeważało. Była pusta, jakby rozkosz, której doznała podczas omdlenia, była prawdziwa, jednak z jakimś nienaturalnym uczuciem, że przeżyła ją jak mężczyzna. Dłoń przesuwaną się po penisie była jej dłonią i w taki sam sposób poczuła w sobie wytrysk nasienia, które wydostało się zuchwale i pysznie z części ciała, której nie powinna i nie mogła mieć.



Pochyliła się powoli do przodu, aż dotknęła rozpalonym jak od gorączki czołem o przynoszący ulgę marmur posadzki.

To niemożliwe. Niemożliwe...

Drzwi pokoju otworzyły się, dzięki czemu nie wpadła w panikę, która czyni z ciemności najlepsze miejsce do zastawiania swoich sideł.

- *Madre de Dios*, co się dzieje, panienko? Proszę poczekać, zaraz pomogę.

Usłyszała zbliżający się do niej zatrwożony głos i miękki krok Estrelli. Z odległej części mieszkania usłyszała rytmiczny stukot obcasów matki. Potem poczuła wsparcie dwóch silnych rąk.

- Panienko, proszę się na mnie oprzeć. Zaprowadzę panią do łóżka.

Estrella pomogła jej wstać i poprowadziła ją przez pokój, przytrzymując na swoim mocnym ciele, gdy tymczasem ona nie mogła uspokoić bicia serca. Porządkujący rzeczywistość głos Mary Ann Levallier zaskoczył je w połowie drogi.

- Co się dzieje, Maureen? Zrobiłaś sobie krzywdę? Oto ona: niechęć kontra pycha.

- Nic się nie stało, mamó. Potknęłam się i upadłam.

- Estrello, jakże to możliwe? Sądziłam, że wyraziłam się jasno. Panienska nie może zostawać sama nawet na chwilę.

Maureen potrząsnęła głową.

- Ona nie ma z tym nic wspólnego. To moja wina. Chciałam pójść sama do łazienki i poślizgnęłam się. Już w porządku.

Kiedy minął niepokój, w głosie matki wyczuła lekką złość.

- Dziwi mnie, że w swoim stanie masz jeszcze ochotę popisywać się taką brawurą. Nie mogę w to uwierzyć. Jaki to ma sens?

Naprawdę chciałyby wyjaśnić jej sens tego, co zawsze określała, jako brawurę. Tyle razy próbowała to zrobić, odkąd była dzieckiem, ale za każdym razem Mary Ann Levallier odmawiała pocałowania ropuchy, którą córka z dumą do matki wyciągała. Dla niej to obrzydliwe stworzenie nigdy nie miało szansy zamienić się w księcia.

Bajki były i pozostawały bajkami.

Maureen pomyślała, że daremnie byłoby próbować teraz jej to wytłumaczyć. Pozostawiła ją jej sceptycyzmowi i jej parcelom na sprzedaż - i zmieniła temat.

- Która godzina?

- Dziewiąta trzydzieści. Czas, żebyś się przygotowała. Wiesz, że mamy spotkanie z profesorem Roscoe o jedenastej.

Jak mogłabym o tym zapomnieć? Kiedy o tym myślę, czuję mijanie każdej sekundy.

- Dobrze. Już się ubieram.

- Znakomicie. Ja idę zamówić samochód na dziesiątą trzydzieści. Estrello, proszę tu zostać i tym razem uważajcie na to, co robicie.

Rozmowa z matką i krótki odpoczynek na łóżku wyrwały ją z lęku, w jaki wpadła po tym niespodziewanym przeblysku obrazów pochodzących z nicości. Wstała i poszukała wsparcia pokojówki, bardziej, żeby dać jej poczucie przydatności po słowach wypowiedzianych przez panią domu niż z powodu rzeczywistych kłopotów z utrzymaniem równowagi.

Pozwoliła zaprowadzić się do łazienki i przyjęła latynoskie komentarze, które Estrella wygłaszała, pomagając jej w rozbieraniu.

- Jakie ma pani piękne ciało, panienko. Nawet grama tłuszczu. Wygląda pani jak gwiazda filmowa.

Maureen milczała i wyobrażała sobie obfitą sylwetkę i twarz kobiety w średnim wieku, która kiedyś musiała być piękna. Otworzyła kran i przyjęła na ciało letnią wodę w zastępstwie lodowatego prysznica, który spadł na nie nieco wcześniej. Wciąż otoczona troskliwą opieką Estrelli, zmusiła się do rozmowy z nią, żeby nie myśleć dłużej o tym, co się stało, ani o tym, co już wkrótce miało się wydarzyć.

Wytarła się w prześcieradło kąpielowe, które było dla niej tylko bezbarwną tkaniną, i włożyła ubrania, które nauczyła się rozpoznawać dotykiem, po czym uczesała się nie swoimi rękami, przyjmując ocenę cudzych oczu.

- Gotowe, panienko. Proszę mi wierzyć. Wygląda pani przepięknie.

Słowa Estrelli dziwnie przypominały jej Duilia, pracownika garażu, w którym trzymała swój samochód w Rzymie. Ciekawe, czy ten człowiek wciąż istniał, gdzieś za progiem ogromnego, ciemnego pokoju, do którego została zesłana. Ciekawe, czy wciąż istniał Rzym. Ciekawe, czy wciąż istniał świat.

Ciekawe, czy ja wciąż istnieję...

Kiedy matka dźwiękiem głosu i obcasów przyszła zawiadomić ją, że samochód czeka przed domem, ruszyła za nią, chcąc uzyskać odpowiedź na te pytania.

Wyszła na ulicę, żeby sprawdzić, czy odzyskała wzrok, próbując zostawić za sobą obawę, że straciła zmysły.

## 26

Maureen z ulgą przyjęła szelest wózka na kółkach, który dawał jej poczucie bezpieczeństwa. Kiedy tylko wysiadła z samochodu, obie z matką zostały przyjęte przez oczekującego je pielęgniarza. Teraz drugi mężczyzna, pachnący słodkawą wodą toaletową i pastą do zębów, pchał wózek korytarzami Holy Faith Hospital, kliniki, w której była operowana. Maureen zastanawiała się, czy pamięta architekturę budynku. Na szpitalu zazwyczaj patrzy się przez chwilę i wyrzuca te obrazy z pamięci. Znała Nowy Jork na tyle dobrze, żeby móc usytuować Holy Faith na Lower East Side, tuż pod zieloną plamą Tompkins Square Park. Kilka razy podczas krótkiej hospitalizacji zastanawiała się, czy z jej okna widać wierzchołki drzew. I za każdym razem odpowiadała sobie, że być może już nigdy nie zobaczy wierzchołków drzew wyłaniających się zza czegokolwiek.

Po pogawędce z Estrellą Maureen przez całą drogę milczała, zostawiając matce zadanie pilotowania kierowcy, który mówił po angielsku z silnym akcentem rosyjskim, a dla niej był jedynie jeszcze jednym z wielu głosów.

Próbowała sobie wyobrazić twarz tego mężczyzny.

Jego śpiewna, gardłowa intonacja przypominała jej inną, związaną nieuchronnie z kolczykiem w kształcie krzyża, z małym brylantem w środku. Maureen próbowała zmienić myśl, tak jak zmienia się temat, ale kiedy rozmawia się z własną pamięcią, prawie nigdy nie jest to możliwe. Wspomnienie ześlizgnęło się na niedawne, anormalne doświadczenie i natychmiast ogarnął ją strach. Wahala się, czy porozmawiać o tym z profesorem Roscoe, i w końcu postanowiła tego nie robić. W tym teatrze, w jaki zamieniła się jej głowa, scena poruszała się jasna i wyraźna, jak ów rodzaj halucynacji, której doznała w drzwiach łazienki. Wyobrażała sobie chirurga, pogrążonego w klinicznym zakłopotaniu, kiedy szukał właściwych słów, żeby poradzić jej wsparcie dobrego psychologa. A ostatnią rzeczą, jakiej teraz potrzebowała, byłyby osoby trawione wątpliwościami, czy to doświadczenie nadszarpnęło w jakiś sposób jej zdolność rozumowania.

Posuwali się korytarzami pogrążonymi w ciszy przerywanej tylko czymiś krokami.

Lekarza? Pielęgniarka? Innego ślepcę takiego jak ja?

Albo sporadyczną i krótką falą zapachu lekarstw. Holy Faith był małym szpitalem bez pogotowia ratunkowego i dlatego też nie było interfonu wzywającego do nagłych wypadków dyżurujących lekarzy. Był to przede wszystkim instytut badawczy z oddziałem szpitalnym o ograniczonej liczbie miejsc. Stosowane tu kuracje i zabiegi, wykonywane z zastosowaniem najbardziej wyszukanych technik, obejmowały wyłącznie schorzenia okulistyczne. A profesor William Roscoe, mimo młodego jeszcze wieku, był jednym z najwybitniejszych specjalistów na świecie w tej dziedzinie. Jego badania nad komórkami macierzystymi zdaniem niektórych przybliżyły go gigantycznymi krokami do Nagrody Nobla.

A także, jeśli wszystko pójdzie tak, jak przepowiedział, do znalezienia honorowego miejsca w małym, prywatnym rajku Maureen Martini.

Wózek na kółkach został łagodnie wyhamowany i prowadzące go sprawne ręce wykonały skręt w prawo. Hałas otwierających się drzwi, wózek wprowadzony do środka i zaraz potem dłoń czekającego już tam ojca gładząca ją po policzku. Nawet gdyby był po szkole aktorskiej, nie potrafiłby zamaskować niepokoju kryjącego się w jego głosie.

- Cześć, skarbie.
- Cześć, tato.
- Zobaczysz, że wszystko będzie dobrze.

Głos profesora Roscoe pomieszał się z głosem Carla Martiniego, taki sam, jeśli nie w barwie, to na pewno w intonacji.

- Absolutnie się z tym zgadzam, panno Martini. Jak się pani czuje?
- Raczej dobrze.
- Założę się, że nie mogła pani zasnąć tej nocy.

Maureen zastanawiała się, jak to jest, że tak łatwo wyczuwa się uśmiech w głosie, nawet, jeśli nie widzi się mówiącego.

- Muszę przyznać, że pan wygrał.
- To normalne, że jest pani trochę podekscytowana. Pani Wilson, proszę podać pacjentce środek uspokajający.
- Jeśli to możliwe, wolałabym nie.

- W medycynie nie ma demokracji, pani komisarz. A ponieważ ja wolałbym tak, myślę, że zrobi pani dobrze, przyjmując go.

Głos matki przyszedł z pomocą lekarzowi.

- Proszę cię, Maureen, rób to, co mówi ci profesor.

Usłyszała krok zbliżającej się osoby. Pielęgniarka włożyła jej do ręki plastikowy kieliszek z pastylką i szklaneczkę z wodą, po czym pomogła jej przy popijaniu.

Głos profesora zdawał się usatysfakcjonowany.

- Znakomicie. Pani Wilson, czy zechce pani zaciągnąć żaluzje i zapalić minimalnie tę małą lampkę na moim biurku?

Maureen usłyszała hałas stołka, który lekarz przestawiał, żeby usiąść naprzeciwko niej.

- Bardzo dobrze. A teraz zobaczymy, cośmy tam wykombinowali.

Nacisk pod podbródkiem podniósł jej twarz w górę i zaraz potem poczuła dwie wprawne dłonie odklejające delikatnie plastry.

Najpierw jeden...

panieproszęciępanieproszęciępanieproszęcię

... potem drugi.

panieproszęciępanieproszęciępanieproszęcię

Potem dotarło do Maureen uczucie uwolnienia i świeżego powietrza na lekko spoconych, zamkniętych powiekach. Czas w owym momencie jakby zastygł. Tak samo jej oddech. Wydawało się jej, że wszyscy mieszkańcy ziemi są za oknem, podglądając tę grę losu, która toczyła się w tym pokoju.

- Dobrze, teraz proszę powoli otworzyć oczy.

Maureen zrobiła to.

panieproszęciępanieproszęciępanieproszęcię!

I znów zobaczyła ciemność.

Poczuła, jak serce eksploduje jej w piersi potężnym uderzeniem, jakby chciało dać ostatni, piorunujący znak swojej obecności, zanim przestanie bić na zawsze.

Po czym z mroku wyłoniło się nagle światło i zobaczyła męską postać pochyloną nad nią z rękami podniesionymi do jej twarzy. Była to jedna chwila. Tak jak się pojawiła, ta cudowna jasność zaniknęła się, jak w sekwencji filmu puszczanego wstecz.

I znów ogarnęła ją ciemność smoły i duszy.

Maureen usłyszała głos wydobywający się z jej wysuszonych ust, niewspomagany żadnym oddechem. Również jej niema modlitwa pochłonięta została przez noc.

- Nie widzę.

Głos profesora Roscoe dotarł do niej niczym światło, niosąc przesłanie spokoju i nadziei.

- Proszę chwilę poczekać. To normalne. Musi pani dać swoim oczom czas, żeby przywykły do światła.

Maureen na powrót zamknęła powieki, podrażnione lekkim pieczeniem, jakby do oczu dostał się drobny piasek.

Kiedy je otworzyła, ujrzała najpiękniejszą jutrzenkę świata. Zobaczyła różowawe i delikatne światło wylaniające się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki w gabinecie lekarskim i mężczyznę z tą samą, co poprzednio twarzą, pochylonego nad nią w białym fartuchu, a także kolorowe plamy obrazów na jasnych ścianach i mały, błogosławiony abażur, zapalony niczym latarnia morska na biurku, i pielęgniarkę o rudych włosach stojącą w głębi pokoju, i swoją matkę w granatowym kostiumie, i ojca z wypisaną na twarzy nadzieją, w tym samym, co zwykle krawacie na szyi, i wreszcie, po tym wszystkim, co się wydarzyło, mogła sobie pozwolić na niepohamowany luksus kilku jakże cennych łez radości.

Mężczyzna w białym fartuchu uśmiechnął się do niej, przemówił i w końcu, poza głosem, profesor Roscoe miał również twarz.

- Jak się pani teraz czuje, Maureen?

Chwilę milczała, zanim zrozumiała, że to dudnienie, które słyszała w uszach, pochodziło z jakiegoś miejsca wewnątrz jej klatki piersiowej.

Ale sama też się uśmiechnęła.

- Profesorze, czy ktoś już panu mówił, że jest pan przepięknym mężczyzną?

William Roscoe wstał i cofnął się o krok. Grymas na opalonej twarzy zabarwił ją ironią.

- Nie raz, Maureen, nie raz. Ale po raz pierwszy kobieta robi to po kuracji, którą u mnie przeszła. Zazwyczaj, ledwie mnie dobrze zobaczą, więcej tego nie mówią. Proszę wybaczyć poufałość, ale w obliczu pewnych osiągniętych rezultatów miewam jeszcze skłonność do niejakiego entuzjazmu.

Mary Ann Levallier i Carlo Martini milczeli z wyrazem twarzy kogoś, kto widzi, ale nie rozumie, co się dzieje. Kiedy przyswoili sens dialogu między Maureen a

lekarzem, rzucili się ku córce, żeby wziąć ją w ramiona, nie zdając sobie sprawy, że sami też się obejmują.

Maureen pozwoliła, żeby ich wzruszenie stało się także jej udziałem. Mała, dziecinna historia tym razem się urzeczywistniła. Pocałowała ropuchę, która zamieniła się w księcia, i ona mogła w końcu go zobaczyć.

- Dobrze, drodzy państwo, czy po tym zrozumiałym uniesieniu mogę kontynuować moją pracę?

Roscoe utorował sobie drogę między splecionymi ramionami i wyciągnął rękę do Maureen.

- Proszę pozwolić, żebym trochę lepiej się temu przyjrzał. Niech pani powoli wstanie. Może pani poczuć lekki zawrót głowy po całym tym okresie braku widzenia.

Pomógł jej dojść do aparatury stojącej w głębi gabinetu. Poprosił, by usiadła na stołku i oparła brodę na podpórce.

- Proszę spokojnie. Robi to pewne wrażenie, ale nie jest bolesne.

Roscoe usiadł naprzeciw niej i rozpoczął dokładne badanie, na które składały się krótkie błysnięcia niebieskiego światła i przyrządy muskające jej oczy, pozostawiające lekkie swędzenie i wywołujące naturalne łzawienie.

- Bardzo, bardzo dobrze.

Roscoe wstał i pomógł jej opuścić to stanowisko przypominające nieco scenografię filmów science fiction.

- Jak już pani powiedziałem, będzie pani musiała przez jakiś czas nosić ciemne okulary. Dolegliwości, jakie pani odczuwa, stopniowo zaczną ustępować. Pani Wilson da pani antybiotyk w płynie i krople do oczu, które będzie pani stosowała zgodnie z tym, co napisałem na recepcie. Żadnego komputera i mało telewizji. Proszę się nie przemęczać, jak najwięcej spać i przyjść do mnie na badanie kontrolne za tydzień. W zależności od czasu gojenia ustalimy, kiedy wszczepić drugą porcję komórek.

Rozłożył ręce w geście, jaki wykonują cyrkowcy po podwójnym salto mortale.

- Proszę państwa, skończyłem. Jeśli o mnie chodzi, możecie odejść.

Kiedy odbywał się rytuał pożegnań i podziękowań, Maureen poświęciła chwilę czasu, żeby utrwalić definitywnie w pamięci postać profesora Williama F. Roscoe. Był gdzieś o dziesięć centymetrów od niej wyższy, a twarz miał może nie piękną, ale fascynującą, o lekko szpakowatych skroniach i zdrowym kolorycie kogoś, kto spędza dużo czasu na świeżym powietrzu. Nie zdziwiłaby się, widząc jego szczupłą sylwetkę

przy sterze żaglówki. A poza tym obdarzony był zaraźliwym uśmiechem i naturalną zdolnością komunikowania.

Wyszli z gabinetu. Trasa powrotna była dla Maureen fantastycznym widowiskiem. Jasnozielone płytki ceramiczne Holy Faith Hospital wydały jej się mozaikami Piazza Armerina, a słońce, które powitało ją na zewnątrz, świeciło jak na Malediwach, kierowca limuzyny zaś, który towarzyszył im do szpitala - był tylko pogodnym panem w średnim wieku ze śpiewnym, rosyjskim akcentem.

Uściskała ojca, który mógł teraz wrócić do Rzymu w zupełnie innym stanie ducha niż podczas podróży do Nowego Jorku. Droga na Park Avenue była dla Maureen odwetem wzroku. Mary Ann Levallier milczała, podczas gdy jej córka chłoneła kolory i obrazy, a także przepuszczała każdy zewnętrzny bodziec przez ten tak długo udręczony zmysł. Maureen zdawało się, że widzi dźwięki ruchu ulicznego i zapachy miasta, kiedy przejeżdżali przez Bowery, elektroniczny zegar obok Virgin Store przy Union Square wydawał się jej dziełem sztuki, a nie zwykłym pomnikiem mijającego czasu, a Grand Central Station była magicznym miejscem z pociągami odjeżdżającymi w nieznanym kierunku.

Kiedy weszły do mieszkania, zostały przyjęte przez radość i wzruszenie Estrelli, która towarzyszyła jej bojaźliwie aż do sypialni, jakby jeszcze cały czas potrzebowała przewodnika. Maureen chciała zostać sama. Poprosiła Estrellę, żeby przed wyjściem zaciągnęła story.

Mimo że nie podzielała gustu matki, jeśli chodzi o urządzenie wnętrza, to pokój ten wydał się jej w półmroku fantastyczny. Zwolnienie napięcia spowodowało, że poczuła się nagle wyczerpana. Usiadła na łóżku i zaczęła zdejmować buty. Wyciągnęła się i postanowiła pozwolić sobie na małe, krótkie wykroczenie, po okresie radiowych głosów bez oblicza.

Wzięła pilota, włączyła telewizor i ustawiła na Eyewitness Channel.

- Trwa dochodzenie w sprawie tajemniczego zabójstwa Chandelle Stuart, jedynej spadkobierczynie fortuny magnatów stali, którą przed dwoma dniami znaleziono martwą w jej apartamencie w Stuart Building przy Central Park West...

Na rozjaśniającym się ekranie pojawił się obraz dziewczyny o ciemnych włosach i pociągłej twarzy. Usta zarysowane były w sposób nadający jej obliczu lubieżny wygląd.

- Mimo maksymalnej dyskrecji zachowywanej przez władze na temat sprawy, wiarygodne źródła łączą tę zbrodnię z zabójstwem Jerry'ego Kho, malarza i syna



burmistrza, którego zwłoki znaleziono w jego pracowni trzy tygodnie temu. Prawdopodobnie konferencja prasowa będzie...

Słowa spikera zgubiły się w otchłani, z której Maureen dopiero, co się wydobyła. Na ekranie pojawiła się twarz mężczyzny i oblicze to wymazało nagle wszystkie dobre wrażenia, które te ostatnie chwile jej podarowały.

Maureen знаła tę twarz.

Widziała ją właśnie tego ranka, podczas tego incydentu, który wzięła za halucynację.

Był to mężczyzna, który sprawił, iż miała nienaturalne wrażenie, że posiada penisa, i narzucił jej okrutne spojrzenie z lustra wychodzącego na świat pozbawiony nieba, o obliczu czerwonego demona, jakby pokryty był krwią z tysiąca ran.

Taksówka zatrzymała się w głębi Carl Schurtz Park, na wysokości Gracie Mansion. Po zapłaceniu za kurs kierowcy w turbanie, który, jak się zdaje, uczynił z czosnku swoje jedyne pożywienie, Maureen wysiadła z ulgą z pojazdu i ruszyła asfaltowaną alejką wspinającą się lekko pod górę, prowadzącą do oficjalnej rezydencji burmistrza Nowego Jorku. Z prawej strony dochodziły krzyki dzieci, bawiących się na placu zabaw w małym parku. Trochę niżej był placyk z figurą Piotrusia Pana, gdzie setki razy kręcono różne filmy. Pomyślała, że w gruncie rzeczy Nowy Jork był jednym wielkim planem filmowym, pełnym miejsc, które każdy widział tyle razy, że stracił ochotę, by je naprawdę poznać.

Zastanawiając się nad tym, Maureen przystanęła i usiadła na ławce z uczuciem wyobcowania, jakby ktoś prowadził ją wbrew jej woli do miejsca, które przydzielono jej w tej historii wariatów. Widziana z zewnątrz, zdawała się tylko piękną dziewczyną w parku poszukującą krótkiej chwili wytchnienia, zanim ruszy ku kolejnym wyzwaniom dnia.

I dokładnie kimś takim Maureen chciałaby być w owej chwili. Normalną osobą wiodącą normalne życie, bez wspomnień, a przede wszystkim bez cudzych wspomnień. Odkrycie, jakiego dokonała poprzedniego dnia, początkowo wstrząsnęło nią. Obrazy, które dotarły do niej jak wiadomości z innego, nieznanego świata, a następnie świadomość, że być może pochodziły z miejsca, gdzie popełniono zbrodnię, przeraziły ją.

I znów to ona była ofiarą.

Znów i jeszcze raz.

Najpierw poprzez własne oczy, a teraz poprzez oczy kogoś innego, które w jakiś bezsensowny sposób i z niezrozumiałego dla niej powodu były teraz jej oczami.

Maureen zdjęła okulary i położyła je obok siebie na ławce, żeby móc bez przeszkód wylać kilka łez w bezpiecznej kryjówce twarzy ukrytej w dłoniach. Kiedy zobaczyła w telewizji obraz tamtego zamordowanego chłopaka i odkryła, kim był i co

mu się przytrafiło, skamieniała, a powrót do rzeczywistości zajął jej kilka dobrych minut. Potem w sukurs przyszedł jej rozsądek i uczepiła się go jak liny ratunkowej przeciągniętej nad przepaścią.

Wzięła telefon i zadzwoniła do profesora Roscoe do Holy Faith Hospital. Kiedy usłyszała jego głos w słuchawce, zyskała poczucie pewności, jakie w rozpaczliwej sytuacji niesie ze sobą dodająca otuchy obecność przyjaciela.

- Witam, Maureen. Czy coś nie tak? Dobrze się pani czuje?

W głosie lekarza wyczuwało się niepokój, dlatego Maureen uznała za słuszne uspokoić go.

- Nie, wszystko w porządku. Żadnego problemu fizycznego, jeśli o to panu chodzi. Chciałam tylko o coś pana zapytać, jeśli można.

- Słucham.

- Czy zna pan tożsamość dawcy? Wie pan, do kogo należały rogowki, które mi pan przeszczepił?

Po drugiej stronie nastąpiła chwila zastanowienia, której powodu Maureen nie potrafiła zinterpretować. Może Roscoe powie jej to, czego nie wie, a może wiedział to, czego jej nie powie.

- Zazwyczaj dostajemy zawiadomienie, że są narządy do wykorzystania, oraz typologię genetyczną dawcy, ale jego tożsamość jest absolutnie nieznana. Organy pobiera się w innym miejscu i z powodów, które łatwo może pani zrozumieć, zagwarantowana jest całkowita dyskrecja.

Maureen poczuła się zagubiona. Prawdopodobnie, jako lekarz spotkał się już z tego typu pytaniami. Z jednej strony były to osoby, które chciały poznać tożsamość dawcy, a z drugiej krewni dawcy, pragnący dowiedzieć się, kto po śmierci syna, męża czy brata dostał jego organ, żeby pozostawić sobie złudzenie, że przynajmniej część drogiej osoby wciąż żyje.

- Maureen, wiem, co pani czuje. To zrozumiałe u każdego, a w pani przypadku jeszcze bardziej, bo przeszła pani przez straszliwe doświadczenie. To nie jest właściwa postawa. Proszę spróbować myśleć tylko o sobie. Wspomnienia są czasem dzikimi bestiami. Czas pani pomoże je obłaskawić.

Maureen znów poczuła pokusę, żeby porozmawiać z nim o tym, co właśnie przeżyła. Pragnęła wyzwolenia, które tego rodzaju wyznanie mogłoby jej przynieść, ale żywiła też podejrzenie, że zamiast tego może wpaść z jednej pułapki w drugą,

otoczona osobami, które uznają ją za obłąkaną i będą miały w ręku klucze do tych pułapek.

Nie, była to sprawa, którą chwilowo musiała sama pokierować.

- Być może jest tak, jak pan mówi.

- Na pewno jest tak, jak mówię. Nie wynika to z zarozumiałości, ale z doświadczenia. Proszę się rozluźnić i zaakceptować to, co życie trzyma dla pani w zanadrzu. A jeśli się to pani nie spodoba, na pewno znajdzie pani w sobie siłę, żeby to zmienić.

Pożegnała doktora Williama Roscoe, osobę, która nieświadomie wybawiła ją z jednego koszmaru i wepchnęła w inny. Odłożyła słuchawkę. Rozejrzała się po pokoju, zastanawiając się, czyimi oczami na niego patrzy. Z innych tym razem powodów znajdowała się na powrót w takim samym stanie ducha, jak poprzedniego dnia, kiedy miała się dowiedzieć, czy odzyskała wzrok, czy też nie.

Z jedną tylko różnicą.

Tym razem udało jej się zobaczyć przez szyby migoczącą wędrówkę nocy w stronę świtu, bez żadnych snów, bo nie zasnęła nawet na chwilę. Przez cały czas błądziła wśród swoich myśli, niczym w nieprzebytym lesie, i za każdym razem, kiedy łudziła się, że znalazła drogę wyjścia, stawała w obliczu rozczarowania i drwiny punktu wyjścia.

W końcu ta cała irracjonalność kazała jej się uchwycić jedynej rzeczy, która pozostawała racjonalna. Była policjantką i mogła przyczynić się do rozwiązania zagadki morderstwa. W jaki sposób, tego jeszcze nie wiedziała. Ani też nie wiedziała, do kogo się z tym zwrócić.

Obawa przed reakcją ludzi, z którymi przyjdzie jej się zmierzyć, wciąż istniała, ale było ryzyko, które musiała podjąć. Była to jedyna droga, jaka jej pozostała. A przynajmniej jedyna, którą była zdolna przemierzyć, żeby naprawdę nie oszaleć. I z tego właśnie powodu siedziała w owej chwili na pomalowanej na zielono ławce w parku naprzeciw Gracie Mansion. Wiedziała, że burmistrz Marsalis dobrze zna jej matkę, i miała nadzieję, że ten fakt, poza wszelkimi informacjami dotyczącymi jej służby we Włoszech, złagodzi, choć trochę grozę tego, co zamierzała mu przedstawić.

Ale teraz, kiedy zbliżała się ta chwila, nie znajdowała odwagi, żeby wstać i wejść do tego budynku, i powiedzieć to, co miała do powiedzenia.

Zastanawiała się, czy winowajca przed oddaniem się w ręce władz czuje się w taki sam sposób. Założyła z powrotem okulary, żeby mieć przynajmniej tę pozorną osłonę,

którą w istocie były. Wstała i ruszyła w stronę bramy, a także pustki, która się przed nią rozciągała.

- Czy to możliwe, że nie można znaleźć nawet strzępu śladu w tak gównianej sprawie?

Christopher Marsalis podniósł się zza biurka w swoim gabinecie i stał, jakby nie wiedział, co zrobić z tym nagłym wybuchem nerwów. Miał podwinięte rękawy odsłaniające silne przedramiona i rozpięty kołnierzyk koszuli. Krawat był barwną plamą na ciemnej marynarce rzuconej niedbale na oparcie krzesła.

Przesunął dłonią po siwych włosach i przebiegł wzrokiem po dwóch mężczyznach, którzy patrzyli na niego w milczeniu, siedząc naprzeciwko. On też opadł z powrotem na fotel, wyraźnie przygnębiony.

- Wybaczcie. Trochę puściły mi nerwy.

Jordan nic nie powiedział. Nigdy nie słyszał, żeby jego brat za cokolwiek przeproszał. Było, więc znaczące, że uczynił to w takim właśnie momencie.

Detektyw James Burroni poczuł się natomiast wyrwany do tablicy.

- Panie burmistrzu, zapewniam pana, że podjęliśmy wszelkie możliwe kroki. Odkąd Jordan miał przecucie, że Chandelle Stuart skończyła ten sam college, co jego bratanek, poczyniliśmy mały krok naprzód. Kilku ludzi z wydziału zabójstw przesłuchuje dyskretnie wykładowców, którzy należeli do grona nauczycieli w Vassar College w interesującym nas okresie. Prowadzimy również dochodzenie w United Feature Syndicate, wydawnictwie publikującym *Peanutsów*. Tą samą ścieżką dotarliśmy też do spadkobierców Charlesa Schulza, żeby sprawdzić, czy wśród jego szkiców i notatek nie znajdzie się coś, co mogłoby być dla nas przydatne.

Christopher odsunął krzesło od biurka, żeby wygodniej usiąść. Miał podkrążone oczy. Patrząc na niego, Jordan zdał sobie sprawę, że prawdopodobnie niewiele spał, odkąd zaczęła się ta cała historia.

- Detektywie, jestem przekonany, że robicie wszystko, co w waszej mocy. Do szału doprowadza mnie natomiast myśl, że my tu kręcimy młynki palcami, a w tym samym czasie jakiś przekłety seryjny morderca planuje kolejną zbrodnię.

W końcu, podnosząc się z krzesła, odezwał się Jordan:

- Ta teoria jest wiarygodna, ale nie przekonuje mnie do końca. Ten rodzaj psychopatów uwielbia zazwyczaj reklamę, chce, żeby wokół ich czynów było dużo szumu, oczekuje od mediów odpowiedniego zainteresowania. W naszym przypadku nie było najmniejszej próby złamania tajemnicy, jakiej udało nam się dochować w związku z okolicznościami zbrodni.

- Być może jest tak, jak mówisz, ale nie potrafię znaleźć lepszego określenia dla kogoś, kto krąży po mieście i morduje ludzi, czerpiąc natchnienie z komiksów, które powstały po to, żeby bawić.

- Według mnie klucz do wszystkiego leży właśnie w nich. Tylko, że nie potrafię tego rozgryźć.

Używając czasownika w liczbie pojedynczej, przyjął praktycznie na siebie odpowiedzialność za ten moment zastoju i Burroni był mu za to wdzięczny. Odkąd wszedł do tego pokoju, nie mógł pozbyć się uczucia lekkiego skrepowania. Nie zdarzało się, co dzień, żeby zwykły policjant dopuszczony został do sanktuarium samego burmistrza, i ten fakt, obok braku widocznych rezultatów śledztwa, składał się w głównej mierze na jego stan ducha.

Jordan zaczął przechadzać się po pokoju, snując swe głośne rozważania, do których Burroni już się przyzwyczył i je szanował. Detektyw przysłuchiwał się w milczeniu chłodnej analizie faktów, bezosobowej, jakby jedną z ofiar nie był bratanek Jordana, a teraz nie przebywał w obecności jego ojca. Burroni wysoko ocenił tę zdolność do koncentracji.

- Zastanówmy się. Mamy człowieka, który popełnia zbrodnie, wzorując się na postaciach z komiksów. Pierwsza ofiara to ważna osoba: sławny malarz, a przy okazji także syn burmistrza Nowego Jorku. Z jakiegoś nieznanego powodu mógłby to być również akt zemsty wobec niego, co jednak okoliczności zbrodni w pewien sposób wykluczają. Potem mamy drugą ofiarę, tym razem kobietę, która także należy do rodziny bardzo eksponowanej w mieście. Nowa zbrodnia ma to samo odniesienie, co poprzednia. Jest nią gazetowy komiks, popularny na całym świecie, który był publikowany w wydaniach codziennych i niedzielnych przynajmniej stu pięćdziesięciu dzienników: *Peanuts*.

Jordan zrobił pauzę, jakby szedł za przeblyskiem jakiejś myśli, która na chwilę się pojawiła i natychmiast znikła.

- Za każdym razem morderca pozostawia wskazówkę dotyczącą osoby, która zostanie zaatakowana w następnej kolejności, jednak wskazówka jest zawsze inna i zdaje się nie zawierać w sobie żadnego godnego podkreślenia elementu. Pierwsze zabójstwo związane jest z postacią Linusa, neurotycznego mózgowca, ze swoim nieodłącznym kocykiem przyklejonym do ucha w momentach paniki. I właśnie w taki sposób jest ułożone ciało. W pobliżu miejsca zbrodni stwierdzono obecność mężczyzny, noszącego sportowy dres i utykającego lekko na prawą nogę. Przy drugim morderstwie chodzi o Lucy, siostrę Linusa, która kocha się w Schroederze, geniuszu muzycznym. Również w jej przypadku dzieje się to samo, jeżeli chodzi o ułożenie ciała. I znów na miejscu zbrodni potwierdzona zostaje obecność tego samego człowieka. Wychodzi na jaw, że obydwie ofiary studiowały w tym samym college'u i że prawdopodobnie znały swojego zabójcę. Trzeba się zastanowić, czy również trzecia ofiara, którą zasygnalizowano nam, jako Snoopy'ego, uczyła się w Vassar i czy zna mężczyznę noszącego dres do joggingu i kulejącego lekko na prawą nogę, na którego temat, nie zapominajmy, mamy jeszcze jedną, bardzo ważną wskazówkę. Z winy jego nieuwagi i za sprawą przypadku, mamy próbkę DNA.

Jordan popatrzył na Burroniego i Christophera, jakby dopiero w tej chwili dostrzegł ich obecność w pokoju.

- Ale przede wszystkim musimy pamiętać, że teraz mamy jeszcze jedną, maleńką przewagę nad mordercą. Nikłą, ale mamy.

Christopher zapytał z nadzieją.

- Jaką?

- Mam imię. Pig Pen. To jeszcze jedna postać z *Peanutsów*, mniej popularna od pozostałych trzech. A osoba, na którą polujemy, nie wie, że znamy to imię. Powtarzam, to tylko świeczka, ale wobec wcześniejszej ciemności to już jakieś światło.

Na chwilę zapadła cisza, pauza, w czasie, której każdy miał czas przyswoić sobie i rozpracować to, co Jordan dopiero, co powiedział.

Pierwszy otrząsnął się Burroni i wstał z krzesła, jakby zelektryzowany tym spostrzeżeniem.

- Panie burmistrzu, jeśli pan pozwoli, chciałbym wpaść do centrali, żeby sprawdzić raporty moich ludzi z college'u i zobaczyć, czy są jakieś nowości, biorąc pod uwagę to, cośmy sobie tu powiedzieli.

Christopher podał mu rękę.



- Dziękuję panu, detektywie. Wiem, że wykonujecie dobrą robotę, i będę o tym pamiętał we właściwym czasie.

Kiedy Burroni ścisnął rękę burmistrza, Jordan odwrócił głowę w stronę okna, żeby ukryć swoją instynktowną reakcję na te słowa. Nikt lepiej niż on nie mógł wiedzieć, jak krótka jest pamięć jego brata. Jednak tym razem na korzyść Burroniego działał ważny szczegół. Był przy nim on, który mógł przypomnieć burmistrzowi o jego obietnicach.

- Cześć, Jordan. Do zobaczenia.

- Tak. Informuj mnie na bieżąco.

Detektyw wyszedł z pokoju i zamknął za sobą delikatnie drzwi. Jordan i Christopher zostali sami. Nie mieli nawet czasu na wymianę choćby jednego zdania, kiedy drzwi znów się otworzyły i w progu pojawił się Ruben Dawson, nieskazitelnym totumfacki i doradca burmistrza.

- Co jest, Ruben?

Jordan był zdziwiony, widząc ślad niezdecydowania w zachowaniu Dawsona. Doszedł aż do biurka, zanim odpowiedział na pytanie.

- Pojawił się nowy fakt. I dziwny, jeśli mogę tak powiedzieć. Przed chwilą zadzwonił do mnie strażnik. Mówi, że przy wejściu jest kobieta, która chce z panem mówić. Przedstawiła się, jako komisarz policji włoskiej.

- I czego chce?

Słowa Rubena Dawsona spadły jak grad na twarde bruk.

- Powiedziała, że być może ma informacje na temat zabójstwa pańskiego syna.

## 29

Maureen czekała, stojąc przed pomalowaną na kremowo bramą.

Przez pręty widać było zaparkowane na małym dziedzińcu ciemne limuzyny, a obok samochodów jaskrawoczerwoną plamę motocykla stojącego na bocznej nóżce. Wydało jej się, że rozpoznaje pojazd włoskiej produkcji.

Scena, którą ułożyła sobie w głowie, dokładnie się sprawdziła. Kiedy zbliżyła się do bramy, będący na służbie policjant, typ o kwadratowym podbródku i chodzie szeryfa z westernu *W samo południe*, wyszedł z budki i ruszył w jej kierunku.

- Dzień dobry, pani. W czym mogę pomóc?

- Dzień dobry. Nazywam się Maureen Martini i jestem komisarzem policji włoskiej. Mam również obywatelstwo amerykańskie. Muszę pilnie porozmawiać z burmistrzem.

Pokazała funkcjonariuszowi swoją odznakę i paszport. Z czystej uprzejmości policjant wziął do ręki dokumenty, ale nie zrobił najmniejszego gestu, żeby otworzyć bramę.

- Obawiam się, że to zły moment na rozmowę z burmistrzem.

Maureen spodziewała się takiej reakcji. Mimo że było to wciąż dokuczliwe, zdjęła na chwilę okulary słoneczne i spojrzała policjantowi prosto w oczy.

- O tym niech on sam zdecyduje. Proszę mu tylko powiedzieć, że mam informacje dotyczące zabójstwa jego syna.

Ton i znaczenie jej słów rozpuściły niczym strumień gorącej wody mroźny dotąd wyraz twarzy jej rozmówcy.

- Proszę tu chwilę zaczekać.

Funkcjonariusz w granatowym mundurze wrócił na swoje stanowisko i Maureen zobaczyła przez szybę, jak bierze telefon i jednocześnie sprawdza jej odznakę i paszport. Zamienił kilka zdań z kimś po drugiej stronie linii.

Teraz, kiedy słuchał odpowiedzi, Maureen zobaczyła, że kiwa głową.

Chwilę potem policjant wrócił i podał jej dokumenty.

- Proszę wejść. Ktoś po panią przyjdzie.

Maureen minęła bramę i przeszła przez mały dziedziniec. Skierowała się do drzwi wejściowych, które wychodziły na galerię biegnącą wzdłuż całej głównej fasady. Kiedy wchodziła po schodkach, drzwi otworzyły się i w progu stanął majordomus o bardzo anglosaskim wyglądzie.

Głos, którym mężczyzna zaprosił ją do wejścia, zabrzmiał tak, jak tego się spodziewała.

- Proszę, burmistrz oczekuje pani. Poprowadzę panią.

Maureen była tak spięta, że nie zwróciła najmniejszej uwagi na otoczenie. Prawie nie zauważyła, jak mijają, rzucając jej zaciekawione spojrzenie, mężczyzna w zamszowej kurtce i w czarnym okrągłym kapeluszu. Jej wzrok był wbity w biały pyłek na czarnej marynarce majordomusa, który odcinał się jak światło na Times Square. W końcu korytarza mężczyzna zatrzymał się przed jakimiś drzwiami. Zapukał lekko i nie czekając na żaden sygnał ze środka, pchnął drzwi i ustawił się z boku.

- Proszę wejść.

Maureen zrobiła kilka kroków i znalazła się w pomieszczeniu wyglądającym na mały gabinet. Drzwi za jej plecami zamknęły się bezszelestnie.

W pokoju były dwie osoby.

Między nią a oknem stał wysoki mężczyzna o szpakowatych włosach. Miał nieprawdopodobnie błękitne oczy i, co uderzające, twarz i postawę człowieka, jakiego pragnęłoby się mieć u boku w chwili niebezpieczeństwa. Drugi, sporo starszy, siedział przy biurku i miał pewną siebie postawę, jaką niesie ze sobą przyzwyczajenie do władzy, a na twarzy oznaki wyczerpania, jakie władza po sobie zostawia. Miał oczy tak samo błękitne jak ten pierwszy, ale były jakby zgaszone, a jego przyciężkie ciało mówiło o zbyt wielu oficjalnych kolacjach i braku ruchu.

Po jej wejściu do gabinetu wstał, jak to wypada uczynić w obecności kobiety, ale w spojrzeniu, którym ją obrzucił, była obawa, ciekawość i nieufność.

Zaskoczył ją, podając jej suchą dłoń.

- Dzień dobry pani. Jestem Christopher Marsalis. A to mój brat Jordan.

Wyższy mężczyzna nie poruszył się i nic nie powiedział. Ograniczył się do prostego skinienia głową.

- Dzień dobry, panie burmistrzu. Proszę wybaczyć, że pojawiając się w ten sposób może niezbyt odpowiedni sposób. Jestem komisarzem policji włoskiej.

- Mówi pani doskonale po angielsku. I ma pani znajomy wygląd. Czy spotkaliśmy się już kiedyś?

Maureen uśmiechnęła się i powołała na pokrewieństwo, o którym by nigdy nie wspomniała, gdyby nie okoliczności, sprowadzające ją do Gracie Mansion.

- Sądzę, że zna pan moją matkę. Jest adwokatem od spraw karnych, tutaj w Nowym Jorku. Nazywa się Mary Ann Levallier. Wszyscy mówią, że jesteśmy bardzo do siebie podobne.

Ale mówią to tylko ci, którzy nas dobrze nie znają.

Na jej twarzy i w jej głosie nie było śladu tej myśli. Wolała uniknąć jakichkolwiek dodatkowych komentarzy i przedstawiła się, żeby powrócić do sprawy, z którą tu przysłała.

- Nazywam się Maureen Martini.

Zdawało się, że dopiero, kiedy wymieniła swoje nazwisko, przyciągnęła uwagę mężczyzny, który przedstawiony został, jako Jordan Marsalis. Zrobił krok ku niej i w oczach miał to samo dyskretne pytanie, które wyraził słowami.

- Zechce pani wybaczyć. Być może moje pytanie będzie dla pani bolesne. Czy to pani jest narzeczoną Connora Slave'a?

Maureen podziękowała mu w duszy, że mówił o Connorze, jakby ten wciąż żył, ponieważ dokładnie w ten sposób myślała o nim w tej chwili.

- Tak, to ja.

Na pewno również burmistrz znał jej historię, ale komentarz, jaki dodał, miał bardziej charakter oficjalnej przemowy niż prawdziwego współczucia. Maureen nie mogła wiedzieć, że w taki sam sposób określił śmierć własnego syna.

- To była wielka strata.

Zaraz potem wyczekująca cisza i czworo wpatrujących się w nią oczu.

Maureen zrozumiała, że przysłała pora na wyjaśnienia. Spróbowała opowiedzieć w niewielu słowach o fakcie, który być może odebrał jej na zawsze wszystkie inne słowa.

- Przejdę od razu do rzeczy. Widzę, że znacie okoliczności, w jakich znaleźliśmy się ja i Connor. W czasie tamtych wypadków doznałam obrażeń, po których konieczny się okazał przeszczep rogówek. Z powodu problemu związanego z serią niezgodności genetycznych procent możliwych dawców był niemal bliski zeru. Mimo to dawcę znaleziono.

Maureen wbiła oczy w oszołomione błękitne spojrzenie Christophera Marsalisa. W jakiś sposób wiedział, jak skończy się ta opowieść, a jednocześnie bał się finału.

- Mam poważne powody, żeby twierdzić, iż tym dawcą był Gerald Marsalis.

- To możliwe. Ja sam wyraziłem zgodę na pobranie narządów, kiedy dowiedziałem się, że był zapisany do stowarzyszenia dawców. Jeśli tak jest, cieszę się, że dzięki temu odzyskała pani wzrok. Ale jakie znaczenie może to mieć dla śledztwa w sprawie jego śmierci?

Maureen zdjęła okulary przeciwsłoneczne. Mocne światło wpadające przez okno było jak ostrze dla jej oczu, ale słowa miały być jeszcze bardziej dojmujące. Pomyślała, że dobrze będzie, jeśli ich wymowa wzmocniona zostanie stosownym wyrazem twarzy.

- Wiem, że to, co powiem, wyda się panu nieprawdopodobne. W istocie ja sama tak o tym myślę. To graniczy z szaleństwem, ale wciąż nawiedzają mnie wizje z życia pańskiego syna.

Zaraz potem Maureen usłyszała zapadającą w pokoju pełną litości ciszę. Burmistrz spojrział na brata, szukając w jego wzroku wsparcia. Po chwili odezwał się z zakłopotaniem, które starał się pokryć spokojnym i wyważonym tonem głosu, z trudem próbując cały czas patrzeć jej prosto w oczy.

- Proszę pani, sądzę, że nie należy lekceważyć tego, co pani przeżyła. Wiem, że czasami niełatwo zaakceptować pewne wydarzenia, nie ponosząc konsekwencji. Mówię to na podstawie własnych doświadczeń. Pani matka jest zdolnym prawnikiem i moją dobrą przyjaciółką. Otóż, myślę, że powinna mi pani pozwolić...

Maureen spodziewała się takiej reakcji. Weszła do tego pokoju z absolutnym przekonaniem, że kiedy powie, co się z nią dzieje, usłyszy taką właśnie odpowiedź. Nie mogła nie przyznać im racji. Sama w taki sam sposób przyjęłaby każdego, kto zjawiłby się u niej z podobną historią.

Mimo tych myśli podążała dalej wybraną wcześniej drogą.

- Panie burmistrzu, z całym szacunkiem, nie przyszedłbym tu, gdybym nie miała rozsądnych podstaw, aby mieć pewność, że to, co mówię, jest prawdą. Zdaję sobie sprawę, że słowo „rozsądny” może się wydawać w tym przypadku nie na miejscu. Jestem policjantem i wyszkolono mnie, żebym opierała się na realnych faktach, nie zaś na ezoterycznych czy pozazmysłowych domysłach. Proszę mi wierzyć, długo zastanawiałam się, zanim tu przyszedłam, ale teraz, kiedy już tu jestem, nie mogłabym zmienić mojej wersji nawet w obliczu konsylium psychiatrów.

Wstała, czując się naga i bezbronna w obliczu osądu tych dwóch mężczyzn. Zmuszona też była przyznać, że to ona sama dała im wszelkie powody do takiej

właśnie oceny. Włożyła z powrotem ciemne okulary i jednym tchem wyrzuciła z siebie to, co miała jeszcze do powiedzenia, nie zwracając się do żadnego z nich w szczególności.

- Przez jakiś czas będę mieszkać u mojej matki. Jeśli uważa pan, że zwariowałam, proszę do niej zadzwonić. Jeśli zechce mnie pan obdarzyć dobrodziejstwem wątpliwości, proszę zadzwonić do mnie. Panowie, przepraszam, że przeszkodziłam.

Odwróciła się i ruszyła ku drzwiom, zostawiając za sobą ciszę pełną zdumienia, zakłopotania i współczucia.

Kiedy miała już chwycić za klamkę, jej spojrzenie padło na fotografię w drewnianej ramce wiszącą na ścianie obok drzwi. Dwaj mężczyźni podawali sobie ręce i uśmiechali się do obiektywu. Jednego z nich znała znakomicie. Był to Ronald Reagan, prezydent Stanów Zjednoczonych. Zdała sobie sprawę, że drugim był Christopher Marsalis z wąsami i ciemnymi włosami, dużo młodszy i szczuplejszy niż teraz. Nie rozpoznała go natychmiast, bo w stosunku do fotografii był bardzo zmieniony, ale jego błękitne oczy były niepowtarzalne. Maureen poczuła nagle uderzenie gorąca, uprzytomniła sobie, bowiem, że już go kiedyś widziała, nie takiego, jak teraz, ale takiego jak na fotografii.

To ten sam mężczyzna, który we śnie wszedł do pokoju i podarł rysunek.

Zesztywniała i przemówiła, nie odwracając się, w obawie przed reakcją, jaka pojawi się na twarzy obu mężczyzn, którzy stali w osłupieniu za jej plecami.

- Dawno temu pański syn robił rysunek. Był to dziecinny szkic, ale bardzo precyzyjny, przedstawiał mężczyznę i kobietę, którzy kochali się oparci o stół. Kiedy pan wszedł do pokoju syna, on go panu pokazał. Pan się bardzo rozgniewał, podarł kartkę i za karę zamknął syna w schowku.

Dopiero teraz Maureen się odwróciła. Jak przy komputerowym efekcie graficznym zobaczyła, jak sceptyczny wyraz twarzy Christophera Marsalisa przechodzi nagle w zdumienie. Śledziła go wzrokiem, kiedy wstał i podszedł do okna. Po raz nie wiedzieć, który Maureen zdziwiła się, jak wiele różnych znaczeń może mieć milczenie, jak gdyby brak słów niósł w sobie więcej możliwości ekspresji od nich samych. Głos burmistrza Nowego Jorku dotarł z rogu pokoju, ale rwał się, jakby jego właściciel powrócił właśnie z dalekiej podróży w czasie i w pamięci.

- To prawda. Wydarzyło się to dawno temu. Gerald był dzieckiem. W tamtym czasie moja żona jeszcze żyła, choć zaczęły się już jej liczne pobyty w szpitalach. Ja

byłem wtedy dużo młodszy niż teraz, a z powodu jej choroby od ponad roku nie miałem z nią stosunków. Pracowała wtedy u nas bardzo ładna pokojówka i ja...

Zrobił pauzę, której Maureen się spodziewała. Chwila wahania jak przed wyzwoleniem poprzez spowiedź.

- To się stało w kuchni, spontanicznie, i nigdy więcej się nie powtórzyło. Gerald musiał nas zobaczyć, a myśmy się nie zorientowali. Kiedy pokazał mi rysunek, był bardzo z siebie dumny, ale nic nie zrozumiał z tego, cośmy tam robili. Cieszył się tylko ze swego małego dzieła. Ja przestraszyłem się, że mógłby komuś pokazać ten rysunek, więc go podarłem. Potem kazałem mu przysiąc, że z nikim nie będzie o tym rozmawiał, a żeby uzmysłwić mu, jak źle postąpił, zamknąłem go w schowku. Był tylko dzieckiem, ale mam wrażenie, że nigdy mi tego nie wybaczył.

Maureen znów zobaczyła jego czerwoną od gniewu twarz. Wyobraziła sobie chłopca zanurzonego w ciemności komórki, w mroku przemieniającym w potwory fantazji wszystko, co jego oczy potrafiły dojrzeć.

Jordan Marsalis pospieszył bratu z pomocą, żeby ten mógł przezwyciężyć ową chwilę słabości.

- Panno Martini, jak pani wcześniej powiedziała, jest pani policjantką. Ja też pracowałem w policji, więc oboje wiemy, o czym rozmawiamy. Przyzna pani, że w zaistniałej sytuacji są nienormalne elementy, które trudno sklasyfikować. Żeby wyrazić się jaśniej, jeśli coś w tym rodzaju przedstawilibyśmy w sądzie, każdy z nas musiałby obowiązkowo zostać poddany badaniom psychiatrycznym. Niemniej jednak zmuszony jestem wziąć pod uwagę to, co pani powiedziała. Czy jest jeszcze coś, co pani...

Maureen zdała sobie sprawę, że Jordan usiłuje znaleźć jakieś możliwe określenie na zjawisko, które ona sama mogła z trudem wyrazić słowami.

- Pyta pan, czy jeszcze coś „widziałam”?

- Właśnie.

Słowo to zdawało się z trudem przejść Jordanowi przez gardło.

Maureen z takim samym poczuciem wyzwolenia, jakie chwilę wcześniej odczuł burmistrz, wydobyła się z samotności, w której uwięziło ją przeżyte doświadczenie, i opisała obrazy, jakie wciąż jeszcze miała wryte w mózgu. Kobieta pod nią, twarz pomalowana na niebiesko, pomalowana na czerwono twarz Geralda, odbijająca się w lustrze, spowita cieniem schodów groźna postać mężczyzny z pistoletem w rękę, którego oblicza nie zdołała dostrzec.

Była tak zaangażowana w opowiadanie, że nie mogła zobaczyć wrażeń, jakie jej słowa wywierały na mężczyznach, z którymi dzieliła się swoją udręką. Koniec opowieści pozostawił w pokoju ciszę tak głęboką, że zdawało się, iż znaleźli się w próżni. Maureen nie zdziwiłaby się, gdyby nagle przedmioty poruszyły się i zaczęły unosić w powietrzu.

Pierwszy odezwał się burmistrz, jego głos zabrzmiał tak wysoko, że mógłby rozbić kryształ.

- To szaleństwo.

Maureen zrozumiała, że ten komentarz nie dotyczył jej osoby. Wskazywał tylko na absurdalność sytuacji, która zmuszała go do pozbycia się wszelkiego niedowierzania. Nie było żadnego wyjaśnienia, ale nawet gdyby było, nie zmieniłoby to tego nieprawdopodobnego świadectwa, jakie przed chwilą usłyszeli.

Jordan wydawał się najmniej wstrząśnięty. Usiadł naprzeciwko Maureen i spokojnie oparł się na krześle.

- Myślę, że w tej sytuacji należy przyjąć jakąś metodę działania. Mamy dwie ofiary. Okoliczności ich śmierci każą nam myśleć, że zabójstwa są ze sobą w jakiś sposób powiązane. Nie potrafimy jednak określić tego łącznika. Jedynym elementem wspólnym dla Geralda Marsalisa i Chandelle Stuart, jaki udało nam się do tej pory ustalić, jest fakt, że obydwójce studiowali w Vassar College w Poughkeepsie.

Wziął kilka kolorowych fotografii, które leżały na stole obok niego i pchnął je w kierunku Maureen.

- W tym oto college'u.

Maureen wyciągnęła rękę po zdjęcia. Wzięła jedno do ręki i...

... idę alejką przecinającą duży zielony trawnik i mijam młodych ludzi, którzy patrzą na mnie, ale nie pozdrawiają, ja też ich nie pozdrawiam, przede mną jest duża, surowa, przeszklona budowla, podnoszę rękę, żeby sprawdzić godzinę na zegarku, i nagle przyspieszam kroku, zaczynam biec w stronę wejścia i...

... jestem w jakimś pokoju, a moje pole widzenia jest ograniczone, jak gdyby obrazy docierały przez otwory, oprócz mnie w pokoju są jeszcze dwie inne osoby, mężczyzna i kobieta, są ubrani na ciemno, a na twarzach mają plastikowe maski przedstawiające dwie postaci z *Peanutsów*. Jedna to Lucy, a druga Snoopy. Serce mi wali i odwracam głowę w stronę, w którą skierowany jest wzrok tej dwójki...



...i są tam plecy odwróconego tyłem mężczyzny, pochylającego się nad stołem, na którym dostrzec można leżące ciało, chyba ciało dziecka, i nagle mężczyzna podnosi ramiona w górę. W prawej dłoni ściska nóż cały we krwi, która spływa mu po rękach, plamiąc rękawy marynarki, i choć tego nie słyszę, wiem, że stojący tyłem mężczyzna z głową podniesioną do góry krzyczy, a ja...

...znów jestem z mężczyzną i kobietą w maskach Snoopy'ego i Lucy, ale teraz jesteśmy gdzie indziej i mężczyzna opiera się o ścianę, zdejmuje maskę, pod którą jest młoda i śniada twarz chłopca cała zalana łzami, i zaraz potem chowa twarz w dłoniach i osuwa się, aż siada na podłodze oparty o ścianę, a ona...

Maureen została wessana w miejsce, w którym znajdowała się wcześniej, i odnalazła się, klęcząc na ziemi. Zobaczyła przed sobą sęk w drewnianej podłodze, a obok sportowe męskie buty. Zrozumiała, że podtrzymujące ją silne ramiona należą do Jordana Marsalisa.

Również głos był jego, ale wydawał się oddalony kilometry od miejsca, w którym stały buty.

- Proszę pani, co się dzieje?

Maureen usłyszała drugi głos dobiegający z równie daleka. W jakiś sposób zdołała sobie uświadomić, że należy do niej.

- Morderstwo. Popołniono morderstwo.

- O czym pani mówi? Jakie morderstwo?

Nie usłyszała już tego ostatniego pytania. Jej ciało stało się ciężkie i zemdlała, korzystając z tej pauzy jak z szalupy ratunkowej rzuconej przez litościwą rękę, żeby zyskać trochę na czasie, zanim dotrze do niej mroząca krew w żyłach groza.

## 30

Kiedy Maureen doszła do siebie, zdała sobie sprawę, że leży na ziemi i że jakaś ręką podtrzymuje jej głowę. Zaraz potem poczuła mrowienie w oczach wywołane przez światło. Zamknęła je z grymasem bólu.

- Okulary.

Wyciągnęła rękę i poczuła pod palcami gładką powierzchnię drewnianej podłogi. Szukała ich po omacku obok siebie, wyobrażając sobie, że musiały jej spaść, kiedy upadała do przodu. Usłyszała za sobą jakiś ruch, poczuła, jak ktoś delikatnie wkłada jej okulary za uszy, i wreszcie doznała ulgi, kiedy mogła spojrzeć przez zaciemnione szkła. Otworzyła oczy i była zadowolona, że pozostali nie widzieli, jak to robi, ponieważ połyskiwały od ukradkowych łez. Spróbowała odzyskać normalny oddech i wyrównać bicie serca.

Głos Jordana dotarł z zewnątrz i przełamał tę aureę, którą usiłowała wokół siebie stworzyć.

- Wszystko w porządku?

- Tak - powiedziała. Nie, pomyślała.

Zupełnie nie w porządku. Jeśli to jest cena, którą muszę zapłacić, żeby widzieć, wolę wrócić do poprzednich ciemności razem z obrazami moich koszmarów, a nie przyglądać się jak bezsilny widz cudzym przerażającym wizjom.

- Napije się pani czegoś?

Maureen pokręciła głową. Obrazy tego, co przed chwilą zobaczyła, znikwały z jej oczu jak fragmenty puzzli rozbieranych kawałek po kawałku. Tylko niepokój pozostawał niepokonany w żołądku, jak ostrze zrobione z lodu i stali. Spróbowała usiąść i zobaczyła przed sobą twarz Jordana. Poczowała zapach jego oddechu. Pachniał dobrze i zdrowo, tylko gdzieś w tle snuła się lekka woń tytoniu. To na pewno on podtrzymał ją i ułożył na podłodze, gdy zemdląca.

- Proszę mi pomóc stanąć na nogi.

Jordan wsunął jej ręce pod pachy i delikatnie, ale też bez specjalnego wysiłku, pomógł jej, kiedy wstawała. Zaprowadził ją z powrotem na krzesło, na którym siedziała, kiedy...

- Wszystko okej?

- Tak, czuję się już dobrze. Przeszło.

- Co się stało?

Maureen przeciągnęła dłonią po czole. Mimo tego, co opowiedziała poprzednio obu mężczyznom, nie mogła powstrzymać się od uczucia wstydu z powodu tego nowego...

Tego nowego... czego?

Maureen postanowiła w końcu nazwać to „epizodem”. Nawet w myślach nie chciała używać słowa „atak”.

- Coś widziałam.

Christopher Marsalis wyłonił się z rogu pokoju, gdzie się usunął, żeby zrobić miejsce w czasie jej nagłego omdlenia. Usiadł na krześle naprzeciwko niej po drugiej stronie biurka.

- Co?

Maureen wskazała zdjęcia rozrzucone na stole.

- Widziałam Vassar College. Ale nie jak wygląda teraz, tylko jak wyglądał jakiś czas temu.

- Ale skąd pani to wie?

Maureen wskazała palcem na drzewa okalające alejkę prowadzącą do dużego budynku w głębi.

- Te drzewa były niższe w chwili, kiedy je zobaczyłam.

- Proszę mówić dalej.

Chwila wahania, a potem pospieszna opowieść.

- Byłam tam i biegłam alejką w stronę budynku, który widać na zdjęciu. Potem nagle znalazłam się w innym miejscu. Z Lucy i Snoopym.

Wciąż jeszcze odurzona tym, co się działo w jej umyśle, czy też sama nie wiedziała gdzie, Maureen nie zauważyła podskoku Christophera Marsalisa i przerażonego spojrzenia, jakie rzucił swojemu bratu. Obydwaj odezwali się niemal równocześnie:

- Z Lucy i Snoopym?

Maureen nie wychwyciła zatrwożenia w ich głosach, tylko zdumienie. Pospieszyła, żeby wyjaśnić w szczegółach, co zobaczyła.

- Nie zwariowałam. Mam na myśli dwie osoby, które nosiły maski *Peanutsów*, przedstawiające Lucy i Snoopy'ego. Ja też miałam na twarzy maskę...

Jordan usiadł przed nią i ujął jej ręce.

- Maureen, przepraszam, że przerywam...

Maureen była zadowolona z tego kontaktu pozbawionego złośliwości. Cieszyła się, że zwrócił się do niej po imieniu.

Był bezpośredni, był opiekuńczy, był... ludzki.

Natomiast jej doznania absolutnie takimi nie były. I zawahała się, czy będzie w stanie się z nimi zmierzyć. Bała się, że umysł ją zdradzi i pogrąży się w jakiejś otchłani, z której nie potrafi się wydobyć. To, czemu musiała stawić czoło, to nie były wycieczki w tym miejscu poza przestrzeń i czasem, gdzie rodziły się pozorne formy snów czy koszmarów. To było zagłębianie się w czarny puch wypełniony obrazami, które docierały z najgorszego miejsca, jakie może istnieć: z rzeczywistości.

Błękitne oczy Jordana zdołały przenikać nawet przez oddzielający ekran szkieł.

- Jest coś, czego pani nie powiedziałem. A to, co się teraz wydarzyło, może, jak myślę, rozproszyć resztki wątpliwości. Zna pani *Peanutsów*?

- A kto ich nie zna?

- Więc dobrze. Ten, kto zabił Geralda i Chandelle, pozostawił ich ciała w pozycji przywołującej właśnie dwie z postaci komiksu. Mój bratanek miał koc przyklejony do ucha i palec w ustach jak Linus. Chandelle Stuart była natomiast przytwierdzona do fortepianu jak Lucy, kiedy słucha gry małego Schroedera. I dostaliśmy od mordercy wskazówkę, że następną ofiarą będzie właśnie Snoopy.

Głos Jordana był spokojny i wzbudzał zaufanie, a Maureen podziwiała go za to, że potrafił tak dobrze zamaskować szybkie tempo, jakie na pewno popędzało go od środka.

- Wcześniej wspomniała pani o morderstwie.

- Tak. W pokoju, w którym przebywaliśmy, jakaś osoba stała przy stole. Na blacie leżało małe ciało, chłopca, a może dziewczynki. Nie zdołałam dobrze zobaczyć, bo mężczyzna stał tyłem i zasłaniał widok. Potem podniósł ręce w górę i w prawej dłoni trzymał zakrwawiony nóż.

- A potem?

- Potem nagle znalazłam się w innym miejscu. Wciąż była ze mną ta para w maskach i chłopak, który miał maskę Snoopy'ego, zdjął ją i płakał.

- Widziała pani jego twarz?

- Tak.
- I umiałyby pani go rozpoznać?
- Myślę, że tak.
- Święty Boże!

Jordan zerwał się na równe nogi. Wymierzył palec wskazujący w swojego brata, który patrzył na nich, niezdolny wydobyć z siebie głosu.

- Chrisie, dzwoń natychmiast do rektora Hoogana. Powiedz, że musimy pilnie dostać się do bazy danych Vassar i że potrzebne nam hasło dostępu.

Christopher chwycił natychmiast za telefon. Jednym zdaniem Jordan odpowiedział na pytający wyraz twarzy Maureen.

- Istnieje prawdopodobieństwo, że również ten Snoopy studiował w college'u. Jeśli tak, możemy spróbować odnaleźć go w archiwum i otoczyć ochroną, jeśli nie jest za późno.

Wzburzony głos rozmawiającego przez telefon Christophera Marsalisa o ton przewyższył ich podniecenie.

- Travis, mówię ci, że to sprawa życia lub śmierci. Gównu mnie obchodzi prywatność. Za kwadrans przyślę ci cały tom upoważnień. Ale teraz potrzebne mi jest to, o co cię poprosiłem. I to potrzebne natychmiast.

Począł kilka chwil, po czym odłożył słuchawkę. Temperatura rozmowy wywołała na jego policzkach dwie jasnoczerwone plamy.

- Dałem Hooganowi adres mojej prywatnej poczty elektronicznej. Za chwilę przyśle nam link archiwum z hasłem dostępu.

- Znakomicie. Maureen, jak sobie radzisz z komputerem?

Sytuacja, w jakiej się znaleźli, przyczyniła się do pominięcia pewnych formalności towarzyskich. Byli dwojgiem nieznanym, ale również parą policjantów.

- Przeszłam rozszerzony staż na temat przestępstw informatycznych. Nie jestem na poziomie hakera, ale na tym poziomie dam sobie radę.

- Świetnie.

Prowadzeni magnetyczną siłą, którą zdawał się emanować Jordan, przenieśli się do innego gabinetu w drugim skrzydle domu, pomieszczenia dużo większego i wypełnionego sprzętem elektronicznym. Były tam komputery z ekranami plazmowymi, drukarki, skanery, faksy i kserokopiarki.

Ruben Dawson, jak zawsze nieskazitelnym i jak zawsze lakonicznym, siedział na fotelu przed klawiaturą. Ich wejście nie zmieniło wyrazu jego twarzy. Jordan

zastanawiał się przez chwilę, co też mogłoby zmarszczyć powierzchnię tego zamarzniętego jeziora, jaką było oblicze sekretarza burmistrza.

Podeksytowane słowa Christophera były kolejnym „nie” wobec jego niewzruszoności.

- Ruben, otwórz moją prywatną pocztę. Powinien tam być e-mail z Vassar College w Poughkeepsie. Potem zwolnij stanowisko.

Dawson uruchomił program i natychmiast na ekranie ukazała się cała lista wytłuszczonych napisów, które wskazywały na nieprzeczytaną jeszcze pocztę. Wstał i ustąpił miejsca Maureen, a żadna zmarszczka nie pojawiła się ani na jego twarzy, ani na garniturze.

Maureen zdjęła okulary i usiadła przed klawiaturą. Odnalazła wiadomość pochodzącą z Vassar College. Otworzyła ją i zaraz potem weszła na stronę wskazaną przez link. Kiedy strona się otworzyła, wprowadziła nazwę użytkownika i hasło dostępu, które dołączył rektor.

Otrzymali dostęp do całej sekwencji dat, odpowiadających kolejnym latom akademickim. Lista zdawała się nie mieć końca.

- I co teraz?

Jordan zwrócił się do brata, cały czas wpatrując się w ekran.

- Christopher, w jakich latach Gerald był w college'u?

- W dziewięćdziesiątym drugim i dziewięćdziesiątym trzecim, jak mi się zdaje.

To „jak mi się zdaje” rzucone w taki sposób wiele mówiło o stosunkach między ojcem a synem.

W górze po lewej stronie było małe okno z paskiem narzędzi, pozwalającym wybrać kryteria wyboru.

- Szybko przejrzałbym okres między rokiem dziewięćdziesiątym drugim a czwartym. Czy jest jakieś kryterium rozróżniające? Można oddzielić chłopców od dziewcząt?

Maureen wzruszyła ramionami.

- Obawiam się, że nie. Jest to baza danych college'u, a nie program do użytku dochodzeniowego. Istnieje możliwość dotarcia do katalogu po nazwisku, ale myślę, że jakakolwiek droga w odwrotnym kierunku byłaby dosyć trudna.

Jordan położył ręce na ramionach dziewczyny. Nie była to oznaka poufałości, tylko gest solidarności.

- A więc będziemy chyba musieli obejrzeć sporo twarzy. Mając nadzieję, że zobaczymy tę, której szukamy.

I tak rozpoczęła się długa lista twarzy. Chłopcy i dziewczęta, którzy w tej chwili byli już gdzie indziej, stali się dorosłymi ludźmi rozmieszczonymi w życiu i przestrzeni przez przypadkowość egzystencji, przemienionymi w tych, którymi chcieli zostać, albo miotającymi się w rolach, które zmuszeni zostali przyjąć. W tym długim, niekończącym się szeregu twarzy krył się sens czasu i jego nieuchronności. Było jeszcze to wrażenie drobnego piasku w oczach, który Maureen czuła z powodu światła emanowanego przez monitor, tego samego piasku, jaki dla tych młodych ludzi przesypał się w klepsydrze, aż stali się tym, kim są dzisiaj. Widząc w tej milczącej, pozbawionej radości paradzie także twarze Geralda Marsalisa i Chandelle Stuart, Maureen bronila się przed myślą, że dla niektórych z nich piasek się skończył, co mimo woli zmusiłoby ją, aby przywołać w pamięci Connora. Skoncentrowała się na długiej, pozornie niekończącej się litanii, na którą składali się Alan i Margaret, Jamie i Robert, Allison i Scarlett, Loren i...

- Jest! To on!

Chłopak o kasztanoworudawych włosach i delikatnych rysach twarzy patrzył na nich z nieśmiałym uśmiechem, uwięziony w fotografii sprzed dziesięciu lat. Maureen zadrżała na myśl, że w tej samej chwili dorosła wersja tego chłopca przebywa gdzieś, nieświadoma faktu, że oni walczą tu z czasem, by uratować mu życie.

Zza pleców dotarł do niej głos Jordana.

- Alistair J. Campbell, urodzony w Filadelfii...

Głos Christophera Marsalisa przerwał przedstawianie tych szczegółowych danych osobowych.

- Ależ tak. To syn Arthura „Eagle” Campbella, mistrza golfa. Jego ojciec jest Anglikiem, ale mieszka od lat w Stanach. Myślę, że ma już nawet amerykańskie obywatelstwo. Teraz jest na Florydzie i grywa w kategorii seniorów.

Maureen uzupełniła notę biograficzną chłopca, który wciąż patrzył na nich z ekranu ze swoim ledwo zaznaczonym uśmiechem.

- Tak, ale Alistair Campbell jest również pisarzem. Parę lat temu jego powieść znalazła się na liście bestsellerów. Ulga skończonego człowieka, taki chyba miała tytuł i wywołała pewien szum. Czytałam ją nawet. O ile pamiętam, wydał ją Holland & Castle.

Jordan wymówił na głos to, co wszyscy troje myśleli.

- A zdanie, które znalazłem na fortepianie w domu Chandelle Stuart, przywołuje właśnie Snoopy'ego, kiedy ten udaje pisarza.

Nastąpiła chwila nieruchomej pauzy, krótka chwila zastygłego czasu między błyskawicą a piorunem. Po czym Jordan wyjął komórkę z kieszeni, jakby nagle zaczęła parzyć.

Wybrał numer. Przedstawił szybko fakty, bez ekscytacji.

- Burroni, tu Jordan. Słuchaj mnie i notuj. Mamy kolejne nazwisko. To był student Vassar College. Jest pisarzem. Nazywa się Alistair Campbell i publikuje w wydawnictwie Holland & Castle. Jest synem Arthura Campbella, czempiona golfa, mieszkającego na Florydzie. Być może to on jest Snoopym. Czy wszystko zrozumiałeś?

Chwilę słuchał, po czym potwierdził, zadowolony z odpowiedzi.

- Doskonale. Dotrzyj do niego, ale dyskretnie, nie podnosząc alarmu. Musimy go znaleźć, zanim dopadnie go nasz człowiek.

Jordan schował telefon z powrotem do kieszeni. W pokoju zapadła cisza. Słysząc było tylko lekki szum monitora i ich myśli. Teraz, kiedy samochód ruszył napędzany niewielką nadzieją, mogli tylko czekać, licząc na to, że paliwo będzie wystarczające, by dowieźć ich do celu. Wiedzieli, że rozpoczęli podróż, podczas której odkryją, czy po dotarciu na miejsce będzie na nich czekał kolejny trup, czy też nie.

Maureen wstała z krzesła i odwróciła się w stronę Jordana. Instynktownie uznała go od razu za swój jedyny punkt odniesienia, jak zwierzę myśliwskie, któremu wystarczy węch, żeby rozpoznać swojego partnera. Być może również Jordan odczuwał to samo. Spojrzała mu w oczy i spróbowała odczytać jego myśli. Potem, niemal jako potwierdzenie, Jordan rzucił na głos hipotezę, którą obydwójce mieli w głowie.

- Być może związkiem, który łączy ofiary, jest właśnie to, co powiedziałaś. Wszyscy byli świadkami morderstwa. A jeśli nie odnajdziemy na czas Alistaira Campbella, możemy nigdy nie dowiedzieć się, jakiego morderstwa.

Maureen nie odpowiedziała. Włożyła z powrotem okulary, gdyż zaczęły ją boleć oczy, a także dlatego, że w tej chwili i w ten sposób z trudem odnajdowała się w roli protagonistki. Gestem tym odgrodziła się od spojrzeń osób przebywających z nią w pokoju. I uzyskała odpowiedź na pytanie, którego nigdy nie zadała. Nigdy nie zapytała o to Connora, ale teraz wiedziała, że znalezienie się w obliczu gorącego aplauzu może czasem zmrozić.



# 31

- West Village, na rogu Bedford i Commerce.

Alistair Campbell podał taksówkarzowi adres domu i oparł się na siedzeniu, które znało kiedyś lepsze czasy i sprężyny. Kierowca ruszył spod terminalu lotniska Kennedy'ego, gdzie niedawno wylądował samolot Alistaira, i jego samochód włączył się w rząd żółtych aut kierujących się w stronę miasta.

Światła Nowego Jorku już się paliły, ale tak naprawdę nie zaczęły jeszcze swojej walki z mrokiem. Po długim okresie spędzonym w domu w Saint Croix na Wyspach Dziewiczych zatopienie się w kolorowym blasku miasta jak zwykle zatrzażało go i oszalało. Każdy powrót przynosił jednocześnie ulgę i niepokój. Alistair Campbell był mężczyzną, a także pisarzem. Jednak fakt, że był mężczyzną pozbawionym odwagi, czynił zeń kruche i niepewne siebie pisarza. I jak wszystkie niepewne siebie osoby potrzebował nieustannej akceptacji. Wydawało się, że to oświetlone miasto, które zbliżało się, jakby miało pochłonąć samochód, jako jedyne mogło mu je zapewnić. Kiedy przyklaskiwanie i pochlebstwa traciły swoją cudotwórczą moc, stając się ponagłającymi wydarzeniami i obiektem nowych lęków, rozumiał, że przyszedł czas powrotu na wyspę.

Tam, nad brzegiem morza, noc była nocą, a dzień oznaczał słońce i możliwość przejścia dwudziestu kroków po piasku, żeby wysikać się do oceanu.

Komórka w kieszeni zaczęła brzęczeć stłumionym tonem dzwonów. Wyłączył ją, nie patrząc nawet na ekran. Zaprogramował funkcje aparatu w ten sposób, żeby sygnalizował mu czas, kiedy powinien zażyć w ciągu dnia różne pastylki. Odsunął zamek plecaka i wydobyl z wewnętrznej przegródki małe, plastikowe pudełko, z którego wyjął tabletkę amidaronu. Jego serce wykazywało od dawna skłonność do migotania przedsionków i tylko za pomocą tego typu lekarstwa mógł nad nim zapanować.

Włożył kapsułkę do ust, a długoletnia wprawa pozwoliła mu ją przełknąć bez popijania.

Musiał się zmagać ze swoją kardiopatią, odkąd okazało się, że jest dzieckiem wątłym i łatwo się męczącym. Był nawet moment, kiedy lekarze obawiali się, że dokucza mu rozszerzająca się kardiomiopatia, schorzenie zwyrodnieniowe, które powoduje, że serce rozrasta się stopniowo, aż do niemal całkowitego zatrzymania bicia, co czyni koniecznym przeszczep.

Jego ojciec, Arthur Campbell, wielki „Eagle” Campbell, człowiek, który wykonał najwięcej big shots w historii golfa, kiedy zrozumiał, że jego syn nigdy nie zostanie mistrzem ani w jego sporcie, ani w żadnym innym, odłożył go jakby na bok, do kategorii „wolne wnioski”. Zresztą był tak zajęty kultywowaniem własnej legendy, że nie miał zbyt wiele czasu, by przejmować się otaczającymi go przyziemnymi sprawami, nawet, jeśli dotyczyły one syna.

Jego matka, Hillary, zachowywała się w sposób dokładnie odwrotny i przysporzyła, jeśli to możliwe, jeszcze większych szkód. Wzięła go pod swoje przytłaczające, opiekuńcze skrzydła i nauczyła strachu i ucieczki.

Od tamtej pory Alistair nie robił nic innego, tylko wciąż się bał i uciekał.

Komórka znów zadzwieczała, tym razem władcym dzwonkiem, żądającym połączenia. Otworzył obudowę samsunga i zobaczył na małym ekranie nazwisko i zdjęcie Raya Migdali, swojego agenta literackiego.

- Halo.
- Cześć, Alis. Gdzie jesteś?
- Dopiero wylądowałem. Teraz jestem w taksówce i jadę do domu.
- Świetnie.
- Przeczytałeś materiał, który ci wysłałem?
- Oczywiście. Skończyłem wczoraj wieczorem.
- I co powiesz?

Nastąpiła chwila ciszy, która była dalekim dzwonkiem alarmowym dla niecierpliwości i entuzjazmu Alistaira.

- Myślę, że powinniśmy się spotkać.
- Kurwa, Ray, co to za tajemniczość. Podobało ci się czy nie?
- Właśnie o tym chciałbym z tobą porozmawiać, kiedy się zobaczymy. Odpowiada ci jutro rano czy jesteś zmęczony po podróży?
- Nie, pomówmy o tym teraz. I wyrażaj się jasno, jeśli potrafisz.

Ray Migdala przyjął te słowa jako drobne nakłanianie do popełnienia przestępstwa i bez trudu dostosował się do tonu tej prowokacji.

- Znakomicie, jak chcesz. Przeczytałem twoją powieść. Jest do dupy. Myślę, że tym razem wyraziłem się jasno.

- Ale co ty mówisz? Czy przeczytałeś ją uważnie? Ja uważam, że jest świetna.

- A więc będzie lepiej, jeśli się dowiesz, że jesteś jedynym, który tak uważa. Rozmawiałem długo z Haggertym, twoim redaktorem w Holland & Castle i on też podziela moje zdanie.

Być może w tym momencie Ray przypomniał sobie o stanie zdrowia Alistaira i zorientował się, że był zbyt brutalny. Zmienił ton i spróbował nałożyć na rany trochę balsamu.

- Alis, mówię to dla twojego dobra. Jeśli to wydasz, krytyka cię zmasakruje.

- Sam doskonale wiesz, jaka jest krytyka, Ray. Nie ma żadnego znaczenia, jeśli chodzi o wyniki sprzedaży.

- Nie byłbym tego taki pewny. Informuję cię w każdym razie, że Ben Ayeroff, dyrektor wydawnictwa, nie zamierza ryzykować.

Zaczął wpadać w panikę. Zbliżające się miasto nie wydawało się już miejscem oferującym potrzebne mu pochlebstwa i akceptację, ale miejscem groźnym, gdzie wciąż czyha na niego porażka i gdzie on za każdym razem podlega srogiej karze. Queens Midtown Tunnel, do którego właśnie wjeżdżali, zdawał się wciągającym wirem.

Alistair odezwał się, próbując zapanować nad głosem.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Po prostu to, że nie zamierzają wydać twojej książki. Są nawet skłonni zrezygnować z zaliczki, którą już wpłacili.

- Czy nie ma na świecie innych wydawców. Knops, Simon & Schuster i...

Nagły wybuch dumy natychmiast zgaszony kilkoma sprowadzającymi na ziemię słowami.

- Wiem, ale tym razem to ja nie mam zamiaru nikomu tego proponować. Nie chcę zabić cię własnymi rękami.

To uściślenie wywołało natychmiast małe, nierówne uderzenie serca w piersi Alistaira Campbella. Czytając między wierszami, rozumiał, że w tym momencie Ray dużo bardziej przejmuje się własną reputacją niż reputacją swojego klienta.

- Być może powinniśmy się wycofać, Alis. I wybaczyć, jeśli jestem brutalny. Wydałeś swoją pierwszą powieść w Holland & Castle, ponieważ równocześnie twój ojciec zgodził się, acz niechętnie, opublikować u nich swoją autobiografię. Twoja książka,

szczerze mówiąc, była bardzo przeciętna i nikt nie zwrócił na nią uwagi, ale wydawca powetował sobie wydatki zyskami ze sprzedaży drugiej książki. Jesteś tego świadomy?

Alistair wiedział o tym aż nadto dobrze. Pamiętał swoje poniżenie, kiedy matka zawiadomiła go o tej umowie i przekonała, że jest to tylko konieczny etap na drodze do kariery.

- Oczywiście, że jestem, ale co to ma do rzeczy? Moja pierwsza praca była dziełem młodzieńczym i jako takie powinna być postrzegana.

- Istotnie. To jest powód, dla którego zdołałeś nakłonić wydawców do przeczytania twojej drugiej książki. Kiedy przyszedłeś z tym małym arcydziełem, jakim była *Ulga skończonego człowieka*, nadszedł sukces. A z życzliwością krytyki...

Ray celowo nie dokończył tego zdania, które miało być jawną polemiką z wyrażoną wcześniej przez Alistaira opinią o recenzjach literackich.

- Nie wiem, jak ci to powiedzieć. Ta twoja trzecia powieść nie wydaje się nawet napisana przez tę samą osobę, która napisała *Ulga skończonego człowieka*.

Na szczęście Ray nie mógł zobaczyć wyrazu twarzy Alistaira. Gdyby stali naprzeciw siebie, być może agent zrozumiałby, jak wiele prawdy było w tym, co przed chwilą powiedział.

„Nie wydaje się nawet napisana przez tę samą osobę”...

Gdyby był do tego zdolny, Alistair Campbell zaśmiałyby się.

W wielkim domu w Vermont, gdzie przebywali prawie cały czas sami, on i matka, był ktoś w rodzaju totumfackiego, którego odziedziczyli praktycznie po poprzednim właścicielu. Nazywał się Wyman Sorhensen i mieszkał w przybudówce w głębi parku. Odkąd Alistair go pamiętał, wyglądał zawsze tak samo. Siwy mężczyzna, wysoki i chudy, który zdawał się urodzić już jako starzec w ubraniach wyglądających na jego ciele jak o numer za duże.

Miał przy tym spokojny głos, a uśmiech i oczy najbardziej pogodne na świecie.

Dla Alistaira stał się jedynym, prawdziwym punktem odniesienia przy coraz bardziej sporadycznej obecności ojca i przy matce, która całkowicie go od wszystkich odizolowała, otaczając siatką ochronną uczucia i troski. Wyman był jedyną osobą, która nie traktowała go jak chorego, ale jak normalne dziecko, i która pocieszała wobec zakazu zabawy, biegania i śmiania się z innymi dziećmi.

Nauczył go wszystkiego, co sam umiał, traktując jak współnika, jak gdyby byli dwoma rozbitkami, z dala od reszty świata, który przed Alistairem był zamknięty, a Wymana zupełnie nie interesował. Zdawał się jedną z postaci z powieści Steinbecka,

człowiekiem, który stworzył sobie wygodną rezydencję w swoim osobistym Tortilla Flat.

Od niego nauczył się miłości do książek i lektury, to on odkrył przed chłopcem alternatywny świat, złożony z ucieczek i podróży, bez konieczności ruszenia się choćby o metr z krzesła ustawionego na ganku małego domku w głębi parku. Dzięki niemu pojął znaczenia słowa i wyobraźni, choć nigdy wcześniej nie był z nimi w specjalnej zażyłości. Dzięki niemu dojrzał w Alistairze przed laty pomysł, żeby zapisać się do Vassar College i studiować pisarstwo, a była to pierwsza ważna decyzja podjęta samodzielnie wbrew woli matki.

Starzec umarł spokojnie w swoim łóżku, przechodząc od życia do śmierci poprzez bezbolesny filtr nocy i snu, kiedy chłopiec miał czternaście lat. Jeszcze teraz Alistair myślał z rozczuleniem, że stary Wyman Sorhensen w pełni zasłużył sobie na ten przywilej.

Nie dostał pozwolenia, żeby uczestniczyć w pogrzebie, gdyż według Hillary Campbell mogło to być wzruszenie zbyt silne i szkodliwe dla wątłego zdrowia jej syna. Tamtego ranka włóczył się po parku, czując się po raz pierwszy w życiu naprawdę samotny. Dotarł do domu, w którym mieszkał jego przyjaciel, i zastał otwarte drzwi. Wszedł do środka niepewnie, jakby naruszał intymność i zaufanie osoby, która nie mogła się już bronić. Mimo wszystko zaczął grzebać w rzeczach Wymana, zastanawiając się, co się z nimi stanie, ponieważ starzec nie miał żadnych krewnych.

Potem otworzył tamtą szufladę.

W środku leżała gruba teczka związana z przodu czerwonym sznurkiem. Na okładce była biała naklejka z napisanym piórem tytułem.

*Ulga skończonego człowieka.*

Wyjął teczkę i otworzył. W środku znalazł setki ponumerowanych stron, zapisanych ręcznie, nerwowym i drobnym charakterem pisma. Wydawało się wręcz niemożliwe, że w dobie komputerów ktoś mógł napisać piórem cały ten stos kartek, z cierpliwością i poświęceniem, jakie zdarzały się w czasach, które odeszły już w przeszłość.

Alistair wziął teczkę, zaniósł do swojego pokoju i schował między najbardziej osobiste rzeczy. Przeczytał rękopis, który okazał się powieścią pisaną przez Wymana przez te wszystkie lata w największej tajemnicy. Alistair nie zdołał jej do końca zrozumieć, ale strzegł jej na równi z najcenniejszą tajemnicą, początkowo jako

relikwię swojej największej przyjaźni, a potem jako mały skarb do wykorzystania w przyszłości.

I w istocie go wykorzystał.

Po obojętnym przyjęciu przez czytelników i krytykę jego pierwszej powieści postanowił opublikować książkę Wymana pod swoim nazwiskiem, wprowadzając tylko trochę niewielkich zmian, koniecznych, żeby dostosować historię i język do najnowszych czasów.

Wjazd do tunelu w Queens spowodował utratę sygnału i przerwanie połączenia. Zamilknięcie głosu Raya w aparacie wyrwało go z zamyślenia. Kiedy dotarli na drugą stronę, podjął rozmowę, na którą czekał z niepokojem, a która teraz go przerażała. Jakby siedział na krześle elektrycznym, nacisnął przycisk do nawiązywania połączenia.

Ray odpowiedział po pierwszym dzwonku.

- Wybacz, wjechaliśmy do tunelu i przerwało rozmowę.

- Mówiłem, że nie ma teraz powodu do niepokoju. Ton Ayeroffa był twardy, ale nie dramatyczny. Myślę, że jeśli wezmę sprawę w swoje ręce, będą skłonni dać czas konieczny, żeby mieć taką książkę, jaką ty przecież umiesz napisać.

Nie, nie umiem. Osoba, która umiałaby to zrobić, od dawna nie żyje, a ja jestem skończonym człowiekiem, ale bez żadnej ulgi.

To właśnie chciałby wykrzyknąć do telefonu, zdzierając sobie struny głosowe, tymczasem milczał, schowany, tak jak się chował niemal przez całe życie.

- Zobaczysz, że wszystko się ułoży. Są gorsze rzeczy. Słyszałeś, co się wydarzyło w Nowym Jorku?

- Nie, przecież wiesz, że kiedy jestem w Saint Croix, całkowicie się wyłączam.

- Coś absolutnie nieprawdopodobnego. Zamordowano syna burmistrza, malarza. A także Chandelle Stuart.

Alis Campbell poczuł zatrważającą serię skurczów serca, a potem nagle zimny pot wystąpił mu na czoło. Poczuł też, jak dłoń trzymająca komórkę wilgotnieje, jak gdyby z telefonu wydobyła się para z suchego lodu.

Zadał pytanie, na które znał już odpowiedź, podążając mimo woli za chimerą iluzji.

- Kogo? Córkę tych od stali?

- Właśnie ją. Prawie nic nie wiadomo na ten temat, ale wydaje się, że zrobiła to ta sama osoba. Mógłby to być niezły punkt wyjścia dla thrillera.

Alistair nagle zaniemówił, a jego język był pilnikiem w obłożonych rdzą, wysuszonych ustach.

- Jesteś tam jeszcze?

- Tak, jestem. Jak to się stało?

- Powtarzam ci, nic nie wiadomo. Nie wyciekł nawet najmniejszy szczegół. Wiadomo tylko to, co ci powiedziałem. To zrozumiałe, biorąc pod uwagę, że sprawa dotyczy syna Christophera Marsalisa.

W głosie Raya Migdali pojawił się wreszcie lekki niepokój wywołany zmianą tonu rozmówcy.

- Co jest, Alis, dobrze się czujesz?

- Wybacz, jestem tylko trochę zmęczony. Spokojnie, naprawdę nic mi nie jest.

A tymczasem było zupełnie odwrotnie.

Poczuł nagle kwaśny smak strachu i złudzenie ucieczki jako zastępczego lekarstwa. Miałby ochotę powiedzieć taksówkarzowi, żeby zawrócił na lotnisko, a on odnalazłby nieruchomy spokój swojej wyspy. Tylko pewność, że do następnego dnia nie będzie samolotów do Saint Croix, powstrzymała go od tej decyzji.

- Okej, jutro omówimy sytuację.

- W porządku, do jutra.

Skończył połączenie w momencie, kiedy taksówka skręcała z Pierwszej Alei, żeby wjechać w Trzydziestą Czwartą Ulicę, i oparł się na siedzeniu. Od tej chwili dla jego niewidzących oczu, wbitych w brudną szybę samochodu, dalsza droga do domu stała się serią nieostrych obrazów, smug rozświetlonych szyldów i przemykających samochodów.

Poczuł dokuczliwe pulsowanie w skroniach i natychmiast poszukał w plecaku pudełeczka z lekarstwami. Przełknął jak poprzednio na sucho pastylkę ramiprilu na ciśnienie, nie czekając nawet na przypominający o tym sygnał telefonu.

Dwa imiona dudniły w jego głowie, niczym wygaszacz ekranu 3D w oszalałym komputerze.

Gerald i Chandelle.

I jeszcze jedno słowo.

Zamordowani.

Nie miał czasu, żeby pogрузić się całkowicie we wspomnieniach i w panice, którą mogły wywołać. Taksówka zatrzymała się przed domem, a on prawie nie zauważył pokonanej trasy. Zapłacił za przejazd i wysiadł z samochodu. Szukając kluczy w

plecaku, skierował się do niskiego przyjemnie wyglądającego domu z jasnego drewna, z trzema stopniami prowadzącymi do drzwi wejściowych z orzecha, z mosiężnym uchwytem.

Bedford Street było krótką i wąską uliczką, praktycznie biegnącą z lekka ukośnie przecznicą Hudson, i o tej porze była spokojna i wygaszona. Jedyne światło paliło się przy nieco anachronicznym sklepie krawieckim na rogu Commerce Street, po przeciwległej stronie w stosunku do jego domu. Światło się świeciło, to znaczy, że ktoś tam jeszcze pracował, ale Alistair Campbell był w tym momencie tak pogrążony w myślach, że nie zwrócił na to uwagi. Nie zwrócił też uwagi na stary i zniszczony samochód, zaparkowany około stu metrów za nim, który teraz ruszał i zbliżał się powoli za jego plecami ze zgaszonymi światłami. Nie usłyszał i nie zobaczył auta zatrzymującego się z otwartymi drzwiczkami i wysiadającego z niego mężczyzny, który szedł w jego kierunku chwiejnym krokiem. Miał na sobie sportowy dres z podniesionym kapturem i utykał lekko na prawą nogę. Alistair Campbell wszedł właśnie po schodkach i wkładał klucz do zamka, kiedy w polu jego widzenia pojawiła się ręka. Natychmiast poczuł, jak nos i usta zatyka mu wilgotna tkanina. Usiłował się wyswobodzić, ale napastnik trzymał go w duszącym uścisku, obejmując drugim ramieniem wokół szyi.

Spróbował wziąć oddech, ale do nozdrzy wdarł mu się ostry zapach chloroformu. Poczul lekkie pieczenie w oczach, które zaszły mgłą, gdy tymczasem nogi robiły się powoli jak z waty. Jego wątłe ciało osunęło się w ramiona napastnika, który je bez trudu podtrzymał.

Chwilę potem ułożony został na tylnym siedzeniu rozpadającego się dodge'a nova. Mężczyzna z twarzą zacienioną kapturem zajął miejsce za kierownicą i nie zapalając reflektorów, odjechał, żeby wmieszać się bez pośpiechu między światła i włączyć w ruch uliczny.



Alistair Campbell był nagi i przerażony.

Jego zdrętwiałe ciało otoczone było ciemnością bagażnika samochodu, śmierdzącego brudnymi skarpetkami i rynsztokiem, i przemieszczającego się szybko z ciężkimi uderzeniami zniszczonego zawieszenia. Po napaści przed drzwiami domu nie stracił całkiem przytomności, ale pozostawał w stanie dziwnego otumanienia, które uczyniło jego ciało ciężkim, jakby kości zamieniły się nagle w ołów.

Pamiętał, że pierwsze ostre zakręty pokonywane przez kierowcę zrzuciły go natychmiast z wytartego siedzenia na podłogę samochodu. Przejechał kawałek drogi, który zdawał się nie mieć końca, z duszącym zapachem zakurzonej wykładziny pod nosem, widząc z dołu światła miasta odbijające się nad jego głową i w jego oczach, aż w końcu popadł w omdlenie. W pewnym momencie zatrzymali się na jakimś pustkowiu, gdzie przez okno samochodu widać było wysoko w oddali nieliczne światła.

Daleko coś migotało żółtym blaskiem. Być może była to latarnia morska zbudowana, żeby wskazywać kurs na port marynarzom, albo sygnał ostrzegawczy dla samolotów, lub też po prostu łyzy przerażonego człowieka, które przesłaniały miejscami obojętną, drżącą gwiazdę wieczoru.

Usłyszał szcęk otwieranych przednich drzwiczek i zaraz potem poczuł świeży powiew. Powietrze pachniało rdzą i algami, i w swoim otępieniu po raz pierwszy udało mu się trzeźwo pomyśleć. Zorientował się, że muszą się znajdować w jakimś miejscu nad wodą, choć nigdy nie potrafiłby określić, w jakim.

W jego polu widzenia przyćmionym przez środek odurzający i ciemność pojawił się mężczyzna ubrany w tani pluszowy kombinezon, o twarzy zasłoniętej kominiarką z otworami, przez które widać było tylko oczy i usta. Chwycił go dłońmi w czarnych rękawiczkach, pociągnął z taką łatwością, jakby nic nie ważył, i posadził na tylnym siedzeniu z nogami wystającymi na zewnątrz. Alistair poczuł, jak jego nogi dyndają w

próżni, mając nienaturalną konsystencję lalki brzuchomówcy, pozostającej całkowicie we władaniu osoby, która nią porusza.

Niezdolny okazać żadnej innej reakcji poza strachem, zobaczył, jak napastnik wyciąga z kieszeni rolkę taśmy samoprzylepnej i wielki krajak. W półmroku ostrze znalazło gdzieś dostateczne światło, żeby groźnie zabłysnąć, podczas gdy mężczyzna kilkoma szybkimi i precyzyjnymi ruchami zaklejał mu usta taśmą i w ten sam sposób unieruchamiał wyciągnięte do przodu ręce.

Podniósł go i podtrzymał bez trudu, ciągnąc jednocześnie w stronę tylnych drzwi samochodu. Chwytał swojego więźnia, opierając go o swoje twarde i mocne ciało, i przytrzymał w tej pozycji, obejmując ramieniem wokół pasa, gdy tym- czasem wolną ręką otwierał zamek kufra.

Alistair został wrzucony do środka i poczuł rękę swojego porywacza, który podnosił mu nogi i upychał je, żeby zmieściły się z resztą ciała w ciemnej kryjówce. Światło latarki elektrycznej oślepiło go. Obserwował, jak nadciąga z góry, niczym coś żywego, obcego, nadprzyrodzone światło przybywające bezpośrednio z przeklętego miejsca, gdzie rodzą się wszystkie koszmary, które ludzkie szaleństwo postanawia urzeczywistnić.

Zobaczył ostrze krajaka przecinające stożek światła przed jego oczami. W jego oszalałym sercu nie było najmniejszego miejsca na wstyd, kiedy hamulce jego ciała puściły i oddawał mocz i kał pod siebie.

Wydał wreszcie z siebie rozpaczliwy jęk, który mężczyzna całkowicie zignorował, tak samo jak bez słowa przyjął ciemną plamę, która rozlała się po spodniach Alistaira. Spokojnie, ale zręcznie, zaczął rozcinać lekkie ubrania, które jego więzień miał na sobie. Alistair czuł dreszcz nie tylko zimna za każdym razem, kiedy ostrze dotykało jego ciała.

Łzy niewywołujące żadnej litości wypływały wciąż z jego oczu. Kolejne szarpnięcia ostrza, kolejny dygot, kolejne krople na twarzy, i tak pozostał nagi w obliczu sterylnego światła, otoczony strzępami cuchnącymi gównem, sikami i strachem, które stały się już jego przyodziewkiem. Zatrzaśnięta kłapa dodała ciemność do ciemności i pozostawiła go samego w towarzystwie własnego przerażenia i smrodu.

W panującej ciszy inne dźwięki zamykanych drzwi, a potem zapalany silnik pozwoliły mu zrozumieć, że to był tylko przystanek, a nie ostateczny cel ich podróży. Samochód ruszył, a on jechał teraz zamknięty w pędzie rozklekotanego auta i swoich rozszalałych myśli.

Kim jest ten mężczyzna?

Czego od niego chce?

Przypomniały mu się teraz słowa Raya, które nie tak dawno - godzinę temu? wiek? - usłyszał w telefonie ze skrzypieniem pękającego pod stopami lodu.

Gerald Marsalis i Chandelle Stuart nie żyją.

Ci, których znał kiedyś jako Linusa i Lucy, zostali zamordowani przez kogoś, kto do nich dotarł i odebrał im życie. A teraz on leży nago zamknięty i związany w bagażniku samochodu, który zmierza być może do tego samego celu.

Poczuł, że zęby zaczynają szczekać niekontrolowanym rytmem strachu pod taśmą samoprzylepną zakrywającą mu usta. Jego tchórzliwa dusza z powodu czegoś, co wydarzyło się wiele lat temu, zaprogramowała wyrzuty sumienia w taki sam sposób, w jaki on zaprogramował swoją komórkę, żeby przypominała mu o codziennym zażywaniu pastylek.

Wystarczyło, żeby się obudził i odnalazł w pamięci jasne i żywe wspomnienie, jak gdyby to wszystko, co się wydarzyło, działo się właśnie w owym momencie przed jego oczami. Przez całe lata chciał o tym opowiedzieć, brakowało mu jednak odwagi. W pewien przenośny sposób próbował uczynić to w swoich książkach, za pośrednictwem słów zapisanych na papierze, tworząc literackie confiteor, ukryty w cieniu metafory, wiedząc jednak, że owe wyrazy nie oznaczały wyzwolenia spowiedzi, a jeszcze mniej choćby odległą możliwość rozgrzeszenia.

Po pewnym czasie - godzinie? wieku? - Alistair poczuł, jak samochód zatrzymuje się z podskokiem, jakby wjechał na chodnik. Potem nastąpił odrzut, a jego związane ręce uderzyły boleśnie w jądra.

Przez chrypienie silnika pracującego na najniższych obrotach przebił się hałas otwieranych drzwiczek. Zaraz potem suchy, metaliczny dźwięk, po chwili następny niczym szczęk przesuwającego się łańcucha kotwicy, w końcu skrzypienie bramy otwierającej się na słabo naoliwionych zawiasach.

Drzwiczki znów się zamknęły i samochód zaczął sunąć powoli jakąś wyboistą drogą. Przejechawszy krótki odcinek, auto zatrzymało się ostatecznie i silnik zgasł.

Alistair jeszcze raz usłyszał znane skrzypienie otwieranych drzwiczek, a potem odgłos kroków na żwirze, a każdy z tych kroków odpowiadał uderzeniu jego serca. Pokrywa bagażnika otworzyła się i światło latarki elektrycznej skierowanej tym razem do dołu pozwoliło mu dostrzec sylwetkę mężczyzny, który ścisnął w prawej ręce długie

obcęgi, opierając je na ramieniu, żeby wyważyć ciężar. Rzucił krótkie spojrzenie na swojego pasażera, oświetlając na chwilę wnętrze kufra, a potem, zadowolony z tego, co zobaczył, zatrzasnął z powrotem bagażnik, pozostawiając w oczach Alistaira żółtą plamę jako jedyne wspomnienie światła w ciemnościach jego małego więzienia.

Wszystkie hałasy z zewnątrz docierały do więźnia przefiltrowane przez pulsowanie, które czuł w uszach. Oszałałe bicie pod żebrami, po niekończącej się serii skurczów, stało się nagle paroksyzmem migotania, które Alistair od dawna nauczył się rozpoznawać, ale nie przestał się go bać. Poczuł, jak oddech robi się krótki, a powietrze od tej chwili jak gdyby nie mogło dotrzeć do płuc, żeby dostarczyć im niezbędnej porcji tlenu.

W normalnych warunkach zacząłby oddychać ustami, wciągając zachłannie powietrze potrzebne do przetrwania, ale w tej chwili, zaklejony taśmą, która mu to uniemożliwiała, jedynym kanałem, przez który mógł czerpać życie, pozostawały nozdrza. Kurz i smród jego własnych ekskrementów stanowiły rodzaj błony, która rozprzestrzeniła się stopniowo, powodując zablokowanie wąskich otworów, przez które stojące i skażone powietrze wprowadzane było do wnętrza klatki piersiowej.

W jego sercu nastąpiła teraz seria krótkich i rozpaczliwych skurczów.

*pa-tuc pa-tuc pa-tuc pa-tuc pa-tuc pa-tuc*

Kwaśny pot zaczął mu spływać z czoła, zalewając piekące oczy. Spróbował unieść rękę, żeby otrzeć twarz, ale pozycja, w jakiej się znajdował, i taśma krępująca nadgarstki, nie pozwalały mu się poruszyć.

Z zewnątrz dotarł kolejny suchy i metaliczny dźwięk przypominający otwieraną kłódkę, a potem pisk odsuwanych drzwi.

Zbliżające się po żwirze kroki tym razem powinny mieć rytm bardzo szybkiego biegu, aby pokrywać się z oszalałym biciem serca Alistaira.

*pa-tuc pa-tuc pa-tuc pa-tuc pa-tuc pa-tuc*

Usłyszał szczęk zamka i wieko bagażnika otworzyło się. W tej samej chwili, kiedy promień światła wdarł się do środka, Alistair usłyszał stłumiony krzyk i zobaczył, jak jego napastnik podnosi lewą ręką, żeby podtrzymać prawą, jak gdyby kłapa bagażnika, otwierając się, w jakiś sposób go zraniła.

W świetle latarki, którą położył na dachu samochodu, żeby oswobodzić rękę, mężczyzna instynktownym ruchem podwinął rękaw dresu, żeby sprawdzić szkody, jakie wyrządziła rana. Czerwona strużka krwi przecinała skórę od nadgarstka aż do...

Na ten widok Alistair wybałuszył oczy ze zdumienia.

Na prawym przedramieniu porywacza widniał duży kolorowy tatuaż przedstawiający demona o męskim ciele ze zwiewnymi wielobarwnymi skrzydłami motyla.

Alistair znał ten tatuaż i znał tego, kto go nosił. Wiedział, kiedy i gdzie został wykonany, wiedział, kto miał identyczny.

Wiedział też, że osoba z takim samym tatuażem nie żyje.

Jego oczy przybrały kształt dwóch wielkich, niepotrzebnych monet, które w żaden sposób nie opłaciłyby ceny jego życia, a on zaczął jęczeć, szarpać się i kopać w histerycznym ataku, podczas gdy jego serce

*pa-tuc pa-tuc pa-tuc pa-tuc pa-tuc pa-tuc*

było już jednym, nieprzerwanym biciem, najeżonym jakby kolcami kłującymi w gardle i piersiach.

Zaskoczony swoim własnym gestem, mężczyzna opuścił pospiesznie rękaw bluzy i przymknął nieco bagażnik, opierając się ciałem o samochód. Przez szparę Alistair zobaczył, że pochyła się, ściskając ramię, jakby ból był bardzo silny, podczas gdy czerwona plama rozszerzała się, a rękaw dresu nasiąkał krwią.

W tej samej chwili z jakiegoś nieokreślonego punktu w ciemności dotarł głos:

- Ej, co tu się dzieje? Kim jesteście? Jak tu wjechaliście?

Nacisk na bagażnik się zmniejszył, a blacha uniosła się lekko, wyswobodzona spod ciężaru ciała mężczyzny. Zawieszenie podskoczyło, latarka spadła z dachu auta i zgasła.

Alistair usłyszał czyjeś szybko zbliżające się kroki, a zaraz potem chrząst żwiru i oddalające się od samochodu kroki porywacza.

- Ej, ty. Stój tam, gdzie jesteś.

Obok samochodu przemknęła szybko sylwetka mężczyzny biegnącego za uciekającym porywaczem. Echo kroków obu mężczyzn stawało się coraz słabsze, aż znikło w oddali.

Cisza.

Krótkie oczekiwanie i znów cisza.

Alistair podniósł głowę i pchnął czołem w górę przymknięty kufer. Kłapa odskoczyła i pozwoliła mu rzucić spojrzenie na miejsce, w którym się znajdował. Był to ogromny plac, pogrążony nie w całkowitej ciemności, lecz w półmroku dzięki nielicznym oddalonym światłom. Po lewej stronie, daleko, być może na drugim

brzegu rzeki, zobaczył znajome światła Nowego Jorku. Po prawej, na granicy jego wzroku, dostrzec można było latarnie, domy i ulicę biegnącą wzdłuż metalowej siatki.

Te światła i domy oznaczały, że są tam samochody, są ludzie, jest pomoc.

Jest życie.

Odpychając się nogami od ścian bagażnika, zdołał z trudem odwrócić się i usiąść. Podniósł skrępowane ręce i spróbował zerwać taśmę zaklejającą mu usta. Mimo palących warg zaczął ssać niczym pierś matki wilgotne powietrze wieczoru, podczas gdy serce wciąż wystukiwało w piersi swój taniec wojenny. Zdawało mu się, że lada chwila eksploduje i zamieni jego nagie ciało w deszcz krwawiących fragmentów, który opadnie, żeby ożywić nieliczne wysuszone krzewy widoczne w pobliżu samochodu.

*pa-tuc pa-tuc pa-tuc pa-tuc pa-tuc pa-tuc*

Próbując nie uderzyć głową w dyndającą nad nim blaszaną klapę, Alistair przekręcił się i ukląkł. Podpierając się rękami o brzegi bagażnika, zdołał wydostać się na zewnątrz, pozostawiając za sobą brudne, porwane ubrania jako świadectwo swojego nędznego człowieczeństwa w obliczu śmierci.

Zrobił kilka niepewnych kroków w stronę dalekich światel, nie bacząc na nierówności ubitej drogi, którą musiał pokonać. Nie spojrział nawet na wielki hangar, przed którym zatrzymał się stary samochód, o byle jak wyklepanej karoserii z pozostałościami gipsu na masce. Zostawił za sobą drzwi otwarte na pełną i całkowitą ciemność panującą wewnątrz budowli, bowiem niczym ćmę przyciągała go iluzja światel, które miał przed sobą, a które w owej chwili stanowiły jedyną nadzieję przeżycia.

Niczym w nagłym przebłysku zobaczył jeszcze zakrwawiony tatuaż w słabym świetle latarki i groźną postać mężczyzny w dresie. Alistair wiedział, kto to jest i co zamierza mu zrobić, jeśli wróci.

Myśl ta wzmogła jeszcze jego przerażenie, a jego mózg czerpał z tego nerwową energię potrzebną, żeby zmusić zdrętwiałe nogi do ruchu.

Zaczął biec w stronę tych światel na końcu świata krokami, które były dziećmi strachu, czując głuchy ból w uszach i piersiach

*pa-tuc pa-tuc pa-tuc pa-tuc pa-tuc pa-tuc*

nie zważając na gołe stopy, które niczym w opowieści grozy, niemal natychmiast zaczęły pozostawiać ślady krwi, wyznaczając jego bieg po żwirze.

## 33

Biało-niebieski policyjny ford corona zjechał powoli po rampie Williamsburg Bridge i skręcił w prawo za placem wypełnionym odpoczywającymi autobusami. Okolica ta była zamieszкана przeważnie przez ortodoksyjnych Żydów w czarnych kapeluszach, z brodami i długimi, skrzyconymi pejsami wokół twarzy, ale o tej porze prawie nikt się tu nie kręcił. Neony sklepów, rzeźni i supermarketów sprzedających mięso i inne koszerne produkty były wygaszone, a rolety zaciągnięte. Cisza i spokój.

Manhattan ze swoimi kolorami był wystarczająco daleko, żeby mógł wydawać się miejscem nierealnym. Ten obszar był w owej chwili przecinany tylko światłami nielicznych przejeżdżających samochodów, satelitarnymi falami radiowymi skierowanymi w dół, które przecinały się z modlitwami z synagog unoszącymi się do nieba.

Policjantka Sereena Hitchin, piękna, ciemnoskóra, dwudziestodwuletnia dziewczyna, siedziała za kierownicą, a Lukas First, jej partner, obok z ciałem wychylonym do przodu. Z głową odwróconą w stronę kierującej, uśmiechał się i wybijał rękami jakiś bliżej nieokreślony rytm na plastikowej tablicy rozdzielczej samochodu.

- Ty się na tym znasz, powiedz, dobrze mi idzie?

Sereena była od jakiegoś czasu w związku z członkiem zespołu mitycznego już musicalu Stomp, składającego się w całości ze scen perkusyjnych, który od kilku lat wystawiany był w Orfeusie, teatrze przy Drugiej Ulicy, w East Village. Lukas wiedział, jak ważna dla jego partnerki jest ta historia, ale nie tracił żadnej okazji, żeby się z nią przekomarzać, jako że łączyły ich bardzo dobre stosunki.

Dziewczyna zaśmiała się z niezręcznych prób swojego towarzysza.

- Jesteś drewno, Luke. Muzyka nie jest twoją mocną stroną. Lukas przyjął zarozumiały wyraz twarzy i ton głosu, opierając się z powrotem w fotelu.

- To dziwne, kiedy byłem mały, należałem do kościelnego chóru.

- I wtedy Bóg pojawił się podczas mszy, wskazał cię palcem i powiedział: „W tym miejscu albo ja albo on”.

Lukas odwrócił się w jej kierunku ze skrzyżowanymi palcami wskazującymi, jakby Sereena była wampirem.

- Milcz, bezbożnico. Gdyby tak się rzeczywiście stało, Wszechmocny pokazałby mnie palcem wszystkim dokoła i powiedziałaby: „Proszę, oto moje arcydzieło. Pewnego dnia ten człowiek będzie wielki”.

Sereena zaśmiała się, pokazując białe, równe zęby.

- Jesteś naprawdę fanatykiem. Wciąż o tym myślisz, co?

- Oczywiście, że tak. I zobaczysz, że prędzej czy później dopnę swego. Moje nazwisko na Broadwayu na rozświetlonym neonie, a ja przyjeżdżam pod komendę takim wozem, że z zawiści wszyscy zzielenieją jak jaszczurki. Przypomnij sobie, co przytrafiło się kapitanowi Shimmerowi...

Lukas First był bardzo atrakcyjnym chłopakiem i szczególnie w mundurze prezentował się znakomicie. Z zamiłowania uczęszczał na różne kursy gry aktorskiej, a ponieważ wykazywał pewien talent, od czasu do czasu zdarzało mu się zagrać drugoplanowe role w różnych serialach. W komendzie wszyscy pamiętali jeszcze dumę, z jaką zapowiedział swój udział w filmie Woody'ego Allena. Zaciągnął wszystkich do kina, a kiedy wreszcie nastąpiła scena, w której pojawiał się w kadrze przez dwie sekundy odwrócony plecami, naśmiewano się potem z tego przez wiele dni.

Lukas pokiwał z uznaniem głową, odsuwając jednocześnie szybę, żeby zapalić papierosa. Zgodnie z milczącą umową z partnerką, mógł to robić tylko w ten sposób i wyłącznie wtedy, kiedy nikt nie widział.

- O, kapitan to dobrze zrobił. I miał prawdziwy łut szczęścia.

Kapitan Shimmer, o którym mówił Lukas, był bohaterem swoistej historii o Kopciuszku, znanej w całej nowojorskiej policji. Zaczął od współpracy z kinem jako konsultant, a kiedy w dosyć jeszcze młodym wieku przeszedł na emeryturę, został wchłonięty przez to środowisko i teraz pojawiał się często jako aktor w rolach policjantów w filmach i serialach telewizyjnych. Stał się punktem odniesienia w miejscu, gdzie wszyscy marzą o celnym strzale, zwycięskim, takim, które zmienia życie.

- Twoim łutem szczęścia było znalezienie się w policji, Luke. Założę się, że nigdy nie porzuciłbyś tej pracy. Za bardzo ją lubisz.



Lukas cisnął niedopałek przez okno i wypuścił jeszcze ostatni kłęb dymu. Potem zwrócił się do dziewczyny i przyjął celowo pompatyczną pozę.

- Oczywiście. Ja urodziłem się, żeby zostać policjantem. Ale podoba mi się też myśl, że pewnego dnia zdobędę Oscara. Skorzystam z tej okazji, żeby podziękować mojej byłej partnerce Sereenie Hitchin, która swoją wiarą i wsparciem pomogła mi osiągnąć cel.

Wieczór był spokojny, byli zgrani, zadowoleni z życia i nie było żadnego ważnego powodu, żeby nie mogli sobie pożartować.

Ale jak często się zdarza, taki ważny powód jednak się pojawił.

Radio zaczęło trzeszczeć i zaraz potem wydobył się z niego głos, w którym mimo słabej jakości głośników, wyraźnie pobrzmiwał oficjalny ton.

- Uwaga. Komunikat do wszystkich wozów patrolowych. Mamy sygnał najwyższej gotowości z One Police Plaza. Chodzi o porwanie. Ofiarą jest biały mężczyzna, około trzydziestoletni, wzrost około metra osiemdziesięciu, szczupły, o kasztanowych włosach. Nazywa się Alistair Campbell. Możliwe, że mężczyzna, który go uprowadził, odpowiedzialny jest za zabójstwo Geralda Marsalisa i Chandelle Stuart. Porywacz oddalił się bardzo starym dodge'em nova, z wyraźnymi śladami gipsu na karoserii. Powtarzam, najwyższa gotowość. Lukas wydał z siebie jedno długie gwizdnięcie.

- Kurwa. Przy całej dotychczasowej dyskrecji, jaką utrzymywano w tej sprawie, taki komunikat na normalnej częstotliwości, przy ryzyku, że zostanie podsłuchany przez media, oznacza, że szycy naprawdę mają pietra.

- Ty też byś miał, gdybyś był burmistrzem Nowego Jorku i zamordowano by ci bestialsko syna.

- Fakt, przyznaję ci rację.

Żarty się skończyły. Zdarzało się tak już wiele razy i zdarzy się jeszcze nie raz. Było zawsze coś, co pojawiała się nieproszone, żeby przypomnieć, co to znaczy krążyć po ulicach w mundurze wozem z napisem NYPD. Jednak oni to zaakceptowali i musieli z tym żyć, tak samo, jak uczyniło to wielu ich kolegów, którzy nie mogli już o tym opowiedzieć.

Na samym początku Robling Street skręcili na prawo, w ulicę prowadzącą w dół, ku East River. Przecięli White Avenue i znaleźli się w głębi Clymer Street, naprzeciwko szyldu Brooklyn Navy Yard.

Za zardzewiałą siatką widać było sylwetki starych wagonów metra, czekających na zniszczenie. W ciemności kilka innych budowli z ciemnej cegły, w większości

opuszczonych i rozpadających się, górowało nad ulicą, patrząc na nią oczodołami wybitych szyb. Były gotowe zarówno do przebudowy na obiekty mieszkalne, jak i na to, żeby stać się w przyszłości znaczącym znaleziskiem industrialnej archeologii.

Sereena skręciła w lewo i samochód sunął z umiarkowaną prędkością przez Kent Avenue, kierując się na południe, w stronę Brooklyn Heights. Teraz jechali wzdłuż składowiska, gdzie zaparkowane były zarekwirowane samochody, które po upływie wyznaczonego terminu miały zostać wystawione na aukcję.

Lukas rozkojarzył się na chwilę, patrząc w zamyśleniu na rzędy samochodów, które poniekąd zdradzone przez właściciela oczekiwały na nowego.

- Jezu Chryste. A to, kto, do diabła?

Słyszac zaalarmowany głos Sereeny, policjant szybko spojrzal na ulice.

W niewyraźnym świetle latarni widać było mężczyznę, który wyszedł przez jedną z otwartych furtek w ogrodzeniu i teraz biegł w ich kierunku z podniesionymi rękami. Poza kilkoma strzępami ubrania, które podskakiwały mu na ramionach, był zupełnie nagi i poruszał się, jakby każdy krok kosztował go straszliwy wysiłek. Kiedy ich zobaczył i zrozumiał, że ma przed sobą wóz policyjny, nagle się zatrzymał z malującym się na twarzy jednocześnie wyrazem ulgi i cierpienia. Położył ręce na piersi i opadł powoli na kolana. Pozostał nieruchomy na asfalcie pośrodku jezdni, jakby w zatrzymanym obrazie.

Sereena zahamowała i obydwójce z Lukaszem wysiedli, zostawiając otwarte drzwiczki samochodu. Kiedy się zbliżali, dziewczyna dostrzegła kątem oka, że jej towarzysz wyciągnął pistolet z kabury.

Dotarli do klęczącego mężczyzny, który oddychał z trudem i patrzył na nich oczami, z których spływały niedowierzające łzy kogoś, kto widzi cud. W świetle reflektorów zdołali w końcu rozróżnić wyraźnie rysy jego twarzy.

- Sereena, rysopis odpowiada temu, który właśnie nam podano.

- Okej, Luke, bądź czujny.

Podczas gdy Lukas rozglądał się po okolicy z wycelowanym rewolwerem, dziewczyna przyklekła obok patrzącego na nią w milczeniu mężczyzny, przyciskającego obie ręce do klatki piersiowej. Jego oddech przypominał rżenie, a on sam wydzielał silny odór ekskrementów. Sereena Hitchin spojrziała na wewnętrzną stronę jego ud, pobrudzonych jakąś substancją, której konsystencja i fetor wyraźnie wskazywały na fekalia.

- Pan jest Alistair Campbell?

Mężczyzna z trudem pokiwał głową, po czym zamknął oczy i osunął się powoli na ziemię. Przełamując obrzydzenie wywołane przenikliwym odorem i powstrzymując mdłości, Sereena uniosła szybko jego głowę, żeby nie uderzyła w asfalt.

Przyłożyła mu palce do szyi. Puls, który odnalazła, był biciem oszalałego serca.

- Ma atak serca. To migotanie przedsionków. Potrzebna jest karetka.

Wciąż zachowując czujną postawę, Lukas zaczął się cofać w stronę samochodu. Chwilę potem Sereena usłyszała, że rozmawia z centralą i prosi o pomoc lekarską i posiłki.

Zajęła się na powrót tą nędzną kupką wstydu i strachu, w jaką ktoś przeobraził Alistaira Campbella.

Mężczyzna uniósł powieki. Jego głos był chorym tchnieniem wydobywającym się z trudem z ciała, przechodząc obok bębnow całkowicie oszalałego serca.

Sereena usłyszała, jak szepcze jakieś słowa, jednak zbyt cicho, żeby mogła je rozpoznać.

- Co powiedziałeś? Nie zrozumiałam.

Osoba zidentyfikowana jako Alistair Campbell uniosła lekko głowę i ten gest zdawał się owocem olbrzymiego wysiłku. Sereena podłożyła mu rękę pod kark, żeby go podtrzymać i pochyliła się, żeby przysunąć ucho do jego ust.

Jego słabe słowa zgubiły się niemal w hałasie kroków Lukasa, który właśnie nadbiegał.

- Za chwilę powinna przyjechać karetka...

Sereena powstrzymała go zdecydowanym ruchem ręki.

- Cicho bądź.

Zaraz potem znów pochyliła się nad leżącym na ziemi mężczyzną, ale zobaczyła tylko jego oczy przyoblekające się powoli ciemnością, panującą po drugiej stronie metalowej siatki, niemal jakby mrok spływał powoli na niego, stając się jego częścią, tak jak zimą czyni to nadrzeczna mgła. Z półotwartych ust wydobyły się ostatnie słowa wraz z ostatnim tchnieniem, z życiem.

Policjantka natychmiast zrozumiała daremność wszelkiej pomocy. Poczwała pod palcami, jak szybkie i urywane bicie serca zwalnia, słabnie, znika. Chwilę potem czuła już tylko letnią skórę ciała, w którym krew miała się już na zawsze zatrzymać.

Sereena Hitchin, jak za każdym razem, kiedy zmuszona była asystować przy śmierci, doznała uczucia straty, którego - była tego pewna - lata służby nigdy nie złagodzą. Podniosła rękę, zamknęła zmarłemu oczy i miała nadzieję, że któraś z

modlitw wznoszonych w tym momencie wokół niej będzie na tyle przepelniona wiara,  
zeby towarzyszyć duszy tego biedaka w drodze we właściwe miejsce.

## 34

Prawdziwą walką była walka z czasem, jak zawsze i jak wszędzie.

Siedząc na miejscu pasażera w samochodzie przemierzającym ze światłem migowym na dachu ulice Nowego Jorku, Jordan patrzył przed siebie i miał wrażenie, że to przemykające obok niego światła i cienie są w ruchu, a nie pojazd, którym jedzie. Wydawało mu się, że jest w jednym z tych prymitywnych efektów specjalnych wymyślonych przez Macka Sennetta, żeby stworzyć efekt ruchu w epoce kina niemego, kiedy to osoby i rzeczy pozostawały nieruchome, a za nimi przesuwiał się ogromny walec z narysowaną panoramą.

I być może tak w istocie było.

Każda osoba zamieszana w tę sprawę sądziła, że posuwa się do przodu, tymczasem to świat przebiegał szybko obok nich, fałszywy i zwodniczy, z poczuciem szyderstwa wobec ich bezradnej martwoty.

Burroni prowadził w skupieniu, a refleksy ulicy deformowały mu miejscami rysy twarzy, raz oświetlone, raz zacienione, dając Jordanowi obraz osoby podlegającej nieustannym zmianom, podczas gdy wiedział doskonale, że dominuje w nim jeden stan ducha: pewność porażki.

Z tyłu siedziała Maureen Martini, milcząca i osamotniona. Jordan podziwiał hart ducha tej dziewczyny, rozdartej między racjonalnością namacalnego a czymś, co nie miało żadnego rozumowego wyjaśnienia. A trudno też było przewidzieć, że znajdzie je w przyszłości. Mało kto umiałby zaakceptować to, co się z nią działo, mając niezachwianą pewność, że nie zwariowała.

Dzięki niej zidentyfikowali Snoopy'ego. Kiedy to się stało, wszyscy zbyt się spieszyli i byli zbyt zakłopotani, żeby zatrzymać się na chwilę i zastanowić, w jaki sposób do tego doszło. Zadzwonili do domu Alistaira Campbella, ale nikt nie odpowiadał. Również komórka zarejestrowana na jego nazwisko była wyłączona. Po szybkim przeszukaniu Internetu znaleźli nazwisko jego agenta literackiego. Dotarli do Raya Migdali, który poinformował ich o ostatniej rozmowie telefonicznej z

Campbellem. Dowiedzieli się, że niedawno wylądował na lotnisku Kennedy'ego i teraz kieruje się do domu. Zawiadomili Burroniego i zaraz potem Jordan z Maureen pospieszyli pod adres podany im przez Migdałę policyjnym wozem, który stał zawsze w pogotowiu przed Gracie Mansion.

Podczas podróży dotarł do nich komunikat.

Radio samochodowe zaczęło trzeszczeć i siedzący za kierownicą funkcjonariusz podniósł słuchawkę.

- Tu Lowell.

- Detektyw Burroni. Czy jedzie z tobą Jordan Marsalis?

Teraz głos zabrzmiał w głośniku dziwnie wyraźnie. I Jordan rozpoznał po tonie, że chodzi o złe wieści. Wziął od policjanta mikrofon.

- To ja, James. Słucham.

- Przyjechałem i zastałem już patrol. Znaleźli się tu, bo niedawno jakiś facet, który ma pracownię krawiecką naprzeciwko domu Campbella, zawiadomił policję, że widział porwanie.

Jordan poczuł mroźne powietrze, jakby temperatura klimatyzacji w samochodzie spadła nagle poniżej zera. Uznał za zbędne kontynuowanie rozmowy przez radio.

- Będę za dwie minuty. Porozmawiamy na miejscu.

Kiedy chwilę potem dotarli na róg Bedford i Commerce Street, zobaczyli przed domem Alistaira Campbella wóz patrolowy i służbowy samochód Burroniego. Detektyw stał na chodniku z mężczyzną w średnim wieku, wysokim brunetem o kreolskiej karnacji, ubranym w sposób przypominający londyńską Carnaby Street z lat siedemdziesiątych.

Wysiedli z samochodu prosto na nich. Burroni spojrzał zdziwiony na Maureen i zaraz potem przesunął pytający wzrok na Jordana.

- Wszystko w porządku, James. To jest Maureen Martini, komisarz policji włoskiej. Potem ci wyjaśnię.

Niemal w tej samej chwili Jordan zapytał sam siebie w duchu, co mu potem wyjaśni. Burroni nic nie powiedział. Skinął tylko głową w stronę dziewczyny i odwrócił się z powrotem do osoby, z którą wcześniej rozmawiał.

- Panie Sylva, proszę powtórzyć państwu, co pan widział.

Mężczyzna o oliwkowej karnacji zaczął swoją opowieść zabarwioną południowoamerykańskim akcentem, który Maureen rozpoznała jako portugalski. Sylva wskazał ręką oświetloną witrynę za swoimi plecami.

- Byłem w swoim sklepie i pracowałem. Zatrzymała się taksówka i wysiadł Alis.  
- Alis, czyli Alistair Campbell?  
- Tak. Znam go od lat i przyjaciele tak go nazywają.  
- Proszę kontynuować.  
- Zapłacił za kurs i skierował się do drzwi wejściowych. Z tyłu podjechał samochód i jakiś facet otworzył drzwiczki...

Burroni przerwał mu, rzucając Jordanowi znaczące spojrzenie.

- Proszę go opisać.

Zanim jeszcze pan Sylva się odezwał, Jordan wiedział już, co powie.

- Nie widziałem jego twarzy, bo miał na sobie dres z podniesionym kapturem, ale mogę powiedzieć, że był wzrostu nieco wyższego niż przeciętny i utykał lekko ma prawą nogę.

- Co się potem stało?

- Wysiadł z samochodu, zszedł Alisa od tyłu i zaatakował. Złapał ręką za szyję, jakby chciał go udusić, i Alis musiał zemdleć, ponieważ ten drugi podtrzymał go i załadował do samochodu na tylne siedzenie. Potem siadł za kierownicą i odjechał.

- Nie zapisał pan numeru rejestracyjnego?

- Nie zdążyłem. Jak widzicie, nie ma tu dużo światła, a on ruszył ze zgaszonymi reflektorami. Ale samochód pamiętam dobrze. Był to bardzo zniszczony dodge nova o nieokreślonym kolorze. Na karoserii widziałem pełno plam gipsu.

Zakończenie opowieści przyniosło Jordanowi, Maureen i Burroniemu ciszę, która jest też końcem wszelkiej nadziei. Trwali bez słów i bez ruchu, mając jedynie możliwość podania przez radio komunikatu o poszukiwanym samochodzie porywacza.

Co też uczynili.

Kilka minut później dostali sygnał od patrolu z Williamsburga, że Alistaira Campbella odnaleziono.

Martwy.

Jordan złapał się uchwytu nad drzwiami, kiedy samochód skręcał w lewo, żeby wjechać w Kent Avenue i nakierować się na migoczące światła widoczne za linią barierok. Zgodnie z instrukcjami ulica została odgradzona ze wszystkich możliwych stron. Nad ich głowami słychać było turkot śmigieł helikoptera, ale nie wiedzieli, czy należy on do policji, czy do jakiegoś kanału telewizyjnego.

Niemal ze wszystkich okien domów stojących przy Kent Avenue ludzie przyglądali się z zaciekawieniem, jakie zawsze spektakl śmierci wywołuje wśród publiczności. Jordan pomyślał z goryczą, że termin „scena zbrodni” nigdy bardziej niż w tej chwili nie pasował do sytuacji.

Gdy dotarli do barierek, jeden z policjantów dał znak swoim dwóm kolegom, by je odsunęli i przepuścili samochód.

Wjechali powoli i zatrzymali auto za wozem policyjnym stojącym na środku ulicy. Kawłek dalej, wyciągnięte na asfalcie w świetle reflektorów, leżało prześcieradło, pod którym można się było domyślić sylwetki ludzkiego ciała.

Surowe światła reflektorów i ich błękitne odbicie na prześcieradle przypomniały Maureen inne samochody, inne reflektory, inną scenę, która wydarzyła się tysiące kilometrów stamtąd, ale w jej głowie wciąż zaledwie przed kilkoma minutami.

„Nieprzyjemne, prawda?”

Tak. To było nieprzyjemne. Zawsze i na zawsze straszny był widok istoty ludzkiej zabitej przez innego człowieka, leżącej na ulicy jedynie pod osłoną litościwej, płóciennej tkaniny.

Młody, atletycznie zbudowany policjant stał obok samochodu. Kiedy zobaczył, jak wysiadają z auta, ruszył w ich kierunku.

- Jestem sierżant First. Byłem na patrolu z sierżant Hitchin. To my dwoje nawiązaliśmy kontakt.

- Detektyw Burroni. Zajmuję się tą sprawą.

Detektyw nie zadał sobie wcale trudu, żeby przedstawić osoby, które mu towarzyszyły. Po części dlatego, że nie było to konieczne, ale przede wszystkim, dlatego, że nie wiedział dobrze, w jaki sposób miałby uzasadnić ich obecność na miejscu zbrodni.

- Czy już nie żył, kiedy go znaleźliście?

Policjant potrząsnął głową. Kosmyk włosów podskoczył na jego czole.

- Żył. Wybiegł przez tamtą furtkę i skierował się w naszą stronę. Był zupełnie nagi i wydawał się przerażony. Kiedy nas zobaczył, upadł na kolana, niemal zemdlony. Na podstawie rysopisu założyliśmy, że może to być poszukiwana osoba. Chwilę wcześniej usłyszeliśmy komunikat. Zapytaliśmy go o to, a on potwierdził ruchem głowy. Potem, jak przypuszczam, dostał ataku serca. Kiedy do nas dotarł, miał migotanie.



Jordan odszedł kilka kroków od grupy i rozglądał się dokoła, jakby ta sprawa go nie interesowała. Burroni poznał już go na tyle, by wiedzieć, że nie umyka mu nic z tego, co mówi policjant.

- Czy powiedział coś przed śmiercią?

- Nie wiem. Kiedy umarł, byłem w samochodzie, prosząc o ambulans i posiłki. W chwili śmierci była z nim moja partnerka.

Jordan podszedł i po raz pierwszy zabrał głos.

- Gdzie ona teraz jest?

First zrobił znak ręką w stronę świateł migających za metalowym ogrodzeniem, zapalonych, żeby oświetlić hale przemysłowe w tle.

- Sierżant Hitchin jest tam, gdzie znaleziono samochód użyty do porwania.

Jordan znów odszedł i ruszył w kierunku ciała leżącego na ziemi pod prześcieradłem. Ukląkł i odchylił brzeg tkaniny. First, Maureen i Burroni poszli jego śladem i stanęli za jego plecami.

- Biedny chłopak. Strasznie go urządzili.

Maureen uklękła obok Jordana. Wyciągnęła rękę i podniosła prześcieradło, odkrywając ciało niemal całkowicie.

- Musiał być naprawdę przerażony. Ten odór wydaje się pochodzić od ekskrementów i są wszelkie motywy, by uważać, że to jego odchody.

W jej stanowczym głosie była litość, ale nawet cienia emocji wywołanej tym, co przed chwilą zobaczyła. Jordan przyznał przed samym sobą, że jego podziw dla tej dziewczyny rósł w sposób niepomierne.

- Fakt. Żeby dojść do tego i dostać ataku serca, musiał doznać strachu w stanie czystym. Myślę, że należałoby rzucić okiem na samochód.

Wsiedli z powrotem do auta, zostawiając Firsta, żeby pilnował ciała w oczekiwaniu na brygadę kryminalistyczną i lekarza sądowego. Przejechali z umiarkowaną prędkością ciemny odcinek ubitej drogi pomieszanej miejscami z asfaltem, która prowadziła do hangaru. Zostawili za swoimi plecami scenę zbrodni, osłupiałych ludzi w oknach, chorobliwe oczekiwanie na bis, na który śmierć zawsze pozwalała. Minęli porastające skraj drogi nieliczne miejskie krzaki, które mimo wszystko wyrosły w tym nieprzyjnym miejscu, silniejsze od smogu i kwaśnych deszczów.

Kiedy dotarli do końca drogi, znaleźli się naprzeciw hali po lewej stronie rozległego terenu, dokładnie obok placu budowy jakiegoś nowego gmachu. Tutaj,

przed przesuwanymi drzwiami, otwartymi na panującą wewnątrz ciemność, stały zaparkowane dwa wozy policyjne obok dodge'a, opisanego przez Sylwę jako auto, którym uciekł porywacz Alistaira Campbella. Bagażnik był otwarty i jeden z policjantów kontrolował go przy użyciu latarki elektrycznej. Kiedy Burroni, Maureen i Jordan wysiedli z samochodu i stanęli za jego plecami, odsunął się, żeby umożliwić nowo przybyłym zapoznanie się z tym, co jest w środku, a także żeby samemu uwolnić się od wydobywającego się stamtąd przenikliwego smrodu.

- Jest tam coś?

- Są tu tylko łachmany, które cuchną tak, że można zwymiotować. Bagażnik był już otwarty, kiedy przyjechaliśmy. Wnętrza samochodu jeszcze nie oglądaliśmy, bo czekaliśmy na was.

- Bardzo dobrze.

Burroni wyjął z kieszeni lateksowe rękawiczki i podał je Jordanowi.

- Myślę, że do ciebie należy ta czynność.

Gest ten nie był poddaniem się, ale akceptacją. Jordan podziękował mu ruchem głowy, który, miał nadzieję, nie zniknął w ciemności.

Włożył rękawiczki, wziął latarkę od policjanta i otworzył tylne drzwiczki samochodu. Snop światła rozjaśnił wnętrze ze sztucznej, zużytej skóry, która popękała, tworząc coś na kształt pajęczyny. W samochodzie unosił się zapach wilgoci i kurzu.

Jordan przesunął bez rezultatu latarkę, aż na podłodze za siedzeniem pasażera zobaczył torebkę z przezroczystego plastiku, w której coś było. Pochylił się, opierając o fotel, chwycił torebkę lewą ręką i wynurzył się z samochodu.

Podał latarkę Burroniemu.

- Poświeć mi, proszę.

Wsunął rękę do torebki i wyciągnął z niej czerwoną tkaninę, w którą owinięty był jakiś pakunek. Rozwinął go delikatnie i znalazł w środku parę starych okularów o dziwnym kształcie, które zamiast zauszników miały rozciągniętą gumkę, a także czepek z pikowanej skóry o wytartej fakturze. Przyglądał się przez chwilę tym przedmiotom rozłożonym niczym znaleziska ze świata hipotez na kolorowej ściereczce, która okazała się wełnianym szalikiem. Jordan podniósł gwałtownie głowę.

- Co jest w środku baraku?

Odpowiedział mu inny policjant, który stanął właśnie za ich plecami.

- Jeszcze tam nie wchodziliśmy. Wyłączniki nie działają. Wysłałem sierżant Hitchin z poleceniem, żeby podłączyli światło.

Jakby na potwierdzenie sprawnego działania sierżant Hitchin rząd słabych, jarzeniowych rurek rozjaśnił niepewnym światłem wewnątrz budynku. Grupka osób stanęła w progu i każda z nich zamarła ze zdumienia.

Hangar pełen był wraków starych samolotów, zaparkowanych tam najwyraźniej w oczekiwaniu na odrestaurowanie. Stały tam dwa hurricane'y, jeden spitfire, messerschmitt z wyraźnymi symbolami Luftwaffe, japońskie zero z emblematem Wschodzącego Słońca. Na pół zasłonięta nowszymi maszynami, w głębi rysowała się sylwetka starego dwupłatowca, którego Jordan rozpoznał jako savoia marchetti.

Mimo woli wydał z siebie jęk wściekłości.

- Cholerny skurwysyn.

Potrząsnął przedmiotami, które wciąż trzymał w ręku niczym niewdzięczny odwet na jego bezsilności w obliczu tego, co sobie właśnie uświadomił. Burroni i Maureen odwrócili się w jego stronę.

Jordan wskazał palcem sylwetkę dwupłatowca.

- To jest stara czapka lotnicza, a to są okulary z tej samej epoki. Poza tym jest szalik. Łajdak chciał wsadzić do samolotu Alistaira Campbella ucharakteryzowanego na Snoopy'ego, kiedy ten bawi się w asa lotnictwa z pierwszej wojny światowej.

Burroni zdał sobie sprawę, że się pogubił i że są różne rzeczy, które przywiodły ich w to miejsce, nie całkiem dla niego zrozumiałe.

- Tak, ale dlaczego miał być nagi?

Usta Jordana skrzywiły się w uśmiechu, który był jednocześnie gorzki i przepełniony poczuciem winy.

- Jest to, jak sędzę, kolejny przejaw finezji naszego człowieka, James. Snoopy to pies i poza kilkoma charakterystycznymi elementami w komiksach nie nosi nigdy ubrań.

W tej chwili zza hangaru dotarł chrzęst kroków zbliżających się po żwirze. Zaraz potem z mroku za rogiem wyłoniła się piękna ciemnoskóra dziewczyna w granatowym mundurze, która rzuciła zaciekawione spojrzenie do wnętrza budynku i natychmiast ruszyła w ich stronę.

Burroni poczekał, aż się do nich zbliży. Jordan pozwolił, żeby mówił, ponieważ rozumiał, że James musi odzyskać trochę pewności siebie.

- Pani jest sierżant Hitchin?

- Tak jest.
- I to pani była przy Alistairze Campbellu, kiedy go znaleźliście.
- Tak.
- Czy powiedział coś przed śmiercią?
- Tak, wymamrotał kilka słów.

Jordan poczuł, jak zapala mu się w głowie niebieskie światełko nikłej nadziei.

- Co powiedział?
- Wycedził nazwisko, Julius Whong.
- Tylko to? Nic więcej?

Dziewczyna zdawała się zakłopotana. Rzuciła szybkie spojrzenie na swoich kolegów, jakby to, co miała za chwilę powiedzieć, mogło stać się w przyszłości obiektem żartów.

- Chyba źle zrozumiałam, bo nie ma to za bardzo sensu.
- Sierzancie, proszę to nam zostawić do oceny. Proszę powiedzieć tylko to, co pani usłyszała.
- Przed śmiercią Alistair Campbell powiedział coś jeszcze...

Dziewczyna zrobiła pauzę. Jej głos przeciął ciszę ich oczekiwania z hukiem petardy.

- Zaraz po tym nazwisku wyszeptał słowa „Pig Pen”.

## 35

I znów czas stał się przeciwnikiem do pokonania.

Samochód Burroniego po raz kolejny stał się świecącym sygnałem poruszonym szaleństwem przypadkowości na mapie drogowej Nowego Jorku. W owej chwili mogli oni tylko pędzić i mieć nadzieję, że zyskają prawo zabrania głosu w ogłuszającym zgiełku całego tego zamętu. Ujawnienie przez sierżant Hitchin ostatnich słów Alistaira Campbella sforsowało drzwi, które wydawały się już na zawsze zatrzaśnięte. Wiedzieli doskonale, kim jest Julius Whong, ale nie wiedzieli, dlaczego Julius Whong jest Pig Penem.

Jechali teraz do jego domu, żeby to odkryć.

Mimo rozdzierającego wycia syren Jordan usłyszał komórkę dzwoniącą w kieszeni.

Nacisnął przycisk i zdało mu się, że głos brata dotarł do niego, zanim jeszcze uruchomił połączenie.

- Jo, tu Chris. Jakieś nowiny?

- Tak, i nie są dobre. Alistair Campbell nie żyje.

Nastąpiła chwila ciszy, podczas której Jordanowi wydawało się, że słyszy, jak przez mikrofon przebiega stłumiony i wściekły podmuch przekleństwa.

- Z tej samej ręki?

- Wygląda na to, że tak, choć tym razem naszemu człowiekowi coś nie wyszło. Nie wiemy, jak się to stało, ale Campbell zdołał uciec. Musiał mieć coś nie w porządku z sercem, bo emocje wywołały u niego atak, który miał fatalne skutki. Jednak przed śmiercią zdążył dać nam wskazówkę.

- To znaczy?

- Z jego ostatnich słów można przypuszczać, że następną ofiarą ma być Julius Whong. Jedziemy do jego domu.

- Julius Whong? Jezu Chryste, Jordan. Wiesz, kim jest jego ojciec?

- Oczywiście, że wiem. Wiem też, kim on jest.

Po chwili szybkiej refleksji nastąpiła błyskawiczna analiza faktów, po czym burmistrz Nowego Jorku nie mógł zrobić nic innego, jak tylko zaakceptować sytuację.

- W porządku. Ale bądź ostrożny. I poślij przodem Burroniego.

- Zrozumiałem. Będę cię na bieżąco informował.

Jordan zamknął telefon i włożył z powrotem do kieszeni.

Niepokój Christophera był bardziej niż usprawiedliwiony.

Nie bez powodu ostrzegł Jordana, żeby trzymał się krok za Burronim. Ponieważ Jordan nie miał etatu w policji, istniała uzasadniona obawa, że cokolwiek się wydarzy, może zostać uznane za uchybienie procedurze.

Julius Whong był jedynym synem Cesara Whonga i to czyniło z niego oficjalnie przedstawiciela nowojorskiej śmietanki towarzyskiej. Tymczasem chłopak był w rzeczywistości kimś w rodzaju zepsutego psychopaty, którego tylko pieniądze, władza ojca i cały sztab bardzo kosztownych adwokatów uchroniły kilkakrotnie przed więzieniem. Między innymi dwie dziewczyny oskarżyły go o gwałt i pobicie, ale oskarżenie zostało skwapliwie wycofane przed rozpoczęciem procesu, kiedy pojawiły się bliżej niezidentyfikowane okoliczności, które można było jednak odnieść do pana Whonga seniora.

Pieniądze, pogrożki czy co tam jeszcze.

Z pozoru Cesar Whong był zapracowanym biznesmenem zaangażowanym w różne sektory gospodarki, ze szczególnym uwzględnieniem wielkiej dystrybucji i budownictwa. W rzeczywistości, choć nikomu nie udało się nigdy tego udowodnić, zamieszany był w dużo mniej budujące interesy, związane z przemytem narkotyków i handlem bronią. Kiedy był jeszcze młodzieńcem z wielką fantazją i niewielkimi skrupułami, jego ogromna fortuna została zapoczątkowana dzięki błyskotliwej strategii prania brudnych pieniędzy w chińskich butikach przy Canal Street. Potem została pomnażana w taki sam sposób, aż osiągnął pozycję władzy absolutnej. Cesar Whong mógł liczyć na nietykalność i mówiło się, że na swojej liście płac ma bliżej nieokreśloną liczbę senatorów. Wszystko to pozostawało jednak w kręgu przypuszczeń. Jedynym pewnikiem pozostawał fakt, że lepiej nie nastąpić mu na odcisk. A gdyby cokolwiek stało się jego synowi, odpowiedzialny słono by za to zapłacił.

Słowa Christophera stanowiły pełne potwierdzenie tej teorii.

Samochód Burroniego zatrzymał się z podskokiem zawieszania przed trzypiętrową budowlą w zachodniej części Czternastej Ulicy, w samym środku Meat

Market District. Wóz Lukasa Firsta i Sereeny Hitchin ustawił się za nim, a zaraz potem jeszcze jedno auto z dwoma funkcjonariuszami, których znaleźli na miejscu, w Williamsburgu.

Nazwa Meat Market pochodziła stąd, że jeszcze do niedawna mieściły się tam magazyny hurtowników mięsa, zaopatrujących całe miasto. Teraz była to dzielnica w trakcie przebudowy, w pełni rozkwitu. W istocie, za ich plecami, po przeciwnej stronie Jackson Square, wznosiły się dwie budowle otoczone rusztowaniami, zwieńczonymi długim ramieniem żurawia, rysującym się niepokojąco w refleksie światła miasta na czarnym ekranie nieba.

Potrzeba eksponowania bogactwa ogarniała coraz większe połacie Nowego Jorku i dlatego mniej zamożne warstwy były spychane na coraz odleglejsze peryferie. Bieda, odwieczna rywalka chciwości, była powoli, ale nieuchronnie odsuwana i strącana z powrotem do morza.

Na tym odcinku ulicy kontrast między pragnieniem bycia a pragnieniem pokazania się był jeszcze bardziej wyraźny. Po jednej stronie ciągnęły się magazyny z mięsem z otwartymi na oścież podwojami. O tej porze stało tam dużo zaparkowanych ciężarówek z wielkimi tylnymi drzwiami wychodzącymi na rampy załadunkowe i na przenośnikach taśmowych mężczyźni przesuwali ćwiartki wołów zawieszane na metalowych hakach.

Był jakiś kanibalski urok w tym spektaklu, w tym krwawym i zmysłowym rytuale, odbywającym się jakby w ukryciu, gdzie Wulkan i jego pomocnicy, przy blasku odbijających się w murach pochodni, zmuszeni są odżywiać się własnym mięsem, podczas gdy wykuwają broń dla Achillesa, przeznaczoną do przelewania krwi.

Niemal naprzeciwko, kilkadziesiąt metrów dalej, na chodniku przed świeżo wyremontowanymi kamienicami czaiło się szyderstwo butików Stelli McCartney, Bossa i innych sławnych projektantów, z wygaszonymi witrynami, czekających niecierpliwie, aż ten handel mięsem przed ich zamkniętymi oczami się skończy, żeby otworzyć je następnego dnia na tę samą rzeczywistość, ale na zupełnie inne pozory.

Jednak w owej chwili Maureen, Jordan i Burroni, ponaglani wewnętrznym niepokojem, nie mieli czasu, żeby zastanawiać się nad tym, co ich otacza. Wskoczyli z samochodu, jakby nagle wypełnił się gazem łzawiącym.

Podeszli do drzwi wejściowych domu, w którym według ich ustaleń mieszkał Julius Whong. Była to lekka budowla z anodowanego aluminium i szyb antywłamaniowych. Niewielki hol widoczny za szkłem był świeżo pomalowany i

niemal w całości zajęty przez drzwi do windy i olbrzymią dracenę, jedyną roślinę ozdobną.

Zbliżyli się do ściany po prawej stronie, na której umocowana była tabliczka domofonu z ekranem wideo. Rzuciwszy szybkie spojrzenie, Jordan nacisnął przycisk z literą J.

Nikt nie odpowiedział.

Jordan zadzwonił jeszcze raz, ale domofon pozostawał niemy i głuchy. Spróbował ponownie, przytrzymując dłużej palec na przycisku. W końcu dotarł do ich uszu melodyjny dźwięk szumiącego mikrofonu, a zaraz potem opryskliwy głos.

- Kto tam?

Burroni przysunął odznakę do kamery, po czym ustawił się w taki sposób, żeby być jak najlepiej widocznym w kadrze.

- Policja. Detektyw Burroni. Czy pan Julius Whong?

- Tak. Czego, do kurwy, chcecie?

- Wyjaśnimy, jeśli nas pan wpuści.

- Macie nakaz?

- Nie.

- No to spieprzajcie stąd.

Twarz Burroniego stężała. Jordan wiedział, że chętnie walnąłby w głowę, z której wydobywał się ten bezczelny głos. Tymczasem zdołał przemówić tonem udawanego spokoju:

- Panie Whong, nie potrzebujemy nakazu. Nie jesteśmy tu, żeby pana aresztować ani dokonać przeszukania.

- Powtarzam więc pytanie na wypadek, gdyby woszczyna zatkała wam uszy. Czego, do kurwy, chcecie?

Jordan odsunął delikatnie Burroniego i ustawił się przed zimnym okiem kamery.

- Panie Whong, mamy poważne powody sądzić, że ktoś zamierza pana zamordować. Chce pan, żebyśmy weszli i o tym porozmawiali, czy też woli pan, żebyśmy zostawili pana samego, aby mógł pan osobiście zadać to pytanie swojemu zabójcy, kiedy pojawi się z rewolwerem w ręku?

Szum mikrofonu nagle ustał i na chwilę zapadła cisza. Choć nie uważał tego za prawdopodobne, Jordan miał nadzieję, że za sprawą boskiej sprawiedliwości Julius Whong po tych słowach narobił w gacie jak ten biedak Alistair Campbell.



Po czym wreszcie zamek szczęknął i Burroni otworzył drzwi. Jordan położył mu rękę na ramieniu.

- James, może będzie lepiej, jeśli Maureen i ja pozostaniemy na zewnątrz.

Burroni nie słyszał ostrzeżeń Christophera, ale przyswoił natychmiast sens tego, co powiedział Jordan.

- Tak, może będzie lepiej.

Odwrócił się do funkcjonariuszy stojących za ich plecami. Wskazał Lukasa Firsta i Sereenę Hitchin.

- Wy dwoje idziecie ze mną. Reszta niech się tu rozejrzy i miejcie oczy szeroko otwarte.

Para policjantów wybranych przez Burroniego podążyła za detektywem do środka i cała trójka znikła, wchodząc pieszo po schodach. Pozostali dwaj ruszyli, żeby sprawdzić okolicę.

Jordan i Maureen zostali sami na ulicy. Przez jakiś czas mężczyźni rozładowujący mięso interesowali się ich obecnością, ale z powodu braku akcji wywołanej przybyciem policji wrócili do swojej pracy.

Po przeciwnej stronie ulicy, przy rogu z Jedenastą Aleją, na chodniku stało dwóch bramkarzy w szarych garniturach z High Noon, bardzo znanej dyskoteki, uczęszczanej przez fotomodelki i ludzi z branży mody, co jeszcze bardziej podkreślało formalne sprzeczności tej okolicy.

Jordan spojrzął na twarz Maureen i zobaczył, że jest zmęczona i ma podkrążone oczy. Miał nadzieję, że będzie potrafiła zapomnieć o tym, co się jej przydarzyło, albo przynajmniej, ze względu na spokój ducha, zdoła jakoś się z tym oswoić.

- Nie jestem w stanie zrozumieć, co się dzieje, Jordan. Zbyt wiele rzeczy w zbyt krótkim czasie. I jeśli mam być szczerą, boję się. Czuję piekielny strach.

Jordan usłyszał, jak jej głos słabnie przy wypowiedaniu ostatniego zdania. Potem zobaczył, że spuszcza głowę, jakby się wstydzila chwili słabości. Zbliżył się do niej i ujął ją pod brodę.

- Ja też bym się bał, gdybym był na twoim miejscu.

- Ale ty przynajmniej wiesz, kim jesteś w całej tej historii. A ja już niczego nie pojmuję.

Jordan potrząsnął głową i na znak przyjaźni posłał jej ledwie widoczny uśmiech.

- Maureen, ja też dobrze nie wiem, jaka jest moja rola w tej sprawie. Teraz, kiedy ty także w niej uczestniczysz, rozumiem, że trudno jest zaakceptować tę sytuację.

Jesteś jednak wspaniałą kobietą i nie wątpię, że byłaś i znów będziesz znakomitą policjantką.

Maureen spojrzała bez słowa w jego nieprawdopodobnie błękitne oczy.

Znała tego człowieka od kilku godzin, ale czuła, że może mu zaufać. Miała w jakiś sposób świadomość, że oddaleni o kilometry, przeszli przez takie same doświadczenia i że te doświadczenia stały się podstawą instynktownego związku, jaki się między nimi wytworzył.

W błysku łez odbijała się noc, która ich otaczała i która była w jej nowych oczach. Wspięła się na czubkach palców i Jordan poczuł wilgotne ciepło jej warg na swoim policzku. Nawet przez chwilę nie pomyślał, że w tym pocałunku może być choćby minimalna zmysłowa aluzja. Był to tylko sposób na wyrażenie bez pośrednictwa słów, że „zrozumiałeś mnie i ja cię zrozumiałam”.

- Wszystko będzie dobrze, Maureen - powiedział.

Otoczył ramionami zgrabne i smukłe ciało dziewczyny,

i przyjął ze zrozumieniem wyraz jej twarzy opierającej się na jego piersi. Począł, aż spłynie na nią dobrodziejstwo łez, rozpoczynające powolny proces odbudowywania systemu odporności.

- Wszystko będzie dobrze - powtórzył.

Trwali nieruchomo w oświetlonym prostokącie przeszklonych drzwi odbijających się w asfalcie, dodając sobie wzajemnie odwagi.

Kiedy Jordan podniósł wzrok, zobaczył po drugiej stronie ulicy stojącą nieruchomo przy dużej limuzynie bmw Lyse, która mu się przyglądała.

„Osoba z takimi oczami”...

Po ich wspólnej podróży do Poughkeepsie i rozmowie w restauracji nad rzeką, Jordan przeniósł się ze swoim niewielkim dobytkiem do hotelu przy Trzydziestej Ósmej Ulicy i od tej pory ani razu się nie spotkali ani nie rozmawiali. Kiedy Lysa zorientowała się, że Jordan ją zobaczył, odwróciła gwałtownie głowę w stronę grupki mężczyzn i kobiet, którzy wyszli właśnie z dyskoteki. Podeszli do niej i ze śmiechem rozdzielili się między bmw i porsche cayenne, zaparkowane zaraz za nim. Lysa wsiadła do dużej limuzyny, zajmując miejsce obok kierowcy.

Samochód ruszył i oddalił się, a ona pozostała przez cały czas wpatrzona w jeden punkt przed sobą, pozostawiając w pamięci Jordana obraz swojego milczącego profilu.

Po chwili nie miał już dłużej czasu myśleć o niczym, bo niemal równocześnie drzwi windy w holu otworzyły się na oścież, odsłaniając trzy postaci w jarzeniowym świetle kabiny.

Jedną z nich był Lukas First, drugą James Burroni.

Trzecią osobą był niewiele ponad trzydziestoletni mężczyzna, wzrostu zbliżonego do detektywa, o doskonałych rysach twarzy, którym dodatkowego uroku przydawało dalekie pochodzenie azjatyckie, przemieszane z dwoma pokoleniami amerykańskimi. Jedyne usta, wąskie i o bezwzględny rysunku, zakłócały urodę tej twarzy. Miał smukłą sylwetkę i włosy gładkie i lśniące, typowe dla ludów Wschodu.

Ubrany był w białą koszulę i ciemne dżinsy, a jego nadgarstki unieruchomiono z przodu parą kajdanek.

Burroni wypchnął go z windy, trzymając jego łokieć. Julius Whong wywinął się, jakby policjant był zadżumiony.

- Nie dotykaj mnie, pieprzona glino. Sam wyjdę.

- W porządku, wychodź sam, ale szybko.

Obserwowany przez Burroniego, chłopak otworzył przeszkłone drzwi i ruszył w kierunku wskazywanym mu przez detektywa. Odwrócił się na chwilę, żeby spojrzeć z pogardą na otaczający go świat, jak gdyby dostał właśnie i przyjął jakieś wyzwanie. Mimo widocznego gniewu Jordan zauważył, że jego oczy były mętne i naznaczone nałogiem i zdeprawowaniem.

Detektyw spojrział na Jordana i Maureen z grymasem, który był milczącą odpowiedzią na wymalowane na ich twarzach pytanie. Sugerował też, żeby nie mieszały się w to, co rozgrywa się właśnie na ich oczach.

Kiedy Burroni i jego więzień zbliżali się do samochodu zaparkowanego kilka metrów dalej, Jordan miał sposobność zauważyć, że Julius Whong bardzo wyraźnie utyka na prawą nogę.

## 36

Lysa Guerrero zdjęła długi T-shirt, w którym spała, i stanęła naga przed lustrem łazienki. Srebrzysta powierzchnia umieszczona na postumencie z białego marmuru odbiła jej obraz od talii wzwyż. Jasny błyszczący kamień kontrastował zmysłowo z jej oliwkową skórą kobiety o latyńskim pochodzeniu, jednak w owej chwili Lysa nie miała ani głowy, ani oczu, żeby czerpać przyjemność z tego widoku. Podniosła rękę, potrząsnęła niedbale długimi włosami, po czym przykryła palcami brązowe brodawki jędrnych piersi o idealnym rozmiarze, żeby zmieścić się w męskiej dłoni. Jej uśmiech pozostawił małą, wilgotną smugę na tafli lustra. Gdyby była marzycielką, pomyślałaby, że za chwilę Jordan Marsalis w koszuli zbroczonej krwią otworzy drzwi za jej plecami, zdumiony jej obecnością.

I wszystko mogłoby zacząć się od początku.

Jednak musiałoby to pozostać w sferze fantazji.

Lysa Guerrero już od dawna nie mogła sobie pozwolić na luksus marzeń, czasem tylko pojawiała się jakieś szalone pragnienie, które najczęściej unosiło się bezkształtnie w powietrzu, pozostając wyłącznie hipotezą.

Przysunęła się do lustra i przyjrzała się z bliska swoim oczom. Odnalazła w nich zgaszony kolor i zaczerwienione ślady dopiero, co minionej nocy, podczas której spała mało i źle.

Kiedy wróciła do domu poprzedniego wieczoru, rozebrała się, położyła do łóżka i zgasła światło, łudząc się, że utopi w mroku otaczającą ją rzeczywistość. Leżała w ciemności z otwartymi oczami, wyposażona tylko w cienką zbroję prześcieradła, mającą ją ochronić przed strachem i goryczą. Przez otwarte okno z niższego piętra wpłynęła do pokoju niczym drwina muzyka, ta sama, co zawsze piosenka przypominana uporczywie przez nieznanego wielbiciela Connora Slave'a.

*i wtedy nie ma chwaty ani pragnienia  
którymi można się upajać albo*

*które można w sobie zdusić  
ani kamienia młyńskiego który w wiatraku  
ten głaz w sercu mógłby skruszyć...*

Pośród tej łagodnej muzyki i jakże wymownego tekstu wciąż przebiegał jej przed oczami obraz Jordana obejmującego dziewczynę, utrwalony w tej szczególnej chwili, kiedy dwie osoby stają się jednością. A do tego, za sprawą kolejnej igraszki losu, właśnie przed tamtym domem...

Kiedy wyszła z dyskoteki w towarzystwie przypadkowych osób, kierując się do nowego miejsca, które zupełnie jej nie interesowało, ruszyła lekkim krokiem w stronę zaparkowanych samochodów, próbując się ludzi, że świat się do niej uśmiecha, że wszystko to, co ją otacza, należy do niej albo może to bez trudu zdobyć.

Potem zobaczyła ich, i w jednej chwili i na zawsze określiła pojęcie normalności.

Mężczyzna urodzony jako taki obejmuje kobietę urodzoną jako taką.

Nie istniały żadne rozwiązania pośrednie, żadne możliwe kompromisy, tylko jakieś kręte drogi, które tak naprawdę do nikogo nie należały. Samce zwierząt wybierają zawsze samice tego samego gatunku. A kieruje nimi zwykły instynkt. W przypadku gatunku ludzkiego dochodził jeszcze rozsądek, który stawiał przeszkody, a żeby sobie z ludzi zadrwić, budował je ze szkła. Można było gdzieś znaleźć małe, zacienione obszary, które nie stanowiły jednak prawdziwego schronienia w oślepiającym słońcu podróży, lecz tylko wyrok dla kogoś, kto jest zmuszony ukrywać się w cieniu przez całe życie.

Odeszła od lustra, zapominając swoją twarz, żeby również tam nie widzieć tego, co nosiła w środku. Weszła pod prysznic i puściła na siebie strumień wody, nie czekając, aż się ogrzeje. Chciała w ten sposób ukryć swoje łzy między milionami innych jednakowych i zimnych kropli, które nie potrafiłyby ich rozpoznać.

Tym razem to nie świat ją odtrącił, ona sama to uczyniła.

Zakochała się w Jordanie w jednym mgnieniu, być może nawet w tej samej chwili, kiedy stanął z krwawiącym nosem w drzwiach łazienki i patrząc swoimi niewiarygodnie błękitnymi oczami, wytrzeszczonymi ze zdumienia, zaskoczył ją nagą.

„Nagiego”, powiedziała ze złością sama do siebie, żeby przypomnieć sobie swoją tożsamość i to, czym mogła ona być w życiu zwykłych śmiertelników. Elegancki i piękny żart natury, która nie zważa na koszty, kiedy chce popisać się swoimi

pozorami. A potem śmieje się z zakłopotania istoty ludzkiej, która staje w obliczu nieprawdopodobnego wyboru, czy wejść do damskiej, czy do męskiej toalety.

Zaproponowała Jordanowi, żeby nadal mieszkał w swoim domu. Uczyniła to instynktownie, pragnąc tylko jego bliskości, wiedząc jednocześnie, że to błąd. I zrobiła coś jeszcze, wynajdując wszelkie możliwe alibi dla swojej decyzji, zdając sobie jednak w głębi duszy sprawę, że ten wybór jest również pomyłką.

Przypomniała sobie determinację, z jaką przyjechała do Nowego Jorku, rytualny niemal obiad, złożony z ostryg i szampana, kiedy zaczął ją tamten głupek imieniem Harry, a ona potraktowała go w taki sposób, w jaki od tamtej pory zamierzała traktować wszystkich. Kiedy wyjeżdżała, miała przed oczami ziemię do zdobycia w całej swojej okazałości, żeby teraz dojść do smutnego wniosku, że w rzeczywistości nie ma tu nic, co warto by zdobywać. To wszystko działo się zaledwie kilka dni wcześniej, a ona miała wrażenie, że chodzi o wydarzenia sprzed lat.

Przez całe życie nie marzyła o niczym innym, tylko żeby ukryć się, przemknąć pod ścianą, bez żadnej ambicji wyjścia na środek ulicy. Pragnęła tego z całej mocy, podobnie jak marzyła o jakiejś miłej osobie, która zaakceptuje ją taką, jaka jest. Szukała tego, co wszyscy, jakiejś niewielkiej pewności i odrobiny rozsądnej, skromnej iluzji.

Tęskniła za tym i próbowała to zdobyć, ale nie było jej dane.

Jej uroda sprawiała, że wszyscy napotkani mężczyźni uganiali się za nią i jej nadskakiwali, ale kiedy odkrywali „kim” i „czym” jest, wychodzące jej naprzeciw uśmiechnięte twarze zamieniały się nagle w plecy i karki oddalających się ludzi.

Zostawały tylko telefony o drugiej w nocy, przepełnione bełkotliwymi od alkoholu monosylabami, kiedy mówili, że przypadkiem znaleźli się w okolicy, i pytali, czy mogą wpaść na chwilę na kieliszek, obiecując, że jeśli to zrobi, nie pożałuje.

W ten sposób rozumiała, że świat, kiedy chronił się przed konwencjami, pragnął takich jak ona. Ukradkiem, w tajemnicy, ale ich szukał. Istniał cały zastęp amatorów, żeby nie powiedzieć zboczeńców, którzy nie chcieli niczego więcej niż spędzić kilka dobrze opłaconych godzin z takimi jak ona dziewczynami, żeby potem powrócić do prozy normalnego życia, z kobietą jako żoną, chłopcami jako synami i dziewczynkami jako córkami.

A ona dalej szła swoją drogą, zaciskając zęby i ocierając łzy, czasami siłą wpychając je do gardła ostrzem ironii.

Potem, pewnego dnia dostała kopertę. W środku była ta tajemnicza propozycja, szalona i perwersyjna, stanowcza i obraźliwa. Ale opłacona w sposób niewiarygodnie kuszący...

Tak, więc uległa.

Powiedziała sobie, że jeśli tego od niej chcą, to dostaną. Sto tysięcy dolarów mogło być dobrym początkiem, rozsądną cenę, żeby poza ciałem kupić również sumienie.

Dwa w cenie jednego.

Ale między nią a ten jej dyskusyjny cel, nad którym w pewnym momencie postanowiła się dłużej nie zastanawiać, wkroczył Jordan. Czowała, jak z każdym dniem coraz bardziej się do niej zbliża, wciągany mimo woli w ów odwieczny taniec między płomieniem a cimą. Potem, w restauracji nad rzeką, po podróży, kiedy on, ona i motocykl mknęli z szaloną prędkością w czasie, który zdawał się nieruchomy, powiedział jej tamte piękne słowa. Kiedy mówił, Lysa widziała, że ustępuje, ale nie poczuła, że akceptuje.

I tę chwiejność Jordana odebrała nie jako czułość, ale pozór siły. Na powrót, więc zeszytniała, zamknęła się i jak zwykle uciekła. Oddaliła go od siebie z powodu powracającej obawy, że przeżyje kolejną iluzję, zupełnie nic, co stanie się jeszcze dotkliwsze z powodu uczuć, jakie żywiła dla tego mężczyzny, a czego nigdy wcześniej nie doznała z taką siłą i gwałtownością.

Teraz, więc znów została sama po raz nie wiedzieć, który, mając u swego boku niepożądane towarzystwo wstydu.

Zakręciła wodę i wychyliła się z kabiny, żeby wziąć szlafrok. Ubrała się i zaczęła wycierać włosy kapturem, stawiając jednocześnie stopy na dywaniku z gąbki. Lustro było zamglone i jej odbicie było tylko niewyraźnym, bezkształtnym ruchem za zasłoną nieruchomej pary.

Więc ona też zastygła na chwilę w bezruchu, niezdecydowana, czy przetrzeć lustro i odnaleźć swój wyraźny obraz.

Po czym odwróciła głowę i skończyła się wycierać. Wyszła na bosaka z łazienki i skierowała się do sypialni. Szybko wrzuciła na siebie dzinsy i wygodną bluzkę, włożyła parę sportowych butów i otworzyła ścienną szafę. Wyjęła z niej największą ze swoich walizek i rzuciła ją na łóżko. Wzięła ubrania wiszące na wieszakach i położyła je obok wielkiego czarnego kufra na kółkach. Zaczęła wkładać ubrania do środka, szybko, ale niezwykle dokładnie.

Lysa była świetna w pakowaniu walizek.

Była to czynność, którą wykonywała zbyt często, żeby nie umieć zrobić tego dobrze.

Cały dzień spędziła w domu, leżąc w łóżku, nasłuchując dźwięku kroków z mieszkania piętro wyżej i wstając tylko wtedy, kiedy zmuszona była pójść do łazienki.

Teraz, za oknami, cienie zapadającego zmierzchu pięły się po budynkach. Już wkrótce z wysokości drapaczy chmur będą obserwować swoich rywali, światła Nowego Jorku, żeby nazajutrz, zepchnięte przez promienie słońca, znów zejść do podziemi i suterenu.

Lysa postanowiła, że nie zostanie tam dłużej, by obserwować to widowisko.

Wzięła z nocnego stolika pilota i wymierzyła go w telewizor. Wybrała kanał NY1, żeby mieć jakiegokolwiek towarzystwo podczas pakowania walizek. Na ekranie pojawił się obraz studia telewizyjnego ze scenografią wiadomości i para prowadzących, mężczyzna i kobieta, siedzący za pulpitem.

- ... a zatem, jeśli chodzi o ten fakt, czekamy na dalsze informacje, które prześlemy państwu, jeśli dotrą do nas w trakcie trwania programu. Tymczasem wydaje się, że nastąpił istotny postęp w sprawie zabójstwa Geralda Marsalisa, syna burmistrza, malarza, lepiej znanego jako Jerry Kho. Łączymy się z Peterem Luzdickiem w One Police Plaza.

W kadrze pojawił się reporter z mikrofonem w ręku. Za jego plecami wznosił się charakterystyczny, abstrakcyjny monument, w kolorze ognistoczerwonym, stojący przed wejściem do centrali policji.

- Tak, Damon. Jestem tu i muszę potwierdzić, że zatrzymanie Juliusa Whonga, które nastąpiło tej nocy pod zarzutem zamordowania Geralda Marsalisa, zostało niedawno zamienione na areszt. Z różnych przecieków wynika, że miałyby nad nim również wisieć oskarżenia o zabójstwo Chandelle Stuart i o porwanie pisarza Alistaira Campbella, które miało miejsce wczoraj i spowodowało jego śmierć wskutek ataku serca.

Lysa poczuła nagle, jakby mroźny pocisk utkwił jej w żołądku i stamtąd popłynął przez żyły niczym infekcja, zamieniając w lód całą jej krew. Usiadła na łóżku, tracąc grunt pod nogami, z twarzą białą jak marmur w łazience.

Z ekranu reporter kontynuował swoją profesjonalną relację.

- Jak powiedziałem wcześniej, nie mamy jeszcze pewności, ale wydaje się, że prowadzący śledztwo czekają na ostateczny wynik badań DNA, które wykonane



zostaną w rekordowym tempie. Wygląda na to, że na ciele Stuart miały zostać znalezione ślady spermy, które powinny odpowiadać nasieniu jej zabójcy. Jak dotąd nie zostały ujawnione inne szczegóły, jednak podobnie jak wszyscy czekamy na rezultaty analiz i na konferencję prasową, która potem nastąpi, aby wyświetlić niejasne jeszcze aspekty tej sprawy.

Kadr znów się zmienił. Na ekranie pojawiło się kolorowe zdjęcie, a głos spikera docierał teraz z offu.

- Julius Whong, syn Cesara Whonga, nie jest obcy kronikom sądowym. Już kilka lat temu...

Lysa nacisnęła przycisk, którym wyłączyła dźwięk.

Nieruchoma, wpatrywała się wytrzeszczonymi oczami w telewizor.

Obraz Juliusa Whonga patrzył na nią zza ekranu zimny i milczący, przeglądając się w jej twarzy, która teraz zdawała się odbita w tym samym szkle.

Jordan zdjął ręce ze stołu i oparł je na krzesło, żeby kelner w ciemnej marynarce mógł postawić przed nim talerz. Kiedy mężczyzna, który ich obsługiwał, odszedł na bok i dyskretnie się oddalał, Jordan przyglądał się zmieszany stojącej przed nim kompozycji.

- Co to jest?

Maureen uśmiechnęła się z przeciwnej strony stołu nakrytego eleganckim obrusem z białego lnu, na którym stały kryształowe kieliszki. Również ona miała przed sobą talerz, który zawierał taką samą kolorową, fantazyjną kompozycję potrawy.

- Pierś gołębia ugotowana w kakao, w sosie winogronowym.

Jordan przysunął krzesło do stołu i ujął sztucce.

- Nazwa czyni z tego dania coś istotnie ważnego. Wygląda też na to, że jest smaczne.

- Mój ojciec mawia zawsze, że kuchnia jest jak literatura. Nie ogranicza cię nic poza twoją wyobraźnią. Jest przekonany, że jedzenie musi zadowalać jak najwięcej zmysłów. Podniebienie poprzez smak, powonienie przez zapach, a wzrok przez sposób podania.

Jordan uniósł ironicznie brew.

- Człowiek o tak głębokich myślach powinien sprawować funkcje polityczne, a nie prowadzić restaurację.

Odkroił kawałek mięsa, które miał na talerzu, i uniósł do ust. Zaczął go powoli przeżuwać, bez pośpiechu pożeracza befsztyków.

Kiedy delektował się smakiem, na jego twarzy odmalował się wyraźnie ekstatyczny wyraz.

- Fantastyczne. Muszę powiedzieć, że sława Martini's nie jest w niczym przesadzona. Ten lokal jest prawdziwym konfliktem kompetencji.

- To znaczy?

- Kucharz jest diabłem, a przyrządza niebiańskie dania.

Maureen zaśmiała się. Po raz pierwszy od dawna się zaśmiała.

- Zrobiłaś to.

- Co takiego?

- Zaśmiałaś się. Nigdy jeszcze cię takiej nie widziałem. Powinnaś częściej bywać w tym miejscu.

- Albo z tobą.

Jordan uniósł kieliszek czerwonego wina, który kelner mu właśnie napełnił, pochodzącego z osobistej rezerwy Carla Martiniego, i trącił kieliszek Maureen.

- To pierwszy alkohol, jaki piję od bardzo dawna, ale myślę, że jesteś osobą, dla której warto złamać żelazne postanowienie.

Jordanowi przypomniał się inny toast, ledwie zaznaczony, wypity filiżanką gorzkiej kawy w obecności Annette, kelnerki z baru przed jego domem.

„Za niedoszełe podróże”, powiedział.

„Za odłożone podróże, tylko odłożone”, odpowiedziała Annette.

Jordan pociągnął łyk znakomitego wina, smakując je, ale dobrze wiedząc, że czas podróży jeszcze nie nadszedł. Nie mając też pewności, czy nadal pragnie tego jak dawniej.

Maureen zaprosiła go na kolację do restauracji swojego ojca, mieszczącej się w eleganckiej dwupiętrowej zabytkowej kamieniczce przy Czterdziestej Szóstej Ulicy, między Ósmą a Dziewiątą Aleją, niedaleko od świateł Times Square i od plakatów na Broadwayu, pełnych sławnych twarzy. Dopiero, kiedy mu o tym powiedziała, Jordan uświadomił sobie, że jest ona córką jednego z najbardziej znanych restauratorów w Nowym Jorku, i przyjął to zaproszenie jako swoiste wyróżnienie.

Maureen zobaczyła go, jak przyjeżdża na motorze, zdejmując kask, szybko przeczesuje szpakowate włosy, przybierając postawę kogoś postępującego wbrew regułom, nie z powodu tego, jak prowadzi czy jak jest ubrany, ale ze względu na to, co nosi w sobie. Podeszedł do stolika sprężystym krokiem, który był jego śladem na ziemi, i z uśmiechem, który rzadko widziała u niego jednocześnie na twarzy i w oczach.

Maureen zauważyła z przyjemnością, że Jordan zaufał ofercie restauracji, nie żądając, żeby na stole pojawiła się butelka keczupu.

Teraz pozornie świętowali szczęśliwe zakończenie śledztwa, w którym oficjalnie żadne z nich nie uczestniczyło i zresztą nie chciałoby uczestniczyć. W rzeczywistości prawdziwym powodem ich wspólnej obecności w tym lokalu było coś nieokreślonego,

ale solidnego, co połączyło ich od samego początku, a czego żadne nie potrafiło nazwać ani umiejscowić.

Być może było to tylko pragnienie, żeby zakończyć brzydką historię, wspierając się wzajemnie, ponieważ żadne z nich nie mogło wniesić w zamian nic pozytywnego. Obydwoje mieli przed sobą trudną drogę do przejścia i każde na swój sposób udawało, że o tym nie wie, traktując ten wieczór jako wiatyk i życzenie szczęścia.

Maureen wciąż dyskretnie obserwowała kończącego jeść Jordana. Zauważyła, z jaką delikatnością i precyzją operuje sztucami, i po raz pierwszy dostrzegła, że ma piękne dłonie. Było w nim coś, co przypominało Connora, mimo że dzieliła ich przepaść, zarówno pod względem osobowości, jak i wyglądu fizycznego.

Connor cały wibrował kreatywnością, był chochlikiem, który posiadał magię muzyki. Jordan był siłą, formą i konstruktywną ciszą, stanowiącą integralną część muzyki.

Connor miał piękne i długie dłonie, które drżały, pragnąc chwycić skrzypce, a Jordan ręce mężczyzny, który - teraz to rozumiała - nie chciałby, żeby kiedykolwiek zaistniała konieczność chwycenia za pistolet.

A przecież to uczynił.

Zastanawiała się, czy w innym czasie i w innym miejscu między nią a Jordanem mogłoby coś zaiskrzyć. Wolą nie udzielać zbędnej odpowiedzi na zbędne pytanie. Wciąż na niego zerkała i cieszyła się przyjemną chwilą i poczuciem wytchnienia, jakie jej dawała obecność tego mężczyzny.

Wszystko wydarzyło się tak szybko, jak w ułamku zaciemnienia dzielącym następujące po sobie slajdy. W ciemności wciąż widziała sceny śmierci, których nie mogła wymazać z pamięci. Kiedy wróciło światło, wraz z nim dotarły natarczywe obrazy, których ktoś inny nie był w stanie zapamiętać nawet po śmierci.

Jordan odezwał się, nie podnosząc oczu znad talerza. Jego spokojny głos zaskoczył ją, kiedy pogrążona była w takich właśnie myślach.

- Zdałem egzamin?

Maureen zorientowała się, jaka jest głupia. Powinna była wyobrazić sobie, że jej nadmierna uwaga nie przejdzie niezauważona.

Potrząsnęła głową, żeby przeprosić jego i samą siebie.

- Wybacz. Nie było żadnego egzaminu. A jeśli nawet by był, to już dawno go zdałeś.

Jak gdyby przypadek chciał pomóc w przełamaniu chwili krępującego zakłopotania, Jordan poczuł wibrację telefonu komórkowego w kieszeni spodni. Wyciszył dzwonek, żeby nie przeszkadzać klientom lokalu, ale za zgodą z Maureen nie wyłączył go. Po aresztowaniu Juliusa Whonga, kiedy wszystko miało się odbywać zgodnie ze sztywnymi regułami oficjalnych procedur, z oczywistych powodów zostali wyłączeni ze sprawy. Trudno byłoby wytłumaczyć rolę Jordana, a szczególnie Maureen, w momencie, gdy media gwałtownie wkroczyły, żądając swojej daniny prawdy. Zmuszeni, więc byli śledzić sprawę z daleka, bez możliwości uczestniczenia w przesłuchaniach i otrzymywania świeżych informacji poza tymi, które docierały od Burroniego i Christophera.

Teraz obydwójce patrzyli na komórkę w nadziei, że dzwoni któryś z nich.

Jordan zobaczył, że na małym wyświetlaczu nie pojawił się żaden numer. Uruchomił połączenie, ignorując kilka głów, które odwróciły się w stronę ich stolika z miną wyrażającą naganę wobec zachowania uważanego za nietaktowne.

- Halo?

- Jordan, tu James.

Jordan podniósł wzrok na Maureen i ruchem głowy potwierdził przypuszczenie, które malowało się na jej twarzy.

- Są nowiny?

- I to jakie. To on, Jo. Zrobili błyskawiczne badania DNA. Wszystko się zgadza. Wyraźnie przekracza minimalny poziom wymagany prawem. Poza tym nie zdołał przedstawić choćby strzępu alibi na którykolwiek z dni, kiedy popełnione zostały zbrodnie. Podobnie, jeśli chodzi o wczorajsze wydarzenia. Mówi, że cały wieczór spędził sam w domu. Teraz nie ma już wątpliwości, chociaż co do reszty nie można wydobyć z niego ani słowa. Nasz człowiek jest typem twardziela. Ale po kilku latach w Sing Sing, w ramionach śmierci, zmięknie.

Jordan milczał, przyswajając te wiadomości, a to pozwoliło Burroniemu kontynuować w innym kierunku.

- Jordan, nie wiem, jak zdołałeś dotrzeć tam, gdzie jesteśmy. Nie wiem też, co z tym wszystkim ma wspólnego Włozka. Jest zbyt wiele rzeczy, których w żaden sposób nie mogę zrozumieć.

Jordan nie mógł odmówić mu racji. W uzgodnieniu z Christopherem postanowili nie informować Burroniego o rewelacjach, jakie Maureen wniosła do śledztwa. A przede wszystkim o sposobie, w jaki to się stało.

- Jeśli cię to interesuje, jestem w podobnej sytuacji.

- To, co chcę powiedzieć, dotyczy czego innego, Jordan. Ze względów czysto osobistych jestem zadowolony, że z tobą pracowałem. I nie mówię tak tylko dlatego, że dzięki temu moje kłopoty wydają się skończone. Teraz naprawdę uważam za skandal to, co ci się przytrafiło.

- W porządku, James. Nie przejmuj się. Informuj mnie na bieżąco i pozdrów syna.

Jordan zakończył połączenie i odpowiedział na niepokój wymalowany na twarzy Maureen tym, co właśnie usłyszał od Burroniego.

- Wydaje się, że to on. Badanie DNA przygwoździło go. Julius Whong jest skończony.

Przez chwilę przyglądali się sobie w milczeniu. Po czym Jordan powiedział to, co obydwójmy myśleli.

- Ale ty wiesz, że dla nas to nie koniec, prawda?

Maureen odpowiedziała cicho, wymawiając kilka sylab, które zawisły nad nimi, takim tonem, jak gdyby przyznawała się do winy.

- Tak, wiem.

- Widziałaś coś, co doprowadziło nas do Juliusa Whonga. Nie mam zielonego pojęcia, jak się to mogło stać, ale ty i ja wiemy, że to prawda. A zatem, także zabójstwo, w którym - jak mówisz - uczestniczyłaś, kiedy młodzi ludzie mieli na twarzach maski *Peanutsów*, musi być prawdziwe. Myślisz, że Whong może być osobą, którą widziałaś z nożem w ręku?

- Nie wiem, Jordan. Widziałam go tylko przez moment i od tyłu. Teraz, kiedy go zobaczyłam, mam wrażenie, że jego budowa odpowiada tamtej sylwetce.

Maureen dała ręką znak kelnerowi, który nadchodził, żeby sprzątnąć ze stołu. Mężczyzna zrozumiał, odwrócił się na pięcie i odszedł, zostawiając ich samych.

Jordan ciągnął wątek, którego zakończenie Maureen dobrze znała.

- W chwili, gdy historia *Peanutsów* trafiła do wiadomości publicznej, pozwólmy, żeby tą kwestią zajęli się wykwalifikowani śledczy. My natomiast musimy się dowiedzieć, co wydarzyło się w tamtym pokoju, choć nie wiemy gdzie, kiedy i dlaczego. Mogłoby to stanowić podstawę dla odkrycia motywu pozostałych zbrodni, ale jednocześnie nie możemy o tym z nikim rozmawiać, bo każdy, łącznie z Burronim, parsknąłby nam w twarz albo zawiadomił najbliższy szpital psychiatryczny.

Maureen poczuła w żołądku wzbierającą panikę. Pamiętając poprzedni wieczór, uczyniła wysiłek, żeby nie opuścić głowy, ale Jordan dostrzegł błysk przebiegający przez jej oczy.

- Nie wiem, czy jeszcze dam radę, Jordan.

Wyciągnął rękę i położył na jej dłoni. Maureen uznała za niesamowite, że drobny gest wykonany przez tego mężczyznę może tak podnieść na duchu.

- Oczywiście, że dasz radę, Maureen. Jesteś silną kobietą i teraz nie jesteś sama. A przede wszystkim nie jesteś szalona. Ja to wiem i wierzę ci. Zobaczysz, że prędzej czy później to wszystko się skończy.

Maureen nie miała czasu na odpowiedź, bo w tym samym momencie szczupły mężczyzna w doskonale skrojonym ciemnym garniturze podszedł do ich stolika i zwrócił się do Jordana.

- Proszę pana, jeśli ta zachwycająca istota, która siedzi naprzeciwko, mówi panu, że jest pan piękny, proszę jej nie wierzyć. Mówi to wszystkim napotkanym mężczyznom.

Jordan nie rozumiał, ale kiedy zobaczył uśmiech wykwitający na twarzy Maureen, był zadowolony ze zmiany, która wieńczyła tę trudną chwilę małym happy endem.

- Jordanie, to jest profesor Roscoe, chirurg, który mnie operował. Dzięki niemu znów widzę. William, to jest Jordan Marsalis, mój serdeczny przyjaciel.

Roscoe wyciągnął rękę do Jordana i ujął ją w mocnym uścisku, dającym poczucie szczerości i pewności siebie.

- Przepraszam, że przeszkodziłem, ale musi pan wiedzieć, że my lekarze jesteśmy trochę jak gwiazdy filmowe. Lubimy upajać się naszymi sukcesami. Czasami jest to niestosowne, ale w sensie ludzkim zrozumiałe.

Roscoe znów zwrócił swoją uwagę w stronę Maureen.

- Z oczami wszystko dobrze, pani komisarz?

- Znakomicie. Wciąż nie wiem, jak mam panu dziękować.

Chirurg nie zauważył, jak udawany był entuzjazm Maureen, i nie dostrzegł cienia, który przebiegł przez twarz dziewczyny, kiedy wypowiadała te słowa. Jordan natomiast wychwycił to znakomicie i zastanawiał się, jaka byłaby reakcja Roscoe'a, gdyby dowiedział się o skutkach ubocznych, jakie wywołała operacja.

- Maureen, myślę, że twoja operacja była jednym z największych dokonań mojego życia. Poza satysfakcją zawodową otworzyła przede mną wrota jednej ze świątyń

nowojorskiej kuchni. Odkryłem, że twój ojciec udostępnił mi praktycznie nieograniczony dzienny kredyt, z którego korzystam z zakłopotaniem...

Wzruszył ramionami i uśmiechnął się niewinnie.

- Dlatego ograniczam się i przychodzę, co drugi dzień.

Jordan wskazał wolne krzesło obok siebie.

- My już prawie skończyliśmy, ale może zechce się pan przysiąść...

Twarz Williama Roscoe spoważniała. Wskazał wzrokiem stół za swoimi plecami, przy którym siedzieli dwaj mężczyźni w średnim wieku, elegancyści, powściągliwi i trochę sztywni.

- Ci dwaj baronowie medycyny siedzący przy tamtym stole nigdy by mi tego nie wybaczyli. To niewiarygodne, jak nauka może wydobyć u ludzi brak poczucia humoru.

Odsunął się od stołu z porozumiewawczą miną. Być może źle zrozumiał sens ich wspólnej obecności w tym miejscu, ale ani Jordan, ani Maureen nie uznali za stosowne, żeby cokolwiek wyjaśniać.

- W porządku, dzieci. Bądźcie szczęśliwi, wy, którzy możecie.

Odwrócił się i eleganckim krokiem wspieranym równie eleganckim strojem ruszył do stołu, przy którym czekali jego koledzy o twarzach skrytych za wielkim menu oprawnym w skórę.

Jordan i Maureen nie mieli czasu, żeby omówić postać profesora Roscoe, ponieważ telefon, który Jordan położył na stole, ponownie zawibrował.

Tym razem na wyświetlaczu pojawił się numer i Jordan natychmiast go rozpoznał. Był to stacjonarny telefon w jego mieszkaniu. Ogarnęło go uczucie próżni, bo wiedział, kto jest po drugiej stronie. Przez chwilę kusilo go, żeby odrzucić połączenie. Rozejrzał się zmieszany wokół siebie.

Maureen zrozumiała jego zakłopotanie i wskazała ręką komórkę.

- Odbierz, to może być coś ważnego.

Nie wiesz, jak bardzo. I nie wiesz, jak bardzo się boję, że takie może być.

Nacisnął przycisk i natychmiast z mikrofonu aparatu wydobył się głos, który tak bardzo pragnął usłyszeć, a jednocześnie się go bał.

- Jordan, tu Lysa.

Nie zapomniał jej wzroku, kiedy poprzedniego wieczoru zobaczyła go obejmującego Maureen. Nie mógł, bo nie zapomniał tego, co sam odczuł na jej widok. Odpowiedział w sposób niemal telegraficzny, nie dlatego że brakowało mu słów, ale dlatego, że bał się jej wypowiedzieć.



- Słucham cię.

- Muszę z tobą porozmawiać. To bardzo ważne.

- W porządku. Jutro rano do ciebie zadz...

- Nie, Jordan. Źle się wyraziłam. To bardzo ważne i bardzo pilne. Muszę z tobą teraz porozmawiać. W przeciwnym wypadku jutro już się nie odważę.

Jordan spojrział na Maureen. Dziewczyna zrozumiała i pokiwała twierdząco głową.

Teraz Jordan nie miał już za czym się ukryć. Spojrział instynktownie na zegarek. Obliczył w głowie czas, jakiego potrzebował, żeby dotrzeć na motorze na Szesnąstą Ulicę.

- W porządku. Będę za dwadzieścia minut.

Zakończył połączenie i przez chwilę przyglądał się telefonowi, jakby był on wyrocznią i za moment na małym ekranie z ciekłych kryształków miało się pojawić rozwiązanie wszystkich jego problemów.

Głos Maureen przywołał go do miejsca, w którym był, i oderwał na moment jego myśli od miejsca, gdzie miał się wkrótce znaleźć.

- Kłopoty?

- Nie całkiem. Sprawa osobista, która nie ma nic wspólnego z tą historią.

- Dobrze, więc jedź. Nie ma problemu. Jestem tu jak u siebie. Skorzystam z nieobecności ojca i zabawię się trochę w szefa.

Jordan wstał od stołu. Był wysoki i silny, ale w owej chwili Maureen zobaczyła na jego twarzy zagubienie małego chłopca.

- Usłyszymy się jutro. Myślę, że będziemy musieli się spotkać, żeby ustalić strategię, jak się zazwyczaj mawia w takich przypadkach.

- Okej. Teraz idź już, bo z twoich dwudziestu minut trzy już upłynęły.

Patrząc, jak idzie do szatni i zabiera swoją skórzaną kurtkę i kask, w przebłysku kobiecej intuicji Maureen pomyślała, że kiedy mężczyzna ma taki wyraz na twarzy, niemal zawsze chodzi o problemy sercowe. Dlatego też bez trudu uwierzyła, że jest to coś, co nie ma nic wspólnego z ich sprawą.

Ani ona, ani Jordan nie mogli wiedzieć, jak bardzo mylne jest to przypuszczenie.

## 38

Jordan zatrzymał ducati przed wejściem do domu, zgasił silnik i postawił motor na podpórce. Zdjął kask i pozostał w cieniu, wpatrując się w połyskującą szybę drzwi wejściowych, jak gdyby w każdej chwili, za sprawą jakiejś magii, miał przeczytać na świetlistej powierzchni swoją przyszłość. Nie miał ze sobą klucza, a zresztą nawet gdyby go miał, nie odważyłby się wejść na górę i otworzyć drzwi, tak jakby między nim a Lysą nic się nie zmieniło.

Z kaskiem zawieszonym na rękę zsiadł z motoru i podszedł do wejścia.

Dokładnie w tym samym miejscu i mniej więcej o tej samej porze, nie tak dawno, użył go jako tarczy, żeby bronić się przed atakiem Lorda i jego przyjaciół, a potem wszedł na górę z podbitym okiem i nosem, z którego krew kapiała na koszulę. Tam zastał Lysę, spokojną w obliczu nieprzewidzianej sytuacji i ironiczną wobec zdumienia intruza, który natknął się na jej nagą postać w łazience.

„Czy zawsze leci panu krew z nosa, kiedy jest pan zakłopotany?”

Doskonale pamiętał jej słowa, jej twarz, jej oczy i to, co było pod szlafrokiem, kiedy go rozchyliła, i wolałby, żeby to wszystko się nie zdarzyło.

Tymczasem takie rzeczy się zdarzają.

Wypowiada się słowa, które niosą ze sobą znaczenia i pozostawiają konsekwencje. Wykonuje się gesty, które mogą ranić, celowo albo nieumyślnie.

Lub też z prostej obawy, że zostanie się zranionym.

Takim był on wobec Lysy i taka była Lysa wobec niego. Które z nich zrobiłoby pierwszy krok - ucieczki czy zbliżenia - nie miało znaczenia w tej chwili żadnego.

Jordan był człowiekiem, który widział śmierć, leżącą na ziemi albo rozbryzganą krwią na murach, strzelał do innych ludzi i inni ludzie strzelali do niego.

Zabił.

A przecież teraz, kiedy naciskał przycisk obok tabliczki ze swoim nazwiskiem, czuł się bezbronny wobec tego, czego nie zrozumiał u Lysy, ale przede wszystkim wobec tego, czego nie zrozumiał i nie zaakceptował u samego siebie.

Zdecydował się i nacisnął guzik. Być może widziała przez okno, jak nadjeżdża, bo reakcja była niemal natychmiastowa.

- Schodzę.

Jordan mimo woli poczuł ulgę. Pod względem emocjonalnym myślał, że będzie z nią sam na sam w domu, napawała go przyjemnym ciepłem, ale instynkt w sposób naturalny sprowadzał go do poziomu każdego zwierzęcia, które jeśli może wybierać, zawsze woli ucieczkę.

Jordan usłyszał szcęk zamka i chwilę potem Lysa pojawiła się przed nim taka jak zawsze.

Piękna, zmysłowa i za szybą.

Jeszcze moment i Lysa wyszła przez drzwi i stała się jeszcze piękniejsza i bliska.

- Cześć - powiedziała po prostu.

- Cześć - odpowiedział.

Jordan zauważył, że w przeciwieństwie do tego, jak zachowywała się dotychczas, unikała jego spojrzenia. Wyglądała na zmęczoną, jej twarz zdradzała niedostatek snu i nadmiar myśli. I oczy, te oczy o nierzeczywistym wprost kolorze, zdawały się zgaszone, kiedy śledziły punkty, które - jak się zdawało - tylko ona widziała.

- Jadłeś już?

- Tak, byłem na kolacji, kiedy zadzwoniłaś.

Byłeś na kolacji z nią?

O to chciałyby zapytać Lysa, ale ugryzła się w język, czując w ustach gorzki smak tych niewypowiedzianych słów.

- Przykro mi, że ci przeszkodziłam.

- Nic nie szkodzi. Kolacja już się skończyła.

Lysa wskazała głową jasne okna baru po przeciwnej stronie ulicy.

- Napij się kawy?

Jordan był zadowolony z tej propozycji. W domu mieliby wrażenie, że są osamotnieni, wśród ludzi mogli mieć złudzenie, że są razem.

- Świetny pomysł.

Szli w półmroku obok siebie, w milczeniu. Jordan czując w ręku ciężar kasku, Lysa ciężar tego, co dźwigała w środku, czymkolwiek to było. Kiedy się zbliżali, światła okien lokalu oddały im stopniowo rysy twarzy, sylwetkę, po tym krótkim odcinku anonimowości w cieniu ulicy.

Nagle wszystko potoczyło się błyskawicznie.

Jordan usłyszał silnik motoru i wkrótce zza budynku, z boku skrzyżowania po ich lewej stronie wyłoniła się honda o niebiesko-białych owiewkach, na której siedziały dwie osoby w zabudowanych kaskach.

Prowadzący nagle zahamował i Jordan zobaczył, jak owiewka faluje od podskoku na przednich widełkach. Osoba siedząca z tyłu podniosła w ich kierunku ramię odziane w błyszczącą skórę kurtki.

Nie widząc nawet kształtu pistoletu, Jordan zrozumiał natychmiast, co się święci, i wykonał szybki ruch. Poczł w uszach i żołądku dobrze znany dźwięk wystrzału. Jednocześnie chwycił Lysę i popchnął na ziemię. Położył się na niej, żeby zasłonić ją swoim ciałem.

Po chwili w krótkich odstępach rozległy się dwa następne strzały.

Jordan usłyszał świst nad głową i spadające na nich kawałki tynku z muru draśniętego pociskami.

Potem jeszcze huk gwałtownie przyspieszającego silnika i pisk opon na asfalcie, kiedy motor robił nawrót, który spowodował gwałtowne hamowanie i wściekle klaksony dwóch samochodów nadjeżdżających z przeciwnej strony.

Jordan podniósł głowę, zdumiony ciszą, która nastąpiła po huku wystrzałów. Po prawej stronie piersi czuł wilgotną i klejącą się koszulę. Podniósł się i przesunął na bok, żeby umożliwić Lysie oddychanie.

- Wszystko w porządku?

Lysa uniosła z wysiłkiem głowę znad ziemi, próbując dotrzeć wzrokiem do jakiegoś miejsca na swoim ciele. Jordan śledził kierunek jej spojrzenia i zobaczył czerwoną plamę, która rozlewała się po prawej stronie klatki piersiowej, spływając niczym szkarłatna dłoń, żeby pogłodzić jej pierś.

- Jordan, ja...

W jednej chwili klęczał przy niej. Spróbował znaleźć w sobie jak najbardziej uspokajający ton.

- Ciii, nic nie mów. Będzie dobrze.

Jordan rozpiął jej bluzkę i zobaczył, że kula trafiła w dolną część ramienia, tuż nad sercem. Przysunął twarz do twarzy Lysy. Z powodu mrocznej magii bólu, jej oczy odzyskały barwę, ale zniknęło z nich światło.

- Lysa, rozumiesz, co mówię? To nic poważnego, wyjdiesz z tego. Wytrzymaj. Zaraz przyjedzie karetka.

Lysa nie była w stanie mówić, ale dała znak, zamykając i otwierając oczy.

W tej chwili z restauracji wybiegła Annette z obrusem w ręku. Jordan pomyślał szybko i z wdzięcznością, że w całym tym zamieszaniu była jedyną, która miała odwagę to zrobić. Wyrwał obrus z rąk kobiety, zwinął go i przycisnął do rany Lysy, która odpowiedziała grymasem bólu.

- Annette, chodź tutaj, rób to, co ja. Trzeba zatrzymać krwawienie.

Jordan podniósł się z ziemi, wyjął z kieszeni komórkę i włożył ją do przedniej kieszeni w zielonym fartuchu kelnerki.

- Zadzwoń pod 911 i powiedz, co się stało. Ja odezwę się, jak tylko będę mógł.

Podniósł kask i włożył na głowę bez zapinania, biegnąc do ducati. Włączył silnik, wrzucił bieg i ruszył z hukiem, rozpędzając tylne koło. Wypadł ze skrzyżowania jak wystrzelony pocisk, wymijając zieloną furgonetkę jakiejś firmy cateringowej. Prowadzący ją kierowca zmuszony był do gwałtownego skrętu, ocierając się niemal o chodnik.

Jordan włączył się do ruchu, próbując rozumować, ale jednocześnie cały czas przyspieszając.

Było mało prawdopodobne, że dwaj na hondzie skręcili w którąkolwiek z przecznic w kierunku wschodnim. Oznaczałoby to wjechanie na szachownicę skrzyżowań z całą masą sygnalizatorów świetlnych, bez żadnej możliwości płynnej jazdy. Przejechanie któregoś ze skrzyżowań na czerwonym świetle albo nadmierna prędkość natychmiast sprowadziłyby im na kark wóz policyjny.

Bardziej prawdopodobne było, że napastnicy ruszyli na południe i wjechali w Jedenastą Aleję, gdzie ruch był mniejszy, a dozwolona szybkość traktowana nie tak restrykcyjnie. Przewaga, jaką ci dwaj zyskali nad nim, była praktycznie nie do odrobienia, ale Jordan wierzył w to, co zdawało się niemożliwe, a co czasami przypadek raczy urzeczywistniać, zarówno w dobrym, jak i w złym sensie.

Wjechał na wielką arterię, ciągnącą się wzdłuż rzeki Hudson, skręcającą w kierunku downtown na wysokości Czternastej Ulicy, gdzie zaledwie poprzedniego wieczoru położyli kres serii morderstw, aresztując Juliusa Whonga.

Czerwone ducati mknęło z prędkością stu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę, mijając samochody ze zręcznością mulety toreadora, a Jordan prowadził je, przeżywając niepokój i gniew.

Widok czerwonej plamy, która rozlewała się na bluzce Lysy, wysysając z niej życie, a potem spływała na asfalt, wstrząsnął nim. Nie wiedział, kim byli dwaj na

hondzie, ale było dosyć jasne, że coś do niego mieli i że z winy tej sytuacji ucierpiała osoba, która nie miała z tym nic wspólnego.

Na wysokości Pier 40 było zwięzienie z powodu trwających robót, sygnalizowane kolejnymi tablicami ostrzegawczymi oraz rzędem znaków z żółtego plastiku. Zrobił się mały zastój i kiedy Jordan zbliżał się do korka, oczami nadziei dostrzegł tylne światło motocykla, który zręcznie torował sobie drogę między samochodami.

Najprawdopodobniej prowadzący motocykl trzymał się lewej strony, a nadjeżdżające samochody kierowały się na obowiązkowy prawy pas i w ten sposób go zablokowały, zmuszając do manewrów opartych na hamowaniu i przyspieszaniu, które Jordan obserwował przez wizjer kasku.

Gdyby obrał ten sam kierunek, nagły łut szczęścia poszedłby na marne, ponieważ zostałby spowolniony w taki sam sposób. Pewne rzeczy zdarzają się tylko raz jednego dnia i byłoby przesadą domagać się powtórki tego małego cudu.

W jednej chwili podjął decyzję.

Zahamował gwałtownie, niemal zatrzymując ducati i narażając się na taką ilość przekleństw z ust nadjeżdżających kierowców, która starczyłaby na siedem pokoleń. Skreślił zdecydowanie w prawo i nagle przyspieszył na tyle, żeby motor, popychany kołmi mechanicznymi, uniósł się lekko na tylnym kole.

Koło przednie oparł na chodniku i przyjął uderzenie jego obręczy, pokonującej stopień, kontrolując przy tym lekki odrzut i utrzymując równowagę przesunięciem ciała.

Włączył z powrotem gaz i wściekłość silnika odpowiedziała echem na złość Jordana, który ruszał z pełną prędkością po pieszym pasażu wzdłuż rzeki, błagając w duchu, żeby tylna opona nie ucierpiała na uderzeniu o krawędź chodnika.

Dzięki większej szybkości dogonił motocykl, który teraz odnajdywał właśnie wolną drogę. Do tej chwili nie był całkowicie pewien, że chodzi właśnie o nich, miał tylko taką nadzieję. Ale kiedy zobaczył biały i niebieski kolor hondy, zmieniony nieco przez żółtawe światło latarni, nie mógł się powstrzymać od okrzyku radości, który zgubił się pod kopułą kasku.

- Tak, cholerne skurwysyny.

Przyspieszył jeszcze bardziej.

Jakiś wieczorny biegacz, który zbliżał się z przeciwnej strony, przerażony wskoczył na murek. Jego złorzeczenia zgubiły się w hałasie i rozpadły na pozbawione sensu sylaby w podmuchu powietrza, wywołanym przez mijający go motocykl.

Jordan nie odczuwał żadnego strachu. Potem być może pojawi się, żeby wystawić rachunek, ale teraz był człowiekiem napędzonym adrenaliną pościgu, szybkości i żądzy, żeby dopaść tych dwóch i kazać im zapłacić za krwawą plamę na bluzce Lysy.

Prowadzący hondę dostrzegł w pewnym momencie kątem oka szkarłatny błysk ducati, które mknęło chodnikiem po jego prawej stronie, i odwrócił głowę w stronę Jordana. Natychmiast zrozumiał, o co chodzi, więc przycisnął tylko gaz do dechy, a motocykl krótkimi podskokami sygnalizował szybkie zmiany biegów.

Teraz dwa motocykle pędziły obok siebie.

Jordan zobaczył, że pasażer podnosi prawą rękę w jego kierunku i tym razem bez trudu rozpoznał masywny kształt pistoletu. Znakomicie wymierzając czas, skręcił w lewo, dokładnie w tym momencie, kiedy mężczyzna naciskał spust. Zobaczył błysk, ale odgłos strzału zgubił się w hałasie silników.

Korzystając z rozjazdu, Jordan zdołał zjechać z powrotem na asfalt i zrównał się z hondą, trzymając się lewej strony w taki sposób, żeby mężczyzna siedzący na miejscu pasażera, trzymający pistolet w prawym ręku, miał trudność z wycelowaniem.

Mimo to Jordan ponownie był zmuszony skręcić gwałtownie w drugą stronę, kiedy mężczyzna zmienił rękę, w której dzierżył pistolet, i wystrzelił w jego kierunku dwa razy niemal na oślep.

Jordanowi nie udało się rozpoznać, z jakiej broni strzelał napastnik, dlatego nie mógł wiedzieć, ile kul zostało mu jeszcze w magazynku. Wystrzelił trzy razy przed restauracją i teraz znowu trzy razy do niego. Jeśli mieścił się w przeciętnej pistoletów automatycznych, powinien mieć dziewięć albo dziesięć naboju, tak więc miał jeszcze o trzy za dużo, według obliczeń Jordana.

Tymczasem dwa motocykle przejechały z szaloną prędkością długi odcinek drogi na południe, kołysząc się między samochodami i odbijając niczym kule między ścianami bilardu.

Rzeka znikła z pola widzenia i teraz przemieszczali się wzdłuż Financial Center, z budynkami Merrill Lynch i American Express po prawej stronie, a po lewej światłami Ground Zero nakierowanymi w górę i oświetlającymi ponurą pustkę. Po raz pierwszy reflektory nie służyły pokazywaniu tego, co jest, ale przypominaniu tego, czego już nie ma.

Jordan zobaczył wóz patrolowy jadący w przeciwnym kierunku z migającymi światłami, który zawrócił gwałtownie na wysokości Albany Street i ruszył za nimi w pościg. Specjalnie go to nie zdziwiło. Dwa motocykle pędzące wzdłuż Jedenastej Ulicy

i jeden z pasażerów strzelający jak oszalały w kierunku drugiego motocyklisty były w pojęciu każdego obywatela bardziej niż wystarczającym powodem, żeby wezwać policję.

Jordan nie przejął się ścigającym go wozem ani wyciem syren, których zresztą nie słyszał. Wciąż jechał przed siebie, wymijając przecinające mu drogę samochody, ze wzrokiem utkwionym w pędzący tuż przed nim motocykl. Tylko jego sylwetka była wyraźna, wszystko dokoła było bezładnym bohomazem kolorowych smug rozmazanych od szybkości, która teraz była nieco bardziej umiarkowana, ale i tak nie pozwalała choćby na moment nieuwagi.

Również prowadzący hondę musiał się zorientować, że jest eskortowany, ponieważ na końcu długiej arterii skierował się prosto na Battery Park i wjechał w wąskie wyasfaltowane alejki parku. Był znakomitym kierowcą i najprawdopodobniej, ufając swoim umiejętnościom, postanowił utrudnić pościg. Wóz policyjny nie dałby rady wjechać w zawile zygzaki zadrzewionego obszaru, najwyraźniej myślał też, że dzięki swojej zręczności uda mu się bez specjalnych problemów zgubić Jordana.

Z największą szybkością, na którą pozwalała droga, przejechali obok okrągłej konstrukcji Castle Clinton, okrążyli ją i Jordan zobaczył, jak kierowca hondy bierze z łatwością rozpęd, co w istocie powinno być bardzo trudne ze względu na to, że z tyłu miał pasażera.

Pomyślał, że musi znaleźć jakiś sposób, żeby go zablokować. Dobrze panował nad motocyklem, ale ścigany kierowca był od niego lepszy. Gdyby Jordan upadł albo gdyby tamten zyskał wystarczającą przewagę, żeby wyjechać z parku po przeciwnej stronie, najprawdopodobniej już by ich nie dogonił.

Kiedy się nad tym zastanawiał, honda skręciła w prawo i ruszyła w stronę przystani, skąd odpływały statki na Ellis Island. Przejechał szybko, wymijając zręcznie nieczynne o tej porze małe budki sprzedawców pamiątek.

Jordan zobaczył, że kierowca hondy nakierowuje przód motocykla na wodę i gwałtownie przyspiesza. Natychmiast zrozumiał, co zamierza zrobić. Park odgradzony był od strony morza pasem dla pieszych prowadzącym do przystani promów odpływających na Staten Island, położonym na niższym poziomie, na który schodziło się po kilku stopniach.

Kierowca hondy zamierzał je przeskoczyć.

Był to diabelnie trudny manewr, ponieważ należało go wykonać po przekątnej, jako że szerokość ciągnącej się wzdłuż morza alei nie pozwoliłaby na zatrzymanie



motoru bez uderzenia w barierę po przeciwnej stronie. Gdyby mu się powiodło, Jordan już by go nie dogonił, bo zupełnie nie czuł się na siłach zrobić to samo.

Zobaczył, jak honda podnosi się na tylnym kole i kierowca stawia ją niemal pionowo, żeby ciężar silnika nie przechylił jej do przodu podczas skoku.

Chwilę potem, przy ryku silnika, motocykl zawisł w próżni.

To pasażer, ten z pistoletem, udaremnił manewr. Może ze strachu, a może z braku doświadczenia, nie zsynchronizował swoich ruchów z kierowcą i jego ciężar spowodował, że motocyklem zarzuciło w chwili lądowania. Motor zatoczył krótki łuk, po czym podskoczył i upadł na drugi bok. Pasażera wprost wystrzeliło z siodełka i po krótkim locie spadł plecami na górną krawędź pomostu, wykonaną z grubego, metalowego pręta. Jordan zobaczył, jak jego ciało wygina się pod nienaturalnym kątem, zanim ciężar klatki piersiowej uniósł jego nogi w górę i wyrzucił go do morza perfekcyjnym przewrotem. Kierowca natomiast był uwięziony pod osłoną i ciągnięty przez pojazd, który ślizgał się po bruku, aż w końcu został zmiażdżony pod ciężarem hondy o cementową podstawę bariery.

Jordan zdołał zahamować na czas, używając zarówno hamulca tylnego, jak i przedniego dwutarczowego, i zatrzymał motocykl kilka centymetrów od schodków, na których dwaj z hondy próbowali wykonać swój pechowy manewr. Postawił swoją maszynę na podpórce i zbiegł po stopniach w stronę miejsca, gdzie nastąpiło zderzenie.

Kiedy w niepewnym świetle latarni zobaczył mężczyznę leżącego pod sprasowanym motocyklem, z pozycji jego głowy w stosunku do ciała zrozumiał, że nigdy już do nikogo nie strzeli. Nie musiał nawet sprawdzać tętna na szyi, żeby przekonać się, że tamten nie żyje.

Zdjął kask, położył na ziemi i pochylił się nad mężczyzną.

W tej samej chwili usłyszał odgłos kroków za swoimi plecami, po czym znalazł się w snopie światła latarki elektrycznej, czemu towarzyszył znany mu głos.

- Ej ty, wstawaj z rękami na głowie, no już! Potem odwróć się powoli, połóż na ziemi i tak zostań.

Jordan wyobraził sobie tę scenę. Jeden z funkcjonariuszy celował na niego snop światła, a drugi stał obok z wymierzonym pistoletem, gotowy do strzału na choćby ślad reakcji z jego strony.

Posłuchał poleceń i podniósł się z rękami założonymi na kark. Po raz pierwszy poddawany był temu, co tyle razy narzucał innym.

- Nie mam broni.

Znany mu głos zabrzmiał na nowo, władczo, tak jak nauczono go w akademii policyjnej.

- Rób, co ci mówiłem, skurwielu. Pamiętaj, że jesteś na celowniku. Jeden fałszywy ruch i po tobie.

Jordan odwrócił się i pozwolił, żeby jasny stożek światła przesunął się po jego twarzy. Zwrócił się w stronę głosu ukrytego w mroku, dokładnie za wiązką światła.

- Jeśli takie miało być przeznaczenie, jestem szczęśliwy, że to ty mnie aresztujesz, Rodriguez.

Światło jeszcze przez chwilę badało twarz Jordana, po czym latarka przesunęła się na motocykl roztrzaskany o balustradę i na uwięzione pod nim ciało. Znów rozległ się głos, ale tym razem stanowczość zastąpiło zdziwienie.

- Cholera. Porucznik Marsalis.

Nie jestem już porucznikiem, Rodriguez...

Tym razem Jordan nie uznał tego sprostowania za stosowne.

- Mogę opuścić ręce?

Obydwaj policjanci odłożyli broń. Jordan zobaczył, jak się zbliżają - niebiescy żołnierze w bursztynowym świetle latarni.

- Oczywiście. Ale co się stało? Dano nam sygnał, że dwa motocykle ścigają się na...

Jordan przerwał mu, ryzykując nieuprzejmość.

- Rodriguez, proszę, pożycz mi swoją komórkę i daj mi jedną chwilę. Tylko zadzwonię, a potem wyjaśnię ci wszystko, co powinieneś wiedzieć.

Policjant wyciągnął do niego telefon. Jordan wybierał numer, tak jakby przyciski aparatu parzyły. Komórka, którą włożył do kieszeni Annette, zaczęła dzwonić, a ona natychmiast odebrała.

- Halo.

- Tu Jordan. Gdzie jesteście?

- W Saint Vincent's Hospital, przy Siódmej Alei, na wysokości Dwunastej.

- Dobrze, wiem, gdzie to jest. Jak ona się czuje?

- Karetka przyjechała natychmiast. Teraz jest jeszcze na sali operacyjnej.

- Co mówią lekarze?

- Jak dotąd, nic.

Jordan był zadowolony, że znalazł się w półmroku, dzięki czemu dwaj policjanci nie widzieli, jak jego oczy wilgotnieją na tę wiadomość.

- Ja jestem w tarapatach. Przyjadę, gdy tylko będę mógł.  
- Bądź spokojny. W tej chwili nie mógłbyś tutaj działać dużo więcej od tego, co ja robię.

- Jeśli będą jakieś nowiny, zadzwoń pod numer, który ci się wyświetlił.

- W porządku.

- Dziękuję, Annette. Znajdę sposób, żeby się zrewanżować.

- To ja spłacam dług, Jordan. I przykro mi, że odbywa się to w taki sposób.

Jordan zamknął połączenie i zawrócił, żeby oddać telefon Rodriguezowi. Podczas rozmowy zupełnie nieświadomie zagubił się w swoim niepokoju i oddalił się o kilkadziesiąt metrów od miejsca wypadku.

Drugi policjant, którego Rodriguez przedstawił mu jako sierżanta Bozmana, klęczał teraz przy motocyklu i oświetlał parę matowych oczu na twarzy o ciemnej skórze, która wylaniała się zza otworu kasku.

- Ten nie żyje - powiedział, podnosząc się z kolan.

- Powinniście wezwać policję rzeczną i powiedzieć, żeby przyjechali z nurkami. Był jeszcze jeden, którego wyrzuciło z siodełka i wpadł do wody. Po tym, jak uderzył w balustradę, na pewno nie skończył lepiej niż ten.

Rodriguez oddalił się, żeby wezwać potrzebne wsparcie, a Bozman wychylił się za balustradę, żeby oświetlić latarką ciemną wodę, która rozbijała się o słupy mola.

Jordan przykucnął znów przy ciele mężczyzny leżącego pod motocyklem. Z nawyku, korzystając z faktu, że nikt się nim nie zajmuje, szybko go przeszukał, jak zazwyczaj czyni to policjant w takich przypadkach. W kieszeniach nic nie było. Odsunął zamek błyskawiczny skórzanej kurtki i w wewnętrznej kieszeni znalazł białą kopertę bez adresu ani żadnych innych napisów.

Nie zastanawiając się, wziął ją i wsunął do kieszonki koszuli.

Rozpiął mu kask, a kiedy go zsunął, nie był nadmiernie zdziwiony, widząc wytrzeszczone oczy Lorda, utkwione nieruchomo w górze, w ciemnym niebie, w miejscu, w którym być może teraz przebywał. Ledwie tylko jego twarz wysunęła się z kasku, natychmiast się zapadła, tak jakby część kości pod skórą rozpuściła się i spływała na dół. Jordan zrozumiał, że taki efekt wywołał sztywny kask, który przytrzymał w pewien sposób złamania czaszki, dopóki pozostawał na głowie. Miał ochotę skopać tę twarz, żeby dokończyć to, na co Lord sobie zasłużył.

Cholerny, pierdolony skurwysyn.

Obiecał mu to i dotrzymał słowa.

A z winy jego kumpla, który fatalnie wycelował, Lysa dostała kulę przeznaczoną dla Jordana.

W oczekiwaniu na posiłki, które wezwali przez radio, Jordan wyjaśnił Rodriguezowi i jego partnerowi, co się wydarzyło. Wkrótce po przybyciu nurków również ciało współnika zostało wyłowione z morza. Znaleźli go zaraz pod balustradą, ściągniętego na dno przez ciężar kasku, który wypełnił się wodą. Wynurzył się ociekający i połamany, z roztrzaskanymi plecami, co powodowało, że wyglądał jak szmaciana lalka, którą dziecko przez nieuwagę upuściło do wody.

Jeśli chodzi o Lorda, ostatnim widokiem była jego twarz znikająca pod zapięciem ciemnego worka z ceraty, kiedy wsuwali go do karetki. Jego wytrzeszczone oczy utkwione były w próżnię i ani jeden funkcjonariusz nie zatroszczył się nawet o to, by je zamknąć. Jordan miał nadzieję, że nikt inny też tego nigdy nie uczyni, żeby ten łajdak musiał przez wieczność wpatrywać się w pokrywę swojej trumny.

## 39

Jordan siedział na miękkim krześle w szpitalnej salce i czekał.

Kiedy zatrzymał ducati przed czerwonym napisem wskazującym wjazd dla karetek, znalazł się pod biało-niebiesko-złotą tablicą umieszczoną tam, aby przypominać przechodniom, że znajdują się naprzeciw Saint Vincent Catholic Medical Center.

Na twarzy Jordana pojawił się instynktownie grymas goryczy wobec takiego uściślenia.

W tym samym miejscu spotykała się bezsilność ludzi i władza Boga.

Jordan pomyślał o Cesarze Whongu i o Christopherze Marsalisie, dwóch bardzo bogatych i wpływowych ludziach, którzy mimo to nie byli w stanie zapobiec temu, żeby ich synowie zabijali albo zostali zabici.

A jeśli chodzi o władzę Boga...

Kilkadziesiąt metrów od Saint Vincent na metalowej siatce odgradzającej obszar nieużywanego parkingu zawieszono setki kolorowych tabliczek wykonanych przez dzieci ze szkół podstawowych dla upamiętnienia ofiar 11 września.

W obliczu takich świadectw trudno mu było uwierzyć w hipotezę o istnieniu Boga nieskończenie dobrego, który kochał ludzi jak swoje dzieci. Ile osób znalazło się w poczekalni tej budowli z ciemnej cegły, modląc się z całego serca za ukochaną osobę, a dostając w odpowiedzi na swoje modlitwy lekarza, który wychodził z sali operacyjnej, potrząsając głową?

Jordan zaparkował motor na ulicy mimo niemal całkowitej pewności, że po powrocie go tam nie zastanie. Kiedy dotarł do wejścia, rozsunęły się przed nim uprzejmie przeszkłone, automatyczne drzwi, a on minął je, zdejmując kask i odsłaniając przed ludzkimi spojrzeniami swoją twarz, nie przejmując się zaś specjalnie spojrzeniami bogów, kimkolwiek by oni byli.

Siostra zakonna przeszła przed nim drobnym krokiem, biała jak tynk na ścianach, przychodząca nie wiadomo skąd i kierująca się nie wiedzieć gdzie, pogrążona w swoim humanitaryzmie szukającym świętości.

Jordan śledził ją wzrokiem, próbując jednocześnie zorientować się w terenie, a kiedy niepokalana postać znikła z jego pola widzenia, w fotelu po prawej stronie dostrzegł Annette, wciąż ubraną w bordowy służbowy strój z restauracji.

Kelnerka podniosła się i ruszyła w jego kierunku, odpowiadając na nieme pytanie, które Jordan wypisane miał w oczach.

- Jeszcze nic.

Jordan zmusił się, żeby znaleźć pocieszenie w filozofii dla ubogich: nic nowego to dobra nowina.

- Dziękuję ci, Annette. Idź już, ja tu teraz zostanę.

Kobieta wskazała nieśmiałym gestem na recepcję, gdzie urzędniczka w granatowym kostiumie siedziała za pulpitem przed ekranem komputera.

- Wydaje mi się, że są jakieś sprawy papierkowe do załatwienia. Pytano mnie o rzeczy, których nie wiedziałam.

- Bądź spokojna, zajmę się tym.

Jordan zniżył ton głosu i zadał kobiecie pytanie, nie patrząc jej w oczy, nie z obawy, ale po to, żeby mogła zareagować, jak uzna za stosowne.

- Powiedziano ci, że jest mężczyzną?

Słowa i wahanie Jordana nie znalazły żadnego odbicia na twarzy Annette, twarzy osoby, której nic już nie dziwi.

- Nie, nic mi nie powiedzieli. Ale jeśli sprawy tak się mają, to mogę ci powiedzieć, że jako mężczyzna jest najpiękniejszą kobietą, jaką kiedykolwiek widziałam.

Po czym wsunęła rękę do kieszeni spódnicy i oddała mu telefon.

- Dopadłeś ich przynajmniej? Tych, którzy do was strzelali?

- Tak. I mogę ci powiedzieć, że nie będą już więcej do nikogo strzelać.

- Amen - skomentowała lakonicznie Annette.

Nastąpiła krótka chwila impasu i Annette przewyciężyła ją, podnosząc rękę i patrząc na zegarek.

- Dobrze, chyba powinnam już iść.

Jordan wyjął portfel.

- Annette, pozwól przynajmniej, że dam ci pieniądze na taksówkę.

Powstrzymała jego gest, dotykając ręką ramienia.

- Jordan, nie, nawet gdybym miała pójść pieszo stąd do Brooklynu. Sądzę, że metro mnie dowiezie, jak zawsze.

Ruszyła w stronę drzwi, ale po chwili się rozmyśliła. Odwróciła się z szelmowskim uśmiechem i był to pierwszy raz, kiedy Jordan zobaczył ją z takim wyrazem twarzy. Podeszła do niego.

- Chyba, że w ramach rekompensaty mógłbyś któregoś dnia zabrać mnie na przejażdżkę na tym twoim pięknym motocyklu.

Jordan też odpowiedział uśmiechem, ledwie zaznaczonym, ale zabarwionym absolutnym zdumieniem. Annette wykonała bardzo wymowny gest ręką w jego kierunku.

- Ach, mężczyźni...

Po czym uzupełniła, potrząsając głową z ironią, rozbrojona w obliczu jego zdziwienia.

- Mój chłopcze, w tym wieku wypadłam już z gry, ale właśnie dlatego pozwól, że coś ci powiem. I mam podejrzenie, że jesteś na tyle ponad te sprawy, że nawet nie wiesz...

- Czego znowu?

- Ty także jako mężczyzna jesteś jednym z najpiękniejszych, jakich kiedykolwiek widziałam. Życzę powodzenia tobie i tej nieszczęsnej dziewczynie.

Nie dodając nic więcej, odwróciła się i odeszła. Jordan patrzył za nią, dopóki nie znikła za przeszklonymi drzwiami.

Zaraz potem podszedł do recepcji. Urzędnicze, uprzejmej kobiecie w średnim wieku, o subtelnym wyglądzie, którą identyfikator przypięty do ciemnej marynarki przedstawiał jako Franziscę Jarid, podał wszystkie personalia Lysy. Nawet, jeśli miała świadomość sprzeczności między wyglądem fizycznym a danymi osobowymi Alexandra Guerrero, urzędniczka w najmniejszym stopniu tego nie okazała.

Jordan nie miał pojęcia, czy Lysa ma prywatne ubezpieczenie. Chwilowo zostawił w administracji swoją kartę kredytową, obiecując sobie, że nazajutrz pójdzie do swojego mieszkania poszukać polisy ubezpieczeniowej.

Uprzejma Franzisca Jarid popatrzyła przez chwilę na ten kawałek kolorowego plastiku, po czym spojrzała mu w twarz i wskazała rząd foteli po jego lewej stronie, o tej porze zupełnie pusty. Poprosiła, żeby tam usiadł i czekał, zapewniając, że zostanie powiadomiony, jak tylko będą jakieś nowiny.

A Jordan nie robił nic innego, tylko właśnie czekał.

W owej chwili cała historia burzy, wszystko, co od tej pory zaprzętało mu głowę, było od niego tak odległe jak najbardziej oddalona od ziemi gwiazda. Miał w głowie tylko przerażone oczy Lysy leżącej na asfalcie, zdziwienie i strach, które w nich było, kiedy szukała jego spojrzenia.

Rozejrzał się dokoła, otoczony lekką wonią środków odkażających, która jest zapachowym tłem wszystkich szpitali. Wyobraził sobie przyjazd karetki, torbę z osoczem i igłę wbijaną w żyłę, pospieszne, ale sprawne działanie pielęgniarzy, bieg z leżącą na noszach Lysą, która - jeśli była jeszcze przytomna - widziała na pół przymkniętymi oczami, jak na suficie kolejno wschodzą i zachodzą maleńkie słońca lamp.

Zdał sobie sprawę, że oni dwoje nigdy ze sobą nie rozmawiali. Jedyny raz, kiedy to zrobili, opowiedzieli jedynie pewne oswojone fragmenty swojego życia: on był zbyt zaprzętnięty swoją sprawą dotyczącą śmierci, a ona nazbyt nieuchwytna w swojej taktyce wojny podjazdowej, co powodowało, że odsłaniała się tylko chwilami, ukrywając się przez większość czasu.

Nigdy nie rozmawiali o żadnej książce, nie komentowali spektaklu po wyjściu z teatru, nigdy nie słuchali razem muzyki, poza tą narzuconą przez lokatora mieszkającego piętro niżej, ostatnio niemal obsesyjnie czczącego pamięć Connora Slave'a.

„Pragnę ciebie dużo bardziej niż tamtego samochodziku”...

Te słowa, które wypowiedział owego dnia w restauracji nad rzeką, spłoszyły ją. Jordan dopiero teraz rozumiał, że nie uciekła przed nim, ale przed jego strachem w obliczu tego, kim właściwie była.

W korytarzu po jego prawej stronie pojawiły się rozmyte za mleczną szybą, dwie ubrane na białą sylwetki. Z wahadłowych drzwi wyszły dwie młode pielęgniarki, rozczarowując Jordana, któremu tymczasem serce podskoczyło do gardła. Minęły go i skierowały się w przeciwną stronę korytarza, rozmawiając o swoich dziewczynskich sprawach. Oddaliły się, nie przestając paplać, pozostawiając Jordana jego oczekiwaniu, zupełnie niezainteresowanego tym, co ta wyższa robiła z Robertem w ubiegłym weekend i co było napisane na kartce, którą przysłał jej na urodziny.

Ten fragment rozmowy, poprzez skojarzenie, o czymś mu jednak przypomniał.

Przesunął dłonią po piersi i w kieszeni koszuli wyczuł szelest koperty, tej, którą - nie wiedząc nawet dlaczego - wyjął z kurtki Lorda. Wyciągnął ją teraz i dobrze jej się



przyjrzał. Była to zwykła, biała koperta bez żadnego napisu i trzymając ją w dłoni, w pierwszej chwili Jordan odniósł wrażenie, że jest pusta.

Otworzył ją i znalazł w środku mały kupon kolorowego papieru. Wyciągnął go i ze zdumieniem przyglądał się czekowi z gwarantowanym pokryciem na dwadzieścia pięć tysięcy dolarów, wystawionemu przez Chase Manhattan Bank, przeciętemu w poprzek, mniej więcej pośrodku. Nazwisko, na które został wystawiony, nie było kompletne, jako że brakująca część musiała zostać na drugiej połowie. Wystarczyło to jednak, żeby Jordan mógł je zidentyfikować.

...ay Lonard

DeRay Lonard, lepiej znany jako Lord, którego teraz ktoś wsuwał do lodówki w kostnicy. Ten kawał gówna był dla Jordana jedynym ważnym powodem, żeby wierzyć w Boga i w raj. Był nadzieją, że Najwyższy zarezerwował mu miejsce w pierwszym rzędzie najgorszych piekielnych męczarni.

Siedział tak na krześle z łokciami opartymi na kolanach i przyglądał się temu kawałkowi kolorowego papieru, który trzymał w palcach, nie rozumiejąc, o co w tym wszystkim chodzi.

Na ograniczonym horyzoncie podłogi pojawiły się dwa plastikowe zielone buty, takie, jakie noszą chirurdzy w sali operacyjnej.

- Przepraszam, pan Jordan Marsalis?

Jordan podniósł gwałtownie głowę i ujrzał przed sobą lekarza, który miał jeszcze na sobie fartuch i czepek z bloku operacyjnego. Był raczej młody, drobnej budowy ciała, ale ciemne oczy emanowały pewnością i spokojem. Jordan wstał, przerastając go teraz o głowę, ale z poczuciem, że jest dużo od niego niższy.

- Tak.

- Nazywam się Melwyn Leko i jestem chirurgiem. Właśnie skończyłem operować pańską przyjaciółkę.

- Jak się czuje?

- Pocisk wszedł i wyszedł, nie zagrażając narządom życiowym. Jeśli wierzy pan w cuda, jest to dobra okazja, żeby opowiedzieć o jednym z nich. Straciła sporo krwi i potrzebny będzie jak zwykle jeden obowiązkowy dzień, zanim będzie można podać pewne rokowania, jednak pacjentka jest ogólnie w bardzo dobrym stanie i myślę, że z rozsądną dozą pewności mogę powiedzieć, iż wyjdzie z tego.

Jordan odetchnął z ulgą, wypuszczając powietrze z płuc. Postarał się, żeby jego niecierpliwość nie wydała się zbyt natarczywa.

- Czy mogę ją zobaczyć?

- Chwilowo lepiej nie. Jest na sali pooperacyjnej i budzi się z narkozy, myślę jednak, że utrzymamy ją w stanie znieczulenia farmakologicznego i intensywnej terapii jeszcze do jutra rana.

Zaraz potem lekarz porzucił profesjonalny ton i stał się mężczyzną, który rozmawia z innym mężczyzną, żeby dodać mu otuchy, potwierdzając tym samym pozytywne wrażenie, jakie wywarł na Jordanie, kiedy się tylko pojawił.

- Proszę mi wierzyć, nic pan w tej chwili nie może tutaj zrobić. Jeśli pan chce, może pójść do domu. Proszę być spokojnym, jest w dobrych rękach.

Potakując głową, Jordan dał doktorowi Leko do zrozumienia, że pojął wszystko i że mu ufa. Podał mu rękę, którą lekarz ścisnął.

- Dziękuję - powiedział po prostu.

- To moja praca - odpowiedział doktor Leko z taką samą prostotą.

Lekarz oddalił się z rękami splecionymi na plecach, a Jordan wziął kask leżący na siedzeniu obok krzesła z rozżarzonych węgli, na którym sam siedział do tej pory. Podeszedł do drzwi i wyszedł, korzystając z ich automatycznej uprzejmości. Znalazszy się na zewnątrz, stanął w obliczu drugiego małego cudu tego wieczoru: jego motocykl wciąż był na swoim miejscu. Wziął to za dobry znak i w świetle dobrych wieści, które otrzymał właśnie od doktora Leko, pozwolił sobie w duchu na drobną, ironiczną uwagę.

Kiedy wkładał kask, chowając uśmiech, zastanawiał się, kto rozstrzygnie problem, gdzie położyć Lyse: na żeńskim czy na męskim oddziale.

## 40

Maureen obudziła się, mając wrażenie, że jest bardziej zmęczona niż przed zaśnięciem. Poprzedniego wieczoru wzięła proszek nasenny, a mimo to miała niespokojną noc, wypełnioną snami i udręką, na dodatek bez pocieszającej pewności, że obrazy stworzone w jej podświadomości w owym rozczłonkowanym, onirycznym działaniu są całkowicie i wyłącznie jej.

Nie jestem już nawet panią własnych snów.

Spojrzała na elektroniczny zegarek stojący na marmurowym szarym blacie nocnego stolika. Czerwone cyfry wskazywały, że jest już prawie południe.

Odsunęła skotłowane prześcieradło, wstała z łóżka, wzięła ciemne okulary i włożyła szkła, zanim odsłoniła ciężkie zasłony, które zaciemniały pokój. Odsunęła także lekkie firanki w oknie i wpuściła jasne słoneczne światło. Pod sobą miała Park Avenue, wybrukowaną, różnokolorową mozaikę dachów stojących w korku samochodów. Maureen zaczęła zazdrościć wszystkim tym ludziom, którzy prowadzili samochody, spacerowali chodnikami, poruszali się po mieście i rozglądając się dokoła, otoczeni byli obrazami świata, istniejącego dla nich tu i teraz, pozbawionego jakichkolwiek komunikatów z niezrozumiałego i nieznanego miejsca, które tylko dla niej stanowiło jakieś nieokreślone kiedyś i gdzieś.

Po niepodważalnym odkryciu, że fragmenty, które chwilami nakładały się na jej wzrok, stanowiły część życia Geralda Marsalisa, niemal z obowiązku pospieszyła, żeby obejrzeć prace Jerry'ego Kho na retrospektywnej wystawie zorganizowanej w jednej z galerii w Soho. Przechadzała się po salach samotnie, ze spokojem, dziwnie chłodna, nie mając wrażenia, że już kiedyś widziała te obrazy, ale spodziewając się w każdej chwili nowego epizodu - ale czego? jak nazywa się to, co się ze mną dzieje? - a tymczasem nic takiego się nie wydarzyło. Kiedy zatrzymywała się długo przed kolorowymi plamami obrazów, stopniowo ogarniało ją uczucie skrępowania. Wewnątrz tych obrazów i za nimi dostrzegała noc i destrukcję, głębokie rany i krzyk

bólu umysłu pożeranego przez koszmary, podobnego do bólu ludzkiego ciała rozszarpywanego przez piranie w wodnych odmętach.

Jerry Kho, podobnie jak Connor Slave, był przedwcześnie zmarłym artystą, prawdopodobnie u szczytu możliwości twórczych, zamordowanym przez ludzkie szaleństwo. Ale Connor był także człowiekiem, a Gerald być może odrzucił swoje człowieczeństwo. Prawdopodobnie przestał już żyć dużo wcześniej, zanim dotknęła go śmierć fizyczna ze strony kogoś, kto znajdował się w identycznej jak on sytuacji.

Odsunęła się od okna i lekkie firanki opadły łagodnie, przywracając cienką, mglistą zasłonę odgradzającą ją od zewnętrznego świata. Podeszła do fotela stojącego obok okna i kiedy wkładała spodnie od dresu, usłyszała telefon dzwoniący w którejś części domu.

Żeby nie zakłócać jej spokoju, Mary Ann Levallier poleciła wyciszyć dzwonek w aparacie stojącym w sypialni córki. Po chwili drzwi się otworzyły i pojawiła się w nich śniada twarz Estrelli.

- Och, panienko, nie śpi pani. Niech pani podniesie słuchawkę, jest do pani telefon z Włoch.

Maureen podeszła do nocnego stolika w stylu cesarstwa, stojącego obok łóżka i podniosła słuchawkę, zastanawiając się, kto to może być. We Włoszech w tej chwili była szósta rano i nie było wielu osób, które zadzwoniłyby do niej o tej porze. Przystawiła niepewnie słuchawkę do ucha.

- Tak?

Zaskoczył ją uspokajający i dźwięczny głos Franca Roberta, jej przyjaciela i adwokata.

- Jak się czuje najpiękniejszy komisarz włoskiej policji?

Maureen знаła go zbyt dobrze, żeby nie wiedzieć, jak jest wrażliwy i zważający na słowa. Swobodny ton nie oznaczał braku taktu wobec jej osoby, ale był wyrazem ogromnej sympatii.

- Cześć, Franco, nie mów mi, że jesteś już w pracy o tej porze.

- Jestem jeszcze w pracy o tej porze. Spędziłem całą noc, przeglądając notatki do ważnej rozprawy, którą mam dzisiaj. Jak wiesz, jestem człowiekiem, który musi zarabiać na chleb.

- Jeśli dobrze pamiętam twoje rachunki, to powiedziałabym, że chodzi o bogato wypchane chlebki.

Maureen dostosowała się do niezobowiązującego tonu tej rozmowy i do udzielającego się jej mimo woli optymizmu, który docierał do niej z odległości pięciu tysięcy kilometrów.

- Kłamliwe kłamstwa i oszukańcze oszustwa, jeśli pozwolisz mi na ten podwójny, realistyczny oksymoron. Wróćmy jednak do spraw poważnych, byłem w kontakcie z twoim ojcem i śledziłem dobre wieści. Powiedział mi, że operacja udała się znakomicie.

Właśnie, nawet gdybym ci to wytłumaczyła, nie potrafiłbyś choćby w najmniejszej części zrozumieć, jak bardzo...

Nie musiała jednak dodawać żadnego komentarza. Po drugiej stronie Franco kontynuował swój wątek, przejęty tym, co miał do powiedzenia.

- A zatem, ja też mam dla ciebie dobrą wiadomość. Twój proces w sprawie Avenira Gallaniego będzie czystą formalnością. Na podstawie twojej relacji po tym, co się stało, zmobilizowana została połowa rzymskiej policji. Przeszukali milimetr po milimetrze las w okolicy Manziany i w jednym z drzew znaleźli kulę, która po przeprowadzeniu analizy balistycznej okazała się identyczna, jak pociski wyjęte z ciała Connora. To potwierdza w stu procentach twoją wersję wydarzeń i oznacza, że będę mógł upiec dwie pieczenie przy jednym ogniu.

- To znaczy?

- Doprowadzić do twojego uniewinnienia i zainkasować czek z pieczęcią włoskiej policji. Być może nawet go nie zrealizuję. Oprawię w ramkę i powieszę w mojej kancelarii jako wotum.

Maureen przez chwilę milczała.

- O co chodzi? Nie wydajesz się zadowolona.

- Ależ tak, to wspaniała wiadomość.

A przynajmniej powinna taką być. Jeszcze niedawno w podobnej sytuacji wsiadłaby do pierwszego samolotu, który zawiózłby ją do Connora, żeby mogła go uściskać i dzielić z nim tę radość. A teraz, jak miała się cieszyć, skoro takie rozstrzygnięcie nastąpiło kosztem jego śmierci?

Franco zdał się wyczuć jej myśli, bo przybrał nagle pocieszający ton głosu, jak to tylko on potrafił.

- Dobrze. Pamiętaj, że wszystko tu na ciebie czeka. Nie jestem taki głupi, żeby myśleć, że twoje życie będzie takie jak kiedyś, ani żeby próbować ciebie o tym przekonać. Ale jeśli pozwolisz mi na zupełnie nieoryginalne stwierdzenie, zaufaj

czasowi i osobom, które cię kochają. Nie zmieni to istoty rzeczy, ale pomoże przetrwać. Jeśli będę ci do czegoś potrzebny, wiesz, że tu jestem.

- Wiem, Franco, i nie zdajesz sobie nawet sprawy, jak bardzo jestem ci za to wdzięczna. Powodzenia na rozprawie.

Maureen odłożyła słuchawkę. Wiedziała, ile prawdy było w słowach Franka.

Była młoda.

Niektórzy mówili, że jest piękna.

Byli też tacy, którzy twierdzili, że zarówno piękna, jak inteligentna.

Ale tylko raz obecność innej osoby spowodowała, że czuła się najpiękniejszą, najinteligentniejszą i najbardziej pożądaną kobietą na świecie.

A teraz nieobecność tej osoby czyniła z niej kobietę samotną i zmuszoną do ukrywania się.

Świat nie akceptuje chętnie osób, które nie wstydzą się cierpieć. Każdy chce się ludzi, że zło nie istnieje, i nikt nie zgadza się dzielić z kimś zbyt długo przeświadczenia, że jest inaczej.

Maureen zdecydowała, że filiżanka kawy nie będzie mogła uczynić tego dnia jeszcze bardziej gorzkim, niż już był. Za to trochę cieplejszym. Estrella z wielką radością by ją przyniosła, ale Maureen wołała wyjść z pokoju i przygotować sobie napój sama.

Mieszkanie było raczej duże, zajmowało powierzchnię prawie czterystu metrów, z wyraźnym podziałem na strefę dzienną i nocną. Wchodziło się do niego przez szeroki hol, a stamtąd w głąb mieszkania w stronę kuchni. Długi pobyt we Włoszech spowodował, że jej matka przesiąknęła całkowicie europejskim gustem, tak więc elementy najnowocześniejszego wzornictwa łączyły się tam miękko ze starymi meblami hiszpańskimi i francuskimi, które z kolei doskonale współgrały z zasłonami i delikatnymi barwami ścian.

Zgodnie z charakterem Mary Ann Levallier nic nie było pozostawione przypadkowi.

Kiedy przechodziła boso korytarzem w stronę kuchni, usłyszała głosy dochodzące z innej części domu. Jeden zdawał się głosem matki. Zdziwiła się, bo zazwyczaj o tej porze była w kancelarii, biurze wykonanym w całości z drewna i szkła, które zajmowało pół piętra w Trump Towers.

Kiedy skręciła do holu, stanęła naprzeciw matki i dwóch mężczyzn.

Pierwszy był wysoki i umięśniony, z włosami na jeża i szyją, która ledwie mieściła się w kołnierzyku rozpiętej koszuli bez krawata. Miał na sobie czarny garnitur i Maureen nie zdołała dostrzec koloru jego oczu, bo schowane były za ciemnymi okularami.

Drugi, około sześćdziesiątki, był niższy i dużo drobniejszy, niezwykle elegancki w ciemnym, dwurzędowym, znakomicie skrojonym garniturze. Miał siwiejące włosy zaczesane do tyłu i lekko wydłużone oczy, typowe dla Azjatów nawet po wielu krzyżówkach z przedstawicielami innych ras. Jego jasna karnacja dziwnie przypominała Maureen figurę z gabinetu figur woskowych Madame Tussaud.

Głos, jakim przemawiał do jej matki, był niski i głęboki, w osobliwym kontraście ze szczupłą budową ciała.

- Pani Levallier, nie wiem, jak pani dziękować, że zechciała mnie pani przyjąć w swoim domu, a nie w biurze. Z pewnych powodów, uznałem za stosowne porozmawiać z panią osobiście w miejscu mniej... jak by to powiedzieć... oficjalnym.

- Nie ma żadnego problemu. Jeszcze dziś zajmę się tą sprawą.

Spostrzegła obecność Maureen i zrobiła krok w stronę córki.

- Och, Maureen, jesteś. Panie Whong, to jest moja córka Maureen.

Mężczyzna uśmiechnął się. Rysunek oczu jeszcze bardziej się uwydatnił, a uśmiech stał się zimnym ściągnięciem warg mimo ciepła, jakie próbował nadać swojemu głosowi. To, co miało być komplementem, pozostało formalnym ćwiczeniem z etykiety.

- Jest pani szczęśliwą kobietą, a pani córka jest również szczęśliwą kobietą z tego samego powodu.

Mężczyzna, który przedstawiony został właśnie jako pan Whong, podszedł do niej i wyciągnął rękę. Kiedy ścisnął dłoń Maureen, zdziwiła się, że nie czuje pod palcami łusek węża.

- Dzień dobry pani. Jestem szczęśliwy, że mogę poznać panią osobiście. Nazywam się Cesar Whong, a ten za moimi plecami to pan Hocto. Jest człowiekiem małomównym, ale jak może sobie pani wyobrazić, nie zatrudniam go dla jego elokwencji. Pani matka zgodziła się przyjąć mnie i pomóc mi w bardzo ważnej dla mnie sprawie.

Maureen rzuciła szybkie spojrzenie w stronę Mary Ann i zobaczyła, że matka sztywnieje. Przeniosła wzrok na woskową twarz Cesara Whonga i dostosowała się do jego układności.

Obdarzyła go jednym ze swoich najpiękniejszych uśmiechów.

- Nie wątpię, że jest pan w posiadaniu koniecznych elementów, żeby znaleźć w mojej matce właściwą osobę, która pomoże rozwiązać pański problem.

Cesar Whong nie zauważył, albo udał, że nie dostrzega instynktownego gestu złości, który poruszył dłonią Mary Ann. Skłonił lekko głowę.

- Jestem pewny, że tak będzie. Żegnam panią, pani Levallier. I wszystkiego najlepszego dla pani, Maureen. Mniemam, że jak wszystkim również pani się to przyda.

Przez cały ten czas Hocto pozostawał niemą obecnością za jego plecami. Kiedy zrozumiał, że rozmowa jest skończona, poruszył się i otworzył drzwi Cesarowi Whongowi. Maureen była przekonana, że z taką samą obojętnością, z jaką wykonał ten jakże normalny gest, skręciłby kark stojącym przed nim kobietom, gdyby takie polecenie wydał mu jego szef. Jeden po drugim, obaj mężczyźni wyszli. Kiedy zamknęli za sobą drzwi, Maureen odniosła wrażenie, że temperatura w mieszkaniu wzrosła nagle o kilka stopni.

Mary Ann Levallier chwyciła ją pod rękę i zaprowadziła do kuchni. Mówiła półgłosem, jakby się obawiała, że dwaj mężczyźni mogą ją jeszcze słyszeć. Szept, zamiast stłumić, jeszcze bardziej uwydatnił gniew, jaki połyskiwał w jej oczach.

- Czyś ty oszalała?

- Ale dlaczego? Nie wydaje mi się, żebym powiedziała coś niezgodnego z rzeczywistością. Jeśli dobrze zrozumiałam, właśnie zbudowany został doskonały trójkąt. Ten człowiek jest bardzo bogaty, jego syn zamordował troje ludzi, a ty jesteś adwokatem.

Mary Ann odzyskała całkowicie samokontrolę, ów chłód i przytomność umysłu, które uczyniły z niej jednego z najlepszych specjalistów w prawie karnym w Nowym Jorku.

- Widzisz, Maureen, istnieje zasadnicza różnica między nami dwiema.

- Tylko jedna?

- Jak słusznie zauważyłaś, jestem adwokatem. Dla mnie, dopóki nie zostanie udowodnione, że jest przeciwnie, każda osoba jest niewinna. Ty jesteś policjantką i w twoim przypadku obowiązuje całkowicie przeciwna reguła.

Gdyby po drugiej stronie tej przepaści, jaka je dzieliła, nie było jej matki, Maureen roześmiałyby się. Ona, właśnie ona ma bronić człowieka, do którego aresztowania przyczyniła się jej córka. Przez chwilę miała ochotę wszystko jej



opowiedzieć, żeby zobaczyć z bliska, jak zareagowałby logiczny i pragmatyczny umysł Mary Ann Levallier, gdyby dowiedziała się o roli, jaką jej córka odegrała w całej tej sprawie, a przede wszystkim, jak do tego doszło.

Ograniczyła się do uśmiechu i tylko potrząsnęła głową.

- Uważasz, że jest tu coś do śmiechu?

- Do śmiechu nie. Do uśmiechu, bez wątplenia. Ale nawet gdybyś żyła sto lat, nie uwierzyłabyś w powód.

- To wszystko, co możesz powiedzieć?

- Nie. Mogę dodać, że miałam ochotę na kawę. Teraz jednak sądzę, że wypiję ją na mieście.

Maureen odwróciła się i zostawiła matkę pośrodku kuchni, piękną, elegancką i daleką, która patrzyła za nią, jak oddala się korytarzem.

Kiedy otwierała drzwi swojej sypialni, zrozumiała, że za chwilę znów się to zdarzy.

Nauczyła się już rozpoznawać przyczynę tego długiego dreszczu, który przybywał z daleka i nie był wywołany zimnem, choć za każdym razem mroził jej plecy. Zanim całkowicie ogarnęło ją uczucie odrętwienia, którego doznawała, kiedy odstępowała swoje oczy innemu wzrokowi, kilkoma niepewnymi krokami zdołała jeszcze dotrzeć do łóżka.

Ledwie usiadła na brzegu materaca, tłumiąc w sobie z całych sił krzyk, kiedy...

... siedzę obok wielkiego okna przy stole w pomieszczeniu, które zdaje się szkolną stołówką, a wokół mnie są chłopcy i dziewczęta. Jedna z nich siedzi po drugiej stronie sali, patrzy na mnie i niemal niezauważalnym gestem głowy daje mi znak, żebym za nią poszedł, po czym wstaje od stołu i idzie w stronę wyjścia, a ja...

... jestem w innym miejscu i czuję wokół twarzy nacisk sztywnych krawędzi plastikowej maski, a przez otwory na oczy widzę wiele osób z podniesionymi rękami, które patrzą na mnie przerażone. Rozumiem, że wykrzykuję jakieś słowa, ale nie jestem w stanie ich usłyszeć, w ręku czuję ciężar pistoletu, którym poruszam w kierunku tych ludzi, a oni zaczynają kłaść się na ziemię i...

... postać ubrana na ciemno, która trzyma w jednym ręku strzelbę, a w drugim płócienny worek i ma na twarzy maskę z wydrukowaną podobizną Pig Pena, przechodzi obok mnie, chwyta mnie za ramię i po nabrzmiałej na szyi żyłce rozpoznaję, że coś do mnie krzyczy i...

... młoda, kolorowa kobieta z krótko ostrzyżonymi włosami, o bardzo pięknej twarzy, siedzi na krześle pośrodku pokoju i ma ogromne, ciemne oczy wytrzeszczone ze strachu, a usta zaklejone taśmą samoprzylepną, ręce ma za plecami, za nią stoi ubrana na ciemno postać w masce Lucy, która właśnie kończy ją związywać i...

Maureen odnalazła się nagle z powrotem w swoim czasie i w swojej przestrzeni, leżąc skulona na łóżku, złana potem, i z tym poczuciem przerażonego wyczerpania, które atak pozostawiał za każdym razem w jej ciele i umyśle. Miała ochotę odwrócić się, wtulić w poduszkę i płakać, dopóki nie odzyskałaby swojego życia.

Tymczasem wyciągnęła się, wzięła telefon i wybrała numer, którego nauczyła się już na pamięć, ponieważ należał do jedynej osoby, jaką mogła zaakceptować u swego boku w tym momencie. Kiedy usłyszała sygnał połączenia, wylała z siebie cały wezbrany strach i ulgę.

- Jordan, tu Maureen. To się znowu powtórzyło.

W jego głosie usłyszała szczerą troskę, dzięki czemu nie czuła się całkowicie samotna i zrozpaczona.

- Już minęło? Dobrze się czujesz?

- Tak, wszystko w porządku.

- Czy zobaczyłaś coś nowego?

- Tak.

Maureen wiedziała, że ta monosylaba wystarczy, żeby otworzyć przed Jordanem horyzont nowych możliwości. Mimo to nie wyczuła w nim wyraźnego podniecenia, tylko troskę o jej samopoczucie.

- Jeśli dasz radę, to powinniśmy się spotkać.

- Tak, myślę, że dam radę. Gdzie się zobaczymy?

- Jeśli chcesz, mogę do ciebie przyjść. Albo, jeśli wolisz, możemy spotkać się u mnie.

Maureen pomyślała odruchowo o trudności w uzasadnieniu w oczach matki obecności Jordana Marsalisa w tym domu.

- Lepiej u ciebie. Podaj mi adres.

- 54 West, Szesnasta Ulica, między Piątą i Szóstą.

- Doskonale. Już jadę.

Maureen odłożyła słuchawkę, wstała z łóżka i ruszyła niepewnym jeszcze krokiem do łazienki. Czuła, jak pot spływa jej po plecach, jakby ktoś przeciągał po nich

lodowatym palcem, i kiedy odkręcała kran, w głębi duszy zapagnęła, żeby rozpuścić się jak posąg z soli pod wpływem gorącego strumienia, zmieszać się z wodą i razem z nią zniknąć na zawsze w głębi ziemi.

# 41

Kiedy zadzwoniła Maureen, Jordan dopiero co zamknął za sobą drzwi swojego mieszkania. Odebrał telefon i wysłuchał jej słów z elektryzującym wrażeniem odkrycia, ale zdołał się pohamować i spróbował, jak tylko potrafił, przekazać tej dziewczynie poczucie bezpieczeństwa, którego on sam nie był wcale pewien. Było to minimum tego, co mógł zrobić, znając cenę, jaką Maureen za każdym razem płaciła za to, co w duchu nazywała „kontaktami”.

Włożył telefon do kieszeni i rozejrzał się dokoła.

Lysa musiała wypożyczyć meble, żeby uzupełnić te brakujące, które on oddał na przechowanie do magazynu. Mieszkanie było teraz wygodniejsze, zamieszkane, nosiło oznaki jej gustu na tyle, na ile mogła wyrazić go poprzez pożyczone sprzęty.

Na ścianach wisiały kolorowe plakaty, a w powietrzu unosił się zapach waniliowych perfum, zawieszonych w czasie, podobnie jak filiżanka pozostawiona na stole i bluzka wisząca na oparciu krzesła. Wyczuwało się oczekiwanie na osobę, która wyszła na krótkie spotkanie, a tymczasem teraz leżała w szpitalnym łóżku, podłączona do monitora, z wpiętymi w żyły rurkami, które decydowały o jej życiu.

Dokładnie w tym miejscu, w którym stał w tej chwili, owego dnia, od którego zdawał dzielić go cały wiek, podpisywał rachunek, który podawał mu mężczyzna w żółtym kombinezonie.

Rozmawiali o podróżach i wolności.

Chciałby, żeby człowiek ten był tu teraz z nim i przyniósł ulgę jego rozgoryczeniu, żeby mógł potwierdzić, iż wolność w rzeczywistości nie istnieje, że jest tylko złudzeniem wywołanym przez zdolnych prestidigitatorów, słowem, którym wszyscy elokwentnie wycierali sobie usta, prawie nieobecny w życiu zwykłych śmiertelników.

Jordan poszedł do mieszkania, żeby poszukać polisy ubezpieczeniowej Lysy, jeśli w ogóle taką miała. Jeszcze do niedawna był to jego dom, jednak teraz nie mógł pozbyć się uczucia, że jest tu intruzem.

Kiedy służył w policji, wykonywał dziesiątki rewizji, ale wtedy usprawiedliwione to było koniecznością. Nawet przez chwilę nie stawiał przed sobą problemu pogwałcenia czyjejś intymności, jak to się działo w tym przypadku. Tym bardziej że dotyczyło osoby takiej jak Lysa, która uczyniła ze swojej prywatności zabarykadowane miejsce, zamknięte i wygłuszone, żeby nie słyszeć hałasów dobiegających z zewnątrz i żeby nie słyszeć samej siebie za każdym razem, kiedy miała ochotę krzyknąć.

Jordan zastanawiał się, gdzie mogła schować dokumenty.

Postanowił zacząć od sypialni. Tutaj również, choć bez zasadniczych zmian, wyczuwało się dotyk delikatnej ręki. Nowa błękitna kapa na łóżko, na podłodze dwa dywaniki z rafii w innym odcieniu tego samego koloru, starannie wyczyszczone abażury na lampach. Jordan spróbował nie poddać się spokojowi, jakim promieniował ten pokój, i powrócił do głównego powodu swojej obecności w tym mieszkaniu.

Zazwyczaj przywykł przeprowadzać rewizje, pamiętając o tym, że ma szukać czegoś, co inni w najbardziej wymyślny sposób próbowali ukryć. W tym przypadku było dosyć prawdopodobne, że najbardziej oczywiste miejsce będzie tym właściwym.

Otworzył ścienną szafę naprzeciwko łóżka i okazało się, że ma szczęście.

Na najwyższej półce, po lewej stronie, obok stosu lekkich koszulek, leżała duża skórzana teczka. Z koloru Jordan domyślił się, że mogła pochodzić od Cartiera. Nie zdołał rozpoznać, czy jest autentyczna, czy może jest tylko jedną z doskonałych imitacji sprzedawanych przy Canal Street, ale w owej chwili pozostawało to całkowicie poza jego zainteresowaniem.

Usiadł na łóżku i otworzył teczkę.

W środku wypełniona była papierami i dokumentami ułożonymi w uporządkowany sposób, dokładnie tak, jak się można było tego spodziewać po takiej kobiecie jak Lysa. Jordan zdał sobie w myślach sprawę, że odruchowo użył słowa „kobieta”, i przyznał sam przed sobą, że było to jak najbardziej właściwe określenie.

„Życzę powodzenia tobie i tej nieszczęsnej dziewczynie...”.

Przypomniał sobie słowa Annette, kiedy wychodząc z Saint Vincent, wciąż mówiła o niej w taki sposób, choć poznała już prawdę. Jeśli tak czuła się Lysa, wszyscy powinni właśnie tak o niej myśleć.

Jordan zaczął kartkować kolejno dokumenty, nie wyciągając ich jednak całkowicie, hamując swoją ciekawość, żeby nie popaść mimo woli w chorobliwe zainteresowanie.

Pomiędzy dwiema kartkami z życzeniami urodzinowymi znalazł lekko wyblakłe, kolorowe zdjęcie.

Wbrew przyjętej zasadzie, wyjął fotografię i trzymał ją delikatnie w palcach, jak gdyby gwałtowny ruch mógł w jakiś sposób zadać ból osobom utrwalonym w owej migawce. Przepiękny, nieśmiało uśmiechający się chłopiec stał między mężczyzną i kobietą w ciemnych, poważnych strojach, którzy wpatrywali się w obiektyw posepnym wzrokiem. W głębi stał pomalowany na biało drewniany budynek, wyglądający na kościół.

Jordan sprawdził, co zawiera teczka. Nie znalazł żadnego innego zdjęcia. Cała przeszłość człowieka zamknięta była w tym jedynym prostokącie z fotograficznego papieru, który czas będzie coraz bardziej pozbawiał koloru. Pomyślał o tym, co Lysa powiedziała mu w restauracji nad rzeką, kiedy mówiła o swojej rodzinie.

„Kiedy odeszłam z domu, zobaczyłam, jak drzwi same, bez mojego udziału, zatrząskują się za moimi plecami...”.

W świetle tego, co wydarzyło się później, na twarzy tego wyjątkowo pięknego dziecka widać już było początek owej historii, która miała się zakończyć trzaskiem zamykanych drzwi.

Odłożył zdjęcie na miejsce i wrócił do przeglądania dokumentów. W końcu w przezroczystej plastikowej koszulce znalazł legitymację i umowę ubezpieczeniową, na której widniały dane osobowe Lysy.

Ujął plastikowe opakowanie w palce i kiedy wyjmował je z teczki, na kapę łóżka spadła koperta. Była niezaklejona, miała tylko skrzydełko wsunięte do wewnątrz.

Jordan podniósł ją i odwrócił, żeby obejrzeć z przodu. Była to zwykła, biała niezaadresowana koperta, przypominająca miliony innych kopert, które w tej chwili leżały na półkach lub w szufladach tysięcy sklepów rozrzuconych po całej Ameryce.

A jednak Jordan, otwierając ją, obawiał się tego, co w niej znajdzie.

Podniósł skrzydełko i rzucił okiem do środka. Po czym, trzymając kopertę za brzegi, wyrzucił zawartość na łóżko.

Na błękitnej tkaninie leżały teraz przed jego oczami cztery kolorowe kupony, przedzielone na pół zdecydowanym poprzecznym cięciem, które ktoś złożył jak fragmenty układanki, sklejjąc paskiem przezroczystej taśmy samoprzylepnej. Lekko drżącymi rękami ułożył je w rzędzie przed sobą. Były to cztery czekci z pokryciem, każdy opiewający na dwadzieścia pięć tysięcy dolarów, wydane przez Chase

Manhattan Bank, zupełnie takie same jak połówka czeku, który znalazł w kieszeni nieżyjącego DeRaya Lonarda, pseudonim Lord.

Tyle tylko, że te wystawione były na Alexandra Guerrero.

Nie zdając sobie z tego sprawy, Jordan podniósł się z łóżka i zrobił krok do tyłu. Jak skamieniały wpatrywał się w te prostokąty z kolorowego papieru, ułożone równo przed jego oczami. Jeśli kiedykolwiek w swoim życiu doznał uczucia zdziwienia, to, co odczuwał w tym momencie, oddalało go od owego doświadczenia na odległość dzielącą Pluton od Słońca.

Włożył rękę do kieszeni i wyjął komórkę. Przebiegł przez listę kontaktów, aż na wyświetlaczu pojawiło się nazwisko Burroniego.

Detektyw odpowiedział po drugim dzwonku.

- James, tu Jordan.

- Cześć. Słyszałem, o twoich wczorajszych wyczynach.

- No cóż... Pewien skurwysyn, którego posłałem do paki, postanowił się zemścić.

Niestety, została w to wmieszana osoba, która nie ma z tym nic wspólnego.

- Słyszałem. Przykro mi. Jak się czuje?

- Stan jest stabilny. Ale lekarze chwilowo zachowują rezerwę.

Jordan nie powiedział nic więcej, a Burroni o nic więcej nie pytał.

- James, przejdę od razu do rzeczy. Chciałbym poprosić cię o przysługę.

- Co tylko sobie życzysz.

- Wyślę ci faks z kserokopią fragmentu czeku z pokryciem wydanego przez Chase Manhattan Bank. Nazwisko odbiorcy nie jest kompletne, ale chodzi o DeRaya Lonarda, faceta, który strzelał do mnie wczoraj wieczorem. Sprawdź, czy uda się ustalić nazwisko osoby, która kazała wystawić czek.

Jordan chwilowo wolał nie mówić o czekach wystawionych na nazwisko Lysy. Nie zadał sobie nawet trudu, żeby wymyślić jakiś powód. Zrobił tak i basta.

- Coś jeszcze?

- Z mojej strony nie.

- A zatem ode mnie usłyszysz pewne rewelacje dotyczące Juliusa Whonga. Wychodzą na światło dzienne sprawy, o jakich nawet ci się nie śniło. Twój bratanek był być może szalonym geniuszem, ten zaś jest psychopatycznym robalem, który powinien siedzieć dożywotnio w zakładzie dla obłąkanych. Uparcie odmawia zeznań, ale my przeprowadziliśmy dochodzenie i natrafiliśmy na parę spraw, co najmniej osobliwych, jeśli chodzi o zbiegi okoliczności.

- To znaczy?

- Czternastego września 1993 roku, w Troy, małym miasteczku w pobliżu Albany, w filii lokalnego Troy Savings Bank cztery zamaskowane osoby dokonały napadu, zabierając prawie trzysta tysięcy dolarów. Zgadnij, jakie maski nosiły?

- Zapewne plastikowe maski, na których odwzorowane były twarze postaci *Peanutsów*. A dokładniej, Linusa, Lucy, Snoopy'ego i Pig Pena.

Burroni przez chwilę nie był zdolny wykrztusić słowa.

- Jordan, jeśli zrobiłbyś operację plastyczną i zgodził się chodzić z moją twarzą, będę szczęśliwy, odstępując ci moje miejsce w policji. To absurdalne, żeby taki talent jak twój się marnował. Ale to nie wszystko.

- Teraz ty mnie zadziw.

- Spróbuję. Między innymi zrobiliśmy szczegółowe przeszukanie okolic Poughkeepsie, w promieniu dziesięciu kilometrów. Właściciel jednego z pubów rozpoznał Juliusa Whonga na fotografiach, które zostały mu pokazane, utrzymując, że mniej więcej dziesięć dni po napadzie był świadkiem zagorzałej kłótni między nim i trzema innymi osobami, kobietą i dwoma mężczyznami, która nie przerodziła się w bójkę tylko dlatego, że ich przepędził z lokalu, grożąc kijem bejsbolowym. I dodał, że jedną z tych trzech osób był na pewno twój bratanek.

- Dlatego poza tym wszystkim, co obciąża Whonga, mógłby to być ślad prowadzący do jedynej rzeczy, jakiej nam jeszcze brakuje: motywu. Jesteś szcwanym lisem, James.

- Jeśli jest przy telefonie jakiś lis, to nie ja nim jestem, Jordan. Chciałbym tylko w przypadku każdego śledztwa mieć do dyspozycji tylu ludzi, ilu miałem teraz. Gwarantuję ci, że w ciągu miesiąca największym przestępcą w tym mieście byłby chłopiec, który grzebie sobie w nosie.

- Wierzę. Szkoda, że sprawy tak się nie mają.

- Sprawy nigdy tak się nie mają. Ale mimo wszystkich moich kłopotów nie zazdroszczę twojemu bratu ani Cesarowi Whongowi, nie wiem, czy rozumiesz, co mam na myśli.

Jordan rozumiał znakomicie. Przez chwilę stanęła mu przed oczami postać Burroniego, który poprawia czapkę bejsbolową na głowie swojego syna.

Cześć, mistrzu...

Rozmawiając z detektywem, Jordan przesunął się w stronę salonu, gdzie było lepsze pole. Przez okno zobaczył taksówkę zatrzymującą się przy chodniku. Chwilę



potem otworzyły się drzwiczki i z samochodu wysiadła Maureen, podnosząc od razu głowę w górę i przyglądając się kamienicy zza ciemnych okularów. Jordan wychylił się i dał jej znak palcami, żeby nacisnęła przycisk trzeciego piętra. Po czym podszedł do domofonu, by otworzyć drzwi wejściowe.

- James, jestem teraz zajęty. Informuj mnie o wszystkim, co się dzieje.

- Okej. Do usłyszenia.

Jordan skasował połączenie i słysząc szum wjeżdżającej windy, otworzył drzwi wychodzące na korytarz. Niedługo potem pojawiła się postać Maureen, jakby wywołana ruchem automatycznych drzwi, i ruszyła w jego kierunku.

Jordan odsunął się na bok, żeby ją przepuścić. Szła z lekko przygarbionymi ramionami i można było podejrzewać, że za zasłoną okularów ukrywają się oczy zmęczone widokiem tego, co zmuszone były oglądać.

Jordan uśmiechnął się do niej, nie z uprzejmości, lecz z poczucia solidarności.

- Cześć, Maureen, chciałbym powiedzieć ci dzień dobry, ale obawiam się, że takim nie jest.

- To prawda. Jednak postarajmy się przynajmniej, żeby był użyteczny.

Jordan wskazał jej kanapę.

- Rozgość się i porozmawiajmy.

Zdał sobie sprawę, że Maureen nie czekała na nic innego jak na możliwość wyładowania tego, co musiała dźwigać aż do tej chwili, i z czego tylko jemu mogła się zwierzyć. Kiedy tylko zajęła miejsce na kanapie, natychmiast zaczęła przedstawiać sceny, które dotarły do niej z cudzego życia.

Mówiła z opuszczonymi oczami, nie mogła więc widzieć reakcji, jakie jej słowa wywoływały u Jordana, który stał, słuchając jej w milczeniu.

Kiedy skończyła, usiadł w fotelu obok i ujął ją za rękę. Próbował przekazać jej swoje emocje jako siłę napędową i jako barierę przed strachem.

- Maureen, właśnie odebrałem telefon od Burronego, który całkowicie potwierdza to, co właśnie od ciebie usłyszałem. To, co widziałas, było regularnym napadem na bank, w którym uczestniczyli mój bratanek, Julius Whong, Chandelle Stuart i Alistair Campbell. Jediną rzeczą, którą musimy odkryć, jest tożsamość tej kobiety. Jeśli byli oni ubrani w ten sam sposób, musi ona mieć jakiś związek z morderstwem, które - jak mówisz - widziałas poprzednim razem. Jeśli odpowiedzialny za nie jest Julius Whong, chciałbym dołączyć również to do listy jego zbrodni.

Maureen zdjęła okulary i poszukała jego oczu, choć Jordan wiedział doskonale, jak bardzo przeszkadza jej światło.

- To stworzy kolejną niedogodność w moim życiu.

- Dlaczego?

Jordan wolałby nie widzieć tego grymasu na twarzy Maureen Martini.

- Mary Ann Levallier została właśnie powołana przez Cesara Whonga na obrońcę jego syna. A na wypadek, gdybyś tego nie pamiętał, ta kobieta jest moją matką.

Jordan znów się do niej uśmiechnął, i tym razem był to też uśmiech wyrażający solidarność i zrozumienie.

- Kiedy mój brat się o tym dowie, stworzy to pewną niedogodność również w jego życiu, choć jestem gotów się założyć, że jest już dobrze poinformowany. W każdym razie, wkrótce się dowiemy.

- Co zamierzasz zrobić?

Jordan podniósł się z fotela i wyciągnął rękę, żeby pomóc jej wstać.

- Mój brat jest teraz w Gracie Mansion. I właśnie tam w tej chwili się udamy.

## 42

Jordan i Maureen wysiedli z taksówki i ruszyli alejką prowadzącą do bramy wejściowej do Gracie Mansion. Jordan wolał pojechać do Schurtz Park publicznym środkiem lokomocji, żeby nie zmuszać Maureen do przemieszczania się na tylnym siedzeniu motocykla, co mogło być ryzykowne, gdyby podczas jazdy zdarzył się kolejny jej „kontakt”. Z drugiej strony po tym, co się jej właśnie przytrafiło, nie chciał narażać Maureen na samotną podróż samochodem.

Większą część drogi pokonali w milczeniu. Maureen długo wyglądała przez okno, jakby zahipnotyzowana obrazami miasta, które docierały do niej przefiltrowane przez ciemne szkła. Jordan spoglądał na nią kilkakrotnie, starając się, żeby tego nie zauważyła. Być może, w świetle tego, co się z nią działo, myślała, że istnieje gdzieś świat alternatywny, autentyczny, gdy tymczasem wszystko to, co porusza się wokół nich, jest tylko pozorem, kolorowym dymem, gdzie nic nie jest prawdziwe poza tym, co ona czasami miała w oczach.

Ciszę pierwsza przerwała Maureen.

- Jest coś, Jordan.

Mówiła do niego, nie odwracając się, z oczami zwróconymi na kolorowy pas przebiegający za oknem samochodu, jak na ekranie telewizyjnym.

- Co masz na myśli?

- Jest coś we mnie. Coś, co jak czuję, powinnam wiedzieć, a nie potrafię tego sprecyzować. To tak, jakbym patrzyła na jakąś osobę przez matowe szkło prysznic. Wiem, że tam jest, ale nie mogę dostrzec twarzy.

Maureen zdjęła na chwilę okulary i natychmiast założyła z powrotem, poprawiając je z nadmierną starannością na nosie. Jordan próbował przedłużyć jej jeszcze trochę pewny grunt, zanim wstąpi na ruchome piaski.

- Najlepszy sposób to nie myśleć o tym. Samo przyjdzie.

- Nie chciałam mówić, ale dokładnie tego się obawiam.

Maureen na nowo zamknęła się w ciszy, czego Jordan skorzystał, żeby zadzwonić do Saint Vincent. Gdy odezwała się centrala, poprosił o połączenie z doktorem Melwynem Leko. Kiedy tylko usłyszał głos Jordana, chirurg natychmiast go rozpoznał.

- Dzień dobry, panie Marsalis.

- Dzień dobry panu. W jakim stanie jest panna Guerrero?

- W dobrym i widać już poprawę. Teraz pozostaje w półśnie, ale możemy z całą pewnością stwierdzić, że zagrożenie minęło.

Jordan pozwolił, żeby oddech satysfakcji zawładnął swobodnie jego głosem.

- Czy jest coś, co mogę zrobić?

- Chwilowo nie.

- Dziękuję, doktorze, i jeśli nie sprawi to panu zbyt dużego kłopotu, prosiłbym, żeby informował mnie pan na bieżąco.

- Oczywiście, jeśli coś się wydarzy, na pewno pana zawiadomię.

Skończył połączenie w idealnej zgodności z samochodem, który zatrzymywał się przy krawężniku.

A teraz mijali ławkę, na której Maureen siedziała owego dnia po przyjeździe do Gracie Mansion, zanim znalazła odwagę, żeby stanąć przed nieznanymi ludźmi, nalegając, by przyjęli za prawdziwe coś, czego ona jako pierwsza nie miała śmiałości za takie uznać.

Wszystko wokół niej zdawało się powtórką tamtego dnia.

Drzewa, świetliste plamy słońca na trawie, przefiltrowane przez gałęzie, krzyki dzieci dobiegające z placu zabaw, a na placu poniżej brązowy posąg Piotrusia Pana, którego żaden magiczny pył nie mógłby unieść do lotu.

Nawet funkcjonariusz na służbie w przeszklonej budce strażniczej był tym samym policjantem o chodzie szeryfa. Przepuścił ich, o nic nie pytając, ale ze spojrzenia, jakie jej rzucił, Maureen zrozumiała, że jego stosunek do niej nie uległ zmianie.

Wszystko było identyczne, tylko oni już nie byli tacy sami.

Majordomus z Gracie Mansion, który przyjął ich w drzwiach, pozwolił, żeby sami poszli dalej, nadmieniając tylko, że burmistrz jest chwilowo zajęty w swoim gabinecie, gdzie ma nieformalne zebranie z dwoma przedstawicielami swojej partii.

W głębi korytarza Jordan i Maureen skręcili w lewo i dotarli do pokoju, w którym Ruben Dawson, jak zwykle nieskazitelnym i niewzruszonym, siedział przy komputerach w towarzystwie innego pracownika. Jordan był przekonany, że sekretarz burmistrza,

nawet podczas największego upału, nie potrzebuje klimatyzacji, tylko od środka chłodzi się we własnym zakresie.

- Ruben, musimy zrobić wycieczkę po Internecie...

Zawiesił głos i rzucił znaczące spojrzenie w stronę drugiej osoby obecnej w pokoju, krępego mężczyzny pod trzydziestkę, który siedział odwrócony plecami przed ciekłokrystalicznym ekranem firmy McIntosh.

Ruben pojął w lot, ale wyraz jego twarzy się nie zmienił.

- Martin, czy możemy pana na chwilę przeprosić?

- Oczywiście, panie Dawson.

W oczekiwaniu, aż Martin wstanie i wyjdzie z pokoju, Jordan podszedł do kserokopiarki i zasłaniając ciałem to, co robi, wyjął z kieszeni marynarki czek, który znalazł przy zwłokach Lorda. Zrobił kopię, wsunął ją do faksu i wysłał na numer Burroniego. Po czym odwrócił się i odezwał do Dawsona, który wciąż siedział przed komputerem.

- Ruben, czy myślisz, że miasto Troy ma swoją lokalną gazetę?

- Nie wiem, ale za chwilę możemy sprawdzić.

Ruben wszedł do Explorera i po krótkim wyszukiwaniu usiadł głębiej w fotelu, pokazując na ekran.

- Proszę bardzo. „Troy Record”.

- Powinieneś zadzwonić i zapytać, czy mają elektroniczne archiwum. A jeśli tak, czy jest dostępne on line. Nie sądzę, żeby robili problemy, jeśli polecenie pochodzi z biura burmistrza. Powiedz, że to bardzo ważne.

Ruben wstał i podszedł do telefonu. Zanim wybrał numer, zatrzymał się z podniesioną słuchawką.

- Uświadamiam wam, że będziemy mieć do czynienia z gazetą. Jeśli chodzi o sprawę, która powinna pozostać w tajemnicy, jest to najgorszy sposób, żeby jej dochować.

Jordan zmuszony był przyznać, że Christopher, wybierając Rubena na współpracownika, nie ulokował swojego zaufania w przypadkowej osobie.

- W porządku. Nie jest to aż do tego stopnia ważne.

Ruben Dawson wybrał numer i poprosił o rozmowę z dyrektorem dziennika. Kiedy rozmawiał, Maureen usiadła przy biurku i weszła na stronę „Troy Record”. Jordan stanął za jej plecami i położył ręce na oparciu fotela.

Ruben pożegnał się z osobą, z którą rozmawiał, i odłożył słuchawkę.

- Zrobione. Archiwum jest częściowo skomputeryzowane i sięga dwanaście lat wstecz. Hasło to „Connor Slave”.

Jordan poczuł, jak Maureen sztywnieje, ale nic nie powiedział na ten zbieg okoliczności. Kolejny raz zmuszony był stwierdzić, że przypadek jest wręcz bezlitosny, kiedy postanawia przypomnieć ludziom o ich cierpieniach.

Maureen otworzyła link oznaczony na stronie jako „Archiwum” i na żądanie wprowadziła hasło. Pod logo gazety pojawiła się na ekranie wewnętrzna ścieżka wyszukiwania.

Usłyszała głos Jordana dochodzący zza jej pleców.

- Fakt miał miejsce 14 września 1993 roku, dlatego sędzę, że powinniśmy sprawdzić wydanie z następnego dnia.

Maureen wprowadziła datę i na ekranie pojawił się numer „Troy Record”, o który poprosił Jordan. W absolutnej ciszy, pogłębionej jeszcze przez ich niepokój, komputer zaczął przeglądać strony gazety, jednak bez znajomego szelestu papieru. Przez ekran przebiegały stare słowa, napisane już i wypowiedziane wiele razy, które można by przepisać i powtórzyć, nie tworząc przy tym żadnej ciągłości, zmieniając tylko nazwiska i miejsca, tak bardzo życie budowane przez ludzi jest monotonne w swojej powtarzalności.

Tylko zło ma bezgraniczną fantazję.

Wiadomość znaleźli w kronice miejskiej. Artykuł, podpisany przez dziennikarkę o nazwisku Rory Cardenas, był absolutnym hitem tej strony.

## DOLARY I ORZESZKI

### Charlie Brown okrada bank

Wczoraj w siedzibie Troy Savings Bank przy Columbian Turnpike, w East Greenbush, dokonano napadu. Trzy osoby, z twarzami zasłoniętymi maskami karnawałowymi przedstawiającymi podobizny postaci z *Peanutsów*, weszły do pomieszczeń banku i grożąc klientom i personelowi rewolwerami i strzelbą, przywłaszczyły sobie cały depozyt, który wynosił trzydzieści tysięcy dolarów. Linus, Lucy i Pig Pen oddalili się białym fordem, który czekał przed bankiem z włączonym silnikiem. Za kierownicą siedziała czwarta osoba, osłonięta maską Snoopy'ego. Wydaje się, że włamywacze mieli pecha, ponieważ samochód odnaleziono porzucony

około dziesięciu kilometrów na południe z zepsutym silnikiem. Mimo to zdołali zatrzeć za sobą ślady. Wśród osób obecnych w banku podczas napadu nie było rannych. Tylko jedna starsza kobieta, siedemdziesięciodwuletnia Mary Hallbrooks, być może w wyniku emocji, zemdląca i została natychmiast przewieziona do Samaritan Hospital, gdzie przebywa nadal na obserwacji, choć jej stan nie budzi niepokoju. Po raz pierwszy siedziba Troy Savings Bank stała się celem...

Artykuł uzupełniała fotografia dyrektora i zdjęcia pomieszczeń bankowych, w których funkcjonariusze przeprowadzali wizję lokalną. Maureen poczuła, że napięcie dłoni Jordana rozluźnia się i zmniejsza się nacisk na oparcie fotela. Stał teraz obok niej, oddalony od ekranu, do którego zbliżył się wcześniej, żeby lepiej widzieć tekst artykułu.

- Dobrze, to są szczegóły, które już znamy. Jeśli to, co zobaczyłaś, jest prawdą, musiało wydarzyć się niemal równocześnie z tym faktem. Jeśli tak jest, wiadomość powinna się znaleźć w wydaniu z tego samego dnia.

W istocie, dwie strony dalej, na dole po prawej stronie, był artykuł, którego szukali.

Jordan wskazał palcem miejsce i Maureen otoczyła je ramką i zastosowała zoom, powiększając interesującą ich część. Na ekranie komputera pojawił się wycinek strony z dwiema fotografiami. Jedno przedstawiało kolorową kobietę o dosyć jasnej skórze, krótkich włosach i bardzo pięknej twarzy, która uśmiechała się łagodnie ze swojego prostokąta. Na drugim był chłopczyk z ciemnymi oczami i skórą troszkę jaśniejszą od karnacji matki. Miał bystry wygląd i patrzył na nich z rozbawionym wyrazem twarzy.

Mimo że widziała ją w zupełnie innych warunkach, Maureen natychmiast rozpoznała kobietę. Również to wydało jej się powtórką dnia, kiedy odkryli tożsamość Snoopy'ego i na ekranie pojawiła się twarz Alistaira Campbella z czasów chłopięcych. Położyła dłoń na nadgarstku Jordana i lekko go ścisnęła, nic przy tym nie mówiąc.

## MIMO PIELEŃNIARSKIEGO DOŚWIADCZENIA NIE ZDOŁAŁA URATOWAĆ ŻYCIA SYNA

Thelma Ross, zawodowa pielęgniarka z Samaritan Hospital w Troy, stała się ofiarą tragicznej serii nieszczęść, które kosztowały życie jej syna, małego,

pięcioletniego Lewisa. Chłopiec, bawiąc się w przydomowym ogródku, ukąszony został przez szerszenie. Wywołany w następstwie gwałtowny szok anafilaktyczny spowodował obrzęk krtaniowy, który w bardzo krótkim czasie całkowicie zatkał drogi oddechowe. Nawet szybkie działanie matki, która dzięki długiej praktyce w sali operacyjnej zrobiła małemu Lewisowi doraźną tracheotomię, nie zdołało uratować mu życia. Kiedy przyjechała pomoc, lekarz z pogotowia stwierdził zgon dziecka. Thelmie Ross przekazujemy wyrazy współczucia naszej społeczności, której tak wiele dała i która w tych smutnych okolicznościach skupia się poruszona wokół niej.

Jordan położył rękę na ramieniu Maureen z powodu podekscytowania, którego głos nie był w stanie zamaskować.

- Jest coś, co się nie zgadza. Wiadomość, która jest tu podana, zupełnie nie odpowiada temu, co...

Przerwał, zanim skończył zdanie. Chociaż Ruben nie zrozumiał, do czego chciał się odnieść, Maureen pojęła to doskonale.

Poczuła, że palce Jordana lekko, ale nagłąco naciskają jej ramię.

- Poszukaj mi telefonu do Samaritan Hospital w Troy.

Maureen otworzyła stronę biura numerów i po kilku chwilach numery telefonów i adres szpitala pojawiły się na ekranie.

Jordan natychmiast podniósł słuchawkę aparatu i wybrał numer. Telefonistka odpowiedziała od razu.

- Samaritan Hospital, w czym mogę pomóc?

- Chciałbym rozmawiać z działem personalnym.

- Proszę poczekać.

Przez kilka chwil w słuchawce słychać było muzykę, a potem odezwał się zdecydowany głos:

- Michael Stills.

- Dzień dobry, panie Stills, tu Jordan Marsalis, dzwonię w imieniu burmistrza Nowego Jorku.

- Oczywiście. Przepraszam, że kazałem panu czekać, ale miałem na linii prezydenta Stanów Zjednoczonych.

Jordan docenił szybki refleks rozmówcy i nie wziął mu tego za złe. Spodziewał się tego typu reakcji, choć może nie aż tak ironicznej.



- Panie Stills, rozumiem pańskie zakłopotanie. Przyjechałbym osobiście, ale chodzi o niezwykle pilną sprawę. Jestem bratem burmistrza. Pańska centrala może połączyć pana z numerem Gracie Mansion i to sprawdzić.

- Nieważne. Pański ton mnie przekonał. Proszę mówić.

- Potrzebna mi informacja na temat waszej pracownicy. Chodzi o pielęgniarkę, która nazywa się Thelma Ross. Chciałbym wiedzieć, czy jeszcze u was pracuje, a jeśli tak, to czy mógłbym z nią porozmawiać albo dostać jej adres.

Po drugiej stronie nastąpiła pauza podkreślona westchnieniem.

- Ach, Thelma. Ta biedna dziewczyna...

Jordan wtrącił się, żeby uprzedzić opowieść o faktach, o których właśnie przeczytał.

- Wiem, co się przytrafiło jej i jej synowi. Chciałbym wiedzieć, gdzie ją mogę teraz znaleźć.

Jordan obdarzył w myślach Michaela Stillsa tymczasową twarzą i wyobraził go sobie zagubionego w osobistych wspomnieniach.

- Tutaj wszyscy ją bardzo lubili. Była miłą osobą i nadzwyczajną pielęgniarką. Po tym nieszczęściu nigdy już, niestety, nie doszła do siebie. Wpadła w depresję, która wciąż się pogłębiała, aż doprowadziła ją do stanu na półkatatonicznego. Obecnie przebywa w klinice psychiatrycznej.

- Pamięta pan jego nazwę?

- Nie jestem pewien, ale wydaje mi się, że nazywa się The Cedars albo The Oaks, coś w tym rodzaju. Wiem od koleżanek, które czasami jeżdżą ją odwiedzić, że jest to zaraz za Saratoga Springs, na północ. Zdaje mi się, że w tamtej okolicy to jedyna klinika tego rodzaju.

- A czy nie mógłbym porozmawiać z mężem?

- Thelma nie jest zamężna. A przynajmniej, kiedy tu przyjechała, już nie była.

- Dziękuję, panie Stills. Bardzo mi pan pomógł.

Jordan odłożył słuchawkę i pozostał przez chwilę w milczeniu, nie zdejmując z niej ręki, jak gdyby nie chciał odrywać się od tej rozmowy, dopóki nie przyswoi sobie całkowicie jej sensu.

- Thelma Ross przebywa w tej chwili w zakładzie dla psychicznie chorych w okolicach Saratoga Springs. Nie wiem, w jakim stopniu może się nam ona przydać, ale sądzę, że powinniśmy ją odwiedzić.

Z tonu Jordana Maureen zrozumiała, że ich wizyta w Gracie Mansion dobiegła końca. Christopher był wciąż zajęty, a myśl, że odejdą, nie widząc go i nie musząc mu tłumaczyć powodu ich obecności, nie przeszkadzała żadnemu z dwojga.

Pożegnali Rubena, otworzyli drzwi i ruszyli w milczeniu korytarzem w stronę wyjścia.

Dawson został w pokoju sam, stojąc w progu i patrząc za nimi, dopóki nie znikli za rogiem. Natychmiast potem wyjął komórkę z kieszeni i wybrał numer, który na liście kontaktów odpowiadał nazwie jakiegoś towarzystwa dobroczynnego.

Kiedy dostał połączenie, nie zatroszczył się nawet o to, żeby podać swoje nazwisko. Mimo swojego charakterystycznego chłodu nie zdołał powstrzymać się od lekkiego obniżenia tonu głosu.

- Przekażcie panu Whongowi, że posiadam parę informacji, które mogłyby go bardzo zainteresować...

## 43

Helikopter przelatywał nad rzeką Hudson, kierując się na północ na wysokości sześciuset metrów.

Ze swojego miejsca przy oknie Jordan mógł widzieć cień maszyny, który podążał za nim, ślizgając się płynnie po pomarszczonej powierzchni rzeki, puszczony w pościg za nimi, jak gdyby jak najszybciej pragnął połączyć się na nowo z przedmiotem, który go stworzył. Christopher, na wyraźne życzenie Jordana, nie zadając zbędnych pytań, oddał do dyspozycji swój helikopter. Agusta-Bell AB139 wystartował z Downtown Manhattan Heliport w kierunku Saratoga Springs. Wcześniej skontaktowali się z The Oaks, kliniką, w której przebywała Thelma Ross. Po rozmowie z dyrektorem Colinem Norwichem Jordan wybrał takie właśnie rozwiązanie, kiedy dowiedział się, że zakład dysponuje lądowiskiem dla śmigłowców.

Teraz on i Maureen siedzieli obok siebie na fotelach za pilotem. Mimo że kokpit był wygłuszony, posłuchali jego rady i założyli słuchawki Peltor z interfonem, żeby rozmawiać ze sobą w czasie podróży bez konieczności przekrzykiwania śmigieł wirnika.

Jordan nacisnął guzik, wyłączający z ich rozmowy pilota, i zwrócił się do Maureen, która opierała się o zagłówek z lekko uniesioną i przechyloną do tyłu głową, jak gdyby drzemała i miała przymknięte oczy pod osłoną ciemnych okularów.

- Jest coś, czego nie potrafię pojąć.

Jej natychmiastowa odpowiedź dała mu do zrozumienia, że nie śpi i że podobnie jak on zastanawia się nad sytuacją.

- Ciekawe, czy chodzi o to samo, co mnie nie daje spokoju.

- Biorąc pod uwagę wcześniejsze epizody, nic nam nie każe podejrzewać, że to, co widziałas, nie jest prawdą. Jeśli sprawy tak się mają i jeśli to Julius Whong zabił syna Thelmy Ross, to dlaczego ona nie złożyła doniesienia?

- No właśnie.

- Miejmy nadzieję, że ona sama zdoła nam coś powiedzieć, chociaż lekarz, z którym rozmawiałem, wyraźnie unikał tego tematu.

Spojrzeni na siebie. Lecieli sześćset metrów nad ziemią, ale czuli się dużo wyżej, niż byli w istocie w tym pudełku ze stali i szkła, które przerywało nieruchomą ciszę wsi swoim hałasem i sztucznie wywołanym wiatrem.

Maureen na powrót zaczęła przyglądać się krajobrazowi po swojej stronie, ułatwił jej to helikopter, który wykonywał właśnie skręt w prawo. Mimo to jej głos dotarł do uszu Jordana wyraźny i gorzki niczym zła myśl.

- Ktoś postawił ludzi w obliczu wątpliwości, być czy nie być, ktoś inny wobec wyboru między być a mieć. Natomiast jedyną rzeczą, jakiej ja pragnę w tej chwili, to tylko zrozumieć.

Niezwykła zdolność wizualizacji zawiodła Jordana na nowo, nagle i bez uprzedzenia, przed Tratwę Meduzy, ogromne malowidło, które widział w domu Chandelle Stuart. Gdyby poszedł obejrzeć je teraz, nie zdziwiłby się, odnajdując pośród tłumu rozbitków twarze Maureen i swoją.

Być może, dlatego, że nie był w niej zakochany, czuł, że jest mu bliska jak mało, kto w życiu. To, co spotkało go przed dwoma dniami, wciągnęło go jeszcze głębiej w historię tej dziwnej włoskiej dziewczyny, której los zgotował tak trudne do zniesienia próby. Kiedy zobaczył Lysę leżącą na ziemi, z plamą krwi, która rozlewała się na jej bluzce, wysysając kolor z twarzy, zrozumiał, co musiała czuć Maureen, kiedy spotkało ją to straszne doświadczenie z Connorem Slave'em.

Lysa...

Poprzedniego wieczoru, po wizycie w Gracie Mansion, mimo rozmowy telefonicznej z doktorem Leko, Jordan i tak wstąpił do szpitala Saint Vincent, żeby zobaczyć Lysę. Kiedy pozwolono mu wejść na chwilę na palcach do jej pokoju, zastał ją śpiącą, z włosami rozrzuconymi na poduszce, bladą i piękną, jak gdyby nie leżała w szpitalnym łóżku, ale pozowała na planie sesji fotograficznej. Bicie jej serca, zobrazowane zieloną linią przebiegającą przez monitor, było regularne, dużo bardziej niż jego.

Kiedy stał obok łóżka, Lysa otworzyła na chwilę oczy i spojrzała wzrokiem zamglonym i oślepiałym pod wpływem działania leków. Jordanowi wydało się, że na mgnienie przez jej wargi przemknął lekki uśmiech, ale zaraz potem została z powrotem wessana w miejsce wyzbyte bólu, gdzie mogła się schronić dzięki

lekarstwom. Jordan wyszedł, tak jak wszedł, w absolutnej ciszy, zostawiając Lyseę pogrążoną w głębokim śnie, w jaki on nie mógł zapaść przez całą noc.

Pilot podniósł prawą rękę i robił gest skierowany w dół, wskazując rozciągającą się pod nimi, połyskującą powierzchnię jeziora Saratoga.

Jordan przywrócił łączność w słuchawkach.

- Oto jezioro. Miejsce, którego szukamy, jest na północnym brzegu.

Znów nastąpiła szybka gra refleksów na powierzchni wody, kiedy helikopter skręcał i tracił wysokość. System satelitarnego sterowania naprowadził pilota na współrzędne miejsca lądowania i w końcu cień zdołał na powrót przykleić się do tego dziwnego obiektu zawieszony w powietrzu, na który polował przez całą podróż, nie wiedząc, że jest tylko jego kopią.

Podczas kolejnych faz lądowania Jordan obserwował z góry dwie budowle wkomponowane we fragment parku, który zdawał się należeć do kompleksu szpitalnego i na który składały się niewiarygodnie zielone połacie angielskiego trawnika, poprzedzielane starannie obszarami z niską roślinnością i wysokopiennymi drzewami. Jeden z budynków był niższy, ulokowany tuż za lądowiskiem. Drugi, dużo większy, stojący bardziej na prawo, miał przed sobą obszerny dziedziniec, który przechodził w kwitnący ogród.

Pilot wyłączył silniki. Jordan i Maureen wysiedli z maszyny, bezwiednie pochylając się do przodu z powodu ruchu powietrza nad ich głowami wywołanego przez śmigła. Weszli w alejkę obrośniętą żywopłotem z ostrokrzewu i ruszyli naprzeciw idącego w ich kierunku mężczyzny. Teraz, kiedy mógł oglądać ją z dołu, Jordan patrzył z podziwem na wspaniałą, jasną konstrukcję z kamiennymi wstawkami i wielkimi oknami, z której wyszedł podchodzący teraz do nich mężczyzna.

Jordan wyciągnął do niego rękę, podnosząc głos, żeby przekrzyczeć szum coraz wolniej obracających się śmigieł.

- Dzień dobry. Jestem Jordan Marsalis, a to Maureen Martini, komisarz policji włoskiej.

Ściskając im dłonie, mężczyzna, niemal tak wysoki jak Jordan, noszący dosyć długie, kasztanowe włosy, ale wyglądający na osobę kompetentną, również się przedstawił.

- Witam. Jestem Colin Norwich, dyrektor The Oaks. Rozmawialiśmy przez telefon.

- Tak jest. Dziękuję, że zgodził się pan nas przyjąć i pozwolił, byśmy spotkali się z pańską pacjentką.

Kiedy szli w stronę budynku, z którego dopiero, co nadszedł Norwich, ten ostatni wzruszył ramionami.

- Powiedziano mi, że chodzi o sprawę najwyższej wagi. Nie wiem, czego spodziewacie się po pani Ross, ale obawiam się, że nie może wam być specjalnie pomocna.

- W jakim sensie?

- Powody są zasadniczo dwa. Po pierwsze Thelma z powodu wstrząsu, jaki przeżyła, żeby wyrazić to w zrozumiały sposób, stworzyła wokół siebie jakby barierę, poza którą niemal nigdy nie wychodzi. Musieliśmy bardzo długo i usilnie starać się, żeby pomóc jej osiągnąć równowagę. Teraz, w następujących na przemian okresach, spędza całe dni w milczeniu. Kiedy się tu znalazła, umiała tylko krzyżeć.

- A drugi powód?

Doktor Norwich zatrzymał się i spojrzął z powagą najpierw na Jordana, a potem na Maureen.

- Choć na pierwszy rzut oka może tak się nie wydawać, to jest szpital, ja jestem lekarzem, a ona moją pacjentką. Jestem za nią odpowiedzialny. Jeśli stwierdzą, że wasza obecność może w jakikolwiek sposób zachwiać jej równowagę, będę zmuszony poprosić was, byście zakończyli swoją wizytę.

Rozmawiając, dotarli do półokrągłego dziedzińca rozciągającego się przed budynkiem. Norwich wskazał niewiarygodnie zadbane ogród, który wylaniał się zza niskiego muru z czerwonej cegły. Kilka kobiet przechadzało się swobodnie po alejkach, samotnie albo w grupkach. Inne, siedzące na wózkach, popychane były przez pielęgniarki w białych fartuchach.

- To są nasze pacjentki. Jak widzicie, zakład przeznaczony jest tylko dla kobiet.

Jordan objął wszystko to, co ich otaczało, jednym szerokim gestem ramion.

- Doktorze Norwich, wydaje mi się, że w tym miejscu przebywają wyłącznie osoby mogące sobie pozwolić na dosyć wysokie opłaty.

- Określił to pan w sposób trochę bezwzględny, ale w istocie tak jest.

- No właśnie. Pani Ross była tylko pielęgniarką. Jak to jest możliwe, że może pozwolić sobie na leczenie w takim zakładzie?

- Z tego, co wiem, dysponowała osobistym majątkiem sięgającym niemal półtora miliona dolarów. Zarządzany on jest przez bank i przynosi zyski wystarczające na pokrycie wydatków.

- Nie wydaje się panu dziwne, że zwykła pielęgniarka dysponowała tak wysoką sumą pieniędzy?

- Panie Marsalis, ja jestem psychiatrą, a nie urzędnikiem skarbowym. Mnie interesuje to, co dzieje się w głowach moich pacjentów, a nie to, jak wyglądają ich konta bankowe.

Nadejście jasnowłosej pielęgniarki, dosyć pulchnej, ale o ładnej twarzy, uwolniło Jordana od kłopotu znalezienia właściwej riposty. Kobieta, która zatrzymała się obok nich, nieskazitelna w swoim białym uniformie, patrzyła jednak na Jordana wzrokiem wyrażającym czyste łakomstwo. Maureen zauważyła to i stłumiła w sobie uśmiech, wyobrażając sobie, jak takim samym wzrokiem omiata swoją podwójną porcję truskawek ze śmietaną.

Norwich wydał jej polecenia i wyjaśnił powód obecności tych dwojga nieznanym w The Oaks.

- Carolyn, zaprowadź pana Marsalisa i pannę Martini do Thelmy. Upewnij się, czy wszystko jest w porządku.

Uwagi Jordana nie umknęło, że Norwich położył nieznaczny nacisk na ostatnie zdanie. Pielęgniarka oderwała wreszcie wzrok od Jordana.

- Oczywiście, panie dyrektorze.

- Proszę iść z Carolyn. Zechciecie mi wybaczyć, ale ktoś czeka na mnie w gabinecie. Przyjdę później pożegnać się z wami.

Psychiatra odwrócił się i ruszył zdecydowanym krokiem w kierunku wejścia do budynku. Maureen i Jordan poszli natomiast śladem pielęgniarki, która mimo że nie miała sylwetki sylfidy, poruszała się całkiem zgrabnie. Poprowadziła ich alejkami ogrodu pełnego tak szczególnych barw, że Maureen zdawało się, jakby zanurzała się stopniowo w jeden z obrazów Maneta. Pacjentki, które mijali po drodze, miały wszystkie wygląd łagodny i zdziwiony jak ktoś, kto żyje we własnym świecie. Jordan miał teraz ochotę skomentować uwagę wypowiedzianą przez Maureen w helikopterze. U osób tych najbardziej krucha część umysłu dokonała własnego wyboru. Między być albo nie być, między być i mieć ofiarowała im dar obojętności.

Thelma Ross siedziała wyprostowana na kamiennej ławce w altanie całkowicie spowitej gałęziami pnącej róży, które ogrodnik poprowadził do góry w taki sposób, że

całkowicie zlały się z położeniem. Miała na sobie szarą spódnicę i różowy bliźniak o trochę staroświeckim kroju, kontrastujący jednak ładnie z jej ciemną karnacją. Wyglądała starzej niż na zdjęciu w gazecie, ale jej skóra była delikatna i pozbawiona zmarszczek. Była wciąż bardzo piękną kobietą, jak gdyby los, zaspokojony tym, że naruszył jej umysł, postanowił zachować się miłosiernie wobec jej wyglądu zewnętrznego.

Kiedy usłyszała chrzęst kroków na żwirze, kobieta podniosła na nich oczy. Maureen poczuła lekki dreszcz zimowego chłodu w ten słoneczny dzień. W jej ciemnych i spokojnych oczach można było dostrzec, że rozum został z nich przepędzony przez coś gwałtownego i strasznego.

Po raz pierwszy Maureen znalazła się w bliskim kontakcie z jedną z osób, które pojawiły się w jej halucynacjach. Jeśli pozostawała jakaś wątpliwość, wystarczyło wyciągnąć rękę i dotknąć ramienia Thelmy Ross, żeby zdać sobie ostatecznie sprawę, iż owe obrazy są teraz być może iluzją, ale w przeszłości były na pewno rzeczywistością.

Pielęgniarka podeszła do kobiety, która kiedyś była jej koleżanką po fachu, i przemówiła do niej łagodnym głosem:

- Thelmo, mam dla ciebie małą niespodziankę. Popatrz na tych państwa, przyszli cię odwiedzić.

Kobieta spojrzała najpierw na Carolyn, potem na Jordana, jakby nie istnieli. Potem jej wzrok przesunął się na Maureen.

- Jesteś przyjaciółką Lewisa?

Miała głos niewiarygodnie łagodny i niosła ze sobą jakąś naiwność. Maureen przykucnęła przed nią z czułością, jaką obdarza się bezbronną osobę.

- Tak, jestem przyjaciółką Lewisa.

Thelma podniosła rękę, żeby dotknąć jej włosów. Maureen zobaczyła ją znowu zakneblowaną, z oczami wytrzeszczonymi z przerażenia, podczas gdy jakiś głupi chłopak w masce Snoopy'ego przywiązywał ją do krzesła.

Kobieta uśmiechnęła się, a jej uśmiech rozjaśnił mrok.

- Jesteś piękna. Mój Lewis też jest piękny. Teraz studiuje w college'u. Kiedyś będzie weterynarzem. Ja wolałam, żeby wybrał medycynę, ale on tak bardzo kocha zwierzęta.



Maureen uniosła głowę i napotkała wzrok Jordana. Oboje mieli w sobie tę samą litość, która stała się też pewnością, że odbyli daremną podróż. Ujęła jednak delikatnie dłonie, które kobieta trzymała splecione na brzuchu.

- Pani Ross, czy pamięta pani, co stało się Lewisowi, kiedy pogryzły go szerszenie?  
Pytanie nie dotarło do miejsca, gdzie schronił się umysł kobiety.

- Lewis gra też bardzo dobrze w koszykówkę. Jest najlepszy i bardzo szybko biega. Jego trener mówi, że zostanie wielkim rozgrywającym.

Jordan wyjął z kieszeni zdjęcia Juliusa Whonga i jego ofiar. Podał je Maureen, która była w tej chwili pośrednikiem ze światem Thelmy Ross.

- Thelmo, czy zna pani którąś z tych osób?

Maureen przesunęła kolejno fotografie przed pogodną twarzą kobiety. Jej wyraz nie zmienił się, podczas gdy obserwowała przebiegające przed jej oczami oblicza osób, które zmusiły ją, żeby siedziała teraz na tej kamiennej ławce i budowała przyszłość dla niemającego nigdy dorosnąć dziecka.

Jordan wsunął rękę do wewnętrznej kieszeni marynarki i wyjął z niej złożone na pół kartki. Kiedy je rozprostował i jej podał, Maureen zobaczyła, że na pierwszej widnieje postać Snoopy'ego. Nieznacznie skinął do niej głową.

Maureen wyciągnęła pierwszą kartkę do siedzącej naprzeciw kobiety i oparła na jej udach.

- Proszę pani, czy widziała pani kiedykolwiek tę postać?

Thelma Ross wzięła do ręki papier i spojrzała nań początkowo tymi samymi, nieobecnyimi oczami, z jakimi przyjęła ich pytania i jakimi patrzyła na poprzednie zdjęcia.

Potem, nagle, jej oddech stał się szybszy.

Maureen przesunęła przed jej twarzą kartki z podobizną Linusa, Lucy i Pig Pena i po raz pierwszy w życiu zrozumiała, czym naprawdę jest przerażenie. Oczy Thelmy Ross wychodziły stopniowo na wierzch, podczas gdy ona cofała się, potrząsając głową krótkimi, histerycznymi ruchami i wciągając otwartymi ustami tyle powietrza, ile była w stanie. Przez chwilę wszystko zdawało się nieruchome, a potem z gardła kobiety wydobył się przeraźliwy wrzask, który był jednocześnie strachem, bólem i nagłym wspomnieniem, tak rozdzierający, że Maureen niemal odruchowo poderwała się na nogi.

Pielęgniarka zareagowała natychmiast. Wyjęła z kieszeni pager i nacisnęła guzik. Po czym jednym stanowczym gestem odsunęła Maureen i Jordana i zbliżyła się do kobiety, pogrążonej w krzyku, który zdawał się nie mieć końca.

- Thelmo, uspokój się, wszystko jest w porządku.

Objęła nieszczęsną ramionami, próbując ją unieruchomić, gdy tymczasem ona konwulsyjnymi ruchami chwyciła i ciągnęła cienką tkaninę sweterka, próbując go z siebie zerwać, tak jakby nagle zaczął parzyć.

- Wy dwoje, odejdźcie stąd.

Jordan i Maureen wyszli z altany dokładnie w chwili, gdy nadbiegał doktor Norwich w towarzystwie dwóch pielęgniarek, również raczej mocno zbudowanych. Jedna z nich miała w ręku strzykawkę. Rzuciła się w stronę ławki i z pomocą koleżanek podwinęła rękaw sweterka, po czym wbiła igłę w ramię Thelmy Ross.

Norwich ujął Jordana za łokieć i wściekły odwrócił go siłą w swoją stronę.

- A przecież prosiłem. Teraz będziecie dumni z tego, co zrobiliście. Proszę państwa, wasza obecność tutaj jest niepożądana. Na dzisiaj wyrządziliście wystarczająco dużo szkód.

Odwrócił się plecami i dołączył do pielęgniarek zajmujących się pacjentką, która po zastrzyku zaczęła się teraz uspokajać, nie przestając jednak krzyczeć.

Jordan i Maureen zostali sami.

Byli w tym miejscu jednymi z niewielu osób, które posiadały rozum, i obydwójce zastanawiali się w owej chwili, czy było warto tu przychodzić.

Wrócili na miejsce lądowania, nie mając odwagi spojrzeć sobie w twarz. Wkrótce potem, kiedy siedzieli obok siebie, nieruchomi i milczący, w helikopterze, który transportował ich do Nowego Jorku, Jordan nie mógł uwolnić się od myśli o tym, co się właśnie stało, od przerażonej twarzy Thelmy Ross i od jej krzyku, który miał brzmieć w jego uszach jeszcze przez długi czas.

Reakcja kobiety na widok postaci *Peanutsów* oznaczała, że gazeta nie przytaczała rzeczywistych faktów i że istniał związek między tym, co wydarzyło się przed laty, i tym, co zobaczyła Maureen.

Zastanawiał się też nad powodem, dla którego - kiedy znalazła się w obliczu dwóch osób chcących nawiązać z nią kontakt - kobieta ta instynktownie postanowiła rozmawiać właśnie z Maureen.

Odwrócił na chwilę głowę, żeby popatrzeć na jej regularny profil, rysujący się na tle wpadającego przez okno światła, i przypomniał sobie coś, o czym pomyślał poprzedniego dnia podczas krótkiej podróży taksówką do Gracie Mansion.

Być może to była właściwa odpowiedź.

Również dla Thelmy, podobnie jak dla Maureen, wszędzie dokoła nie było nic prawdziwego poza tym, co zobaczyły jej oczy.

## 44

Kiedy otworzył drzwi pokoju, Lysa miała zamknięte oczy, ale nie spała.

Brązowe włosy, ściągnięte i związane w koński ogon, podkreślały doskonałość rysów twarzy. Jej oczy otworzyły się z taką samą nieśmiałością, z jaką uchyliły się drzwi, którymi wszedł Jordan. Miała jeszcze rurkę kroplówki wpiętą do żyły, ale monitor obok łóżka został wyłączony i na matowym ekranie nie widać już było zielonych uderzeń jej serca.

- Cześć, Jordan.

- Cześć, Lysa.

Było w tym suchym powitaniu powstrzymywane ożywienie. Na tę chwilę oboje czekali i jednocześnie się jej bali. Lysa była piękna i blada, a Jordan czuł się skrepowany i niezręczny, i w końcu powiedział to, co wszyscy mówią w takich sytuacjach.

- Dobrze ci tu? Masz wszystko, co ci potrzeba?

Wskazał gestem pokój do tego stopnia komfortowy, że nie wydawał się nawet pokojem szpitalnym. Ściany były pastelowe, łóżko stało naprzeciw drzwi, a po jego lewej stronie przez wielkie okno z rozsuniętymi zasłonami wpadało słońce, rysując na podłodze prostokąt niczym mały dywan utkany ze światła.

- Oczywiście. Personel jest fantastyczny, a poza tym przyszła ta kobieta, Annette, i przyniosła moje rzeczy. To bardzo dobra osoba.

Jordan przytaknął. Poprosił swoją przyjaciółkę o kolejną przysługę i posłał ją do mieszkania, żeby wybrała wszystkie rzeczy, które mogłyby się przydać kobiecie w takiej sytuacji. Czułby się zakłopotany, gdyby musiał to zrobić osobiście.

Mimo to nie mógł pozbyć się drobnego poczucia winy, którego nie dało się ukryć za tym dużo większym, a mianowicie, że to on stał się przyczyną pobytu Lysy w Saint Vincent.

- Wybacz mi. Wiem, że nie jest przyjemnie, kiedy obce osoby grzebią w naszych rzeczach, lecz nie miałem pojęcia...

- Ale miałaś pomysł. Muszę powiedzieć, znakomity pomysł.

Lysa wskazała na stół stojący obok okna. Był na nim wielki bukiet kwiatów, owinięty w bardzo oryginalny sposób, w papier pakowy związany zwykłym sznurkiem.

Kiedy Jordan posłał go z kwiaciarni mieszczącej się w pobliżu rzeki, długo obracał w rękach bilecik, zastanawiając się, co napisać. Cokolwiek przychodziło mu do głowy, wydawało się niewłaściwe albo dziecinne. W końcu zdecydował się i napisał proste „J” po środku karteczki, mając nadzieję, że z tego jakże drobnego znaku Lysa wyprowadzi wszystko to, czego on nie był w stanie powiedzieć.

- Są przepiękne i sprawiły mi wielką radość. Bardzo ci dziękuję.

- Nie ma, za co. Powiedz raczej, jak się czujesz?

Lysa uśmiechnęła się blado.

- Nie wiem. Tutaj mówią, że dobrze. Nie dostałam w moim życiu wielu kul, więc nie mam dużego doświadczenia.

- Nie wiesz nawet, jak mi przykro, Lyso.

- Ale dlaczego? Uratowałeś mi życie.

- Nie. Przeciwnie, to ja naraziłem cię na niebezpieczeństwo. Trafił w ciebie strzał, który był przeznaczony dla mnie.

Opowiedział Lysie o tym, co się wcześniej wydarzyło, i o Lordzie, człowieku, którego aresztował i który poprzysiągł mu zemstę. Nie powiedział o śmierci dwóch napastników, a tym bardziej o połówce czeku, którą znalazł, przeszukując zwłoki Lorda, ani o tych, na które natrafił w domu.

Lysa przerwała mu i zaskoczyła go, zmieniając całkowicie temat, jak gdyby to, o czym opowiadał, było nieważną już historią. Jej umysł podązał za inną myślą, nie za słowami Jordana.

- Jest bardzo piękna.

- Kto?

- Dziewczyna, z którą widziałam cię tamtego wieczoru. Jest bardzo piękna i na pewno jest kobietą.

- Lyso, Maureen to tylko...

- To nie ma znaczenia, Jordan, wierz mi.

Wymuszony uśmiech, mała rana na bladym obliczu rozjaśnionym oczami, do których jakby zamiast kropli łagodzących zapuszczono krople bólu. Jordan zastanawiał się, czy więcej goryczy maluje się na jej twarzy, czy jest w nim, który ją obserwuje.

- Los trzyma zawsze w pogotowiu szyderczy śmiech dla każdego z nas, Jordan.

Odwróciła się w stronę wpadającego przez okno światła i jej oczy pojaśniały blaskiem, który nie pochodził z jej wnętrza, ale z zewnątrz.

- Problem nie polega na tym, z kim cię widziałam, ale gdzie cię widziałam...

Lysa wskazała na aluminiowe krzesło oparte o ścianę po lewej stronie łóżka, naprzeciw okna.

- Usiądź, Jordan. Muszę wyjaśnić ci powód, dla którego zadzwoniłam do ciebie tamtego wieczoru. Usiądź i posłuchaj, i proszę, nie patrz na mnie, kiedy będę mówiła, bo inaczej się nie odważę.

Jordan usiadł i odruchowo przeniósł wzrok na bukiet kwiatów stojący na stole, na tle błękitnej ściany. Przypomniawszy sobie kolory ogrodu w The Oaks, pyszniące się tam dla ludzi, którzy być może wcale ich nie zauważali, a także słowa starego wierszyka, który recytowała mu matka, kiedy razem uprawiali małe grządki przed domem.

„...szkarłatna róża zaciśnięta niczym jedwabna pięść wokół namiętności...”.

- Uprzedzam, że to, co za chwilę ci powiem, nie jest usprawiedliwieniem, lecz tylko wyjaśnieniem. Przyjechałam do Nowego Jorku nie przypadkowo, ale w konkretnym celu. Przez całe życie próbowałam być normalną osobą, prowadzić normalne życie, nie czując się za każdym razem, kiedy patrzyłam w lustro, wybrykiem natury. Pragnęłam tylko tych rzeczy, które mają wszyscy, codzienności, przynależności do czegoś, chciałam budzić się rano i zasypiać wieczorem po dniu wypełnionym drobnymi sprawami, podobnym do poprzedniego. Zazdrościłam wręcz kobietom, które znały nudę podobnego życia. Tymczasem otoczona byłam wyłącznie mężczyznami, którzy unikali mnie za dnia, a których ja musiałam unikać nocą. Być może miał rację mój ojciec, wielbny Guerrero, kiedy mówił, że moja uroda jest darem szatana. Potem, pewnego dnia, do miejsca, gdzie przebywałam poprzednio, przyszedł ten przekłety list.

„...żółty tulipan z powodu tak przeraźliwej zazdrości, że aż rani oczy...”.

- Zawierał wiadomość i pytanie, czy chciałabym zarobić sto tysięcy dolarów. Wyrzuciłam go do śmieci, myśląc, że to żart. Nazajutrz przyszedł kolejny, a następnego dnia jeszcze jeden. W każdym powtarzano, że nie chodzi o żart i że jeśli chcę się dowiedzieć, w czym rzecz, powinnam zamieścić ogłoszenie w „New York Times”, pisząc po prostu „LG okej”. Zrobiłam to. Dwa dni po publikacji dostałam nowy list, który zawierał cztery czeków okrężnych na dwadzieścia pięć tysięcy dolarów każdy, wydane przez Chase Manhattan Bank i wystawione na moje nazwisko,

przecięte nożyczkami na połowę. Oprócz czeków dostałam instrukcje, co mam zrobić, żeby dostać drugą część. To spowodowało, że rozproszyły się wszystkie wątpliwości, które jeszcze miałam.

Lysa zrobiła pauzę. Jordan zrozumiał, że płacze, ale nie spuszczał wzroku z kwiatów.

„... wianuszek z margerytek za miłość i nie miłość...”.

- Kiedy zrozumiałam, o co chodzi, powiedziałam sobie: czemu nie? W gruncie rzeczy było to tylko to, czego świat ode mnie chciał. Ciało i trochę czasu. Sto tysięcy dolarów wydawało mi się dobrą ceną, żeby pozbyć się wszelkich skrupułów.

„...biały anemon za tysiąc ukłuć w serce...”.

- Przybyłam do Nowego Jorku z determinacją, że od tej chwili będę tym, czego ode mnie oczekiwano. Zabawką na godziny za wysoką cenę. Doprowadziłam do końca moją misję i kiedy wsunęłam do skrzynki pocztowej na Pennsylvania Station to, co miałam dostarczyć, dwa dni potem znalazłam w skrzynce na listy w twoim domu białą kopertę zawierającą drugą połowę czeków. Mój tajemniczy dobroczyńca dotrzymał słowa. W całej tej sprawie nie wzięłam pod uwagę dwóch rzeczy. Po pierwsze, że gdziekolwiek się udam, moje sumienie pójdzie za mną.

„... i fiołek, kwiat perfidii i cierpienia...”.

- Po drugie, że spotkam ciebie. Próbowалаm cię ignorować, postępowałam dalej moją drogą, myśląc, że będziesz tylko kolejną iluzją i kolejnym rozczarowaniem. Tymczasem tak się nie stało. Każdego dnia, kiedy odkrywałam osobę, jaką jesteś, a także osobę, jaką nie potrafisz być, zdałam sobie sprawę, że nie mogę już się obyć bez żadnej z nich. I tak, kiedy zrozumiałam, że cię kocham, nie byłam już, niestety, tą samą osobą, którą zaskoczyłeś w łazience. Z własnej winy byłam już kimś innym, kto niezależnie od tego, ile razy wchodziłby pod prysznic, nie potrafiłby zmyć z siebie poczucia, że jest brudny. To właśnie, dlatego wyrzuciłam cię z domu, kiedy poczułam, że zbliżasz się do mnie.

Jordan wiedział, ile kosztują ją te słowa. Rozumiał to z tonu jej głosu, z łez, które spływały jej z oczu i zdawały się zwilżać i rozmywać brzmienie słów. A jednocześnie przerażało go zakończenie, bo nie wiedział, jaką cenę on za to zapłaci.

- Kiedy zobaczyłam relację w telewizji dotyczącą zabójcy twojego brata i obciążającej go próby DNA, zrozumiałam dokładnie, co zrobiłam, w jakie szaleństwo się wpędziłam.

Nastąpiła pauza, która brzmiała jak zgrzyt paznokci na tablicy, ale pozostawiła dużo głębsze ślady.

- Wzięłam sto tysięcy dolarów za stosunek z mężczyzną i dostarczenie osobie, która mi je dała, prezerwatywy z jego spermą. Mężczyzną tym był ten nikczemnik Julius Whong.

Jordan siedział jak skamieniały ze wzrokiem zagubionym w tym głupim bukietcie kwiatów

„... i fiołek, kwiat perfidii i cierpienia...”. i prawie nie usłyszał ostatnich słów Lysy.

- A teraz, proszę cię, wstań z tego krzesła i wyjdź. Idź zrobić to, co musisz zrobić, ale odejść, nie patrząc na mnie, proszę.

Jordan wstał i ruszył, nie odwracając się, w tę długą podróż, której celem była obietnica drzwi. Otworzył je i delikatnie zamknął za sobą. Kiedy tylko uwolnił się spod hipnotycznego wpływu, jaki Lysa, w pozytywnym i negatywnym sensie, na nim wywierała, z szybkością błyskawicy w jego umyśle zrodziła się myśl.

Natychmiast wyjął z kieszeni komórkę, ale zorientował się, że na tym piętrze nie ma pola.

Podszedł do windy i kiedy naciskał przycisk, wciąż obracał w głowie ową myśl, niczym ostry gwóźdź, który coraz głębiej wwiercał się w jego mózg.

Podróż do holu trwała wieczność.

Nie wysiadł jeszcze z kabiny, a już dzwonił do Burroniego.

- James, tu jeszcze raz Jordan.

Detektyw powitał go ojcowskim tonem starego proboszcza.

- Dobrze, synu, wybaczam ci. Co mogę dla ciebie zrobić?

- Chciałem się dowiedzieć, czy masz coś nowego w związku ze sprawą, o którą prosiłem cię przedwczoraj.

- Och, oczywiście, że tak. Zaczekaj chwilę.

Jordan usłyszał w słuchawce szelest przekładanych papierów, jak gdyby Burroni szukał notatki zagubionej w chaosie, jaki panował na jego biurku.

- O jest. Czekał został wydany przez siedzibę Chase Manhattan Bank mieszczącą się na rogu między Broadwayem i Spring. Polecenia nie zlecono z rachunku bieżącego, przelew odpowiadający czekowi został dokonany gotówką.

- Czy udało ci się dotrzeć do osoby?



- Polecenie wystawione jest na niejakiego Johna Rydleya Evenge'a, ale urzędnik, który dokonał operacji, nie przypomina go sobie. Ta filia Chase jest ogromna i czeków tego typu wydaje się tam dziennie setki.

- Ale czy nie są zobowiązani sprawdzać, czy nie chodzi o pranie brudnych pieniędzy w przypadku gotówki?

- Oczywiście, ale suma, o którą chodzi, jest względnie niska i mieści się w minimalnych opłatach. Poza tym na czeku widnieje nazwisko osoby, na którą został wystawiony. Opłaty byłyby wyższe, gdyby czek był na okaziciela.

Jordan odczuwał niepokój, który wykrzykiwał mu do uszu słowa, jakie miał przekazać Burroniemu.

- Jesteś wielki, James. Teraz proszę cię, żebyś był jeszcze większy.

- Słucham.

- Chciałbym, żebyś zrobił dla mnie dwie rzeczy, legalne, ale nieoficjalne, nie wiem, czy wyrażam się jasno.

- Jak najbardziej. Słucham cię.

- Czy masz dwie albo trzy bystre dziewczyny, które mogłyby poza godzinami służby wziąć pod ochronę pewną osobę?

- Jeśli powiem, że to dla ciebie, znajdę ich tuziny. Pozostawiłeś po sobie tutaj niezatarte wspomnienie. Kim jest ta osoba?

- Pokój 307. Saint Vincent's Hospital, przy Siódmej Alei.

- Wiem, gdzie to jest. Na kiedy ci są potrzebne?

- Od pół godziny.

- Przyjąłem. Powiedziałeś dwie rzeczy. Jaka jest druga?

- Czy mamy zaprzyjaźnionych dziennikarzy?

- Oczywiście. Jest kilku, którzy winni mi są przysługi.

- A więc powinieneś ich poprosić, żeby nagłośnili przedwczorajszą strzelaninę, w której brałem udział. Powiedz, żeby podali wiadomość, że przy tej okazji została pomyłkowo postrzelona panna LG i że zmarła w wyniku odniesionych ran. Myślisz, że jest to możliwe?

- Nie powinno być problemów. Dam ci znać.

Detektyw rozłączył się, a Jordan stał sam pośród ludzi krążących po holu, zastanawiając się na tym, co usłyszał przed chwilą od Burroniego, ale przede wszystkim nad tym, co on sam przed Burronim zataił.

Nie powiedział mu o czekach, które znalazł w mieszkaniu Lysy, identycznych jak ten, wobec którego James przeprowadził małe śledztwo. Chwilowo wolał nie mieszać jej do tej sprawy. Gdyby to uczynił, rzuciłby ją tym samym na pożarcie lwom i naraził na lincz ze strony prasy. Jak zazwyczaj działo się w sprawach, które dotyczyły Lysy, również tym razem nie zastanawiał się nad motywem swojego postępowania.

Zrobił tak i koniec.

Był inny dużo ważniejszy aspekt tego, co Lysa mu wyznała. Aspekt, który miał podwójne znaczenie.

Nie potrafił doszukać się sensu tej sprawy, ale Julius Whong z dużym prawdopodobieństwem nie był winny zabójstwa Geralda, Chandelle i porwania Campbella.

Poza tym pasażer Lorda, kiedy strzelał do nich, nie pomylił obiektu.

Kula nie była przeznaczona dla niego, ale celem była właśnie Lysa.

## 45

Taksówka zatrzymała się przed ciemnoczerwonym daszkiem osłaniającym wejście do domu pod numerem 80 przy Park Avenue. Maureen zapłaciła za kurs z lotniska dla helikopterów przy East River do domu i wysiadła z samochodu. Już miała wchodzić do holu, kiedy pojawiła się obok niej masywna postać pana Hocto. Maureen miała jeszcze przed oczami przerażoną twarz i konwulsyjne ruchy Thelmy Ross, biednej kobiety, przebywającej w złotym więzieniu The Oaks, a jednocześnie uwięzionej między zardzewiałymi kratami swojego umysłu. Pograżona w analizie niepokojących faktów, jakie wyłoniły się podczas wycieczki do Saratoga Springs, nie zauważyła jego nadejścia.

Hocto w swym nienagannym ciemnym garniturze opinającym jego sylwetkę kulturysty pojawił się obok niej i przemówił łagodnym i uprzejmym głosem, z lekko obcym akcentem, którego Maureen nie zdołała rozpoznać. Wydawało się, jakby za sprawą żartu natury on i jego szef, Cesar Whong, zamienili się głosami.

- Panno Martini, proszę wybaczyć. Wydaje mi się, że pan Whong miałby przyjemność porozmawiać z panią.

Wykonał gest ręką i wskazał jej wielką ciemną limuzynę za ich plecami, która z otwartymi drzwiami czekała przy krawężniku.

- Proszę.

Nic nie mówiąc, Maureen ruszyła za Hecto, który poprowadził ją do samochodu. W pierwszym odruchu pomyślała, żeby odrzucić zaproszenie, ale ciekawość, czego chce od niej kontrowersyjny biznesmen, wzięła górę.

Zatrzasnąwszy za nią drzwiczki, Hocto usiadł za kierownicą, a ona opadła na skórzane, jasne siedzenie obok Cesara Whonga, który przywitał ją ze swoją wstrzemięźliwością szytych na miarę garniturów i z ostrym jak nóż uśmiechem na woskowej twarzy.

- Dobry wieczór, panno Martini. Niezmiernie pani dziękuję, że zgodziła się pani na rozmowę, choć wiem, że nie czuje pani do mnie sympatii.

Ledwie zaznaczonym ruchem ręki mężczyzna uprzedził jakąkolwiek reakcję ze strony Maureen.

- Nie ma potrzeby, żeby się pani usprawiedliwiała, wiem doskonale, kim jestem i czego mogę się spodziewać po ludziach. Już od młodości starałem się zawsze, żeby bardziej się mnie bano, niż kochano. To być może był mój błąd. Przede wszystkim wobec Juliusa...

Stwierdzenie to nie przewidywało komentarza, więc Maureen nie zareagowała. Ograniczyła się do wysłuchania w milczeniu dalszej części wywodu.

- Pani nie ma dzieci. Jestem zmuszony popaść w banał i zapewnić, że kiedy będzie je pani miała, świat wokół niej zmieni perspektywę, choćby czyniła pani wysiłki, żeby tak się nie stało...

Zdanie znów pozostało w zawieszeniu. Nie było śladu emocji w głosie Cesara Whonga, ale teraz wpatrywał się przed siebie nazbyt uporczywie. Tymczasem samochód włączył się w światła i cienie wieczornego ruchu ulicznego. Prawdopodobnie Whong poprosił Hocto, żeby krążył po tym kwartale dzielnicy przez cały czas trwania rozmowy.

Mężczyzna odwrócił się do kobiety siedzącej po jego prawicy i odezwał się z nieoczekiwanym poruszeniem w głosie. Maureen pomyślała, że w głębi duszy on też jest istotą ludzką.

- Mój syn jest niewinny.

Maureen pozwoliła sobie na naiwny wyraz twarzy i odpowiednie do niego pytanie.

- Czyż nie wszystkie dzieci takimi są?

Whong zamarkował uśmiech.

- To, co przed chwilą powiedziałem, nie powinno wprowadzić pani w błąd. Dokonałem różnych dyskusyjnych rzeczy w moim życiu, ale łudzę się, że postępowałem zawsze, jeśli nie z inteligencją, to ze sprytem. Fakt, że Julius jest moim synem, nie zaślepił mnie wobec jego osoby.

Wyjął z kieszeni marynarki nieskazitelnie białą chusteczkę i wytarł sobie kąciki ust.

- Wiem, że jest chory. Ma poważne zaburzenia osobowości, z których powodu mieliśmy już w przeszłości sporo kłopotów. Kilka razy cudem udało mi się uchronić go przed więzieniem, ale nie wydawało mi się, że może posunąć się do zbrodni. W każdym razie, zatroszczyłem się o to, żeby mieć go pod kontrolą, i w tym celu zatrudniłem pana Hocto.

Whong wskazał ruchem głowy mężczyznę siedzącego za kierownicą.

- Miał on za zadanie dozorować Juliusa z daleka i pilnować, żeby nie wpadł w tarapaty. W te wieczory, kiedy popełniono zbrodnię, Julius był w domu. Pomijając to, że nie wiedział, iż jest pilnowany, mógł wymknąć się Hocto raz, ale trzy razy wydaje mi się mocno nieprawdopodobne.

- Dlaczego więc nie każe mu pan zeznawać w procesie?

Maureen zobaczyła, że na twarzy jej rozmówcy pojawia się cierpliwy wyraz kogoś, kto wyjaśnia dziecku, czym jest noc i dzień.

- Panienko, ja jestem tym, kim jestem, a pan Hocto ma za sobą przeszłość, z której nie może być dumny. A wśród jego młodzieńczych grzechów jest także wyrok za składanie fałszywych zeznań. Poza tym jest moim podwładnym. Żeby podważyć jego zeznania w sądzie, niepotrzebny jest prokurator, wystarczy człowiek, który sprząta w kancelarii pani matki.

Maureen nie rozumiała, do czego Whong zmierza.

- Pan już wybrał dla swojego syna jednego z najlepszych adwokatów na rynku. Co ja mam z tym wspólnego?

Zaraz potem Maureen zdała sobie sprawę, że Cesar Whong nieprzypadkowo znajdował się na wierzchołku piramidy. Wyraz jego twarzy stał się surowy, a z cienko zarysowanych ust wydobyło się ostrze noża.

- Właśnie ja chciałem pani zadać to pytanie.

Chwila zimnej determinacji minęła niemal natychmiast. Mężczyzna odzyskał poprzedni wyraz twarzy i ton głosu, rozluźnił się i oparł wygodnie na siedzeniu.

- Wiem o pani niemal wszystko, *commissario* Martini. Wiem, co wydarzyło się we Włoszech, i znam powód, dla którego przyjechała pani do Ameryki. Mam również świadomość faktu, że zaangażowana jest pani w śledztwo, które doprowadziło do aresztowania mojego syna, choć do tej pory nie znam dokładnych okoliczności...

Słowa tego człowieka spowodowały, że poczuła się, jakby stała nago na zatłoczonym placu, wystawiona na widok obcych ludzi. Dostosowując się bezbłędnie do czasu rozmowy, kiedy spotkanie dobiegło końca, samochód zatrzymał się znowu przed ciemnoczerwonym daszkiem, na którego bokach widniał złoty napis „80 Park Avenue”.

Cesar Whong spojrział na Maureen swoimi czarnymi jak atrament zimnymi oczami. Maureen nie mogła rozmrozić tego spojrzenia, ale była zdolna nie odczuwać zimna.

- Co mogę dla pana zrobić? - zapytała, nie spuszczać wzroku.

- W taki sam sposób, w jaki współpracowała pani przy jego aresztowaniu, w świetle tego, co pani powiedziałem, chciałbym, żeby przyczyniła się pani do udowodnienia jego niewinności.

- Może pan mnie przecenia, panie Whong.

- Nie, to może pani nie docenia siebie, Maureen. Ja znam ludzkie słabości. Na tej wiedzy zbudowałem moją fortunę. A w pani nie dostrzegam ich zbyt wiele.

Głos Cesara Whonga złagodniał i gdyby Maureen nie wychwyciła w nim nuty szczerości, porównałaby go do krętego wicia się płaza na piasku.

„...i ślady zimnych i ospałych węży z ich nienaturalnym sposobem poruszania się...”.

- Proszę mi pomóc. Nie zamierzam obrażać pani zachętą finansową, bo wiem, że pieniądze nie mają żadnego znaczenia w pani wyborach życiowych. Niemniej, zapewniam panią, że w jakiś sposób zdołam się odwdzięczyć. Nie wiem jeszcze jak, ale gwarantuję, że to uczynię.

Ściana limuzyny po jej stronie znikła i Maureen odnalazła nocną szarość chodnika, na którym stał Hocto, przytrzymując otwarte drzwiczki.

Maureen oparła jedną stopę na ulicy.

- Wierzę panu, panie Whong, choć nie mogę zaskarbić sobie pańskiej wdzięczności. Nie jestem nawet pewna, czy chcę to zrobić. Nie mam nic przeciwko pańskiemu synowi, ale z natury i z powodu wykonywanego zawodu jestem osobą, która próbuje dotrzeć do prawdy, mimo że czasami nie bywa to ani proste, ani wygodne. Wezmę pod uwagę to, co mi pan powiedział, a także to, czego mi pan nie powiedział, a za co panu dziękuję.

- To znaczy?

Maureen wysiadła z auta i pochyliła się, żeby mężczyzna w środku mógł zobaczyć jej twarz w świetle kabiny.

- Podczas całej naszej rozmowy ani razu nie zacytował pan żadnego chińskiego przysłowia. Dobranoc, panie Whong.

Maureen oddaliła się od samochodu i przeszedłszy kilka kroków, znalazła się przy wejściu do domu, które w tej chwili nie było strzeżone. Praca portierni kończyła się o szóstej trzydzieści i musiała powalczyć trochę z kluczami, zanim znalazła ten właściwy. Nie znała dobrze ich przeznaczenia, a dodatkowo była trochę rozkojarzona

odbyłą właśnie rozmową. Bez logicznej podstawy i być może bez powodu w pozytywny sposób oceniała to, co powiedział jej Cesar Whong.

Podczas jazdy windą przez cały czas zastanawiała się nad tym spotkaniem tak trudnym do rozszyfrowania. Nie zadawała sobie pytania, skąd Whong czerpał informacje. Był on człowiekiem uważnym i inteligentnym i wiedział, że znajomość faktów, ale przede wszystkim ich podłoża, jest zasadnicza dla kogoś, kto zamierza kroczyć taką jak on drogą. A świat pełen był ludzi bardzo wrażliwych, jak sam powiedział, na zachęty finansowe.

Weszła do pustego domu. Matki nie było. Ponieważ nie lubiła mieć stałej służby w domu, Estrella, jak każdego dnia, skończyła swoją pracę o siódmej i wyszła.

Maureen stała przez moment w holu, gdzie po raz pierwszy spotkała się z Cesarem Whongiem. Po czym, po chwili zastanowienia, skierowała się do gabinetu matki.

Nie zrobił na niej wrażenia surowy wystrój wnętrza, który na swój sposób był dopełnieniem sukcesu Mary Ann Levallier w jej działalności zawodowej. Podeszła od razu do eleganckiego drewnianego biurka stojącego pośrodku pokoju.

Na malachitowym blacie natychmiast znalazła to, czego szukała: gruby skoroszyt z wypisanym na okładce nazwiskiem Julius Whong. Maureen otworzyła okładkę z ciężkiego, zielonego plastiku i stwierdziła, że zawiera całą dokumentację potrzebną, by znaleźć najlepszy sposób ustawienia obrony.

Maureen usiadła przy biurku i strona po stronie przejrzała materiał dotyczący sprawy. Były tam kopie protokołów, orzeczeń lekarskich i badań laboratoryjnych. Po około godzinie przeanalizowała wszystkie dokumenty zawarte w dossier. Jeśli jej matka, jak wszyscy adwokaci, była dobrą ekwilibrystką, musiałyby tym razem na linie wykonywać salto mortale, żeby uniknąć kary śmierci dla swojego klienta.

Wszystkie dowody pozostające w rękach policji obciążały go bez cienia wątpliwości. Obecność w miejscu kolejnych zbrodni mężczyzny utykającego na prawą nogę, co w jego przypadku było następstwem operacji łąkotki i więzadeł, którą niedawno przeszedł. Poza tym włamanie dokonane przed laty wraz z ofiarami, a potem morderstwa powiązane wspólnym wątkiem *Peanutsów* znakomicie pasowały do profilu psychologicznego Juliusa Whonga, oskarżanego przy różnych okazjach o gwałty, pobicia, pedofilię, i u którego wskazywano na regularne nadużywanie alkoholu i środków odurzających.

Wreszcie badanie DNA, które okazało się identyczne z nasieniem znalezionym w pochwie Chandelle Stuart. Nawet hangar, w którym próbował zamienić Alistaira Campbella w groteskową parodię Snoopy'ego, należał do jego ojca, a stojące w nim samoloty oczekujące na remont zostały zakupione przez niego, żeby uczynić z nich dar dla miasta.

Jedyną mętną sprawą był motyw, nie całkiem jeszcze jasny. Śledczy przypuszczali, że mogło chodzić o dawną urazę powstałą po napadzie, być może z powodu podziału pieniędzy, którą Julius Whong nosił w sobie, aż w końcu eksplodowała zemstą.

A jednak...

„Mój syn jest niewinny...”.

Wciąż słyszała głos Cesara Whonga, stanowczy w swej pewności niczym monolit. Odczuwała instynktowną odrazę wobec osób takich jak jego syn, ale jedna z podstawowych zasad pracy, którą wybrała, nie pozwalała kierować się osobistymi uprzedzeniami i kazała trzymać się jak najściślej obiektywnych faktów.

„Mój syn jest niewinny...”.

Istniała jedna możliwość na sto, że to prawda, i tysiąc możliwości na sto, że Cesar Whong kłamał. Przypomniała sobie ostatnie słowa, które zamieniła z matką

„dla mnie, dopóki nie zostanie udowodnione, że jest przeciwnie, każda osoba jest niewinna”

i z westchnieniem wstała zza biurka i wyszła z gabinetu mecenas Mary Ann Levallier.

Ruszyła do swojego pokoju i zanim weszła w korytarz prowadzący do strefy nocnej, zatrzymała się z wahaniem przed kuchnią. Zdała sobie sprawę, że nie ma ochoty jeść, a przede wszystkim nie ma ochoty jeść sama. Przez chwilę namyślała się, czy nie zadzwonić do Jordana, żeby zwierzyć się mu z dopiero, co odbytego spotkania z Cesarem Whongiem i być może zastanović nad tym wspólnie przy kolacji. Jednak, kiedy tylko helikopter wylądował, Jordan robił wrażenie, jakby natychmiast chciał czmychnąć na swoim motorze, co zresztą zaraz potem uczynił. Pamiętała aż nadto dobrze jego skrępowanie owego wieczoru, kiedy jedli razem kolację w Martini's, a on odebrał tamten telefon. W czasach służby Jordan musiał być znakomitym policjantem, ale jeżeli chodzi o sprawy osobiste, wydał się jej przezroczysty jak szkło. Jako kobieta Maureen zrozumiała od razu, że za jego zakłopotaniem musi się kryć historia, w którą jest bardzo zaangażowany uczuciowo. W gruncie rzeczy Maureen nie



o nim nie wiedziała, nie wiedziała, czy ma kobietę, żonę, kogoś bliskiego. Podobał jej się ten człowiek, czuła, że jest przyjacielem, i nie chciała stwarzać zamieszania w jego prywatnym życiu niestosownymi telefonami.

Dotarła do swojej sypialni, zdjęła buty i na bosaka poszła od razu położyć się na łóżku, rozkoszując się chwilą lenistwa. Odłożyła na później przyjemność prysznic, odmawiając go sobie i ograniczając się tylko do pracy wyobraźni.

Leżała na pikowanej kapie i wpatrywała się w sufit. Czuła się dziwnie spokojnie, bez tego przyczajonego lęku, który towarzyszył jej, odkąd zdała sobie sprawę z mrocznego daru, jaki nosiła jak kruka na ramieniu.

Była przytomna, czujna, wyciszona.

Jeden po drugim, przywołała kolejno w pamięci wszystkie obrazy, które dotarły do niej do tej pory, z nieszczęsnego życia Geralda Marsalisa. Ciało wymalowane na czerwono, demoniczne oblicze w lustrze, niebieska twarz kobiety pod nią wykrzywiona od rozkoszy, obce wrażenie, że ma penisa, i uczucie, jak pospieszny jest męski orgazm. Ruszyła śladami, które utrwaliły się niezatarte w pamięci: niewinny rysunek dziecka, wściekłość Christophera Marsalisa, wstrząśnięta twarz Thelmy Ross, odwrócony plecami mężczyzna z zakrwawionym nożem, włamanie i maski *Peanutsów*, i tamta groźna postać w mroku korytarza, która zniknęła chwilę przed ujawnieniem swojej twarzy...

Były to obrazy, które ją przeraziły, które zakłóciły jej równowagę i kazały podejrzewać, że zwariowała, dopóki nie zrozumiała, że nie są to halucynacje jej chorego umysłu, ale okruchy życia, które pozostały w jej oczach, żeby utrwalić wspomnienie tego, kto przeżył je wcześniej.

Teraz, kiedy zdawały się należeć do niej od zawsze, mogła uporządkować je w swojej głowie i przyjrzeć się im bez strachu. Nawet, jeśli nie mogła dotrzeć do wyjaśnienia, mogła je zaakceptować.

Kiedy tak leżała pod błękitnym sufitem, który stanowił część świata realnego, jak wszystko to, co było wokół niej, w końcu, bez uprzedzenia nadeszło olśnienie. Usiadła na łóżku z uczuciem, że materac pod nią wybuchł raptem jednym wielkim oparem gorąca.

Stanęło jej nagle przed oczami to, o czym wiedziała, że nosi w sobie niczym rozsypany obraz w kalejdoskopie, a czego do tej pory nie zdołała zrekonstruować. Teraz wszystko było jasne i ponieważ aż nadto proste. Maureen uznała, że jest głupia, jeśli nie zrozumiała tego wcześniej.

Choć nie potrafiła jeszcze pojąć, dlaczego, przeczuwała, kto zabił Geralda Marsalisa i Chandelle Stuart, a także spowodował śmierć Alistaira Campbella.

W tej samej chwili, kiedy dotarło do niej to przecucie, nie mogła nie rozważyć paradoksalnego aspektu całej sprawy.

W rzeczywistości, bowiem wiedziała o tym od początku.

## 46

Mrok i oczekiwanie mają tę samą barwę.

Maureen, siedząca w ciemności niczym w fotelu, doświadczyła jednego i drugiego na tyle dużo, żeby się bać. Nauczyła się aż nazbyt dobrze, i do tego własnym kosztem, że wzrok czasami nie jest wyłącznie faktem fizycznym, ale także mentalnym. Nagle światła przejeżdżającego samochodu narysowały jasny prostokąt, który obiegił ściany z szybkością, ukradkową ciekawością, jak gdyby w poszukiwaniu wyimaginowanego punktu. Po czym, wyrwawszy się z niewoli pokoju, ten wycinek światła odnalazł wolność okna i wydostał się na zewnątrz w pościgu za samochodem, który go wytworzył. Za kurtyną zasłon, za szybami, za murami, w żółtawym mroku tysiąca świateł i tysiąca neonów trwało nieprzerwanie to niezrozumiałe szaleństwo nazywane Nowym Jorkiem. Miasto, którego wszyscy - jak twierdzą - nienawidzą, a które jednocześnie wciąż uporczywie przemierzają w jedynym, nieujawnionym celu, żeby zrozumieć, jak bardzo je kochają. I ze strachem, że odkryją, na jak niewiele mogą liczyć w zamian. Okazują się, więc tylko ludźmi, takimi samymi, jak ci, którzy zaludniają całą resztę świata, zwykłymi istotami, które nie zgadzają się, aby ich oczy widziały, uszy słyszały, a głos przeciwstawiał się innym, głośniejszemu krzyknemu głosom.

Na stoliku obok krzesła, na którym siedziała Maureen, leżała beretta 92 SBM, pistolet o rękojeści trochę mniejszej niż normalnie, wykonanej specjalnie, żeby pasowała do kobiecej dłoni.

Należał do jej matki.

Wiedziała, że ma pistolet i na krótko przed wyjściem z domu wyjęła go z szuflady, w której był schowany.

Położyła go na szklanym blacie, naładowawszy uprzednio zdecydowanym ruchem, aż szcęknięcie zamka rozległo się w ciszy pokoju suchym dźwiękiem łamanej kości. Jej oczy przywykły stopniowo do ciemności i mogła rozpoznawać miejsce, w którym się znajdowała, również przy zgaszonym świetle. Wzrok Maureen utkwiony był w ścianę naprzeciwko, gdzie bardziej domyślała się, niż widziała, ciemną

plamę drzwi. Jeszcze w szkole nauczyła się, że kiedy wpatrujemy się intensywnie w kolorową powierzchnię i oderwiemy po chwili od niej wzrok, w źrenicach pozostaje odcisnięta świetlista plama o barwie dokładnie dopełniającej tę, którą utrwaliło się uprzednio.

Maureen poczuła własny, gorzki uśmiech wykwitający na jej ustach.

Barwy dopełniające to te, które pomieszane razem we właściwych proporcjach, dają w rezultacie absolutną szarość. To nie może zdarzyć się z ciemnością. Mrok rodzi tylko inny mrok. W tej chwili jednak ciemność nie była problemem. Kiedy osoba, na którą czeka, przyjdzie, swoim wejściem natychmiast przywróci pomieszczeniu światło. To też nie było problemem, ale tym bardziej jego rozwiązaniem.

Po pozornie bezkresnej drodze przemierzonej po to, żeby zabić albo nie zostać zabitym, po długiej podróży przez ów tunel, w którym tylko nieliczne żalose światelka wskazywały kierunek, teraz dwie osoby były w końcu bliskie wyjścia na słońce. I były jedynymi w posiadaniu tego stanu umysłu, obejmującego jednocześnie słowo, słuch, wzrok, w posiadaniu prawdy.

Jedną z tych osób była ona, dziewczyna, której przerażenie nie pozwalało uświadomić sobie tego stanu.

Drugą była naturalnie osoba, na którą czekała.

On, morderca.

Chwilę po tym, jak zrozumiała, kto nim jest, Maureen natychmiast zadzwoniła do Jordana, ale jego komórka była wyłączona. Jordan był jedyną osobą, której mogła wyjaśnić mechanizm, jaki doprowadził ją do odkrycia prawdy. Poza nim tylko jego brat wiedział, co się z nią dzieje, ale burmistrz Christopher Marsalis był w tej chwili zbyt nastawiony na szybką zemstę na zabójcy syna, żeby przyjąć zawiłą hipotezę, która obalałaby przytłaczające dowody obciążające Juliusa Whonga.

Każda inna osoba zaangażowana w śledztwo, na czele z Burronim, wtajemniczona w sprawę, powiedziałyby jej, żeby się nie niepokoila i zaczekała tam, gdzie jest, i wkrótce potem zjawiłaby się w towarzystwie pielęgniarzy z kaftanem bezpieczeństwa.

Poszukała w książce telefonicznej nazwiska i znalazła numer telefonu i adres przy Brooklyn Heights. Zadzwoniła i długo trzymała na próżno słuchawkę, zanim się rozłączyła.

Wyszła z domu, jakby świat miał się za chwilę skończyć. W drzwiach zderzyła się z matką, piękną i nienaganną po całym dniu, jakby ten dopiero się zaczynał. Objęła ją,

uważając, żeby nie poczuła solidnego ciężaru pistoletu, który wsunęła za pasek dżinsów.

Pocałowała ją w policzek, a potem spojrzała w oczy.

- To ty miałaś rację, mammo.

Chwila i już zamknęła za sobą drzwi, zostawiając Mary Ann Levallier w holu, patrzącą za swoją córką, jakby została opętana przez jakąś obcą siłę.

Jadąc taksówką, Maureen próbowała bez skutku dodzwonić się do Jordana. W końcu postanowiła zostawić mu wiadomość na automatycznej sekretarce, tłumacząc, co się stało, dokąd jedzie i co zamierza zrobić.

Kierowca wysadził ją pod adresem, który podała, na rogu między Henry i Pierrepont Street. Kiedy tylko wysiadła z taksówki, natychmiast spróbowała rozeznąć się w sytuacji. Ulica Henry była oświetlona na całej swojej długości okrągłymi latarniami o delikatnym kremowym świetle, ale na ostatnim odcinku z jakiegoś powodu, którego nie potrafiła wyjaśnić, latarnie były zgaszone. Pierwsza latarnia na ulicy prostopadłej oddalona była około dziesięciu metrów od budynku, a ruch uliczny o tej porze praktycznie nie istniał.

Dobrze.

Gdyby mogła wybierać, nie potrafiłaby stworzyć sama sobie dogodniejszej sytuacji.

Oslonięta czarnym kokonem ciemności, mogła długo obserwować główną fasadę dużego dwupiętrowego domu z czerwonej cegły, posępnego z uwagi na mrok i ciężką neogotycką architekturę. W innej sytuacji Maureen uznałaby ten dom za przesadzony. Teraz zewnętrzny wygląd budynku wydawał się całkowicie pasować do owej serii absurdalnych wydarzeń, tego Halloween na opak, które zamiast słodczy dla dzieci niosło śmierć.

Wejście na całej długości zwieńczone było prostokątnym daszkiem, wystarczająco szerokim, żeby dać schronienie nawet przed gwałtowną burzą. Po kilku stopniach dochodziło się do drewnianych drzwi. W ich górnej części wstawione było szlifowane szkło, ze wstawkami przypominającymi zdobienia niektórych katedr.

Maureen zbadła rękami szybę i odkryła, że spełnia ona funkcję wyłącznie estetyczną, a nie antywłamaniową. To bardzo upraszczało sprawę. Drzwi otwierały się prawdopodobnie na sień, skąd przechodziło się do dalszej części domu. Nie sądziła, żeby zabezpieczone były alarmem, bo gdyby jakiś głupi żartowniś wpadł na pomysł, by rzucić kamieniem w szybę, natychmiast by go uruchomił.

Maureen wyciągnęła z tylnej kieszeni dzinsów skórzaną pochewkę, którą swego czasu przezwiała ironicznie „Casakit”, parafrazując nazwę starej, włoskiej sieci sklepów z wyposażeniem wnętrz. Dostała ją w podarunku od niejakiego Alfreda Martiniego, starszego pana o bardzo dystyngowanym wyglądzie i bardzo długich rękach. Nie miał z nią nic wspólnego poza takim samym nazwiskiem i faktem, że co jakiś czas spotykali się w komisariacie, kiedy zaskakiwano go w mieszkaniach, do których nie został zaproszony. Pewnego razu, kiedy było już pewne, że rak wkrótce go zabierze, Maureen oszczędziła mu kolejnego pobytu w więzieniu. W dowód wdzięczności podarował jej swoje narzędzia i nauczył ją, jak ich używać. Jego usprawiedliwieniem było stare włoskie przysłowie, które mówi, że warto nauczyć się rzemiosła, nawet, gdy wydaje się nieprzydatne. W tej chwili Maureen była bardzo zadowolona, że tak uczyniła.

Zazwyczaj trzymała futerał w przegródce kuferka na kosmetyki. Kiedy wyjeżdżała z Włoch, ktoś, kto pakował jej walizki, nie wiedząc, co to jest, zostawił go na swoim miejscu. Maureen uznała ten fakt za autentyczny łut szczęścia.

Wyjęła potrzebne narzędzia i bez nadmiernego wysiłku otworzyła zamek drzwi, który pozornie zapowiadał dużo większe trudności. Popchnęła skrzydło, wstrzymując oddech, ale tak jak przypuszczała, żadna syrena alarmowa nie odezwała się, żeby zasygnalizować obecność intruza.

Znalazła się w dosyć obszernej sieni o wysokim sklepieniu, urządzonej ze wstrzemięźliwością. Były tam różne ozdobne rośliny, a na ścianach wisiały obrazy, których w półmroku nie mogła rozpoznać. Naprzeciw wejścia zobaczyła stolik umieszczony między dwoma krzesłami, a zaraz obok kotarę, której koloru nie potrafiła określić. Na bocznych ścianach, po prawej i po lewej stronie, były dwie pary solidnie wyglądających drzwi, które prowadziły do dalszej części domu.

Kiedy otwierała zamek, wciąż powtarzała sobie, że to, co robi, nie jest rozważne, nie jest logiczne i na pewno nie jest legalne. Gdy zamknęła drzwi za sobą, pomyślała, że jest to ludzkie, i tyle wystarczy. Nie troszczyła się o konsekwencje: po tym, jak odkryła „kto”, zżerała ją ciekawość, żeby dowiedzieć się „dlaczego”.

Pokój pogrążony był w całkowitej ciemności. Bez żadnego problemu Maureen dotarła do krzesła, usiadła i czekała. Wyposażona była w całą potrzebną jej broń: pistolet, zaskoczenie i prawdę.

Teraz brakowało tylko jego.

Czas mijał wolno niczym ślimak toczący swoją ślinę. A jednak cierpliwe oczekiwanie nie okazało się daremne.

Przed wejściem zatrzymał się jakiś samochód zapowiadany światłem rozjaśniającym szybę naprzeciw niej. Rozległ się hałas zatraskiwanych drzwiczek i zaraz potem echo kroków wspinających się po schodach. Jednocześnie w szybie znikły światła oddalającej się taksówki. Usłyszała dźwięk klucza wsuwanego do dziurki, potem szcęknięcie zamka. Doskonałym zrzędzeniem przypadku przejeżdżał właśnie jakiś samochód i dzięki jego pomocnemu oświetleniu Maureen dostrzegła przez szybę ze szlifowanego szkła postać mężczyzny zaledwie rysującą się pod światło. Taki właśnie obraz wytwarzała zawsze jej wyobraźnia: niewyraźna sylwetka, zdeformowana przez załamanie światła, której nie potrafiła nadać ani twarzy, ani imienia, dopóki nie otworzyły się drzwi w jej głowie.

Dokładnie tak, jak miało się stać teraz.

Opanowana wyciągnęła dłoń i wzięła pistolet ze stolika, napinając mięśnie ręki, żeby wytrzymać jego ciężar. Broń ją uspokoiła: był to tylko nieruchomy kawałek metalu, ani dobry, ani zły, ale było to coś namacalnego i ziemskiego, a po wszystkich swoich wymuszonych podróżach do nierzeczywistości w tej chwili potrzebowała tego.

Ulicą przejechał jeszcze jeden samochód i przeszklone drzwi otworzyły się bezszelestnie, rysując cień mężczyzny w kwadracie światła rzuconym na podłogę przez reflektory. Maureen zobaczyła, jak ten świetlisty wycinek dociera do jej stóp i muska je jak fala, która natychmiast się cofnęła, kiedy mężczyzna wszedł i zamknął drzwi.

Światło i cień, jak w całej tej historii bez przyczyny i bez wytłumaczenia.

Po wejściu mężczyzna nie włączył natychmiast światła. Kiedy to uczynił, stał odwrócony plecami i nie spostrzegł od razu obecności kobiety siedzącej na krześle pod ścianą naprzeciw drzwi. Maureen była zadowolona z tej chwili pauzy, która pozwoliła jej oczom przywyknąć do zmiany oświetlenia.

Kiedy mężczyzna się odwrócił i ujrzał ją naprzeciw siebie z pistoletem w dłoni, zaskoczenie zupełnie go unieruchomiło. Zaraz potem Maureen zobaczyła, że jego ciało się rozluźnia, a twarz odpręża, jakby przeżywał moment, na który podświadomie czekał i który przygotował.

Był mordercą, jednak Maureen zmuszona była przyznać, że czuje podziw dla jego zimnej krwi. Ta prosta reakcja była wystarczającym potwierdzeniem, że jej przypuszczenia odpowiadają prawdzie.

Mężczyzna wskazał gestem głowy na pistolet i wymówił jedno niedowierzające słowo:

- Dlaczego?

Maureen z taką samą prostotą i takim samym spokojnym głosem odpowiedziała:

- O to ja przyszedłam zapytać.

- Nie rozumiem.

- Gerald Marsalis, Chandelle Stuart, Alistair Campbell.

Mężczyzna wykonał kilka krótkich ruchów głową na znak, że zrozumiał. Po czym wzruszył ramionami i był to gest poddania się oczywistości.

- W takim razie, czy ma to znaczenie?

- Dla mnie tak.

Mężczyzna pozwolił sobie na małe odstępstwo od tematu, żeby zaspokoić swoją osobistą ciekawość.

- A co ty masz wspólnego z tą całą historią?

- Nigdy byś nie uwierzył.

Mężczyzna uśmiechnął się. Oczy miał utkwione w nią, ale Maureen podejrzewała, że jej nie widzi.

- Nie masz pojęcia o rzeczach, w jakie gotów jestem uwierzyć...

Maureen wyczuła, że te ostatnie słowa powiedział bardziej do siebie niż do niej. Obraz, który wywołał w swojej pamięci, czymkolwiek on był, tak jak się pojawił, zniknął i mężczyzna znów był w pokoju naprzeciw niej.

- Od czego chcesz, żebym zaczął?

- Od początku, to zawsze najlepsze wyjście.

- Dobrze. Chodź, pójdziemy tam. Będzie nam wygodniej.

Trzymając go wciąż na celowniku pistoletu, Maureen wstała i poczuła, że „to” znów nadchodzi. Poczowała długi, zimny dreszcz, który tak dobrze знаła, i jej skóra zmarszczyła się, jakby raptem stała się zbyt ciasna, żeby pomieścić ciało, a w głowie pojawiła się ta sama bezradna myśl, co tamtego wieczoru.

Boże, nie teraz, proszę, Boże, nie teraz, nie teraz.

A potem to znane uczucie czegoś, co zbliża się, tocząc i tocząc z daleka, i jeszcze metaliczny hałas pistoletu padającego na podłogę i...



...stoję pośrodku dużego pokoju, pełnego światła, które wpada przez okna w suficie i idę w stronę ściany, opuszczając wzrok, widzę moje stopy czerwone od farby na jasnych kafelkach podłogi i zbliżam się do drzwi prowadzących na schody i...

... jestem w sypialni, gdzie Julius leży na Chandelle i policzkuje ją, pieprząc ją jednocześnie, i jest tam Alistair Campbell z opuszczonymi spodniami, który w oczekiwaniu na swoją kolej wali konia i ja też się masturbuję i...

...jestem naprzeciw innych drzwi, które się uchylają, i w szparze pojawia się piękna i niedowierzająca twarz Thelmy Ross i zaraz potem zostaje wepchnięta do środka i upada na ziemię z krzykiem, a w polu mojego wzroku znajduje się ręka, która trzyma pistolet i...

... jestem znowu przed uchylonymi drzwiami tego jasnego pokoju, otwieram je i w półmroku korytarza widzę postać, która idzie w moją stronę i ma na sobie sportowy dres, i wreszcie mogę spojrzeć jej w twarz i rozumiem, że do mnie mówi, choć nie mogę oderwać wzroku od pistoletu, który trzyma w ręku, i ta twarz jest uśmiechnięta i...

Tak jak przyszły, obrazy znikły.

Maureen znów była sobą, leżała na ziemi bez sił, jak za każdym razem, kiedy osobiste upiory Geralda Marsalisa przechodziły przez nią, żeby domagać się jeszcze trochę życia. Z przyspieszonym nadal oddechem, podpierając się rękami, uniosła się na podłodze. Pozostała jakąś minutę w tej pozycji, z opuszczoną głową, z włosami niczym gałęzie wierzby płaczącej opadającymi po bokach twarzy, próbując odzyskać normalny rytm serca, którego bicie słyszała w uszach niczym tępe uderzenia bębna *taiko*.

W tej ostatniej wizji Maureen zdołała spojrzeć w twarz człowiekowi, który zabił Jerry'ego Kho, przekłętą malarza, dokładnie w momencie, kiedy człowiek ten wszedł do jego domu, celując z pistoletu.

Maureen podniosła powoli głowę do góry.

Przed oczami stanął jej ten sam obraz, co chwilę wcześniej, ten, który nawiedził ją w niewłaściwym momencie, w którym postradała miejsce i czas. Był to ten sam mężczyzna, który stał teraz naprzeciw niej i patrzył na nią z lekko przechyloną na bok głową i z wyrazem zmieszania wymalowanym na twarzy. Inaczej był ubrany, ale jak w wyraźnym obrazie sprzed chwili celował w nią z pistoletu.

## 47

Harmon Fowley, dyrektor odpowiedzialny Codex Security, czekał na Jordana przed głównym wejściem do Stuart Building. Stało się niemal zwyczajem, że widywali się tylko w tym miejscu i późnym wieczorem. Kiedy Harmon rozpoznał, że to Jordan jest mężczyzną na siodelku czerwonego motocykla, który podjeżdżał pod krawężnik, podszedł i zaczął czekać, aż przedstawi go na podpórce i wyłączy silnik.

Stanął parę metrów dalej, kontemplując ducati 999, podczas gdy Jordan zsiadał z motoru.

- Włoski, co? Piękna bestia.

Jordan zdjął kask, poprawił włosy i uściśnął wyciągniętą dłoń.

- Fakt. Naprawdę piękna bestia.

- Ile wyciąga?

Jordan zrobił nonszalancki gest.

- Wystarczająco, żeby drogówka nie mogła zapisać numerów.

Harmon Fowley popatrzył na niego z niedowierzaniem, jak gdyby nagle wyrosły mu na głowie zielone antenki.

- No, nie mów, prawy porucznik Marsalis, który łamie przepisy.

Jordanowi przypomniał się sierżant Rodriguez i jego niezmienny szacunek.

- Jesteś jak jeden z moich chłopaków. Czy tobie też mam powtarzać, że nie jestem już porucznikiem?

Fowley zatrzymał się i podniósł rękę, żeby lepiej zaznaczyć to, co ma do powiedzenia.

- Być może nieoficjalnie, ale stary ogień jeszcze się tli pod popiołem. Sądzę, że powinienem złożyć ci gratulacje. Nikt nie wymienił twojego nazwiska, ale o ile cię znam, myślę, że to ty położyłeś na nim łapkę. Słyszałem, że go złapaliście.

Jordan przybrał wyraz twarzy, mogący znaczyć zarówno tak, jak i nie.

- Wydawałoby się, że tak. Sam wiesz, jak się sprawy mają. Zazwyczaj najprostsze wyjaśnienie jest także tym właściwym.

- A jednak, skoro jesteś tutaj, mam podejrzenie, że tym razem sprawy mają się inaczej.

- No właśnie. Muszę sprawdzić pewien zasadniczy szczegół, a mogę to zrobić tylko za twoim pośrednictwem. Dziękuję ci, że na mnie zaczekałeś. Wyświadczasz mi nie lada przysługę.

Fowley zminimalizował słowa Jordana wzruszeniem ramion.

- Nie ma, za co. Odkąd się rozwiódłem, mam masę wolnego czasu.

- Jak mówi ta ludowa mądrość? Kiedy kota nie ma w domu, myszy harcują...

Fowley posłał mu uśmiech pozbawiony radości.

- Coś mi się zdaje, że w tej chwili dużo lepiej bawi się kot.

- Brakuje ci jej?

Fowley udzielił odpowiedzi na pytanie, które być może sam sobie już nieraz zadawał.

- Czy ja wiem... Spędziłem ostatnie trzy lata, marząc o wolności, a teraz, kiedy ją mam, nie odczuwam żadnej satysfakcji, gdy wracam późno do domu z kilkoma piwami więcej w brzuchu. Fakt, że nie trzeba ścierać śladów szminki z koszuli, odbiera przygodom dużo pieprzu.

Rozmawiając, minęli obrotowe drzwi i weszli do przeszklonego holu Stuart Building. Widziani z zewnątrz, byli niczym więcej, jak dwiema figurkami zbyt małymi dla ogromnego ekranu telewizyjnego, który ich obserwował.

Konwenanse się skończyły i teraz trzeba było przejść do poważnych spraw.

- Z twojego telefonu wynikało, że to pałaca sprawa. Co mogę dla ciebie zrobić?

- Harmon, chciałbym jeszcze raz rzucić okiem na DVD z tamtego wieczoru. Myślisz, że to możliwe?

- Nie ma problemu. Poza wszystkim masz szczęście. Na służbie jest Barton, ten sam, co poprzednio. To mój człowiek i z nim możemy być spokojni.

Kiedy wchodzili po schodach prowadzących do stanowiska ochrony, Jordan jeszcze raz przeżył wieczór wizji lokalnej w mieszkaniu Chandelie Stuart. Znów zobaczył jej chude ciało przyklejone do fortepianu i gorycz Randalla Haze'a, mężczyzny, który uważał, że jest silny, a który, podobnie jak on, odnalazł swoją słabość tam, gdzie najmniej się jej spodziewał. Opowieść Lysy podczas ich ostatniego spotkania zraniła go tak, jak kula, która wcześniej raniła ją. A jednak zaraz potem uruchomił swój umysł na największych obrotach, jakie może osiągnąć istota ludzka.

I kilka minut później sam siebie nazwał idiotą.

Kiedy na nagraniu filmowym zobaczyli utykającą postać Juliusa Whonga przechodzącego przez hol Stuart Building, pozwolili zaślepić się pewnością i w swojej gorliwości świetnych śledczych, uniesieni z powodu tropu, na jaki udało im się wpaść, i zignorowali inne możliwości. Jak często się zdarza, przeszli drogą skomplikowanych domysłów i zapomnieli o tych najprostszych.

O jednym przede wszystkim, i Jordan nie mógł sobie wybaczyć tego zaniedbania.

Widzieli, jak wszedł, ale nie widzieli, jak wyszedł.

Jako policjant wyćwiczony był w tym, żeby nie wpadać w takie pułapki. Teraz, kiedy przestał nim być, trochę zmiękł. A może znów zapominał o najprostszej hipotezie i najzwyczajniej nic go już nie obchodziło, że jest policjantem.

Powinien jednak zamknąć tę historię, zanim...

Zanim, co?

Dotarli do stanowiska, przy którym siedział Barton, dokładnie na czas, żeby oszczędzić mu jakichkolwiek domysłów.

Fowley zwrócił się do mężczyzny siedzącego za kontuarem z twarzą oświetloną odbiciem ekranów.

- Barton, mój przyjaciel chciałby przyjrzeć się DVD z wieczoru, kiedy została zamordowana panna Stuart. Wszystkie wejścia. Czy jest to teraz możliwe?

- Oczywiście. Chodźcie ze mną.

Barton wstał ze skórzanego fotela i poprowadził ich do pomieszczenia po lewej stronie od swojego stanowiska. Wewnątrz na ścianie naprzeciw drzwi były półki, na których ustawiono w idealnym porządku pojemniki z nagranyymi płytami. Na środku pokoju stało biurko z włączonym monitorem oraz komputer podłączony do czegoś, co wydawało się cyfrowym odtwarzaczem.

- Tu przechowujemy płyty i tu je formatujemy, kiedy zostają ponownie włączone do obiegu.

Barton podszedł do półek i chwilę potem postawił na biurku dwie kasetki z czarnego plastiku.

- Proszę bardzo. To są ujęcia z tamtego wieczoru zrobione przez telekamery przy obydwu wejściach.

Jordan podszedł do fotela ustawionego pod ścianą i pchnął go aż do biurka.

- Znakomicie. Myślę, że teraz sam sobie poradzę. Nie proszę, żebyście ze mną tu zostali, to może potrwać, a nie chcę zabierać wam więcej czasu.

Zarówno Fowley, jak i jego człowiek zrozumieli, że Jordan woli przejrzeć nagrania bez świadków. Barton wskazał na komputer.

- Wie pan, jak działa program tego typu?

- Sądzę, że tak.

- Jeśli chodzi o odtwarzanie filmów, mniej więcej tak jak normalny sprzęt domowy.

Jordan usiadł na fotelu i włączył komputer oraz monitor.

- Na pewno sobie poradzę.

Szef dał mu znak głową i Barton wyszedł. Fowley zrozumiał, że Jordan podąża już za swoją ideą i myślami jest teraz gdzie indziej. Położył mu rękę na ramieniu.

- Okej, Jordan, idę. Czegokolwiek szukasz, mam nadzieję, że to znajdziesz albo nie znajdziesz, w zależności od tego, jak dla ciebie będzie lepiej.

Czekając, aż włączą się wszystkie operacyjne funkcje komputera, Jordan obrócił się na krześle i spojrzał mu w twarz.

- Dziękuję, Harmon. Jesteś prawdziwym przyjacielem.

- Nie ma za co. Powiem Bartonowi, żeby udostępnił ci wszystko, co będzie potrzebne.

Jordan patrzył za nim, dopóki nie zamknął za sobą drzwi. Zaraz potem odwrócił się i wziął pierwsze pudełko, wyjął z niego płytę i wsunął do odtwarzacza. Włączył program zaznaczony na ekranie ikoną „DVD Player” i puścił nagranie.

Żeby oszczędzić czas, sprawdził na przyspieszeniu obydwie płyty. Na szczęście był to znakomity program połączony z doskonałą aparaturą i obraz przesuwał się bez długich przeskoków typowych dla sprzętu domowego.

Zajęło mu to niewiele ponad godzinę.

Oglądanie w ten sposób kulejącej postaci mordercy było jednocześnie groteskowe i tragiczne, bowiem przyspieszone odtwarzanie czyniło ją śmieszna, kiedy gotowała się do wypełnienia swojej śmiertelnej misji.

Z uwagą wywołującą pieczenie oczu przejrzał nagrania trwające dwanaście godzin, pokazujące aż do późnej nocy puste wejścia, z wyjątkiem jakichś rzadkich nocnych marków, którzy wracali do domu po wieczornych hulankach. Zgodnie z godziną wskazywaną przez kod czasowy, dopiero przed świtem zaczynał się większy ruch.

Poranni biegacze kierujący się do Central Parku, mężczyźni w szarych garniturach z aktówkami w ręku, para z walizkami i wyglądem ludzi wyjeżdżających na wakacje, a w tle różni inni wielobarwni ludzie.

W miarę jak zbliżała się pora otwarcia sklepów i biur, ruch wchodzących i wychodzących wzrastał się, aż stał się właściwy dla takiego centrum jak Stuart Building.

Jordan nie znalazł śladu tego, czego szukał. Żadnej utykającej postaci, choćby częściowo schowanej za kogoś innego, próbującej wymknąć się niezauważenie przez jedno z wyjść.

Zgodnie z tym, co przed chwilą zobaczył, mężczyzna ten wszedł do budynku, ale z niego nie wyszedł.

Chyba, że...

Jordan postanowił przejrzeć wszystko od początku. Zaczął puszczać pierwszą płytę, podwajając swoją uwagę i w pewnej chwili jego wzrok przyciągnęło coś, na widok, czego podskoczył i nacisnął przycisk stop.

Cofnął nagranie i zaczął odtwarzać film z normalną prędkością. Skontrolował godzinę podaną na ekranie. Obrazy, które oglądał, odpowiadały siódmej trzydzieści rano.

Męska postać w ciemnym stroju szła przez główny korytarz w stronę wyjścia, uważając, żeby być cały czas plecami do telekamery. Jordan dostrzegł go, mimo że wmieszany był między ludzi, którzy zaczynali zapełniać hol, ze względu na dziwny sposób przemieszczania się, do jakiego zmuszała go przyjęta pozycja.

W pewnej chwili coś się wydarzyło.

Potęźnie zbudowany łyś ty, który szedł w odwrotnym kierunku i rozmawiał z towarzyszącą mu osobą, rozkojarzony, a może zmylony tym ostrożnym, ale nieprzewidywalnym sposobem poruszania nadchodzącego z naprzeciwka mężczyzny, potrącił go ramieniem w momencie, kiedy ten kierował się do obrotowych drzwi. Odepchnięcie spowodowało, że okręcił się wokół siebie i na mgnienie odwrócił twarz w stronę kamery.

Jordan natychmiast zatrzymał odtwarzacz i cofnął obraz klatka po klatce, aż twarz mężczyzny znalazła się na środku ekranu.

Chwilę zajęło mu znalezienie na pasku narzędzi funkcji zoomu i po dwóch nieskutecznych próbach zdołał w końcu wyciągnąć na pierwszy plan postać, którą

wyodrębnił. Mimo niewyraźnego obrazu spowodowanego powiększeniem, pojawiła się przed nim znajoma twarz.

Serce podskoczyło Jordanowi do gardła.

Jeśli sprawy miały się tak, jak podejrzewał, osoba ta przeczekała całą noc na schodach, żeby wmieszać się w poranny tłum i wyjść niezauważona. Kaskada drobnych niuansów i zaniedbanych szczegółów spłynęła teraz na niego niczym płyn oliwiący na mechanizm, który miał w głowie i który w tej chwili poddawał obróbce hipotezy i myśli.

Żeby dojść do konkluzji o rozsądnej dozie wiarygodności, pozostawała jeszcze jedna rzecz, którą chciał sprawdzić, a żeby to zrobić, musiał wjechać do mieszkania Chandelle Stuart.

Wyszedł z pokoju i zbliżył się do stanowiska pełnego ekranów telewizyjnych, powtarzających obrazy podobne do tych, które właśnie skończył oglądać.

- Barton, czy mieszkanie panny Stuart jest jeszcze opieczętowane?

- Nie, zdjęli pieczęcie parę dni temu.

- Masz kod?

- Tak.

- Chciałbym się tam rozejrzeć. Jeśli mi nie ufasz, poślij kogoś ze mną na górę, nie chciałbym przysporzyć ci kłopotów.

Barton wziął małą, żółtą karteczkę z blatu, szybko zapisał na niej numer i podał Jordanowi.

- Pan Fowley powiedział wszystko. Poza moim tyłkiem to mieści się na liście.

- Dziękuję, Barton. Jesteś świetnym gościem.

Wkrótce potem winda z lekkim podskokiem stanęła w mieszkaniu Chandelle Stuart. Jordan wszedł do salonu i natychmiast znalazł się naprzeciw białych linii, nakreślonych przez brygadę kryminalistyczną, żeby utrwalić pozycję zwłok.

Lekarz sądowy miał rację. Wyglądało to naprawdę jak gag Pana Fasoli.

Po raz pierwszy na miejscu zbrodni widział rysunek, który poza sylwetką ciała obejmował także kształt fortepianu. Rozejrzał się dokoła. Apartament wyglądał tak samo, ale w powietrzu nie czuło się żadnego oczekiwania. Tylko cienka warstwa kurzu na meblach, która miała się powiększać, dopóki mieszkanie nie zostanie wystawione na aukcję i skonfiskowane na rzecz majątku Fundacji Stuarta.

Przeszedł przed obrazem Gericault, nawet na niego nie patrząc, i skierował się w stronę gabinetu i strefy nocnej.

Również tym razem to, czego szukał, było czymś tak normalnym, że nikt nie zadałby sobie trudu, by umieścić to w jakimś ukrytym miejscu, przeciwnie, zatroszczyłby się, żeby było na wyciągnięcie ręki. Zaczął od łazienek, a potem przeszedł do sypialni i przejrzał kolejno wszystkie meble w mieszkaniu, które miały szuflady.

Nic.

I szukając tego, czego nie znajdował, znalazł to, czego nie szukał.

W jednej z szuflad w gabinecie leżał cały plik kart choroby. Jordan przyglądał się im przez chwilę, po czym wziął je i położył na stole. Przejrzał jedną po drugiej. Były to głównie wyniki analiz i okresowych badań, ale nagle wpadła mu w rękę jedna, która mogła wiele wyjaśnić.

Chwilę wcześniej, podczas swojego małego szału porządkowania danych, przypomniał sobie, że na zdjęciu w roczniku college'u Chandelle Stuart nosiła okulary i wyglądało na to, że są to dosyć mocne szkła. W tej chwili w domu nie było śladu okularów, pojemniczków na szkła kontaktowe ani też flakoników z płynem, którego używa się zazwyczaj do ich mycia.

A karta, którą miał przed oczami, pokazywała rezultaty chirurgicznej operacji laserowej redukującej krótkowzroczność, przeprowadzonej w Holy Faith Hospital.

Jordan był skołowany i żeby rozjaśnić sobie myśli, musiał chwilę pogadać z osobą, którą zobaczył na DVD, jak rankiem po śmierci Chandelle Stuart wychodzi ze Stuart Building. Może był to tylko zbieg okoliczności i istniały rozmaite sposoby na wytłumaczenie tego faktu, jednak był ciekaw, co robiła ona w tym miejscu, o tej porze i właśnie tego dnia.

Było to pytanie, na które mógł odpowiedzieć tylko on, elegancki i ironiczny profesor William Roscoe. A według wszelkiego prawdopodobieństwa był on także osobą, która zamówiła serię czeków w Chase Manhattan Bank pod nazwiskiem John Ridley Evenge. Być może chodziło o przypadkowy fakt, ale pisząc drugie imię tylko przy użyciu inicjału z kropką, jak to było w zwyczaju w Ameryce, otrzymywało się John R. Evenge.

Revenge.

Zemsta.



# 48

- Zemsta. To jest jedyny motyw. I myślę, że nikt nie może mnie zrozumieć lepiej niż ty.

Maureen milczała, usiłując nie poddać się hipnotycznemu przyciąganiu czarnego oka wycelowanego w nią rewolweru.

Głos Williama Roscoe stał się przymilny, a jednocześnie perfidny.

- Powiedz mi jedną rzecz, Maureen. Kiedy ten morderca zabił Connora Slave'a na twoich oczach, czy wraz z bólem nie zrodziły się w tobie zaraz potem dzika nienawiść i obsesyjna żądza zemsty? Czy w tej chwili nie odczuwasz pragnienia, żeby mieć go przed sobą i kazać mu zapłacić osobiście za wszystkie cierpienia, jakich doznałaś i które będziesz musiała znosić przez resztę twojego życia?

Tak, ze wszystkich moich sił, pomyślała.

- Tak, ale nie jest to zadanie, które należy do mnie - odpowiedziała, kłamiąc.

Roscoe uśmiechnął się.

- Nie umiesz kłamać, Maureen. W twoich oczach zapaliło się światło nienawiści. Potrafię je rozpoznać, ponieważ znam nienawiść i ponieważ to ja dałem ci te oczy.

Natychmiast po tym, jak przejął nad nią władanie, z jakiegoś powodu, którego nie potrafił zrozumieć, William Roscoe stał przez moment osłupiały, jakby zastanawiał się, jaką drogą pójść dalej, w oczekiwaniu, aż Maureen dojdzie całkowicie do siebie i podniesie się z podłogi.

- Wszystko dobrze?

Również w tym przypadku, mimo zaistniałej sytuacji, w jego głosie pobrzmiwała niezmiennie lekarska troska. Maureen odpowiedziała nieznacznym ruchem głowy, ponieważ głos był jeszcze uwieczony w szorstkich pofałdowaniach gardła.

Kiedy wstała, Roscoe lufą pistoletu wskazał zasłonę za jej plecami.

- Tam.

Maureen odchyliła kotary i odkryła, że pokój, w którym przebywali, przechodzi w korytarz prowadzący na tyły domu. Poczowała twardą lufę pistoletu na plecach. W

bladym świetle sączącym się przez uchylone zasłony, Maureen wydało się, że w drugim końcu dostrzega zarys przeszklonych drzwi wychodzących na werandę. Jej intuicja nie znalazła potwierdzenia, Roscoe bowiem kazał jej zatrzymać się przed innymi drzwiami po lewej stronie, które nawet w półmroku wyglądały na ciężko opancerzone.

Roscoe podszedł do urządzenia przytwierdzonego na ścianie obok futryny, przyłożył dłoń do czytnika i drzwi otworzyły się do środka. Światło zapaliło się automatycznie, odsłaniając dosyć strome schody prowadzące w dół.

Tak jak poprzednio William Roscoe wskazał jej kierunek.

- Schodź.

Maureen szła przed nim po schodach, które zakręcały na dole, prowadząc do ogromnego pomieszczenia wyłożonego białymi kafelkami, stanowiącego podpiwniczenie całego domu. Maureen była pod wrażeniem, kiedy stanęła na małej galeryjce z poręczą, umieszczonej zaraz za drzwiami. Oświetlone z góry żarówkami zamontowanymi w suficie, rozciągało się przed jej oczami autentyczne laboratorium badawcze, wypełnione po brzegi aparatami i przyrządami, których przeznaczenia nie знаła, sprawiającymi jednak wrażenie bardzo drogich i bardzo specjalistycznych. Wzdłuż ściany po prawej stronie ciągnął się długi kontuar, na którym ustawione były różne komputery i ogromny mikroskop elektroniczny, podłączony do monitorów przewodami światłowodowymi. Pośrodku, niczym wyspa, stał inny blat, zajęty całą serią aparatury przeznaczonej do pracy w sterylnym otoczeniu. Ścianę po lewej stronie była do połowy długości matowa szyba, za którą można było się domyślać chłodzonego pomieszczenia, oświetlonego wewnątrz niebieskawym światłem jarzeniowym.

- Moje prywatne laboratorium, jaskinia Fausta. Piękne, prawda?

Po pokonaniu ostatnich stopni schodów Roscoe wskazał gestem lewej ręki rozpościerające się przed nimi otoczenie. Mimo to Maureen zauważyła, że pistolet wycelowany w jej żołądek nie przesunął się nawet o milimetr.

- To w takich właśnie miejscach próbuje się zrewolucjonizować naukę. Chociaż czasem chodzi tylko o zwykłe mydlenie oczu.

Wskazał na wielką szybę, za którą nawet światło jarzeniówek zdawało się zamrożone.

- To, co widzisz, w rzeczywistości jest niczym innym jak specjalną lodówką zasilaną płynnym azotem, w której przechowywane są embriony zamrożone w

temperaturze około minus dwustu stopni. W takiej temperaturze róża pęka, jakby była ze szkła, a człowiek, który wciągnąłby haust takiego powietrza, nie zdołałby go wypuścić, ponieważ by nie żył.

Z boku lodówki Maureen dostrzegła kilka butli ciśnieniowych, zwieńczonych całą serią manometrów, z których wychodziły grube, ciemne rury, wprowadzone potem z boku urządzenia do jego wnętrza, żeby utrzymywać w środku stałą temperaturę. Kiedy przechodzili przez laboratorium, Roscoe cały czas kontynuował swój wywód. Gdy znaleźli się pod przeciwległą do wejścia ścianą, zmusił Maureen, żeby usiadła na fotelu na kółkach, stojącym przed komputerem. Po czym zniknął z jej pola widzenia i polecił, żeby założyła ręce za oparcie. Następnie unieruchomił jej dłonie, owijając nadgarstki taśmą klejącą.

Po chwili stanął przed nią z wyrazem współczucia na twarzy z powodu marności świata.

- Wszyscy uczeni popełniają jeden błąd. Gonią za wiedzą w nadziei, że nauka pewnego dnia uczyni ich podobnymi Bogu. Co za głupcy.

Roscoe spojrział jej w oczy i Maureen po raz pierwszy zyskała pewność, że widzi w nich siny płomień szaleństwa.

- Każda nowa zdobycz nauki stawia nas w obliczu nowej niewiadomej. To spirala bez końca. Jediną rzeczą, która może nas uczynić wręcz wyższymi od Boga, jest sprawiedliwość.

Maureen sprzeciwiła mu się, zanim jeszcze zdała sobie sprawę z celności jego słów.

- Niestety, sprawiedliwość ludzka jest jedyna, jaką mamy do dyspozycji.

- Jediną rzeczą, jaką ludzie mogą oddać nam do dyspozycji, jest prawo. A stosując prawo, nie zawsze osiąga się sprawiedliwość.

Oparł się niedbale plecami o wyłożony kafelkami kontuar, trzymając pistolet w prawej ręce, i przyglądał mu się, jakby był jakimś dziwnym przedmiotem ozdobnym, a nie bronią. Kiedy wreszcie Maureen zapytała go o powód tych wszystkich absurdalnych śmierci, odpowiedź była sucha, precyzyjna, ostra jak jej znaczenie.

Zemsta.

I teraz nadszedł czas wyjaśnień, magiczna chwila, kiedy obydwójce mieli odsłonić karty i każde z nich miało znaleźć odpowiedź, której szukało.

Maureen chciała się tylko dowiedzieć „dlaczego”, a Roscoe chciał tylko wiedzieć „jak”.

To on zaczął mówić pierwszy głosem rozkojarzonym, jakby obojętnym.

- Kto wie, że tu jesteś?

- Nikt.

- Z jakiego powodu miałbym ci ufać?

- Powód jest ściśle związany ze sposobem, w jaki odkryłam, że to ty zamordowałeś Geralda Marsalisa.

- To znaczy?

Maureen liczyła na to, że prędzej czy później Jordan odsłucha jej wiadomość i przystąpi do działania. Roscoe był mordercą, ale nadal był lekarzem i uczonym. Istniał jedyny sposób, żeby zyskać na czasie: pobudzić jego ciekawość, opowiadając mu o osobliwym doświadczeniu, jakie przeżyła, a które było bezpośrednią konsekwencją przeprowadzonej przez niego operacji.

- Wyda ci się to niewiarygodne, ale widziałam cię, jak go zabijałeś.

Roscoe popatrzył na nią przez chwilę, jakby nagle zapaliła się na jego oczach, po czym wybuchnął śmiechem.

- Ty mnie?... Proszę, nie rozśmieszaj mnie.

- Właśnie się zaśmiałeś. Wiedziałaś, że mi nie uwierzysz. Pamiętasz, jak do ciebie dzwoniłam, żeby zapytać, czy znasz tożsamość dawcy?

- Tak, doskonale pamiętam.

- Sądzę, że osobą, od której pobrano rogowki, które potem mi przeszczepiłeś, był właśnie Gerald Marsalis.

- Co każe ci tak myśleć?

- Fakt, że odkąd otworzyłam oczy, zaczęły mnie „dręczyć”, to właściwe słowo, obrazy z jego przeszłego życia.

- Żarty sobie ze mnie robisz? Myślisz, że jesteś w jednym z odcinków Z archiwum X?

- Niestety, nie. W takim przypadku wystarczyłoby wyłączyć telewizor, żeby wszystko przerwać. A tymczasem nie jest to takie proste.

- Maureen, jako naukowiec zmuszony jestem wierzyć tylko temu, czego dotykam i co widzę na własne oczy.

- Tym razem będziesz musiał uwierzyć temu, co zobaczyłam ja oczami kogoś innego. Jestem tutaj i wydaje mi się to wystarczającym dowodem. Niedawno, kiedy upadłam na ziemię, weszłam właśnie w jeden z takich stanów. I znów cię zobaczyłam. Drzwi mieszkania były uchylone. Miałeś na sobie dres z kapturem i kiedy Gerald

Marsalis je otworzył, wyszedłeś z cienia korytarza z pistoletem w ręku. A on był cały pomalowany na czerwono.

Roscoe stał jak zamurowany. Wszystkie jego przekonania jako naukowca zostały nagle sprowadzone do zera, podobnie jak jego przekonania jako człowieka.

- To niewiarygodne...

- „Niewiarygodne” to właściwe słowo, William. To jest powód, dla którego nikomu nie powiedziałam, że tu jestem. Jak twoim zdaniem przyjąłby to funkcjonariusz policji, gdybym powiedziała mu, że zobaczyłam oczami zabitego jego zabójcę?

Maureen miała nadzieję, że jej argumentacja jest wystarczająco przekonująca. Niestety, zmuszona była podać okrojona wersję faktów i nie wspomnieć słowem o którymkolwiek z innych widzianych przez nią obrazów, dotyczących przede wszystkim Thelmy Ross i wszystkich związanych z nią odkryć. Oznaczałoby to bowiem ujawnienie, że więcej osób wiedziało o jej widzeniach i jej obecności w tym miejscu. W najlepszym przypadku Roscoe zostawiłby ją przywiązaną do krzesła i uciekł.

W najgorszym...

Badacza całkowicie pochłonęło to, o czym się właśnie dowiedział i co stanowiło nowe fascynujące wyzwanie.

- W komórkach musi być jakaś wpisana informacja, rodzaj *imprintingu*, połączenie neuronowe, które w jakiś sposób utrzymuje się niezależnie od osobnika. To wszystko jest fantastyczne. Razem możemy to odkryć i dojść do...

Maureen znów mu przerwała.

- Razem?

- Oczywiście. Przy takich badaniach muszę mieć cię do dyspozycji do wszelkich analiz i testów, które będę musiał przeprowadzić.

- Skąd wiesz, że będę z tobą współpracować?

Roscoe jakby nagle przypomniał sobie, kim są i dlaczego się tu znaleźli. Odzyskał świadomość, że jest policjantką przywiązaną do krzesła, a on mordercą trzymającym w ręku pistolet wymierzony w jej głowę.

A jednak, podobnie jak podczas ich poprzednich spotkań, udało mu się zabarwić swoje słowa nutą ironii.

- Skąd wiem? Mówi mi to pewien szczegół, prosty i znaczący. Jestem jedyną osobą, która wie, gdzie znajduje się hodowla komórek macierzystych potrzebnych do kontynuowania twojej terapii. Wydadź mnie, a ja nigdy nie powiem ci, gdzie są. Jeśli

pozbawisz mnie sprawiedliwości, którą sobie wywalczyłem, znajdziesz się w takim samym stanie, w jakim cię poznałem.

Jego ostatnie słowa były zimniejsze od gazu, który napędzał zamrażarki.

- W chwili, kiedy Julius Whong odzyska wolność, ty stracisz wzrok.

## 49

Jordan prowadził motocykl pod drzewami i żółtymi latarniami Henry Street, aż dotarł do budynku, którego szukał. Zaraz po tym, jak wyszedł ze Stuart Building, włączył telefon i chwilę potem dostał dźwiękowe powiadomienie, że ma wiadomość w poczcie głosowej. Połączył się i wysłuchał słów Maureen. Nic nie wiedząc o jego podejrzeniach, w krótkim nagraniu zawiadamiała go, do jakiego doszła wniosku. I że jedzie złożyć wizytę Williamowi Roscoe.

Jeśli z jednej strony wiadomość ta rozproszyła nawet ostatni cień wątpliwości ze strony Jordana, to z drugiej strony zmroziło go, kiedy usłyszał, że Maureen zamierza udać się sama do domu mordercy. Był na siebie wściekły, że wyłączył telefon. Stanowił dla Maureen jedyny punkt odniesienia, był jedyną osobą, której mogła opowiedzieć o nawiedzających ją obrazach.

Nie mogąc go znaleźć, postanowiła działać sama.

Jordan na swój sposób potrafił ją zrozumieć, ale to nie zmniejszyło jego niepokoju. Wsiadł na motor i przemierzył trasę aż pod adres podany mu przez Maureen z maksymalną prędkością, na którą pozwalał mu ducati i kodeks drogowy, mając nadzieję, że w chwilach, kiedy łamie przepisy, nie natknie się na jakiś patrol na służbie.

Zatrzymał motocykl, zsiadł i przeszedł na drugą stronę ulicy, żeby lepiej się przyjrzeć masywnej, dwupiętrowej budowli na rogu Pierrepoint Street. Ten odcinek Henry Street pogrążony był w całkowitych ciemnościach, a w cieniu rzucanym przez dalekie światła przecznicy Jordan uznał stojący przed nim dom za niepokojący, złowieszczy, posępny.

Z zewnątrz wydawał się pusty.

Okna były ciemnymi prostokątami zawieszonymi na murach i poza pomarańczową poświatą szyby wieńczącej drzwi wejściowe nie przenikało stamtąd żadne inne światło, które mogłoby świadczyć o czyjejs obecności.

Mogło to być dobrą wróżbą albo też stanowić najgorszą z możliwych hipotez.

Ominął główną fasadę i poszedł rzucić okiem na tyły domu. Cała posesja była otoczona wysokim murem, z tych samych cegieł, co główny budynek. Z wierzchołków różnego rodzaju drzew, które wyrastały ponad ogrodzenie, Jordan wywnioskował, że cały ten obszar zajmuje ogród. Po szybkim oszacowaniu wysokości Jordan zdał sobie sprawę, że nie zdoła wspiąć się na mur, nawet gdyby użył motoru jako podwyższenia.

Na końcu tej ceglanej ściany stał naprzeciwko domu Roscoe'a trzypiętrowy budynek w trakcie remontu, otoczony płotem, który odgraniczał obszar robót. Jordan podniósł wzrok, żeby sprawdzić położenie kładek i zabezpieczeń, jakich używa się zwykle w budownictwie. Po czym podjął decyzję, która wydawała mu się jedyną możliwą drogą do domu Roscoe'a. Bez większego trudu zdołał przedostać się przez dziurę w ogrodzeniu. Stan robót był w takim punkcie, że nie zakładał żadnego rodzaju ochrony przed ewentualnym wtargnięciem. Wszedł na parter budynku, pozbawionego jeszcze niemal całkowicie ścian i oświetlonego w łagodny sposób żółtawym światłem latarni.

W powietrzu unosił się zapach cegieł i wapna, co stwarzało to wrażenie surowości i prowizoryczności charakterystyczne dla wszystkich placów budowy. Jordan odnalazł schody i wszedł na pierwsze piętro po stopniach z szarego cementu, jeszcze bez poręczy. Kiedy znalazł się na podeście, potknął się o pojemnik z ciemnego plastiku, prawie niewidoczny w półmroku, wypełniony narzędziami, i wywrócił się z metalicznym hukiem, który wydał mu się głośniejszy od czołowego zderzenia dwóch pociągów.

Pozostał przez chwilę, wstrzymując oddech i zaciskając szczęki, pokonując zaskoczenie i strach, że być może przywołał czyjąś uwagę, a także ból piszczeli, którą uderzył o pojemnik.

Żadnej oznaki życia...

Jordan rozluźnił się i z galeryjki, na której się znajdował, rzucił spojrzenie na ogród domu naprzeciwko, tak jak mu na to pozwalał wysoki mur i gałęzie drzew. W ciemności chronionej przez liście wydawało mu się, że uchwycił odbicie szyby, ale z tego miejsca nie można było nic więcej rozpoznać.

Jordan rozejrzał się dokoła. Po jego lewej stronie leżała sterta długich drewnianych desek, które prawdopodobnie miały posłużyć przedłużeniu pomostu na wyższe piętra.

Poszedł po jedną z nich, podniósł ją, pomagając sobie rurkową balustradą podestu, żeby wyważyć ciężar, i popychał, aż dotarła do krawędzi ceglanoego muru.



Upewnił się, że jest dobrze oparta. Wziął drugą deskę i też puścił ją w taki sposób, żeby ułożyła się na pierwszej, mając nadzieję, że nie pomylił się w obliczeniach i że jej długość wystarczy do tego, co zamierzał zrobić.

Poszedł przejrzeć narzędzia, które trochę wcześniej rozrzucił na ziemi, i znalazł to, czego szukał. Wziął metalowy drąg, taki, jakich używa się do wyciągania gwoździ ze sztab, kiedy rozbraja się żelbet, i wsunął go sobie za pasek spodni.

Wrócił na swój prowizoryczny most zawieszony w półmroku, który prowadził z drewnianej podłogi podestu do muru ogradzającego dom profesora Roscoe. Wystawił jedną nogę do przodu i oparł ją na desce, przytrzymując się o rusztowanie. Po czym zrobił pierwszy krok na niestabilnej belce.

Jordan nigdy nie cierpiał na zawroty głowy i miał nadzieję, że i tym razem nie takiego go nie spotka.

Próbując patrzeć nieruchomo przed siebie, stopa za stopą, niczym ekwilibrysta, który jako siatkę ubezpieczającą ma pod sobą piasek i worki z cementem, dotarł na drugi koniec zaimprovizowanego mostu. Zdał sobie sprawę, że pokonał całą trasę, wstrzymując oddech, więc teraz wypuścił z ulgą całe powietrze z płuc. Usiadł okrakiem na murze jak na siodełku motocykla i podpierając się nogami, puścił do przodu drugą deskę, aż dotknęła ziemi. Wysilek, żeby oprzeć ją o ziemię, nie robiąc przy tym hałasu, a jednocześnie nie wypuszczając jej z rąk, wywołał gwałtowne pulsowanie krwi w skroniach, tak, iż musiał zatrzymać się na chwilę, żeby zaczerpnąć powietrze i pokonać lekki zawrót głowy.

Sprawdził, jak dalece było to możliwe, wytrzymałość oparcia belki o mur, na którym siedział. Zamierzał użyć jej jako zjeżdżalni, kładąc się na niej i opuszczając się przy użyciu siły ramion, dopóki nie dotknie ziemi.

Niestety, kiedy spróbował wcielić w życie swój plan, oparcie okazało się mniej pewne, niż myślał. Kiedy tylko jego ciało opadło całym ciężarem na deskę, część dotykająca ziemi przesunęła się nagle do przodu. Jordan usiłował instynktownie chwycić się krawędzi muru, ale lewa ręka ześlizgnęła się po omszałych ceglach i zawisł na jednej tylko ręce. Jego ciało odkręciło się gwałtownie w drugą stronę i Jordan usłyszał wyraźny chrzęst wypadającego stawu, podczas gdy ramię opuszczało swoje stałe miejsce. Przeszywający ból spowodował, że puścił uchwyt. Upadek złagodził krzew pittosporum, na którym wyhamował, ale jednocześnie został odrzucony i potoczył się do przodu, objijając się jeszcze kilkakrotnie zwichniętym ramieniem, co wywoływało ból przypominający ciosy sztyletu.

Jordan leżał teraz nieruchomo na ziemi, dysząc. Przeczekał na jednym boku, aż ból stał się znośny, po czym spróbował usiąść.

Nastąpiła znaczna zmiana oświetlenia. Korony drzew i ogrodzenie zasłaniały światło latarni tak, że zmuszony był poczekać, aż oczy przystosują się do nowych warunków. Kiedy mógł już nieco rozeznąć się w otoczeniu, wstał i podszedł do pnia drzewa, szukając oparcia, które pozwoliłoby mu nastawić ramię. Wsparł się o szorstką korę klonu i nacisnął z całej siły. Odczuł tak silny ból, że omal nie zemdlał. Zdrową ręką pomacał ramię. Najprawdopodobniej kontuzja, której doznał owego wieczoru, kiedy został zaatakowany przez Lorda, osłabiła więzadła i cała operacja nie przyniosła pożądanego rezultatu. Wciąż odczuwał silny ból, a ramię nie wskoczyło na właściwe miejsce, unieruchamiając mu niemal całkowicie rękę.

Jordan wciągnął głęboko powietrze i próbował o tym nie myśleć. Powiedział sobie, że Maureen znajduje się prawdopodobnie w niebezpieczeństwie i że nie ma on czasu na odczuwanie bólu. Znow zaczął badać miejsce, w którym się znajdował.

Po drugiej stronie ogrodu, jak wcześniej się domyślał, w istocie widać było odbicie szyby. Przesuwał się ostrożnie po miękkim terenie w tamtym kierunku i kiedy wystarczająco zbliżył się, zauważył, że tył domu na całej długości ogrodu i w jednej trzeciej jego szerokości zajęty jest przez werandę o wielkich szybach będących kontynuacją murów. Tworzyła ona coś w rodzaju ogrodu zimowego. W niepewnym świetle dostrzegł przez szyby sylwetki roślin i meble, które wyglądały na rattanowe. Werandę łączyło z wnętrzem troje przeszklonych i drzwi, z których jedne były w tej chwili częściowo oświetlone. Jordan ustawił się naprzeciwko i spróbował zobaczyć, co znajduje się za progiem. Był tam korytarz oświetlony prostokątem światła na podłodze, pochodzącym ze ściany po prawej stronie, a w głębi widać było inny jasny wycinek, narysowany przez coś, co wyglądało na odchylone zasłony.

Jordan wyciągnął łom z pewnym wysiłkiem, ze względu na unieruchomioną prawą rękę, wsunął go między drewniane odrzwia rozsuwanych drzwi, które miał przed sobą. Nastąpił suchy niezbyt głośny trzask. Dwie szyby rozsuneły się bez trudu na dobrze naoliwionych szynach i Jordan był w środku.

Przeszedł przez werandę, wymijając przeszkodę w postaci niskiego stolika, i dotarł przed oświetlone drzwi. Zanim użył ponownie łomu, spróbował przekręcić gałkę i ku jego wielkiemu zdziwieniu, drzwi się otworzyły.

Minął próg i zagłębił się w korytarz. Po kilku krokach znalazł się obok źródła światła, które widział z zewnątrz. Były tam drzwi wychodzące na oświetlone schody

prowadzące w dół. Jordan pomyślał, że w piwnicy musi kryć się coś naprawdę ważnego, biorąc pod uwagę opancerzenie drzwi i system otwierania z czytnikiem odcisków palców, który był do nich podłączony. Zrobił krok na pierwszy stopień i usłyszał, jak coś łamie się pod jego butem z krótkim, suchym trzaskiem.

Podniósł stopę i na szorstkiej powierzchni schodka zobaczył parę ciemnych okularów. Pochylił się, żeby je podnieść, próbując zaradzić kolejnemu uderzeniu sztyletu w ramię. Kiedy miał okulary w ręku, natychmiast je rozpoznał mimo roztrzaskanych szkieleł.

Należały do Maureen.

Jeśli pusty dom mógł albo nie mógł być złym znakiem, to okulary leżące na ziemi na pewno nim były.

W ciszy wydało mu się, że słyszy dochodzące z dołu głosy.

Zaczął ostrożnie schodzić, ustawiając się lekko z boku i podtrzymując prawe ramię zdrowym, żeby uniknąć bolesnych uderzeń. Dotarł do pierwszego podestu. Teraz schody skręcały w prawo i schodziły w dół.

Głosy były już donośniejsze, ale nadal tak niewyraźne, że Jordan nie mógł odróżnić słów.

Nigdy tak bardzo jak w tej chwili nie żałował braku pistoletu. Nie był fanatykiem broni, nawet w czasach akademii, a jeszcze mniej w okresie służby. Znakomity cel zawdzięczał instynktowi, nie zaś ćwiczeniom, gdyż bywał na poligonie tylko tyle, ile wymagała obowiązkowa obecność roczna.

A jednak zapłaciłby teraz każdą cenę za trzydziestkęósemkę, którą oddał wraz z odznaką. Kontynuował schodzenie i z każdym kolejnym stopniem natężenie głosów rosło. Po chwili przestały być pomieszanym splotem dźwięków i Jordan zdołał odróżnić głos mężczyzny od głosu kobiety. Dotarł wreszcie na kolejny podest, błogosławiąc bezdźwięczne podeszwy swoich reeboków.

Teraz głosy przybrały w jego uszach i umyśle znany obraz twarzy dwóch osób.

Jeden był głosem Maureen, drugi słyszał tylko raz, ale i tak go rozpoznał.

Głosy docierały zza otwartych drzwi prowadzących na wąską galerijkę, położoną nieco wyżej od poziomu piwnicy, do której dochodziło się, skręcając w lewo i schodząc po dwóch lub trzech stopniach.

Ze swojego punktu obserwacyjnego część pomieszczenia, którą mógł objąć wzrokiem, wydała mu się rodzajem laboratorium. Ścianę naprzeciwko, która ciągnęła się jeszcze pod poręczą galerijki, wypełniały aparaty i przyrządy, przywołujące

Jordanowi na myśl siedzibę brygady kryminalistycznej z chromotografami i inną, bardzo skomplikowaną aparaturą badawczą.

Jordan oparł się o ścianę i wyjrzał zza futryny. To, co zobaczył, zupełnie mu się nie podobało.

Po przeciwległej stronie ogromnego pomieszczenia, za blatem do pracy, który zajmował większą część centralnej powierzchni, siedziała Maureen z rękami unieruchomionymi za oparciem krzesła i z twarzą zwróconą do drzwi, za którymi stał Jordan.

Odwróconego plecami mężczyznę Jordan widział niedawno na DVD, jak w dniu, kiedy zamordowano Chandelle Stuart, przechodzi przez hol Stuart Building i kieruje się ostrożnie w stronę wyjścia.

Z jedną tylko różnicą. Teraz był tu obecny z krwi i kości, i trzymał ciężki rewolwer wymierzony w głowę Maureen.

## 50

Maureen usłyszała właśnie wysyczone przez zęby zdanie Williama Roscoe, kiedy za jego plecami dostrzegła Jordana wychylającego się zza futryny drzwi na galeryjce. Opuściła nagle głowę, jakby przestraszona jego groźbami. Kiedy ją podniosła, zmusiła się, żeby ani na chwilę nie oderwać wzroku od swojego żandarma i wpatrywać się w jego oczy tak, by go nie zaalarmować i nie zdradzić obecności Jordana.

Musiła jednak zasygnalizować Jordanowi w jakiś sposób, że go zauważyła. Wypowiedziała zdanie, które dla Roscoe'a mogło zabrzmieć jak kontynuacja prowadzonej przez nich wcześniej rozmowy, natężając głos tak, żeby Jordan mógł ją usłyszeć.

- Teraz, kiedy wiesz, że cię widziałam, myślę, że ja też mam prawo do wyjaśnień, nie sądzisz?

Jordan zrozumiał. Wychylił się lekko, dał jej znak podniesionym kciukiem i zaraz potem wykonał okrężny ruch dłonią, zachęcając ją, żeby zmobilizowała Roscoe'a do mówienia, by odwrócić jego uwagę.

Lekarz tymczasem niczego nie zauważył, ale przypadkowo przesunął się na bok w taki sposób, żeby mieć na oku zarówno Maureen, jak i wejście do laboratorium. W takiej sytuacji Jordan nie mógł zająć go od tyłu i unieszkodliwić.

Roscoe obdarzył Maureen pobłażliwym spojrzeniem.

- Masz rację. Wcześniej poprosiłaś, żebym zaczął od początku. Żebyś mogła zrozumieć, w istocie muszę tak uczynić.

Zrobił małą pauzę, jak gdyby musiał przygotować się mentalnie, zanim po raz kolejny zmierzy się z trasą prowadzącą między zgliszczami jego życia.

- Wiele lat temu podczas seminarium, które prowadziłem w szpitalu w Bostonie, poznałem pielęgniarkę. Była ciemnoskóra i nazywała się Thelma Ross. Zakochaliśmy się w sobie od pierwszego wejrzenia, jakbyśmy przyszli na świat wyłącznie w tym celu. Było to najpiękniejsze i najbardziej czyste uczucie, jakiego doznałem w życiu. Wiesz,

co to znaczy stanąć przed jakąś osobą i zdać sobie sprawę, że od tej chwili nikt inny nigdy nie będzie się dla ciebie liczył w taki sposób?

Maureen poczuła, jak wilgotnieją jej oczy, a obraz Connora nałożył się na chwilę na twarz grożącego jej bronią mordercy, którego wcale się nie bała.

Tak, przeklęty łajdaku, oczywiście, że wiem.

Roscoe zdawał się czytać w jej myślach. Pokiwał lekko głową, co było ruchem należącym do repertuaru jego gestów.

- Tak, widzę, że wiesz. Rozumiesz, co chcę powiedzieć.

Lekarz kontynuował swoją opowieść innym tonem głosu, jakby ta świadomość stworzyła między nimi poczucie wspólnoty.

- Ja znalazłem się wówczas w decydującym momencie mojej kariery. Byłem pupilem i pierwszym asystentem profesora Joela Thorntona, najwybitniejszego w owym czasie na świecie przedstawiciela mojej dyscypliny. Wszyscy, łącznie z nim, wskazywali na mnie jako na jego prawowitego następcę, wschodzącą gwiazdę mikrochirurgii oka i badań naukowych w dziedzinie okulistyki. Poza tym był także moim teściem, ponieważ ożeniłem się właśnie z jego starszą córką Gretą. Thelma o wszystkim wiedziała i nie zamierzała robić nic, żeby zagrozić mojej karierze. Powiedziała mi, że jakkolwiek wybór by mi narzuciła, konsekwencje i tak dotknęłyby jej, ponieważ na dłuższą metę nigdy nie zdołałbym jej wybaczyć. Thornton miał w istocie możliwości, żeby mnie zniszczyć. Mieć go w owej chwili przeciwko sobie oznaczałoby zamknąć przed sobą wszystkie drogi.

Roscoe porzucił na chwilę wspomnienia i pozwolił sobie na lekki sarkazm.

- Poza tym Ameryka nie jest znowu tak demokratycznym krajem, jaki próbujemy eksportować jako wzór. Biały, który zostawia córkę sławnego barona medycyny, wybitnego przedstawiciela WASP\*, żeby związać się z kolorową dziewczyną...

Nie dokończył zdania, zostawiając wyciągnięcie wniosków Maureen.

- Thelma i ja widywaliśmy się nadal potajemnie, aż wreszcie zaszła w ciążę. Wspólnie postanowiliśmy, że urodzi dziecko i w ten sposób pojawił się Lewis. Znalazłem jej pracę pierwszej asystentki chirurgicznej w Samaritan Hospital w Troy, małym miasteczku w pobliżu Albany. Było to doskonałe miejsce. Położone wystarczająco blisko, żebym mógł widywać ją i chłopca, kiedy tylko było to możliwe, a jednocześnie na tyle oddalone, byśmy nie byli zbyt na widoku. W każdym razie

---

\* WASP (white anglo-saxon protestant) - tradycyjna amerykańska elita.

wszystko odbywało się w największej dyskrecji, do tego stopnia, że nikt z jej przyjaciół nigdy mnie nie widział ani nawet nie wiedział o moim istnieniu. Dla wszystkich Thelma była młodą rozwódką, która nie lubiła rozmawiać o swoim nieudanym małżeństwie. Ja zaś byłem dla Lewisa kimś w rodzaju wujka, który kochał ich obydwój i od czasu do czasu przyjeżdżał obładowany prezentami. Znalazłem dla nich dom na uboczu, a kiedy byłem u nich w odwiedzinach, unikaliśmy sytuacji, które mogłyby być dla Thelmy czy dla mnie niebezpieczne. W ten sposób minęło pięć lat. Thornton zmarł, a stosunki między mną a Gretą tak się pogorszyły, że ona sama zaproponowała mi rozwód. Zgodziłem się, radość rozpieła mi piersi i tamtego dnia, tamtego przekłętą przez Boga i przez czwórkę nikczemników dnia, pojechałem do Troy, żeby zawiadomić Thelmę, że wkrótce będę wolny i zaczniemy wspólne życie.

Zamyślił się, a Maureen wywnioskowała, że William Roscoe w tej chwili jest w innym miejscu i przywołuje na powrót w pamięci sekwencję obrazów, które przyniosła ze sobą jego opowieść.

- Lewis bawił się w ogrodzie, a ja i Thelma byliśmy w domu. Kiedy tłumaczyłem jej, co ma się wydarzyć, usłyszeliśmy krzyk Lewisa, który zaraz potem wpadł do domu, płacząc i wyciągając w moją stronę rękę noszącą ślady wielu ukąszeń. Wielkość bąbli wskazywała na szerszenie. Wiedziałem dobrze, że wielokrotne jednoczesne ukąszenie owadów tego typu może spowodować bardzo poważny szok anafilaktyczny. Kiedy oglądałem Lewisa, powiedziałem Thelmie, żeby wyprowadziła samochód, bo trzeba natychmiast zawieźć dziecko na ostry dyżur do szpitala. Zdażyła wybiec do przedpokoju, kiedy usłyszeliśmy dźwięk dzwonka. Thelma otworzyła drzwi, a w progu stali oni.

Maureen zobaczyła, jak szczęki Roscoe'a zaciskają się, a nienawiść, czysta nienawiść, przedestyłowana z pedantyczną pieczołowitością przez czas, wykrzywia mu twarz.

- Cztery osoby ubrane w ciemne koszulki i spodnie, trzech mężczyzn i jedna kobieta, z twarzami zakrytymi maskami przedstawiającymi postaci *Peanutsów*. A dokładnie Linusa, Lucy, Snoopy'ego i Pig Pen. Jedno z nich, nie wiem kto, popchnęło ją gwałtownie do środka. Thelma przewróciła się, a oni weszli z wycelowanymi w nas pistoletami. Umieścili nas wszystkich troje w jednym pokoju i nie pozwolili się ruszać. Wyczuliśmy, co musiało się zdarzyć, bo wkrótce potem przed domem zatrzymał się wóz policyjny i dwaj funkcjonariusze zadzwonili do drzwi. Ten z czwórki, który

wyglądał na szefa, ten w masce Pig Pena, przyłożył pistolet do skroni Lewisa i rozkazał Thelmie, żeby poszła otworzyć i spróbowała w jakiś sposób ich odprawić.

Roscoe podniósł głowę w stronę białego sufitu i wziął głęboki oddech, jakby był zmuszony dostarczyć swoim płucom większej ilości powietrza, żeby móc kontynuować opowieść.

- Nie wiem, jak Thelmie udało się być wiarygodną w tej sytuacji, w każdym razie policjanci dali się przekonać, że w pobliżu nie wydarzyło się nic dziwnego. Wrócili do wozu i odjechali. Tymczasem stan Lewisa pogorszył się. Zaczął mieć problemy z oddychaniem. Wiedziałem, co się dzieje. Ukłucie szerszeni wywołało u niego obrzęk krtani, który stopniowo zatkałby mu drogi oddechowe. Błagałem ich, żeby nas puścili, mówiąc, że jestem lekarzem. Wyjaśniłem, co dzieje się z Lewisem, że potrzebna mu pomoc. Przysiągłem ze łzami w oczach, że ich nie wydamy, uklęknałem przed tym w masce Pig Pena. Na nic się nie zdało. Pamiętam jeszcze jego obojętny głos, jego słowa wydobywające się przez maskę. Powiedział mi: „Jeśli jesteś lekarzem, to wiesz, co robić”. Pozwolił mi się poruszać, ale żeby uniknąć niespodzianek z mojej strony, rozkazał Lucy i Snoopy'emu, żeby zabrali Thelmę do innego pokoju, podczas gdy ja zajmowałem się moim synem. Lewis zemdlał i z trudem oddychał. Żeby zapobiec uduszeniu, z dwoma pistoletami wycelowanymi we mnie, wyjąłem z mojej torby skalpel, i tam, bez znieczulenia, bez innych narzędzi, jak rzeźnik, zmuszony byłem wykonać mojemu dziecku tracheotomię, by dostarczyć mu powietrza, wkładając do otworu w szyi rurkę od długopisu.

Z oczu Roscoe'a płynęły łzy gniewu i cierpienia. Maureen wiedziała z własnego doświadczenia, jak trudno odróżnić, które z nich bardziej pieką.

- Wszystko na nic. Nie zdołałem go uratować. Kiedy usłyszałem, że jego serce przestało bić, podniosłem ramiona do góry i zacząłem krzyczeć, czując jednocześnie, jak krew mojego syna spływa mi po rękach.

Maureen dostrzegła nagle nowy szczegół w rozsypanych obrazach swoich wizji.

To on był tym, którego widziałam tyłem, nie Julius. To, co wzięłam za nóż, w rzeczywistości było skalpelem.

- Zaraz potem któryś z nich uderzył mnie w głowę i zemdlałem. Kiedy się ocknałem, już ich nie było. Wzięli nasz samochód i uciekli, zostawiając za sobą zwłoki mojego syna leżącego jak zwierzę na stole i Thelmę przywiązaną do krzesła w drugim pokoju. Kiedy ją rozwiązałem i zobaczyła, co się stało, rzuciła się na stół i objęła Lewisa tak mocno, jakby chciała, żeby wrócił do jej ciała, by jeszcze raz mogła mu dać



życia. Jest to widok, którego nigdy nie zdołam zapomnieć, który podtrzymywał mnie jak narkotyk przez wszystkie następne lata: łzy mojej kobiety pomieszane z krwią mojego syna.

- Dlaczego nie donieśliście na nich?

- Tak zdecydowała Thelma. To ona przekonała mnie, żebym oszedł, żeby nikt mnie u niej nie zastał. Nagle po przyplywie bólu stała się zimna jak lód, kiedy wyjaśniała mi, dlaczego chce, żebym tak postąpił. Powiedziała, że nawet, jeśli ich złapią, ta czwórka pójdzie na trochę do więzienia, a potem wszyscy odzyskają wolność i znów będą czynić zło. Kazała mi przysiąc, że ich znajdę i zabiję własnymi rękami. Jeśli to miałyby oznaczać, że nigdy więcej się nie zobaczymy, była to cena, jaką gotowa była zapłacić. Dlatego przystaliśmy na wersję, że to ona sama przeprowadziła tracheotomię.

Ze zdenerwowania Roscoe bez przerwy zaciskał i otwierał rytmicznie wolną dłoń, jakby chciał, żeby minął mu skurcz.

- Zemsta stała się jedynym celem mojego życia, gdy tymczasem Thelma stopniowo traciła rozum, pogrążała się w otchłani, gdzie ukrył się jej umysł, żeby nie cierpieć. Teraz przebywa w klinice dla psychicznie chorych. Nie widziałem jej od lat...

Jego głos ściszył się o ton i zgubił w meandrach gorczy. Maureen miała przez chwilę współczucie dla tego człowieka, który poświęcił całą teraźniejszość i całą przyszłość w imię przeszłości, której żaden odwet nie mógłby wymazać.

- Włożyłem niemal dziesięć lat wysiłków, czasu i pieniędzy, i nic z tego nie wynikło. Nic a nic. Ci nędznicy ulotnili się, jakby nigdy nie istnieli. Ale pewnego dnia przypadek zadziałał na moją korzyść. Chandelle Stuart za radą mojego kolegi, który był jej lekarzem rodzinnym, zgłosiła się do mnie na operację. Usunąłem jej krótkowzroczność laserem, co jest zabiegiem niemal rutynowym, ale jej megalomania wymagała, żeby zrobił to najlepszy specjalista. Podczas wizyty kontrolnej popełniła błąd...

Roscoe zrobił pauzę z oczami utkwionymi w próżnię.

- Jaki błąd?

Roscoe odwrócił gwałtownie głowę w jej stronę, jakby głos Maureen wyrwał go ze stanu ekstatycznego transu.

- Zapytała mnie o nazwisko chirurga plastycznego, do którego mogłaby się zgłosić w celu usunięcia tatuażu na pachwinie. Powiedziała mi, że jest to pamiątka po osobie, która kiedyś wiele dla niej znaczyła, ale teraz pragnęła wymazać ją ze swojego życia.

Rozpięła spodnie i kiedy mi go pokazała, poczułem się, jakby piorun we mnie strzelił. W dniu, kiedy umarł Lewis, w pewnej chwili Pig Pen podwinął rękaw swej koszuli. Był to moment, ale miałem możliwość zobaczyć na jego przedramieniu duży tatuaż przedstawiający demona ze skrzydłami motyla. Taki sam miała Chandelle Stuart. Ona nie mogła wiedzieć, że widziałem tatuaż Pig Pena, bo w owej chwili była w drugim pokoju ze Snoopym i Thelmą. I nie domyślając się tego, co się dzieje w mojej głowie, biorąc moje zmieszanie za przejaw pożądania, ta dziwka Chandelle Stuart, stojąca przede mną z opuszczonymi spodniami, miała czelność wziąć moją rękę i włożyć ją sobie między nogi.

Roscoe miał teraz napięte szczęki, twarz siną od pogardy. Jego dłoń zaciśnięta była z całej siły w pięść, aż pobiełały mu kłykcie.

- Od owej chwili moje życie całkowicie się zmieniło. Byłem w nieustannej gorączce, jakby setki głosów szeptały mi coś jednocześnie do ucha. Miałem ślad, tak nikły, że prawie nieistniejący, ale dawał on jednak jakąś nadzieję. Cały mój wolny czas poświęcałem śledztwu, wszystkie zarobione pieniądze przeznaczyłem na poszukiwania. Wynająłem agencje detektywistyczne, płacąc zawrotne sumy, żeby tylko nie być zmuszonym ujawnić się. Cofnąłem się do czasów, tych dramatycznych wydarzeń i odkryłem, że Chandelle Stuart studiowała wówczas w Vassar College w Poughkeepsie. Zidentyfikowałem kolejno Geralda Marsalisa i Alistaira Campbella. Najtrudniej było z Juliuśm Whongiem, bo nie uczęszczał do college'u ale udało mi się przypisać twarz i nazwisko również jemu, najbardziej zdeterminowanemu i okrutnemu. W miarę jak spotykałem ich osobiście, mogłem już połączyć każdego z nich z maską, jaką nosił owego dnia.

Teraz Roscoe się uśmiechał. Być może przeżywał na nowo podniosłą chwilę stanowiącą część doświadczenia każdego badacza, to znaczy dokonanie odkrycia po latach daremnych prób. Tyle, że tym razem celem nie było pokonanie śmierci, tylko jej zadanie.

- Kiedy dowiedziałem się, że Julius Whong był Pig Penem, poczułem pragnienie, żeby pójść prosto do niego, zadzwonić do drzwi i strzelić mu w sam środek jego zdeprawowanej gęby. Ale uspokoilem się i zmusilem do myślenia. Podjąłem decyzję. Postanowiłem ich wszystkich zabić, po kolei, i zrobić to w taki sposób, żeby cała wina spadła właśnie na Juliusa Whonga. Chandelle Stuart, Geraldowi Marsalisowi i Alistairowi Campellowi dałem prawo do śmierci, jemu nie. On musiał zapłacić wyższą cenę niż wszyscy pozostali, miał spędzić całą resztę życia w ramionach śmierci,

wiedząc, że każdy mijający dzień zbliża go do tego, w którym ktoś wbije mu igłę do żyły i naciśnie tłok strzykawki wypełnionej trucizną.

Maureen postanowiła działać, choć była świadoma swych minimalnych możliwości. Korzystając z roztargnienia Roscoe'a pogrążonego w emocjach opowiadania, dotknęła nogami podłogi i zaczęła ostrożnie przesuwając fotel na kółkach, do którego była przywiązana, w taki sposób, żeby zmusić, jeśli chciał patrzeć jej w twarz, do odwrócenia się plecami do drzwi, za którymi ukrywał się Jordan.

- Przystąpiłem do działania. Szczęście, które przez tak długi czas odwracało się ode mnie, teraz zdawało się pracować na moją korzyść nawet w godzinach nadliczbowych. Julius Whong przeszedł operację łąkotki i więzadeł i przez jakiś czas chodził o kulach. Kiedy je odłożył, pozostał mu ten utykający krok. Nie miało to trwać długo, ale dokładnie tyle, ile mi było potrzeba.

Centymetr. Drugi. Jeszcze jeden.

- Zdałem sobie sprawę, że Julius i ja mamy podobną budowę ciała i poza azjatyckimi rysami, taką samą typologię fizyczną. I tak, najpierw zabiłem Linusa, czyli Geralda Marsalisa. Kiedy do niego przyszedłem, rozpoznał mnie natychmiast. Kazałem mu usiąść na krześle, unieruchomiłem mu nadgarstki i kostki taśmą klejącą i udusiłem go w taki sposób, żeby jak najbardziej cierpiał. Kiedy umierał, pytałem go, czy teraz rozumie, co czuł mój syn, kiedy powietrze nie tłoczyło już życia do jego płuc. Potem przykleiłem go do ściany z kocem przyłożonym do ucha, tak jak Schulz rysował Linusa w komiksach, i napisałem to głupie hasło na murze. Wiedziałem, że natychmiast je rozszyfrują, ale potrzebne mi było, żeby podsunąć przypuszczenie, iż zbrodnia jest dziełem psychopaty. Zanim do tego doszło, miałem zamiar odejść tak, żeby w jakiś sposób zauważono, że kuleję, ale kiedy czekałem schowany na schodach, z mieszkania Geralda wyszła dziewczyna, która zostawiła uchylone drzwi. Z klatki schodowej usłyszałem, jak on dzwoni do kogoś i umawia się u siebie w domu. To znaczyło, że mam mniej czasu, niż planowałem, ale za to znakomitą okazję, żeby zostawić fałszywy trop. Kiedy ten człowiek przyszedł i zadzwonił na dole domofonem, ja wsiałem do windy i wpadłem na niego przy wejściu. Potrąciłem go w taki sposób, żeby zwrócił na mnie uwagę, ale nie zobaczył twarzy.

- A nie pomyślałeś, że pozostali, znając sposób, w jaki zamordowany został Gerald, nabiorą podejrzeń?

- Gerald był synem burmistrza. Pomyślałem, że w przypadku tak niecodziennego śledztwa, wszelkie szczegóły zostaną zachowane w najściślejszej tajemnicy, jak się

zresztą stało. Postanowiłem użyć *Peanutsów*, bo wiedziałem, że prędzej czy później śledczy dotrą do napadu sprzed lat. Mogło to stanowić motyw: Julius, który chciał się zemścić za jakieś doznane upokorzenie albo coś w tym rodzaju.

Jeszcze centymetr.

Korzystając z nieobecnego wzroku Roscoe'a, który na moment spojrzął w dół, Maureen udało się jeszcze trochę przesunąć fotel.

Kiedy znów podniósł na nią oczy, dostrzegła na jego twarzy okrutny, a jednocześnie pełen satysfakcji grymas.

- Potem przyszła kolej na Chandelle Stuart. I nie wstydzę się powiedzieć, że zabicie tej dziwki było prawdziwą przyjemnością, a także miało swoją klasę. Przyszedłem do jej mieszkania, pokonawszy wcześniej hol Stuart Building w tym samym dresie i tym samym utykającym krokiem, jak wcześniej w domu Geralda. Poruszałem się w taki sposób, żeby mój chód sprawiał wrażenie jak najbardziej ukradkowego, chowając się za inną osobę, ale w rzeczywistości zrobiłem tak, żeby kamery mnie uchwyciły. Wiedziałem, że będzie to pierwsza rzecz, jaką sprawdzą. Powiedziałem Chandelle, że muszę z nią porozmawiać na temat jej operacji, więc ta szmata bez obaw wpuściła mnie do mieszkania. Ale się zdziwiła, kiedy zobaczyła mnie z pistoletem w ręku! Z Linusem musiałem się spieszyć, z Chandelle miałem dużo więcej czasu. Kazałem jej mówić, a ona łudziła się, że ją oszczędzę. Odkryłem masę rzeczy. Wyznała, że w owym czasie była w związku z tym maniakiem seksualnym Juliuśem i że kolejno wciągnęli dwóch pozostałych do planowanego napadu. Geralda ze względu na jego szaleństwo, Alistaira Campbella ze względu na jego słabość i zależność od Juliusa. Na koniec wyjawiała mi absurdalny powód, dla którego to wszystko się wydarzyło. Ci nędznicy dokonali napadu dla zabawy, żeby poczuć silne podniecenie. Rozumiesz absurdalność tego, co mówię? Mój syn umarł, bo oni, z nudów, postanowili mieć jakieś nowe doznania. A na dodatek ta suka rozpoznała mnie, jak tylko weszła do mojego gabinetu, i czerpała chorą satysfakcję z faktu, że wie to, czego ja nie wiem, być może nawet podniecając się na myśl o tym, co mi zrobili. Kiedy zbliżyłem się i zacisnąłem ręce wokół jej szyi, błagała, żebym jej nie zabijał, a ja szepnąłem jej do ucha: „Jestem lekarzem, wiem, co robię”, nawiązując do słów, które powiedział mi kiedyś Julius. Potem przykleiłem ją do fortepianu, jak na rysunku Lucy, zostawiłem karteczkę, która dawała wskazówkę, kto będzie kolejną ofiarą, i wyszedłem.

Wreszcie Roscoe się przesunął. Niemal bezwiednie odwrócił się i oparł biodrami o kontuar. Jakby był zmęczony stanem i potrzebował podparcia. Pistolet pozostawał jednak nieporuszoną bryłą, a lufa była cały czas skierowana w głowę Maureen.

- Najpierw jednak pozostawiłem nowy ślad, ten rozstrzygający. Upozorowałem gwałt, którego morderca miałby dokonać po zabiciu Chandelle. I pomyśl, że użyłem w tym celu gumowego penisa, który znalazłem w jej szufladzie. Wsunąłem go do prezerwatywy wypełnionej spermą Juliusa Whonga. Wybrałem taki typ kondoma, który opóźnia orgazm mężczyzny i stymuluje rozkosz kobiety, po pierwsze dlatego, że pozostawia wyraźniejszy osad chemiczny, a po drugie, użycie prezerwatywy tego rodzaju w przypadku trupa znakomicie pasowało do psychologicznej sylwetki psychopaty. Przekłułem ją, żeby przedostała się niewielka ilość spermy i żeby ten ślad wydawał się efektem pękniętego kondoma.

- Ale w jaki sposób zdobyłeś jego spermę?

- To było najtrudniejsze zadanie. Po młodzieńczej inicjacji w sprawy seksu i przemocy Julius Whong nabrał osobliwych upodobań. Kobiety już go nie interesowały, potrzebował dziwnych sytuacji, silnych emocji. Alkohol, narkotyki i jego chory umysł uczyniły z niego... jak by to powiedzieć... wyrafinowanego smakosza. Przypomniałem sobie osobę, którą poznałem jakiś czas temu.

Jordan wyszedł z za drzwi i zaczął ostrożnie schodzić po krótkich schodach. Maureen zauważyła, że jego prawa ręka zwisa mu z boku w dziwny sposób, jakby była złamana.

Jeden stopień.

Dwa stopnie.

Trzy stopnie.

Maureen z tym samym zapartym tchem śledziła kroki Jordana i opowieść Roscoe'a.

- Zdarzało mi się czasami jeździć po kraju i prowadzić seminaria. W jednym ze szpitali w okolicach Syracuse poznałem pielęgniarkę. Była to kobieta niewiarygodnie piękna, być może jedna z najpiękniejszych, jakie kiedykolwiek widziałem, o subtelnym, niespotykanym uroku. Miała w sobie taki ładunek zmysłowości, że można go było niemal dotknąć. Nazywała się Lysa i miała dosyć osobliwą cechę. W rzeczywistości była, bowiem mężczyzną. Zaprzyjaźniliśmy się i ona zaczęła mi się zwierzać. Była to przemiła osoba, melancholijna i dyskretna. A przede wszystkim uczciwa, niemająca nic wspólnego z tymi sprzedajnymi transseksualistami, którzy

ogłaszają się w Internecie. Pozostawaliśmy w kontakcie, także wtedy, kiedy przestała pracować w szpitalu. Planując swoją zemstę, pomyślałem, że taki zboczeniec jak Julius Whong nie oprze się emocji, jaką niesie ze sobą stosunek z tego rodzaju odmiennością seksualną. Wykorzystałem słabość Lysy, jej zmęczenie walką, którą od samego początku uważała za przegraną. Skontaktowałem się z nią anonimowo. Zaproponowałem jej sto tysięcy dolarów w zamian za odbycie stosunku z Juliuem Whongiem i dostarczenie mi prezerwatywy wypełnionej jego spermą.

- A nie pomyślałeś, że ta Lysa może cię wydać, kiedy odkryje, o co oskarżony został Julius Whong? Wiedząc przede wszystkim, że tym, co obciąża go w jednoznaczny sposób, jest próba DNA.

Maureen zauważyła, że Roscoe pozostawia za sobą resztki człowieczeństwa. Doktor Jekyll stracił kontrolę nad cudowną miksturą i na jej oczach przeobrażał się w demonicznego pana Hyde'a.

- Oczywiście. Istniała taka możliwość. Ale ten problem też rozwiązałem. Nic nie podejrzewając, ona sama napisała do mnie, że przenosi się do Nowego Jorku, podając mi dzień swojego przyjazdu i adres mieszkania, które wynajęła. I wiesz, co jest najzabawniejsze? Było to mieszkanie Jordana Marsalisa, brata burmistrza, a stryja Geralda...

Roscoe zamyślił się na chwilę nad szyderstwem losu, kierującego ludzkimi sprawami. Po czym odpędził od siebie tę myśl ruchem ręki, jak natrętną muchę.

- W każdym razie, jak ci powiedziałem, nie jest to już problemem. Czytałem w gazecie, że miała wypadek...

Maureen zdrętwiała wobec mrożącego krew w żyłach znaczenia tych słów.

- Jesteś przeklętym, oszalałym mordercą.

- To prawdopodobne. Ale może trzeba być szaleńcem i mordercą, żeby móc wyeliminować innego szaleńca i mordercę?

- Jednak z Alistairem Campbellem ci się nie udało. Zdołał uciec.

Uśmiech, jakim William Roscoe obdarzył Maureen, był znowu uśmiechem diabła.

- Tak sądzisz?

Maureen była wstrząśnięta tym, co Roscoe jej zasugerował.

- Brawo, Maureen, widzę, że zrozumiałaś. Wszystko zaplanowałem. Zrobiłem tak, żeby mógł uciec, ponieważ potrzebny mi był żywy, miał być tym, który poda ostateczny trop do zidentyfikowania Juliusa Whonga. Wybrałem tego biedaka,

ponieważ w gruncie rzeczy był najmniej winny. Tylko on tamtego dnia prosił pozostałych, żeby odejść i zostawić nas w spokoju.

Tymczasem Jordan dotarł na przeciwległy koniec centralnego kontuaru, pochylił się i zniknął za osłoną krawędzi. Maureen wyobrażała sobie, że chce obejść go w ukryciu w taki sposób, żeby znaleźć się obok Roscoe'a i zaatakować z zaskoczenia.

Niczego nieświadomy Roscoe kontynuował makabryczną rekonstrukcję swoich działań.

- Wiedziałem, że zaszył się w swoim domu w Saint Croix, żeby pisać. Na szczęście, dzięki mojej pracy, potrafię bardzo dobrze obsługiwać komputer. Wszedłem do bazy danych linii lotniczych i na podstawie rezerwacji poznałem dzień jego powrotu. Czekałem przed jego domem w kradzionym samochodzie i porwałem go, starając się, żeby krawiec z naprzeciwka zobaczył mnie i mógł opisać policji znanego już osobnika w dresie, utykającego lekko na prawą nogę. Zawiozłem go do hangaru w Williamsburgu, aby pomyślano, że również jego ciało chciałem ułożyć na podobieństwo *Peanutsów*, przyklejając je do samolotu jak Snoopy'ego. Zmywalną farbą kazałem sobie namalować na ramieniu tatuaż. Być może nie był identyczny, ale na pewno bardzo podobny do demona ze skrzydłami motyla, jakiego miał Julius Whong. W tamtym miejscu było mało światła, mogłem też liczyć na to, że Alistair będzie przerażony. Na pewno nie zwróciłby uwagi na szczegóły. Niestety, nie wiedziałem, że jest chory na serce. Umarł, ale i tak zdołał doprowadzić do końca zadanie, jakie mu powierzyłem: naprowadzić policję na trop Juliusa Whonga.

- Jest jedna rzecz, której nie rozumiem. W jaki sposób mogłeś być pewny, że Julius Whong nie będzie miał alibi na wieczory, kiedy popełniłeś zbrodnię?

Roscoe wskazał ręką kilka średniej wielkości butli ustawionych na półce po jego prawej stronie.

- Tlenek azotu. Bezbarwny, bezwonny, bez smaku.

- Nie rozumiem.

- Julius Whong mieszka na poddaszu przy Czternastej Ulicy. Jest to niski dwupiętrowy budynek z płaskim dachem, na który łatwo się dostać od tyłu po schodach przeciwpożarowych. Wystarczyło podłączyć jedną z tych butli do przewodów wentylacyjnych, żeby spał do następnego dnia, nic nie pamiętając.

Roscoe wzruszył niedbale ramionami, jakby dopiero, co skończył opowiadać przyjaciółce o przyjemnej podróży, z której wrócił.

- Co jeszcze mogę dodać? Wydaje mi się, że nic.

Maureen zauważyła, że nie ma w nim narcyzmu ani dumy z makiawelicznego planu, jaki stworzył. Zachowywał się jak osoba, która czuje, że uczyniła to, co słuszne.

W głębi duszy Maureen zganiała się za tę myśl, ale nie mogła całkowicie odmówić mu racji.

- Teraz wiesz już wszystko. Poświęciłem lata, żeby to osiągnąć, i nie mogę pozwolić, żebyś mi wszystko zepsuła.

- Zaniebdałeś jedną rzecz. Czy nie pomyślałeś, że gdyby ktoś cię zdemaskował, na nic by się zdało to wszystko? Julius Whong odzyskałby wolność, a ty poszedłbyś za kratki.

Profesor William Roscoe uśmiechnął się słodko i zniżył głos tak, że stał się on prawie niezrozumiałym westchnieniem.

- Nie, moja droga. O tym też pomyślałem. Gdyby tak się miało stać, bardzo profesjonalny pan zajmie się Juliusem Wh...

Roscoe nie zdołał dokończyć zdania, ponieważ dokładnie w tym momencie Jordan wyskoczył błyskawicznie zza zasłony kontuaru i rzucił się na niego.



# 51

Wszystko odbyło się błyskawicznie, choć Jordan i Maureen myśleli, że trwa wieczność.

Ich ruchy zdawały się spowolnione, jakby nie były wykonywane na ziemi, ale w absolutnej próżni lub wewnątrz ogromnej bańki mydlanej.

Jordan, posługując się tylko jedną zdrową ręką, chwycił prawą dłoń Roscoe'a i jednocześnie podniósł nogę, tak żeby nadgarstek profesora uderzył w jego kolano i żeby ten wypuścił pistolet.

Jednak zaskoczenie było emocją całkowicie obcą Williamowi Roscoe. Jeśli niespodziewane pojawienie się Jordana w jakiś sposób go rozproszyło, to nie odbiło się na jego zdolności reakcji.

Jedynym rezultatem, jaki udało się uzyskać Jordanowi, było to, że palec jego przeciwnika nacisnął na spust i z lufy wystrzelił w dół pocisk, który roztrzaskał kafelki na podłodze i podniósł chmurę odłamków.

Jordan natychmiast się zorientował, że nie będzie łatwo zyskać przewagę nad profesorem, również ze względu na to, iż mógł walczyć tylko jedną ręką.

Był wyższy i młodszy, ale z siły, jaką Roscoe przeciwstawił jego uchwytowi, wynikało, że jest on osobą krzepką, w znakomitej formie, a przede wszystkim mogącą liczyć na obydwie ręce.

Pomagając sobie, jak tylko mógł, ciężarem ciała, z przesywającym bólem, który zapierał mu dech, Jordan zdołał wykręcić profesorowi rękę do tyłu i zmusić, żeby uderzył kilkakrotnie nadgarstkiem w wyłożoną kafelkami krawędź kontuaru.

Z broni wypalił kolejny pocisk i z rozbitego ekranu komputera poleciały dymiące iskry.

W końcu ręka Roscoe'a nie wytrzymała i palce profesora puściły uchwyt. Jordan mógł usłyszeć cudowny dźwięk pistoletu uderzającego o posadzkę.

Maureen przyglądała się scenie, zastanawiając się, w jaki sposób mogłaby być pomocna Jordanowi. Jej możliwości działania były bardzo ograniczone, jako że cały

czas miała ręce związane za oparciem fotela, na którym profesor ją unieruchomił. Przede wszystkim mogła rozbroić Roscoe'a, utrudniając mu dotarcie do pistoletu. Odpychając się nogami, z pomocą lekkich szarpnięć klatki piersiowej, przesunęła się do pistoletu i go kopnęła. Dwaj walczący mężczyźni usłyszeli metaliczny szczęk beretty, która ślizgała się po podłodze, aż uderzyła w przeciwległą ścianę, skąd odbiła się, poleciała na środek pokoju i zatrzymała pod galeryjką.

Maureen nie potrafiła zrozumieć powodu, dla którego Jordan prawie nie używał prawej ręki, ale zdawała sobie sprawę, że w toczącej się na jej oczach walce siły na polu bitwy były wyraźnie nierówne.

Roscoe z łatwością wyswobodził się z uchwytu i teraz stał przed nim Jordanem w pozycji obronnej, w idealnej pozycji bokserkiej. Był to prawdopodobnie sport, jaki uprawiał w młodości, na uniwersytecie, i nietrudno było się domyślić, że kontynuował treningi, kiedy przestał uprawiać go aktywnie.

W przeciwieństwie do Maureen lekarz natychmiast wywnioskował, z nienormalnej pozycji ramienia, że jest to słaby punkt jego napastnika. Za każdym razem, kiedy Jordan zbliżał się, żeby go uderzyć lewą ręką, albo próbował kopnąć, jemu udawało się zrobić unik i trafić Jordana dokładnie w bolące miejsce, po czym wycofywał się natychmiast w oczekiwaniu na kolejny ruch przeciwnika.

Maureen zrozumiała, że Jordan nie wytrzyma długo tych powtarzających się ciosów.

Znów odepchnęła się na fotelu, próbując zbliżyć się jak najbardziej do Roscoe'a, żeby przytrzymać go nogami i dać chwilę wytchnienia Jordanowi. Kiedy znalazła się przy nim, a on zrozumiał, co zamierza zrobić, profesor podniósł nogę, oparł stopę na siedzisku fotela i popchnął go z całej siły.

Po krótkiej szybkiej jeździe koła zaklinowały się na podłodze, a fotel przechylił na bok. Maureen pozostała przez chwilę w zawieszeniu, jak gdyby fotel, na którym siedziała, posiadał własną wolę, i rozpaczliwie szukał równowagi.

Zaraz potem zobaczyła, jak białe kafelki posadzki zbliżają się w zawrotnym tempie.

Pociągnięta ciężarem, Maureen została rzucona na ziemię i upadła na lewy bok. Dotykając podłogi, spróbowała amortyzować upadek ramieniem, ale mimo jej wysiłków, uderzyła z całą mocą łokciem o posadzkę. Poczula coś, jakby wstrząs elektryczny przesuwający się w górę ręki, który nagle zamienił się w bardzo silne pieczenie i na chwilę odebrał jej czucie.

Tymczasem dzięki interwencji Maureen Jordanowi udało się otoczyć zdrowym ramieniem szyję Roscoe'a i teraz ścisnął ją z całej siły. Profesor zaczął walić go prawym łokciem w żołądek, kiedy Jordan, wykonując gwałtowne ruchy podczas walki, odsłaniał tę część ciała.

Ze swojej pozycji na ziemi Maureen nie udawało się zobaczyć, co się dzieje. Słyszała za swoimi plecami dyszenie dwóch szamoczących się mężczyzn, ale nie mogła odwrócić głowy, żeby skontrolować przebieg walki.

Zaczęła się szarpać i stwierdziła, że w ten sposób uda się jej przesunąć ręce wzdłuż oparcia. Centymetr po centymetrze, pomagając sobie w miarę możliwości nogami, wyciągnęła całkowicie ręce zza oparcia fotela. Przekręciła się na wznak i odepchnęła go od siebie nogami.

Teraz, kiedy mogła już ocenić sytuację, nie zobaczyła walczących. Wciąż słyszała ich dyszące oddechy i odgłosy walki, ale ich nie widziała. Prawdopodobnie jeden z nich pociągnął drugiego na ziemię i właśnie szamotali się szczeni na podłodze obok ogromnej lodówki, zasłonięci przed jej wzrokiem krawędzią kontuaru.

Podniosła głowę i w drugim końcu pokoju dostrzegła leżący na podłodze pistolet.

Znów wsparła się na boku i pomagając sobie ramieniem, zdołała usiąść. Chwilę potem była już wyprostowana i kierowała się w stronę beretty. Kiedy do niej dotarła, ustawiła stopy obok pistoletu i zgięła kolana, aż zdołała go chwycić prawą ręką. Miała wątpliwości, czy w takim przypadku mógłby być celny jej strzał, bo musiałaby mierzyć z rękami związanymi z tyłu, ale wierzyła, że nie dojdzie do takiej sytuacji. Wystarczyłoby podać broń Jordanowi, żeby przerwać jakąkolwiek dalszą próbę oporu ze strony Roscoe'a.

Niestety, sprawy nie potoczyły się tak, jak przewidywała. Nagle zobaczyła ciało Roscoe'a wychylające się zza krawędzi blatu i wypychane do tyłu, tak jakby Jordanowi udało się oprzeć stopy na jego klatce piersiowej i zdołał go z całej siły pchnąć, używając nóg jako dźwigni. Profesor uderzył gwałtownie w wielkie butle z płynnym azotem zasilające zamrażalnik, w którym przechowywał embriony. Koszula, którą miał na sobie, była cała wymięta, a jej tylna część wyszła całkowicie ze spodni. Z nosa ciekła mu strużka krwi. Wytarł ją rękawem, wciąż wpatrując się w swojego przeciwnika, leżącego nadal na ziemi w miejscu, którego Maureen nie była w stanie dojrzeć.

Chwilę potem z dołu, mniej więcej w połowie kontuaru, wysunęła się ręka szukająca oparcia na blacie, po czym Jordan wychylił się zza krawędzi, dysząc z wyraźnym grymasem bólu wymalowanym na twarzy.

Maureen była pełna podziwu dla jego wytrzymałości na ból i męznego oporu, jaki stawiał przeciwnikowi, ale zrozumiała, że już długo nie wytrzyma. Jeśli ramię bolało go, tak jak przypuszczała, była zdumiona, że jeszcze nie zemdłał.

Kiedy Roscoe zobaczył, że Jordan się podnosi, również wydał się zdziwiony tym widokiem. Zaraz potem jego oblicze przybrało na powrót okrutny wyraz, który Maureen mogła porównać tylko z wyglądem człowieka pogrążonego w szaleństwie, w otchłani bez powrotu, w którą wciągnęła go nienawiść pielęgnowana przez te wszystkie lata.

Zobaczyła, jak się pochyła i chwytła jedną z rur doprowadzających płynny azot z butli do lodówki. Maureen zrozumiała, co zamierza zrobić, i poczuła, jak krew w jej żyłach osiąga nagle tę samą temperaturę, co ciecz płynąca przez przewód, który lekarz gwałtownie teraz szarpał.

Jordan tymczasem podniósł się i szedł w jego kierunku.

Gdyby Roscoe zdołał wyciągnąć rurę i skierować ją w Jordana, ten zostałby uderzony strumieniem o temperaturze bliskiej minus dwustu stopniom, który spowodowałby takie same oparzenia jak dysza termiczna.

Maureen miała tylko ułamek sekundy na podjęcie decyzji.

I podjęła ją.

Położyła się na podłodze, na boku, z nogami skierowanymi w stronę Roscoe'a. W tej pozycji wymierzyła pistolet i spróbowała złapać cel. Powiedziała sobie, że jeśli zrealizuje swój zamiar, to podczas trwającej dosłownie chwilę podróży pocisku wystrzelonego z pistoletu, do punktu, w który mierzyła, wyczerpie cały zasób szczęścia, jaki miała do swojej dyspozycji na kolejne lata.

Gdyby chybiła i trafiła w jedną z butli za plecami profesora, żadnych kolejnych lat po prostu by nie było. Stalowy pojemnik eksplodowałby i dom stałaby się małym kraterem wytapetowanym strzępami ich ciał.

- Na ziemię, Jordan!

Maureen wykrzyknęła swoje ostrzeżenie i nacisnęła spust ułamek sekundy po tym, jak profesor zdołał wyciągnąć rurę z jej obudowy.

Wystrzał z pistoletu rozległ się w pomieszczeniu niczym uderzenie ogromnego żalobnego dzwonu.

Roscoe odwrócił gwałtownie głowę w jej stronę, jak gdyby zamiast strzału usłyszał swoje imię. Patrzył na nią przez chwilę, jak się patrzy na kogoś znajomego, nie mogąc sobie przypomnieć, jak się ta osoba nazywa.

Po czym zachwiał się lekko, pochylając jednocześnie głowę i wpatrując się w otwór w swojej klatce piersiowej, a także na plamę krwi, która rozlewała się na logo jego koszulki Ralpa Laarena.

Ręka trzymająca rurę, z której wydostawał się strumień płynnego azotu, osłabła i końcówka przewodu opadła w dół. Mroźna struga wylała się na kostki i stopy Roscoe'a, ale on zdawał się nie czuć efektu straszliwego poparzenia, jakie płyn musiał wywołać na jego skórze. Opadł najpierw na kolana, a po czasie, który zdawał się nie mieć końca, zamknął oczy i runął na ziemię z twarzą do przodu, zasłaniając ciałem rurę i blokując swoim ciężarem dużą część strumienia.

Podnosząc się, Maureen nie mogła oderwać oczu od zwłok profesora Williama Roscoe. Mimo huku wystrzału w jej uszach wciąż pobrzmiwały groźne słowa:

„W chwili, kiedy Julius Whong odzyska wolność, ty stracisz wzrok”...

Po czym ogarnęła spojrzeniem laboratorium w poszukiwaniu Jordana, obawiając się, że azot, który rozlewał się teraz po podłodze, mógł w jakiś sposób do niego dotrzeć.

Kiedy Jordan usłyszał ostrzeżenie Maureen, odwrócił głowę w jej stronę i wystarczył mu krótki rzut oka, żeby zrozumieć, co się za chwilę stanie. Rzucił się na ziemię na lewy bok, mając nadzieję, że nie zemdleje z bólu.

Nie stracił przytomności, ale zobaczył przed oczami te same gwiazdy i konstelacje, jak w ogrodzie, kiedy spadł z muru.

Wydało mu się, że temperatura w pokoju szybko się obniża i że gdzieś z odległego miejsca dochodzi głos Maureen, która coś krzyczy:

- Butla! Jordan, musisz zakręcić butlę!

Zebrał się w sobie i ostatkiem sił, jakie mu zostały, spróbował podnieść się z ziemi. Ulga, jaką poczuła Maureen, kiedy zobaczyła, że Jordan wstaje, była tak wielka, jak zimno, które ogarniało laboratorium.

Zamiast pójść zamknąć zawór butli, Jordan z największą szybkością, na jaką mógł się zdobyć, okrążył kontuar i złapał ją za rękę.

- Chodź, pryskajmy stąd, szybko.

Przebrnęli nad trzema stopniami galeryjki z oddechem, który już rysował się strachem i zimnem przed ich ustami. Podtrzymując się nawzajem, Jordan i Maureen

pokonali schody i wyszli na zewnątrz, żeby odzyskać trochę ciepła i otrząsnąć się z wewnętrznego zimna, którego płynny azot nie był główną przyczyną.

## 52

- Boli cię jeszcze ramię?

Jordan pociągnął łyk kawy i potrząsnął głową.

- Nie, już mi prawie przeszło.

Maureen i Jordan siedzieli naprzeciwko siebie przy stoliku w Starbucks Cafe przy Madison Avenue, dwie postaci pokryte kurzem zmęczenia za szybą, w której odbijał się poranny ruch. Bezsenna noc pozostawiła im ślad pod oczami. Ich doświadczenie wzbogaciło się o jeszcze jedną bliznę w pamięci, jeszcze jeden odłamek szaleństwa, w jakim może pogrążyć się ludzki umysł.

Nie było w nich żadnego uniesienia czy poczucia triumfu, tylko zmęczenie wojennych weteranów, osłabionych dopiero, co zakończoną bitwą i osłupiałych ze zdumienia, że przeżyli.

Kiedy zagadka została rozwiązana, Jordan zadzwonił do Burroniego i wyjaśnił mu, gdzie są i co się stało.

Wkrótce potem zaczęła się taka jak zwykle sarabanda świateł i żółtych taśm, barierek, furgonetek i lekarzy sądowych. Wynieśli się stamtąd, uciekając przed nieuchronnym szturmem dziennikarzy. Media zajęłyby się z przyjemnością tą historią płaszcza i szpady, której głównymi bohaterami była para outsiderów, dwa głosy spoza chóru, które właśnie udowodniły, że mają pełne prawo w nim być.

Kiedy opuszczali wielki, ponury dom przy Henry Street, zobaczyli jeszcze ciało tego, który był nieszczęsnym i wyrafinowanym profesorem Williamem Roscoe, jak znika we wnętrzu karetki, okryte płótnem, jako jedynym ustępstwem śmierci na rzecz elegancji.

Burroni podszedł do nich, kiedy wsiadali do wozu patrolowego.

- Chciałbym wiedzieć, jak tego dokonaliście, choć podejrzewam, że nigdy nie poznam prawdy. W każdym razie, gratulacje.

Pożegnał ich gestem ręki i wrócił do swoich obowiązków, a jego czarny kapelusz zdawał się płynąć przez mały tłumek pracujących tam ludzi. Oni zaś zostali odwiezieni

na ostry dyżur do St. Charles Hospital w Brooklynie, gdzie ortopeda nastawił bark Jordana i unieruchomił go elastycznym bandażem. Na podstawie prześwietlenia, jakie mu zrobiono, lekarz wyraził się dosyć pesymistycznie o tym obrażeniu. Częste bóle zmuszą go prawdopodobnie do przejścia małego zabiegu, który naprawiłby rozluźnione więzadła i przywrócił pełną sprawność ramienia.

U Maureen opatrzono małe oparzenie na nodze, wywołane kontaktem z oparami płynnego azotu.

Teraz siedzieli przed kawą, której obydwójce bardzo potrzebowali. Należało im się to, była to pauza niezbędna, żeby uporządkować wszystko to, co się wydarzyło.

- Jak doszłaś do tego, że to on?

- Mówiłam ci, że było coś, czego nie mogłam sobie przypomnieć, wrażenie, że jakiś szczegół mi umyka i nie mogę go sprecyzować. Wczoraj wieczorem, bez pomocy żadnej wizji, zrozumiałam, co to był za szczegół.

- To znaczy?

- Kiedy Roscoe zdjął mi bandaże po operacji i otworzyłam oczy, zobaczyłam, jak pochyła się nade mną z rękami na wysokości mojej twarzy. Potem obraz rozplynął się w ciemności i, jak możesz sobie wyobrazić, poczułam, że umieram. Pomyślałam, że operacja się nie udała, że pozostanę ślepa na zawsze. Ale zaraz potem światło wróciło i odnalazłam jego twarz na pierwszym planie. Ulga była tak ogromna, że przeoczyłam zasadniczy szczegół. Między dwoma obrazami była różnica, którą, niestety, zdołałam dostrzec dopiero później.

- Jaka?

- Za pierwszym razem, kiedy zobaczyłam Roscoe'a, nie miał na sobie fartucha, natomiast, kiedy jego obraz powrócił, już go na sobie miał. To oznaczało jedno...

Jordan poczekał w milczeniu na nieuchronny wniosek. Mimo że mógł się go domyślać, i tak po skórze przeszedł mu dreszcz.

- Kiedy zdjął mi bandaże, twarz, którą zobaczyłam przed sobą, nie była pierwszą rzeczą, którą zobaczyłam ja, ale ostatnią, którą zobaczył Gerald Marsalis. Była to twarz jego zabójcy.

Jordan oparł się o krzesło. Nie mogło być inaczej. Absurdalny finał absurdalnej historii. Problem polegał na tym, że w świetle tych wszystkich faktów, każde z nich dwojga miało kontynuować swoje życie w świecie normalnych ludzi.

Jordan skończył swoją kawę i wyrzucił kartonowy kubek do kosza.

- Co teraz zrobisz?



Maureen zrobiła gest bezradny, ale nie zrezygnowany. Była w niej siła i Jordan wyczuwał tę aurę.

- Co mogę zrobić. Wrócę do Włoch i będę dalej żyć. Jak to się mówi? Niech trwa, jeśli ma trwać.

Obydwoje dobrze pamiętali groźbę Roscoe'a. Kiedy stanęła przed wyborem, Maureen błyskawicznie podjęła decyzję. Jordan był uratowany, a Roscoe odszedł, zabierając ze sobą jej pewność, że będzie nadal widzieć.

Czy była to tylko groźba, jedynie czas będzie mógł udzielić odpowiedzi. W każdym razie Jordan miał zapamiętać ten jej wybór do końca życia.

- Nie chcesz o tym porozmawiać z innymi?

- A po co? Żeby ryzykować, że stanę się kimś w rodzaju dziwoląga, wywołującym śmiech i komentarze spotykanych po drodze ludzi?

Maureen uśmiechnęła się do niego i położyła mu rękę na ramieniu. Kiedy to robiła, Jordan pomyślał, że jest to prawdziwy gest porozumienia.

- Wolę, żeby zostało to naszym małym sekretem, Jordan. Tylko ty i ja. Świadomość, że jest na świecie jeszcze jedna osoba pewna faktu, że nie oszalałam, wystarcza mi.

Jordan spojrział przez szybę. Po ulicy, między dziesiątkami innych samochodów, przejeżdżało małe dziwadło. Był to osobliwy pojazd, coś w rodzaju furgonetki ze wszystkimi ścianami pomalowanymi na jaskrawe kolory. Na środku narysowana była sylwetka goryla, który uśmiechał się do ludzi, wymachując kapeluszem słomkowym jak z wodewilu. Był to mały wędrowny teatr z tych, co zatrzymują się w takich miejscach jak Washington Park, żeby przyciągnąć dzieci i zarobić kilka dolarów.

Gorycz Jordana odbiła się w oknie.

Spektakl trwał, musiał trwać. Nie z powodu braku szacunku, ale żeby dać tym wszystkim ludziom, tam na zewnątrz, nadzieję, że przyszłość będzie jednak ich miejscem. Jak powiedziała Maureen, z braku pewności nadzieja mogła być kompromisem do przyjęcia.

Głos tej nadzwyczajnej dziewczyny przywołał go z powrotem do stolika w Starbucks Cafe przy Madison Avenue.

- A ty?

- Co ja?

Maureen nie dała się zwieść jego próbie zbagatelizowania sprawy.

- Jordan, już cię poznałam. Wybacz mi zarozumiałość, ale być może znam cię lepiej niż ty sam. Czy jest coś, o czym chciałbyś mi powiedzieć?

- Nie - odpowiedział instynktownie.

Ale zaraz potem pomyślał, że to właśnie instynkt wpędził go w kłopoty, i teraz, żeby wydobyć się z tarapatów, niezbędna jest mu pomoc Maureen.

Byłby to nowy element związku między nimi, jeszcze jedna mała, wspólna tajemnica.

- To znaczy, tak. Chciałbym ci o czymś powiedzieć. Jest pewna osoba...

- Czy nie nazywa się przypadkiem Lysa?

Jordan nie był zdziwiony, słysząc to imię w ustach Maureen. Opuścił tylko głowę i przytaknął.

- Właśnie ona. Słyszałaś, co powiedział Roscoe o roli, jaką odegrała w tej sprawie.

Jordan kontrolował teraz zdrową ręką swoje zabandażowane prawe ramię, jakby chciał sprawdzić skuteczność pracy lekarza.

W końcu zebrał się na odwagę i wyznał wszystko Maureen.

Kiedy zaczął mówić, ona spostrzegła z czułością, że stopniowo gubi wątek i gdzieś się płacze w opowieści, która w rzeczywistości była przejrzysta jak powietrze między nimi. Kiedy opowiadał, Maureen patrzyła w jego oczy, gdy nie unikał jej wzroku. Błękit jego spojrzenia w miarę rozwoju historii oczyszczał się z wszystkich okropności, w jakich uczestniczyli w ostatnich dniach. Kiedy skończył, kolor jego oczu był czysty jak majowe niebo i Maureen wiedziała już wszystko.

Znała całą historię Lysy i to, co wydarzyło się między nią a Jordanem. Wiedziała też coś, z czego sam Jordan nie zdawał sobie jeszcze sprawy.

Z największą naturalnością powiedziała mu o tym.

- To wszystko takie proste, Jordan. Lysa jest w tobie zakochana i miała odwagę ci o tym powiedzieć. Ty rozbijasz wszystkie lustra napotkane po drodze, żeby nie być zmuszonym wyznać, że ty też jesteś zakochany w tej kobiecie.

Jordana uderzyły jej słowa. Nie znając Lysy, nazwała ją „kobietą”. Było to coś, co jemu zajęło dużo czasu. Maureen dalej przemawiała do jego profilu.

- Jest to osoba, która popełniła błąd, i za to płaci. Również teraz, w tej chwili, kiedy my siedzimy tu przy kawie i o niej rozmawiamy.

Maureen zrobiła pauzę, żeby zmusić Jordana do podniesienia głowy i spojrzenia na nią. Mówiła do niego, próbując wyrazić swoim głosem całą pasję, jaką miała w sobie.

- Teraz ty powinieneś zrobić wszystko, żeby nie musiała za to płacić przez całe życie.

Jordan spróbował jeszcze słabo zaprotestować.

- Ale ona jest...

Maureen przerwała mu ledwie zauważalnym gestem, jednak dosadnym jak jej słowa.

- Ona jest miłością, Jordan. Kiedy ją znajdujesz, skądkolwiek by przychodziła, przyjmij ją jako dar i trzymaj mocno przy sobie.

Jordan miał nigdy nie zapomnieć drżącego od łez światła w jej oczach, kiedy na niego patrzyła, a widziała, co innego.

- Miłość jest tak trudno znaleźć i tak łatwo stracić...

Jordan odwrócił dyskretnie spojrzenie w stronę ulicy, żeby nie naruszyć intymności tej chwili cierpienia.

Kawa była skończona, a także to, co mieli sobie do powiedzenia.

Wyszli z baru pełnego ludzi, którzy nic o nich nie wiedzieli, i znaleźli się na chodniku między innymi spieszącymi się ludźmi, dla których przeżyte przez nich doświadczenie będzie tylko tytułem w przeglądanej gazecie.

Maureen wyciągnęła rękę i od razu miała szczęście. Przejeżdżająca taksówka włączyła drogowskaz i zatrzymała się przy krawężniku tuż przed nimi.

Jordan odprowadził ją do samochodu. Maureen otworzyła drzwiczki i zanim wsiadła do auta, wspięła się na palcach i na dowód przyjaźni pocałowała go w policzek.

- Dużo szczęścia, mój piękny rycerzu.

Kiedy już siedziała, powiedziała jeszcze przez opuszczoną szybę.

- Lysa jeszcze o tym nie wie, ale jest szczęściarą. Gdybym była na twoim miejscu, postarałabym się, żeby dowiedziała się o tym jak najszybciej.

Maureen podała kierowcy adres i samochód odjechał, włączając się ostrożnie do ruchu. Kiedy Jordan patrzył za nią, jak oddala się w tej żółtej taksówce, która znała lepsze czasy, pomyślał ze ściśniętym sercem, że po całej tej historii dla niej, niestety, nic się nie zmieniło.

Maureen miała odejść z jego życia w taki sam sposób, w jaki się w nim znalazła.

Sama.

## 53

Było późne popołudnie i jak na zatrzymanym obrazie Jordan stał z kaskiem w ręku i torbą na ramieniu przed drzwiami pokoju Lysy. Minęła go pielęgniarka i popatrzyła na niego jak na posąg, który ktoś ustawił tam rano i którego nigdy wcześniej nie widziała.

Jordan uniósł brew i uśmiechnął się do niej.

Ona odwróciła gwałtownie głowę i przeszła za jego plecami w białym fartuchu zlewającym się z bielą ścian, odpływając korytarzem.

Jordan tkwił nieruchomo przed tymi drzwiami od czasu, który wydawał mu się wiecznością, i nie mógł zdecydować się, żeby zapukać. Przypomniały mu się słowa, które Maureen powiedziała mu tamtego poranka, jej krótką, pełną pasji przemowę, zawierającą lekcję życia, której ona musiała się mimo woli nauczyć.

„Miłość jest tak trudno znaleźć i tak łatwo stracić”...

W końcu się zdecydował i delikatnie zastukał.

Zanim chwycił klamkę i popchnął drzwi, zczekał, aż głos ze środka pozwoli mu wejść.

Znalazł się naprzeciw Lysy, która siedziała na łóżku z plecami opartymi o poduszki. Wyjęto jej kroplówkę z ramienia, na którym został tylko niebieskawy ślad w miejscu wkłucia. Miała rozpuszczone włosy, a twarz straciła poprzednią bladość. W refleksie zachodzącego słońca, który wpadał przez okno po lewej stronie, jej oczy zdawały się przyćmiewać swoim blaskiem resztę twarzy.

Wydawała się zaskoczona jego obecnością i zrobiła odruchowy typowo kobiecy gest poprawiania włosów.

- Cześć, Jordan.

- Cześć, Lysa.

Po tym krótkim powitaniu nastąpiła chwila ciszy i była jak szkło, przez które mogli się widzieć, ale żadne z nich nie znajdowało słów, dzięki którym ich głos mógłby

dotrzeć do drugiego. Lysa była zadowolona, że w owej chwili nie było żadnego monitora przy jej łóżku, który pokazywałby bicie jej serca.

- Jak się czujesz? - odezwał się w końcu Jordan i zaraz zrobiło mu się głupio z powodu takiego pytania.

- Dobrze - odpowiedziała Lysa, czując się głupio z powodu takiej odpowiedzi.

Lysa otrząsnęła się pierwsza. Wskazała gestem włączony telewizor, ustawiony na NY1, przez który przebiegały obrazy bez dźwięku.

- Widziałam przed chwilą wiadomości. Ty i ta dziewczyna, Maureen Martini, jesteście bohaterami dnia.

Mówiła głosem, któremu próbowała nadać neutralny ton, ale nawet tego nie zauważając, ściszyła go trochę, kiedy wypowiadała to imię. Teraz wiedziała już, kim jest Maureen, ale w jej pamięci była wciąż kobietą, którą zobaczyła w objęciach Jordana tamtego wieczoru na Meat Market.

- Kiedyś byłbym dumny z tego wszystkiego. Teraz myślę, że było to coś, co należało zrobić, i tyle. Jeśli chodzi o Maureen...

Lysę przeszła zazdrość, kiedy usłyszała, z jaką poufałością wymawia to imię.

Jordan położył torbę i kask na stole.

- Pamiętasz Connora Slave'a, piosenkarza, który został porwany we Włoszech razem ze swoją narzeczoną, a potem zamordowany? Ten typ, który mieszka pod nami, cały czas puszcza jego piosenki.

Sposób, w jaki Jordan powiedział słowo „nami”, ścisnął ją za serce. Były to tylko dwie sylaby, ale w nich zawierał się cały świat. I ona go straciła.

- Tą dziewczyną była Maureen.

Jordan usiadł na aluminiowym krześle, żeby dać oparcie zabandażowanemu ramieniu.

- Ja mogę wrócić teraz do mojego życia. Nie wiem, jakie życie na nią czeka. Mam tylko nadzieję, że będzie mogła zapomnieć i być szczęśliwą.

I nie tylko ona.

Lysa wskazała na odbiornik telewizyjny.

- Popatrz, twój brat.

Jordan odwrócił twarz w stronę telewizora. Na ekranie pojawił się Christopher, stojący przed pulpitem obleżonym przez dziesiątki mikrofonów w sali prasowej New York City Hall. Był sam w obliczu widowni złożonej z dziennikarzy, niczym matador przed bykiem. Kadr objął teraz pierwszy plan i Jordan poczuł litość dla brata. Przez

krótki czas, jaki minął od śmierci syna, wydawało się, jakby przybyło mu dziesięć lat. Z tego, co Jordan mógł zobaczyć, zrezygnował prawdopodobnie z zabiegów makijażysty, które osoba dbająca o jego wizerunek zalecała mu przed każdym pojawieniem się w telewizji przewidującym zbliżenia.

Lysa wzięła pilota i włączyła dźwięk w tej samej chwili, kiedy burmistrz Christopher Marsalis rozpoczynał swoje przemówienie.

„Proszę państwa, przede wszystkim czuję się w obowiązku podziękować wam za tak liczne przybycie. Dzięki temu jest mi łatwiej, a jednocześnie trudniej powiedzieć wam, co zamierzam”.

Christopher zrobił pauzę, która uciszyła wszelkie komentarze i uczyniła niemal namacalnymi napięcie i uwagę. Jordan dobrze wiedział, że ta zdolność przemawiania nie była czymś wystudiowanym, ale leżała w jego naturze. Głos był jednak zmęczony, podobnie jak wygląd fizyczny.

„Wszyscy dobrze znacie tragiczne wypadki, które wstrząsnęły moją rodziną w ostatnim czasie. Strata dziecka jest zawsze wydarzeniem, które skłania człowieka do przemyśleń. Jeśli dzieje się to w dramatycznych okolicznościach, co dotknęło mnie osobiście, refleksje muszą być jeszcze bardziej głębokie i krytyczne wobec własnego postępowania. Zdałem sobie sprawę, że przez wszystkie lata próbowałem być najpierw dobrym politykiem, a potem dobrym burmistrzem, zapominając, i tego nigdy sobie nie wybaczę, być dobrym ojcem. Teraz czuję się bezsilny wobec logicznego pytania, jakie każdy z was mógłby mi zadać: jak sobie wyobrażasz, że możesz coś zrobić dla naszych dzieci, jeśli nie byłeś w stanie nic zrobić dla własnego? Z tego powodu i z innych powodów natury osobistej postanowiłem złożyć dymisję z mojego urzędu w czasie najkrótszym, w jakim tylko będzie to mogło nastąpić. Ale zanim opuszczę stanowisko, na które wyniosło mnie zaufanie mieszkańców tego miasta, muszę dopełnić aktu sprawiedliwości wobec mojego brata, porucznika Jordana Marsalisa z nowojorskiej policji. Kilka lat temu, żeby chronić moją osobę, przyjął na siebie konsekwencje nie swojej winy, za którą to ja byłem odpowiedzialny. Pozwoliłem, żeby tak się stało, i jest to druga rzecz, której nigdy sobie nie wybaczę. Pamiętam słowa, które mi powiedział tamtego wieczoru: «Duzo ważniejszy jest dobry

burmistrz niż dobry policjant». Fakt, że w tej smutnej sprawie nastąpił pozytywny zwrot, jest przede wszystkim jego zasługą, a moja odpowiedź na jego ówczesne słowa może być tylko jedna: «Lepszy jest doskonały policjant niż burmistrz, który być może nie zasługuje, żeby nim być». Mam nadzieję, że miasto zechce wziąć to pod uwagę, jeśli nie przywracając mu stanowisko, na które zasługuje, to przynajmniej obdarzając go szacunkiem, do którego ma prawo.

Na tym kończę. Moja dymisja jest i pozostaje nieodwołalna. Dziękuję państwu”.

Bez dodatkowych komentarzy Christopher odwrócił się plecami do widowni i przemierzywszy kilka kroków, zniknął za drzwiami w głębi sali.

Lysa na powrót wyciszyła telewizor. Zaraz potem zwróciła do Jordana twarz, na której błąkał się ledwie widoczny uśmiech.

- Jestem zadowolona ze względu na ciebie.

Jordan zrobił niewyraźny gest.

- Uwierz mi, ta sprawa zupełnie mnie już nie obchodzi. To ja jestem zadowolony z jego powodu. Nie było łatwo podjąć taką decyzję i wygłosić tego rodzaju przemówienie w obliczu dziesiątek tysięcy osób. Jestem szczęśliwy, że znalazł siłę i odwagę, żeby to uczynić.

Ze swojego miejsca w łóżku Lysa wskazała w końcu na torbę i kask, na które, mimo wysiłków, żeby tego nie robić, wciąż spoglądała.

- Wyjeżdżasz?

- Prędzej czy później musiało to nastąpić.

Lysa wolałaby, żeby Jordan nie patrzył na nią w ten sposób. Wolałaby, żeby odszedł natychmiast i żeby mogła wyobrazić go sobie na motocyklu, który minuta po minucie coraz bardziej go od niej oddala, ponieważ każda odległość byłaby mniejsza od tej, jaka dzieliła ich w tej chwili.

- Jestem zadowolona, że dla ciebie nic się nie zmieniło.

Jordan potrząsnął głową, żeby nadać większą wagę swoim słowom.

- Nie, coś się zmieniło i nie mogę udawać, że tak się nie stało.

Jordan wstał, wziął do ręki torbę i ją otworzył. Poszperał w środku, wyciągnął kask i położył na stole obok swojego. Lysa rozpoznała go natychmiast. Był to ten sam, który kupili owego ranka przed podróżą do Poughkeepsie.

- Kiedy będę wyjeżdżał, chciałbym, żebyś to włożyła i pojechała ze mną, jeśli ci to odpowiada.

Lysa zmuszona była złapać oddech, zanim odpowiedziała.

- Jesteś pewny?

- Tak. Nie jestem pewny niczego, co dotyczy całej reszty, ale co do tego nie mam żadnych wątpliwości.

Zaraz potem Jordan przeszedł najkrótszą i najważniejszą drogę swojego życia. Dwoma krokami zbliżył się do łóżka, pochylił się i przyłożył na chwilę swoje wargi do ust Lysy. Ona poczuła jego męski zapach i woń skóry i w końcu mogła puścić wodze wyobraźni. Pochyliła się do przodu, ukryła twarz w rękach i już nie widziała ani nie słyszała nic więcej, bo miała oczy i dłonie pełne łez.

Pragnęła, żeby Jordan znów ją pocałował, ale pomyślała, że będą mieli na to jeszcze dużo czasu.



# CZEŚĆ CZWARTA

## Rzym

### 54

Samolot dotknął ziemi z lekkim podskokiem, podkreślonym piskiem gumy na asfalcie.

Maureen wyobrażała sobie koła z podwójnymi oponami otoczone dymem wywołanym przez tarcie, podczas gdy pilot odwracał turbiny, żeby zmniejszyć prędkość samolotu. Za oknem pojawił się znajomy pejzaż lotniska Fiumicino, swojskiego, na miarę i na potrzeby człowieka, tak różnego od obojętnego i chaotycznego, stehnicyzowanego lotniska Kennedy'ego w Nowym Jorku.

Nie było ani lepsze, ani gorsze, po prostu inne.

Maszyna podjechała łagodnie do rękawa przy akompaniamencie głosu stewardesy, która witała pasażerów w Rzymie po włosku i po angielsku. Maureen mówiła doskonale w obu językach, ale w tej chwili czuła, jakby obydwa były obce.

Samolot zatrzymał się definitywnie i nastąpił ten milczący sygnał, na który zdawali się reagować wszyscy pasażerowie po zakończeniu lotu szczękiem odpinanych pasów bezpieczeństwa.

Maureen wyjęła swoją torbę z luku i stanęła w kolejce przesuwałcej się do przedniego wyjścia. Zaraz po opuszczeniu samolotu pasażerowie stawali się na powrót normalnymi osobami stąpającymi po ziemi, które tylko tymczasowo zawieszono między chmurami.

Ruszyła razem z tłumem w stronę hali odbioru bagaży. Wiedziała, że na zewnątrz nikt nie będzie na nią czekał, i była z tego zadowolona.

Ojciec zadzwonił do niej z Japonii, gdzie przebywał w związku z otwarciem nowej restauracji Martini's w Tokio. Dowiedział się o rezultatach śledztwa, w które była zamieszana, i potraktował ją jak międzynarodową gwiazdę.

Od Franca Roberta dowiedziała się, że koledzy z komisariatu postanowili przybyć tłumnie na lotnisko, żeby ją powitać. Z tego powodu przyspieszyła wylot, zamawiając w ostatniej chwili miejsce w samolocie bezpośrednio poprzedzającym ten, w którym miała rezerwację. Nie czuła się triumfatorką i nie chciała mieć wokół siebie ludzi, którzy fetowaliby ją jako taką.

Maureen zabrała bagaże z taśmy, postawiła je na wózku i ruszyła w stronę wyjścia.

Minęła właśnie halę przylotów i kierowała się na postój taksówek, kiedy podszedł do niej jakiś człowiek.

- Przepraszam, czy pani Maureen Martini?

Maureen zatrzymała wózek i spojrzała na mężczyznę. Był to Chińczyk w średnim wieku, wzrostu trochę wyższego od średniej, o azjatyckich rysach twarzy, które większości ludzi z Zachodu wydają się takie same.

- Tak. Co mogę dla pana zrobić?

- Nic, panienko. Mam tylko wypełnić zlecenie. Zostałem zobowiązany przez pewną osobę w Ameryce, żeby przekazać pani tę paczkę.

Chińczyk podał jej pudełeczko, które trzymał w ręku, zawinięte w prosty pergamin do pakowania prezentów i obwiązane elegancką złotą tasiemką.

- Ale co to?...

- Osoba, która powierzyła mi to zadanie, powiedziała, że pani zrozumie. Poza tym prosiła, żebym pani podziękował i przekazał, że odpowiedź nie jest potrzebna. Witam w domu, panienko. Życzę miłego wieczoru.

Nie mówiąc nic więcej, skłonił się lekko, odwrócił i wmieszał w tłum kierujący się do wyjść. Jeszcze jedna głowa, która zlała się z dziesiątkami innych głów, aż w końcu znikła.

Maureen przyglądała się przez chwilę pudełku, po czym włożyła je do torby, którą oparła na wózku.

Podczas jazdy taksówką z Fiumicino do domu praktycznie nie widziała znajomego pejzażu rzymskiej wsi.

Kiedy zegnała matkę, Maureen zrozumiała, że coś się między nimi zmieniło. Prawdopodobnie w przeszłości były tak zaangażowane w swoje role, tak sztywne na

swoich pozycjach, że zapomniały, iż są dwiema kobietami. Przy pożegnaniu matka objęła ją i Maureen była jej wdzięczna, że uczyniła to w sposób fizyczny, nie bacząc na to, co ma na sobie. Był to początek, tylko z pozoru mało znaczący. Reszta miała przyjść z czasem.

Jordana Marsalisa zobaczyła po raz ostatni w One Police Plaza, kiedy poszli podpisać ostateczne zeznania dotyczące sprawy Williama Roscoe. O niczym nie rozmawiali, ale wydał się jej pogodny. Przy rozstaniu obiecywali sobie, że spotkają się we Włoszech. Mogło do tego dojść albo nie, ale jedno było pewne: żadne z dwojga nigdy nie miało zapomnieć doświadczenia, które razem przeżyli.

Przejechawszy przez zatłoczone ulice miasta, taksówka zatrzymała się przed jej domem, obok znajomej sylwetki Koloseum. Kierowca wysiadł z samochodu i pomógł jej zanieść bagaże aż pod drzwi windy.

Skrzynka na listy była pełna korespondencji. Maureen wyjęła ją i przejrzała szybko podczas jazdy windą na ostatnie piętro. Były to w większości reklamy, kilka listów od organizacji dobroczynnych z prośbą o wsparcie oraz rachunki za telefon, gaz i prąd. List z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i kilka listów od przyjaciół. Maureen nie miała ochoty ich otwierać.

Tylko jeden przyciągnął jej uwagę.

Była to dosyć duża koperta z brązowego papieru, z tych, które mają w środku plastik z bąbelkami.

Obracając ją w rękę, Maureen zorientowała się, że pochodzi ze Stanów Zjednoczonych. Pieczętka na znaczkach wskazywała, że wysłana została z Baltimore.

Otworzyła ją i zobaczyła w środku płytę CD i złożoną wpół kartkę. Był to list.

Droga Maureen,

nie spotkaliśmy się nigdy osobiście, ale słyszałem o Pani tak wiele, że mogę powiedzieć, iż znam Panią bardzo dobrze. Nazywam się Brendan Slave i jestem bratem Connora. Łączy nas żal po tym, co zabrał ze sobą na zawsze, ale także radość, że możemy cieszyć się słowami i muzyką, które nam zostawił jako świadectwo swego geniuszu. Po tamtym tragicznym wydarzeniu wszedłem w posiadanie wszystkich jego rzeczy i, przeglądając je, znalazłem tę płytę, którą załączam. Zawiera niepublikowaną nigdy piosenkę, a w notatkach Connora odkryłem, że napisał ją dla Pani, co może też Pani sprawdzić na okładce. Uznałem za stosowne, żeby trafiła w Pani ręce. Może Pani

z nią zrobić, co zechce. Może ją Pani pokazać światu albo zatrzymać jako małe prywatne dziedzictwo i zachować w tajemnicy.

Od mojego brata wiem, że bardzo się kochaliście, i dlatego pozwalałam sobie udzielić Pani rady. Niech go Pani zawsze pamięta, ale proszę nie żyć wspomnieniami. Jestem pewien, że powiedziałaby to samo, gdyby był w stanie to uczynić. Jest Pani piękna, młoda i wrażliwa. Proszę nie zamykać przed sobą możliwości życia i nowej miłości. Jeśli wyda się to Pani trudne, będzie zawsze ta ostatnia piosenka Connora, która przypomni Pani, jak to się robi.

Ściskam najserdeczniej

Brendan Slave

Maureen stała z oczami skąpanymi we łzach, w windzie wypełnionej walizkami, która zatrzymała się na ostatnim piętrze starej rzymskiej kamienicy. Jak mała dziewczynka wytarła oczy rękawem bluzki, nie bacząc na czarne plamki, jakie lekki makijaż pozostawił na tkaninie. Wzięła walizki i wystawiła z windy. Kiedy grzebała w torbie w poszukiwaniu kluczy, wpadło jej w rękę pudełko, które dostała na lotnisku od Chińczyka.

Weszła do mieszkania i natychmiast poszła otworzyć okiennice, wpuszczając powietrze i słońce do tego domu, którego - jak myślała wcześniej - miała nigdy więcej nie zobaczyć, i ciesząc się z prezentu w postaci rzymskiego nieba darowanego jej przez każde otwierane okno.

Wkrótce potem, stojąc w prostokącie światła rzucanego przez zachód słońca, rozwiązała węzeł tasiemki i otworzyła pudełko zapakowane jak prezent.

Na warstwie jasnożółtej waty leżało odcięte ucho. Do dolnej części małżowiny wpięty był dziwny kolczyk w kształcie krzyża z brylancikiem w środku, który ściągał monochromatyczne światło słońca i łamał je, żeby potem oddać zwielokrotnione w swoich barwach.

Maureen rozpoznała go od razu.

„Od pewnej osoby w Ameryce”, powiedział Chińczyk.

Maureen pomyślała o słowach, które Cesar Whong wypowiedział owego wieczoru podczas ich krótkiej przejażdżki, kiedy zapewniał ją o niewinności swojego syna i prosił, by pomogła mu ją udowodnić.

„Zapewniam panią, że w jakiś sposób zdołam się odwdzięczyć. Nie wiem jeszcze jak, ale gwarantuję, że to uczynię”...

Maureen patrzyła na tę makabryczną przesyłkę bez żadnej emocji. William Roscoe w dniu swojej śmierci stwierdził, że jedyną rzeczą, jaka może uczynić ich wyższymi od Boga, jest sprawiedliwość. Maureen nie wiedziała, czy Jordan, na chwilę przed tym, jak go zaatakował, słyszał jego ostatnie słowa na temat przyszłości Juliusa Whonga, czy też nie.

„Bardzo profesjonalny pan zajmie się nim”...

Jeśli nawet zrozumiał ich sens, nie wspomniał o tym, i podobnie uczyniła Maureen. Istniała także sprawiedliwość ludzka i w ten sposób ona i Jordan stali się jej przysięgłymi. Byłby to trzeci sekret, który by ich połączył. Jeśli kiedyś trzeba będzie dokonać rachunku sumienia, w odpowiednim czasie to uczyni.

Wciąż trzymając pudełko w ręku, Maureen poszła wyrzucić jego zawartość do muszli klozetowej i spuściła wodę. Upewniła się, że pamiątka po tym nędzniku, jakim był Arben Gallani, powędrowała w tym momencie tam, gdzie było jej miejsce, czyli do rzymskich ścieków.

Następnie wzięła z komody brązową kopertę i weszła po schodach na piętro. Odsunęła przeszkłone drzwi, za którymi aż po horyzont widać było rzymskie dachy, i natychmiast podeszła do stereo. Wzięła do ręki ostatnią płytę Connora i patrzyła przez chwilę na jego postać o intensywnym spojrzeniu, która obserwowała ją z małego kolorowego kwadratu okładki.

*Kłamstwa mroku.*

Ale teraz mrok się skończył. Nie wiedziała, na jak długo, ale życie polegało też na tym, że nie wiadomo jak, gdzie i kiedy. Otworzyła okładkę płyty. Na połyskującej powierzchni były tylko trzy słowa, napisane niezmywalnym czarnym flamastrem.

*Pod wodą - Maureen*

Włączyła odtwarzacz, wsunęła cienką, metalową płytę i nacisnęła przycisk PLAY.

Była to skromna, pierwsza próbka i dlatego jeszcze bardziej wzruszająca. Piosenka wystarczała samej sobie i nie została przytłoczona żadną aranżacją.

Kilka mistrzowskich taktów smyczków, miękkie arpedżio gitarowe, a potem na tej harmonijnej bazie skrzypce Connora zaczęły poruszać się z elegancją i energią łyżwiarza figurowego, rysując w powietrzu melodyjne spirale i zostawiając jednak na gładkiej powierzchni ślady ostrych łyżew.

I wreszcie jego głos, nóż naostrzony bólem i radością. Nie dane było się dowiedzieć, gdzie jest jego ostrze, a gdzie czubek. Maureen została natychmiast

pochłonięta magicznym sensem tajemnicy, jako że ta piosenka, ukryta przed resztą świata, była jej wyłączną własnością, nie dlatego że miała jej jedyny egzemplarz, ale dlatego że została napisana tylko dla niej.

*Ty, która narodziłaś się pod wodą  
i pozostawałaś tam miesiącami  
tańcząc pomału płócho  
i samotnie jak w płynnym  
i jasnym zwolnieniu  
a teraz wędrujesz ukryta  
w swoim suchym cierpieniu  
myśląc, że schowane pod wodą  
zostawiłaś tam swoje serce  
i być może nawet nie wiesz  
że wystarczyłaby minuta  
żeby zamienić to nic  
w fakt dokonany  
myśląc, że pod wodą  
gdzie nie ma koloru  
świecąca bańka powietrza będzie dla ciebie  
żeby dać oddech twojej miłości  
która była tam ukryta  
która nigdy się nie poddała  
w swoim maleńkim błysku  
i nawet pod wodą  
zdaje się zapaloną lampką  
dla ciebie, która jesteś pod wodą  
i już nie wierzysz.*

Rozumiejąc sens tych słów, zamiast płaczu pozwoliła sobie na nielogiczną czułość uśmiechu.

Usiadła w wiklinowym fotelu przed przeszklonymi drzwiami i poprawiła poduszki, żeby było jej wygodniej. Pozwoliła, by muzyka ją wciągnęła, i uległa głosowi

i wspomnieniu, mając pewność, że cokolwiek przytrafi się jej od tej chwili, nikt nie będzie w stanie ukraść jej ogromnego bogactwa, jakim została obdarzona. Pozostawała naprzeciw tego triumfującego zachodu słońca, który rozpałał rzymskie niebo. I choć jak wszyscy była niepewna, co przyniesie jej los wierzyła, że teraz potrafi z nim się zmierzyć.

Maureen Martini zamknęła oczy i pomyślała, że mrok i oczekiwanie mają tę samą barwę.

# Podziękowania

Muszę rozpocząć podziękowania od dwóch nadzwyczajnych osób, to znaczy Pietra Bartociego i jego żony, doktor Mary Elacqua z Samaritan Hospital w Troy. Bez nich powieść ta powstawałaby z dużo większym trudem, mój pobyt w Ameryce byłby dużo bardziej niewdzięczny, nie dowiedziałbym się, ile może zjeść papuga z Nowej Anglii i przede wszystkim nie zdołałbym nadać nowego sensu słowu „przyjaźń”.

Do nich chciałbym dołączyć:

Andrzej Boria, superwyrafinowanego kucharza, przezywanego przyjaźnie „Cow Borio”, ponieważ zdołał wprowadzić mieszaną sztukę mięs po piemoncku w sam środek Manhattanu;

doktor Victorię Smith, znakomitą kręgarzkę i uroczą osobę, która wyprostowała mój zbolący kręgosłup podczas pobytu w Nowym Jorku;

cały personel z Via delia Pace i inne cudowne osoby, które poznałem w Stanach Zjednoczonych, z zapewnieniem: być może w tej chwili nie pamiętam wszystkich imion, ale ich twarze zapisały się trwale w mojej pamięci.

Poza tym, jeśli chodzi o część naukową, chciałbym wspomnieć doktora Giannię Miroglia, lekarza i przyjaciela od zawsze oraz doktora Bartolomea Marina, ordynatora Oddziału Chirurgii w Szpitalu Miejskim w Asti, do których należy dołączyć wszechstronną doktor Rossellę Franco, anestezjologa reanimatora w Szpitalu Miejskim S. Andrea w La Spezii.

Szczególne podziękowania dla doktora Carla Vanettiego, mikrochirurga oka z Mediolanu, członka ASCRS (American Society of Cataract and Refractive Surgery) oraz dla profesora Giulia Cossu, dyrektora Instytutu Badawczego Komórek (Staminali) Instytutu Naukowego S. Raffaele w Mediolanie, którzy okazali się, jak mawia poeta, potężni i cierpliwi.

Dziękuję również doktor Laurze Arghittu, odpowiedzialnej za kontakty z mediami w Dyrekcji i Komunikacji Rozwoju przy Fundacji S. Raffaele z Monte Tabor, która z dużą umiejętnością radziła sobie ze szturmem pisarza, który musi się jeszcze jako taki sprawdzić.

Na czułą wzmiankę zasługuje ponadto doktor Annamaria di Paolo, pierwszy kierownik Policji Państwowej, która była niezbędna, jeśli chodzi o wskazówki, i



nieoceniona, jeśli chodzi o przyjaźń i wsparcie.

W przypadku zgranej grupy roboczej, która kieruje moją działalnością pisarską, muszę wspomnieć przede wszystkim Alessandra Dalai, człowieka o wielorakich talentach, któremu zawdzięczam różne formy wsparcia. Dołączyć do niego należy:

niepokonaną Cristinę Dalai,  
nieodpartego Piera Gellego,  
nienaruszalną Rosarię Guacci,  
nieposkromioną Antonellę Fassi,  
wiarygodną Paolę Finzi,

wielobarwną Marę Scanavino,

i będącego poza wszelkim podejrzeniem Pierluigiego Zecchina, który za nimi wszystkim stoi.

Honorowe wyróżnienie w końcu dla ostrego Piergiorgia Nicolazziniego, mojego dzielnego agenta i wartościowego doradcy.

Poza tym dziękuję:

Angelowi Branduardiemu i Luisie Zappa za rytualne wprowadzenie do akcji w tej samej, co zawsze tawernie;

doktor Angeli Pincelli, którą z powodów geograficznych widuję rzadko, ale o której z powodów uczuciowych myślę często; doktorowi Armandowi Attanasiemu, który daje mi dużo więcej niż ja jemu;

Farncescowi Rapisardzie, odpowiedzialnemu za kontakty w Dziale Wyścigów Ducati, który prędzej czy później zdoła zabrać mnie na zawody o Gran Premio;

Annaricie Nulchis, *unforgettable* jak jej e-mail i cennej jak jej uśmiech;

Marcowi Luciemu za uprzejmość i kontakt;

firmie Malabar Viaggi za opiekę i wytworność.

Na zakończenie ściskam wszystkich przyjaciół, którzy od lat są obecni w moim życiu i w moim niezmiennym do nich uczuciu, z ich wsparciem, szacunkiem i nieprzemijającą słodyczą rzeczy prawdziwych.

A poza tym, w wymiarze ściśle prywatnym, wielkie DZIĘKUJĘ i ze szczerego serca dla Renaty Quadro i Jole Gamba za ich troskę, ich pomocną obecność i opiekę okazaną drogiej osobie w chwili bardzo trudnej dla niej i dla mnie.

Postaci tej historii są wyłącznie wytworem fantazji.

Osoby, którym podziękowałem, na moje szczęście, nie.